

LEGENDY CHRZEŚCIJAŃSKIE

Tom I

Tom II

Spis treści

Wprowadzenie 5

CHRYSTUS W LEGENDZIE

Czwarty Mędrzec Wschodu	11
Dzieweczka bezrąk	23
Kaftanik dla Dzieciątka	26
Kaganek, osiołek, anioł i wiele innych rzeczy	29
Ucieczka do Egiptu	40
Dzieciątko ubogi pielgrzym	46
Święty Eligiusz kowal	49
Jezus i łotr	53
Podpłomyk Jezusa Chrystusa	56
Grzyby	57
Jezus i wyśmiani skąpcy	61
Święty Piotr i dwóch woźniców	64
Wątpliwości świętego Piotra	66
Trzy złote monety na Boże Narodzenie	75
Święty Graal	85

MATKA BOSKA W LEGENDZIE

Wędrowny pieśniarz	95
Dwie matki	100

Najświętsza Panna z Saint-Vinol	102
Siostra Beatrycze	105
Stary mnich i Matka Boska	109
Młyn Matki Boskiej	111
Nawrócenie Kropelki	116
Braciszek i zbójcy	122
Sztukmistrz Matki Boskiej	124
Najświętsza Panna i młody rycerz	130

ŚWIĘCI W LEGENDZIE

Święty Piotr i rządzenie światem	135
Matka świętego Piotra	137
Święty Andrzej pomaga swojemu czcicielowi	143
Siedmiu braci śpiących z Efezu	147
Święty Hieronim	153
Najmocniejszy	156
Święty Ambroży i trzy dziewczeczki	165
Kuszenie świętej Justyny	167
Święty Marcin	172
Święty Mikołaj	176
Święta Taida	189
Święty Roch i raj zwierząt	192
Święta Genowefa z Brabancji	198
Święta Katarzyna Aleksandryjska	204
Święta Zyta i jej pomocnicy	209
Lekkomyślna reforma	212
Święta Teresa spowiedniczka	219
Opowieść o świętej Krystynie Dziwnej	220

LEGENDY RÓŻNE

Urian połyka wilka	235
Mistrz Kopytko	239
Gertruda w raju	245
Zabijaka i jego chrześniak	248
Kłamstwo, które staje się prawdą	251
Ufność w Bogu	254
Widzenie brata Jaśmina	259
Wampir	266
Brat Dominik	275
Kij cały w kwiatach	280
Jasieniek z Paryża	282
Mnich i wieczność	286
Szlifierz w raju	288
Katarzyna grzesznica	294
Legenda o śpiewających mnichach	296
Chłoppek w raju	301
Kiedy Twardowski bawił w Wielkopolsce	303
Nie taki diabeł straszny, jak go malują	310
Trzej mnisi wędrują do ziemskiego raju	326
Bogaczka w raju	332
Trzej pustelnicy	335
Pokutujący grzesznik	341
Nagana za niestaranną modlitwę	344
Daniel i dziecko	346
Córka Jeftego	355

Legendy chrześcijańskie



Łacińskie słowo *legenda* znaczy to, co powinno się czytać. Legendy chrześcijańskie zaczęły powstawać już w pierwszych wiekach Kościoła jako barwne opowieści o życiu Jezusa, Matki Najświętszej, a później także świętych. Niektóre z legend zawartych w pierwszym tomie antologii, którą oddajemy do rąk Czytelników, pochodzą jeszcze ze średniowiecza, inne zostały napisane w wiekach późniejszych bądź współcześnie. Obok legend polskich Czytelnik znajdzie tu opowieści z kręgu kultury romańskiej, niemieckiej, skandynawskiej i rosyjskiej, zarówno ludowe, jak i literackie. Zawsze chętnie słuchane i czytane nie tylko przez dzieci. Wspaniała lektura dla całej rodziny.

www.wydawnictwo.pl



LEGENDY CHRZEŚCIJAŃSKIE

1

Antologia

Wyboru dokonali:
ks. Stanisław Klimaszewski MIC
Luigi Santucci



WARSZAWA

© for the Polish Edition by
PROMIC – Wydawnictwo Księży Marianów MIC, 2006

Dodruk do wydania IV – 2010 r.

Teksty z języka włoskiego tłumaczył Adam Szymanowski
Teksty z języka rosyjskiego tłumaczyła Wacława Korzyn

Projekt okładki: *Cezary Urbański*
Redakcja merytoryczna: *Adam Wieczorek*
Redakcja techniczna: *Eliza Wiśniewska*

1921/K/674

Druk i oprawa:
Drukarnia na Księżym Młynie w Łodzi

ISBN 978-83-7502-023-6

ZAMÓWIENIA

PROMIC Spółka z o.o. Oddział w Warszawie
Wydawnictwo Księży Marianów MIC
ul. Św. Bonifacego 9/1, 02-914 Warszawa
tel. 22 651 90 54
sprzedaz@wydawnictwo.pl
www.wydawnictwo.pl

Wprowadzenie

Niewiele przekazały nam Ewangelie z dziecięcych lat Pana Jezusa. Tak samo mało, i to już z całego życia, Jego Matki. Chrześcijanie zaś pragnęliby poznać możliwie najwięcej wydarzeń z pobytu na ziemi tych tak drogich im osób. Stąd też fantazja wiernych już w pierwszych wiekach uzupełniała te braki legendą w postaci apokryfów. W okresie średniowiecza jeszcze dalej poszła fantazja i miłość wyznawców Chrystusa w tym legendarnym uzupełnianiu luk, a nawet i w innym ujmowaniu wydarzeń opisanych w Ewangeliach. Średniowiecze jest okresem największego rozwoju legendy chrześcijańskiej. Słusznie nazywa się je jej złotą erą.

Podobnie jest również z życiorysami świętych. W średniowieczu niewielu posiadało sztukę pisania i czytania. Druk przyszedł dopiero w połowie XV wieku. Stąd za życia osób świątobliwych zwykle nie miał kto odnotować faktów dotyczących ich działalności. Sami zaś kandydaci na świętych nie mieli zwyczaju pisania pamiętników. Po ich śmierci, gdy rosła sława ich cnót i dzieł, ludzie chcieli poznać bliżej ich poświęcone Bogu życie. Znowu legenda uzupełniała brak pewnych źródeł.

Fantazja tworzących legendę zwykle obracała się wokół wydarzeń historycznych, tylko je uzupełniała i rozszerzała. Ludzie średniowiecza nie mieli jeszcze tak rozwiniętego zmysłu krytycznego jak człowiek współczesny. Stąd w tym uzupełnianiu niezbyt liczyli się z prawdopo-

dobieństwem psychologicznym i z możliwością zaistnienia pewnych faktów w świecie realnym. Dlatego legenda średniowieczna, a później i wszelka ludowa, jest pełna nadzwyczajności, fantastyki, jest bliska świata baśni. Tak na przykład legenda o świętej Genowefie jest wyraźnie bliższa baśni niż nawet mało krytycznemu życiorysowi świętych. Jest jednak sporo legend średniowiecznych opisujących życie świętych bardziej realistycznie i czasem trudno rozróżnić, co jest w nich faktem historycznym, a co zmyśleniem. Opisywane bowiem wydarzenia mają wszelkie pozory prawdopodobieństwa. Brak im tylko potwierdzenia przez źródła historyczne. Stąd też w wielu wypadkach trudno dziś zdecydować, do jakiego gatunku literackiego należy zaliczyć wiele dawnych życiorysów świętych: do hagiografii czy do legendy.

Przez swój element fantastyczny, baśniowy legenda znajduje się czasem na pograniczu ortodoksji i herezji. Niekiedy zdaje się nawet przekraczać tę granicę. Są to wypadki raczej rzadkie, a czytelnik i wówczas zdaje sobie sprawę, że ma do czynienia z opowiadaniem ludowym czy ze zmyśleniem literackim, a nie z podręcznikiem dogmatyki albo teologii moralnej. Mamy nadzieję, że w niniejszym zbiorze uniknęliśmy wyraźnego przekroczenia tej granicy.

Legenda średniowieczna była zwykle legendą ludową, przekazywaną ustnie z pokolenia na pokolenie. Od czasu do czasu pojawiali się ludzie pióra, którzy spisywali te opowiadania krążące wśród ludu, często uzupełniając je jeszcze własną inwencją. W ten sposób powstał w średniowieczu największy zbiór legend chrześcijańskich *Legenda aurea*, spisanych przez Jakuba de Voragine.

W czasach nowożytnych nie zaginęło tworzenie legend. Okres racjonalizmu i Oświecenia nie sprzyjał jednak powstawaniu naiwnych legend ludowych. Z biegiem lat natomiast pojawia się coraz częściej legenda literacka,

o wiele bogatsza i bardziej kunsztowna, o ile idzie o język, od swej poprzedniczki, legendy ludowej.

Niniejszy zbiór zawiera oba rodzaje legend. Legendy średniowieczne i ludowe uległy w nim pewnym skrótom, a nawet lekkiej przeróbce literackiej, której dokonał profesor Luigi Santucci z Mediolanu. Z jego bowiem zbioru, liczącego ponad 700 stron *Leggende cristiane* (Fratelli Fabri Editori, Milano 1963), pochodzi większość legend średniowiecznych i ludowych, jak i literackich, głównie z obszaru języków romańskich. Natomiast legendy autorów polskich, niemieckich, skandynawskich i rosyjskich zostały prawie w całości wybrane przez niżej podpisanego.

Były pewne trudności z podziałem zebranego materiału. Ostatecznie przyjęto cztery części: legendy związane z osobą Chrystusa, Matki Bożej, świętych i legendy różne. Świadomi jesteśmy nieadekwatności tego podziału, bowiem często jedna i ta sama legenda dotyczy zarówno życia Chrystusa, jak i Jego Matki, a czasem również świętych.

W części czwartej poczesne miejsce zajmuje szatan, wróg Chrystusa i świętych, usiłujący przeszkodzić ich pracy apostołskiej, prawie zawsze jednak bezskutecznie. Jest on postacią wykpiwaną i wyśmiewaną w legendzie.

Zdajemy sobie sprawę z niekompletności tego zbioru. Nie zawiera on na przykład, gdy idzie o dawne czasy, ani jednej legendy z *Kwiatków* świętego Franciszka; z nowszych zbiorów pominięto całkowicie *Królową niebios* Gawalewicza. Powodem tego opuszczenia było, iż są one – dzięki powojennym wydaniom – dość dostępne na rynku księgarskim. Dalsze poszukiwania mogą łatwo doprowadzić do odkrycia niejednej perełki, choćby w twórczości klasyków literatury polskiej czy w piśmiennictwie rosyjskim. Antologia ta jest otwarta na uzupełnienia w ewentualnych dalszych wydaniach.

Na koniec chcę jeszcze zaznaczyć, że zbiór ten nie ma ambicji dać przeglądu naukowego legendy chrześcijańskiej w jej historycznym i terytorialnym rozwoju. Jego zadanie jest skromniejsze: być popularną i – choć to dziś niemodne – trochę budującą lekturą dla czytelnika. Ze względu na swą religijną tematykę uzupełni ona w obrazowy sposób jego wiadomości z zakresu wiary i moralności chrześcijańskiej. Łacińskie słowo *legenda* znaczy: to, co powinno się czytać. Mamy nadzieję, że ten zbiór rzeczywiście znajdzie chętnych czytelników.

Ks. Stanisław Klimaszewski MIC

Chrystus w legendzie



Czwarty Mędrzec Wschodu

Znacie zapewne opowieść o trzech Mędrcach Wschodu (zwanych też Trzema Królami), którzy zobaczywszy gwiazdę, podążyli za nią do Betlejem, ażeby złożyć swe dary u stóp Dzieciątka Jezus.

A czy słyszeliście o Czwartym Mędrce, który też poszedł śladem owej cudownej gwiazdy, lecz nie stanął wraz z braćmi przed obliczem Dzieciątka? Czy słyszeliście o jego wędrówkach i próbach, o jego niezmordowanych wieloletnich poszukiwaniach, o jego tęsknocie nieutulonej i o zwycięstwie, które przyszło w chwili ostatecznego zwątpienia?

Opowiem Wam jego dzieje, zebrałem je bowiem z urywków snów podsłuchanych w przybytku Serca Ludzkiego.

Było to za czasów panowania możnego cezara Augusta, kiedy Herod władał Jerozolimą. Wówczas to w górach perskich żył pewien mąż, Mag, zwany Artabanem. Był on Medem. Jego dom stał w mieście Ekbatana, tuż koło skarbcza królewskiego.

Artaban umówił się ze swoimi braćmi Magami – Kasprem, Melchiolem i Baltazarem – że wyruszą razem do Jeruzalem powitać nowo narodzonego króla Izraela. Sprzedał więc dom i wszystkie swoje włości, a za otrzymane pieniądze kupił trzy klejnoty: szafir, rubin i perłę, i postanowił je zawieźć w darze Królowi.

Artaban, Mag z miasta Ekbatany, pędził co koń wyskoczy... Przez równinę Nisean, słynną ze stad dzikich koni, przez urodzajne pola Konkabaru, przez góry i doliny... Mijał sady figowe i brzoskwiniowe, pola ryżowe, gaje tamaryszków i topoli...

Ani Ctesiphon, stolica partyjskich królów, nie zdołała go zatrzymać, ani rozlane wody Tygrysu i Eufratu nie były dla niego przeszkodą.

Nareszcie, po dziesięciu dniach trudów i udręki, stanął wieczorem pod murami Babilonu.

Wazda upadał ze znużenia, a i Artaban czuł, że siły go opuszczają, lecz w mieście nie mógł się zatrzymać, bo do świątyni Siedmiu Sfer było jeszcze dobre trzy godziny drogi: trzeba było zebrać ostatki sił, by zdążyć na oznaczone miejsce przed północą.

Tuż za Babilonem rozciągała się wielka piaszczysta pustynia, na której tu i ówdzie zieleniały maleńkie oazy, niby wyspy na oceanie piasku. Właśnie przejeżdżali przez jedną z tych wysepek, gdy nagle Wazda zwolnił biegu. Im bardziej zagłębiał się w cień rozłożystych palm, tym ostrożniej stapał i tym większy zdradzał niepokój. Dokoła panowała iście grobowa cisza, ani jeden listek nie zaszeleścił, ani jeden ptak nie poruszył się w gałęziach.

Wazda pochylił głowę ku ziemi i stapał lekko i ostrożnie. Nagle chrapnął przerażony i przystanął. Tuż przed nim leżała na ziemi jakaś ciemna postać.

Artaban zeskoczył z konia i pochylił się nad zagadkową postacią. Był to człowiek, otulony w łachmany, chudy i wynędzniały. Na jego twarzy widniały ślady śmiertelnej febry, która panowała w całej okolicy, a która widocznie jego dotknęła. Artaban ujął go za rękę, lecz zimna była jak ręka trupa, a kiedy ją puścił, opadła bezwładnie na piersi chorego.

– Trzeba śpieszyć się w drogę – pomyślał Artaban i odwrócił się od leżącego na ziemi człowieka, pozosta-

wiając go losowi, jaki czeka tych wszystkich, którzy padną wśród pustyni. Stada hien i sępów czyhają już na nich, żeby wyprawić sobie pustynne gody, a wiatr pogrzebie białe, czyste kości w piachu i nawet ślad po nich nie zostanie. Nagle z ust chorego dobył się rozpaczliwy jęk i ręka ostatnim wysiłkiem chwyciła Artabana za płaszcz. Serce zamarło w Artabanie ze strachu, nie tyle przed chorym, lecz na myśl, że może się spóźnić. Przecież nie mógł tu pozostać, żeby ratować tego nieznanego biedaka, którego życie i tak dobiegało końca... Jeśli spóźni się do Borsippy, wówczas towarzysze – wielcy Magowie: Kasper, Melchior i Baltazar – pomyślą, że zrezygnował z wyprawy i sami bez niego pojadą.

Lecz gdyby tu pozostał, gdyby spróbował ratować tego człowieka, kto wie, czy jeszcze to by mu się udało? Czy nagroda, jaka go czeka, gdy zobaczy swego Króla, nie jest dla niego ważniejsza niż spełnienie czynu miłosierdzia wobec obcego, nieznanego nędzarza? Czy wolno mu zatrzymać się w tej świętej pielgrzymce po to tylko, żeby konającemu Żydowi podać łyk wody?

– Boże Prawdy, Boże Miłosierdzia, wskaż mi drogę, bom słaby i niewidomy – modlił się Artaban.

I widać Bóg go oświecił, bo nagle pochylił się nad chorym, wziął go ostrożnie na ręce i zaniósł na skraj oazy, gdzie było nieco widniej. Tu zdjął mu ostrożnie turban, rozluźnił zaciśnięty na biodrach pas, przyniósł wodę z pobliskiego strumyka i zwilżył nią skronie i usta chorego. Potem wyciągnął z zanadrza woreczek z lekami i dał choremu parę kropel do wypicia. Godzina mijała za godziną, a Artaban nie ustawał w pracy. Lecz wysiłek jego nie pozostał bez skutku. Po jakimś czasie chory otworzył oczy i spojrzał na Artabana zupełnie przytomnie.

– Ktoś ty? – zapytał Maga – Co cię skłoniło, żebyś mnie biedaka przywracał do życia?

– Ja jestem Artaban, Mag z miasta Ekbatany, jadę do Jeruzalem, ażeby odszukać nowo narodzonego Króla żydowskiego, który ma być Zbawcą świata. Nie mogę tu dłużej pozostać, bo karawana czeka na mnie w Borsippie. Masz tu chleb i wino, to moje jedyne zapasy, a tu są zioła, które ci zdrowie przywrócą. Jak poczujesz się silniejszy, to wstań i idź do Babilonu, tam znajdziesz Żydów, którzy ci pomogą.

Stary Żyd słuchał słów tych z zapartym oddechem, wreszcie podniósł wychudzoną, drżącą rękę i rzekł:

– Niech Bóg Abrahama, Izaaka i Jakuba błogosławi wszystkim twoim krokom. Pokój Jego niech będzie z tobą. Ja nędzarz nic ci w zamian dać nie mogę, to tylko ci powiem, że Mesjasz, którego szukasz, nie w Jerozolimie się urodzi, lecz w Betlejem, mieście judzkim. Tak przepowiadali nasi prorocy. Idź i niech Pan czuwa nad tobą, boś okazał choremu miłosierdzie.

Za chwilę Artaban był już daleko. Wazda wypoczęty mknął teraz przez piaski pustyni. Już w oddali rysowała się sylwetka góry Nimroda, ze stojącą na jej szczycie Świątynią Siedmiu Sfer. Lecz na próżno Artaban wyteżał swe oczy, ani przy świątyni, ani w dole na pustyni nie było śladu karawany. Strome, skaliste zbocza Nimroda mieniły się w promieniach wschodzącego słońca jak koncha muszli perłowej...

Artaban zatrzymał konia u stóp góry, a sam począł się pięć po skalistym zboczu. Serce zamierało mu z trwogi na myśl, że może nie zastać towarzyszy.

W końcu stanął przed frontonem świątyni. Trzej Magowie musieli już dawno to miejsce opuścić, bo cała równina w dole była pusta aż po najdalsze kręgi horyzontu. Tylko gdzieś tam majaczyły wśród piachów sylwetki szakali szukających żeru. Nagle oczy Artabana padły na małą piramidkę ułożoną z okruchów cegieł tuż na krawędzi tarasu. W jej głębi jaśniał zwój pergaminu. Wy-

dobył go skwapliwie, rozwinął i czytał: „Czekaliśmy do północy. Dłużej pozostać nie możemy. Jedziemy odszukać Króla. Jeśli chcesz, jedź naszym śladem”.

Artaban usiadł na ziemi i ukrył twarz w dłoniach.

– Co pocznę? – rozmyślał. – Jakże mogę udać się w tak daleką drogę bez wody, bez jedzenia. A i koń mój zdrożony nie pójdzie już dalej. Chyba wrócę do Babilonu, sprzedam szafir, a za to kupię karawanę wielbłądów i zapas żywności na drogę. O, żebym choć dogonił moich braci! A może nie znajdę mego Króla, może oczy moje nigdy Go nie zobaczą, dlatego, że spóźniłem się, bo okazałem miłosierdzie biednemu człowiekowi?

Po niesłychanych wysiłkach i trudach dotarł nareszcie do Betlejem. Lecz jego braci już tam nie było. Oni spełnili swoje zadanie, odszukali boską Dziecinę, a u Jego stóp złożyli swe dary – złoto, kadzidło i mirrę. Czwarty Mędrzec wioził także dary bezcennej wartości – rubin czerwony, jak brzask skwarne go dnia, i perłę opalową, jak szczyt ośnieżonej góry, na której mienia się jeszcze ostatnie blaski zachodu.

– To nic, że się spóźniłem i że swój dar będę musiał sam składać u stóp mego Pana – rozmyślał Artaban. – Jestem w Betlejem i za chwilę ujrzę Światłość wschodzącą nad światem. Oby Go tylko ujrzeć jak najprędzej!

Wjechał w główną ulicę Betlejem, lecz miasteczko wyglądało jakby wymarłe, nigdzie nawet śladu człowieka.

– Pewnie wszyscy wyszli w góry po trzodę – rozumował Artaban.

Wtem z jednego domku doleciał go dźwięczny śpiew kolędy. Czym prędzej zwrócił tam swe kroki i wszedł do wnętrza. W małej, lecz schludnej izdebce ujrzał młodą kobietę, która właśnie usypiała dziecko na rękach. Zagadnięta przez Artabana, zaczęła mu opowiadać, że przed trzema dniami jacyś nieznani dostojnicy przybyli do Betlejem z dalekiego Wschodu.

Mówili, że gwiazda ich zawiodła do domu, gdzie właśnie przebywał Józef z Nazaretu z małżonką swoją Maryją, i tam znaleźli Dziecię, którego szukali i któremu złożyli bogate, piękne dary.

Niedługo potem możni dostojnicy opuścili naszą miejscinę, a zaraz po nich umknął i Józef z Maryją i Dzieciątkiem. Powiadają, że uciekł do Egiptu, bo bał się o życie dziecka. Nie wiem, ile w tym prawdy – mówiła kobieta – ale to pewne, że od czasu ich zniknięcia coś ciąży nad naszym miastem, jakby mu jakieś niebezpieczeństwo groziło. Podobno żołnierze rzymscy mają przybyć z Jeruzalem i nowe podatki z nas ściągać. Dlatego tak pusto w mieście, bo mężowie nasi poszli ze stadami w góry, żeby ich nie dać żołnierzom.

Tymczasem malec drzemiący na rękach matki rozbudził się na dobre. Obcy przybysz wzbudził w nim niebywałe zaciekawienie, bo maleństwo wyciągało obie rączki do złotego kręgu, który widniał na piersiach Artabana i tak czule się doń uśmiechało, że Magowi serce silniej w piersiach zabiło...

Zamyślił się Artaban:

– Król i Pan powędrował do Egiptu, lecz ja Go i tam odzyskam...

Tymczasem matka dziecięcia położyła maleństwo do kołyski i zaczęła się krzątać po izbie, ażeby ugościć obcego wędrowca...

Wtem zgiełk jakiś podniósł się na ulicy. Słysząc było krzyk i płacz kobiet, odgłosy trąb, szczęk oręża; ktoś zawołał:

– Ratunku! Żołnierze Heroda mordują nasze dzieci...!

Słyszając to, młoda matka zbladła z przerażenia. Pochwyciła swego synka w ramiona i ukryła się z nim w najciemniejszym kątku izby. Artaban stanął w progu domu, gotów go bronić do ostatka. Jego ogromna postać wypełniła całe odrzwia.

Uliczka zarośla się od żołnierzy...

Na widok Maga zatrzymali się na chwilę i w twarzach dał się odczytać wyraz niepewności i obawy. Wtem z gromady wysunął się młody oficer i zbliżywszy się do Artabana, chciał go ręką odsunąć na bok. Artaban ani drgnął. Jego twarz była tak spokojna, jakby patrzył na gwiazdy i czytał w nich tajemnicze losy życia. Oczy na w pół przy-mknięte zdawały się patrzeć w jakąś niezmierzoną dal.

Przed takim spojrzeniem nawet drapieżny lampart się cofa, toteż młody oficer zawahał się i podniesiona przed chwilą ręka opadła mu bezwładnie.

Teraz Artaban zwrócił na niego swe spojrzenie i rzekł dobitnie:

– Sam jestem w tym domu i pragnę w nim sam pozostać. Oto nagroda dla mądrego oficera, który zechce dom mój zostawić w spokoju...

Mówiąc to, wyciągnął zza pasa rubin bajecznej piękności i położył go na rozwartej dłoni.

Młody oficer oniemiał na widok tak wspaniałego klejnotu. Chciwie wyciągnął rękę po skarb i ukrywszy go głęboko w fałdach płaszcza, zawołał do żołnierzy:

– Naprzód! W tym domu nie ma dziecka...

Na te słowa wyczekująca gromada żołnierzy rozproszyła się. Pobiegli dalej szukać nowych ofiar.

Mag wszedł do izby i stanąwszy pod oknem, zaczął się modlić:

– Boże Prawdy – łkała jego zboląta dusza – wybacz, że kłamstwem skaziłem swe usta. Uczyniłem to dla dziecka, żeby ratować je od śmierci. Oto dwa dary, które przeznaczyłem dla Boga – szafir i rubin – oddałem ludziom. Teraz nie będę godny, aby spojrzeć w oblicze mego Króla.

Tak modlił się Artaban, a stojąca w głębi izby rozradowana matka, tuląc do piersi swego jedynaka, szeptała:

– Niech cię Bóg stokrotnie nagrodzi, dobrodzieju ty nasz najlepszy, za to, żeś uratował życie mego synka. Niechaj Pan spojrzy na ciebie łaskawym okiem i niech zleje na ciebie wszystkie dary nieba. Pokój Jego niech będzie z tobą...

Nadaremnie Artaban szukał w Egipcie swego upragnionego Króla. Chociaż jednak nie znalazł w tej wędrówce Króla, przed którym mógłby paść na kolana, aby Go uczcić i uwielbić, znajdował ludzi, dla których jego obecność była jedyną osłodą w ich cierpieniu. Pokrzepiał słabych, przyodziewał nagich, leczył chorych, pocieszał więźniów... I tak płynęły jego dni i lata...

Jego życie wydawało mu się jednostajne i bezbarwne, tak jak gdy patrzymy na czółenko tkackie, które wciąż tę samą przebiega drogę, wlokąc za sobą nic to szarą, to błękitną, to szkarłatną. Dopiero gdy droga jego dobiegnie końca, gdy zdejmujemy z warsztatu tkaninę, wówczas dopiero widzimy całość wzoru pełną krasy.

Trzydzieści trzy lata upłynęły od chwili, gdy Artaban wyruszył na poszukiwanie Światła. Zesłabł już i postarzał się w tej ustawicznej pielgrzymce. Zmęczony był, słaby i stary, lecz mimo to nie ustawał w poszukiwaniach.

Właśnie przybył do Jeruzalem, aby raz jeszcze przejść wszystkie jego zaułki. Był tu już tyle razy, znał każdą uliczkę, wszystkie najuboższe domy, lecz nigdy i nigdzie nie udało mu się napotkać śladu swego Pana. Mimo to w duszy coś szeptało mu, że tu Go odnajdzie...

Żydzi obchodzili święto Paschy...

Na ulicach panował ruch, zgiełk, hałas. Od czasu do czasu jakiś dreszcz przebiegał zatłoczone ulice. Zgiełk podnosił się, to znów przygasał. Wszyscy gdzieś się spieszyli, popychali i wzajemnie wyprzedzali.

Artaban przyłączył się do tej fali, a znalazłszy gromadkę Żydów z Parthy, z jego rodzinnych stron, przybliżył się do nich i rozpoczął z nimi rozmowę.

– Chodź z nami, Artabanie – rzekł jeden z Żydów – idziemy teraz na Golgotę, gdzie odbędzie się ciekawa egzekucja. Cóż to, ty nie wiesz o tym? Wszak mają dziś stracić dwu złoczyńców i jakiegoś Człowieka, którego zważ Jezusem Nazareńskim. Podobno ten Jezus wielkie cuda czynił między ludźmi i lud Go kocha, ale kapłani i starszyzna zażądali Jego śmierci, bo mówi o sobie, że jest Synem Boga i Królem żydowskim. Piłat skazał Go na ukrzyżowanie.

Artaban słuchał, a słowa te padały w jego duszę jak ożywcza rosa. Trzydzieści trzy lata wędrował, ażeby je nareszcie posłyszeć...

A więc to wszystko było prawdą? Król się narodził, lecz ludzie Go odepchnęli, wyszydili i teraz oto miał skonać na krzyżu. A jeśli to nie ten sam, który urodził się w Betlejem, którego przyjście głosiła gwiazda, o którym mówili mędrcy i prorocy?

Ta niepewność dręczyła Artabana.

– Wszystko mi jedno – pomyślał – pójdę Go zobaczyć. Kto wie, może On jest naprawdę moim Panem, moim Królem, może zdołam Go jeszcze wyratować? Wszak mam jeszcze jeden klejnot, którym mogę Go z rąk katów wykupić.

Tak rozmyślając, podążył wraz z tłumem ku bramie miasta. Minęli ostatnie domy miejskich straży, gdy wtem oddział macedońskich żołnierzy zajechał im drogę. Żołnierze pędzili przed sobą młodą dziewczynę całą w łańcuchach. Widać było, że znęcali się nad nią. Artaban spojrzał na dziewczynę oczyma pełnymi litości i mimo woli przystanął. Widząc to, dziewczyna przypadła ku niemu, objęła jego nogi i szlochając, wołała:

– Ratusz mnie, panie! W imię Boga Czystości, któremu służyysz, nie daj mnie zbezczęścić. Jestem córką partyjskiego kupca. Mój ojciec umarł i teraz za jego długi chcą mnie sprzedać jako niewolnicę. Ratusz mnie przed hańbą, która jest gorsza od śmierci! – Mówiąc to, całowała stopy Artabana i taka rozpacz była w jej oczach i głosie, że serce w Artabanie zamarło. Znalazł się znów na rozdrożu, jak wówczas w oazie i potem w Betlejem. Miłość nakażywała co innego, a co innego podszeptowała jego głęboka wiara i tęsknota jego życia. Już dwa razy oddał ludziom dar przeznaczony dla Boga. Oto przyszła nań trzecia próba – i ostatnia.

Czyżby to była próba, czy kuszenie jego duszy? Jedno czuł, że jakkolwiek długo trwałaby walka, wynik będzie ten sam, bo jest nieunikniony.

– Boże mój, Boże! – wołał w głębi duszy. – Powiedz, czy Światłość najwyższa nie leży w miłości?

I nie czekając już na nic, wydobył perłę, swój ostatni klejnot, i złożył ją w ręku dziewczęcia.

– Weź to, córko, to twoja zapłata. Daję ci ostatni skarb, jaki chowałem dla mego Króla...

Jeszcze nie domówił tych słów do końca, kiedy nagle ciemność zaległa cały kraj. Ziemia zaczęła drżeć i w głębi jej łona dał się słyszeć głuchy pomruk jakby dalekiego grzmotu. Na ulicach wszczął się popłoch i zamęt. Mury pękały, a obluźnione kamienie zaczęły się sypać przechodniom na głowy. Wiatr podnosił całe chmury kurzu, który wżerał się w oczy, w usta i w gardła. Tłum rozpierzchnął się jak stado przerażonych owiec. Tylko Artaban został z uratowanym przez siebie dziewczęciem.

Nie uciekał, bo i czego miał się obawiać? Przecież jego życie tak jakby się skończyło. Przed chwilą rozstał się z ostatnim darem, którym miał wykupić życie swego Króla. Sam zerwał ostatnią nitkę nadziei i oto teraz wędrówka się skończyła, chociaż Króla nie znalazł, celu nie osiągnął.

Schodził z areny życia pokonany. A jednak mimo wszystko uczucie ciszy i spokoju ogarnęło jego duszę. Nie było to uczucie rezygnacji, poddania się. To było coś o wiele piękniejszego. W głębi duszy miał to głębokie przekonanie, że szedł właściwą drogą. Zapewne jego czyny były niedoskonałe, lecz wypływały z najświętszych, najczystszych pobudek jego duszy. Wierze swojej, swoim przekonaniom był wierny przez całe życie. Szukał światła, szukał objawienia, a jeśli go nie znalazł, nie jego w tym wina. Czuł, że gdyby mu było dane przeżyć to życie jeszcze raz, od początku do końca, nic by w nim nie poprawił, nic by w nim nie zmienił.

Wtem ziemia zatrzęsała się raz jeszcze, poruszyły się domy, tu i ówdzie rozległ się trzask i łoskot walących się murów. Ze szczytu domu, pod którym stał Artaban, spadł odłamek muru i uderzył go w głowę. Dziewczyna widząc, że starzec blednie i słania się na nogach, pochwyciła go w swe silne ramiona i położyła na ziemi. Potem pochyliła się nad nim, gdy nagle usłyszała głos, jakiś cichy, dźwięczny głos, który płynął jakby z przestworzy. Dziewczę podniosło głowę, żeby zobaczyć, kto mówi, lecz okna domu były zamknięte i na całej ulicy nie było nikogo.

Nagle wargi Artabana poruszyły się, jakby chciał coś mówić. Po chwili dziewczyna usłyszała te dziwne słowa:

– Nie tak, Panie, nie tak... Czy jam Cię kiedy głodnego nakarmił, spragnionego napoił? Czy otworzyłem wrota swego domu przed Tobą, strudzonym wędrowcem? Czy Ciebie nagiego przyodziałem, chorego nawiedziłem? Trzydzieści trzy lata Cię szukałem, lecz oblicza Twego nigdy nie widziałem i nigdy Ci w niczym nie usłużyłem...

Artaban umilkł i znów dał się słyszeć ten sam głos co poprzednio, lecz tym razem wyraźniej, tak że dziewczyna mogła już zrozumieć słowa:

– Zaprawdę, zaprawdę powiadam ci, cokolwiek uczyniłeś jednemu z najmniejszych tych braci, Mnie uczyniłeś.

Na te słowa twarz Artabana zajaśniała dziwną jasnością, a z jego ust wydobyło się westchnienie, ostatnie westchnienie radości i ulgi.

Jego wędrówka skończyła się, dary zostały przyjęte. Czwarty Mędrzec Wschodu znalazł swojego Króla.

Henry van Dyke

„Przewodnik Katolicki” 1957 nr 1 s. 4-5



Dzieweczka bez rąk

Legenda francuska

Żyła niegdyś w mieście Betlejem dziewczeczka bez rąk. Była córką człeka ważnego, przełożonego synagogi, i nazywała się Anastazja. Jej ojciec nosił natomiast imię diabła, którego lepiej sobie nie przypominać. Ludzie zaś opowiadali, że bywał na sabatach i nauczył się tam piekielnych czarów.

Jednego wieczoru człek ten spożywał posiłek w towarzystwie innych przełożonych synagogi, kiedy usłyszał trzykrotne ciche pukanie do drzwi.

Przy pierwszym stuknięciu nastawił ucho. Przy drugim zaklął jak poganin. Przy trzecim, obracając się, by wyrzeć przez okno, skinięciem głowy zapytał natręta, czego sobie życzy.

– Nazywam się Józef – odpowiedział tamten – i jestem cieślą. Moja żona i ja nie znaleźliśmy miejsca w zajeździe. Zobaczyłem, że u ciebie się świeci, więc przyszedłem prosić o pomoc, albowiem moja żona dopiero co wydała na świat dziecko.

– Nie pomagam włóczęgom. Zmykaj, i to prędko.

– Albo jeśli wolisz – zadrwił inny – zostań tu i policz gwoździe w drzwiach, a będziesz wiedział, ile ich jest.

– Lecz strzeż się bólu zębów – dorzucił trzeci – nie ma bowiem gorszego bólu zębów niż wtedy, gdy psy dobierają ci się do łydek!

– O tak, bacz na swoje łydki! – wykrzyknęli chórem, szydząc i śmiejąc się.

I żaden nie ruszył się z domu. Wyszła za to Anastazja, strapiona i zboląła z powodu tego, co usłyszała, gdyż miała serce proste i miłosierne, jak nikt inny na całym świecie.

– Hola, biedny człeku! Czegóż chcesz, czego ci trzeba?

– Szukam pomocy dla mojej żony, która dopiero co powiła. Potrzebna nam niewiasta, która czuwałaby przy niej dzisiejszej nocy.

– Nie mam palców ni rąk. Ale chętnie zrobię wszystko, co będę mogła.

Były tam, jakby przygotowane przez samego Boga, dwa wiadra, jedno pełne mleka, drugie – świeżej wody. Dzieweczka zaczepiła je na dwóch końcach kija i podniosła na ramiona. Potem poszła za Józefem do stajenki, gdzie tylko wół i osiołek opiekowały się Maryją i grzały Dzieciątko. Ale pośród tej ubogiej słomy i spróchniałego drewna Dzieciątko zdawało się być jak słońce.

Dzieweczka padła na kolana. Jakże piękna była ta naga istota; zdawało się, że ma ukryty gdzieś w sobie kaganek, tyle światła dobywało się z różowego ciała. Anastazja nie mogła się powstrzymać. Swoimi ramionami bez dłoni podniosła dziecko i przytuliła do piersi. I w tym momencie zdarzył się cud. Ledwie Go dotknęła, wyrosły jej dłonie, białe i piękne jak dłonie dobrej wróżki, zwinne, jakby miała je zawsze!

Na kolanach dziękowała Dziecięciu i Jego Mamie. Potem zabrała się zrećcznie do pracy. Nowymi dłońmi usługiwała Matce Boskiej, kołysała Maleństwo, wszystko uporządkowała, gdyż do stajenki mieli przybyć pasterze i trzech królowie.

Zewsząd dokoła, a nie wiadomo było skąd, dochodził zgiełk jakby wiejskiego święta i rozbrzmiewała muzyka dud i kobzy. I tam w stajence, u boku Świętej Rodziny

dzieweczka czuła się jakby pośród aniołów śpiewających w niebie.

Kiedy przybyli pasterze ze swoimi darami, śmietanką, serem, jabłkami i orzechami, Anastazja odeszła i wróciła do domu swojego ojca w Betlejem.

– Tatusiu, tatusiu, zobacz, jakie mam białe dłonie!

– Skąd się wzięły? Jak to się stało, że wyrosły ci tak szybko? – spytał osłupiały mężczyzna.

– Dał mi je Ten, który może wszystko. Ten sam, którego oczekiwałeś ty i wszyscy dobrzy Żydzi. Urodził się tej nocy w naszym sąsiedztwie, w stajence.

– Jakaś ty głupia! – wykrzyknął ojciec. – Uważasz więc, że wiesz o tym więcej niż uczeni w Prawie! Twoje wargi są czarne od kłamstwa i bluźnierstwa!

– Nie ma w tym żadnego kłamstwa, tatusiu! Przyszłam po ciebie, żebyś i ty mógł złożyć Mu hołd.

– Ja miałbym złożyć hołd temu twojemu smarkaczowi ze stajni? Padłś ofiarą jakiegoś wędrownego czarownika, utnę ci te ręce ostrzem miecza.

Wyjąc jak opętany i krztusząc się z gniewu, sięgnął po miecz. Lecz nagle poczuł, że jest spętany, wzrok mu się zmacił i znalazł się wśród wielkich ciemności.

– Anastazjo, gdzie jesteś? – zdołał wybełkotać. – Wyciągnij swoje cudowne dłonie! Dotknij moich oczu, gdyż straciłem wzrok.

– Tatusiu, czy przyznajesz, że Dzieciątko, które sprawiło, że wyrosły mi dłonie, jest Mesjaszem? Powiedz, że wierzysz, a dotknę cię.

– Wierzę, wierzę – wyjąkał starzec.

Wtedy Anastazja położyła mu dłonie na oczach i jak przez czary powrócił mu wzrok. I ledwie przejrzał, chciał biec do stajenki, by zobaczyć, jak wygląda Mesjasz.

Kaftanik dla Dzieciątka

W pewnej krainie niemieckiej, w Kresburgu, na Boże Narodzenie wszystkie dzwony rozbrzmiewają co roku z pięciominutowym opóźnieniem...

Wyjaśnienie tego faktu, niezwykłego i prawdopodobnie jedyne, dostarczyła tradycja wraz z legendą, którą warto opowiedzieć, gdyż jest bardzo pouczająca.

Legenda mówi o pewnej niewieście z Kresburga, która nazywała się – jak bohaterka Fausta – Małgorzata, ale nie była młodziutką dziewczyną, lecz już zgrzybiałą staruszką, choć jeszcze pracowitą i nader pobożną.

Pewnego zimowego wieczoru, 24 grudnia, stara Małgorzata w swoim małym, ale schludnym domu pracowała przy świetle kaganka, robiąc na drutach kaftanik. Była już noc, kiedy drzwi samotnego domku otworzyły się bezszelestnie i weszła Śmierć, ledwie muskając Małgorzatę zimnymi i suchymi palcami.

Staruszka spokojnie podniosła na nią wzrok.

– Już czas? – spytała po prostu.

– Czas – skinęła potakująco Śmierć. Małgorzata nie przerwała pracy.

– Musisz poczekać – powiedziała, nie przestając robić na drutach. – Wiem, że żyłam długo, i wiem, że zbyt długo nie nadchodziła moja ostatnia godzina. Od dawna jestem przygotowana do tej drogi. Lecz teraz, w tym właśnie momencie nie mogę iść za tobą. Proszę cię, byś pozwoliła mi dokończyć ten wełniany kaftanik.

– To niemożliwe – odpowiada Śmierć. – Prawo jest prawem. Sama wiesz, że nie ja tu rozkazuję. Wykonuję tylko postanowienie Boże.

– Proszę cię jednak, żebyś odrobinę poczekała – nalega staruszka. – Ta noc jest inna niż wszystkie.

– Ile czasu potrzebujesz?

– Wystarczy dwie godziny.

– Dwie godziny to za długo – odpowiada Śmierć. – Chcesz być nieposłuszna wobec praw Bożych. Powinnaś za to być ukarana.

– To nieważne – mówi staruszka. – Wystarczy mi, że skończę ten kaftanik. Od tylu lat robię co rok wełniany kaftanik dla Dzieciątka, które się rodzi. A jeśli nie skończę, Dzieciątko zmarznie. Nie czujesz, jaki mróz?

– Dwie godziny lekceważenia znaku, który ci dałam tutaj – nalega surowa Śmierć – oznacza dwieście lat pokuty tam, nim będziesz mogła w pokoju osiągnąć niebo!

Małgorzata zadrżała.

– Dwieście lat!... Ale trudno... Dzieciątko nie może zostać bez kaftanika. – I nie przerywa pracy.

Pracuje tak przez dwie godziny, prawie do północy. Kiedy skończyła, wstaje i wychodzi z domu, a za nią jej nocny gość. Po drodze spotkali Dzieciątko, które zstąpiło nago między ludzi. Małgorzata przyklęknęła przed Nim i po raz ostatni włożyła Mu kaftanik, by nie zmarzło, tak samo jak czyniła to przez tyle już lat.

– A teraz dokąd idziecie? – spytało Dzieciątko dwóch wędrowniczek.

– Idę odbyć dwieście lat kary, by dostąpić potem szczęśliwości – odpowiada niewiasta – a ona towarzyszy mi, gdyż czekała dwie godziny, bym skończyła kaftanik dla Ciebie.

– Nie trać dłużej czasu – rzekło Dzieciątko do Śmierci. – Ja sam odprowadzę tę pocziwą staruszkę do miejsca,

gdzie na nią czekają. – Bierze ją za dłoń i zawraca do raju, skąd dopiero co przybyło.

Wróciło czym prędzej, wiedząc, że jest oczekiwane na ziemi. Ale nie zdążyło dotrzeć do Kresburga punktualnie jak zazwyczaj. Było już pięć minut po północy. Dokładnie pięć minut, tyle czasu, ile trzeba było na dodatkową wyprawę do raju.

I od tego czasu, według legendy, dzwony w Kresburgu wybijają Boże Narodzenie z pięciominutowym opóźnieniem w stosunku do reszty świata. A kiedy rozbrzmiewają o dwunastej pięć, zda się, iż chcą przypomnieć, że prawo może być naruszone tylko z miłości i że takiego naruszenia nie można karać, a nawet godzi się nagradzać, choćby na przekór wszystkim prawom ludzi i czasu, jeśli okaże się to konieczne.

Pierro Bargellini

Il libro degli esempi, Firenze 1963



Kaganek, osiołek, anioł i wiele innych rzeczy

Anioł, który czuwał, niewidoczny, nad Świętą Rodziną, zasnął. Nie ma rady, może się to przytrafić każdemu, stróżom nocnym, apostołom, a nawet aniołom. Co więcej, dzień był doprawdy męczący przez tę wizytę Trzech Króli.

Lecz w środku nocy jakaś belka w małej stajence skrzypnęła tak głośno, że anioł zerwał się.

Cóż za obrzydliwy zapach! Co za smród! Anioł już chwycił za swój róg alarmowy, by wezwać na pomoc kolegów z góry, lecz było to niepotrzebne, nie chodziło zgoła o diabła. Uniósł rękę do prawego oka i spojrzał w dal przez zwiniętą dłoń. A więc tu jest pies pogrzebany! Były to nikczemne myśli króla Heroda! Ulatywały z jego głowy jak para z gotującego się garnka. Anioł otrząsnął się z przerażenia i odrazy i pomachał skrzydłami, żeby rozproszyć cuchnącą woń.

Ale trzeba ostrzec świętego Józefa.

Anioł przetarł oczy, żeby odpędzić senność, potrząsnął swoimi złotymi puklami, wyjął z torby podróżnej srebrną kape, założył ją na siebie, stanął po anielsku na baczność i w tej postawie ukazał się we śnie świętemu Józefowi.

Albowiem święty Józef jest sprawiedliwym i dla niego także aniołowie przywdziewają strój galowy.

Święty Józef, zupełnie spokojny, spał głęboko, tonąc w miłym ciepłku swojej białej brody. Serce miał prze-

pełnione radością i światłem z powodu darów, jakie Trzej Królowie złożyli Dzieciątku Jezus. Ale co taki biedak jak on zrobi z całym tym złotem? Posłał je przełożonemu synagogi w Betlejem.

I w środku tego snu utkanego ze złota i chwały błysnął nagle okryty srebrem anioł, przemawiający głosem, który zdawał się mówić odległym echem organów: – Uciekaj, uciekaj! Król Herod chce zabić Dzieciątko, naszego Pana!

Święty Józef obudził się. „To tylko sen” – podszeptał mu sen, starając się opuścić jego powieki, ale święty Józef wiedział z własnego doświadczenia, że nie można snów lekceważyć ani pozwolić, by przemknęły niepostrzeżenie, więc z uporem trzymał oczy otwarte; wstał i zapalił kaganek. Dzieciątku grozi niebezpieczeństwo, trzeba się spieszyć, a jednocześnie mieć się na baczności, bo Dzieciątko i Matka byli stworzeniami kruchymi i delikatnymi...

Kaganek rzucał światło, zwyczajne ubożuchne światełko, jakie rzucają kaganki, lecz kiedy spostrzegł, że święty Józef niesie go w stronę Maryi, podsycał płomień, jak tylko mógł, gdyż widział Najświętszą Pannę raz tylko, w Boże Narodzenie. I jakże wtedy starał się rozpraszać mroki! Nappełnił światłem całą stajenkę (Kaganek to pocziwe stworzenie, ale niezbyt rozgarnięte. Nie spostrzegł nawet, biedaczysko, że całe to światło pochodziło od aniołów). Także teraz chciał zrobić tyle światła, ile tamtej nocy, i zaczął pochłaniać oliwę wielkimi łykami, nadał się, jak tylko mógł, starał się ze wszystkich sił, ale osiągnął tyle tylko, że płomyk stał się wielkości jajka.

- Coś nie w porządku z tą oliwą – pomyślał.
- Nie – odparła oliwa – to przez knot.
- Nic podobnego – rzekł knot – to musi być płomień.
- Wcale nie – zaprzeczył płomień – to wszystko wina kaganka.

Kiedy kaganek wiódł spór z samym sobą, ale ciągle starając się zobaczyć jak najwięcej, święty Józef był całkiem zadowolony, gdyż tej nocy kaganek płonął dobrze i dawał piękne światło.

Maryja leżała sobie na wiązce słomy i trzymała na podołku Dzieciątka. Słoma otulała ją z miłością.

Święty Józef zbliżył się na palcach, by Jej nie przestraszyć, musnął nieśmiało Jej ramię palcem wskazującym i rzekł półgłosem:

– Maryjo!

W ten sposób jeszcze nikogo się nie zbudziło! – pomyślała noc. Lecz Maryja była jak kryształowy kielich, który wystarczy dotknąć, by dobyć z niego harmonijny dźwięk.

– Cóż się stało, Józefie? – spytała.

Wielkie, przesłodkie oczy lśniły niby dwie gwiazdy w małej, pobladłej twarzyczce.

Kaganek patrzył w zachwyceniu, zapominając nawet o podsycaniu płomienia. Także pani noc w swoim płaszczu z czarnego aksamitu, na widok tych otwartych oczu, przez które widać było duszę i niebo, ze zdumienia nie poruszyła ani jedną z gwiazd na swojej sukni, gdyż zazwyczaj widziała Maryję tylko śpiącą, z zamkniętymi oczyma.

– Posłuchaj no, palioliwo – powiedziała noc kagankowi tonem pogardliwym – nie skąp tak oliwy, niechże i ja zobaczę lepiej naszą piękną Panią.

– A czemuż to raczej, moja pani, nie dobędziesz na wierzch tej swojej mlecznej patelni – odpowiedział kaganek nieco urażony. Ale nocy jedynie w niektóre określone dni wolno pokazywać srebrzysty miesiąc. I oto, żeby lepiej widzieć, potrząsnęła swoim czarnym płaszczem i nagle całe niebo było usiane gwiazdami, które błyszczały jak diamenty. Oblicze Najświętszej Panny oblało światło.

– Tylko spójrzcie, ile światła dałem! – rzekł z dumą kaganek. Ale noc była tak głęboko pogrążona w uwielbieniu, że nawet go nie usłyszała.

– Musimy uciekać... – rzekł święty Józef. – Ukazał mi się we śnie anioł... Król Herod chce zabić Dzieciątko.

Wielkie oczy stały się jeszcze większe z trwogi, potem powolutku zamknęły się, a blada twarzyczka Maryi pochyliła się z pokorą.

Stajenka z przerażenia i strachu skrzypiała wszystkimi złączeniami. Nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć, i w końcu skamieniała. Z wielkim bólem patrzyła, jak święty Józef pomaga Maryi wstać, odszukać odzienie, zawiązać tobolek, rozejrzeć się uważnie raz jeszcze, a potem wychodzi z Maryją i Dzieciątkiem w towarzystwie kaganka i wygwieżdżonej nocy.

Stajenka z przerażenia zwała się z lekkim trzaskiem.

Na dworze panowała właśnie taka ciemność, jakiej potrzeba do ucieczki. Kaganek oświeślał kawałeczek drogi, pokazywał kałuże, ujawniał kamienie, o które można by się było potknąć, a noc swoimi gwiazdami wskazywała kierunek północny.

Jednak Maryja była strapiona i wykrzyknęła:

– Ach, Józefie, gdybyż to chociaż był dzień! – Takie jest matczyne serce, pełne niecierpliwości, zawsze chciałoby uprzedzić czas.

– Już się robi! – ozwał się kogut w kurniku, przed którym właśnie przechodzili, i zapiał na pobudkę ze wszystkich sił. Nigdy w życiu nie wkładał w swój śpiew tyle wigoru.

– Czyś oszalał? – wykrzyknęła hardo noc. – Jeszcze minie jakiś czas, zanim skończę moją wędrówkę! – Ale kogut odpowiedział tonem, w którym brzmiała wielka pewność siebie, jakby czuł się równy tej wielkiej damie:

– Może chcesz, żeby nasz Pan skończył w rowie z miłości do ciebie? – I znowu wypiął pierś, zamknął oczy i zaśpiewał raz jeszcze, ale nie było to już potrzebne. Na wschodzie ciemności nagle rozrzedziły się i złoto rozpry-

skąło po całym niebie iskry i skrzące się strzępki, a słońce, sapiąc z wysiłku, wstało, by oświecić ziemię.

Zbrakło mu tchu, gdyż musiało przebyć dwie wielkie krainy, które teraz pograżyły się w mroku. A nie było to byle co, lecz rzecz trudna, prawie tak samo trudna, jak tego wieczoru, kiedy z rozkazu Jozuego musiało zatrzymać się na niebie. Lecz to nieważne, chodzi wszak o służbę Panu!

Wśród ludzi powstało jednak wielkie zamieszanie.

– Co się stało? – zdumiał się wieśniak z folwarku w Brakenhof. Jego zegar wskazywał trzecią, a już było jasno, choć przecież to luty. Oczywiście cała wina spada na zegar, który nie został należycie wyregulowany. Więc wieśniak wstał i ruszył do pracy. Niektórzy spośród nocnych Marków, co wytrwali jeszcze w kompanii, popijając piwo, przestraszyli się, widząc, że noc minęła tak szybko, i zaczęli przyganiać szynkareczce, mówiąc, iż cofnęła wskazówki zegara. Kupcy, którzy chcąc wyruszyć o siódmej, ustawili budziki na szóstą, obudzili się nagle, widząc, że jest jasno, wyskoczyli czym prędzej z łoża i pobiegli do dylizansu, ani nawet myśląc o śniadaniu. Dylizansu jeszcze nie było.

– Musiałem zapomnieć o nakręceniu zegara – rzekł woźnica.

Na dworze króla Heroda słudzy biegali we wszystkie strony. Na początek zwolniony został główny kontroler zegarów dworskich.

Natomiast dowódcy wojska zmyto uroczyście głowę, gdyż nie wyruszył natychmiast, jeszcze w nocy do Betlejem, by dokonać tam straszliwej rzezi niewiniątek. Wreszcie oddział zaczął maszerować, miasteczko zostało otoczone i na sygnał trąbki żołnierze niby wilki rzucili się do domów, wyrywali dzieci z rąk matek i zabijali sztylami i mieczami.

– Została jeszcze ta mała stajenka! – krzyknął dowódca. Ale jaki zawód ich spotkał, kiedy tam dotarli. Szopka zawałiła się całkowicie, a jeden wieśniak mieszkający w pobliżu rzekł:

– Ludzie, którzy tam byli, musieli uciec. Wczoraj przyszli Trzej Królowie, by złożyć pokłon Dziecięciu.

Dowódca, nie panując nad sobą z gniewu, wykrzyknął:

– Ale w takim razie Dzieciątko było właśnie tym nowym Królem, którego mieliśmy zabić. Naprzód, za nimi!

Pewien sprytny oficer pokazał mu na miękkiej ziemi odciski stóp Maryi i Józefa.

– Tym śladem trzeba iść. Za godzinę będą w naszych rękach! Żywcem dostarczymy nowego Króla królowi Herodowi, żeby własnoręcznie mógł mu skrócić kark!

Konie ruszyły galopem, trzymając się śladów.

Musimy pamiętać, że Anioł Stróż szedł niewidzialny za Świętą Rodziną. Anioł ów zajmował się światłem, wiatrem, baczył na chmury i co jakiś czas przykładął zwiniętą dłoń do oczu, by zbadać, czy nie grozi jakieś niebezpieczeństwo.

O kaganku nie ma już nic więcej do powiedzenia, poza tym, że zgasł ze wstydu, ledwie ujrzawszy promieniste oblicze słońca. A noc zrzuciła czym prędzej swój czarny płaszcz, tak że nikt już nie mógł jej zobaczyć.

Józef i Maryja szli szybko swoją drogą. Józef niósł Dzieciątko, niósł wszystko, swoje narzędzia, tobolek z pieluszkami, troski i myśli, a Maryja opierała się na jego ramieniu.

– Taka jestem zmęczona – rzekła.

– Zaraz trochę odpoczniemy – odpowiedział Józef. Mieli właśnie przysiąść na pniu, kiedy jakiś chrapliwy okrzyk sprawił, że Maryja zerwała się na równe nogi z przerażenia. Rozejrzeli się dokoła. Na pobliskiej łące pasł się i ryczał osioł, tak że robił wrażenie zardzewiałej pompy.

– Gdybyśmy mieli osiołka! – szepnął święty Józef. I oto nagle osioł przebrnął ociężałe strumyk i przez nikogo nieproszony zbliżył się do nich. Prawdę mówiąc, niezupełnie nieproszony, gdyż niewidzialny Anioł Stróż podszedł do niego na łące i szepnął mu do ucha:

– Nie upieraj się, osiołku, chodzi o naszego Pana. – I dokładnie opowiedział mu wszystko, co się przydarzyło, zalecając, by sprawował się dobrze, jak przystało na stworzenie dobrze wychowane, i obiecując, że zasłuży sobie na dobre imię w świętych księgach.

– Czy stanę się równie piękny jak koń? – spytał żywo osiołek.

– To nie – odparł anioł – tego, co raz zostało już stworzone, nie można zmienić, lecz twoje imię będzie bardziej szanowane niż imię najlepszego konia, gdyż zostaniesz nazwany konikiem Bożym.

– Co mi tam po imieniu – rzekł osiołek. – Wolałbym być koniem bez imienia niż osłem z dobrym imieniem. Chętnie uczynię to, o co mnie prosisz, ale tylko z wdzięczności wobec Pana Boga, a jeśli niczego nie można zmienić, zadowolę się tym, że zostanę osiołkiem bez imienia.

Anioł zaprowadził osła do świętego Józefa, który pogłaskał mu przyjaźnie łeb między oczami.

– Dobre zwierzę – powiedział. – Ach, gdybyśmy mieli takie bydło.

Osiołek spojrzał na Dzieciątko, które patrząc błękitnymi oczętami, bawiło się w ramionach Maryi okryte cieniem wielkiego płaszcza z kapturem.

– Więc to jest Pan Bóg, który stworzył wszystkie rzeczy i przyszedł, żeby zbawić ludzkość? – pomyślał osiołek nieco rozczarowany. – Jeszcze jedna rzecz, której nie pojmuję ni w ząb – ciągnął w myślach. – Co jeszcze wymyśli człowiek? Jest już panem koni i osłów. Czyż nie lepiej byłoby, żeby Pan przyszedł zbawić osły? Naturalnie

nie pojmuję tego, gdyż jestem właśnie osłem. Gdybym był koniem, wszystko wydałoby mi się jasne.

Tak to osiołek medytował nad wieloma jeszcze innymi sprawami, ale ponieważ nie mógł niczego pojąć, przestał wyęźać umysł i zaczął szukać ostów w pobliżu zwalonego drzewa. Znalazł piękne nawet, twarde i soczyste, nadające się do zjedzenia razem z korzeniami.

– Chodź, Maryjo, może poszlibyśmy dalej?

Maryja westchnęła, oparła się na ramieniu Józefa i podjęli poranny marsz w blasku promieni słonecznych, chłodnych jeszcze, ale już świetlistych. I oto osiołek ruszył wraz z nimi obok świętego Józefa.

– Idź, idź sobie, poczciwy bydlaku – rzekł starzec. – Wracaj na swoją łąkę. Nie jesteś nasz.

Nic z tego, osiołek szedł za nimi. Święty Józef wygłosił mu jeszcze kazanie o niewierności i uporze, ale ponieważ to także do niczego nie doprowadziło, rzekł w końcu:

– No dobrze. Jeśli koniecznie chcesz pójść z nami, nie mogę ci w tym przeszkodzić, ale umywam ręce i mam czyste sumienie. Jeśli kiedyś zdołamy tu wrócić, załatwię sprawę z właścicielem.

A zwróciwszy się do Maryi, rzekł:

– Sam Bóg przysłał nam tego poczciwego osiołka, więc wsiądź na niego.

Stała się rzecz dziwna, osiołek zgiał kolana, by łatwiej było usiąść na jego grzbiecie, a potem ruszył ze swoim świętym brzemieniem krokiem tak szybkim, że święty Józef musiał się namęczyć, żeby dotrzymać mu kroku. Ale myślał sobie z zadowoleniem:

– Teraz już z pewnością Herod nie zdoła nas doścignąć!

Anioł jednak nie osłabiał czujności i kiedy tak patrzył w dal, usłyszał nagle kroki zbliżających się żołnierzy Heroda. Przez chwilę polatywał to tu, to tam jak zraniony ptak, niepewny, co czynić. Wtenczas wyleciał mu na

spotkanie inny anioł, anioł dobrej myśli. Aniołowie latają sobie bowiem w wielkiej liczbie, niby motyle nad łąką, a każdy ma swoje imię i swoje obowiązki.

– O Światło Niebiańskie! – wykrzyknął Anioł Stróż. – Nasz Pan Bóg jest w niebezpieczeństwie. Ściga Go Herod! Co mam zrobić?

– Wezwij rozsypywaczy śniegu, o Srebrzysty Wartowniku – rzekł Światło Niebiańskie i poleciał do jakiegoś artysty albo proroka.

Wtenczas Srebrzysty Wartownik zadał w swój róg. Rozsypywacze śniegu, nader zajęci sporządzaniem nowych kryształowych gwiazdek, od razu pojęli, w czym rzecz. Niektórzy z nich wywinęli koziołka, a znalazłszy się na dole, wymienili parę słów z Aniołem Stróżem i szybciotko wzbili się z powrotem do nieba.

W mgnieniu oka zagęściły się na północy czarne chmury, słońce znikło, światło stało się posępne i szare i wielkimi płatkami spadł na ziemię śnieg. Łatwo sobie wyobrazić, w jaką wściekłość wpadł dowódca wojska. Odciski stóp zniknęły pod śniegiem i na rozstajach musiał zatrzymać się, zbity z pantałyku. Posłał swoich żołnierzy we wszystkich kierunkach, a sam przez czysty przypadek wybrał z oddziałem drogę właściwą.

Kiedy Anioł Stróż pojał, jakie niebezpieczeństwo nad Nimi zawisło, zaczął latać z niepokojem to tu, to tam. Cóż począć teraz?

Spostrzegł nagle wielkie drzewo o wypróchniałym pniu i z gniazdem sroczym wśród gałęzi. A gdyby tak ukryć Świętą Rodzinę w zagłębieniu pnia i rozwiesić z przodu wielką pajęczynę, jak czyta się często w starych opowieściach?

Ale mogło się zdarzyć, że dowódca wojska też zna te opowieści i nie da się zwieść.

– Drzewo, drzewo moje kochane, pomóż nam! – wykrzyknął Srebrzysty Wartownik.

I oto zerwał się mocny wiatr, tak że drzewo przygięło się do samej ziemi i trwało mocno w tej pozycji. Albo właściwie to anioł przytrzymał je ze wszystkich sił. Wówczas Światło Niebiańskie natchnął świętego Józefa, by ten powziął zbawczą myśl.

– Maryjo, wejdź do gniazda!

I od razu gniazdo stało się wielkie jak tron. Maryja usiadła w nim z Dzieciątkiem, a święty Józef zajął miejsce obok.

– Wejdź, osiołku – rzekł anioł – starczy miejsca i dla ciebie.

– He, he – odparł ze śmiechem osioł. – Chcecie wystawić mnie na pośmiewisko! Skoro nie mogę stać się koniem, nie chcę też siedzieć na drzewie jak ptak.

Wtedy anioł puścił koronę drzewa, które powoli wyprostowało się.

Wkrótce potem nadciągnęli żołnierze.

– Z koni! – rozkazał dowódca podoficerowi. – A obejrzyjcie dokładnie wydrążony pień i zobaczcie, czy przypadkiem nie ma z przodu pajęczyny!

– Nikogo! – wykrzyknął podoficer. – Jest tylko osioł, który pokazuje nam ogon.

– Przeklęty osioł! – mruknął dowódca pod nosem. Zarówno osioł, jak żołnierz poczuli się urażeni. Podoficer wskazał kapitanowi wielkie gniazdo.

– Przekłęte gniazdo! – ryknął dowódca i dosiadłszy koni, ruszyli dalej.

Śnieg przestał padać. Chmury się rozproszyły i na zachodzie słońce zaczęło chylić się nad widnokresem niby wielka kula ognia.

– Maryjo – powiedział Józef, wskazując na błękitny skrawek pod słońcem – tam jest morze. Jutro znajdziemy jakiś okręt.

I znowu pojawiła się noc w swoim płaszczu z gwiazd, które lśniły jak nigdy dotąd. Józef i Maryja pozostali

spokojnie w ciepłym gnieździe. Osioł dla zabicia czasu na zmianę wtykał łeb albo zadek w zagłębienie w drzewie, by ogrzać się ze wszystkich stron.

Wczesnie rano drzewo pochyliło się znowu ku ziemi i wszyscy poszli ścieżką wśród pól, aż dotarli do morza.

Morze tworzyło na brzegu cudowne koronki, jakich nie ma nawet w Brugii. Na piasku leżały muszle niby wielobarwne kwiaty. Naturalnie znalazła się tam barka z przewoźnikiem, który choć kudłaty i spalony od słońca, był może także przebrany aniołem i oznajmił, że gotów jest przewieźć ich na drugi brzeg.

Mały stateczek wypłynął na morze. Byli uratowani!

Osiołek został na brzegu i patrzył, gdyż nie chciał wejść za nic w świecie do łodzi. Wrócił mu jego zwykły upór.

Ale tak to już jest, w przeciwnym przypadku bowiem nie byłby osłem!

Patrzył, jak się oddalają, i pożegnał ich machaniem ogona.

Felix Timmermans

Leggende cristiane, Milano 1963, s. 503-510



Ucieczka do Egiptu

Daleko na jednej z pustyni Wschodu rosła przed wielu, wielu laty palma niesłychanie stara i niesłychanie wysoka. Ktokolwiek przez pustynię wędrował, musiał stanąć i podziwiać ją, gdyż była o wiele wyższa niż inne palmy. Zwykle mawiano o niej, że pewno przerośnie obeliski i piramidy.

Kiedy wielka palma stała tak sobie w samotności, patrząc w dal pustyni, ujrzała jednego dnia coś takiego, co sprawiło, że potężną koroną liści potrząsała ze zdziwienia na smukłym swym pniu. Tam od brzegu pustyni szło dwoje samotnych wędrowców. Byli jeszcze w oddaleniu takim, w jakim wielbłądy mają pozór mrówek, jednak w każdym razie byli to ludzie. Ludzie obcy na pustyni, gdyż palma znała mieszkańców puszczy – mężczyzna i kobieta, bez przewodnika, bez zwierząt jucznych, bez namiotu i bukłaków na wodę.

– Zaiste – rzekła palma do siebie – ci ludzie przyszedli tu, aby umrzeć.

Palma rozglądnęła się wokół.

– Dziwno mi, że lwy się jeszcze nie stawili – mówiła dalej – nie widzę żadnego w ruchu. A i zbójców nie widzę na puszczy. Przyjdą pewnie jeszcze.

– Siedmioraka śmierć ich czeka – mówiła palma dalej.

– Lwy ich pożrą, węże zatrują, pragnienie ich zmoże, piasek zasypie, rozbójnicy ich zabiją, słońce ich spali i strach zniszczy ich do szczytu.

I usiłowała myśleć o czymś innym. Los tych ludzi nappełnił ją żalostí.

Na całym obszarze jednak, który palma oglądnać mogła, nie znajdowała niczego, czego by od tysiąca lat nie była znała i oglądała na puszczy. Nic nie mogło przykuć jej uwagi. Musiała znowu zwrócić myśl do obojga podróźnych.

– W taki upał i w taki wiatr! – rzekła, wspominając tych najcięższych wrogów żywota – cóż to niesie ta kobieta na rękę? Zdaje mi się, że ci nierozsądni ludzie dziecko małe mają z sobą.

Palma, która jak zwykle starzy, daleko widziała, nie myliła się. Kobieta niosła dziecko, śpiące z głową opartą na jej ramieniu.

– Dziecko nie odziane nawet dostatecznie – zauważyła palma. – Matka zarzuciła swoją szatę na Nie i tak je osłania. Musiała Je w popłochu porwać z posłania, uciec z Nim. Teraz rozumiem wszystko: ci ludzie to zbiegowie.

– Ale mimo to ludzie nierozsądni – mówiła palma dalej.

– Jeżeli ich jaki anioł nie strzeże, to powinni raczej poddać się wrogowi, niż uciekać na pustynię.

– Wyobrażam sobie, jak się to stało. Mąż stał przy pracy, dziecko spało w kołysce, niewiasta wyszła po wodę. Załedwie dwa kroki uszła od drzwi, ujrzała nieprzyjaciół pędzących ku nim. Wpadła na powrót do chaty, porwała dziecko na ręce, krzyknęła na męża, aby szedł za nią i umknęła. Potem dniami całymi byli na wędrówce, bez chwili spoczynku. Tak, tak musiało to być, ale pomimo to powtarzam: jeżeli anioł ich nie strzeże...

– Tak są wylękli, że nie czują znużenia ani innych cierpień, ale ja widzę, jak pragnienie z oczu im świeci. Znam wyraz twarzy spragnionego człowieka.

I myśląc o pragnieniu, palma poczuła kurczowe drganie, przebiegające jej wyniosły pień, niezliczone końce jej długich liści zwijały się, jakby trzymane nad ogniem.

– Gdybym była człowiekiem – rzekła – nigdy bym nie odważyła się iść przez pustynię. Bardzo odważny ten, kto tu przybywa, nie mając korzeni sięgających w głąb do źródeł, które nigdy nie wysychają.

– Tu niebezpiecznie nawet dla palmy. Nawet dla takiej palmy jak ja.

– Gdybym mogła im radzić, powiedziałabym: wracajcie.

– Wrogowie ich nie mogą być tak okrutni jak pustynia. Może im się zdaje, że to łatwo żyć na pustyni. A ja wiem, jak to czasem trudno utrzymać się przy życiu. Pamiętam jeszcze z młodości, jak wicher całą górę piasku zwał na mnie. Bliska byłam uduszenia. Gdybym mogła umierać, byłaby to moja ostatnia godzina.

I dalej głośno myślała palma, jak to bywa zwyczajem pustelników.

– Dziwnie melodyjny szum przebiega mą koronę – rzekła. – Końce mych liści drgają. Sama nie wiem, co mnie na widok tych ubogich wędrowców przenika. Ale ta smutna niewiasta tak jest piękna. Ona mi nasuwa wspomnienie o najszczególniejszym zdarzeniu mego życia.

I podczas gdy liście ciągle grały szemrzącą melodię, rozmyślała palma, jak to niegdyś w dawnych czasach, gościło tu na pustyni dwoje świetnych postaci. Była to królowa Saba, a z nią mędrzec, król Salomon. Królowa wracała do swojej krainy, król odprowadzał ją część drogi, tu się żegnali.

– Na pamiątkę tej chwili – rzekła królowa – kładę w ziemię pestkę daktylową i chcę, aby z niej palma urosła, która trwać będzie tak długo, póki w judejskiej ziemi nie powstanie Król większy od Salomona. – A mówiąc to, włożyła ziarno w ziemię, którą lży jej zrosiły.

– Czemuż dziś właśnie przypominam sobie to wszystko? – pytała palma sama siebie. – Czyżby ta niewiasta tak była piękna, że mi przypomina najwspanialszą z ko-

ronowanych kobiet, tę, na której życzenie urosłam i trwałam do dnia dzisiejszego?

– Coraz silniej szumią moje liście – rzekła palma – a granie to smutne, jak żałobny śpiew. Szumią, jakby wróżyły, że wkrótce ktoś umrzeć musi. Dobrze wiedzieć, że to nie mnie się tyczy, gdyż ja umrzeć nie mogę.

Palma przypuszczała, że szum żałobny jej liści wróży śmierć samotnym wędrowcom. Zapewne i oni sami sądzili, że ostatnia ich godzina się zbliża. Widoczne to było po wyrazie ich twarzy, gdy mijali jeden ze szkieletów wielbłądzich, które drogę znaczyły. Widoczne to było po ich wzroku, jakim spoglądali w górę za przelatującymi sępami. Nie mogło inaczej być. Zbliżał się koniec.

Ujrzawszy palmę i oazę, przyspieszyli kroku, aby poszukać wody. Kiedy jednak doszli, z rozpaczą padli na ziemię, gdyż źródło było wyschnięte. Znużona Niewiasta położyła Dziecko i usiadła, płacząc, nad brzegiem źródła. Mężczyzna rzucił się obok Niej i bił gwałtownie pięścią w suchą ziemię. Palma słyszała, jak oboje mówili o tym, że muszą umierać. Dowiedziała się także z ich rozmowy, że król Herod wszystkie dzieci od dwu do trzech lat kazał wymordować z obawy, iż oczekiwany wielki Król żydowski może się pośród nich znajdować.

– Coraz potężniej szumią moje liście – myślała palma.
– Biednym tym wędrowcom ostatnia bije godzina.

Słyszała jeszcze, że oboje obawiali się wilków. Mąż mówił, iż lepiej było zostać i walczyć z żołdactwem, niżeli uciekać. Lżejszą śmierć by mieli.

– Bóg nas wspomóże – rzekła Niewiasta.
– Jesteśmy opuszczeni między dzikimi zwierzętami i węzami – rzekł człowiek – nie mamy jadła ni napoju. Jakże nas Bóg wspomóże?

Rozdarł w rozpacz swe szaty i twarz przycisnął do ziemi. Wszelką nadzieję stracił, jak człowiek z raną śmiertelną w sercu.

Niewiasta siedziała, obejmując kolana rękoma. Wzrok Jej wyrażał bezgraniczny smutek.

Palma czuła, że szum żałosny jej liści się wzmacnia. Kobieta musiała dosłyszeć go także, gdyż podniosła oczy ku koronie drzewa. A zarazem mimowolnie podniosła w górę ramiona.

– O, daktyl, daktyl! – zawołała.

W głosie tak wielkie wyrażało się pragnienie, że stara palma rada była zmaleć do miary jałowca, żeby daktyl tak łatwo można było zrywać jak głóg dzikiej róży.

Wiedziała, że z korony jej zwisają pęki owoców, ale jakże by ludzie mogli się dostać na tak zawrotną wysokość!

Mężczyzna widział już jak wysoko, niemożliwie do osiągnięcia, daktyl wisiały. Nie podniósł nawet głowy. Prosił tylko kobietę, aby nie domagała się rzeczy niemożliwej.

Dziecko jednak, zabawiając się żdźbłem i trawą, drepotało wokoło, usłyszało, co Matka mówiła.

Mały nie mógł sobie wyobrazić, że Jego Matka mogłaby nie dostać czegoś, czego sobie życzył. Skoro tylko wspomniano o daktylach, zaczął pilnie oglądać drzewo. Dumął i rozmyślał jakby tych daktyli dostać. Jego czołko zmarszczyło się prawie pod jasnymi kędziorami. Wreszcie uśmiech przemknął Mu przez twarzyczkę. Znalazł sposób. Poszedł do palmy, zaczął ją głaskać malutką rączką i rzekł słodkim dziecięcym głosem:

– Palmo, pochyl się! Palmo, pochyl się!

Ale cóż to się działo? Co to takiego? Liście zaszumiały, jak gdyby orkan je przeszył, a ogromny pień drzewa dreszcz po dreszczu przebiegał. Palma uczuła, że Dziecko władzę ma nad nią. Nie mogła Mu się oprzeć.

I pochyliła się wyniosła kolumna przed Dzieckiem jak schylają się ludzie przed książętami. Ogromnym łukiem

ugięła się ku ziemi, tak nisko, że olbrzymia korona drżących liści zamiotła piasek pustyni.

Dziecko nie było ani zdziwione, ani zaleknione, z krzykiem radości zbliżyło się i obrywało grono po gronie z korony palmowej.

Gdy już sporo narwało, a drzewo ciągle jeszcze kornie leżało na ziemi, zbliżyło się znowu, głaszcząc je i rzekło przemiłym głosem:

– Podnieś się, palmo, podnieś się, palmo!

I drzewo podniosło się ciche i posłuszne na swoim giętkim pniu, podczas gdy liście grały niby harfy.

– Teraz rozumiem, komu grają śmiertelną melodię – rzekła stara palma do siebie, gdy już znowu stała wyprostowana. – Nie tym ludziom one grają.

Mężczyzna zaś i kobieta klęczeli, wielbiąc Pana.

– Ujrzałeś trwogę naszą i odjąłeś ją od nas. Ty Mocarzu, który pień palmy gnie jak trzcinę chwiejącą. Jeśli moc Twoja z nami, przed jakimże wrogiem drzeć możemy?

Kiedy następna karawana ciągnęła przez pustynię, ujrzeni podróżni, że korona dużej palmy uschła.

– Jakże to być może – rzekł jeden z wędrowców – wszakże ta palma miała trwać tak długo, póki się nie doczeka Króla większego od Salomona.

– Może się Go już doczekała – odparł drugi z podróżników.

Selma Lagerlöf

Legendy Chrystusowe, Rzym 1946, s. 58-65



Dzieciątko ubogi pielgrzym

Matka Boska, która miała właśnie wyprać w rowie koszulinę Jezusa, zobaczyła na łące dziewczeczkę, która pasła krowę. Zawołała ją i rzecze:

– Czy mogłabyś potrzymać przez chwilę Dzieciątko, bo chcę uprać tę koszulinę?

– Chętnie – odparła dziewczynka, która miała na imię Katarzyna.

Kiedy wzięła Jezusa na ręce, spostrzegła, że żadne dziecko na świecie nie mogło być tak piękne jak to, więc ucięła nożyczkami pukiel Jego włosów i ukryła na piersi.

Kiedy Matka Boska przyszła po Dzieciątko, spostrzegła, że brak Mu jednego pukla, i zapytała Katarzynę:

– Czy to ty zabrałaś Mu kosmyk włosów?

Dziewczynka zaczerwieniła się ze wstydu i mówi:

– Miał takie piękne loki, że chciałam jeden sobie wziąć. Ale jeśli chcesz, zwrócę.

– Zatrzymaj sobie.

I poszła z uśpionym umiłowanym Dzieciątkiem.

Następnego dnia Katarzyna wróciła na łąkę z krową i przez cały czas oczekiwała, że znowu ukaże się piękna Pani z Dzieciątkiem na ręku. Ale zamiast Niej przybył anioł i rzecze:

– Widziałaś gdzieś w pobliżu Pana i Matkę Boską?

– Widziałam wczoraj jedną Panią z dzieckiem. Pani robiła pranie, a dziecko spało. Spójrz, nawet zostawiło mi swój pukiel.

Anioł wziął pukiel włosów i mówi:

– To Jego włosy! – I odszedł. Katarzynie zaparło dech w piersi.

– Miałam w ramionach samego Pana – mówiła sobie – a nie poznałam Go!

Innego dnia Katarzyna była przy studni i nabierała wodę, kiedy zobaczyła, że zbliża się do niej pielgrzym, któremu chciało się pić. Ubrany był w czerwony płaszcz i podpierał się ukwieconym kijem.

– Dasz mi się napić, Katarzyno?

– Napij się – i podała mu wiadro. – Skąd znasz moje imię, jakbyśmy się już kiedyś spotkali?

Cudzoziemiec przytknął wargi do brzegu wiadra i pił długimi łykami, ale na pytanie nie odpowiedział. Kiedy ugasił pragnienie, rzekł:

– Do widzenia.

I już miał odejść, ale Katarzyna spytała jeszcze:

– Czy dasz mi jeden kwiat z tej pięknej gałęzi?

– Z chęcią.

Dał jej kwiat i szybkim krokiem ruszył dalej. Chwilę później zjawił się anioł i widząc Katarzynę, zapytał:

– Czy widziałaś przechodzącego tędy Pana?

– Widziałam cudzoziemca, który miał pragnienie, i dałam Mu pić. Spójrz, zostawił mi nawet kwiat ze swojego kija.

Anioł spojrzał na kwiat i mówi:

– Tak, to był właśnie On!

Katarzyna skamieniała.

– Dałam pić Panu – rzekła sobie – i nie poznałam Go!

Pewnego razu Katarzyna piekła chleb, kiedy usłyszała, że za jej plecami przechodzi jakiś nieznajomy. Obejrzała się i ujrzała biedaka, tak obszarpanego, że wyglądał, jak-

by okrywały Go wszystkie nędzy świata. Oczywiście był głodny i Katarzyna powiedziała mu:

– Skończę piec te chleby, to dam Ci jeden. Na razie usiądź sobie.

Kiedy wyjęła chleby z pieca, wzięła jedną bułkę i wtknęła ją w ręce biedaka, który zaczął jeść, okazując ogromną radość.

– Dziękuję! – rzekł z pełnymi ustami.

A zanim sobie poszedł, zebrał okruszki i włożył je Katarzynie do dłoni, powiadając:

– Mogę dać ci jedynie okruszki twojego miłosierdzia. Wystarczy ich dla ptaków.

Poszedł sobie i wkrótce potem pojawił się anioł, który widząc Katarzynę, zapytał:

– Czy widziałaś przechodzącego tędy Pana?

– Widziałam nędzarza biedniejszego niż cała nędza świata i był głodny. Dałam mu chleba, a on w zamian zostawił mi te okruszki.

Anioł spojrzał na okruszki i musiał ujrzyć wielki blask, gdyż podniósł dłonie do oczu i rzekł:

– Był to właśnie Pan!

Katarzyna wybuchnęła wtedy płaczem i wszyscy w domu chcieli wiedzieć, skąd te łzy.

Oto czemu jeśli jakieś dziecko, cudzoziemiec, ubogi proszą o coś, nigdy nie są odsyłani z pustymi rękami. W każdym z nich wszyscy ludzie widzą Pana.

Renzo Pezzani

Educare alla bontà, Scuola 1958, s. 190-192



Święty Eligiusz kowal

Pan Bóg, nasz Ojciec, był pewnego dnia w raju bardzo zamyślony. Jezus zapytał:

– Co Cię trapi, Ojcze?

– Zaprzęta Mnie – odparł Bóg – pewna myśl... No właśnie, spójrz tam w dół.

– Gdzie?

– Tam, w stronę Limousin, prosto, jak mój palec. Czy widzisz w tamtej wiosce, blisko przedmieścia piękną i obszerną kuźnię?

– Widzę, a jakże.

– Otóż, mój Synu, rzecz w tym, że mieszka tam pewien człeczyna, którego chciałbym zbawić. Nazywa się Eligiusz. To zacny człek, pilnie przestrzega moich przykazań, jest miłosierny wobec biedaków, usłużny dla wszystkich, pracuje od rana do wieczora, nikogo nie obmawia, nigdy nie bluźni... Tak, wydaje mi się godny tego, by zostać wielkim świętym.

– A co mu przeszkadza? – zapytał Jezus.

– Jego pycha, mój umiłowany Synu. Jest nader zręcznym rzemieślnikiem, trudno o takiego, ale uważa, że nikt na całym świecie nie może mu dorównać. A jak sam wiesz, gdy ktoś zadziera nosa, nie dla niego niebiososa.

– Ojcze mój – odezwał się Jezus – jeśli tylko pozwolisz mi zstąpić na ziemię, zrobię, co się da, żeby go nawrócić.

– Pójdź więc, najmiłszy Synu.

I Jezus zstąpił na ziemię. Ubrany jak czeladnik kowalski, z tobołkiem na ramieniu, Boski rzemieślnik idzie sobie ulicą, przy której mieszka mistrz Eligiusz. Na drzwiach kuźni był szyld z napisem: Eligiusz kował, mistrz nad mistrze, dwakroć rozżarzając, wykuwa podkowę. Mały czeladnik staje na progu i uchylając kapelusza, powiada:

– Dobry dzień tobie, mistrzu, i całej kompanii. Gdybyś potrzebował przypadkiem pomocnika...

– Na razie nie jest mi potrzebny – odpowiada Eligiusz.

– No to do widzenia, mistrzu, może innym razem.

I Jezus idzie dalej. Na drodze stała grupa ludzi, którzy gawędzili sobie o tym i tamtym, i mówi im:

– Nigdy bym nie uwierzył, że w kuźni, gdzie jak się wydaje, powinno być roboty co niemiara, niepotrzebna moja biegłość.

– Posłuchaj no, chłopcze – mówi mu jeden z mężczyzn – jak pozdrowiłeś mistrza Eligiusza, wchodząc?

– Powiedziałem jak wszyscy: „Dzień dobry, mistrzu, i całej kompanii”.

– Otóż to! Nie tak winieneś rzecz... Trzeba było nazwać go mistrzem nad mistrzami... Widzisz, co jest napisane na szyldzie?

– Słusznie – rzecze Jezus. – Spróbuję jeszcze raz. Wrócił do kuźni.

– Panie Boże, dopomóż, mistrzu nad mistrzami! Zdałby ci się czeladnik?

– Wejdźże, wejdźże, proszę – odparł Eligiusz. – Pomyślałem właśnie, że i dla ciebie znalazłaby się robota. Lecz raz na zawsze zapamiętaj, co ci rzeknę: Kiedy mnie pozdrawiasz, musisz nazywać mnie mistrzem nad mistrzami, gdyż nie chcę się chełpić, ale ludzi jak ja, którzy kuja podkowę, dwakroć ją rozżarzając, w Limousin się nie znajdzie.

– Phi – powiada na to chłopak – w moich stronach kujemy podkowę raz jeno rozżarzoną.

– Tylko raz? Zamilcz, chłystku, i nie powiadaj mi bajek...

Jezus wziął kawał żelaza, rzucił go w ogień, zaczął dąć w miech, podsycił ogień z węgla drzewnego, a kiedy żelazo stało się czerwone, rozżarzone, sięgnął po nie ręką.

– Ach, nieszczęsny głupcze! – krzyknął ktoś z obecnych. – Chcesz poparzyć sobie rękę.

– Nie bójcie się – odpowiada Jezus – dzięki Bogu, w naszych stronach nie potrzebujemy cęgów.

I mały robotnik chwyta dłonią rozpalone żelazo, kładzie na kowadło i swoim młotem, bim, bam, bimbambim, bambimbam, w jednym mgnieniu oka wydłuża je, spłaszcza, zakrzywia i wykańcza podkowę tak dobrze, że wygląda jak wypolerowana.

– Co tam! Także ja mógłbym tak zrobić, gdybym tylko chciał – zapewnia mistrz Eligiusz.

Rzeczywiście, bierze kawał żelaza rzuca w ogień, dmie w miech, podsyci węgle i kiedy żelazo jest czerwone, chce wziąć je do ręki i położyć na kowadle... Ale poparzył sobie palce. Próbuje sięgnąć szybko, wytrzymać ból, ale musi rozluźnić chwyt i biec po cęgi. W tym czasie żelazo na kowadle wystygło i bim, bam, tryska z niego trochę iskier, a jakże... Ale biedny mistrz Eligiusz daremnie zwija się jak może, wali młotem, daremnie mozoli się. Nie może skończyć pracy przy jednym tylko rozżarzeniu.

– Cicho – mówi czeladnik – wydaje mi się, że słyszę tętent konia.

Mistrz Eligiusz wybiega na próg kuźni i widzi wspianego rycerza, który zatrzymuje się przed kuźnią.

Musicie wiedzieć, że tym rycerzem był święty Marcin.

– Przybywam z daleka – powiada rycerz – mój koń zgubił dwie podkowy i pilno mi znaleźć kowala.

Na to mistrz Eligiusz, który odzyskał pewność siebie:

– Doprawdy, panie, nie mogłeś lepiej trafić. Jesteś przed kuźnią najbieglejszego kowala w Limousin i Francji, który może uważać się za mistrza nad mistrzami,

kuje bowiem podkowę na dwa rozżarzenia... Chłopcze, podtrzymaj no nogę.

– Podtrzymać nogę! – woła Jezus. – W naszych stonach to niepotrzebne.

– Tego już za wiele! – wykrzykuje mistrz Eligiusz. – A jakże to podkuwacie konia, nie trzymając go za nogę?

– Mój Boże, nic łatwiejszego! Popatrz tylko!

I oto chłopczyna chwyta żelaza, podchodzi do konia i ciach, ucina mu nogę. Niesie nogę do kuźni, zaciska w imadle. Wygładza pięknie kopyto, przykłada nową podkowę, którą dopiero co wykuł, bierze młot i wbija ćwieki. Potem rozwiera imadło, idzie z nogą do konia, spluwa na nią, przykłada na miejsce i kiedy robi znak krzyża i wzywa Boga: „Boże mój, niechaj krew znów popłynie”, oto noga jest na swoim miejscu, okuta, mocna i jakby nic się nie stało.

Pierwszy czeladnik wybałusza oczy. A mistrz Eligiusz i inni czują, że zaczyna spływać po nich zimny pot.

– A niech to – mówi wreszcie – mnie też musi się udać.

Eligiusz przystępuje do dzieła. Uzbrojony w żelaza zbliża się do konia i ciach, ucina mu nogę. Niesie do kuźni, zaciska w imadle i okuwa ją tak samo, jak chłopczyna. Potem, i tu dopiero zaczyna się kłopot, podchodzi znowu do konia, spluwa na kopyto, przykłada tak i siak... Ale niestety, ślina nie trzyma. Płynie krew i kopyto spada na ziemię. Wtedy harda dusza mistrza Eligiusza doznaje objawienia. Chce rzucić się do nóg chłopczkowi, więc wraca do kuźni, ale chłopczyna już zniknął, zniknął też koń i rycerz. Łzy napływają do oczu mistrza Eligiusza, ponieważ poznał, że ponad nim, zwykłym człowiekiem, jest Mistrz, któremu nikt nie dorówna. Zdjął skórzany fartuch, wyszedł z kuźni i ruszył przez świat, by głosić słowo Pana naszego Jezusa.

Federico Mistral

Leggende cristiane, Milano 1963, s. 413-416

Jezus i łotr

Legenda sycylijska

Pewnego razu Jezus wraz z apostołami zastukał do domu ubogich małżonków. Poprosił o coś do zjedzenia dla siebie i dla apostołów i wszyscy zasiedli za stołem.

Kiedy zjedli wieczerzę, Jezus dobył sakiewkę pełną złotych monet, zapłacił za siebie i za swoich towarzyszy i wyszli.

Jak tylko Jezus z apostołami opuścili dom, rzecze mąż do żony:

– Widziałas sakiewkę ze złotem, jaką miał Ten, który za wszystkich płacił? Pobiegnę i obrabuję Go.

Wyszedł i ruszył biegiem, tak że żona nawet nie zdążyła go powstrzymać.

Jezus szedł z apostołami powoli, a łotr biegł; ale jeszcze ich nie dogonił.

Apostołowie ujrzeli, że goni ich okropnie zadyszany mężczyzna i powiedzieli Jezusowi:

– Mistrzu, człek, który ugościł nas w swoim domu, biegnie za nami. Poczekajmy, dowiemy się, czego chce.

Ale Jezus, który wszystko wie i wszystko widzi, rzekł:

– Niechaj ten osioł wraca do swojego domu!

Nie skończył jeszcze mówić, kiedy łotr z człowieka stał się osłem, brzydkim i wyliniałym. Zawrócił i podwinawszy ogon, ruszył w stronę swego domu.

W tym czasie żona trapiła się, gdyż była coraz późniejsza noc, a mąż nie wracał.

Czeka, czeka, aż w końcu słyszy stukanie do drzwi.

Biegnie, otwiera i co widzi? Zamiast męża ma przed oczyma brzydkiego i wyliniałego osiołka, który siłą chce dostać się do domu. Niewiasta łapie za kij i zaczyna walić osła po grzbiecie. Ale cóż to, niegodziwe zwierzę nie chce odejść, a nawet kopie i gryzie, by utorować sobie drogę, a wreszcie wdziera się do środka i kobiecina ani rusz nie może go stamtąd wygonić.

Biedaczce wydawało się, że ta noc trwa bez końca. Kiedy wstał świt, pobiegła do spowiednika i opowiada mu wszystko, niczego nie skrywając. Spowiednik pomyślał chwilę, a potem rzecze:

– Zatrzymaj osła, niechaj pracuje, a pieniądze, które zarobi, odkładaj; kiedy pojawi się właściciel, oddasz mu i osła, i pieniądze.

Tak rzekł spowiednik i tak uczyniła kobiecina.

Osioł nie miał odtąd chwili spoczynku. Raz prowadzą go, by nosił wodę, to znów kamienie, raz węgiel, to znów drewno; latem i zimą, deszcz czy śnieg, wiatr czy słońce.

Pieniędzy trochę zarobił; ale kobiecina wszystko odłożyła, na wypadek, gdyby kiedyś zjawił się właściciel osła. Lecz nie przyszedł ani właściciel osła, ani mąż. A kobiecina czekała.

Mijały dni, mijały miesiące, mijały lata i osioł trudził się od świtu do zmierzchu, zimą i latem, deszcz czy śnieg, wiatr czy słońce; a mieszek coraz bardziej pęczniał. Najpierw było dużo soldów, potem dużo talarów, a wreszcie dużo złotych cekinów. Lecz kobiecina nie tykała ich, na wypadek, gdyby pojawił się właściciel osła. Nie pojawiał się jednak ani właściciel osła, ani mąż. A kobiecina czekała.

Minęły dni, minęły miesiące, minęły lata i oto do tego domu przybywa Jezus z apostołami.

Stukają do drzwi i proszą o coś do zjedzenia. Kobięcina wielce zadowolona zaprasza ich do środka, prosi, by usiedli, i podaje wieczerzę.

Kiedy usługiwała, serce jej drżało. I mówiła sobie: „Może teraz dowiem się czegoś o moim mężu”. I kiedy Jezus i apostołowie jedli, kobiecina wzdychała.

Święty Piotr zapytał:

– Cóż leży ci na sercu, że tak wzdychasz?

I kobiecina opowiedziała wszystko, niczego nie skrywając. Jak to osioł wszedł do jej domu i co powiedział jej spowiednik, i że kazała osłu pracować bez chwili spoczynku, zimą i latem, deszcz czy słońce, wiatr czy śnieg, i jak odłożyła pękaty mieszek złotych cekinów.

– Dobrze – rzecze Jezus – niech osioł stanie się na powrót człowiekiem i zatrzyma sobie złote cekiny, gdyż naprawdę je zarobił.

Wielkie zdumienie apostołów i wielka radość kobieciny i męża, który stał się na powrót człowiekiem, a w dodatku prawie bogaczem. Padł na kolana przed Jezusem, ucałował Jego dłonie i skąpał się łzami, które lały mu się bez końca.

A Jezus położył mu na głowie swoją świętą dłoń i rzecze:

– Pracuj nadal, mój synu, lecz zawsze pracuj uczciwie.

Leggende cristiane, Milano 1963, s. 345-347



Podpłomyk Jezusa Chrystusa

Legenda piemoncka

Kiedy Jezus Chrystus chodził z apostołami po świecie, pewnego dnia spotkał żebraka, który poprosił Go o jałmużnę, a Odkupiciel rozkazał Piotrowi, by dał mu kawałek podpłomyka. Ledwie biedaczysko zrobił kilka kroków, Pan zawołał go i rzekł:

- Powiedz no mi, co uczynisz z tym podpłomykiem?
- Mistrzu – odrzekł biedak – zjem połowę dziś, a połowę jutro.

Jezus Chrystus kazał Piotrowi odebrać podpłomyk biedakowi, który poszedł sobie, zdumiony i niezadowolony z takiego postępowania. Wkrótce potem spotkali innego żebraka, który też poprosił o jałmużnę i dostał podpłomyk. I Odkupiciel także jego zapytał, co uczyni z tym darem od Boga, a biedak odrzekł:

- Mistrzu, zjem go zaraz.
- A co będzie jutro?
- O jutro zatroszczy się Bóg.

Jezus Chrystus, błogosławiąc go, dodał:

- I Bóg będzie zawsze troszczył się o ciebie i o wszystkich tych, którzy Mu ufają.

Grzyby

Było to owego czasu, gdy jeszcze Pan Jezus chodził po niskości tej ziemi.

Szedł sobie raz Pan Jezus ze świętym Piotrem tym szerokim gościńcem od Limanowej ku Porębie, a było to ku końcowi czerwca, gdy ludzie po łąkach koszą siano.

Przysiedli dla odpoczynku na polnym kamieniu. Obok nich pod wierzbą przydrożną leżał kosiarz. Odpoczywał w chłodnym cieniu, a dobywszy z węzełka kawał chleba i sera – pożywał go.

Ujrzał to święty Piotr i powiada do Pana Jezusa:

– Panie, godzi się to chleb pożywać leżący? Widzi mi się, że ten człowiek grzeszy.

A Pan Jezus na to:

– Weź kosę i przez ten czas, co chłop odpoczywa, koś za niego trawę.

Ano, nie ma rady, święty Piotr, choć postępując, wziął kosę i zaczął trawę kosić. A trawy była gęszczyna, że trudno ją było kosą przejąć.

Położył jeden pokos od rowu do rowu i przystanął. Pot rękawem ociera, a ku Panu Jezusowi spoziera.

– Koś dalej! – rzekł Pan Jezus.

Nawrócił święty Piotr i drugi pokos kładzie. A że słońce okrutnie prażyło, to nim do połowy drugiego pokosu doszedł, już się nogi pod nim uginały, a pot tak mu oczy zalał, że mało co światu widział.

Ulitował się nad nim Pan Jezus i skinął ręką, że dość będzie tej roboty.

Przyszedł święty Piotr ku Panu swemu, padł jak kłoda na ziemię i mówi:

– O, Panie, ciężka to praca. Niecałe dwa pokosy tylko położyłem, a ledwo żyję.

A Pan Jezus na to:

– Czy nie wart ten człowiek, by leżący jadł? Powiadam ci, Piotrze, wart on więcej jeszcze, wart, by mu ten chleb do ust kładli.

Odpocząwszy trochę, Pan Jezus wstał i szedł gościńcem dalej, a święty Piotr też się jako mógł zebrał i podążył za Nim.

A gdy przechodził koło odpoczywającego kosiarza, ten ułamał kawałek placka owsianego i dał mu za pomoc w robocie.

Schował święty Piotr placek w zanadrze i poszedł.

Idą – idą... idą – idą... aż weszli w chłód leśny i szli miękką ścieżyną wśród młodego gaju. Ptasząt tu było co niemiara: te po gałązkach uwijają się, te z drzewa na drzewo furkają, aż powietrze drży a dzwoni.

Tak święty Piotr myśli:

– E, zasłuchał się Pan Jezus w tych ptaszęcych śpiewach, na mnie nie bacz, to se placka podjem.

Ale Pan Jezus nie chciał, by towarzysz Jego splamił się brzydkim czynem, jako że obaj jednako byli głodni, a Piotr chciał w skrytości zjeść sam swój chleb.

Tak pyta Pan:

– Pietrze, a co masz w ręku?

Święty Piotr co prędzej świeżo odłamany kęs rzucił i powiada:

– Nic nie mam, Panie.

Ano dobrze. Idą dalej.

Wyszli na polanę szeroką. Słońce tu tego prażyło. Rozgrzana żywica sączyła się kroplami po pniach sosen

i pachniała, aż do głowy biło. A znów to kwiecie: miodunki i storczyki leśnie wonią swą powietrze napełniały, aż się w rozumie ćmiło od tych zapachów.

Tak święty Piotr myśli:

– E, zalubował się Pan w tych woniach leśnych, na mnie nie baczy, to se placka podjem.

Sięgnął w zanadrze i kawałek placka odłamał. A Pan Jezus, nie obróciwszy głowy, pyta:

– Pietrze, a co masz w ręku?

Święty Piotr kęs placka rzucił i powiada:

– Nic nie mam, Panie.

I znów poszli dalej. Wstąpili w bór głuszy, między starodrzewie prawieczne. Tu jodły, jak niedźwiedzie kudłami, tak mchem obrosłe, tu dęby na stu korzeniach supłatych rozparte, tu sosny tak wybująe, że wierzchołka ich nie dojrzeć, tu buki gęstoliste, aż noc ciemna pod nimi stoi.

Oj, bór ci to, bór nieschodzony, nieprzejrzany.

Tak święty Piotr myśli:

– E, zapatrzył się Pan na te wielkodęby, na te starojodły, aż głową z podziwu chwieje! Na mnie nie baczy, to se placka podjem.

I do placka sięgnął.

Ale, nim minęła chwila, Pan Jezus pyta:

– Pietrze, a co masz w ręku?

I znów święty Piotr rzucił co prędzej odłamany kawałek chleba i powiada:

– Nic nie mam, Panie.

Tak Pan Jezus obrócił się ku niemu i mówi:

– Chciałeś w skrytości przede Mną pożywać dostanego placka. Godziż się to? Czyż Ja nie dzielę się z tobą każdą okruszyną?

Święty Piotr stał okrutnie zawstydzony, a Pan Jezus mówił dalej:

– By zaś wyrzeczenie twoje nie poszło na marne, z kawałków owych placków wyrosną grzyby i rozsieją się po lasach ludziom w czas głodu na pożywienie.

I odtąd to w lasach po całej Polsce pełno grzybów rośnie. W zagajnikach: koźlaki, maślacze i kurki. Na polanach: rydze i te przeróżne bełdki. W głuchych borach: borowiki, chrząszcze, muchomory. A najwięcej ich rośnie wpodłuż leśnych ścieżek. I zaczynają się grzyby zawsze po 29 czerwca, a naród mówi, że „święty Piotr grzyby sieje”.

Janina Porazińska

„Niepokalana” 1985 nr 7-8 s.178-179



Jezus i wyśmiani skąpcy

Legenda nawaryjska

Jezus i święty Piotr zstąpili na ziemię i wędrowali z kraju do kraju. Pewnego dnia, wzruszeni gościna, jakieś udzielili im wieśniacy, chcieli swoich gospodarzy wynagrodzić.

- Jaką pracę macie na jutro?
- Zrobimy małą przepierkę.
- Dobrze – rzekł Jezus. – Niechaj wasza przepierka trwa od rana do wieczora.

Roześmiali się, niedowierzający i rozbawieni.

- Jakże może to być? Jesteśmy biedakami; mamy tylko cztery ścierki i trochę płótna. Nasze pranie nie potrwa długo.

Jezus powtórzył:

- Wasze pranie potrwa od rana do wieczora; spełni się moje słowo.

I oddalił się wraz z Piotrem. Następnego dnia rano kobiety z tego gospodarstwa wrzuciły swoją ubogą bieliznę do wielkiej kadzi, namydliły, wypłukały, a potem zaczęły ją wyciągać; ale im dłużej wyciągały, tym więcej bielizny było. Pracowały cały dzień, a wieczorem stos bielizny był wielki jak góra; pieluszki i prześcieradełka dla dzieci, koszule i całe ubrania, bielizna z najdelikatniejszego płótna, a było tego tyle, że nawet nie wiedziały, gdzie rozwiesić całe to dobro, które zawdzięczały łasce

Bożej. Przybiegli zdumieni sąsiedzi, żeby zapytać, co też się stało.

Nie potrafili sobie tego wyjaśnić nawet mieszkańcy owej zagrody, ale w końcu pojęli, że ich gościem poprzedniego dnia był Jezus i że Jemu właśnie winni dziękować za te dary.

Wśród sąsiadów, którzy przyszli z ciekawości, byli wieśniacy równie biedni, ale przy tym chciwi i samolubni. W następnych dniach baczyli pilnie na drogę przed swoim polem i kiedy zobaczyli Jezusa i świętego Piotra, wybiegli im naprzeciw i błagali, by przyjęli gościnę w ich domu.

Jezus przystał na to, a gdy przyszła chwila pożegnania, zapytał:

– Jaką pracę macie na jutro?

– Musimy przeliczyć nasze oszczędności; jest tego niewiele i uporamy się szybko – odpowiedzieli spryciarze, bo z góry ułożyli sobie plan.

A Jezus rzekł:

– Dobrze. Pierwsza praca, jaką zaczniecie rano, potrwa do wieczora.

Tamci dalej odgrywali komedię.

– To niemożliwe! Jesteśmy biedakami, szybko przeliczymy nasze liche pieniądze.

Jezus powtórzył:

– Pierwsza praca, jaką zaczniecie rano, potrwa do wieczora. Moje słowo się spełni. – I odszedł wraz ze świętym Piotrem, zostawiając swoich gospodarzy rozradowanych.

– Mamy głowy na karku! Co tam bielizna! Jakże pomnożą się nasze cztery pieniążki. Staną się milionami...

Ale ponieważ chciwości towarzyszy zawsze nieufność, następnego ranka, zanim zasiedli do liczenia pieniędzy, pomyśleli o środkach ostrożności, by nic nie doszło do sąsiadów. Zaczęli zamykać drzwi i okiennice, rozwieszać

zasłony, a wreszcie zatykać szpary i szczeliny żywicą i pakułami.

Jezus powiedział: „Pierwsza praca, jaką zaczniecie rano, potrwa do wieczora”. I tak się stało. Wieczorem nieszczęśnicy nadal jeszcze łamali sobie głowy nad nowymi środkami ostrożności; a ich monety zmieniły się w tym czasie w zeschnięte liście.

Leggende cristiane, Milano 1963, s. 339-340



Święty Piotr i dwóch woźniców

Legenda baskijska

Jezus i święty Piotr zobaczyli pewnego dnia człowieka, któremu wóz przewrócił się, wysypując cały ładunek na pobocze drogi. Wóz był ciężki, droga wąska i przylegająca do głębokiego parowu, więc człek ów, widząc, że nie da go rady podnieść, ukląkł na środku.

– Dobry Boże – polecał się Bogu – który pomagasz wszystkim biedakom i nieszczęśnikom, wesprzyj i mnie. Zostałem tu, jak widzisz, sam z wywróconym wozem, z dala od miasta. Nie ma nikogo, kto by mi pomógł. Panie, czymże dla Ciebie jest uczynić cud! Postaw więc siłą swoich Boskich rąk mój wóz, a będę Cię zawsze wielbił!

Jezus wyminął go i nie raczył nawet w tamtą stronę spojrzeć; poszedł z Piotrem swoją drogą.

Nie było to zgoła umyślne, ale kilka mil dalej inny wóz załadowany kapustą przewrócił się na wąskiej drodze prowadzącej na targ. Doprawdy musiała to być najbardziej kamienista i najmniej wygodna droga na tym świecie, skoro tylu woźniców wpadło na niej w tarapaty. Jednak tutaj scena była inna.

Ogrodnik krzątał się wokół swego wozu, to dźwigał go z jednej strony, to ciągnął z drugiej i trudził się, ile siły, zrozpaczony, że nie może wozu ustawić. Oblany

potem, z żyłami nabrzmiałymi od wysiłku, ramionami podrapanymi, mężczyzna złorzeczył na przeklęty wóz, który nie poruszył się ani o pięść i leżał kołami do góry wraz z ładunkiem kapusty.

Tym razem Pan nasz przystanął, by przyjrzeć się wieśniakowi czerwonemu jak rak, gdyż zmęczył go daremny wysiłek, i rzekł:

– Chodź, Piotrze. Musimy mu pomóc.

– Jakże to, Jezu? – zapytał osłupiały Piotr. – Dopiero co nie ruszyliśmy nawet palcem, by pomóc tamtemu biednemu woźnicy, choć z taką wiarą prosił Cię na kolanach, a oto chcesz pomóc temu gburowi, który wścieka się i wrzeszczy jak opętany?

Na to Pan:

– Różnica, Piotrze, na tym właśnie polega, że tamten zadowalał się klepaniem modlitwy i czekaniem na pomoc od Boga, a ten, którego ty ganisz, robi, co w jego mocy, by wydobyć się z opałów. Pomóżmy mu, mój staruszk, zasłużył sobie na to. I nie potrząsaj tak głową, gdyż nie masz zbyt jasnego wyobrażenia o sprawiedliwości.

Leggende cristiane, Milano 1963, s. 335-336



Wątpliwości świętego Piotra

Legenda hiszpańska

Pewnego razu Jezus i Piotr dotarli w swojej wędrówce do jednego gospodarstwa w Katalonii, wznoszącego się wśród drzew uginających się pod ciężarem złocistych owoców, które właśnie mieli zbierać wieśniak, jego żona i ich syn.

Było upalnie i święty Piotr powiedział:

– Mistrzu, upieczemy się żywcem! Nie mogę się nawet odważyć na zdjęcie kapelusza, by otrzeć pot. Niewiele zostało mi włosów na głowie i mógłbym dostać porażenia słonecznego.

– Jeszcze trochę cierpliwości, mój poczciwy Piotrze, zaraz odpoczniemy w tym gospodarstwie i parę łyków zimnej wody przywróci nam siły, gdyż Ja też umieram z pragnienia.

Tak więc Jezus i święty Piotr dotarli w końcu do gospodarstwa i usiedli w cieniu czereśni. Wieśniacy, widząc obcych, przybiegli, by ich przywitać. Było to małżeństwo i czternastoletni syn, nader bystry i mocny.

– Wejdźcie i odpocznijcie chwilę – powiedziała wieśniaczka. – Dam wam coś do picia. – I po chwili przyniosła zimną wodę z cukrem.

– Widzi mi się – powiedział święty Piotr – że w tym roku zbiór jest dobry.

– Bardzo dobry, dzięki Bogu, który był łaskawy dla naszych pól – odpowiedziała wieśniaczka.

– Macie więc w spichrzu zboża na cały rok – zauważył święty Piotr.

– Nawet jeszcze więcej, gdybyśmy go nie sprzedawali. Ale cały zbiór zawieziemy na targ, gdyż chcemy, by za te pieniądze nasz chłopak wykształcił się choć trochę.

– A co będziecie jeść?

– Wystarczy nam kukurydza, która tego roku też dobrze obrodziła.

Zanim wyruszyli dalej, wieśniaczka poprosiła, żeby poczekali, to chłopak nazrywa trochę czereśni. Będą mogli posilać się w drodze. Nazbierał ich pełną chustę, a były naprawdę wyśmienite. Dwaj wędrowcy spożywali je, wspinając się na wzgórze.

– Zda mi się, że to ludzie poczciwi i dobrzy chrześcijanie – rzekł Piotr.

– Z pewnością, synu – odparł Jezus – lecz pospieszmy się, gdyż ta chmura nadciągająca z zachodu jest brzemienią burzą i dogoni nas, zanim znajdziemy schronienie, jeśli będziemy marudzić.

Kiedy dotarli do szałasów na szczycie wzgórza, burza szalała już nad gospodarstwem, gdzie tak dobrze ich przyjęto. Potem niebo rozpogodziło się i wyruszyli dalej, ale jeszcze przedtem Piotr spojrzał na gospodarstwo i wydał okrzyk zdumienia. Grad zniszczył pole kukurydzy i żyta, i stracił owoce z drzew. Również Jezus dostrzegł zniszczenia, ale nie powiedział ani słowa. Chmura smutku okryła wówczas twarz świętego Piotra.

– Cóż się stało, mój poczciwy Piotrze? – spytał Mistrz.

– Mistrzu, czyż nie zgodziłeś się ze mną, że ci ludzie tam w dole są zacnymi chrześcijanami?

– Ależ tak, Piotrze, to poczciwi ludzie.

– Czemu zatem?...

– Mój drogi, dlaczegoż to poddajesz w wątpliwość mądrość i sprawiedliwość mojego Ojca? – zapytał Jezus z uśmiechem.

– Mistrzu, prosz, żeby mi wybaczył! – wykrzyknął wówczas Piotr z płaczem, albowiem kiedy Jezus do niego mówił, światło Boże oświeciło jego umysł i wszystkie wątpliwości ulotniły się.

– Piotrze, Ojciec mój powiedział: „Błogosławieni ubodzy w duchu” – rzekł Jezus. I nie dodał już ani słowa. Poszli dalej i zaczęli mówić o czym innym.

W swojej wędrówce Jezus i święty Piotr dotarli do jednego pustelnika, który mieszkał wśród strasznej pustyni. Wilki wyły tam niby potępione dusze.

– Mistrzu – oznajmił święty Piotr – nie pójdę dalej, choćby miano mnie zabić!

– Czemuż to, Piotrze? Także wilki wyją tylko wtedy, gdy mają na to pozwolenie od Boga.

– Zgoda, Panie, lecz wolałbym, żeby nie pożarły moich trzewi!

– Nie lękaj się – uspokoił go Jezus – żyje tu wszak święty pustelnik i da nam jakiś kąs na noc.

Jezus i święty Piotr odnaleźli pustelnika, który okazał wielką miłość bliźniego i dał im chleb, orzechy i zimną wodę w złotym pucharze wysadzonym diamentami, co wprowadziło w osłupienie Piotra. Pustelnik spostrzegł to i pospieszył zaspokoić ciekawość swojego gościa.

– Z pewnością – rzekł – dziwujecie się, widząc, że pokorny sługa Boży, przywykły żywić się ziołami i korzonkami, ma taką drogocenną rzecz.

– Oczywiście, że się dziwuję! – wykrzyknął święty Piotr.

– Musicie więc wiedzieć, że byłem niegdyś bardzo bogaty i od dzieciństwa nawykłem rzucać pieniędzmi na prawo i lewo. Potem Bóg przemówił do mego serca i po-

stanowiłem wyrzec się doczesnej marności. Rozdałem biednym wszystko, co miałem, poza tym pucharem, i poszedłem na pustynię, zapominając o życiu ziemskim i bez reszty poświęcając się życiu wiecznemu.

– To, co mi powiadasz – odparł Piotr – jest nader chrześcijańskie, lecz czemu zachowałeś ten puchar, który, o ile pojmuję, wart jest mnóstwo pieniędzy?

– Gdyż jest to dar od króla i, prawdę mówiąc, nie potrafiłem zdobyć się na to, by pozbyć się rzeczy, która tyle zaszczytu mi przynosi. Cóż powiecie? Nie wydaje się wam piękny?

– Jeszcze jak! – wykrzyknął Piotr.

– A nie sądźcie, że zdobią go fałszywe kamienie! To wszystko klejnoty najczystszej wody i każdy z nich wart jest majątek!

Kiedy nadeszła pora, pustelnik przygotował wygodne posłanie z wonnego siana i Jezus oraz święty Piotr zaraz ułożyli się do snu, gdy tymczasem on sam wyszedł, by modlić się do Boga wśród nocnego chłodu.

Kiedy wstali, zobaczyli, że pustelnik przygotował już dla nich chleb, orzechy i zimną wodę w sławetnym pucharze.

– Jedzcie do syta – rzeki – ja zaś muszę was opuścić, gdyż czekają mnie modlitwy. Oby Bóg dał wam dobrą drogę i sprawił, byśmy mogli spotkać się w chwale niebieskiej, jeśli nie zobaczymy się już na tej ziemi!

Jezus i święty Piotr podziękowali mu za wszystko i pozwolili, by odszedł do swoich spraw, a sami, najadłszy się do syta, wyruszyli dalej.

– Zda mi się, Mistrzu – zauważył po jakimś czasie Piotr – że ten pustelnik jest naprawdę mężem Bożym.

– Powiedziałem ci wszak, że to człek święty – odparł Jezus.

Po chlebie i orzechach na śniadanie wędrowcy poczuli wielkie pragnienie. Długo musieli szukać, ale wreszcie

znaleźli źródło u stóp drzewa. Jednak żeby się napić, trzeba było położyć się na ziemi. Święty Piotr już miał to właśnie uczynić, ale Boski Mistrz powstrzymał go, mówiąc:

– Poczekaj, mam przy sobie coś, co pozwoli uniknąć tych niewygód. – I ku wielkiemu zdumieniu Piotra wydobyl z sakwy cenny puchar pustelnika.

– Mistrzu... – wymamrotał apostoł, wybałuszając oczy – co za diabeł Cię podkusił?...

– Pij, umiłowany Piotrze – rzekł niewzruszony Pan. Napili się obaj, a potem Jezus włożył z powrotem puchar do sakwy i ruszyli dalej. Wszelako święty Piotr czuł się jakoś nieswojo z powodu zasmucenia.

– Przyjacielu mój – powiedział wtedy do niego Pan – czemuż to znowu się zasmuciłeś?

– Mistrzu – odpowiada Piotr – czy jesteś pewny, że Twój Ojciec zgadza się z tym, coś uczynił?

– Oczywiście. Ale ty – rzekł Pan z powagą – nie rozumiesz, gdyż jesteś ubogi w duchu.

– Co tu ma do rzeczy ubóstwo w duchu? – wykrzyknął Piotr i aż tupnął. – Ten święty człowiek dał nam do jedzenia wszystko, co miał najlepsze, dał nam posłanie na noc, śniadanie. Potem okazuje nam ufność, pozostawiając nas samych w swoim szałasie, choć ma tam puchar, który jest prawdziwym skarbem. A my w podzięcie za to wszystko kradniemy mu tę drogocenną rzecz! Jeśli nie jest to czyn niegodziwy, niechaj Bóg rozsądzi!

– Już rozsądził.

– I pochwalił?

– W ten sposób spełniła się Jego wola, mój Piotrze.

Nagły promyk światła, który rozjaśniał umysł Piotra za każdym razem, kiedy Jezus uśmiechał się, błysnął i w tej chwili. Apostoł przelał łzę skruchy i ukojenia, a potem poszli dalej, rozmawiając o czym innym.

W swojej wędrówce Jezus i święty Piotr dotarli nad szeroką i głęboką rzekę, którą trzeba było przepłynąć w łodzi. Łódź była uciepiona u brzegu, ale nigdzie nie było śladu przewoźnika. Święty Piotr, który był wszak rybakiem, chciał sam ująć wiosła i przeprowadzić się, ale Jezus go powstrzymał.

I oto wkrótce przewoźnik wyszedł z kościoła na wzgórze. Był tak zasmucony i nachmurzony, że święty Piotr zaraz pomyślał, iż pewnie wraca z pogrzebu. Przewoźnik przeprosił, że musieli czekać, i przeprowadził ich na drugi brzeg, ale przedtem pokrzepił smażonym pstrągiem i dobrym winem. Kiedy znaleźli się już blisko drugiego brzegu, Jezus wyjął z kieszeni dłuto, które zawsze nosił ze sobą od czasu, kiedy pracował jako cieśla w warsztacie swojego ojca, i zrobił dziurę w dnie łodzi. Potem zakrył ją stopą, żeby nie dostała się woda do łodzi.

Dobili wreszcie do brzegu i przewoźnik nie chciał żadnego wynagrodzenia ani za posiłek, ani za przewóz. Wędrowcy wyskoczyli z łodzi i oddalili się, ale Piotr usłyszawszy krzyk, odwrócił się i zobaczył, że łódź wraz z przewoźnikiem idzie na dno.

– Mistrzu – wykrzyknął przerażony – ratujmy tego człowieka, gdyż tonie!

– Pozwólmy, by spełniła się wola Ojca – odparł Jezus.
– Po to przecież przedziurawiłem dno łodzi, kiedy byliśmy na rzece.

– To przechodzi wszelkie granice! – wykrzyknął Piotr.
– Raz jeszcze, Piotrze – rzekł wówczas surowo Jezus – muszę powtórzyć, że nie możesz pojąć tych rzeczy, gdyż jesteś ubogi w duchu.

Ale zaraz potem uśmiechnął się i wtedy tajemniczy promyk światła rozjaśnił znowu umysł apostoła, który z płaczem pochylił pomarszczone czoło, kiedy ruszał za Jezusem.

W swojej wędrówce Jezus i święty Piotr dotarli do wioski, gdzie nie znali nikogo, a zrobiło się już ciemno. Na progu jednego z domów zobaczyli mężczyznę i zapytali go, gdzie mogliby spędzić noc. Ten zaś wyglądał na nieco podchmielonego i odparł, żeby poszli spać do diabła, i dwaj wędrowcy schronili się pod portykiem pobliskiego kościoła.

Kiedy obudzili się o świcie, zobaczyli, że na progu gospody leży na ziemi jakiś człek, więc podeszli, by zobaczyć, czy umarł, czy też śpi. Był to pijak, który miał jeszcze koszulę nasączoną winem, ręce i twarz podrapane, a ubranie całe w strzępach.

– Chodźmy – powiedział święty Piotr – śpi jak zabity. Paskudną przywarą jest zamięłowanie do kieliszka. Gdybym był królem, kazałbym wsadzić do więzienia wszystkich pijaków.

– Mój Piotrze – odparł Jezus – niech pierwszy rzuci kamieniem ten, kto jest bez winy.

A potem zwracając się do śpiącego:

– Wstań, bo już dzień.

Pijak obudził się, wymamrotał słowa przeprosin i poszedł sobie którąś uliczką.

– Coś takiego! – wykrzyknął Piotr, przyjrzawszy się lepiej. – Czyż to nie ten, który wczoraj tak źle się z nami obszedł?

– Z pewnością – odpowiedział Jezus. I dogoniwszy pijaka, zatrzymał go, a Piotr patrzył na Niego takimi oczyma, jakby chciał go pożreć. Wtedy Jezus wyjął z sakwy cenny puchar, dał go pijakowi i rzekł:

– Weź ten puchar, dobry człowieku, jest wart dużo pieniędzy. Sprzedaj go i uczyni taki użytek, jaki podoba się Bogu.

Tamten wziął puchar, roztapiając się we łzach wdzięczności i zniknął w uliczce. Chmura, jaka w tym mo-

mencie okryła twarz świętego Piotra, była barwy atramentu.

– Mistrzu – wykrzyknął apostoł, nie mogąc już się powstrzymać – wydaje Ci się sprawiedliwe i mądre, by Twój Ojciec wynagrodził w ten sposób wstrętnego pijaka, który...

– Bacz, Piotrze – przerwał mu surowym głosem Jezus.
– Twoja wiara chwieje się i trzeba ją umocnić, ponieważ mój Ojciec chce zbudować na tobie dzieło na świecie największe i najtrwalsze!

I to mówiąc, wziął świętego Piotra za rękę i poszedł, by usiąść wraz z nim pod portykiem kościoła.

– Posłuchaj mnie uważnie – podjął Boski Mistrz – a przekonam cię, że nim się zaczniesz osądzać sprawiedliwość mojego Ojca, trzeba wiedzieć, jak obracają się tajemne koła przeznaczenia. Czy pamiętasz na przykład tych poczciwych wieśniaków, którym burza zniszczyła zbiory przeznaczone na opłatę za naukę syna? Chcieli, by został pisarzem, a sprowadziłby biedę i zamęt na cały kraj. Pośród nieszczęść skończyłby w więzieniu i rodzice umarliby ze zgryzoty. Ponieważ jednak rodzina straciła środki potrzebne, by zrobić karierę, chłopak zostanie uczniem jak oni wieśniakiem, a rodzice będą żyli u jego boku długo i szczęśliwie, jak i on ze swoimi dziećmi, i kiedy umrze, zasiądzie po prawicy Ojca.

Co się tyczy pustelnika, który tak szczerze nas ugościł, potrzebował jednego tylko, by stać się naprawdę świętym: wyzbyć się tej cieniutkiej nici próżności, jaka wiązała go jeszcze z ziemią. Spełniłem wolę Ojca i zerwałem tę nić, zabierając mu złoty puchar, który zachował przez niemądrą dumę, gdyż dostał go od króla. Pustelnik raduje się teraz wieczną szczęśliwością w królestwie błogosławionych.

Przewoźnik, który na naszych oczach utonął wczoraj w rzece, splamił się straszliwymi winami: wrzucił do wody wielu podróżnych, by ich obrabować, a chociaż niejeden raz skruszył się, ciągle popadał w ten sam występpek. Wczoraj natomiast był w stanie łaski, gdyż dopiero co zakończył spowiadać się ze swoich grzechów i okazał szczerą skruchę. Umarł i wstąpił prosto do nieba. Gdyby żył, grzeszyłby nadal i skończyłby w piekle.

Wreszcie człowiek, któremu dałem puchar, był niegdyś szanowanym wieśniakiem, ojcem wielu dzieci. Utracone zbiory, choroby i inne biedy sprawiły, że wziął na swoje barki ciężar długów, które były dlań nieznośną udręką. Żeby zapomnieć o swoich nieszczęściach, szalencie zaczął się upijać. Teraz za to, co uzyska ze sprzedaży pucharu, spłaci wszystkie długi, uratuje swoją rodzinę i wtedy wszyscy oni wejdą na drogę, która wiedzie prosto do nieba!

– O Panie – wykrzyknął Piotr z płaczem – proś swego Ojca, by zmiłował się nade mną!

– Mój pocziwy Piotrze – rzekł Jezus z uśmiechem – należysz do tych ubogich w duchu, których mój Ojciec nazwał błogosławionymi, gdyż wejdą do królestwa niebieskiego!

Antonio de Trueba

Leggende cristiane, Milano 1963, s. 348-353



Trzy złote monety na Boże Narodzenie

Kochani moi młodzi przyjaciele, posłuchajcie! Był wieczór. Wigilia Bożego Narodzenia. Było bardzo zimno, śnieg pokrył pobliskie pola i łąki, wiatr płakał w kominach i w drżących świerkach. W ten właśnie wieczór wigilijny mój dziadek, który miał niejedną bliznę na twarzy i cierpiał na reumatyzm, poprosił, aby ogrzano jego wielkie łóżko z ciężkimi zasłonami.

W obszernej sali stał duży, stary zegar. Właśnie wydzwaniał godzinę jedenastą, gdy byłem jeszcze przy palącym się kominku, sam jeden, zatopiony w słodkich marzeniach.

Trzymałem w ręku trzy pożółkłe, błyszczące monety, które oglądałem z niewypowiedzianą radością w świetle migającego płomienia kominka. Były to trzy złote monety.

Dał mi je właśnie dziadek, a wręczając, powiedział:

– Ubiegłego roku w tym samym czasie dałem ci zabawki. Tym razem wolę zostawić wybór tobie samemu. Pójdiesz z Piotrem do miasta i kupisz sobie, co zechcesz. Namyśl się dobrze.

Mój dziadek miał bez wątpienia jakąś ukrytą myśl. Miałem się więc namyślić i początkowo wahałem się między kupnem farmy a nabyciem pałacu... wszystko za trzy złote monety.

Potem zamierzałem kupić sobie fuzję, taką prawdziwą fuzję, którą mógłbym ustrzelić zająca lub dzikie kaczki w pobliskich moczarach. Przypomniałem jednak sobie, że już mam jedną, i pomyślałem, że może byłoby lepiej kupić sobie trochę przyrządów do łowienia ryb. Później marzyłem o łódce, pięknej, nowej łódce, wymalowanej na zielono i żółto, którą pewnie wprowadziłbym w podziw mieszkańców pobliskiego pałacu. Na koniec wreszcie, a powinienem był pomyśleć o tym na samym początku, przypomniałem sobie księgarnię z rzędami równo poustawianych książek, oprawionych w skórę, ze złożonymi brzegami, książek, w których było tyle, tyle pięknych i ciekawych rzeczy.

Strzelba, wędka i łódka walczyły ze sobą przez moment o pierwsze miejsce z książką, lecz ostatecznie książki zwyciężyły i mój wybór byłby dokonany, gdyby...

Gdybym nagle nie zobaczył, jak jedno z pasemek ognia w kominku utworzyło mały, niebieski płomyk, który powiększał się z wolna i wkrótce objął całe ognisko i salę. Olśniony zamknąłem oczy, a kiedy je znów otworzyłem, płomień znikł, lecz na jego miejscu pojawiła się przede mną piękna, młoda dziewczyna, na której widok wydałem okrzyk podziwu.

Jeżeli chcecie wyobrazić ją sobie dokładniej, moi młodzi przyjaciele, to przypatrzcie się waszej młodszej siostrzyczce, między czternastym a szesnastym rokiem życia. Zauważcie jej oczy marzycielskie, jej nieco poważne usta, lub też przypomnijcie sobie portret waszej matki, wymalowany wtedy, gdy miała osiemnaście lat; wizerunek waszej matki, która już wówczas pewnie przeczuwała liczne swe troski i smutki, których wy byliście przyczyną; obraz waszej matki, której czoło zaczynało się lekko marszczyć jakąś dziwną melancholijną zadumą, podczas gdy usta były jeszcze świeże i śmiejące się naiwnym i radosnym uśmiechem młodości. Miała ona włosy jasne, oczy

duże, niebieskie i marzycielskie, małą różową rączkę, którą można było z radością całować przez cały dzień. Ubrana była na biało jak aniołowie w raju, a na głowie nosiła koronę splecioną z bławatków i stokrotek, roztaczających miłą woń dokoła.

Podeszła do mnie cała uśmiechnięta, dotykając zaledwie małą stopą podłogi, położyła swą białą rękę na moim ramieniu i odezwała się:

– Ja jestem czarodziejką Bożego Narodzenia i przynoszę dzieciom zabawki piękniejsze od tych, które chcą sobie kupić.

Spoglądałem na nią ze zdziwieniem.

– Ponieważ jestem czarodziejką, więc mogę wszystko wiedzieć. Widziałam twoje wahanie i przyszłam służyć ci radą. Czy chcesz pójść ze mną?

– Z radością – odrzekłem.

– Pójdziemy na pasterkę. Chodźmy.

Wziąłem płaszcz i czapkę; poszedłem za nią. Przeszliśmy bez hałasu korytarzem, doszliśmy do głównych drzwi, które otwały się bez zgrzytu, i nawet Maciek, nasz duży, czarny pies, przepuścił nas bez szczekania.

Na ziemi leżała gruba warstwa śniegu, lecz nie było zimno, gdyż czarodziejka zdawała się roztaczać wokół siebie jakieś miłe ciepło, a wiatr, na jej widok zapewne, uciszył się i schronił do czarnych lasów. Śnieg skrzypiał pod naszymi stopami, a księżyc oświeślał nam drogę.

Wioska była oddalona o jakieś pół mili. Idąc szybko, doszliśmy do pierwszych domów, ubogich chatek, pokrytych strzechą ze słomy i zbudowanych z gliny. Mieszkali w nich ubodzy robotnicy, którzy podczas lata ciężko pracowali na codzienny chleb.

– Msza jeszcze nie wyszła – rzekła do mnie czarodziejka, trzymając mnie wciąż za rękę. – Wstąpmy na chwilę do starego Jana. Widzę poprzez szpary światelko w jego izdebce.

Stary Jan był to żołnierz, który kiedyś służył pod dowództwem mego dziadka i miał tylko jedną nogę. Był bardzo biedny. Żył z pracy rąk swoich i swej córki, pięknej, dobrej i odważnej dziewczyny, którą mu jakby Bóg zesłał na pociechę i pomoc. Stary Jan plół koszyki z trzciny, którą zbierał na brzegu rzeki, i naprawiał zepsute krzesła we wsi. Córka pracowała w polu.

Weszliśmy do lepianki; czarodziejka była, oczywiście, niewidoczna dla innych, a widziałem ją tylko ja sam.

Stary Jan leżał w barłogu i skarżył się boleśnie. Zima to twarda pora dla niego. Kikut nogi bolał go niemiłosiernie, rany otwierały się i przez całe miesiące nie mógł nawet marzyć o pracy i zarabkowaniu. Już dwudziesty dzień stary Jan leżał w łóżku.

– Popatrz i namyśl się dobrze – wyszeptała mi czarodziejka do ucha.

Patrzyłem, rozglądałem się dokoła i widziałem na stole garnek z zamarznąłą wodą zamiast wina; w ognisku kilka cienkich tłących się patyków, a na półce trochę czarnego chleba. W ręce trzymałem wciąż moje trzy złote monety. Ukradkiem spojrzałem na nie w blasku ogniska. Na jednej widniała podobizna Napoleona i tę właśnie monetę położyłem na dłoni starego żołnierza, który płakał z radości i nazwał mnie swym synem.

– Pójdź – rzekła czarodziejka, prowadząc mnie za sobą. Wyszliśmy. Msza św. jeszcze się nie zaczęła. Tuż przy kościółku stała inna chata, również blado oświetlona.

– Zapukaj i wejdźmy – rzekła czarodziejka.

Była to chata Marty, wdowy, biednej kobiety, której mąż, myśliwy, zginął na polowaniu, zostawiając jej pięcioro małych dzieci, trochę pola i domek. Mieszkańcy wioski, litując się nad nią, uprawiali na zmianę jej rolę. Ubiegły rok był jednak ciężki; ziemniaki nie obrodziły, a konopie licho wzeszły.

Marta siedziała przy ledwo tłącym się ogniu, otoczona gromadką dzieci w białych, niedzielnych sukienkach i ubrankach, mających wziąć udział w pasterce. Chciwie zjadały czarną owsiankę i mnie również ofiarowały trochę. I tak jak wówczas, gdy przychodziły do zamku, aby bawić się ze mną i jeść moje bułki z masłem, tak ja teraz skosztowałem ich jedzenia.

– One nie będą miały w ogóle zabawek na Boże Narodzenie – szeptała mi czarodziejka.

Otworzyłem rękę, popatrzyłem na drugą monetę i upuściłem ją na fartuszek Róży, najmłodszej córeczki wdowy Marty.

– Chodź teraz do kościoła – mówi do mnie czarodziejka.

– Ależ ja mam jeszcze jedną złotą monetę – odrzekłem.

– Chodź, chodź – uśmiechnęła się do mnie.

Weszliśmy do kościoła. Ołtarz nakryty był najpiękniejszym i najbielszym obrusem, a na nim paliły się świece. Zamiast zaprowadzić mnie do osobnej ławki, gdzie zwykle siadałem, zawiodła mnie czarodziejka do zakrystii. Tam już ksiądz proboszcz ubierał się do Mszy św. Był to stary ksiądz, ogromnie miłosierny, opiekun biednych, ojciec sierot, podpora wdów i pocieszyciel wszystkich. On mnie ochrzcił, on uczył katechizmu i on również nauczył mnie pierwszej deklinacji łacińskiej.

– Zapytaj go – rzekła czarodziejka – dlaczego w wigilię Bożego Narodzenia ma taką wytartą i zniszczoną sutannę.

Skierowałem się w jego stronę.

– Kochany księże proboszczu – zacząłem – czyż tatuś mój nie dał w ubiegłym miesiącu trochę pieniędzy i nie powiedział: „To na nową sutannę”?

– Tak, mój mały – odpowiedział naiwnie proboszcz – lecz widzisz, nazajutrz Małgorzata, wiesz, ta mała Małgosia, wychodziła za mąż za Piotra.

– Tak, no więc?

– Więc, kochane dziecko, Małgorzata nie miała nowej sukni ślubnej i myślałem sobie, że moja sutanna, chociaż już stara, może jeszcze wytrzymać do Wielkanocy.

Po raz trzeci otworzyłem rękę i wcisnąłem ostatnią złotą monetę do trzęsącej się ręki dobrego proboszcza. Ten uścisnął mnie serdecznie i powiedział wzruszony:

– Niech cię Bóg błogosławi, moje dziecko, tak jak ja cię błogosławię.

Dumny odwróciłem się, aby poszukać oczyma spojrzenia czarodziejki.

Ona tymczasem już zniknęła.

Dzień za dniem upływał i rok później poszedłem do kolegium. Pożegnałem cudne wieczory spędzane w zamku, przepiękne opowiadania mego dziadka, przemile lekcje u starego proboszcza i żałowałem teraz serdecznie tego wszystkiego, siedząc w ławce wobec nauczycieli zimnych i obojętnych.

Przyszliśmy właśnie z pasterki odprawionej w kaplicy kolegium i smutno szliśmy do sypialni, gdzie oczekiwało nas zimne łóżko. Na nim znalazłem małe zawiniątko, a w nim trzy złote monety – coroczny podarunek mego dziadka.

– Boże! – pomyślałem sobie, oglądając trzy piękne, złote monety – jestem tak daleko od wioski. Zresztą stary Jan już nie żyje. Sutanna księdza proboszcza jeszcze pewnie się nie zużyła, a dobry mój ojciec w tym roku pośle podarunki dla dzieci biednej wdowy Marty. Cóż więc zrobię z trzema złotymi monetami? Co sobie kupię? Strzelbę? – Już mam jedną. Łódkę? – Również już mam. Książki? – Teraz mam ich więcej niż pragnę... i do tego jeszcze tak mało interesujące. Mała czarodziejko! – wyszeptałem – mała czarodziejko, gdzie jesteś i czy nie chcesz przyjść mi z pomocą?

Zaledwie to wypowiedziałem, już stała przede mną. Tak jak ubiegłego roku, wzięła mnie za rękę i, niewidoczni dla kolegów, minęliśmy sypialnię, aż zaszliśmy do uczelni. Mimo późnej godziny zobaczyłem tam piszącego list Józia, mego najlepszego kolegę. Był to chłopak poważny i smutny, bardzo smutny i poważny jak na swój wiek. Miał bowiem dopiero 14 lat. Rzadko bawił się z nami i nikt nigdy nie widział uśmiechu na jego twarzy. Był jednak bardzo pilny. Jego blade i nieco wyniosłe czoło imponowało kolegom, którzy go lubili i szanowali. Józio był synem kolegi mego tatusia. Ojciec jego padł w bitwie, prowadząc oddział do ataku. Józio był większy, silniejszy i zdolniejszy ode mnie. Wiedział, że nasi ojcowie są przyjaciółmi i on właśnie stał się moim opiekunem w kolegium.

Mała czarodziejka położyła palec na ustach, nakazując mi w ten sposób milczenie, i zaprowadziła mnie blisko Józia. Potem, wskazując na niego, rzekła:

– Czytaj!

Pochyliłem się, wstrzymując oddech, i czytałem:

„Moja kochana, mała siostrzyczko!

Ogromnie mi żal i bardzo mi smutno, dzisiaj w wigilię Bożego Narodzenia, kiedy to wiele dzieci otrzymuje piękne podarunki. Ja, niestety, nie mogę ci nic przesłać, mój mały aniołeczku. Wiesz, że nasza kochana i dobra mamusia, od czasu jak tatuś zginął w służbie dla ojczyzny, ma wiele kłopotu, aby zapłacić za pobyt w kolegium. W tym roku nie mogła mi posłać pieniędzy. Biedna, mała siostrzyczko. Serce mi się ściska z bólu na myśl, że nie mogę ci posłać podarunku jak inni bracia swym siostronom. Lecz poczekaj i miej trochę cierpliwości. Kiedyś, gdy zostanę oficerem, jak nasz tatuś, wtedy, moja mała lenka, będę miał pieniądze...”

Nie miałem już siły, aby czytać dalej. Objąłem ramionami Józia, który odwrócił się zdziwiony i zawstydzony.

– Bierz – mówię mu – przyjdzie dzień, gdy zostaniemy oficerami i wtedy... weź połowę moich podarków i poślij je twojej małej siostrzyczce.

Podczas gdy Józio płakał z radości, mała czarodziejka uścisnęła lekko moją rękę, złożyła pocałunek na moim czole i zniknęła.

Wiele wigilii Bożego Narodzenia upłynęło od ostatniego widzenia mojej małej czarodziejki. Lecz co roku przypominałem sobie radość, jaką odczuwałem wtedy, gdy mogłem otrzeć niejedną łzę z oczu bliźniego. Mój dziadek dawno już odpoczywał snem wiecznym, pochowany w cieniu cyprysów rodzinnej wioski. Stałem się dorosłym mężczyzną i mieszkalem w dużym mieście o bruku rozpалonym i z czarnym niebem wysoko. Mieszkalem w Paryżu. Ludzie byli twardzi dla mnie, a troski życia wyżłobiły niejedną zmarszczkę na moim czole.

Była znów wigilia Bożego Narodzenia. Deszcz padał, wiatr wiał i było zimno na dworze. Otulony płaszczem szedłem ulicami. Jedną rękę trzymałem w kieszeni, w której kurczowo ściskałem już nie złote monety mojego dziadka, lecz trochę tego złota, które ludzie sprzedawali mi w zamian za cenę mojej ciężkiej pracy i nie przespanych nocy.

Na rogu ulicy stał dom rzęsiście oświetlony, skąd dochodził mnie śmiech beztroski i krzykliwy. Była to restauracja otwarta całą noc, od świąt aż do końca karnawału. Wśród głosów dochodzących stamtąd rozpoznałem moich przyjaciół. Chciałem już wejść. Na progu stała żebraczka w łachmanach, trzymająca w drżących rękach dziecko sine od zimna.

– W imię Boga! – wyszeptała. – Litości, panie!

Na moment się zawahałem, na chwilę tylko; ludzie byli dla mnie twardzi i nogami zdeptali moje serce i moją

młodość. Minałem więc brutalnie żebraczkę z dzieckiem na ręku. Wszedłem do restauracji powitany wesołym śmiechem biesiadników. Stół w pięknym salonie obficie zastawiony, wokół niego wielu dawnych przyjaciół, młodych jak ja ludzi i jak ja zimnych, którzy również cierpieli jak ja i odczuwali potrzebę zapomnienia. Zająłem miejsce wśród nich. Wino płynęło, kielichy krążyły z ręki do ręki. Piłem i śmiałem się całą noc, a kiedy rano pierwsze brza-ski padały do salonu, kiedy zataczając się, wychodziliśmy złamani... żebraczki już nie było.

Przypomniałem sobie jej głuchy i rozdzierający głos, jej straszliwie wychudzoną rękę, którą wyciągała do mnie i to jej błagające wejrzenie. Straszny ból schwycił mnie za gardło. Uciekłem sam jeden i biegłem ulicami, brnąc w czarnym błocie, z głową odkrytą i wystawioną na wiatr i deszcz, aby choć trochę uśmierzyć boleść. Tak dotarłem do mego mieszkania.

Ogień palił się jeszcze, lampa powoli gasła, a pies spał spokojnie w kącie pokoju. Przy ognisku, w którym dogorywały już ostatnie dREWienka, zobaczyłem pochylo-ną białą postać. Usłyszałem jej zadyszany oddech, prze-rywany szlochem i drżąc zapytałem, kto to jest?

Wtedy biała postać podniosła się wolno i poznałem w niej moją czarodziejkę Bożego Narodzenia. Ale już nie piękną, młodą i pogodną, która dwukrotnie mi się uka-zała, lecz dziewczynę o wzroku smutnym, obumarłym.... Oczy jej były pełne łez... czoło blade, a usta bezbarwne i sine.

– Czarodziejko Bożego Narodzenia – wykrzyknąłem – czy to jesteś ty?...

– Już nią nie jestem – odpowiedziała z płaczem – ty właśnie mnie zabiłeś, nieszczęśliwy. I zanim umrę, chcę ci powiedzieć moje prawdziwe imię.

Powiedziawszy to, z wolna zamieniała się w niebie-skawy płomień, jak wtedy, gdy się z niego zrodziła. Ten

płomień oświecił najpierw ognisko, potem, zmniejszając się, migotał coraz mniejszym światełkiem, aż nagle zgasł.

Usłyszałem wtedy głos straszny, rozdzierający, który przeniknął otaczające mnie milczenie i zawołał:

– Ja byłem twoją Młodością.

Kochani młodzi przyjaciele, którzy przeczytaliście to opowiadanie, miejcie zawsze rękę otwartą: Młodość tylko wtedy bezpowrotnie mija, gdy serce jest zimne i zamknięte.

„Kalendarz Salwatora” 1955 – USA



Święty Graal*

Kiedy Józef z Arymatei dowiedział się, że Jezusa przybito do krzyża, poszedł zbolący do Piłata, by rzec:

– Tyle czasu służyłem ci wiernie, a nie miałem od ciebie ani razu choćby pochwały. Teraz nie zadowolę się, póki nie dostanę czegoś, co od dawna mi obiecywałeś.

– Żądaj – odparł Piłat – a otrzymasz.

– Daj mi więc ciało Jezusa, którego niesprawiedliwie powiesiłeś na krzyżu.

Piłat zdziwił się, że Józef żąda tak mało, i od razu wyraził zgodę.

– Lecz strzeże Go wielu ludzi – odparł Józef – i nie pozwolą mi Go zabrać.

– Idź więc – oznajmił Piłat – i powiedz, że to ja cię przysyłam.

Poszedł Józef na Kalwarię, a kiedy dotarł do stóp krzyża, zmogła go żałość, że oto widzi Jezusa wiszącego w ten sposób, więc rozplakał się gorzko. Potem rzekł do tych, którzy stali w pobliżu:

* Graal jest nazwą kielicha, którego Pan Jezus – według legend średniowiecznych – używał podczas Ostatniej Wieczerzy. Niniejsza legenda mówi, że Józef z Arymatei zebrał w nim Krew zdjętego z krzyża Jezusa. Według innych legend kielich ten został przewieziony przez Józefa z Arymatei do Anglii. Zaginionego, tajemniczego kielicha poszukiwali legendarni rycerze, jak Perceval i Lancelot, rycerze króla Artura.

– Piłat wydał mi to ciało i rozkazał, bym zdjął je z drzewa hańby.

Ci zaś odrzekli chórem:

– Nie zabierzesz go stąd. Ten człowiek rzekł, że trzeciego dnia zmartwychwstanie, więc chcemy Go strzec, bo mogliby zabrać Go przyjaciele, by rzec później, iż powstał z martwych.

– Pozwólcie mi go zabrać.

– Prędzej już cię zabijemy! – wykrzyknęli wtenczas Żydzi. I Józef mógł jedynie wrócić do Piłata, by opowiedzieć mu, co zaszło. Piłat rozgniewał się i myślał, co przedsięwziąć przeciwko Żydom, kiedy wszedł pewien mąż nazywany Nikodemem.

– Idźcie we dwóch – powiedział Piłat i wskazał Józefowi kielich. Był to ten bezcenny kielich, w którym Jezus poświęcił wino i który podawał swoim współbiesiadnikom, by z niego pili, a który jeden z Żydów zabrał z domu Szymona.

Józef i Nikodem pospieszyli na Kalwarię. Nikodem po drodze wstąpił do kowala i wziął cęgi oraz młot. Dotarli do krzyża. Kiedy Żydzi ich ujrzeli, poczęli wznosić przeciwko nim okrzyki, wołając, że nie zostawia krzyża ani Józefowi, ani nikomu innemu, ale Nikodem rozgniewał się i zaczął im grozić. Wtedy Żydzi poszli do Piłata, by protestować, a w tym czasie Nikodem wspiął się na krzyż i odczepił ciało Jezusa. Józef wziął ciało w swoje ramiona i złożył ostrożnie na ziemi. Potem, pełen smutku, obmył je i widząc, że z ran spływa krew, pobiegł po kielich i podstawił go tam, gdzie kapłała krew. Naciskał rany rąk, stóp i boku, aż wszystka krew została zebrana w kielichu. Owinął wreszcie ciało Jezusa w kupiony po to właśnie całun i złożył je w nowym grobowcu, który przykrył kamienną płytą.

W tym czasie powrócili Żydzi, mówiąc, że Piłat wydał rozkaz, by grób był strzeżony dniem i nocą, gdyż Jezus powiedział, iż po trzech dniach zmartwychwstanie. Po-

stawili więc wszędzie wokół grobu uzbrojone strażę, a Józef wrócił do swojego domu.

W tym czasie Jezus zstąpił do piekieł, by uwolnić od śmierci dusze Adama i Ewy, proroków i dawnych ojców. Potem trzeciego dnia zmartwychwstał, ale Żydzi Go nie widzieli. Ukazał się, jak dobrze wiemy, Marii Magdalenie, apostołom i uczniom, którzy widzieli Go wyraźnie. Kiedy nowina rozniosła się, Żydzi zebrali się w świątyni, by się naradzić, albowiem sprawy układały się nie po ich myśli. W końcu postanowili, że oskarżą Józefa i Nikodema. Mie-li więc pójść, aresztować ich i po przesłuchaniu skazać na śmierć.

Nikodem miał przyjaciela, który uczestniczył w nara-dzie i na czas przysłał wiadomość, że musi uciekać, jeśli nie chce zostać zabity; tak więc, kiedy Żydzi przyszli po niego, nikogo nie zastali. Rozwścieczeni ucieczką Niko-dema, pobiegli do domu Józefa, wyłamali drzwi, wzięli Józefa, zabrali z sobą i wypytywali, co zrobił z ciałem Jezusa.

– Zaraz po złożeniu do grobu – odparł Józef – pozo-stawiłem je pod strażą waszych żołnierzy, sam zaś wró-ciłem do domu. Od tego czasu nie widziałem go.

– Ukryłeś je – nalegali tamci. – Tam, gdzie je złożyłeś, już go nie ma.

Zaprowadzili Józefa do domu pewnego bogatego Żyda i tam obili kijami. Potem zawlekli go do okragłej wieży z głębokimi podziemiami; rzucili do ciemnicy zbudowanej z zimnych kamieni; zakuli go w łańcuchy i zamurowali.

Piłat wpadł w gniew, kiedy dowiedział się o zniknięciu Józefa; zasmuciło się jego serce, że nie ma już tak wier-nego przyjaciela. Lecz Bóg nie zapomniał o Józefie i po-nieważ Józef dużo dla Niego wycierpiał, ukazał mu się w więzieniu, trzymając kielich rzucający wielkie światło, które oblało blaskiem całe pomieszczenie. Józef, widząc to promieniowanie, uradował się.

– Nie trać odwagi – rzekł Pan – gdyż moc Boża uratuje cię i zaprowadzi do raju.

Zapytał wtenczas Józef:

– Kim jesteś Ty, który zsyłasz taki blask?

Na to Jezus:

– Jestem Synem Boga i przyszedłem na ziemię, by zbawić grzeszników od potępienia i mąk piekielnych.

– Panie – powiedział wówczas Józef – proszę Cię, byś zmiłował się nade mną. Przez miłość do Ciebie zostałem tu zamknięty i umrę, jeśli mi nie pomożesz! Nie było dnia, bym Cię nie miłował, lecz nigdy nie odezwałem się do Ciebie ani słowem, gdyż nie śmiałem. Nie uwierzyłbyś mi, albowiem zasiadałem w Sanhedrynie obok tych, którzy zgotowali Ci śmierć!

Wtenczas rzekł mu Pan:

– Byłeś wśród moich przyjaciół i służyłeś mi w tym, w czym mogłeś, kiedy Piłat dał ci moje ciało w zapłatę za twoje zasługi. Dlatego będziesz miał pieczę nad dowodem mojej śmierci, a po tobie będą tę pieczę sprawowali ci, którym zechcesz ją powierzyć.

Potem Pan ujął kielich, w którym zebrana była Jego cenna krew, a widząc to, Józef dziwował się wielce, gdyż wiedział, że zostawił kielich w swoim domu. Ale zaraz przyklęknął i wziął kielich z Boskich rąk.

– Józefie – powiedział mu jeszcze Pan – to jest zbawienie grzeszników i ci, którzy naprawdę we Mnie wierzą, będą żałować za swoje grzechy. Ty zaś przez swoją mękę zyskałeś wieczną radość. Za każdym razem, kiedy sprawowany będzie sakrament, będziesz wspominany.

– Panie mój! – wykrzyknął Józef. – Tego nie pojmuję. Powiedz, jak to będzie, bym wiedział.

– Józefie, wiesz, że w domu Szymona wieczerzałem z uczniami moimi po raz ostatni zeszłego czwartku. Błogosławiłem chleb i wino i powiedziałem, że oto spożywają Moje ciało i piją Moją krew. W ten sam sposób będzie

odprawiana ta ofiara w najbardziej zapadłych okolicach; kamień, na którym złożyłeś Mnie po zdjęciu z krzyża, stanie się ołtarzem, na którym będą Mnie składać, dokonując mojej ofiary. Płótno, w które Mnie owinałeś, zostanie nazwane korporałem; ten puchar, w który zebrałeś krew spływającą z moich ran, zostanie nazwany kielichem. Patena, która go przykryje, będzie symbolizować ów kamień, który przywalił mnie w grobie. Tak będziesz wspomniany. I wszyscy, którzy będą pili z twojego kielicha, znajdą się u Mego boku i zyskają szczęśliwość. I ci wszyscy, którzy poznają te słowa i wspomną je, będą żyli w cnocie i w łasce Boga.

I dodał Pan:

– Józefie, kiedy będziesz tego potrzebował, Matka Boska da ci dobrą radę i Duch Święty stanie przy tobie. Módl się, Józefie, gdyż odchodzę, a nie zabiorę cię z sobą. Nie ma na razie powodu. Zostaniesz jeszcze zamknięty tutaj i więzienie będzie ciemne, jak wtedy, kiedy jeszcze do ciebie nie przyszedłem. Nie bój się i nie smuć, albowiem twoje uwolnienie przyjdzie w sposób cudowny, i będzie dziełem tych właśnie, którzy cię do więzienia wtrącili.

Tak więc Józef pozostał zamurowany w więzieniu. Był w nim długo i nikt już o nim nie pamiętał, aż pewien pielgrzym, który długo mieszkał w Judei w czasach, kiedy Jezus wędrował po ziemi, powrócił do Rzymu. Opowiadał o ślepych, którzy odzyskali wzrok, ułomnych, którzy chodzili, i bardzo wielu innych cudach, a w tym także o trzech wskrzeszonych zmarłych.

Dokładnie w czasie, kiedy ten pielgrzym opowiadał w Rzymie o tych wydarzeniach, Wespazjana, syna cesarza, dręczył straszliwy trąd; zamknięto go w wieży bez drzwi i okien, tylko ze szparą, do której przystawiano drabinę, by podać mu pożywienie. Zapytano też pielgrzyma, czy tam, w tych odległych krajach, można znaleźć

coś, co uzdrowiłoby syna cesarza, on zaś odpowiedział, że niedawno, za rządów Piłata został zabity wielki prorok. Wtenczas cesarz posłał swoich posłańców na drugi brzeg morza, by dowiedzieli się, czy to, co twierdził pielgrzym, było prawdą, i by poszukali przynajmniej jakiegoś przedmiotu należącego do owego proroka.

Posłańcom sprzyjał wiatr i przepłynęli morze. Kiedy dotarli do Jerozolimy, kazali zgromadzić Żydów, by zapytać, czy nie ma ktoś przedmiotów, które należały do proroka; minął miesiąc, ale nie mogli niczego znaleźć. Na koniec pewien Żyd wskazał im niewiastę, która miała wizerunek Jezusa.

– Nazywa się Weronika i mieszka przy tej ulicy, gdzie jest szkoła – oznajmił – ale nie wiem, skąd ma wizerunek.

Kiedy odszukano niewiastę, ta zaczęła opowiadać:

– Kazałam przygotować całun i miałam go ze sobą, kiedy napotkałam proroka; ręce miał związane do tyłu i Żydzi prosili mnie w imię Boże, bym moją chustą otarła twarz skazańca. Uczyniłam to bardzo starannie, gdyż był okryty krwią i potem. Żydzi poprowadzili Go dalej, bijąc kijami i znieważając. Szedł i nawet się nie uskarżał. Kiedy wróciłam do domu, rozwinęłam płótno i zobaczyłam, że odbił się na nim ten wizerunek, który i wy możecie oglądać. Chętnie udam się z wami, by uratować syna cesarza, ale nie dawajcie mi ani złota, ani srebra, gdyż wolę umrzeć, niż się pozbyć chusty.

Po powrocie do Rzymu posłańcy cesarscy pokazali synowi cesarza chustę i trędowaty został uzdrowiony. Poruszony tym cudem, prosił ojca, by mógł wyruszyć i pomścić śmierć Pana, który go uzdrowił.

– Nie szczędźcie ani rodziców, ani dzieci – zalecił cesarz, dając swoje przyzwolenie. I Wespazjan wyruszył.

Kiedy dotarł do Jerozolimy wraz ze swoimi rycerzami, kazał wtrącić do więzienia wszystkich Żydów i zagroził,

że zginą, jeśli nie oddadzą Jezusa żywego. Żydzi powiedzieli, że ciało Jezusa zostało powierzone Józefowi z Arymatei i że nie wiedzą, co ten z nim uczynił. Ale Wespazjan raz jeszcze zagroził im śmiercią, a wtedy jeden z nich powstał i rzekł:

– Czy darujecie życie mnie, mojej żonie i dzieciom, jeśli wskażę wam, gdzie przebywa Józef?

Kiedy Wespazjan obiecał darować mu życie, Żyd zaprowadził go do wieży, w której zamknęli Józefa wiele lat wcześniej, lecz szukali go długo, a nie znaleźli. Wreszcie pomyśleli, że jest może zamurowany w podziemiach wieży.

– Czemu go tutaj zamknęliście? – zapytał Wespazjan.

– Z powodu szalonych rzeczy, które głosił – odparli Żydzi.

– Powiedzcie, czy może być jeszcze żyw?

– Nie wiemy, lecz zda się nam, że nie; zbyt dawno był zamknięty.

– Mógł zachować go przy życiu Ten, który mnie uratował – zauważył Wespazjan. – Jeśli naprawdę Józef został zamurowany za Niego, nie zda mi się możliwe, by Jezus pozwolił na taką śmierć. Chcę rozejrzeć się dokładniej.

Otworzono wtedy podziemia, zajrzeli w ciemność i zawołali Józefa, lecz nikt nie odpowiedział. Żydzi mówili, że byłby to cud, gdyby Józef zdołał wytrzymać tak długo, nie jedząc i nie pijąc, bez powietrza ni światła, lecz król nalegał, powiadając, że nie uwierzy w jego śmierć, póki nie zobaczy go na własne oczy. Zażądał długiego sznura, który natychmiast mu przyniesiono. Raz jeszcze zawołał, ale nikt nie odpowiedział. Wtedy kazał się opuścić na dół, rozejrzał się dokoła, a w końcu wydało mu się, że w jednym kącie dostrzega jasność i skierował się w tamtą stronę.

Kiedy Józef z Arymatei ujrzał cesarza, wyszedł mu naprzeciw, mówiąc:

– Witaj, Wespazjanie! Kogóż to szukasz?

Wespazjan osłupiał.

– Kto wyjawiał ci moje imię? I czemu nie odpowiadałeś, kiedy cię wołałem? I dlaczego tu jesteś? Powiedz, kimżeś jest? Rozkazuję ci!

– Jestem Józefem z Arymatei – odpowiedział cień.

Cesarz, słysząc te słowa, wykrzyknął rozradowany:

– Niechaj błogosławiony będzie Bóg, który cię uratował!

Rzucili się sobie w ramiona, pozdrowili się, ale Wespazjan zaraz chciał poznać imię Tego, który go uzdrowił, i Józef z Arymatei pouczył go o wierze w Chrystusa.

Leggende cristiane, Milano 1963, s. 179-183



Matka Boska w legendzie



Wędrowny pieśniarz

Był pięknym dzieckiem o wielkich czarnych oczach. Na chrzcie dano mu imię Paweł, ale wszyscy nazywali go Pablito. Życie w jego kraju było bardzo ciężkie, a zwłaszcza w tych zapadłych rejonach Hiszpanii południowej, gdzie często wybuchały epidemie. Od jednej z nich umarli jego rodzice.

Pablito rósł zdrowy pod opieką babki. Babka przekazała wnuczkowi wszystko, co umiała. Nie potrafiła czytać ani pisać, więc tego nauczyć go nie mogła. Za to od młodości miała piękny głos i grała na lutni, więc wnuczka nauczyła grać i śpiewać. Mały też miał piękny głos, który w miarę ćwiczeń stawał się coraz bardziej melodyjny. Przy akompaniamencie lutni śpiewał poematy o hiszpańskich rycerzach, piosenki o miłości (były wtedy modne serenady dla dam serca) i piękne pieśni Maryjne. Ponieważ Pablito, chociaż biedny, czuł się wielkim rycerzem, jego damą była Najświętsza Maryja Panna i śpiewając dla Niej, czuł się szczęśliwy.

Kiedy wnuczek skończył dwanaście lat, babcia zawołała go i przemówiła do niego z wielką powagą:

– Jestem stara i niewiele zostało mi życia. Wyrosłeś na mężczyznę i musisz pójść swoją drogą. Weź lutnię i ruszaj w świat śpiewać na placach i rogach ulic. W ten sposób zarobisz sobie na życie.

Rozstanie było bolesne. Pablito pojął, że do końca życia nie zobaczy już babci, ale posłuchał.

Były to czasy smutne dla Hiszpanii. Nędza była wynikiem długiej wojny o wyzwolenie od Maurów, jak nazywani zostali muzułmanie. Kiedy chłopak śpiewał, ludzie słuchali go chętnie, gdyż miał piękny głos. W tych czasach wędrowni pieśniarze przypominali starodawne dzieje. Ale pieniędzy było z tego niewiele, więc Pablito częściej głodował, niż jadł.

Dotarł w ten sposób do wielkiego miasta, które miało później być nazwane Sewillą. Pablito ujrzał je z daleka i był oczarowany. Nigdy nie widział miasta, znał tylko małe wsie i miasteczka. Zauważył majestatyczną budowlę, która wznosiła się ponad inne. Zaraz pomyślał, że musi to być zamek władcy. Była to jednak zachwycająca katedra wzniesiona na cześć Najświętszej Maryi Panny. Ale Pablito nigdy nie widział katedry, był bowiem przyzwyczajony do ubogich wiejskich kościołków.

Wszedł, kiedy nadeszło południe, i poczuł straszliwy głód. Rozejrzał się dokoła po tych majestatycznych sklepieniach i wydawało mu się, że ogląda zamek ze snów. Z głębi dochodziło jasne światło. Bez wątpienia tam właśnie przebywała pani tego zamku. Pablito podszedł, drżąc cały, i znalazł się u stóp posągu Najświętszej Panny z Dzieciątkiem na ręku, ozdobionej cennymi klejnotami. Chłopcu wydawało się, że musi to być królowa, nigdy zaś nie pomyślałby, że to Matka Boska, gdyż przywykł do przyglądania się ubogiej figurze w swojej parafii. Co więcej, był tak głodny, że nawet nie zdał sobie sprawy z tego, że znalazł się w obliczu posągu.

Ukląkł na znak uszanowania i zaśpiewał swojej damie najśłodsza pieśń, przeznaczoną dla Maryi Panny. Ledwie skończył, Dzieciątko Jezus zaczęło klaskać z zadowolenia i wykrzykiwać:

– Jeszcze, jeszcze!

I Pablito, ośmielony już, zaśpiewał następną pieśń dla Matki Boskiej, a zaśpiewał ją z jeszcze większym uczuciem. W końcu sama Matka Boska powiedziała:

– To było piękne, dziękuję ci. Teraz idź coś zjedz.

Zdjęła z głowy koronę i dała mu ją.

Pablito, bardzo rad, zrozumiał, że ma w ręku coś bardzo cennego. Wybiegł z kościoła, pomknął zaułkiem i wszedł do pierwszego sklepu, jaki był otwarty.

– Czego sobie życzysz, chłopcze? – spytał starzec zza lady.

– Chcę jeść – odparł Pablito.

– A masz czym zapłacić?

– Mam – i chłopiec położył na ladzie koronę.

– Ten przedmiot wart jest bardzo dużo – rzekł starzec, kryjąc swoje podejrzenia. Zaprowadził chłopca do kuchni, mówiąc żonie, żeby dała mu porządny posiłek. W tym czasie pobiegł z cenną koroną do sędziego, by opowiedzieć mu o wszystkim.

Sędzia znał bardzo dobrze tę koronę ze szczerego złota i wysadzaną klejnotami.

– Ten chłopak jest oszustem, złodziejem – powiedział bez wahania. I wysłał straż, by go pojmała, a tymczasem w całej Sewilli rozeszła się wieść, że skradziono koronę posagowi Matki Boskiej. Wyobraźcie sobie osłupienie Pablita, kiedy płukał sobie właśnie usta po dobrym posiłku, gdy zobaczył, że wchodzi żandarmi, którzy porywają go ze stołka i kuksańcami popychają w stronę katedry.

Coraz większy tłum gromadził się za nimi. Rozlegały się groźne okrzyki:

– Złodziej! Na szubienicę z nim!

Kiedy dotarli do katedry, Pablito był bledszy niż biała bułka. Sędzia, ubrany w uroczystą togę, pokazał tłumowi koronę Najświętszej Panny i zwrócił wszystkim uwagę na to, że posąg jest bez korony.

– Zabić złodzieja! – krzyczał tłum.

Daremnie Pablito starał się wyjaśnić, że ten przedmiot otrzymał w darze. Uznano go nie tylko za złodzieja, ale w dodatku za kłamcę i publiczność zaczęła klaskać, kiedy sędzia wydał rozkaz, by chłopiec, tak niewątpliwie winny, został zaraz powieszony.

Ale był wtedy zwyczaj, że skazani na śmierć mieli prawo wyrazić swoje ostatnie życzenie. Pablito powiedział, że chciałby jeszcze raz zaśpiewać na chwałę Najświętszej Panny w tym właśnie miejscu, przed Jej wizerunkiem. Przyznano mu tę łaskę. Kiedy chłopiec grał pierwsze akordy, patrzył błagalnym wzrokiem na piękny posąg Matki Boskiej, który wydał mu się nagle skromny i prosty jak w jego stronach. Śpiewał z taką słodyczą, że wszystkim niewiastom zaczęły płynąć łzy z oczu, a mężczyźni odchrząkiwali, by nie dać po sobie poznać, jak bardzo są wzruszeni.

Kiedy rozległa się ostatnia nuta, zapadła całkowita cisza. W tym momencie Dzieciątko Jezus zaczęło wykrzykiwać:

– Brawo! Jeszcze!

Tłum padł na kolana tak osłupiały, że nie miał nawet sił krzyczeć, iż nastąpił cud. Pablito zaśpiewał drugą pieśń na chwałę Matki Boskiej tak pięknie, jak nie śpiewał jeszcze nigdy w swoim życiu. Kiedy umilkła ostatnia nuta, ujrzano ku powszechnemu zdumieniu, że Najświętsza Panna zdejmuje sobie z palca pierścień i podaje chłopcu:

– Dziękuję ci, dziecko.

Od tej chwili nikt nie miał wątpliwości, jaki był naprawdę przebieg wydarzeń. Sędzia czym prędzej cofnął wyrok, a kanonicy z katedry przybyli w procesji i ofiarowali Pablitowi stanowisko pierwszego kantora. Tak więc żył szczęśliwy i przez całe życie śpiewał na chwałę Maryi.

Jeśli zdarzy ci się pojechać do Sewilli, wejdź do katedry w porze, kiedy panuje spokój i nie odbywa się żadne

nabożeństwo. Klęknij u stóp Najświętszej Panny i pomódł się do Niej z całą wiarą. Poczujesz, jak w twym sercu wznosi się przesłodka melodia. Nie dziw się. To głos Pablita, który bez znużenia śpiewa swojej Niebieskiej Królowej.

Ojciec Alberto

„Madre di Dio” 1984 nr 3



Dwie matki

Pewna wdowa miała jedynego syna, którego kochała tkliwie. Jednego razu syn ów został ujęty przez nieprzyjaciół i rzucony do ciemnicy.

Kiedy biedna matka dowiedziała się o tym, poczęła płakać, niepocieszona, i wzywać pomocy Najświętszej Panny; lecz widząc, że jej prośby nie zostały wysłuchane, weszła do kościoła i zbliżywszy się do posagu Matki Boskiej, rzekła:

– Błogosławiona Dziewico, tak długo Cię wzywałam, byś uwolniła mojego syna, lecz jeszcze mi nie pomogłaś. Wybacz mi więc, Najświętsza Panno, ale zabiorę Ci Twojego Syna, tak jak mnie zabrali mojego, i zatrzymam Go jako zakładnika, aż mnie wysłuchasz.

I wzięła Dzieciątko, które Maryja trzymała na kolanach, a wróciwszy do domu, owinęła posążek w czyściutkie płótno i zamknęła na klucz w skrytce, której była pewna.

Następnej nocy Najświętsza Panna ukazała się więźniowi, otworzyła przed nim bramy ciemnicy i wyprowadziła go, mówiąc:

– Powiedz swej matce, by oddała mi mojego Syna, albowiem Ja oddałam jej syna.

Kiedy młodzieniec wrócił do matki i opowiedział jej, że uwolniła go Matka Boska, wdowa, pełna radości, wzięła posążek Dzieciątka i złożyła na podołku Najświętszej Panny, dziękując za przyznaną łaskę.

Anonim średniowieczny

Leggende cristiane, Milano 1963, s. 278



Najświętsza Panna z Saint-Vinol

Legenda bretońska

Matka Boska z Saint-Vinol była cała ze srebra. Była bogata, gdyż ludzie z tej miejsciny wierzyli, że składając u Jej stóp płótno, ziarno i wełnę, zmazują swoje grzechy.

W parafii Saint-Vinol mieszkali młodzi małżonkowie, Amel i Penora. Miłowali się bardzo. Ona była dobra i piękna, on wysoki i mocny. Właśnie Amel nosił Najświętszą Pannę w Jej sierpniowe święto.

Amelowi i Penorze urodziło się dziecko, któremu dali imię Raul, i byli jeszcze szczęśliwsi. Kiedy maleństwo miało dziewięć dni, Penora wzięła je na ręce i udała się przed ołtarz Matki Boskiej.

– Miej nad nim pieczę, Najświętsza Pani. I przyrzuć się mu dobrze, byś go poznała, gdy będzie Ciebie potrzebował.

Nie wiadomo, czy stało się to przez grzechy parafian z Saint-Vinol, ale pewnej nieszczęsnej nocy rzeka wylała. Całą równinę pokryła woda, a kiedy nadszedł ranek, ujrzano, że to nie rzeka wylała, lecz morze. Przerwało wały i pochłaniało wszystko dokoła.

Kościół w Saint-Vinol wznosił się na wzgórzu, więc schroniła się w nim cała ludność. Lecz Amel i Penora stali na progu swojego domu, gdyż był zbudowany jeszcze wyżej niż kościół. Kiedy woda dotarła aż do nich, wraz

z małym Raulem weszli na pierwsze piętro. A kiedy dosięgnęła ich także tam, wspięli się aż na dach. A woda podnosiła się nadal.

– Amelu – rzecze Pinora – umrzemy wszyscy razem.

– Nie – odpowiada Amel.

Woda podchodzi coraz wyżej. Stojąc na szczycie dachu, mężczyzna rzecze do żony:

– Weź dziecko, a ja pomogę ci wleźć na mnie. Stań na moich ramionach i dobrze się trzymaj.

Ale niewiasta nawet nie chciała o tym słyszeć.

– Pospiesz się, chodzi wszak o dziecko. Kiedy staniesz na mnie, wytrzymasz chwilę dłużej i może woda wreszcie przestanie się podnosić. Żegnaj, ukochana żono. Dobrze, byście choć wy się uratowali.

Penora posłuchała i ledwie stanęła na ramionach męża, woda zakryła jego głowę. Niewiasta z płaczem trzymała dziecko na rękach. Kiedy woda sięgnęła jej do pasa, uniosła małego Raula i ucałowawszy go, rzecze:

– Wleź na mnie. Stań na moich ramionach i dobrze się trzymaj.

– Nie chcę – odpowiedział mały.

– Rób szybko, co ci każę. Być może, woda w końcu się przestanie podnosić. W ten sposób chociaż ty się uratujesz. Żegnaj, mój mały.

Nie powiedziała nic więcej, gdyż woda zalała jej usta. Nad fale wystawała jedynie okrągła głowa Raula i strzęp jego błękitnej koszuliny, którą targał prąd.

W tym właśnie momencie Najświętsza Panna z Saint-Vinol opuściła swoją niszę, gdyż sięgnęła tam woda i przez najwyższe okno wydostała się z kościoła, by schronić się w niebie. Kiedy już miała się wznieść, dostrzegła główkę Raula i kawałek niebieskiej koszuliny. Zatrzymała się.

– To dziecko należy do mnie – rzekła. – Chcę zabrać je ze sobą.

I chwyciła Raula za jego jasną czuprynę, sądząc, że uniesie go z łatwością, ale dziecko było ciężkie, o wiele za ciężkie jak na tak drobne ciało. Tak ciężkie, że Matka Boska musiała rzucić wszystkie ofiarowane Jej dary i trzymać Raula oboma rękami.

Kiedy uwolniła się od wszelkiego brzemienia – lnu, płótna i kwiatów – udało się Jej w końcu unieść dziecko, a wtedy przestała już się dziwić, że takie ciężkie.

Z wody wyłoniła się uczepiona Raula Penora i ucze-
piony Penory, cięższy niż wszyscy pozostali – Amel, mło-
dzieniec, który w sierpniowe święto nosił w procesji Jej
figurę.

– Och – wykrzyknęła zaskoczona Matka Boska – Bóg ;
piękne rzeczy stworzył na ziemi.

W pole swojej szaty uczyniła miejsce dla całej trójki
i zaniósła ich tam, gdzie woda, która nie przestawała się
podnosić, już im nie zagrozi.

Paul Féval

Leggende cristiane, Milano 1963, s. 428-429



Siostra Beatrycze

Legenda hiszpańska

Zyła kiedyś w jednym klasztorze mniszka imieniem Beatrycze, którą Bóg obdarzył wszystkimi swoimi łaskami. Jej cnoty służyły za przykład wszystkim w klasztorze i poza nim, a jej uroda przyciągała ku dobru tych, którzy ją podziwiali.

Pewien kleryk, który dzięki swoim sukniom miał swobodny dostęp do klasztoru, zaczął nadskakiwać siostrze Beatrycze w sposób, który miał uchodzić za nabożny, lecz nabożnym zgoła nie był. Chociaż mniszka była cnotliwa i całkowicie oddana Najświętszej Pannie, u której stóp modliła się i śpiewała przez wiele godzin dziennie, w końcu zaczęła dawać ucho podszeptom uwodziciela i znajdować upodobanie w jego zalotach.

Wytrwałość kleryka była tak wielka i tak długo trwały jego zabiegi, że pewnego dnia Beatrycze uległa i zapominając, do kogo należy, obiecała zaspokoić żądze młodzieńca. Obowiązki ogrodniczki i furtianki, jakie pełniła w klasztorze, sprzyjały ich planom. Furta stała przed nią otworem, gdyż przecież to Beatrycze miała pieczę nad kluczami, i niby głupi motyl rzuciła się w płomień miłości.

Jednakże mniszka nie zaparła się swojego oddania dla Maryi. Kiedy już postanowiła popełnić świętokradczy

grzech, ale zanim przekroczyła próg klauzury, wzięła klucze, które zostały jej powierzone, i poszła, by paść na kolana przed ołtarzem Matki Boskiej, mówiąc wśród łez:

– Pani moja i Królowo, przez cały ten czas służyłam Ci z całym oddaniem i miłością, do jakiej byłam zdolna, nikt więc nie mógł mi w niczym przyganić. Stałam się strażniczką klasztoru i starałam się spełniać mój obowiązek uważnie i sumiennie. Dzisiaj zagubiłam się w szaleńczym pożądaniu i nie starczyło mi sił, by je przemóc. Weź więc klucze od swojego domu. Powierzam je Tobie, gdyż odchodzę i czuję, żem zgubiona.

Położywszy klucze na ołtarzu Najświętszej Panny, Beatrycze przekroczyła próg klasztoru, gdzie czekał na nią złodziej jej duszy, który zaprowadził ją z sobą i wykorzystał, jak chciał.

Po kilku dniach jednak, znudzony już, gdyż zaspokoił swą zachciankę, lubieżny kleryk porzucił uwiedzioną na środku ulicy. Zatrwożona Beatrycze nie wiedziała, dokąd uciec. Od krewnych czekałoby ją nie wsparcie, ale pogarda i przygana. Gdyby wróciła do klasztoru, musiałaby znieść urągania i szyderstwa ze strony innych sióstr. Wreszcie wybrała wyjście najgorsze i sprzedawała swoją urodę każdemu chętnemu. Miała wspaniały dom, żyła wśród uczt i klejnotów i nikt nie poznałby w tej wszetecznicy mniszki tak niegdyś pobożnej i cnotliwej.

Minęło piętnaście lat. Zdawało się, że zapomniała o wszystkich swoich obowiązkach, ale dawne nabożeństwo do Matki Boskiej nie zgasło w jej sercu. Tliło się gdzieś pod spodem niby ogień i często wracały jej na myśl minione czasy spędzone na służbie Maryi Dziewicy. Wtenczas Matka Boska sprawiła, że Beatrycze zapragnęła powrócić do klasztoru, by dowiedzieć się, co też o niej mówią. Ta ciekawość była haczykiem, który Matce grzeszników posłużył, by swoją dawną służebnicę doprowadzić do bramy łaski.

Poszła więc Beatrycze do klasztoru ubrana w bezwstydną strój z koronek i wstążek, pod którym nikt nie mógłby jej poznać. Wezwała odźwiernego i zapytała, czy znał jakąś siostrę Beatrycze, może nie żyje, a może jest wśród żywych, i jakie wspomnienie o niej zachowano w klasztorze.

– Siostrę, o której mówisz – odparł odźwierny – znam dobrze, bo od wielu lat ma pieczę nad kluczami do klasztoru. Jest bardzo cnotliwa, prawdziwa święta, świeci przykładem dla innych mniszek. Wcale się nie zmieniła od dnia, kiedy jako dziewczę wstąpiła do zakonu, i wszystkie inne szanują ją i kochają.

Wstrząśnięta tymi słowami Beatrycze snuła tysiące przypuszczeń. Może to żart? Może jej ucieczka została zatajona przed wszystkimi, żeby zachować dobre imię klasztoru? Może jakaś inna Beatrycze zajęła jej miejsce?

Odźwierny odszedł i Beatrycze już miała sobie pójść, kiedy stanęła przed nią Najświętsza Panna w postaci, jaką Beatrycze doskonale знаła, to jest podobną do figury ustawionej na ołtarzu, przed którym siostra modliła się.

– Beatrycze – rzekła Najświętsza Panna – ponieważ służyłaś mi z takim oddaniem i taką miłością, przez piętnaście lat zajmowałam twoje miejsce, wykonując twoją pracę, przybrawszy twoją powierzchowność, dbając o ogród i kościół, jak przystoi zacnej siostrzyczce.

Nikt więc nie dowiedział się o twojej nieobecności, nikt nie wie, co się stało. Idź zatem do swojej celi, weź klucze, bądź znów tą, którą byłaś, i odpokutuj za grzechy!

Matka Boska zniknęła. Rozradowana Beatrycze weszła przez otwartą furkę klasztorną, wśliznęła się tak, że nikt jej nie widział, zamknęła się w celi, by zmienić strój, i wmieszała się między inne siostry. Zaraz spostrzegła, że jej obecność żadnej nie zdziwiła, jakby naprawdę przez cały czas nie opuszczała klasztoru.

Widząc tak przedziwny cud, Beatrycze podziękowała Najświętszej Pannie z największym żarem, leżąc krzyżem u Jej stóp i płacząc palącymi łzami. Potem odbyła wielką pokutę z włosiennicą i dyscypliną nie po to, żeby tak wielki cud nie pozostał nieznany, lecz by świat dowiedział się, jak Najświętsza Panna pomaga tym, którzy są Jej oddani, opowiedziała swojemu spowiednikowi wszystko, co się wydarzyło.

Cristobal Lozano

Leggende cristiane, Milano 1963, s. 432-434



Stary mnich i Matka Boska

Nad zatoką Najświętszej Panny w Anglii żył pewien mnich nader pobożny i tak oddany Matce Boskiej, że kiedy podczas nabożeństwa słyszał, że pada Jej imię, klękał i całował ziemię.

Nabrał tego zwyczaju w latach młodszych, a zachował go także na starość, ale kiedy był już zgrzybiały, pewnego razu ukląkł i nie mógł powstać. Opat współczuł mu i nakazał dwóm młodym braciom, by troszczyli się o niego i by go podnosili, kiedy nie zdoła tego uczynić o własnych siłach. Ale dwaj młodzieńcy, którym ciągle co innego było w głowie, niewiele dbali o starca i często zaniebdywali polecenie opata.

Pewnego sobotniego dnia zdarzyło się, że podczas Mszy, kiedy wspomniano imię Maryi, starzec padł na kolana, ale z powodu wielkiej słabości nie mógł powstać, a nie było nikogo, kto by mu pomógł. Miano właśnie czytać Ewangelię i biedny starzec, zatrwożony i we łzach, zwrócił się o pomoc do Matki Boskiej, by ktoś zechciał go podnieść, gdyż chce okazać szacunek wobec Ewangelii.

Wtedy litościwa Maryja przybyła naprawdę, ujęła starca pod ramię, pomogła mu wstać i poprowadziła do ołtarza. A kiedy mnich ucałował ołtarz i uniósł wzrok, ujrzał przepiękne oblicze Matki Boskiej jaśniejące bardziej

niż słońce. I nagle on, który miał prawie sto lat, stwierdził, że jest młody i mocny jak dwudziestolatek.

Żył jeszcze jakiś czas, a potem dostąpił radości życia wiecznego.

Anonim średniowieczny

Leggende cristiane, Milano 1963, s. 269



Młyn Matki Boskiej

Legenda paryska

Przy drodze do Vanves, u stóp wielkiego klasztoru sióstr benedyktynek rozłożyła się wioska. W pobliżu wznosił się na wzgórzu stary wiatrak, który należał do Szymona, zacnego człeka, nie umiejącego czytać ni pisać, weterana wielu wojen.

Interesy mistrza Szymona układały się źle, tkwił po uszy w długach. Kiedy zawiał wiatr, nie było co mleć, a kiedy było ziarno do zmielenia, wiatr opadał.

Pewnego wieczoru – był to pierwszy dzień maja – Szymon wpadł po prostu w rozpacz. Jeśli do dziewiątej następnego ranka nie zapłaci dziesięciu talarów prokurentowi, wypędzą go z młyna, a młyn sprzedadzą. Miał wprowadzić dwadzieścia worków ziarna do zmielenia i gdyby zdołał je zmilić, mógłby wywinać się prokurentowi, ale powietrze ani drgnęło – najsłabszego powiewu.

– W końcu – wykrzyknął – skoro nawet Bóg mi nie sprzyja, a los się zawziął, by mnie puścić z torbami, rzucam wszystko i wracam do zawodu żołnierza. Co jak co, ale jakaś wojenka zawsze się trafi, byłoby więc dziwne, gdyby nie znalazł się kapitan, któremu przyda się taki chwacki kusznik jak ja. Wiatrak zaś niech wezmą diabli, tak, niech go sobie weźmie jaki diabeł.

Ledwie Szymon wypowiedział te słowa, spostrzegł, że wiatrakiem zaczyna targać niby łodzią na falach. Po chwi-

lecze stanął przed nim chudy i czarnawy człeczyna, całkiem podobny do biedaków, którzy przychodzili tutaj co dzień.

– Wzywałeś mnie, mistrzu Szymonie, więc się stawiam.

– Wzywałem cię? Kimżeś jest?

– Jestem diabłem! – odparł skromnie człeczyna, jakby mówił: „Jestem twoim kumem Janem” albo: „Twoim kuzynem Łukaszem”.

Szymon był zdumiony, ale może mniej, niż mógłby się spodziewać. Niejedno widział w ciągu lat wojny i ten czarnawy człeczyna, tak spokojny w obejściu, zgoła nie wzbudzał w nim strachu.

– No więc czekam – rzecze po chwili milczenia zniecierpliwiony diabeł, tupiąc.

Szymon spostrzegł, że chociaż tamten wzuł trzewiki takie same jak wszyscy, odcisk jego stopy był rozdwojony.

– Chybaś nie po to mnie wzywał, żeby podarować mi stary wiatrak. Zresztą nic mi po twoich prezentach. Lecz jeśli chcesz, mogę go kupić za bręczącą monetę, i to złotą. Jestem zaniejszy, niżli się mniema – dodał.

Szymon pomyślał chwilę. W końcu wcale przecież nie zabiegał o tę schadzkę, ale skoro diabeł już tu jest, czemu nie skorzystać z tego małego nieporozumienia. Zebrał się więc na odwagę.

– Cóż, panie diable, prawdę mówiąc, nie zależy mi na tym, żeby sprzedać młyn, choćby i za wagę złota, bo w dzisiejszych czasach nigdy nie wiadomo, ile warte jest złoto.

Diabeł uśmiechnął się.

– Nie ufasz, żeś uczciwy? Niesłusznie. Czegóż więc chcesz?

– Chciałbym, żebyś, ot, poobracał wiatrakiem, aż zmiele dwadzieścia worków ziarna, które daremnie czekają na wiatr.

– I to wszystko? – zdumiał się Belzebub. – Zrobię coś lepszego. Od tej chwili twój wiatrak ma obracać się bez ustanku, byś zmełł nie dwadzieścia worków, ale dwadzieścia razy po dwadzieścia, setki, tysiące worków. Będą tu przywozić ziarno ze wszystkich stron i wkrótce staniesz się najbogatszym młynarzem w królestwie.

– Ten nie zapomina języka w gębie – pomyślał Szymon, a na głos rzeki:

– Przydałoby się, panie diable, i wiedz, że moja wdzięczność...

– Wdzięczność możesz sobie schować do kieszeni. Nic mi po niej.

Dobył spod kaftana piękny pergamin pełen pieczęci i pokryty słowami, które dla Szymona nic a nic nie znaczyły, i rzekł:

– Oto pakt, w którym zobowiązujesz się oddać mi swoją duszę w zamian za to, że uczynię cię majątnym. Nie jest to cena zbyt wygórowana – dodał człeczyna, krzywiąc się.

Szymon spostrzegł, że dał się wciągnąć w pułapkę, ale jeśli odmówi, ziarno nie będzie zmielone, a nazajutrz opuści na zawsze wiatrak pod strażą dwóch żandarmów.

– Trzeba jakoś się wykręcić – myśli. A potem mówi:

– Zgoda, to korzystny interes. Ale dręczy mnie wątpliwość. Nie wiedziałem, panie diable, że potrafisz rozkazywać żywiołom.

– I cóż z tego, przyjacielu? – odpowiada diabeł głosem słodziutkim jak miód. – Nie rozkazuję żywiołom, ale potrafię sobie radzić w inny sposób.

– Zróbmy więc rzetelną próbę. Jeśli zmielisz połowę z dwudziestu worków, które mam we młynie, przekonasz mnie i odstąpię ci duszę.

Zdarzyło się wówczas coś bardzo dziwnego. Chociaż najmniejszy podmuch wiatru nie poruszył listkiem na pobliskich drzewach, skrzydła wiatraka poczęły się ob-

racać, ziarno samo sypnęło się na kamień młyński i zaraz przemieniło się w bielutką mąkę.

Idący drogą do Vanves przystanęli.

– Patrzcie, wiatrak mistrza Szymona obraca się, chociaż nie ma wiatru! – I wszyscy szukali wyjaśnienia tego cudu.

Była już noc. Dziesięć worków ziarna zostało zmielonych. Diabeł podszedł do Szymona.

– Czy jeszcze wątpisz w moją moc? Podpisujże dokument.

Wetknął mu w dłoń pergamin z pieczęciami. Biedny młynarz poczuł się zbity z pantałyku. Zmarnował czas, podjął zobowiązanie i trapił się wielce, że przyjdzie oddać diabłu duszę, która mogłaby kiedyś, miał nadzieję, oglądać raj!

Zwrócił wzrok w stronę klasztoru, jakby szukał skądś natchnienia, i w tym samym momencie ujrzał, jak grupka benedyktynek schodzi po stopniach kaplicy.

Była to procesja majowa, a kiedy przechodziła, wszyscy wieśniacy klękali.

Orszak posuwał się powoli. Najpierw aspirantki, potem nowicjuszek, a wreszcie mniszki ubrane na białe i z zapalonymi świecami w dłoniach.

Jako ostatnia szła przeorysza. Szymon dobrze ją znał. Na piersi lśnił jej złoty krzyż, a w prawej dłoni miała pastorał.

Z twarzami zakrytymi kapturami i trzymając w rękach pochodnie, szli pokutnicy, a czterej nieśli feretron z posągami Matki Boskiej. Pod aureolą z drogocennych kamieni widać było przesłodkie oblicze.

Spojrzenie Szymona zwróciło się ku Niej. Czuł za swoimi plecami obecność diabła, choć ten skrył się za wielkim głazem, by nie patrzeć na widok, który wprawiał w drżenie wszystkie jego członki. Szymon wiedział, że dopóki świątobliwe mniszki śpiewają, dopóki jest tu prze-

orysza z krzyżem, a zwłaszcza dopóki jest posąg Matki Boskiej, nie musi niczego się lękać ze strony szatana, ale potem...

– Dotrzymaj coś obiecał – krzyczał diabeł, nie ważąc się wyjść ze swojego schronienia. – Dotrzymaj coś obiecał, podpisz pergamin albo zemszczę się straszliwie.

Szymon zbliżył się do posagu. A głos dalej krzyczał zza jego pleców:

– Dotrzymaj coś obiecał.

Wtedy młynarz podszedł do Matki Boskiej, która przesuwiała się tuż przed nim.

– Matko Przenajświętsza – modlił się – cóż mam zrobić?

– Zawiniłeś, Szymonie – szepnął mu do ucha głos, który zdawał się muzyką. – Obiecałeś, musisz dotrzymać. Ale ponieważ nie umiesz pisać, podpisz na swój sposób.

Szymon pojął w lot. Jeden z pokutników niósł wiaderko poświęconej wody, która miała posłużyć do błogosławienia pól. Szymon zanurzył w niej palec i podpisał pergamin. Podpisał na swój sposób, na sposób wszystkich niepiśmiennych na tym świecie: nakreślił znak krzyża.

Pergamin zapłonął, jakby tknął go ogień. Szymon usłyszał wybuch i obrócił się. Zza głazu, gdzie skrył się diabeł, wzbijała się lekka chmura dymu, a po polach rozszedł się zapach siarki. Młynarz rozejrzał się dokoła. Po diable nie został nawet ślad.

Jednocześnie zerwał się lekki wiatr i skrzydła starego wiatraka zaczęły się obracać.

Oczy Szymona napęłniły się łzami. Padł na kolana.

– Matko Przenajświętsza, chciałem wytargować wiatrak za moją duszę, a Ty wyrwałaś mnie ze szponów diabła. Od tej chwili mój młyn na zawsze już będzie się nazywał młynem Matki Boskiej.

Nawrócenie Kropelki

Dawno temu żył w głębi omszałej kniei pustelnik, człek wielkiej świątobliwości, dzień i noc zmagający się z demonem. Niekiedy stawały przed nim, jak żywe, wspomnienia matki, sióstr, domu zamierzchłego dzieciństwa, sąsiadek oraz sług, lecz gdy tylko spostrzegał omam, chwytął wielki kamień i bił nim w piersi.

Każdego ranka, o świcie, pustelnik czerpał wodę ze źródła. A była ona tak lazururowa, tak przejrzysta jakby majowe niebo, wpadłszy doń, tkwiło aż dotąd; było to źródółko skryte w zaciszu drzew i nikt poza samotnikiem nie mącił jego spokoju. Pustelnik kochał je, bo było śliczne, spowite zielenią paproci, tataraku, mięty, niezapominajek, jaskrów, irysów, kampanuli... Zaczepnawszy wody, miał wracać spieszenie do swego szałas, by odmawiać pacierze, starzec, z sercem przepełnionym zachwytem, ociągał się z opuszczeniem tych napierających nań zewsząd cudowności (na czym niewątpliwie cierpiała jego doskonałość, lecz cóż, trzeba pokazać dokładnie, jak się rzeczy miały).

Tak spoglądając, dostrzegł któregoś ranka na brzegu wody jakąś postać... Nie było jednak powodów do obaw: to nie była kobieta, tylko mała dziewczynka, tak młodziutka, że trudno nawet określić jej wiek. Srebrzyste jej włosy falami spływały na ramiona, a łagodny błękit oczu zdawał się wypełniać całą drobną figurkę. Dziewczynka

śmiała się wesoło do całej gromady zwierząt, brykających wokół źródła, a niektóre z nich, brodate, rogate, ostrouche, krzywonose i skośnookie nie były na pewno kozłami najlepszego gatunku.

Poganka! A jednak, jednak od całej jej postaci bije taka niewinność, że sam Zbawiciel na pewno z przyjemnością by ją zbawił, gdyby tylko można Mu o niej szepnąć słówko i doprowadzić ją do chrztu. Dziewczynka jednak nie pozwoliła się do siebie przybliżyć i ukryła się w trawach, cała drżąca na widok surowego starca, w którego pobrużdżonym obliczu zdawało się kryć najwyższe potępienie dla wszystkich wokół, nieopatrznie roześmianych istot.

Złagodził więc, jak tylko mógł, brzmienie swego głosu i zapytał:

– Jak się nazywasz? Czy masz jakieś imię?

– Kropelka – wyszeptała.

– Czy jesteś ochrzczone?

Podniosła ku niemu zognioną żrenicę bez odpowiedzi.

– Nie jesteś ochrzczone?... Nigdy nie spotkałaś Pana Boga?... To nie twoja wina. Lecz ty nie masz duszy. Czy chcesz mieć duszę?...

Umknęła.

– Nic z niej nie wyciągnę – zachmurzył się pustelnik – jest zbyt zdziwiona. Któż mógłby ją oswoić?

Pustelnik ów był mężem tak świątobliwym, że od czasu do czasu odwiedzał go Pan Jezus i właśnie tego dnia przypadła taka wizyta.

– Panie – rzekł samotnik – jest tu w pobliżu źródło, a przy nim dziewczeczka, którą musisz nawrócić. Mnie starego dziewczynka się boi, lecz gdybyś Ty zechciał przemówić do niej choć słowem, myślę, że poszłaby za Tobą aż do raju.

I Pan Jezus, żeby sprawić przyjemność swemu słudze, udał się do źródła. Kropelka siedziała na mchu, stopy zanurzyła w wodzie i bawiła się, przesypując w paluszkach małe, okrągłe kamyczki. Pan Jezus popatrzył na nią łagodnie, a ona zerwała się jednym susem, rzuciła Mu się do stóp, okryła Jego dłonie płynną falą swych włosów i podniosła na Niego swe przejrzyste, głębokie oczy, tak nagle puste, jakby od lat całych błagały o kroplę napoju.

– Czy chcesz być Moja? – spytał Pan Jezus. I natychmiast poszła za Nim. A On pobłogosławił ją zmoczonym w źródlanej wodzie palcem i zaprowadził do samotnika.

– Cóż ja z nią zrobię, Panie? – wykrzyknął święty mąż.

Lecz Pan Jezus już odszedł bez słowa, zostawiwszy pustelnika w nie lada kłopotcie.

– Co ja z nią zrobię? Przecież nie zamieszka tu ze mną. Muszę ją ochronić przed lasem i grzechami, które on kryje. Muszę ją ukryć w jakimś pewnym miejscu, gdzie mury są solidne, a bramy szczelnie zamknięte. W przeciwnym wypadku zgubi, nie wiadomo gdzie i jak, swą duszę nieśmiertelną, którą przed chwilą obdarował ją Pan Jezus. Czy aby tylko porządnie się nawróciła?

– Dokąd chcesz pójść, Kropelko? – zapytał.

– Do Pana Jezusa – odrzekła.

To przekonało go, że jej nawrócenie było całkowite, i zdecydował zamknąć ją w klasztorze, gdzie mniszki śpiewały nocą jak ukryte źródło. Naprzód jednak pouczył ją:

– Żebyś mogła zostać bliziotko Jezusa, musisz zrezygnować ze swoich lasów, kwiatów, towarzyszy zabaw, zwłaszcza z tych, którzy mają rogi i patrzą dziwnie z ukosa... Rozumiesz mnie, Kropelko? Musisz żyć spokojnie w domu Pana, nie wychodząc na zewnątrz i cały czas zachowywać milczenie.

Kropelka, nie potrafiąc już i nie pragnąc niczego innego, jeszcze raz rzekła:

– Chcę być blisko Pana Jezusa.

Starzec poprowadził ją do klasztoru. Nie wiedziała dokąd idzie, lecz z daleka uśmiechała się do Pana, któremu niosła cały swój skarb: wodę ze źródła. Gdy weszła do kaplicy, w której świece płonęły jak na wielkie święto, pustelnik powiedział:

– Daj mi tę wodę, bym ją pobłogosławił w imię Pana i poświęcił ku Jego służbie.

Wyciągnęła obie dłonie pełne żywej wody, którą poświęcił zamaszystym znakiem i wlał do kropielnicy.

A Kropelka, składając wilgotne jeszcze rączki, uklękła na chórze, pośród płonących świec, i cała okryta welonem swych włosów, zaczęła się modlić.

Kiedy jednak klęczała tak bez ruchu, po pewnym czasie znudziło ją to. Stopy jej odczuły szaloną ochotę biegania, ręce – bawienia się, usta – śmiechu. Nie mogła powstrzymać uczucia żalu za radosnym lasem, za listowiem paproci, zapachem mięty, szeptem kamyczków u źródła, za motylami, pszczołami i wszystkimi przyjaciółmi – zwierzętami. A kiedy ona się nudziła, święta woda w kropielnicy traciła swój błękit, swą wrodzoną świeżość, swój zapach martwoty.

Pewnego dnia, o świcie, kiedy zakonnice śpiewały Godzinki, jakaś zbłąkana jaskółka przecięła kościół i kalecząc skrzydełka o mury, żałośnie zapiszczała nad krzyżem. Wtedy Kropelka nie wytrzymała, zapomniała o Jezusie, myślała tylko o swym dzikim lesie i uciekła z klasztoru nie uczesana, płasząc w powietrzu chyżą stopą, trzepocząc swobodnymi dłońmi...

W kropielnicy wyschła święcona woda.

Pędząc wprost do źródła i witając uśmiechem wszystko – paprocie i mięty, i kamyki, i wszystkich skrzydlatych, czworonożnych i rogatych sąsiadów, Kropelka poczuła nagle jak serce jej pęka z bólu. Dotąd tęskniła za bez troskami, szalonymi towarzyszami zabaw, teraz prze-

niknęła ją tęsknota za Panem. I zapłakała mała dzika dziewczynka.

Kiedy jednak Jezus daje komuś nieśmiertelną duszę, nie przestaje się nim opiekować. Tak więc zaszedł znów do świętego pustelnika.

– Co robi moja córka, Kropelka?

– Ach, Panie – jęknął zgnębiony starzec. – Kropelka wróciła do swoich grzechów. To zdrajczyni, bezbożnica!

– Tak myślisz? – spytał Jezus.

– Wietrznica!

– Zbyt krótko po prostu żyje po nowych narodzinach i nie zna jeszcze swej drogi. Trzeba mi kogoś, kto by ją strzegł.

– Ja się tym nie zajmę.

– Nie! Ty nie znasz się wcale na dzieciach. Potrzebna mi do tego kobieta. Poszukam jej.

– Kobieta! Jeszcze tylko kobiety tu trzeba! Co miał na myśli Pan Jezus?... Kobieta!

Lecz Jezus już odszedł i powracał właśnie z kobietą o twarzy czystej jak u Kropelki, do której zresztą była tak podobna, jakby była jej matką. Kropelka była drobna i krucha, jak pączek kwiatu, ta zaś – szlachetna i królewska jak lilia. W ręku trzymała kądzień, przygotowaną do przedzenia.

– Matko – rzekł Pan Jezus – polecam ci Kropelkę. Ona nie zna swej drogi, pilnuj jej dobrze i nie pozwól zginąć.

– Dobrze – odpowiedziała Niewiasta – dobrze, mój Synu, będę jej strzegła. Nauczę ją różnych robótek – dziewczęta powinny to umieć – lecz pozwolę jej biegać po lasach i bawić się ze zwierzętami, bo dzieci muszą się bawić, byleby potem wróciły w ramiona tych, których kochają. Chodź do mnie, Kropelko, córeczko moja, nauczę cię prac.

Kropelka przytuliła się do rąk kobiety i skryła swe jasne oczy w fałdach Jej błękitnej sukni. A Pan Jezus zostawił je same. Kobieta nauczyła ją prac i leczyć choroby. Dziewczynka takiej nabrała w tym wprawy, że pustelnik musiał zbudować tuż obok źródła kaplicę, by mogła pomieścić tłumy chorych i zgnębionych, pragnących uleczyć bóle swych ciał. Gdy je opatrzyła, dojrzała, wyleczyła wszystkich potrzebujących, biegała w podskokach do lasu, tak daleko, by nikt jej nie dostrzegł, i tam, w cieniu gęstych gałęzi, bawiła się z łanią, kozłeciem lub innymi leśnymi stworami. A Matka Boska, która wiedziała, że wkrótce miłość przywiedzie jej Kropelkę uległą, spokojnie czekała, przędąc swą kądziel na brzegu źródła.

Marie Noël

„Niepokalana” 1975 nr 2 s. 52-55



Braciszek i zbójcy

Pewien święty mnich miał zwyczaj za każdym razem, kiedy nabierał tchu, mówić „Ave Maria”. Był więc bardzo oddany Najświętszej Pannie i polecał się Jej we wszystkich sprawach swego żywota.

Razu jednego ów braciszek musiał wyjść, by omówić z pewnym możnowładcą sprawy klasztoru, a śledzili go dwaj zbójcy. Brat miał zabrać ze sobą dużo pieniędzy i zbójcy, wiedząc o tym, postanowili zastawić nań pułapkę, by zabić go i obrabować.

Czuwali więc przez całą noc w pobliżu klasztoru, a kiedy zaświtało, zobaczyli, jak nadjeżdża z daleka na koniu, lecz przyjrząwszy mu się lepiej, popadli w osłupienie. Zobaczyli bowiem, że obok brata jest piękna niewiasta, która podsunęła mu pod brodę białą chustę, by pochwycić rzecz jakąś dobywającą się z jego ust. Były to róże i szlachetna dama, która jechała z braciszkiem, zbierała je w płócienną chustę.

Zdawało się, że braciszek nie widzi, co się z nim dzieje. Niewiastą, którą zbójcy widzieli, była Najświętsza Panna, a różami były Zdrowaśki, albowiem braciszek odmawiał je po drodze.

Złoczyńcy, widząc cud, jakby wrośli w ziemię i pożłowali tego, co mieli zamiar uczynić. Kiedy braciszek znalazł się już przy nich, z jego skupionej twarzy pojęli, że nie widzi, co się z nim dzieje, a to przeraziło ich jeszcze

bardziej, więc rzucili się mu do stóp i błagali, by wybaczył im zamiar zabójstwa. Zapytali go potem, co stało się z niewiastą, która z nim była, lecz on odpowiedział, że żadnej niewiasty nie widział.

Zbójcy, z powodu wielkiego cudu, którego byli świadkami, nawrócili się i także zostali braciszkami.

Bonvesin da Riva

Leggende cristiane, Milano 1963, s. 259



Sztukmistrz Matki Boskiej

W czasach króla Ludwika żył we Francji biedny sztukmistrz, pochodzący z Compiègne i zwany Barnabą, który chodził po miastach, popisując się swą siłą i zręcznością.

W dni targowe rozkładał na placach publicznych stary, całkiem zniszczony dywan i zwabiwszy dzieci i gapiów zabawnymi słowami, których nauczył się od pewnego starego sztukmistrza i do których nie wprowadzał nigdy najmniejszej zmiany, przyjmował postawę sprzeczną z naturą i stawiał sobie na nosie cynowy talerz.

Tłum z początku przyglądał mu się obojętnie. Ale kiedy stojąc na rękach, podrzucał i chwycił stopami sześć kul z brązu, które błyszczały w słońcu, albo kiedy wyginał się tak, że dotykał piętami do karku, nadając ciału kształt doskonałego koła i żonglował w tej pozycji dwunastoma nożami, szmer podziwu przemykał wśród oglądających i na dywan padały monety.

Jednakże, jak większość tych, którzy żyją ze swego talentu, Barnabie z Compiègne trudno było wyżyć. Zarabiając na chleb w pocie czoła, dźwigał większą, niżby mu przypadła, częśćkę nędzy, która wzięła się z grzechu naszego ojca, Adama.

Zresztą nie mógł pracować, kiedy zechciał. Swoją wspa-
niałą zręczność mógł – podobnie jak drzewa, kwiaty i owoce – pokazywać w cieple słonecznym i przy świetle dnia.

Zimą natomiast stawał się tylko drzewem огоłoconym z liści i prawie martwym. Zamarznięta ziemia była za twarda dla sztukmistrza. I jak cykada, o której mówi Marie de France, cierpiał chłód i głód w okresie złej pogody.

Nigdy nie zastanawiał się nad pochodzeniem bogactwa ani nad nierównością ludzkiego losu. Bardzo liczył na to, że jeśli ten świat jest zły, tamten musi być dobry, i ta nadzieja podtrzymywała go na duchu. Nie naśladował błaznów oszukańczych i niedowiarków, którzy sprzedali swoje dusze diabłu. Nie złorzeczył nigdy imieniu Bożemu, lecz żył uczciwie, a chociaż nie miał żony, nie poządał też żony bliźniego swego, albowiem niewiasta jest nieprzyjacielem silnych mężczyzn, jak to widać z historii Samsona, która została przytoczona w Piśmie Świętym.

Był prawym człkiem, żyjącym w bojaźni Bożej i wielkim nabożeństwie dla Najświętszej Panny. Kiedy wchodził do kościoła, nigdy nie zaniedbał ukłęknać u stóp figury Matki Boga i zwrócić ku Niej tej oto modlitwy: „Pani, miej w pieczy me życie, aż spodoba się Bogu, bym umarł, a kiedy umrę, spraw, bym radował się szczęśliwością w raju”.

Pewnego wieczoru, po deszczowym dniu, kiedy szedł sobie smutny i zgarbiony, niosąc pod pachą swoje kule i noże zawinięte w stary dywan i rozglądając się za jakąś szopą, gdzie mógłby ułożyć się do snu bez wieczerzy, ujrzał braciszka, który szedł tą samą drogą i pozdrowił go uprzejmie. Ponieważ szli w tę samą stronę, zaczęli gawędzić.

– Bracie – rzecze mnich – z jakiej przyczyny jesteś cały ubrany na zielono? Może zamierzasz recytować rolę szaleńca w świętym przedstawieniu?

– Właściwie, ojcze – mówi Barnaba – nazywam się Barnaba i jestem z zawodu sztukmistrzem. Byłby to najpiękniejszy zawód świata, gdyby można było jeść każdego dnia.

– Przyjacielu Barnabo – powiada mnich – zważ na to, co rzeczesz. Nie ma lepszego stanu nad zakonny. Głosimy chwałę Boga, Najświętszej Panny i świętych, a życie zakonne jest jedną pieśnią na cześć Pana.

Barnaba na to:

– Ojciec mój, wyznaję, że przemawiał jak człek nieuczony. Twojego stanu nie można porównać z moim i chociaż jest zasługa w tym, że się tańczy, trzymając na czubku nosa w równowadze kij, a na nim monetę, ta zasługa jest niczym przy twojej. Chciałbym tak jak ty, mój ojciec, śpiewać codziennie modlitwy, a osobliwie modlitwy na cześć Najświętszej Panny, do której mam szczególne nabożeństwo. Chętnie wyrzekłbym się mego rzemiosła, z którego jestem znany od Soisson po Beauvais w sześciuset miastach i wsiach, by poddać się życiu klasztornemu.

Mnicha wzruszyła prostota sztukmistrza, a ponieważ nie brakowało mu rozumu, rozpoznał w Barnabie jednego z tych ludzi dobrej woli, o których Pan nasz rzekł: „Na ziemi pokój ludziom”. Dlatego odpowiedział:

– Przyjacielu Barnabo, chodź ze mną, a wprowadzę cię do klasztoru, którego jestem przeorem. Ten, który poprowadził Marię Egipcjankę na pustynię, postawił mnie na twojej drodze, bym powiódł cię drogą zbawienia.

I w ten sposób Barnaba został mnichem. W konwen-

1-

cie, do którego go przyjęto, zakonnicy rywalizowali w oddawaniu czci Najświętszej Pannie i każdy starał się służyć Jej całą swoją wiedzą i całą biegłością, jaką Bóg go obdarzył.

Przeor układał księgi, które w zgodzie ze scholastyczną zasadą rozprawały o cnotach Matki Bożej. Brat Maurycy przepisywał biegłą dłonią te traktaty na pergaminowe karty. Brat Aleksander ozdobił je delikatnymi miniaturami. Widać na nich było Królową niebios, jak za-

siada na tronie Salomona, a u Jej stóp czuwają cztery lwy. Wokół Jej głowy w aureoli unosiło się siedem gołębic, które są siedmioma darami Ducha Świętego: darem bojaźni Bożej, pobożności, wiedzy, męstwa, rady, rozumu i mądrości. Miała za towarzyszek sześć dziewic złotowłosych: Pokorę, Przezorność, Umiar, Szacunek, Dziewictwo i Posłuszeństwo. U Jej stóp dwie małe nagie i całe białe postacie trwały w akcie błagalnym. Były to dusze, które prosiły dla swego zbawienia, i z pewnością nie nadaremnie, o Jej wszechmocne wstawiennictwo.

Brat Aleksander przedstawił na innej stronicy Ewę jako przeciwieństwo Maryi, by widać było jednocześnie grzech i odkupienie, niewiastę upokorzoną i wzniosłą dziewicę. Można było poza tym podziwiać w tej księdze studnie wody żywej, źródło, lilie, księżyc, słońce, ogród zamknięty, o którym powiada się w Pieśni nad pieśniami, i wszystkie alegoryczne wizerunki Najświętszej Panny.

Brat Marbodiusz należał także do najtkliwszych synów Maryi. Wyciosywał bez spoczynku wizerunki z kamienia, tak że miał brodę, brwi i włosy białe od pyłu, a jego oczy były wiecznie napuchnięte i łzawiły, lecz nie tracił siły i radości mimo podeszłego wieku i jawnym było, że Królowa czuwa z raju nad starością swojego syna. Marbodiusz przedstawiał Ją zasiadającą na katedrze, z czołem otoczonym nimbem wysadzonym perłami. I dbał o to, by fałdy sukni okrywały stopy Tej, o której powiedział prorok: „Ogrodem zamkniętym jesteś”. Czasem przedstawiał Ją także z rysami dziewczęcia pełnego wdzięku i zdawał się mówić: „Panie, Tyś moim Panem! Dixi de ventre matris meae: Deus meus es tu”.

Byli także w klasztorze poeci, którzy układali po łacinie rzeczy prozą i pieśni na cześć Błogosławionej Panny Maryi, i był również pewien Pikardyjczyk, który przekładał cuda naszej Pani na język pospolity i na rymowane wiersze.

Mając przed oczyma takie współzawodnictwo we chwale i tak piękne żniwo wszelkich dzieł, Barnaba opłakiwał swoją niewiedzę i prostotę.

– Biada mi! – wzdychał, przechadzając się samotnie w nieocienionym ogródku klasztornym. – Jakimż nie-szczęśny, że nie mogę, jak moi konfratry, chwalić w sposób godny Matki Boskiej, której ślubowałem wszak miłość mego serca. Biada mi, biada! Jestem człek grubiański i bez żadnej biegłości i nie mam dla Ciebie, Pani moja, ani budujących kazań, ani traktatów ściśle podzielonych według zasad, ani subtelnych obrazów, ani posągów dokładnie ociosanych, ani wierszy wyliczonych co do stopy i miary. Niestety, nie mam nic!

Żalił się w ten sposób i oddawał się smutkowi. Pewnego wieczoru, kiedy mnisi nabierali sił, gawędząc, posłyszał, jak jeden z nich opowiada historię pewnego zakonnika, który umiał odmawiać tylko „Zdrowaś Maryjo”. Tym zakonnikiem gardzono z powodu jego braku wiedzy, lecz kiedy zmarł, dobyło się z jego ust sześć róż na cześć sześciu liter imienia Maryja i tak objawiła się jego świętość.

Słuchając tej opowieści, Barnaba raz jeszcze podziwiał dobroć Najświętszej Panny, lecz nie pocieszył go przykład tej szczęśliwej śmierci, ponieważ jego serce było przepełnione zapalem i chciał służyć ku chwale swojej Pani, która jest w niebie.

Szukał jakiegoś sposobu, lecz nie potrafił go znaleźć i popadał z każdym dniem w coraz większe strapienie, kiedy pewnego ranka zbudził się radosny, pobiegł do kaplicy i przez godzinę pozostawał w niej sam. Wrócił też po południu.

I począwszy od tej chwili, siedł co dzień do kaplicy w porze, kiedy była pusta, i spędzał w niej wielką część czasu, który inni mnisi poświęcali na sztuki wyzwolone i służebne. Nie był już smutny i przestał się użalać.

Zastanawiano się we wspólnocie, czemu brat Barnaba tak często znika.

Przeor, którego obowiązkiem jest wiedzieć wszystko, co dotyczy zachowania jego zakonników, postanowił obserwować Barnabę, by zobaczyć, co też czyni w samotności. Tak więc pewnego dnia, kiedy Barnaba się zamknął jak zwykle w kaplicy, czcigodny przeor przybył w towarzystwie dwóch starszych zakonników, by obserwować przez szparę w drzwiach, co dzieje się wewnątrz.

Zobaczyli Barnabę, który z głową w dół i nogami w powietrzu żonglował przed ołtarzem Najświętszej Panny sześcioma kulami z brązu i dwunastoma nożami. Wykonywał na cześć Matki Boga te sztuki zręcznościowe, które przyniosły mu największe pochwały. Nie pojmując, że ten prosty człowiek oddaje w ten sposób swój talent i swoją wiedzę na służbę Najświętszej Pannie, dwaj starcy zaczęli wykrzykiwać, że to świętokradztwo.

Przeor wiedział, że Barnaba ma duszę niewinną, ale pomyślał, że ogarnęło go szaleństwo. Gotowali się więc, by wyprowadzić swego brata czym prędzej z kaplicy, kiedy ujrzeli, jak Najświętsza Panna zstępuje po stopniach ołtarza, by krajem swego błękitnego płaszcza osuszyć pot, który perlił się na czole Jej sztukmistrza.

Wtenczas przeor, padając na twarz, wypowiedział te słowa:

- Błogosławieni prości, albowiem oni Boga oglądać będą.
- Amen – odpowiedzieli starcy, całując ziemię.

Według Anatola France'a

Najświętsza Panna i młody rycerz

W okolicy Leuven żył niegdyś młody rycerz ze szlacheckiego rodu; roztrwonił całą schedę na turniejach i innych pustych zabawach. Popadł w nędzę i kiedy nie mógł już pokazywać się z innymi rycerzami, jak to miał w zwyczaju czynić w dobrych czasach, ogarnął go taki smutek, że pogrążył się w rozpacz.

Rządca jego dóbr, pragnąc go pocieszyć, powiedział, że jeśli pójdzie za jego radą, znowu będzie bogaty. Rycerz zgodził się i rządca pewnej nocy zaprowadził go do lasu, gdzie za pomocą zaklęć wezwał diabła, który zaraz oddał się na ich usługi, pytając, czego chcą. Kiedy rządca wskazał na rycerza i zażądał, by przywrócone mu zostało bogactwo, diabeł odparł, że zadowolony go szybko i chętnie, jeśli rycerz najpierw wyrzeczy Chrystusa i swojej wiary. Rycerz jednak odmówił.

– Nie chcesz więc odzyskać dawnego bogactwa i dawnego stanu? – rzekł rządca. – Po cóż więc niepotrzebnie zwracałeś mi głowę?

Rycerz zrozumiał, że jeśli chce być bogaty, musi się zgodzić, a pragnienie, by odzyskać wygody, w jakich żył dawniej, sprawiło, iż dał się przekonać i poszedł za złą radą rządcy. Niechętnie i w udręce, ale jednak zaparł się Jezusa Chrystusa i swojej wiary. Wtedy diabeł powiedział:

– Musi jeszcze wyprzeć się Matki Chrystusa; dopiero wtedy dostanie wnet to, czego pragnie.

Ale tym razem rycerz stanowczo odmówił, odwrócił się do nich tyłem i wyszedł z lasu. Po drodze, rozmyślając nad wielkim grzechem, jaki popełnił, zapierając się Boga, skruszony i zmartwiony, wszedł do kościoła, ukląkł nabożnie przed drewnianym posągim Najświętszej Panny z Dzieciątkiem w ramionach i wylewając obficie łzy, błagał o zmiłowanie i wybaczenie przerażającego grzechu, jaki popełnił.

Właśnie o tej porze inny rycerz, który nabył posiadłości rycerza skruszonego, wszedł do tegoż kościoła i widząc znanego sobie dobrze młodzieńca, który modli się tak pobożnie i tak zalewa łzami, zdziwił się. Zaciekawiony, ukrył się za filarem.

W tym momencie Najświętsza Maryja zaczęła przemawiać ustami posągu i obaj mężczyźni wyraźnie słyszeli, jak rzekła do Jezusa:

– Synu mój, proszę, byś zmiłował się nad tym grzesznikiem.

Dzieciątko nie odpowiedziało na Jej słowa, a nawet odwróciło oblicze, by na Nią nie patrzeć, ale Maryja ciągnęła:

– Synu, oszukano go. Wcieliłeś się w mym żywocie po to, by zbawić grzeszników, i polecam ci oto tego człeka, który tak Mnie czci!

Wówczas Dzieciątko odparło:

– Matko, ten, którego mi polecasz, wyparł się Mnie. Jak możesz prosić, bym mu pomógł?

Na te słowa posąg Maryi zszedł z piedestału i złożwszy Dzieciątko na ołtarzu, padł na kolana przed Nim, błagając:

– Synu mój najśłodszy, zaklinam Cię na mą miłość, byś wybaczył temu skruszonemu grzesznikowi jego przewinę.

Wtenczas Dzieciątko ujęło Matkę za dłoń i podniosło Ją, mówiąc:

– Matko najmilejsza, nie mogę odmówić Ci niczego, o co Mnie prosisz. Wybaczam temu rycerzowi cały jego grzech, a dla Ciebie to czynię.

Najświętsza Panna wzięła Syna na ręce i wróciła na piedestał; rycerz upewniwszy się ze słów, które usłyszał, że zostało mu wybaczone, odszedł nadal jeszcze zboląły i zasmucony z powodu swego grzechu, ale i pocieszony, gdyż uzyskał wybaczenie. Kiedy wychodził z kościoła, tamten drugi rycerz, który był ukryty za filarem i wszystko słyszał i widział, poszedł za nim ukradkiem, a pozdrowiwszy go, zapytał, czemu ma oczy tak mokre od łez. Ten pierwszy odparł, że to przez wiatr.

Wówczas ów drugi rycerz powiedział:

– Wiem wszystko, co ci się przydarzyło, i chcę ozdobić jeszcze łaskę, jaką cię obdarzono, a to przez miłość do Tej, która ją dla ciebie wyblagała. Mam jedyną córkę na wydaniu i dam ci ją za żonę, jeśli zechcesz, a jako posag zwracam ci wszystkie bogate posiadłości, które od ciebie kupiłem. I zamierzam traktować cię jak syna i uczynić dziedzicem wszystkich moich dóbr, a są one liczne.

Młodzieniec zgodził się z radością na to małżeństwo i podziękował Najświętszej Pannie, której – wiedział wszak – zawdzięczał wszystkie łaski.

Jacopo Passavanti

Leggende cristiane, Milano 1963, s. 263-264



Święci w legendzie



Święty Piotr i rządzenie światem

Legeda węgierska

Pewnego dnia święty Piotr doznał po przebudzeniu wspaniałego natchnienia. Chciał rządzić światem. Nie śmiał wyrazić swojego niedorzecznego pragnienia, ale Jezus Chrystus wyczytał je w jego sercu.

– Myślisz, że to rzecz łatwa?

– Może i nie – przyznał święty Piotr. – Ale chciałbym spróbować.

– No dobrze – odparł Jezus. – Na jeden dzień zasiądziesz na tronie i będziesz rządził światem.

I święty Piotr znalazł się na złotym tronie Pana, skąd widział cały świat, miasta, kraje i wsie, i wszystkich ludzi. Jego spojrzenie spoczęło na pewnej staruszce, która siedziała sobie spokojnie i w pogodnym nastroju na łące, a w tym czasie biała krowa i jej cielaczek pasły się obok. Jakiś człowiek, przechodząc tamtędy, zatrzymał się i zapytał:

– Co robisz?

– Pilnuję krowy i cielątka. Ale teraz chce mi się jeść, więc pójdę na chwilę do domu, żeby coś przegryźć.

– A krowę i cielátko weźmiesz ze sobą?

– Nie, zostaną tutaj.

– Same? Nie boisz się?

– Och, nie, Pan Bóg będzie miał nad nimi pieczę.

Święty Piotr usłyszał te słowa i świadomy poważnej odpowiedzialności, jaka ciąży na jego barkach, opuścił tron w niebiosach i zszedł na łąkę, żeby przypilnować bydłatek, nie mógł wszak zawieść zaufania staruszki, która zawierzyła Bogu.

Ale nagle pojawił się rój much, które napadły na cielaczkę. Cielaczek szarpnął się, wierzgnął i w końcu zaczął uciekać, a za nim krowa, zaniepokojona o swoje dziecko.

– W ładnych tarapatach się znalazłem – powiedział sobie święty Piotr. Ale chcąc stanąć na wysokości zadania, nie wahając się, pomknął jak strzała za zwierzętami. Pędzili tak, że włosy stają na głowie. Najpierw musiał przeskoczyć rów i niewiele brakowało, byłby wywinął kozła, potem był żywopłot, na którym rozdarł sobie spodnie, wreszcie musiał przebyć rzekę i omal się nie utopił. Ale kiedy pokonał już wszystkie przeszkody, dogonił wreszcie uciekinierów. Był strasznie zmęczony, brakowało mu tchu i nogi się pod nim ugiwały. Chwycił jednak bydłeta za ogony i udało mu się zaciągnąć je na łąkę dokładnie w momencie, kiedy staruszka tam wróciła. Zadowolony, że pomyślnie wywiązał się ze swego obowiązku, nie ukazując się jej, wstąpił z powrotem do nieba.

Kiedy Jezus zobaczył, że Piotr wraca, zapytał:

– Jakże spodobało ci się zajęcie króla świata?

– Na miłość Boską, to dla mnie za trudne! Błagam Cię, byś mnie zwolnił z tego obowiązku. Ile musiałem się namęczyć, żeby nie sprawić zawodu pewnej staruszce! Jakże zdołałbym spełnić wszystkie modlitwy, które wznoszą się do nieba?

Leggende cristiane, Milano, s. 511-512



Matka świętego Piotra

Pewnego ranka, piętnaście ledwie dni po przybyciu Piotra do raju, zdarzyło się, że jeden z aniołów stanął przed tronem naszego Pana, skłonił się siedem razy, a potem rzekł:

– Świętemu Piotrowi musiało przydarzyć się coś bardzo złego. Nie chce jeść ani pić, oczy ma zaczerwienione, gdyż nie może zasnąć.

Nasz Pan natychmiast zerwał się z tronu i wyruszył na poszukiwanie Piotra.

Znalazł go bardzo daleko, w najodleglejszym zakątku raju, przycupniętego, jakby ze zmęczenia nie mógł utrzymać się na nogach. Szaty miał podarte, a głowę okrytą prochem.

Widząc go w takim stanie, Pan usiadł przy nim.

– Co ci się stało, Piotrze?

Ale święty Piotr był tak zboląły, że nie zdobył się nawet na odpowiedź.

– Nuże, rzeknijże, cóż to tak cię zasmuciło? – zapytał raz jeszcze Pan.

Wtenczas Piotr zerwał sobie z głowy złoty wieniec i rzucił pod nogi Jezusowi, jakby chciał dać do zrozumienia, że już nie chce uczestniczyć w splendorze królestwa Bożego.

Lecz Jezus zrozumiał, że święty Piotr zbyt jest strapiiony, by wiedział, co czyni, więc wcale się nie rozgniewał.

– Musisz powiedzieć mi, co cię tak dręczy – powiedział mu z najgłębszą tkliwością w głosie.

Święty Piotr skoczył na równe nogi.

– Muszę stąd odejść – wykrzyknął. – Nie mogę zostać ani dnia dłużej w raju.

Pan próbował go uspokoić, jak czynił zawsze, kiedy święty Piotr był rozjątrzony.

– Nie zabronię ci odejść, najpierw przecież winienesz rzecz mi, co cię tak trapi.

– Miałem starą matkę i dwa dni temu zmarła.

– Wreszcie znam powód twojego zmartwienia! Cierpisz, gdyż twoja matka nie znalazła się w raju?

– No właśnie – odparł przepełniony goryczą święty Piotr i zaczął płakać i lamentować. – Zdawało mi się, że zasłużył, by spędzała ze mną wieczność.

Kiedy nasz Pan poznał przyczynę bólu apostoła, strapił się bardzo, wiedział bowiem, że matka świętego Piotra nie jest godna raju. W ciągu swego życia myślała tylko o gromadzeniu pieniędzy dla siebie, biednym zaś, którzy stukali do jej drzwi, nie dała nigdy ani pieniążka, ani kromki chleba.

– Skąd masz pewność, Piotrze, że twoja matka czułaby się szczęśliwa z nami?

– Któż może nie czuć się szczęśliwy w raju? – odparł Piotr.

– Kto nie raduje się radością innych, nie może być szczęśliwy w raju – rzekł Pan.

– Są więc inni, którzy nie zasługują, by przebywać tutaj – oznajmił uczeń, a Jezus pojął, że ma na myśli siebie i poczuł się zasmucony, gdyż doprawdy święty Piotr sam nie wiedział, co mówi. Przez chwilę trwał w milczeniu, czekając, by uczeń się skruszył i zdał sobie sprawę z tego, że jego matka nie może znaleźć się w raju, lecz czekał da-

remnie. Wówczas wezwał anioła, rozkazał mu zstąpić do piekła i sprowadzić do raju matkę świętego Piotra.

– Pozwól, bym widział, jak będzie ją tu prowadził – rzekł święty Piotr.

Pan nasz ujął go za dłoń, zaprowadził na skałę, która sterczała stromo nad niezgłębioną otchłanią, i pokazał, że wystarczy wychylić się odrobinę za krawędź, by zobaczyć piekło.

W pierwszej chwili święty Piotr nie mógł dostrzec nic. Zdawało mu się, że patrzy w mrok. Była to przepaść bez dna, mroczna i czarna. Pierwszą rzeczą, jaką dostrzegł, był anioł, który opuszczał się nieustraszenie w tę ciemność, z otwartymi skrzydłami, by nie opadać zbyt szybko.

Potem, kiedy wzrok mu przywykł, zaczął rozróżniać jakieś cienie. Zdał sobie wówczas sprawę z tego, że raj położony jest na szczycie góry i wznosi się nad niezmierną otchłanią, gdzie zamieszkują potężni. Widział, jak anioł ciągle nie docierał do dna, chociaż był coraz niżej. Świętego Piotra przeraziła ta niekończąca się wyprawa.

– Żeby tylko zdołał wzbić się aż tutaj z moją matką! Zbawiciel patrzył na niego wielkimi, smutnymi oczami.

– Nie masz takiego brzemienia, którego by mój anioł nie dźwignął – rzekł.

Do gardzieli, która zagłębiała się w straszliwy mrok, nie docierało żadne światło, lecz anioł wniósł tam teraz odrobinę jasności.

Piotr zdołał dojrzeć nieskończoną pustynię pełną ostrych skał, a pośród stromych iglic stawy martwej wody. Ani żdźbła trawy, ani roślinki, najmniejszego śladu życia.

Do wierzchołków tych ostrych kamieni przywarły duże potępionych. Czepiały się skał w nadziei, że wymkną się z otchłani, lecz nie znajdując żadnego ratunku, trwały jak skamieniałe z przerażenia.

Niektóre siedziały lub leżały z ramionami i oczami wzniesionymi ku górze w niewysłowionym i nękającym

pragnieniu pięcia się. Inne zakrywały dłońmi twarze, by nie widzieć dokoła całego smutku i przerażenia. Jeszcze inne stały zanurzone w tych sadzawkach z martwą wodą, nie próbując nawet się z nich wydostać.

Lecz rzeczą najstraszliwszą była nieskończona liczba tych dusz. Zdawało się, że całe dno piekielnej otchłani składa się z ciał i głów.

Świętego Piotra ogarnęła niecierpliwość.

– Zobaczysz, że jej nie znajdzie – mówił do Pana.

Jezus ciągle patrzył na niego swoimi wielkimi, smutnymi oczyma. Wiedział, że Jego uczeń nie ma najmniejszego powodu, żeby się niepokoić o wynik wyprawy anioła. A jednak świętemu Piotrowi wydawało się, że niebiański wysłannik nie zdoła znaleźć jego matki pośród niezmiernego kłębowiska potępionych.

W tym czasie anioł rozpostarł skrzydła i unosił się nad otchłanią, szukając Piotrowej matki.

Oto dostrzegł go któryś z potępionych. Zerwał się na równe nogi.

– Zabierz mnie, zabierz mnie z sobą!

I nagle zbudziło się życie. Miliony milionów dusz marniejących w piekle powstało, wznosząc ramiona i wzywając anioła, by zabrał je do raju błogosławionych.

Ich krzyki dotarły aż do naszego Pana i do świętego Piotra, któremu serce drżało z trwogi.

Anioł unosił się z rozpostartymi skrzydłami nad potępionymi, by wypatrzyć tę, której szukał, ale rzuciły się do niego wszystkie dusze, jakby wciągał je wir.

W końcu Boski posłaniec dostrzegł tę, którą miał zabrać. Złożył skrzydła i przeciął powietrze niby strzała. Święty Piotr wykrzyknął z radości, widząc, jak otacza ramieniem i unosi jego matkę.

– Bądź błogosławiony ty, który przynosisz mi matkę!

Nasz Pan objął go, prawie jakby chciał go napomnieć, by zbytnio nie oddawał się radości. Ale święty Piotr roz-

płakał się ze szczęścia. Jego matka była zbawiona i myślał, że teraz nic już nie zdoła go z nią rozłączyć. A ta radość wzrosła ponad wszelką miarę, kiedy zobaczył, że kilkoro spośród potępionych, choć anioł mknął prędko, było szybszych niż wybrana i pragnąc wznieść się do raju, chwyciło się tej, która zmierzała ku zbawieniu.

Wielka ilość dusz przywarła teraz do starej kobiety. Syn myślał:

– Jakież to dla niej zaszczyt, że oto wybawia tylu nieszczęśliwych od potępienia!

Anioł nie uczynił nic, by ich odepchnąć. Nie wydawało się, by to brzemień mu ciążyło, wzbijał się, poruszając skrzydłami, jakby niósł do nieba ptaszynę.

Ale nagle święty Piotr zobaczył, że jego matka zaczyna odpychać dusze, które się jej czepiały. Kopiąc i gryząc, spychała je z powrotem do piekła.

Święty Piotr słyszał modlitwy, błagalne głosy, ale starucha nie mogła znieść, by inni zostali zbawieni. Odrywała od siebie jedną po drugiej te zbolełe dusze, które spadały na powrót w otchłań, podczas gdy mroczna gardziel rozbrzmiewała rozpaczliwymi okrzykami i przekleństwami.

Wtedy święty Piotr krzyknął do matki, błagał ją, by ulitowała się nad duszami nieszczęśliwymi i spragnionymi, ale ona zdawała się nie słyszeć i dalej je od siebie odganiała.

Święty Piotr dostrzegł wówczas, że anioł wzbija się wolniej i z większym trudem, choć przecież winno ubywać mu brzemienia, i ogarnęła go tak wielka zgryzota, iż nie mógł się już powstrzymać i padł na kolana.

Jeszcze tylko jedna dusza była uczepiona staruchy, młodziutka niewiasta, która błagała i zaklinała, by ona także mogła dostać się do raju.

Anioł prawie już dotarł do skraju skały i święty Piotr mógł, wyciągnąwszy ramię, pochwycić swoją matkę.

Zdawało mu się, że anioł jednym uderzeniem skrzydeł wzbije się do wierzchołka, ale nagle przestał poruszać skrzydłami, a jego oblicze pociemniało niby noc. Starucha robiła, co mogła, by odepchnąć dziewczynę, która się jej uczepiła. Rozwierała palce biedaczki zaciśnięte na jej szyi i pchając i drapiąc, zdołała oderwać nieszczęsną i rzucić w otchłań.

Kiedy dziewczyna spadła, anioł stracił wysokość i wydawało się, że już nie może utrzymać swego brzemienia ni rozpostrzeć skrzydeł.

Patrzył na staruchę głęboko zasmuconymi oczami. Jego ramię otworzyło się mimowolnie, jakby teraz, kiedy została mu tylko ta kobieta, dźwigał ciężar zbyt wielki, i wypuścił ją.

Potem uderzywszy mocno skrzydłami, wzbił się i dotarł do raju.

Święty Piotr nawet nie drgnął. Klęczał, łkając. Pan stał przy nim, nie odzywając się ani słowem.

– Święty Piotrze – powiedział po jakimś czasie – nigdy bym nie uwierzył, że możesz aż tak płakać w raju.

Wówczas apostoł Boga podniósł głowę i odparł:

– Cóż to za raj, skoro nadal dochodzą mych uszu lamentsy najbliższych i czuję cierpienie bliźniego?

Twarz Pana pociemniała, tak że malowało się na niej ogromne zasmucenie, i rzekł Pan:

– Czyżbyś chciał dać wszystkim raj najczystszej i najwyższej szczęśliwości? Czyż nie pojmujesz, że po to właśnie zstąpiłem między ludzi i nauczałem ich, by miłowali bliźnich jak siebie samych? Lecz póki nie będą do tego zdolni, ani w niebie, ani na ziemi nie znajdzie się miejsce, gdzie nie dosięgłyby ich troski i cierpienia.

Według Selmy Lagerlöf

Święty Andrzej pomaga swojemu czcicielowi

Powiadają, że z grobu błogosławionego Andrzeja sypała się, bywało, manna niby mąka i wypływał olejek o przesłodkim zapachu, co zapowiadało płodność pól. Jeśli olejek sączył się obficie, ziemia wydawała mnogość owoców, w przeciwnym przypadku żniwa były ubożuchne.

Pewien nader pobożny biskup miał spośród wszystkich świętych szczególne nabożeństwo dla Andrzeja, do tego stopnia, że obok tytułu swoich dzieł dopisywał zawsze: Ku czci błogosławionego Andrzeja. Lecz odwieczny nieprzyjaciel człowieka nie mógł ścierpieć świętości biskupa i używał całej swojej przebiegłości, by wywieść go w pole.

Pewnego dnia przybrał postać pięknej niewiasty, stał się w pałacu biskupim i poprosił o spowiedź. Biskup odesłał piękną penitentkę do swojego spowiednika, któremu dał pełną władzę odpuszczania grzechów. Niewiasta oznajmiła:

– Nikomu nie powierzę tajników mej duszy, jeno samemu biskupowi.

Wtenczas biskup przyjął ją, a ona rzekła:

– Panie, błagam cię, byś się nade mną ulitował! Przybyłam tu samotna i odziana w strój pielgrzymi, a przecież od dzieciństwa nawykłam do wygod i jestem córką króla. Ojciec chciał oddać mnie za żonę potężnemu księciu, lecz

ja ofiarowałam moje dziewictwo Chrystusowi i czuję odrazę do cielesnego zbliżenia. Dlatego też, nie znajdując innego wyjścia, jak posłuchać króla, albo być wydana na najstraszliwsze męki, wołałam opuścić moją ojczyznę niżli nie dochować wierności memu prawdziwemu oblubieńcowi. Słyszałam o twojej świętości i przybiegłam, by schronić się pod twoje opiekuńcze skrzydła.

Biskup, zdumiony, że w tak pięknej białogłowie mieszka tyle duchowej gorliwości, odpowiedział dobrotliwie:

– Nie lękaj się, córko, albowiem Ten, którego odważnie przedkładasz nad siebie samą, da ci w tym życiu wszystkie swoje łaski, a w żywocie przyszłym pełnię chwały. Oddaję ci w rozporządzenie siebie i wszystkie moje rzeczy. Dzisiaj spożyjemy posiłek razem.

Na to niewiasta:

– Nie żądam tego, gdyż lękam się, że może to wywołać podejrzenia i narazić sławę twojej świętości.

Odrzekł biskup:

– Będziemy w licznym gronie, więc na nikogo nie spadnie żadne podejrzenie.

Zasiedli więc do stołu naprzeciwko siebie; biskup nie mógł powstrzymać się od zerkania na niewiastę i podziwiania jej urody; a im dłużej ją podziwiał, tym bardziej rozbudzały się jego zmysły, albowiem demon otworzył w nich dokuczliwą ranę. A uroda niewiasty wzrastała z każdą chwilą i biskup czuł pokusę, by dopuścić się z nią grzechu, jak tylko będzie to możliwe.

Lecz nagle jakiś pielgrzym stuka do bramy i prosi wielkim głosem o gošcinę. Nie otwierają mu, więc zaczyna wołać jeszcze donošniej. Zapytał wówczas biskup niewiastę, czy zechce przyjąć pielgrzyma jako gošcia, ta zaś odparła:

– Postaw mu jakieš trudne pytanie. Jeśli będzie umiał na nie odpowiedzieć, wtenczas dopiero go przyjmiemy.

Wszyscy zaczęli rozprawiać, lecz nikt nie potrafił znaleźć pytania dosyć trudnego, dlatego rzekł biskup do niewiasty:

– Podpowiedz ty owo pytanie, albowiem wszystkich nas przewyższasz wiedzą i wymownością.

Na to niewiasta:

– Zapytaj go, cóż takiego stworzył Bóg najcudowniejszego, choć małego.

Na to pielgrzym zaraz odparł:

– Rozmaitość i urodę oblicza, albowiem pośród tylu ludzi stworzonych od początku do końca świata nie masz dwóch twarzy, które byłyby jednakie, a nadto na przestrzeni tak niewielkiej Bóg umieścił wszystkie zmysły ciała.

Lecz niewiasta rzekła znowu:

– Zadaj mu inne pytanie zagmatwane i bardzo trudne, by mógł dowieść swojej mądrości i okazać się godnym miejsca za stołem biskupa. Zapytaj go choćby, jaka odległość dzieli niebo od ziemi.

Odrzekł wtenczas pielgrzym posłańcowi, który przyniósł mu pytanie:

– Idź do tego, kto cię posłał i zapytaj o to samo. Odpowie ci dużo lepiej niż ja, albowiem zmierzył tę odległość, kiedy spadał z nieba w otchłań piekielną. Ja tej podróży nie odbyłem! Czyż nie pojęliście jeszcze, że nie jest to niewiasta, jeno diabeł, który przybrał kształt niewieści?

Pobiegł przerażony wysłannik, by powtórzyć odpowiedź pielgrzymowi, lecz w tymże momencie ku ogólnemu osłupieniu diabeł, co udawał niewiastę, zniknął. Wtedy biskup, odzyskawszy równowagę ducha, czynił sobie gorzkie wyrzuty i z płaczem błagał o wybaczenie swojej winy. Pchnął posłańca, by ten wprowadził pielgrzymi, ale okazało się, że i ów zniknął.

Biskup zwołał więc cały lud, opowiedział, co się przydarzyło, i nakazał posty oraz modły, aż Bóg objawi komuś, kim był tajemniczy pielgrzym, który uratował go od takiej biedy. Tejże nocy oznajmiono biskupowi, że pielgrzymem był błogosławiony Andrzej, który zstąpił z nieba w tym przebraniu, by obronić go przed piekielną pokusą. I od tego czasu jeszcze bardziej wzrosło nabożeństwo biskupa dla świętego Andrzeja.

Według Jakuba de Voragine

Leggende cristiane, Milano 1963, s. 89-91



Siedmiu braci śpiących z Efezu

Kiedy cesarz Decjusz, wielki prześladowca chrześcijan, przybył do Efezu, rozkazał, by zburzono kościoły Chrystusowe, i polecił wybudować w środku miast wielką świątynię na cześć rzymskich bożków, a w niej umieścić liczne posągi ze złota, srebra i innych cennych metali. Potem rozkazał, by wszyscy oddali im hołd i złożyli na ich cześć ofiary. Kto by odmówił, ma być zaraz umęczony.

Były to prześladowania straszliwe i chrześcijanie, którzy nie byli zbyt utwierdzeni w swojej wierze, wypierali się jej, byleby uniknąć gniewu Decjusza.

W tych czasach żyło w Efezie siedmiu wiernych chrześcijan: Maksymian, Malchus, Martynian, Dionizy, Jan, Serapion i Konstanty. Widząc zagładę chrześcijan, boleli bardzo, a ponieważ nie chcieli składać ofiary bożkom, pozostawali ukryci w swoich domach i czuwali na modlitwie, umartwiając się postami. W końcu jednak oskarżono ich o to, że są chrześcijanami, a ponieważ byli ludźmi szlachetnie urodzonymi i znacznymi w mieście, cesarz dał im dwadzieścia dni czasu, by mogli coś postanowić.

W ciągu tych dni sprzedali wszystko, co mieli, i rozdali ubogim Chrystusa przez miłość do Boga. a natchnieni Duchem Świętym postanowili uciec z miasta i wspięli się na wysoką i stromą górę nazwaną Olimpem. I tak, pod opieką Ducha Świętego, żyli na górze, czuwając po-

grążeń w modlitwie i poszcząc. Jeden z nich schodził raz na tydzień do miasta po chleb dla siebie i swoich towarzyszy.

Kiedy cesarz powrócił do Efezu i posłał po nich, Malchus, który właśnie zszedł do miasta, usłyszał, jak ludzie powiadają, że Decjusz jest pełen gniewu przeciwko nim. Kiedy wrócił do swoich towarzyszy, niosąc tę odrobinę chleba, który kupił, opowiedział, że szuka ich zagniewany cesarz, a oni podziękowali Bogu, gdyż zechciał zaliczyć ich w poczet męczenników.

Kiedy tak siedzieli, ukazała się im nagle łania, która dając znaki głową, poprowadziła ich ku wejściu do wielkiej pieczary. Weszli tam i zatarasowali wejście kamieniami. Kiedy już byli zamknięci, padli na kolana, by się modlić, skupiając się na kontemplowaniu radości wiecznych, Boska dobroć sprowadziła na nich słodki sen i, podobnie jak Adam, nasz ojciec, zasnęli w Chrystusie.

W tym czasie Decjusz kazał dalej prowadzić poszukiwania, a ponieważ ich nie znaleziono, począł wypytywać ich rodziców, przyjaciół, krewnych. Lecz nikt nic nie wiedział poza tym, że sprzedali swoje dobra i wszystko rozdali biednym. Ktoś później opowiadał, że widziano ich na Olimpie albo Celionie. Znaleziono wreszcie zamurowaną pieczarę, lecz kiedy chciano otworzyć ją, by wejść do środka, Bóg chroniąc swoich świętych, najpierw zesłał z nieba grzmoty, błyskawice, grad, deszcz i burzę. Potem przed wejściem do pieczary ukazała się nagle nieprzeliczona rzesza dzikich zwierząt: wilków, lwów, niedźwiedzi, węzów i smoków, które zmusiły żołnierzy cesarza do porzucenia przedsięwzięcia. Wtedy Decjusz rozkazał, by wejście do pieczary zostało przynajmniej dobrze zamurowane. Wśród murarzy było dwóch chrześcijan, którzy ukrywali się z lęku przed męczeństwem – Teodor i Rufin – ci zaś wypisali na kamieniach imiona męczenników, a także rok i dzień, kiedy zamurowano ich w pieczarze.

Potem cesarz Decjusz umarł. Minęło prawie czterysta lat, zmieniały się rządy, obyczaje, język, monety, a chrześcijaństwo rozkwitło.

Po trzystu siedemdziesięciu trzech latach, kiedy panował Teodozjusz, cesarz chrześcijański, wykiełkowała herezja tych, którzy zaprzeczali zmartwychwstaniu ciał. Kiedy cesarz, widząc, że chwieje się wiara w Chrystusa, bardzo bolał nad tym i umartwiał się postami i pokutą pośród modlitw i łez, Bóg zobaczył jego pobożność i pragnąc umocnić wiarę we wskrzeszenie umarłych, dokonał wielkiego cudu z siedmioma męczennikami.

Natchnął serce pewnego znacznego mieszkańca Efezu zamiarem wybudowania na Olimpie schroniska dla swych pasterzy. Mistrzowie murarscy szukali na całej górze stosownych kamieni i zechciało niebo, że natknęli się na wejście do pieczary, rozebrali mur i odsłonili ją. A wtedy Bóg wskrzesił swoich świętych męczenników, którzy myśleli, że przespali jedną ledwie noc. Pozdrowili się, przypomnieli sobie o prześladowaniu przez Decjusza i postanowili, że Malchus, ich szafarz, zejdzie do miasta, by kupić chleb i dowiedzieć się, co też cesarz przeciwko nim postanowił.

Malchus wziął pięć srebrnych monet będących w obiegu za Decjusza i wyszedł z pieczary, a widząc przy wejściu wielkie nagromadzenie kamieni, zdumiał się; lecz ponieważ myśli miał zaprzątnięte sprawami znacznie poważniejszymi, rychło o tych kamieniach zapomniał. Kiedy ze strachem poszedł do bramy miasta, spostrzegł, że jej zwieńczenie odnowiono, i ujrzał, że umieszczono na nim znak krzyża świętego. Ogarnięty zdumieniem, nie śmiał wejść, lecz krążył na zewnątrz murów, aż doszedł do innej bramy i zobaczył, że tu także namalowano krzyż. Zdumiał się wielce, ponieważ poprzedniego wieczoru, jak pamiętał, nie widział tych krzyży, a nawet wszystko przed-

stawiało się wręcz przeciwnie. I wydało mu się, że jeszcze śpi i śni.

Był zupełnie zbity z tropu i przemykał się tak, by nikt nie zwrócił na niego uwagi, aż usłyszał, że ludzie z wielkim uszanowaniem wypowiadają imię Chrystusa. Poszedł więc do piekarza i tutaj także mówili z szacunkiem o Jezusie i Maryi Pannie; ujrzał, że wszyscy żegnają się znakiem krzyża. Wtenczas, nie mogąc się już powstrzymać, zapytał:

– Cóż to się stało, że jeszcze wczoraj wieczorem kto wymówił imię Chrystusa, był prowadzony na męki, a dzisiaj wszyscy Go wyznają? Może to miasto nie jest Efezem, skoro tak bardzo się odmieniło?

Wzięli go za szaleńca. Od setek już lat Efez był miastem chrześcijańskim. Kiedy w końcu przyszło do płacenia za chleb i wyciągnął monetę, wcale nie chcieli jej przyjąć. Podejrzewali nawet, że pewnie znalazł jakiś dawny skarb.

– Zatrzymajcie sobie pieniądze i chleb i pozwólcie mi odejść – powiedział wtedy, a oni nabrali jeszcze większych podejrzeń. Pochwycili go i zawiedli do biskupa miasta.

Malchus daremnie przyglądał się ludziom, szukając wzrokiem kogoś ze swoich krewnych. Nie rozpoznał nikogo i popadł w jeszcze większe osłupienie.

Biskup wypytał go, kim jest, skąd przyszedł i gdzie znalazł ukryty skarb.

– Jestem pewny, że urodziłem się i wyrosłem w tym mieście – odpowiedział Malchus – jeśli jest to Efez, a tak mniemam, choć od wczoraj miasto całkiem się odmieniło.

Na to biskup:

– Jeśli naprawdę jesteś z tego miasta, powiedz, kim są twoi rodzice, by świadczyli na twoją korzyść.

Malchus wymienił ich imiona, ale nie znalazł się nikt, kto by ich znał. Co zaś się tyczy skarbu, Malchus wyjaśnił,

że żadnego nie znalazł, ale że te pieniądze są z kiesy jego rodziców.

Rzekł biskup:

– Jakże mamy uwierzyć, że te pieniądze są od twoich rodziców, skoro to monety sprzed trzystu siedemdziesięciu dwóch lat, z czasów cesarza Decjusza? Czy możliwe, by twoi rodzice żyli w czasach tak odległych? Ty zaś, młodzieńcze, chcesz oszukać starców i mędrców z Efezu? Tak więc rozkazuję, by oddano cię w ręce sprawiedliwości, aż wyjawisz całą prawdę o sobie.

Na to młodzieniec, padając przed biskupem na kolana:

– Błagam cię w imię Boga, byś powiedział mi, gdzie jest teraz cesarz Decjusz.

A biskup:

– Synu, w tym momencie nie masz na świecie nikogo, kto zwałby się Decjusz. Był cesarzem dawno temu.

– Panie – odparł Malchus – jak mogę uwierzyć w to, co rzekłeś, skoro właśnie z jego przyczyny musieliśmy uciekać i nie później jak wczoraj wieczorem widziałem, jak wjechał do miasta? Lecz chodźcie ze mną i pokażę wam moich towarzyszy, którzy są na górze Celion. Jeśli nie chcecie uwierzyć mnie, uwierzcie im!

Wtenczas biskup zastanowił się chwilę i pojął, że to Bóg zechciał przez tego młodzieńca objawić swoją moc. W otoczeniu wielkiej rzeszy wspiał się na górę i wszedłszy do pieczary, ujrzał na kamieniach napis wykonany przez dwóch murarzy; a kiedy odczytał go ludowi, wszyscy pojęli i ogarnęło ich wielkie zdumienie. Widząc w końcu świętych, którzy przebywali w jaskini, zdrowych i zarumienionych niby róże, rzucili się im do stóp i chwalili Boga. A biskup posłał zaraz posłańca do cesarza Teodozjusza, by przybył i ujrzał cud.

Teodozjusz bez zwłoki wyruszył z Konstantynopola, a kiedy święci go ujrzeli, ich oblicza zajaśniały jak słońce.

Cesarz zaś padł przed nimi na kolana i chwalił Boga, a potem raczył wziąć ich z płaczem w ramiona.

– Widzę was – powiedział – jakbym widział Pana, kiedy wskrzesił Łazarza!

A Maksymian rzekł mu:

– Winienieś nam zawierzyć. Dla ciebie to Pan wskrzesił nas przed wielkim dniem, abyś uwierzył w zmartwychwstanie ciał. Widzisz, jak dziecko spoczywa w żywocie matki, a nie spotyka go żadna krzywda, lecz żyje, tak i my byliśmy w pieczarze, śpiąc i nic nie czując, a przecie żyjąc.

Po tych słowach siedmiu świętych skłoniło swe głowy na ziemię i zasnęło znowu w pokoju, oddając swoje dusze według przykazania Bożego w obecności całego tłumu. Wtedy cesarz rzucił się ku nim, płacząc i raz jeszcze ich całując. Potem rozkazał, by ciała zostały złożone w trumnach ze szczerego złota i przeniesione do miasta, ale w nocy święci ukazali mu się i powiedzieli, że ponieważ dotychczas spoczywali w pieczarze, chcą tam nadal pozostać, aż Bóg raczy ich po raz drugi wskrzesić.

Grzegorz z Tours

Leggende cristiane, Milano 1963, s. 185-188



Święty Hieronim

Pewnego dnia, kiedy święty Hieronim odmawiał Niezpyty wraz ze swoimi braćmi, wszedł do klasztoru lew i wszyscy uciekli ze strachu, z wyjątkiem Hieronima, który, przeciwnie, wyszedł mu naprzeciw, jakby chodziło o gościa. Wtenczas lew pokazał mu zranioną łapę, a święty wezwał braci i rozkazał ranę przemyć i pilnie odnaleźć przyczynę okaleczenia. Bracia posłuchali i spostrzegli, że łapa była napuchnięta, gdyż utkwiał w niej wielki kolec, i wyleczyli lwa.

Kiedy lew był już zdrowy, nie pomnąc na swoją drapieżność, pozostał z braćmi jako zwierzę domowe; a Hieronim pojął wówczas, że Bóg wysłał mu go nie po to, by wyleczył mu łapę, lecz by został na służbie w klasztorze. I poradziwszy się braci, obarczył go obowiązkiem prowadzenia na pastwisko i pilnowania osiołka, który przynosił im drewno z lasu. Lew rychło okazał się pasterzem pilnym, nigdy nie odstępował osła ani na krok i miał na niego baczenie, kiedy ten skubał sobie trawę. Ponadto zawsze odprowadzał go do klasztoru o należynej porze – by sam mógł też coś zjeść i by osioł wykonał swoją pracę.

Pewnego dnia zdarzyło się, że kiedy osioł pał się, lwa ogarnęła wielka senność i zasnął. Przechodzili tamtędy kupcy z karawaną wielbłądów, ujrzeli samotnego osła i zabrali go. Lew się obudził, a nie zobaczywszy osła, zaczął biegać to tu, to tam, głośno rycząc, lecz go nie

znalazł, wrócił więc do klasztoru; wstydził się jednak tak bardzo, że nie śmiał wejść, jak to czynił zawsze.

Wtenczas bracia, widząc, że wrócił później niż zwykle i sam, pomyśleli, iż poczuł głód i pożarł osła, więc nie dali mu nic jeść, powiadając:

– Idź, pożryj sobie drugą połowę osła i napchaj sobie brzuch, szkaradny żarłoku!

Jednak niektórzy bracia, myśląc, że lew jest niewinny, przeszli przez pastwiska, by zobaczyć, czy nie znajdą osła żywego albo przynajmniej resztek po nim, jeśli naprawdę nie żyje; lecz nie znaleźli nic i wróciwszy do klasztoru, opowiedzieli o wszystkim Hieronimowi.

Musieli jednak mieć kogoś, kto pełniłby obowiązki osła, postanowili zatem, że rozkażą lwu, by tę pracę wykonywał, i kiedy nacięli drzewa w lesie, ładowali je na bestię, ta zaś potulnie brała na siebie brzemię i niosła je do klasztoru.

Pewnego dnia, gdy lew zakończył już swą służbę i wyszedł, by pobiegać po lesie, być może w nadziei odnalezienia swego towarzysza, zobaczył, że nadciągają z daleka kupcy, wraz z obładowanymi wielbłędami, a na czele karawany osioł. W tamtych okolicach panuje bowiem zwyczaj, że kiedy podróżuje się z wieloma wielbłędami, przed karawaną idzie jako przewodnik osioł, który ma przywiązany do szyi sznur.

Lew, rozpoznawszy swojego towarzysza, rzucił się na kupców z przerażającym rykiem, przepłoszył ich, a potem nie przestając ryczeć i waląc wściekle ogonem o ziemię, stanął przed wszystkimi obładowanymi wielbłędami i zmusił je, by szły za nim do klasztoru.

Kiedy bracia ujrzeni, że nadchodzi lew z osłem i całą karawaną, pobiegli do Hieronima, by mu o tym powiedzieć, on zaś, choć wiedział przecież o wszystkim, co się stało, rzekł:

– Idźcie, moi bracia, przygotujcie wszystko dla gości, którzy wnet przybędą.

Nie skończył jeszcze mówić, kiedy nadbiegł posłannik.

– Przy bramie są goście, którzy pragną rozmawiać z opatem – rzeki. A Hieronim kazał ich wprowadzić.

Wtedy owi goście, a byli to kupcy, rzucili mu się do stóp, błagając o wybaczenie swojej winy.

– Możecie zabrać swoje rzeczy – powiedział im uprzejmie święty Hieronim – i nauczcie się na drugi raz, że nie wolno sięgać po cudze.

Kupcy błagali, żeby bracia zechcieli przyjąć połowę oliwy, którą przewozili, i prosili tak długo, aż wreszcie święty zgodził się, bo nie chciał sprawiać im przykrości. Wtedy kupcy obiecali, że co roku będą dawali braciom taką samą miarę oliwy i także spadkobiercom przykażą to czynić.

Według Jakuba de Voragine

Leggende cristiane, Milano 1963, s. 113-114



Najmocniejszy

W czasach, kiedy wiara w naszego Pana Jezusa Chrystusa walczyła jeszcze o to, by zatryumfować na ziemi, a jej święci mocarze cierpieli prześladowania ze strony pogan i narażeni byli na męczeństwo, urodził się i większą część swojej młodości spędził w kraju Kanaan nadzwyczajnie silny wojownik o olbrzymiej postawie i imieniu Ofer. Żyjąc sobie swobodnie w okolicy surowej i dzikiej, zajmował się przez większość czasu niebezpiecznymi polowaniami.

Posuwając się w latach, Ofer coraz większe upodobanie znajdował w swojej sile i coraz częściej uznawał za słuszne używanie jej wobec wszystkich, albowiem nikt mu nie dorównywał w walce z dzikimi bestiami, w zwalaniu i rąbaniu drzew w lesie, w wyrywaniu kamieni.

Ale pewnego dnia, kiedy bardzo oddalił się od swojej wsi, natknął się na galilejskiego kupca, który wędrował w stronę Cezarei w towarzystwie wielkiej liczby sług, z wielbłędami uginającymi się pod brzemieniem ładunków.

Ofer przystanął i przyglądał się, oczarowany. Ze swej strony kupiec, zdumiony naprawdę nadzwyczajną postacią olbrzyma, skinął nań, by podszedł.

Ten posłuchał bez lęku.

Skwapliwi słudzy przygotowywali wieczerzę. Ofer przyjął zaproszenie, nawet nie dziękując i w czasie po-

siłku robił wszystko, co się dało, by pojąć coś z tego, co mówił cudzoziemiec.

A to, co widział wokół kupca, wystarczyło mu, by przekonać się, że ten obcy wzniósł się na szczyt wielkości, przepychu i mocy.

W sumie wydało mu się słuszne pozostać u boku kupca i jemu tylko służyć. Tak więc, kiedy namioty zostały zwinięte, Ofer swoimi olbrzymimi łapskami w jednym mgnieniu oka zrobił, co robiło razem dziesięcioro sług.

– Pójdiesz ze mną? – spytał kupiec.

– Tak, tak, z tobą.

– Świetnie, Oferze. Chodź. Kawałek drogi przebędziemy razem.

Przez cały wieczór Ofer dwoił się i troił, by okazać, jak jest użyteczny. Zrozumiał w końcu język, którym mówił kupiec, nauczył się jego imienia, które brzmiało Eliakim.

Kiedy znaleźli się już blisko Cezarei, Ofer rzekł pewnego wieczoru:

– Jesteś bardzo silny, Eliakimie, a także bardzo bogaty i mądry, najpotężniejszy ze wszystkich, gdyż widziałeś mnóstwo ludzi i posiadasz mnóstwo rzeczy. Dlatego cię miłuję.

Ale po krótkim pobycie w Cezarei olbrzym zrozumiał jako tako swoją pomyłkę. Zdał sobie sprawę, że są tysiące kupców wartych tyleż, co Eliakim, a nawet więcej niż on. Potem dowiedział się, że w Cezarei mieszka tetrarcha, który ma piękny pałac z ogrodami, łaźniami, wielką liczbą uzbrojonych po zęby żołnierzy. Dlatego zwolnił się czym prędzej i stanął w pałacu tetrarchy Cezarei.

– Słyszałem, że rządysz tym miastem.

– Z pewnością – odparł ze śmiechem wielki pan – a również całym Saronem, Judeą i Palestyną.

– Znaczy to, że jesteś najpotężniejszy ze wszystkich ludzi.

– Dobrze powiedziałaś. Ja rozkazuję wszystkim. Pomyśl tylko, pocziwy człeku, że mogę każdego ukrzyżować albo ściąć, jeśli tylko zechcę.

– No właśnie, właśnie, to świetnie – rzekł Ofer. – Oto coś, czego Eliakim uczynić nie może.

– Lecz powiedz mi, czego właściwie ode mnie oczekujesz?

– Chcę pozostać przy tobie i służyć ci, gdyż lubię służyć najpotężniejszemu człowiekowi ze wszystkich.

– Jak się nazywasz?

– Ofer.

– Dobrze. Ubiorą cię należycie i od tej pory będziesz zawsze u mojego boku.

Ale jego radość nie trwała długo i nadszedł dzień, kiedy usłyszał jak ktoś karci tetrarchę z wielką arogancją.

– Oznacza to więc – pomyślał sobie – że ten wielki pan w lamowanej todze jest mocniejszy od tetrarchy.

– Wybaczcie mi, panie – rzekł doń Ofer – leży mi na sercu, by dowiedzieć się, jak to się dzieje, że możesz z moim panem obchodzić się tak, jak przed chwilą uczyniłeś?

– Ach, więc to ty jesteś tym sławnym olbrzymem, który stoi z otwartymi ustami przy swoim pięknym i błyszczącym tetrarsze! Nie tylko jest mi on we wszystkim posłuszny, ale wystarczy jedno moje słowo, by zabrać mu całe jego królestwo.

– Kimże więc jesteś? Jesteś może jeszcze większym od niego królem?

– Nie, nie, jestem tylko zwykłym rycerzem i nazywam się Tytus Fulwiusz Nomentanus, jestem rzymskim wioślarem i prokonsulem w Cezarei. Dowiedz się, że przybyłem tu w imieniu pewnego człowieka, który naprawdę jest najpotężniejszy i budzi największy lęk na całym świecie.

– Och, powiedz mi, błagam, imię tego cudownego człowieka.

– Jest nim boski Marek Juliusz Filip Arab, rzymski cesarz.

– Gdzie mogę go znaleźć?

– W Rzymie.

– W Rzymie? Gdzie jest Rzym? Może to miasto? Jest równie piękne jak Cezarea?

– Rzym jest tysiąc razy piękniejszy.

– I powiadasz, że tam przebywa ten Cezar, który jest najpotężniejszy z ludzi?

– Oczywiście.

– Błagam cię więc, panie, zabierz mnie ze sobą, bym mógł poznać Cezara i służyć mu na zawsze.

Miesiąc potem, wcielony już do wojska, wielce miłowany przez towarzyszy broni, znalazł się w Jerycho, gdzie prowadził życie gnuśne.

Pewnego razu Ofer dotarł do skalistego zbocza i patrzył, jak lśnią w dole brunatne wody jeziora, kiedy nagle ukazał się jakiś człowiek, który mu się przyglądał.

– Witaj, Oferze.

– Skąd mnie znasz?

– Mogę powiedzieć, że czekałem na ciebie. Od jakiegoś czasu bawię się doskonale za twoimi plecami, kiedy ty tak zaciekle szukasz najpotężniejszego człowieka na świecie. Cezar nie jest najpotężniejszy. Nim miną dwa lata zostanie zamordowany.

– Więc może ty wiesz, kto jest potężniejszy od Cezara i komu będę mógł służyć już na zawsze?

– Oferze, jestem nim ja. Służ mnie, gdyż moje królestwo jest rozległe na cały świat. Służ mnie, Adocynie. Przyjmij to imię, które ci daję, a będę już umiał przekonać cię, że jestem naprawdę Panem Wiekuistym.

– Jeśli mówisz prawdę, będę szczęśliwy, mogąc ci służyć.

W ten sposób olbrzym stał się Adocynem i sługą szatana, króla tego świata.

Pewnego dnia Adocyn i diabeł podróżowali szybko dosyć wąską ścieżką nad brzegiem złowieszczej rzeki Orontes, kiedy dostrzegli staruszka, który jechał z naprzeciwka na osiołku. Szatan zatrzymał w miejscu swojego konia.

– Co tam?

– Chyba lepiej będzie cofnąć się.

– Zdaje mi się, że drży ci głos?

– Mnie? Co ty sobie myślisz, głupcze?

– Trwożysz się coraz bardziej.

– Precz.

– Nie.

Ale im bardziej starzec się zbliżał, tym większe niewysłowione męki przeżywał diabeł.

– Boisz się tego starca, jest zatem potężniejszy od ciebie, więc rzucam cię, by służyć jemu. Dowiedz mi, że się go nie lękasz, staw mu czoło, zabij go, a będę ci posłuszny.

Staruszek znalazł się w odległości może dwudziestu kroków. Ubrany był w brunatny wór i przyciskał do piersi prosty drewniany krzyż. Szatan drżał niby krzew na wietrze. Koń stanął dęba, rżąc, a potem pomknął szalonym galopem i zniknął wraz ze swoim niecnym jeźdźcem.

– Jednak uciekł!

– Kto? – zapytał starzec.

– Mój pan. Zląkł się ciebie.

– Mnie? Bał się czegoś innego.

– Bał się ciebie, jest to zatem dowód, że jesteś od niego mocniejszy.

– Wiedz, że to nie ja zmusiłem go do ucieczki, ale znak Odkupienia, który noszę na sobie, krzyż. Twój wielki

błąd polega na tym, że szukasz sobie pana na ścieżkach tego świata, choć ta ziemia nie jest twoją ojczyzną.

– Nie rozumiem twojej mowy, proszę cię więc, byś mi odpowiedział na jedno pytanie. Kto jest twoim panem?

– Odkupiciel Jezus.

– Jest mocniejszy od mojego niedawnego pana?

– Bez wątpienia.

– Jest także najpotężniejszym Panem na ziemi?

– Jest Stwórcą i Panem całego świata.

– Nikt nie może Go przemóc?

– Nikt.

– W takim razie powiedzże mi, jak służyć twojemu Jezusowi. Gdzie jest? Czy można Go zobaczyć?

– Znaleźć Jezusa! Zobaczyć Jezusa!

– No właśnie.

– Jest to sprawa najłatwiejsza i jednocześnie najtrudniejsza. Znaleźć Go jest rzeczą najtrudniejszą ze wszystkich, gdyż trzeba żałować popełnionego zła, obiecać sobie, że nigdy się do niego nie wróci, kochać nade wszystko Jezusa, kochać bliźniego jak siebie samego, stawiać czoło zmęczeniu i znosić cierpliwie wszystkie próby, na jakie zechce nas wystawić.

– Dobrze – odparł Adocyn – będę żałował zła, nie lękam się zmęczenia. Powiedz mi tylko, jakiego rodzaju są te trudy?

– Jest to modlitwa.

– Nie umiem się modlić.

– Więc cię nauczę.

– Nic z tego. Znam siebie i wiem, że w taką głowę jak moja nie zdołasz wbić nawet trzech słów po kolei.

– Czy znasz rzekę, nad którą żeśmy się spotkali?

– To rzeka Orontes.

– Nieopodal jest bród niebezpieczny, zwłaszcza w porze przyboru wody. Nakazuję ci w imieniu naszego Pana,

byś poszedł nad rzekę i zbudował chatę. Tam spędzisz swoje dni, przenosząc ludzi z miłości do Boga.

Po kilku dniach chata Adocyna była gotowa.

Starzec przychodził często, żeby opowiadać mu o Jezusie.

– Ale kiedy będę mógł Go zobaczyć?

– Pewnego dnia ujrzysz Go w całej Jego chwale.

– Nie widzę Go teraz.

Pewnego dnia Adocyn podniósł głowę i widzi, że stoi przed nim jasnowłose dziecko.

– Och – mówi, drgnawszy – musiałeś zbłądzić, pędra-ku!

– Chcę się przeprawić.

– Przeprawić się? Nic łatwiejszego, piękne dziecko. Lecz kimże jesteś? I czemu znalazłeś się tu samo?

Dziecię nie odpowiedziało. Popatrzyło na rzekę, potem podniosło wzrok na olbrzyma.

– Nie lękasz się? – spytało.

– Czegóż to miałbym się lękać? Wydajesz się mi lekki jak piórko.

I to mówiąc, wziął dziecko pod pachy, uniósł, wysoko podrzucając do nieba i przycisnął sobie do piersi, przytrzymując lewym ramieniem.

– Uchwycić mnie mocno za szyję! Cóż za lodowata woda! I jaki prąd!

W jednej chwili rozległ się daleki grzmot. Niebo okryło się mrokiem, jakby to była noc.

– Chcesz zawrócić? – pyta olbrzym.

– Idź dalej – odpowiada dziecko.

Chwiejąc się pod dziwnym brzemieniem, dotarł do miejsca, gdzie woda sięgała mu po szyję, ale ciągle trzymał mocno lewą ręką dziecko, które teraz ciążyło mu, jakby było górą. Woda podniosła mu się aż do oczu, któraś fala zalała mu głowę.

– To już koniec – pomyślał. – Jezusie Chrystusie, pomóż!

Zaraz woda opadła mu do szyi i mógł oddychać. Postawił krok i wydało mu się, że dno się podnosi. Rozpaczliwy wysiłek i woda sięga mu tylko do ramion. Rozległ się rozdzierający huk grzmotu, a olbrzymowi wydało się, że słyszy:

– Odwagi! Niesiesz Chrystusa!

Wtedy Adocyn zrobił kilka kroków. I oto woda sięgała mu już tylko do piersi. Zatrzymał się, dysząc ciężko, zaczerpnął głęboki haust powietrza. Przeszedł jeszcze kilka kroków i brzemie stało się znośniejsze.

Wspiął się na brzeg, a jego szeroka, dysząca ciężko pierś wznosiła się w porywie radości. Postawił chłopczyka, padł na kolana i pochylił czoło do ziemi.

Kiedy je uniósł, dziecko już zniknęło.

Adocyn nie marnował czasu i tego samego wieczoru był w chacie starca Serapiusza. Ledwie ujrzał starca, pobiegł ku niemu, chwycił w ramiona i powiedział, że jego pokuta trwała wystarczająco długo i że chce koniecznie przyjąć chrzest.

Następnego dnia udali się do patriarchy Cypriana.

– Lecz Adocyn – oznajmił stary patriarcha – to imię grobowe, które teraz ci nie przystoi.

– Moje imię? Tak, tak. Chętnie je zmienię.

– Jakie podoba ci się najbardziej? Słuchamy.

Olbrzym chciałby znaleźć się na dwadzieścia łokci pod ziemią i nawet nie otworzył ust.

– Mógłbym nazwać cię Stefanem. Czy podoba ci się? Oblicze olbrzyma rozświetliło się na myśl, która zrodziła się w jego głowie.

– Wolałbyś więc inne imię?

Olbrzym skinął głową, że tak.

– A jakie? Słuchamy.

– Chciałbym imię, które oznaczałoby: Człowiek, który niósł Jezusa Chrystusa na ramionach.

- Więc Krzysztof?
- Krzysztof bardzo mi się podoba.

I w ten sposób olbrzym został ochrzczoney w dniu Wielkiej Nocy i odział się na osiem dni w białą suknię neofitów.

Giosuè Borsi

Educare alla bonta, Scuola 1958.



Święty Ambroży i trzy dziewczeczki

Legenda mediolańska

Zyły niegdyś trzy dziewczynki, które nie wiedziały, jak związać koniec z końcem, i nie miały ojca ani matki. Były tak biedne, że na Mszę musiały chodzić kolejno, gdyż miały jedną sukienczynę na trzy. Pewnego dnia zdarzyło się, że koło domu tych trzech dziewczeczek przechodził święty Ambroży i ujrzał na dachu tańczące anioły. Wszedł więc do środka i powiada:

– Kto mieszka za tymi drzwiami? Tylko wy?

Odparły:

– Tak, tylko my, ale jesteśmy biedne i nie mamy co do ust włożyć.

Na to on:

– Dobrze. Wiem, gdyż wyjawiał mi to Pan nasz, że jesteście zacne.

Położył na stole sakiewkę z pieniędzmi i rzecze:

– Daję wam tę sakiewkę, a jest taka, że im więcej pieniędzy z niej wyjmiecie, tym więcej pozostanie. Lecz jeśli okaże się, że jesteście niedobre i używacie pieniędzy w sposób niegodziwy, zasłuzycie na karę od naszego Pana.

Miesiąc później znowu przechodzi koło domu. Patrzy na dach i widzi, że tańczą na nim diabły. Wbiega więc czym prędzej po schodach i widzi tłum młodzieży i su-

kienki z jedwabiu, i pełne przepychu mieszkanie, i przygotowany posiłek godny książęcego stołu. Wchodzi powolutku, zabiera sakiewkę i rzeczy dziewczętom:

– Więc to tak wyglądają wasze obietnice, że będziecie :
zacne? Więc takiego dobra chcecie dla naszego Pana? Nie zbawicie wy duszy, jeśli nie udacie się na pustynię, by pokutować, i nie pozostaniecie tam do końca waszego żywota.

Wtedy dziewczęta skruszyły się. Pobiegly na pustynię i pozostały tam przez całe życie, płacząc i modląc się.

A kiedy umarły, ludzie ujrzeli trzy gołębice, które wzbiły się ku niebu. Były to dusze trzech dziewcząt.

Leggende cristiane, Milano 1963, s. 385



Kuszenie świętej Justyny

Pewna dziewczeczka z Antiochii, zwana Justyną, stawiała w oknie i często słyszała, jak pewien chrześcijański diakon śpiewa Ewangelię, a ponieważ pojęła słowa, natchniona przez Boga, rozmówiła się z diakonem i nawróciła się na wiarę chrześcijańską.

Justyna była bardzo urodziwa i dlatego prześladował ją przez długi czas pewien młodzieniec imieniem Cyprian, który potem też nawrócił się na wiarę i został doktorem i męczennikiem Chrystusowym. Cyprian od dzieciństwa był niegodziwy, gdyż kiedy miał siedem lat, ojciec poświęcił go diabłu, a potem, jak przystało na prawdziwego sługę nieprzyjaciela, studiował sztuki czarnoksiężskie, dzięki którym umiał czynić czary i rzucał uroki, a wydaje się nawet, że potrafił przemieniać niewiasty w kobyły i inne bestie.

Ponieważ płonął nieprzepartą miłością do Justyny, uciekał się do wszelakich czarnoksiężskich sztuczek, byleby posiadał ją sam albo jego przyjaciel Akladiusz, który także jej pożył. Pewnego dnia wezwał diabła i rzekł mu:

– Pragnę chrześcijańskiej dziewczki, która zowie się Justyna. Czy możesz sprawić, bym ją posiadał?

– Ja, który sprawiłem, że człowiek został wypędzony z raju – odparł diabeł – który skłoniłem Kaina, by zabił

Abla, sprawilem, że umarł Chrystus, miałbym nie móc dać ci dziewczeczki, której pragniesz? Weź no ten olejek i skrop nim ziemię dookoła jej domu. Potem nadciągnę ją i rozpalę ją pragnieniem ciebie.

Następnej nocy, kiedy Cyprian użył olejku, pojawił się diabeł i kusił dziewczę, rozpalając jej zmysły i serce miłością do Cypriana. Kiedy jednak dziewczeczka spostrzegła to, zaczęła się modlić, uczyniła znak krzyża, a przestraszony diabeł umknął i wrócił do Cypriana, mówiąc mu:

– Ujrzałem pewien znak, którego się zląkłem, i straciłem nad nią wszelką władzę.

Cyprian przepędził diabła, zaczął czynić inne czary i wezwał innego, potężniejszego, któremu wyjaśnił, czego od niego oczekuje. Ruszył diabeł, lecz on też, widząc znak krzyża, uciekł jak i pierwszy.

Wtenczas Cyprian przepędził go też, szydząc, i za pomocą innych czarów wezwał samego księcia diabłów, któremu rzekł:

– Czymże jest wasza moc, skoro dziewczeczka wszystkich was pokonała?

– Zostaw to mnie! – odparł diabeł. – Pójdę tam i sprowadzę na nią taką żądzę, że ogarnie ją gorączka. Jej zmysły tak zapłoną, że stanie się jak szalona. Już ja będę umiał wzbudzić w niej najszykaradniejsze i najbardziej zmysłowe urojenia.

Księżę diabłów przemienił się w miłą i piękną dziewczę, a potem udał się do Justyny i rzekł jej:

– Słyszałam o twojej świętości i przybyłam, by mieszkać z tobą i czerpać naukę i przestrozę z twojego przykładu. Najpierw jednak chciałabym się dowiedzieć, jaka będzie nasza zapłata za tę straszliwą bitwę przeciwko ciąu.

– Nagroda jest wielka, a trud mały – odparła Justyna.

– Powiedz mi zatem, dlaczego Bóg, skoro tak umiłował czystość, przykazał: „Mnóźcie się i napełniajcie ziemię”. Lękam się, że zachowując dziewictwo, czynimy wbrew temu przykazaniu Boga; Bóg zaś może ukarać nas surowo, choć spodziewamy się od Niego nagrody.

Zaczęła ranić umysł Justyny tyloma lubieżnymi podszeptami i podniecać ją takimi nieczystymi rojeniami, że w końcu dziewczeczka, nie mogąc już oprzeć się tym pokusom, podniosła się, całkiem nie panując nad sobą, i chciała iść grzeszyć. Na szczęście w tym momencie przybyła jej z pomocą Boska łaska. Justyna opamiętała się i poznawszy się na diabelskim podstępie, uczyniła znak krzyża; a odzyskawszy odwagę, dmuchnęła w twarz dziewczynie. Diabeł zaraz roztopił się niby świeca w ogniu i skończyły się pokusy.

Diabłu nie pozostało nic innego, jak odmienić sposób postępowania. Przybrał postać pięknego młodzieńca i wskoczył zaraz do łóża Justyny, próbując ją objąć i wziąć gwałtem. Jednak i tym razem Justyna, natchniona Duchem Świętym, uczyniła znak krzyża i diabeł rzucił się do ucieczki.

Wtedy szatan, widząc, że nie ma już na nią rady, chciał przynajmniej zaszkodzić jej dobrej sławie. Nadał jednemu z diabłów postać Justyny, udał się z tamtym do Cypriana i rzekł:

– Oto przywiodłem ci Justynę.

Dzieweczka-diabeł, udając, że jest zakochana w Cyprianie, poczęła go obejmować i całować, by zaczął przechwalać się przed wszystkimi, iż posiadał dziewczkę, i w ten sposób Justyna byłaby zniesławiona. Cyprian, sądząc, że trzyma w ramionach prawdziwą Justynę, oszalał z radości i szeptał jej:

– Witaj, najpiękniejsza Justyno, najpiękniejsza ze wszystkich niewiast!

Ale wystarczyło, że diabeł usłyszał imię świętej Chrystusowej, by zaraz wyrwał się i zniknął.

Cyprian, widząc, że zwiedziono go, stał się smutny i zapłonał większym niż kiedykolwiek pożądaniem, i niczym szalenciec chodził do jej drzwi i trwał tam godzinami; a czasem mocą czarów przemieniał się w niewiastę albo ptaka, by móc wejść do jej domu i pozostać nie rozpoznany. Lecz ledwie docierał do progu, wszelkie czary przestawały działać i na powrót stawał się Cyprianem i musiał zmykać, przepełniony wstydem i strachem.

Również jego przyjaciel Akladiusz przemienił się razu pewnego we wróbla, by dotrzeć do okna Justyny. Lecz jak tylko na niego spojrzała, znowu stał się Akladiuszem i pozostał tam, pełen trwogi, gdyż nie umiał zejść, a brakło mu odwagi, by wejść do środka. Wtedy Justyna, lękając się, że mógłby spaść i stracić życie, ulitowała się i dała mu drabinę, by mógł sobie pójść.

W końcu przybył do Cypriana diabeł.

– Widzę, że ty też zostałeś pokonany jak i tamci – rzekł młodzieniec – ty, który przechwalałeś się, żeś taki potężny! Ale powiedz mi, czy tej dziewczeczki nikt nie zdoła zwyciężyć?

– Wyjawię ci to, jednak musisz przysiąc, że mnie nie odstąpisz – odparł diabeł.

Cyprian przyrzekł, zaś diabeł oznajmił:

– Justyna za każdym razem, kiedy do niej szliśmy, robiła znak krzyża, a ten znak sprawia, że my, diabły, tracimy całą naszą moc.

– Tak zatem Ukrzyżowany jest potężniejszy niż wy? – zapytał Cyprian.

– Z pewnością! – odpowiedział diabeł. – Jest wszechmocny i rzuca w ogień piekielny i nas, i wszystkich, którzy przy nas trwają.

– Więc chcę zostać przyjacielem Ukrzyżowanego –
wykrzyknął Cyprian – by nie cierpieć razem z tobą w og-
niu!

– Nie możesz mnie odstąpić! – zaprotestował diabeł.
– Wszak przysiągłeś.

– Ale ja tobą gardzę – zawołał Cyprian. – Odrzekam
się ciebie, twojej niepotrzebnej władzy i wszystkich two-
ich demonów i powierzam siebie Ukrzyżowanemu!

I ledwie zrobił znak krzyża, diabeł uciekł zwyciężony,
a Cyprian pobiegł do biskupa tego miasta, by przyjąć
chrzest.

Według Jakuba de Voragine

Leggende cristiane, Milano 1963, s. 136-138



Święty Marcin

Marcin został w wieku piętnastu lat żołnierzem, choć wcale tego nie chciał, i miał ordynansa, ale z wielkiej pokory to on mu posługiwał, ściągał buty i czyścił je.

Pewnego dnia późną jesienią, kiedy Marcin opuszczał miasto Amiens, w bramie spotkał prawie nagiego biedaka, który prosił o jałmużnę; i pomyślał Marcin, że to Bóg tamtego zesłał. Dobył miecz z pochwy, jednym cięciem podzielił na dwie części swój piękny płaszcz i jedną oddał biedakowi.

Następnej nocy ukazał się Marcinowi sam Jezus Chrystus ubrany w tę połówkę płaszcza, którą żołnierz oddał biedakowi. Jezus rzekł aniołom, którzy Go otaczali:

– W tę szatę odział mnie katechumen Marcin.

Wcale się nie chełpiąc, lecz widząc tylko w tym wydarzeniu dowód Boskiej dobroci, Marcin, który miał wówczas osiemnaście lat, przyjął chrzest. Musiał jednak pozostać w wojsku jeszcze dwa lata, obiecując sobie raz jeszcze, że porzuci życie świeckie, gdy tylko jego dowódca odejdzie ze służby.

Właśnie w owym czasie u granic cesarstwa rzymskiego zgromadzili się barbarzyńcy i cesarz Julian, dając wojsku rozkaz, by przeciwko nim ruszyło, wypłacił żołnierzom żołd. Wtenczas Marcin, który nie odstąpił od swojego postanowienia, odmówił przyjęcia pieniędzy, mówiąc:

– Jestem żołnierzem Chrystusa; nie wolno mi walczyć.

Na to zagniewany Julian:

– Opuszczasz wojsko nie przez miłość do swojego Boga, lecz ze strachu przed bitwą!

A Marcin odpowiedział szczerze:

– Skoro moja bojaźń Boża mogła być wzięta za strach przed bitwą, to wyjdę jutro przeciwko nieprzyjacielowi na oczach wszystkich, sam i bez broni.

Cesarz kazał wówczas pojmać i pilnować Marcina, by na oczach wojsk rzymskich wysłać go bez broni przeciwko barbarzyńcom; ale następnego dnia tuż przed bitwą barbarzyńcy przysłali posłów, by ofiarować mu pokój bez żadnych warunków oraz swoje całkowite poddanie się, więc dla wszystkich stało się rzeczą jasną, że to zwycięstwo bez rozlewu krwi osiągnięto dzięki zasłudze świętego Marcina.

Pewnego razu umarł jeden człowiek, którego ludzie z uporem czcili jako świętego, chociaż Marcin nie mógł dopatrzyć się w jego życiu ani jednego dobrego czynu. Modlił się więc przez cały dzień przy grobie zmarłego, błagając:

– Proszę cię, Panie, odsłoń mi prawdę i objaw zasługi tego zmarłego.

Kiedy w końcu zwrócił się w lewo, ujrzał czarny cień stojący nieruchomo przy grobie.

– Zaklinam cię w imię Boga – zwrócił się doń święty – byś wyjawiał mi, kim jesteś.

Na to tamten:

– Byłem za życia rozbójnikiem i zostałem stracony za moje zbrodnie.

I natychmiast święty Marcin kazał zburzyć ołtarz, gdzie pochowano ciało rozbójnika.

Zdarzyło się też, że diabeł we własnej osobie ukazał mu się odziany w purpurę, z koroną na głowie jak król,

w złotych trzewikach, z twarzą pełną słodyczy. Przez dłuższą chwilę przyglądali się bez słowa jeden drugiemu, a potem diabeł rzekł:

– Czy poznajesz, Marcinie, tego, którego czcisz? Jam jest Chrystus i zejdę na ziemię, ale najpierw chciałem tobie wyjawić tę nowinę. – A ponieważ Marcin, pełen podziwu, ale i powątpienia, nic nie rzekł, tamten ciągnął:

– Marcinie, czemuż to powątpiewasz, choć przecież mnie widzisz?

Wtenczas święty, natchniony przez Boga, oznajmił:

– Mój Pan, Jezus Chrystus, nie powiedział zgoła, że zejdzie na ziemię jako król w koronie. Przeto póki nie ujrzę Go w takiej postaci, w jakiej umarł, to jest z bliźniami od gwoździ, nie uwierzę, iżby powrócił.

Na te słowa diabeł zniknął, a w celi rozszedł się straszliwy smród.

Kiedy święty Marcin na zawsze opuścił ten świat, święty Ambroży, biskup Mediolanu, odprawiał Mszę; ale doszedłszy do epistoły, zasnął oparty o ołtarz. Nikt nie ważył się go zbudzić, subdiakon nie chciał czytać listu apostoła, jeśli nie otrzyma przedtem błogosławieństwa, i tak mijały godziny. Wreszcie podeszli do biskupa klerycy i ciągnąc go za rękaw, powiedzieli:

– Ojcze, minęła już pora, lud znużył się oczekiwaniem.

A święty Ambroży odpowiedział:

– Nie przeszkadzajcie mi, bo odszedł do Boga mój brat Marcin i byłem przy obrządku jego pogrzebania. Lecz jeszcze nie skończyłem; muszę zaśpiewać ostatnią orację, a wy mnie zbudziliście.

Zapisano wtenczas dzień i godzinę i dowiedziano się, że właśnie w tej chwili święty Marcin rozstał się z życiem doczesnym.

Po jego śmierci, kiedy święte ciało niesiono na miejsce wiecznego spoczynku, dwaj żebracy, dowiedziawszy się,

że liczni chorzy zaznali uzdrowienia podczas tego przenoszenia, przelękli się, by im także nie przytrafił się cud, chcieli bowiem pozostać ułomni i żebrać. Jeden był ślepy, a drugi sparaliżowany; ślepy brał na plecy paralityka, zaś paralityk pokazywał ślepemu drogę i tak żebrząc, dostawali codziennie dużo pieniędzy. Odeszli zatem do sąsiedniej krainy, gdyż mniemali, że tamtędy ciało świętego nie będzie niesione. Lecz kiedy umykali, przez pomyłkę natknęli się właśnie na procesję, a ponieważ Pan Bóg często przyznaje swoje dobrodziejstwa ludziom choćby i wbrew ich woli, dwaj żebracy odzyskali zdrowie, mimo że zgoła tego nie pragnęli.

Według Jakuba de Voragine

Leggende cristiane, Milano 1963, s. 86-88



Święty Mikołaj

Co teraz z nim będzie? Jak on sobie poradzi z tym wielkim majątkiem, który odziedziczył po śmierci swoich rodziców? Należy mu pomóc. Zająć się jego sprawami.

Tak mówiono na przyjęciu, jakie odbyło się po pogrzebie rodziców Mikołaja. Zebrani krewni i przyjaciele domu mieli swoje racje. Mikołaj, chłopiec jedynak, syn bogatych rodziców, utalentowany, zdolny, pilny, pracowity, był bardzo nieśmiały. Całe dnie spędzał ze swymi nauczycielami. Nie wychodził z domu, nie licząc spacerów po obszernym ogrodzie pałacowym. Żył odcięty od środowiska, zamknięty w świecie nauki. Wystarczyli mu najbliżsi, rodzice. Unikał obcych ludzi. Trudność dla niego stanowiło nawet wyjście na ulicę. Gwar ulicy go męczył. Ciążył mu wzrok ciekawskich przechodniów.

Podziękował swym krewnym za ofiarowaną mu pomoc. Nawet nie dlatego, żeby sam chciał zajmować się prowadzeniem tego ogromnego majątku, którego stał się właścicielem. Ale nie chciał nowych ludzi u siebie. Został w świecie swoich książek, studiów. Umysł szeroki, typowy intelektualista. Troskę nad ziemią, nad majątkiem powierzył zarządcy, który już lata całe pracował u jego rodziców. Pozostawił również starą służbę. Był wśród nich kamerdyner, który był zarazem lokajem podającym do stołu. Nie był to zresztą tylko sługa czy też kamerdyner,

ale prawie domownik. Opiekował się nim od dziecka. Stary gaduła, który wiedział o wszystkim, co się dzieje w mieście – jedyny kontakt Mikołaja ze światem zewnętrznym.

Czas płynął. W sposobie życia Mikołaja nic się nie zmieniało: pograżony w księgach czytał, pisał. Aż któregoś dnia, nie wiadomo właściwie dlaczego, zainteresowała go relacja starego sługi. Miasto żyło nowym dramatem. Historia prawie naiwna, jak z kiepskiego romansu, gdyby nie to, że prawdziwa. Jest dziewczyna, którą pokochał chłopiec. I ona go pokochała. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że ona jest biedna, a on jest bogaty. I jego rodzice sprzeciwiają się temu małżeństwu. Ona nie ma wiana, nie ma co wnieść w przyszły swój dom. Była to historia jak głos z zaświatów, kontrastujący z tym, czym sam żył. Przyszła natarczywa refleksja: mam wszystko, czego chcę. Gdzieś obok mnie rozgrywa się tragedia ludzka, spowodowana takim prozaicznym faktem jak brak pieniędzy.

Suma potrzebna dziewczynie była dość znaczna. Nie wiedział jeszcze, co robi, ale zaczął myśleć, jak zaradzić tej biedzie. Przy następnym posiłku, tak prawie od niechcienia, dowiedział się od starego sługi o adres dziewczyny. Budował plan działania jakby wbrew sobie, bo nie wiedział, czy starczy mu odwagi, aby go zrealizować. Aż wreszcie poszedł, aby zobaczyć przynajmniej, jak wygląda dom tej biednej dziewczyny. Idąc ulicą, dopiero po chwili spostrzegł, że wcale nie przeszkadzają mu ludzie, że jakoś znikła jego poprzednia nieśmiałość. Po prostu szukał ulicy i domu, gdzie ktoś żyje i cierpi.

To był dom poza miastem. Nic nie wskazywało, że tam ma miejsce jakaś tragedia. Bieleły wesoło w słońcu ściany. Stał w dość znacznej odległości, w cieniu drzewa, oparł się o jego pień. Spod zsuniętego na oczy kaptura patrzył. W ogródku kwitły kwiaty, na grządkach zieleniły

się warzywa. Było spokojnie, czysto, schludnie. Nic się nie działo. Przysiadł. Udawał człowieka, który zmęczony zasypia w ciężkim upale dnia. Na drodze ruch był niewielki. Czasem przeszedł wieśniak, poganiający swojego osła. Grupa kobiet wracała z pola. Dzieci bawiły się w jakieś tam swoje gry. Nagle drgnął. Z domu wyszła dziewczyna. To chyba ona – pomyślał. W ręce miała naczynie z bielizną. Rozwieszała ją powoli na rozciągniętych sznurach. Po chwili na drodze pojawił się jeździec. Przed domem ściągnął konia lejcam, zeskokczył. Dziewczyna już zdążyła postawić naczynie z bielizną na ziemi. Biegła w jego kierunku, ocierając mokre ręce w fartuch. Powitanie w uśmiechach i łzach radości. Cała wpatrzona i wsłuchana w niego. Wybuchła gorąca rozmowa. Krótkie zdania. Słowa wyrywane sobie nawzajem. I ręce, ręce szukające siebie. I dłonie, dłonie – kwiaty stulone i rozwarte. Jakby cały świat przestał dla nich istnieć. Nagle ich radość się skończyła. Dziewczyna rozplakała się. Chłopiec usiłował ją pocieszyć. Głaskał po głowie jak dziecko. Potem jej ucieczka do domu i odjazd chłopca. Scena była skończona.

Mikołaj wrócił do swojego domu. Zajął do skarbca. Nigdy się nim dotąd nie interesował. Przypuszczał, że dysponuje kwotą, która mogłaby stanowić wiano dla tej dziewczyny. I tak też było. Zawinał pieniądze w kawałek sukna. Przewiązał sznurem. Doczekał nocy. Jeszcze wytrzymał, aż dom się uciszy, aż pogasną wszystkie światła. Wsadził zawiniątko pod pachę, okręcił się czarną oponką, wsunął kaptur na głowę, otworzył drzwi od swego pokoju, zszedł na palcach po schodach. Starał się całą tę wyprawę traktować jak zabawę, jak grę, ale serce mu się tłukło, nie spodziewał się, że się tak przejmie. Wyszedł na ulicę. Dawno nie wychodził o tej porze do miasta. Świecił księżyc. Było pusto. Już prawie we wszystkich domach czerniły się prostokąty okien. Szedł szybko, ner-

wowo. Zdawało mu się, że jest ze wszystkich stron widzialny w tej srebrnej poświacie księżyca. Wykorzystywał cienie budynków i drzew. Szybko przebiegał odcinki nie ocienione. Dłużyła mu się ta droga, tym bardziej że wciąż musiał sprawdzać, czy nie pobłądził. To, co w dzień nie przedstawiało dla niego trudności, teraz w nocy było obce, nieprzyjazne, mylące. Był spocony, gdy doszedł na miejsce. Schronił się w cieniu znajomego drzewa. Dom stał w pełnym blasku księżyca. Zdawało mu się, że jest niemożliwe podejść w takiej sytuacji do okna. Już nasuwała mu się myśl, żeby zrezygnować, poczekać na rano albo na noc pochmurną. Ale znowu stanęła mu przed oczami scena sprzed kilku godzin, scena z płaczącą dziewczyną. Nie, nie mogę pozwolić, by ona tak cierpiała. Odepchnął się od pnia drzewa, do którego przylgnał, przebył błyskawicznie drogę dzielącą go od domku. Nie potrzebował nawet wspinać się do okna, były nisko osadzone – on był dostatecznie wysoki. Zajrzał do wnętrza izby. Okno na szczęście było tylko przysłonięte kotarą. Odsunął ją. Miał po raz drugi szczęście: łóżko dziewczyny było w zasięgu jego ręki. Przechylił się. Nie bardzo widział miejsce, gdzie by mógł umieścić zawiniątko z pieniędzmi. Delikatnie wsunął je pod poduszkę, na której spoczywała głowa dziewczyny. Jeszcze rozejrzał się do tyłu, czy nikt go nie obserwuje. Ale ulice były puste, pełne blasku księżyca. Oderwał się od parapetu okna i wrócił szybkim krokiem do domu.

Na drugi dzień już przy śniadaniu dowiedział się o wszystkim, co się stało w nocy. Dziewczyna, gdy tylko odkryła skarb pod poduszką, nie omieszkała podzielić się swoją radością z sąsiadami. To już wystarczyło, by natychmiast dowiedziało się o wszystkim całe miasto. Byli tacy, co wątpili. Ci nadmieniali, że może te pieniądze zostały ukradzione, ale ta ewentualność szybko upadła,

bo po prostu nie było nikogo okradzionego. Poniektóre niewiasty twierdziły, że był to na pewno anioł z nieba. Nie miały co do tego żadnych wątpliwości. Reszta snuła różne przypuszczenia, choć one wiodły donikąd. Ale przecież to wszystko nieważne, co ludzie mówią. Najważniejsza jest radość dziewczyny, no i chłopca. Tego wszystkiego Mikołaj słuchał przy śniadaniu, zalewany potokiem słów swojego służącego. Myślał sobie, że chyba po raz pierwszy w życiu jest naprawdę szczęśliwy. Służący jeszcze informował swojego pana, że rodzice chłopca zgadzają się na ślub, tym bardziej że dopatrują się w tym ręki Boga samego.

– A ty jak myślisz, kto to może być?

Ze starego sługi opadła maska wesołka, pocziwego bajdury i dał odpowiedź jakby już na to pytanie był przygotowany od dawna.

– Myślę, że to nie żaden anioł. To po prostu człowiek, który wypełnia to, czego Pan Jezus uczył – żeby to, co czynimy dla drugich, czynić naprawdę dla nich, a nie dla siebie. Ludzie tego nie rozumieją. Tak jak nie rozumieli i wtedy. I dlatego tak ich dziwi, że ktoś potrafi się na to zdobyć.

Następne dni wyciszyły sensację. Przyszły kolejne sprawy, kłopoty i radości miasta. Opowiadał o nich stary gaduła – wiedząc, że w ten sposób jest w stanie rozruszać swego pana. Spośród tych informacji wypłynęła niespodziewanie kolejna ludzka tragedia: dzieci sieroty. Zmarła matka, jedyna żywicielka pięciorga dzieci. Drobiazg jeszcze. Najstarsza dziewczynka piętnastoletnia. Reszta za małe, by móc pracować. Opiekują się wspólnie sobą. Zresztą tak jak wtedy, gdy żyła matka, która pracowała na ich utrzymanie.

– Ale przecież muszą z czegoś żyć? Czy mają krewnych?

– Właśnie ci zastanawiają się, co mają z tym drobiazgiem zrobić. Chcieli je pozbierać pomiędzy siebie, ale dzieci nie chcą się rozdzielić. Najstarsze będzie pracowało, może i chłopiec drugi z kolei także. Za dużo nie zarobią, a tu idzie zima, potrzeba ciepłego odzienia, obuwia, zapasów.

Mikołaj słuchał tego opowiadania. Widział swoją pomoc jako nieodzowną. Ale sytuacja była już skomplikowana. Tu już pieniądze nie wystarczą. Trzeba tym dzieciom dostarczyć gotowych przedmiotów. Jeszcze jakby mimochodem zapytał, gdzie to się wszystko dzieje.

Poszedł tam tego samego dnia. Było to na przedmieściu. W pobliżu, prawie naprzeciw, stała gospoda. Zasiadł w kącie. W gospodzie było pustawo. Chłopiec sprzątał. Zaczepił go:

– Od dawna tu pracujesz?

– Nie, panie, od niedawna.

– Skąd ty jesteś?

– O, z tamtego domu.

A więc udało się. To był ten chłopiec, to był ten dom.

– Mama pozwala ci pracować?

Twarz chłopca zszarzała, w oczach stanęły łzy.

– Mama mi umarła.

– Masz rodzeństwo?

– Tak.

Mikołaj wyciągnął srebrny pieniądz.

– Idź i kup im słodycze.

– Ale ja pracuję.

– Ja cię wytłumaczę przed gospodarzem.

Chłopiec uwinął się szybko. Zaraz też do gospody wpadła trójka dzieci, żeby podziękować nieznanemu dobrodziejowi za figi, orzechy, migdały. Notował w pamięci pilnie ich wzrosty.

W międzyczasie nadszedł gospodarz, zadowolony, że trafił się bogaty gość. Przysiadł się do stołu i opowiadał

o nieszczęściu. Nie był zdziwiony tym drobnym upominkiem, jaki dzieci otrzymały.

– Często się zdarza, że przychodzi ktoś, żeby jakiś grosz złożyć tym dzieciom. Tak to na początku bywa, gorzej będzie potem, gdy ludzie przyzwyczają się, gdy zapomną.

Mikołaj już tego wszystkiego nie potrzebował słuchać. Chciał wyjść jak najprędzej.

– Dobrze, że chociaż teraz o nich pamiętają – odpowiedział.

– Muszę waszej miłości coś powiedzieć: dobrze, że ludzie rozczulili się nad tym pięciorgiem sierot, ale mało to równie biednych dzieci? Popatrzcie proszę choćby na tę ulicę, na to, co tu się dzieje.

Mikołaj musiał przyznać rację oberżyscie. Pod wpływem jego słów jakby przejrzał. Dopiero teraz zobaczył nędzę tamtejszych dzieci. Patrzył na wielkie, obskurne domy czynszowe, na małe, walące się rudery. Zobaczył dzieci bawiące się na ulicy – brudne, byle jak ubrane, potargane, wygłodzone, chude, szare. Posłyszał głos oberżysty:

– To dzieci pozostawione samym sobie. Rodzice – drobni rzemieślnicy, wyrobnicy, pracujący u kogoś od świtu do nocy.

Mikołaj miał już gotowy plan w głowie. Pojechał na następny dzień. Wziął ze sobą juczne zwierzę. Nie brał żadnego sługi. Zdecydował się na miasto, gdzie był pewien, że go nie rozpoznają. Nakupił ciepłej odzieży. Wybierał starannie, przypominając sobie dzieci, dla których robił zakupy. Potem jeszcze jedzenie. Nie zapomniał o zabawkach, o łakociach. Wpadły mu w oko okrągłe placuszki słodkie, po które szczególnie łapczywie wyciągały ręce dzieci.

Wrócił po dwóch dniach nocą do domu, zmęczony, ale szczęśliwy. Tylko teraz już nie było tak łatwo z do-

starczeniem dzieciom tych skarbów. Znowu nie chciał brać służby do pomocy, bo nie chciał nikogo wtajemniczać w to, co robi. Wybrał noc chmurną, bezksiężycową. Worek z podarkami zarzucił na plecy. Przykrył się opończą. Udało mu się niespostrzeżenie dojść na miejsce. Wkładał pośpiesznie paczki do okien. Nie mógł się zabrać ze wszystkim naraz. Był przygotowany na to, że gdy dzieci jeszcze w nocy odkryją przyniesione dary i narobią hałasu, będzie musiał zrezygnować z kontynuowania swej akcji w tej dzielnicy. Ale nie, gdy wrócił po raz drugi, zastał wszystko tak, jak było za pierwszym razem. Pracował ciężko całą noc. Prawie aż do świtu roznosił podarunki i powracał do swego domu po następną partię. Był umęczony do granic możliwości. Nad ranem rzucił się na posłanie i spał do południa.

Na wybuch sensacji nie trzeba było długo czekać. Już przy obiedzie jego sługa zasypał go wszelkimi możliwymi wiadomościami, plotkami, które zebrał po mieście. A więc jednak anioł – mówili jedni, a więc... kto to może być? – pytali drudzy.

Na drugi dzień wezwał swojego zarządcę, pytał o finanse. Pieniądze były, choć nie tak wiele. Bo zainwestowano w gospodarstwa. W zimowe zapasy, w siewy. Zażądał wszystkich, które były.

– Jaśnie panie, jeśli mi wolno spytać, ale przecież jeszcze są te w skarbcu podręcznym.

– Już ich nie ma.

Siedział znowu za stołem w jakiejś kolejnej oberży, na kolejnym przedmieściu. Popijał drobnymi łykami wino, zagryzał migdały, orzechy, zamawiał jakieś drobiazgi u usługowego gospodarza, patrzył, notował w pamięci domy dzieci. Stwierdzał po raz któryś, że właściwie wszystkie dzieci są tu biedne, wychudzone, byle jak ubrane, marznące w pochmurny, słotny czas. Dziękował Bogu, że

przy okazji szukania pięciu sierot odkrył świat biednych ludzi, biednych dzieci.

Znowu roznosił podarki dla dzieci w kolejnej biednej dzielnicy.

Tymczasem w mieście już wrzało. To już nie była zabawa. To już była nieposkromiona ciekawość, kto to jest ten nieznajomy, względnie kto to są ci dobrodzieje. Co poniektórzy usiłowali zsumować rozdawane podarki, przeliczyć je na pieniądze. Wychodziły z tego zawrotne sumy. Kogo stać na takie wydatki?

Miasto przeżywało jakby jakieś wielkie rekolekcje. Z tego tylko niektórzy zdali sobie sprawę – z tej zmiany, która się dokonywała w duszach ludzkich. A dokonywała się właśnie pod wpływem tych bezinteresownych darów rozdawanych tak hojnie biednym dzieciom. Zaczęto dostrzegać biedne rodziny, pomagać im, obdarowywać je. Również biednych, starych ludzi, chorych i cierpiących.

Tymczasem pieniądze Mikołaja skończyły się szybciej, niż sam przypuszczał. Jego kolejna wyprawa po zakupy pochłonęła prawie wszystkie oszczędności. Mikołaj zażądał od swojego gospodarza pieniędzy.

- Już nie mamy więcej.
- A więc proszę sprzedawać grunt.
- Tak, ale to potrwa.
- Weź pożyczkę.
- Wysokie procenty.
- Bierz na wysokie procenty. Dużo, dużo. I oszczędzaj bardziej. Ja nie muszę jeść wykwintnie jak dotąd. Nie zakupuj dla mnie żadnych nowych szat.

Miał już opracowany system: najpierw dość długa obserwacja kolejnej dzielnicy, potem roznoszenie nocne. Wiedział, że może sobie pozwolić tylko na jedną noc. W następną już ludzie czyhali na niego. Wobec tego zmieniał dzielnice. Przerzucał się z jednego końca miasta na drugi. Pracował jak nigdy w życiu: ciągle wyprawy po

zakupy, nocne powroty z podróży, potem z kolei roznoszenie prezentów, ciągle napięcie nerwów, wyteżona uwaga odbiły się na jego wyglądzie. Schudł i był wyraźnie zmęczony. Obiecywał sobie, że odpocznie, że powróci do swoich książek, jak tylko w jakiś sposób zabezpieczy dzieci na zimę.

Tymczasem wśród nobliwych mieszczan, wśród arystokracji miasta rozchodziły się coraz bardziej nieprawdopodobne plotki o Mikołaju. Szeptano, mówiono, głośzono, że ten dotąd spokojny i zrównoważony człowiek popadł w jakąś namiętność. Żyje rozpustnie albo oddaje się jakimś hazardowym grom. Jego nocne wyjazdy już nie były tajemnicą. Jego wygląd niewątpliwie świadczy, że ten człowiek jest na dnie upadku. Dowodem na to jest zresztą nie tylko jego wygląd, ale fakt, że wyprzedaje swoje ziemie, zaciąga długi na wysokie procenty. Trwoni majątek, który odziedziczył po swoich, godnej pamięci przodkach.

Zdecydowano się wobec tego ratować Mikołaja. W tak rzadko odwiedzanym domu pojawili się krewni i przyjaciele rodziny Mikołaja. Musiał ich przyjmować, wysłuchiwać rad, wykręcać się od natrętnych pytań. Niecierpliwiła go ta strata czasu. Jego goście wreszcie orzekli, że Mikołaj stanowi rzadki przypadek zatwardziałości serca i jest nie do nawrócenia. Jedynym wyjściem jest się odciąć od niego, ostrzegać innych przed kontaktem z nim. Tylko ta droga może przyprowadzić Mikołaja do opamiętania. I modlić się za niego.

Z czasem plotki o Mikołaju, które powtarzano w salonach pałaców i bogatych izbach mieszczańskich kamienic, wyszły na ulicę, pomiędzy gawieź miejską. Opowiadano sobie nieprawdopodobne bzdury o potworze Mikołaju, diable wcielonym, opętanym, obłąkanym, nie mo-

gącym spać, tłukącym się po nocach w swoim ogromnym pałacu.

Dochodziły te wieści do Mikołaja. Donosił mu o nich również stary sługa, ale w bardzo złagodzonej formie. Mówił od siebie niby mimochodem, że Pana Jezusa ludzie zabili, choć tyle dobrego im uczynił.

A tymczasem Mikołaj miał inne, cięższe kłopoty. Bywało, że o mało co, a zostałby odkryty. Stał się jeszcze bardziej ostrożny, uważał na każde kolejne pociągnięcie.

Równocześnie miasto wciąż szumiało wiadomościami o Aniele Dobroci. Dla dzieci obdarowanych – radość, dla ich rodziców – pomoc. Dobry nieznajomy – anioł z nieba, jak upierali się niektórzy – stał się kimś bliskim w ich życiu. Byli i tacy, którzy go już widzieli w kapturze, z garbem worka na plecach.

Matki groziły nieposłusznym dzieciom:

– Jak będziesz niegrzeczny, nie przyjdzie do ciebie święty. Nie dostaniesz nic. Tylko dzieci grzeczne obdarowuje Pan Bóg. Niegrzeczne porwie diabeł do zamku, zamknie w lochu, wychłoscze różgą.

Ale to nie była prawda. Obdarowywani byli wszyscy, wcześniej czy później.

Aż się stało. Aż doszło do katastrofy. Zatupotała ulica odgłosami kroków. Rzucił się w drugą stronę. Stamtąd też słyhać było kroki, rozległy się wołania:

– Tu jest! Mamy go!

Pozostawała ostatnia uliczka, ale i stamtąd nadbiegły głosy. Nie było wyjścia. W mroku ujrzał wielką bramę budynku. Pchnął ją. Na szczęście była otwarta. Wpadł w nią. Pusta, wielka sień zabrzmiała echem pościgu. Wiódł rękami po ścianie. Natrafił na drzwi. Na szczęście też otwarte. Wpadł, zatrzasnął drzwi za sobą. Znalazł się w jakimś ciemnym pomieszczeniu. Znowu gwałtowne poszukiwanie kolejnych drzwi: otwarte, nacisnął klamkę, wpadł do oświetlonego pomieszczenia. Oślepiiony świat-

łem stanął, oparł się o drzwi, dyszał ciężko, rozglądał się po wnętrzu. Wielka biblioteka, przy biurku stary, siwy człowiek patrzący na niego ze zdziwieniem. Jakby skądś go sobie przypominał. Sam nie wiedział skąd. Nadśluuchiwał pilnie. Trzasnęły drzwi. Zadudniły kroki ścigających. Podbiegł do starego człowieka:

– Ukryj mnie.

– O, Mikołaj. Dużo ja tu słyszę o tobie.

Teraz dopiero zobaczył, że to jest biskup. Teraz sobie dopiero uświadomił, że wpadł do rezydencji biskupa. Ludzie byli tuż za drzwiami. Kroki, krzyki, rozległo się pukanie. Nieśmiałe, ale stanowcze. Przypadł do nóg biskupa. Schował się za jego biurko.

Otworzyły się drzwi. W nich ukazał się stłoczony tłum ludzi. Ucichli. Ktoś zapytał:

– Czy ksiądz biskup widział człowieka w czarnej oponczy?

Mikołaj schowany za biurkiem czekał na odpowiedź jak na wyrok śmierci.

– O kogo pytacie? O szatana z zamku?

– Nie. O człowieka, który od miesięcy obdarowuje nasze biedne dzieci podarunkami.

– Ach, to chodzi wam o tego – jak go nazywacie – Anioła Dobroci.

– Tak. Właśnie napotkaliśmy go, w czarnej oponczy, z kapturem na głowie, z workiem na plecach.

– To macie go tutaj.

Biskup schylił się:

– Wstawaj, wstawaj. Nie ma rady.

Mikołaj z oporami dźwignął się na nogi. Z ramion zsunął mu się prawie pusty worek. Zapomniał o tym, że wciąż go miał na sobie. Na podłogę potoczyły się z niego bułeczki, tak dobrze znane dzieciom całego miasta.

– Mikołaj! – ktoś zakrzyknął.

– Mikołaj! – powtórzył ktoś drugi.

Jeszcze niedowierzając, podchodzili do niego, by się przekonać, czy to naprawdę on. Przyglądali się, jeszcze wciąż niepewnie, jego pelerynie, kapuzie, jego workowi i jemu samemu, który zawstydzony i zmieszany, ze spuszczoną głową i ze spuszczo­nymi oczami stał pod ścianą. To ten, o którym bezlitosna plotka głosiła, że rozpustnik, hazardzista, utrac­jusz, który marnotrawi majątek swoich rodziców, który niegodny jest no­sić imię swoich zacnych rodziców.

Tej scenie przyglądał się w milczeniu stary biskup. Aż wreszcie zabrał głos. Uśmiechnięty, pogodny zaczął:

– Moi drodzy, szukałem długo następcy, bo wiem, że już jestem stary. Chcę odpocząć. Wreszcie go znalazłem. Macie mo­jego następcę, będzie waszym biskupem – powiedział wskazując na Mikołaja.

ks. Mieczysław Maliński

Opowiadania o nadziei, Pallottinum, Poznań 1983, s. 90-99



Święta Taida

Czytamy w żywotach świętych ojców, że nierządnica Taida była tak piękna, iż liczni mężczyźni doprowadzali się do nędzy, byleby ją posiąść, i często wielbiciele z zazdrości bili się między sobą na śmierć i życie przed bramą jej domu.

Kiedy opat Pafnucy dowiedział się o tym, odział się w szaty człeka świeckiego, wziął denara i udał się do domu nierządnicy. Ledwie Taida kazała go wprowadzić, mnich podał jej monetę, udając, że chce z nią grzeszyć, ona zaś zaprosiła go, by poszedł za nią do komnaty. Kiedy już się tam znaleźli, rzekł do niewiasty, która zachęcała go, by położył się na łożu:

– Jeśli jest jaka komnata lepiej ukryta niżli ta, do niej się udajmy.

Taida spełniła jego prośbę, ale choć prowadziła go do najtajemniejszych komnat, opat dalej mówił, że wszędzie lęka się, iż ktoś go zobaczy.

Wreszcie wszeteczniczka wykrzyknęła:

– W tym domu jest pokój, do którego nie wchodzi nikt, lecz jeśli lękasz się, że ujrzy cię Bóg, nie masz zakątka tak ukrytego, by On nie mógł tam zajrzeć!

A na to starzec:

– Więc wiesz, że jest Bóg!

Niewiasta odparła, że wie o Bogu i o życiu wiecznym, i o karze, jaka spotka wszystkich niegodziwców.

– Skoro wiesz to – wybuchnął mnich – czemuż gubisz tyle dusz? Czyż nie wiesz, że będziesz musiała zdać rachunek nie tylko za swoją duszę, ale także za te wszystkie, które sprowadziłaś z prostej ścieżki?

Słyszając te słowa, niewiasta padła opatowi do stóp i z płaczem błagała go:

– Wiem, że przez pokutę mogę jeszcze się zbawić, i mam nadzieję, że przy twoim wsparciu uzyskam przebaczenie moich win. Daj mi tylko trzy godziny zwłoki, a pójdę, dokąd zechcesz, i będę czynić to, co uznasz za najlepsze dla mojego zbawienia!

W ciągu tych trzech godzin Taida zebrała wszystkie bogactwa, które zarobiła grzesznym życiem, zaniosiła je na największy plac miasta i podpaliła, krzycząc:

– Przybywajcie! Przybywajcie wszyscy, którzyście ze mną grzeszyli, byście ujrzeli, co robię z waszymi podarkami!

Potem, kiedy zniszczyła już wszystkie cenne przedmioty warte ponad czterysta funtów złota, poszła z Pafnucym, ten zaś zaprowadził ją do klasztoru mniszek i zamknął w celi, której drzwi opieczętował ołowiem, zostawiając otwarte jedynie małe okienko, by można było podawać jej odrobinę chleba i wody. Kiedy starzec miał już odejść, Taida zapytała go:

– Ojcze, jakże mam się modlić?

– Nie jesteś godna wymieniać imienia Boga ani Trójcy Świętej; nie jesteś nawet godna wznosić ramion ku niebu, gdyż swoje wargi skalalaś niezliczonymi grzechami, a twoje ramiona są nieczyste. Winnaś jedynie leżeć krzyżem na ziemi z obliczem zwróconym ku wschodowi i powtarzać bez ustanku: „Ty, któryś mnie stworzył, zmiłuj się nade mną?”.

Taida pozostawała zamknięta w celi przez trzy lata. Potem Pafnucy ulitował się nad nią i poszedł do opata Antoniego, by dowiedzieć się, czy Bóg wybaczył już nie-

wieście jej grzechy. Antoni zgromadził wówczas swoich uczniów i kazał im się modlić, aż Bóg zechce objawić jednemu z nich powód wizyty Pafnucego. Po wielu modlitwach uczeń Paweł ujrzał na niebie łoże okryte drogo-cennymi chustami i strzeżone przez trzy przepiękne dziewice, które przedstawiały lęk przed przyszłymi karami, wstyd za popełnione grzechy i miłość dla Bożej sprawiedliwości. Paweł powiedział dziewicom, że to cenne łoże musi być przygotowane dla opata Antoniego, ale głos z nieba oznajmił mu:

– Nie jest Antoniego, lecz nierządnicy Taidy.

Następnego ranka, kiedy Paweł opowiedział swoje widzenie, Pafnucy uradował się, gdyż poznał w ten sposób wolę Boga, i pobiegł do monasteru, by otworzyć drzwi celi swojej penitentki. Ale Taida prosiła go, by nie musiała wychodzić.

– Wyjdź – powtarzał opat – albowiem Pan ci odpuścił wszystkie twoje grzechy.

Na to Taida:

– Bóg mi świadkiem, że odkąd jestem w tej celi, miałam przed oczyma wszystkie moje grzechy i nigdy nie przestałam przelewać łez, jak nigdy nie przestałam oddychać!

– Bóg odpuścił ci twoje grzechy nie z powodu pokuty, jaką odbywałaś, ale z powodu bojaźni Bożej, jaką miałaś w sercu.

Potem rozkazał jej wyjść z celi i Taida żyła jeszcze tylko piętnaście dni, a potem zasnęła w pokoju.

Według Jakuba de Voragine

Leggende cristiane, Milano 1963, s. 147-148



Święty Roch i raj zwierząt

Żył niegdyś święty Roch. Był to wielki święty, który przemierzał drogi całego świata i leczył ludzi oraz bydła z wścieklizny. Szedł zawsze za psem, który zwał się Roszek, a którego kochał bardzo, gdyż pies uratował mu raz życie. Pies też był święty, na swój sposób. Lizał rany, które pielęgnował jego pan, i rany zamykały się raz na zawsze. Święty Roch i Roszek nigdy się nie rozstawali, nie do pojęcia był jeden bez drugiego, jak nie można pojąć dzwonu bez serca albo niewiasty bez złośliwości.

Pewnego razu święty Roch umarł. Umierają wszyscy, nawet święci. A po jego śmierci pies zaczął wyc i on też odszedł z tego świata. Miał małą, leciutką duszyczkę, tak że dotarł do bram raju równocześnie ze świętym.

Święty Roch zastukał kijem pielgrzymim i wymienił swoje imię. Uzdrowił mnóstwo nieszczęśników, więc był pewien, że wkroczy do raju główną bramą. Święty Piotr pospieszył, otworzył odrzwia o dwóch skrzydłach, ale zaraz otworzył szeroko też oczy patrzące spod okularów. Za cieniem świętego ujrzał cień psa.

– Precz mi stąd! Nie ma dla psów miejsca w raju!
– Trzeba jednak znaleźć temu psu jakieś miejsce – odparł święty Roch. – Jesteśmy nierozłączni. Uratował mi życie i jest także na swój sposób święty.

– Dajże pokój! Też mi opowiadanie! Także mnie pewien kogut uratował duszę, skłaniając do skruchy. Czyż jednak przywiodłem go ze sobą, kiedy przybyłem tutaj? Nie przywiodłem go nawet do wejścia, nawet w pobliże Aniołów Bożych! Nie, mój drogi, kogut pozostał na zewnątrz, a ja wszedłem do środka. Twój pies uda się do mojego koguta, ty zaś połączysz się ze świętymi, którzy już na ciebie czekają! Idziemy! Mam dokładne rozkazy, jak ci już powiedziałem.

– Zatem trudno – rzecze uparty święty Roch. – Skoro Roszek nie wejdzie do raju, nie wejdę i ja. Wolę psa, którego znam, od twojego raju, którego jeszcze dobrze nie poznałem!

– Skoroś taki grubianin – wrzasnął święty Piotr, który stracił panowanie nad sobą – idź sobie precz razem z twoim psem!

I poszli.

Co się stało z Rochem i Roszkiem? Tego nie wiem. Sądzę jednak, że podjęli swoją wędrówkę i że ich cienie dokonywały cudów i uzdrawiały ludzi z wścieklizny.

Mówiono o nich na całym świecie. Papież, który był sprawiedliwy, chciał ich jakoś wynagrodzić. Z Rocha uczynił z całą ceremonią prawdziwego świętego i rozkazał, by w jego kościele wystawiono obraz, na którym nowy święty byłby przedstawiony z psem. W gruncie rzeczy w ten sposób kanonizował także Roszka, choć nie padło na ten temat ani słowo.

Kiedy wieść o tym doszła do raju, Ojciec Wiekuisty kazał wezwać świętego Jana Chrzciciela, który był wszak pierwszym świętym, i rzekł:

– Mamy więc zagną duszę imieniem Roch. Papież zrobił z niego świętego, musicie go odszukać i sprowadzić tutaj. Chcę go zobaczyć i złożyć mu powinszowanie. Trze-

ba też powiedzieć świętej Cecylii, żeby pomyślała o jakiejś oprawie muzycznej.

Jan Chrzyciel biegał przez trzy dni i noc, ale było to tak jakby szukał jaskółek w zimie. Wpadł w zakłopotanie i pomyślał, że trzeba naradzić się ze świętym Piotrem.

Dobry klucznik nie zapomniał o historii człowieka z psem. Kiedy usłyszał, że ów człowiek został naprawdę świętym i że Ojciec Wiekuisty chce się z nim widzieć, trochę się strapił. Lękał się, że spotka go kara za to, iż działa z własnej inicjatywy. Święty Jan, który miłował wielce świętego Piotra, pocieszał go jak umiał i obiecał, że wszystko będzie w porządku.

Wrócił więc przed oblicze Ojca Wiekuistego i rzecze:

– Panie, wybacz mi głupotę. Od trzech dni i nocy szukam daremnie naszego nowego świętego, ale nigdzie go nie ma. Trzydzieści lat temu stanął pewnego wieczoru u bram raju, ale był z psem, a ponieważ święty Piotr nie chciał wpuścić psa, święty Roch poszedł sobie i nie mam pojęcia, gdzie przebywa.

Ojciec Wiekuisty zaczął rozmyślać, a kiedy wszyscy w raju usłyszeli, że rozmyśla, zapadła cisza. Potem rzekł:

– No dobrze. Święty Piotr jak zawsze wykonuje sumiennie swoje obowiązki. Ale święty Roch wróci, gdyż tego chcę. Zatrzyma sobie psa. Pozwólcie wejść jemu i psu. Zrobię wyjątek.

Kiedy świętemu Piotrowi doniesiono o tym, zmienił się na twarzy. Ładny wyjątek!

– Tak, tak – rzekł – pozwolimy wejść psu Rocha! Zobaczycie, że w ślad za nim pójda wszystkie zwierzęta, jakie były stworzone! Wkrótce nie da się tu, w raju, mieszkać.

I z rozdrażnieniem otworzył tylną bramę, ale nie chcąc patrzeć na psa, schronił się do stróżówki i poprosił

Zacheusza o zastępstwo. Zacheusz, który kochał bardzo zwierzęta, gdyż był niskiego wzrostu, stanął na progu i krzyknął ile sił w płucach:

– Roszek do nogi! Chodź, Roszku, chodź, bo dobry Bóg chce cię zobaczyć!

I oto stawili się Roch i Roszek. Święty uśmiecha się z dumą, wybija mocno krok sandałami pielgrzyma i odwraca się co dziesięć kroków, żeby pogłaskać Roszka, który liże go po rękach i wymachuje ogonem niby pióropuszem. Stawił się cały raj, aniołowie, cherubini, archaniołowie, święci obojga płci, wszyscy tłoczyli się, żeby zobaczyć, jak przechodzi pełen wdzięku piesek, który węszył miłe wonie rajy i zdawał się śmiać z ukontentowania.

Była to wspaniała uroczystość. O świętym Rochu prawie zapomniano. Wszystkie pieszczoty, przysmaki, a nawet muzyka były dla Roszka. A święty Roch, który tak kochał swojego psa, był nader zadowolony, że jego samego tak zaniedbano.

Kiedy minęła pierwsza chwila radości, w tłumie nastąpiło poruszenie i pojawił się święty Piotr z włosami w nieładzie, spojrzeniem surowym i kluczami w dłoni.

– Panie – rzekł, zwracając się do Ojca Wiekuistego, który uśmiechał się do Roszka skulonego u jego stóp. – Panie, oddaję ci klucze. Nie będę odźwiernym dla psów.

A Ojciec Wiekuisty ciągle uśmiechał się, nic nie mówiąc. Święty Piotr dodał:

– Panie, zresztą to niesprawiedliwe. Czemuż to pies świętego Rocha ma być samotny? Skoro brama raz została otwarta, moim zdaniem, inne zwierzęta też powinny tu wejść.

Ojciec Wiekuisty ciągle się uśmiechał. Święty Piotr ciągnął:

– Panie, jeśli chcesz, bym nadal sprawował pieczę nad kluczami, powinienesz wpuścić tu mojego koguta.

Siedzi na wszystkich dzwonnicach i wzywa grzeszników do pokuty. W ten sposób także można zostać świętym!

– Wpuśćmy więc i koguta – rzeki wówczas Ojciec Wiekuisty, nie przestając się uśmiechać – będzie to kolejny wyjątek!

W tym momencie wybuchła sprzeczka. Wszyscy święci, którzy kochali jakieś zwierzęta, zaczęli protestować i bronić swojej sprawy.

– A moja gołębica? – mówił Noe. – Moja gołębica, która przyniosła mi gałązkę oliwną?

– A kruk, który karmił mnie na pustyni? – rzekł Eliasz.

– A mój pies, który merdał ogonem? – żalił się Tobiasz.

– A oślica, która prorokowała, kiedym na niej siedział? – wtrącił się Balaam.

– A wieloryb, który przez trzy dni gościł mnie w brzuchu? – dodał Jonasz.

– A prosiaczek, który uratował mnie od nudy? – rzekł święty Antoni.

– A łania – dorzucił święty Hubert – która niosła krzyż na głowie?

– A brat wilk i bracia ptaki, i siostry ryby? – zabrał głos święty Franciszek.

– A muł, który przyklęknął przed hostią? – powiedział ten drugi święty Antoni.

O, przyjaciele moi, zrobiło się doprawdy niezłe zamieszanie. Ale Ojciec Wiekuisty, który ani na chwilę nie przestał się uśmiechać, nakazał skinieniem ciszę i oznajmił:

– Ten pies, który przywarł do moich stóp, sprawia, że aż do mego serca wzbija się, niby modlitwa, ciepło jego dobroci. Pokój zwierzętom. Zwierzęta kochane przez świętych mają w sobie coś więcej niżli inne, mają jakby duszę. Niechaj wejdą. Każdy z was wprowadzi zwierzę, które było mu przyjacielem.

Ujrzano wtedy przedziwną procesję. Zwierzęta cztero- i dwunożne, zwierzęta okryte sierścią i piórami, ptaki i ryby, sunęły powoli ku tronowi Boga. I we wszystkich tych zwierzętach była wielka dobroć, która jeszcze jaśniejszym czyniła splendor raj.

Jakiś młodziutki święty, który był bardzo dowcipny, rzekł ze śmiechem:

– Wygląda to jak arka Noego!

A święty Augustyn odparł:

– No właśnie! Arka Noego była obrazem raj!

Jezus opuścił wówczas swoje spojrzenie, które widzi wszystko, na tę zgromadzoną rzeszę, co czciła Go bez słów, i rzekł:

– Nie ma tu jednak wszystkich. Brakuje osiołka i wołu, które ogrzewały Mnie swoim oddechem, kiedy byłem ma-
lutki.

Więc osiołek i wół pojawiły się za chwileczkę. Stały już bowiem przy wejściu, czekając na swoją kolej. A Jezus pogłaskał je z uśmiechem.

Jean Quercy

Leggende cristiane, Milano 1963, s. 545-548



Święta Genowefa z Brabancji

Legenda francuska

W czasach krucjaty przeciwko niewiernym żył na dworze trewirskim szlachetny paladyn Zygfryd, zwany „dobrym chrześcijaninem”, który pojął księżniczkę królewskiej krwi, córkę księcia Brabancji. Piękna Genowefa, kiedy tylko mogła, dniem i nocą służyła Najświętszej Paninie i z miłości do Niej rozdawała biednym wszystko, co miała.

Kiedy paladyn miał wyruszyć na krucjatę, rozkazał żonie zamieszkać w zamku Symmern, blisko miasta Meyen, by uchronić ją przed wszelkim niebezpieczeństwem, albowiem jej uroda była doprawdy niezwykajna. Nie miała jednak dziecka.

Paladyn czynił zatem przygotowania do wyprawy i zwołał swoich baronów oraz rycerzy. Wśród nich był Golo, dowódca straży, drogi paladynowi ze względu na swoją gorliwość i na to, że służył bez znużenia. Kiedy wszyscy dotarli do Symmern, paladyn zwołał radę i zostało postanowione, że generalnym zarządcą będzie mianowany Golo.

Następnej nocy paladyn dzielił łóżę z małżonką, a przez osobliwe zrządzenie Opatrzności stała się brzemienna. Rankiem paladyn wezwał swojego zarządcę i rzekł:

– Golo, powierzam twojej pieczy moją ukochaną małżonkę i zostawiam pod twój zarząd wszystkie moje dobra, gdyż ufam, żeś mi wierny.

Na te słowa Genowefa padła na ziemię niby martwa, a paladyn podniósł ją w ramionach, mówiąc z wielką tkliwością:

– Maryjo Panno, Ciebie nade wszystko proszę, byś czuwała nad moją ukochaną żoną.

Potem uścisnęli się z płaczem i paladyn odjechał; ale przewrotny Golo zapłonął do Genowefy nieczystą namiętnością i jął zaczepiać ją najzuchwalszymi słowy, mówiąc:

– Pani, Bóg mi świadkiem, że miłość, jaką dla ciebie żywię od tak dawna, odbiera mi rozum. Błagam więc, oddaj mi się!

Ale cnotliwa niewiasta odpychała go słowami:

– Wolę śmierć, niżli miałabym zdradzić mego męża i pana!

W tym czasie łono jej wezbrało i wiarołomny rycerz radował się tym. Przygotowawszy sobie przez niegodziwy podstęp fałszywe listy, Golo udał się pewnego dnia do swojej władczyni. Przeczytał list donoszący, że Zygfryd zginął na morzu ze wszystkimi swoimi ludźmi. Paladynowa żona omdlała, wzywając Najświętszą Pannę; a kiedy leżała tak bez zmysłów, ukazała się jej we śnie Matka Boska otoczona blaskiem i rzekła:

– Pociesz się, córko. Twój małżonek żyw, lecz wielu jego ludzi utraciło żywot, zanim jeszcze stanęli do walki.

Uspokojona tym widzeniem Genowefa przyszła do siebie i zażądała posiłku. Wtenczas Golo polecił dodać do jedzenia pewne driakwie i zbliżając się, by ją uwieść, powiedział:

– Pani, przeczytałaś w liście, że nasz pan i opiekun utracił żywot. Jesteś wdową, a wszystkie dobra poddane są mojej władzy. Nic nie stoi na przeszkodzie, byś została moją małżonką.

Powiedziawszy te słowa, rzucił się na nią, by wziąć ją w objęcia, lecz paladynowa małżonka wymierzyła mu policzek. Golo, widząc, że jego nadzieje biorą w łeb, zaraz

pomyślał o zemście i kazał oddalić wszystkie wierne służki Genowefy.

Kiedy nadszedł koniec brzemienności, paladynowa małżonka wydała na świat nadzwyczajnie dorodnego syna, lecz nikt nie śmiał pielęgnować jej i pocieszać podczas porodu; opiekowała się nią tylko stara służka, która, będąc zaprzędana Golowi, nie przepuszczała żadnej sposobności, by zadać jej cierpienie. Kiedy znosiła tak los uwięzionej, dotarł wszelako do niej posłaniec od męża i powiedział:

– Paladyn nasz pan zachował zdrowie, ale stracił wielu ludzi.

– Gdzie przebywa mój małżonek? – spytała Genowefa.

– W Strasburgu – odparł posłaniec.

Wielka była radość władczyni, która uważała się już za więźniarkę niegodziwego rycerza. Ledwie Golo stanął przed nią, powtórzyła mu wszystko, czego się dowiedziała, a zdrajca, lękając się sprawiedliwej kary od swego pana, zaczął jęczeć w wielkim zmieszaniu:

– Co za nieszczęście! Jestem więc zgubiony! Cóż mogę uczynić?

Pewna starucha, która miała zwyczaj podglądać ze swego okna wszystko, co działo się na zamku, zobaczyła zatrwożenie rycerza, odnalazła go i zapytała:

– Cóż ci to, panie? Czemuż się tak trwożysz?

Kiedy Golo opowiedział jej o wszystkim, niegodziwa doradczyni rzekła:

– Nasza władczyni ma syna, lecz któż może rzec, czy to syn pana, czy kuchcika. Ruszaj naprzeciwko paladynowi – dodała – i powiedz mu, że księżna miała kochankę spośród sług. Z pewnością ukarze ją śmiercią i będziesz bezpieczny.

Golo przyjął niegodną radę staruchy i kiedy spotkał się w drodze z Zygfydem, rzucił na Genowefę oszczerstwo. Paladyn, oślepy z bólu, począł wylewać łzy.

– Najświętsza Panno – jęczał – wszak powierzyłem Ci moją małżonkę! Czemuś pozwoliła, by odebrała mi cześć? Mój Stwórco, spraw, by otwarła się ziemia i pochłonięła mnie, albowiem wolę śmierć niżli hańbę, która mnie dotknęła!

Widząc, że jest w takim strapieniu, Golo zaraz podszepnął mu, by kazał żonę wraz z dzieckiem wrzucić do jeziora, gdyż ma do tego całkowite prawo.

– Niechaj tak i będzie – odparł paladyn.

Wtedy rządca za podszeptem złego ducha powierzył Genowefę wraz z dzieckiem sługom, powtarzając im rozkaz pana.

– Jakąż zbrodnię popełnili? – pytali ze zdumieniem słudzy.

– To nie wasza sprawa! – krzyknął Golo. – Bądźcie posłuszni, by nie spotkał was taki sam koniec!

Lecz słudzy nie mieli serca wykonać wyroku tak okrutnego i woleli zostawić niewiastę i dziecko na pastwę dzikich zwierząt. Lękając się jednak, że Golo mógłby odkryć ich wybieg, postanowili wyrwać język psu, który im towarzyszył, i pokazać Golowi na dowód śmierci Genowefy.

Kiedy paladynowa małżonka została porzucona z dzieckiem w bezludnym miejscu, długo użała się nad sobą, opłakując bogactwo i dostatki, które musiała opuścić. I tym większy był jej ból, że nie miała mleka, którym mogłaby karmić dziecko. Pomyślała wówczas, by uciec się do Matki Boga.

– Maryjo Panno – wykrzyknęła – wspomóż niewinną kobietę! Nie opuszczaj mnie i oddal ode mnie wściekłe bestie.

Wtedy usłyszała głos, który ją pocieszył, obiecując pomoc; a łaska Pana przysłała jej łanię, która legła u stóp dziecięcia i nakarmiła je mlekiem. I tak spędziła w lesie sześć lat i trzy miesiące, spożywając tylko dzikie zioła i chroniąc się w grocie.

Pewnego razu Zygfryd zapragnął wydać wielką biesiadę na święto Trzech Króli i sprosił wszystkich swoich rycerzy i wasali; ponieważ zaś wielu przybyło w przeddzień święta, paladyn zapowiedział wielkie polowanie, by mieli rozrywkę. Ledwie spuścili sforę, psy wypłoszyły łanię, która poїła mlekiem dziecie Genowefy. Myśliwi z psami rzucili się za nią w pogoń, jedni krzycząc, drugie szczekając, a paladyn i jego rycerze zbliżyli się do miejsca, gdzie znalazła schronienie księżna. Natomiast Golo zgubił trop psów.

Osaczona z bliska łania schroniła się tam, gdzie przywykła karmić dziecko. Psy rzuciły się na nią, ale Genowefa, widząc, że zesłana przez niebo przyjaciółka bliska jest śmierci, chwyciła kij i próbowała odgonić zaciekłą sforę. W tym momencie nadciągnął paladyn ze świtą i był świadkiem tej osobliwej walki.

– Hola, psy, precz – wykrzyknął, zbliżając się z ciekawością do Genowefy. – A ty – zapytał – czyś jest stworzeniem chrześcijańskim?

– Jestem – odparła – ale, jak widzisz, nie mam już odzienia. Daj mi swój płaszcz, bym nie była wystawiona na spojrzenia wszystkich.

Paladyn podał jej płaszcz.

– Jakże to, niewiasto, nie masz odzienia ni pokarmu?

– Nie mam chleba, panie – odpowiedziała Genowefa – lecz karmię się owocami i ziołami, które znajduję w lesie. Długo noszone odzienie rozpadło się na strzępy.

– Ileż to czasu jesteś już w kniei?

– Sześć lat i trzy miesiące.

– A czyje to dziecko? Kto jego ojcem?

– Bóg to wie – odparła Genowefa.

– A jakże się zowiesz?

– Genowefa.

Jak tylko paladyn usłyszał to imię, pomyślał, że niewiasta może być jego żoną, poza tym nagle jakiś sługa z ciżby zakrzyknął:

– Na Boga żywego! Zda mi się, że to nasza pani, którą od tak dawna uważaliśmy za martwą! Winna mieć bliznę na twarzy!

Przyjrzeni się i zobaczyli bliznę i także obrączkę małżeńską. Wtedy paladyn wziął Genowefę w ramiona, mówiąc:

– Jesteś naprawdę moją małżonką! – i zwracając się w stronę dziecka, dodał: – Jesteś naprawdę moim synkiem!

Księżna opowiedziała wtedy wszystko, co się wydarzyło, a paladyn i obecni płakali ze wzruszenia i radości. W tym momencie pojawił się na polanie wiarołomny Golo i rycerze rzucili się na niego, by go zabić, ale Zygfryd rozkazał:

– Poczekajcie, gdyż trzeba postanowić, jaka kara go spotka.

I tak się stało. Paladyn zarządził, by przyprowadzono cztery dzikie byki i by do każdego uwiązano kończynę Gola – ręce i nogi – a potem zostawiono winnego ich zaciekłości. Kiedy byki rzuciły się w cztery różne strony, także ciało Gola podzieliło się na cztery części.

Potem paladyn zabrał do zamku małżonkę i dziecko. Najpierw Genowefa nie chciała.

– Najświętsza Panna dała mi to schronienie, kiedy osaczały mnie dzikie bestie, i przysłała mi łanę, bym miała czym wyżywić dziecię. Nie porzucę tego miejsca, dopóki nie zostanie jej poświęcone.

Wtedy Zygfryd posłał zaraz posłańca do arcybiskupa Hydolfa i w dzień Trzech Króli arcybiskup przybył, i została wzniesiona kaplica. Natomiast Genowefa aż do połowy kwietnia żywiła się tylko dzikimi ziołami, gdyż niczego innego nie mogła przełknąć.

Anonim średniowieczny

Święta Katarzyna Aleksandryjska

Dziewica Katarzyna, córka króla Kostosa, zgłębiła wiele nauk.

Zdarzyło się za jej życia, że cesarz Maksencjusz zgromadził w Aleksandrii liczne oddziały wojska i zbrojnych jeźdźców i rozkazał, by wszyscy mieszkańcy miasta, szlachetnie urodzeni i z pospólstwa, złożyli ofiarę bogom; kto odmówi, straci życie. Katarzynę, która po śmierci króla Kostosa została jedyną panią pałacu i wielkich bogactw ojca, a miała wtenczas lat osiemnaście, zdumiały krążące po mieście pogłoski i wielka rzeź zwierząt zabijanych na ofiarę.

Kiedy dowiedziała się, co jest przyczyną całego zamętu, ruszyła w otoczeniu sług do świątyni, gdzie cesarz składał ofiary, i ujrzała, że wielu chrześcijan ze strachu przed mękami wypierało się Jezusa Chrystusa i oddawało cześć bożkom. Zasmuciła się wtedy, stanęła przed cesarzem i rzekła mu z oburzeniem:

– Panie, ileż stosowniejsze dla twojej godności byłoby poznać prawdziwego Boga i Jemu złożyć hołd, a wyrzec się tych bożków, z których nie ma żadnego pożytku!

I poczęła rozprawiać z cesarzem i wskazywać mu, w jakim tkwi błędzie.

– Panie – powiedziała – skoro twoje zdumienie i podziw budzi ta świątynia wzniesiona ręką człowieka, te ozdoby,

które są niczym pył na wietrze, o ileż bardziej winienesz podziwiać niebo i gwiazdy, i księżyc i słońce, i ziemię i stworzone zwierzęta, i wodę i ryby, które w niej żyją! Pomyśl o Tym, który to wszystko sprawił, i kiedy uznasz Jego potęgę, będziesz musiał przyznać, że to Król nad królami!

– Kimże jesteś, że przemawiasz do mnie w ten sposób?
– zapytał cesarz.

Katarzyna wyjawiała wówczas swoje imię oraz czyją jest córką i wyznała otwarcie chrześcijańską wiarę.

– Jeśli by prawdą było to, co powiadasz – rzekł cesarz – cały świat żyłby w błędzie i tylko ty posiadałabyś prawdę. A może jest na odwrót? Ja skłaniam się do tego ostatniego mniemania. Nikt się z tobą nie zgadza, jesteś słabą niewiastą. Nie wierzę ci.

A potem, ponieważ nie potrafił stawić jej czoła, podając rozumne racje, wezwał wielu mędrców i obiecał im wysoką nagrodę, jeśli tylko zdołają odeprzeć argumenty Katarzyny.

Wtenczas dziewica rzekła cesarzowi:

– Po cóż zwołałeś tylu mistrzów? Z powodu jednego dziewczęcia? Po cóż obiecałeś im nagrodę, jeśli zdołają mnie przemóc? Mnie nie obiecałeś nic, jeśli zdołam ich przemóc; lecz powiadam ci, że moją jedyną nagrodą będzie Jezus Chrystus, albowiem z miłości do Niego podjęłam ten bój, z którego wyjdę zwycięsko, czego jestem pewna.

Pożegnała się i oznajmiła mędrcom:

– Wyznaję, że przy was moja wiedza waży niewiele; wiem tylko o Jezusie Chrystusie, który był ukrzyżowany.

I zaczęła rzucać ważne argumenty, które dowodziły, że Jezus jest prawdziwym Bogiem, zaś bożkowie są diabłami. Mistrzowie milczeli jak zakłęci, bo nie wiedzieli, jak jej zaprzeczyć, aż zagniewany cesarz obrzucił ich obelgami:

– Czy to możliwe, że zamknęła wam usta osiemnastoletnia dziewczeczka? – szydził.

Wtedy wstał najstarszy z mędrców.

– Wiedz, panie – oznajmił – że przez usta tego dziewczęcia przemawia Bóg i dlatego właśnie zostaliśmy pokonani i nie ważymy się nic przeciwko niej powiedzieć; naprawdę przekonała nas, że Chrystus jest prawdziwym Bogiem, Królem nad królami, zaś bożkowie są niczym.

Cesarz, coraz bardziej zagniewany, rozkazał, by ich wszystkich spalono na miejskim placu. Kiedy szli na męki, Katarzyna umacniała ich wiarę w Boga i czynili znak krzyża. Po śmierci odnaleziono ich ciała nie naruszone, jakby nie były wydane na męki.

Cesarz rzekł do Katarzyny:

– Proszę cię, dziewczę mądre i piękne, byś mi nie zaprzeczała, a ja dam ci w moim pałacu miejsce obok cesarzowej. Obiecuję ci nawet, że każę odlać ci posąg cały ze złota, by złożyć hołd twojej urodzie i mądrości, i cała Aleksandria odda ci cześć!

Na to Katarzyna:

– Nie opowiadaj mi więcej takich rzeczy, gdyż gniewają mnie. Jestem oblubienicą Jezusa Chrystusa i Jemu się oddałam; nie odłączysz mnie od Niego ani schlebując mi, ani grożąc, ani wydając na męki!

Wtenczas cesarz kazał ją obnażyć i okrutnie wychłostać, a potem zamknął w więzieniu, polecając, by nie dawano jej jeść ani pić. W tym czasie musiał na kilka dni opuścić miasto, a cesarzowa, która gorąco pragnęła porozmawiać z Katarzyną, skorzystała z jego nieobecności i pewnej nocy udała się do więzienia w towarzystwie Porfiriusza, dowódcy rycerzy, oraz innych urzędników. Kiedy święta ją ujrzała, przyjęła z wielką radością i opowiadając długo o Jezusie Chrystusie, nawróciła na chrześcijaństwo, a wraz z nią Porfiriusza i innych dwustu rycerzy, którzy z nim przybyli.

Przez dwanaście dni święta Katarzyna była zamknięta w więzieniu i każdego ranka Jezus posyłał białego gołębia, który przynosił jej pożywienie. Kiedy zatem wrócił cesarz, przekonany, że zastanie ją już martwą, a zobaczył, że oto staje przed nim z twarzą piękną i jasną jak słońce, kazał ukarać strażników więziennych, bo mniemał, iż to oni dali Katarzynie jeść i pić.

– Wybieraj! – powiedział potem do dziewczęcia. – Albo złożysz ofiarę bogom, albo umrzesz!

Na to Katarzyna:

– Proszę cię, byś czym prędzej poddał me ciało wszystkim mękom, jakie tylko zdołasz wymyślić. Chcę, aby moje ciało zaznało cierpień przez miłość do Jezusa Chrystusa, który sam siebie wydał na śmierć!

Wtedy jeden z rycerzy, widząc, że cesarz wpadł w gniew, doradził mu, by przygotował cztery koła najeżone ostrymi żelazami i poćwiartował w ten sposób ciało dziewczęcia, a wtedy na chrześcijan padnie strach. Kiedy jednak Katarzyna ujrzała owe koła, prosiła Boga, by je połamał, bo dzięki temu chrześcijanie odzyskają odwagę. Zaraz pojawił się u jej boku anioł i połamał koła z taką siłą, że zginęło od tego cztery tysiące pogan, którzy znajdowali się w pobliżu.

Cesarzowa, która stała w oknie pałacu, widząc ten cud, nie mogła już się powstrzymać i zeszła na plac, by napomnieć ostro cesarza z powodu jego okrucieństwa. Lecz cesarz, rozwścieczony na nią, rozkazał, żeby także ją umęczyli i zabili. Wyprowadzili ją więc za miasto i przede wszystkim oderwali jej ostrymi żelazami piersi, potem męczyli ją dalej, a w końcu ucięli jej głowę.

W nocy Porfiriusz pogrzebał potajemnie jej święte ciało, a wtenczas cesarz rozkazał, by uwięziono licznych chrześcijan i poddano mękom, aby dowiedzieć się w ten sposób, kto to taki pogrzebał ciało małżonki, lecz stawił się przed nim Porfiriusz i wykrzyknął:

– To ja pogrzebałem cesarzową i wiedz, że wraz z nią nawróciłem się na wiarę chrześcijańską!

Cesarz prawie oszalał z bólu.

– Straciłem małżonkę – powiedział – a teraz tracę tego, który był mi rękojmią bezpieczeństwa! Wszystko zaś przez to dziewczątko!

Wtedy dwustu rycerzy Porfiriusza zawołało jak jeden mąż:

– My też jesteśmy chrześcijanami i chcemy umrzeć przez miłość do Chrystusa!

Rozwścieczony cesarz kazał, by ucięto głowę Porfiriuszowi i wszystkim jego rycerzom i by ich ciała leżały nie pogrzebane, aż pożrą je ptaki i dzikie zwierzęta. Potem polecił przyprowadzić przed swoje oblicze Katarzynę i rzekł jej:

– Oszukałaś moją żonę i mojego dowódcę, i licznych rycerzy, ale ja raz jeszcze ci powtarzam: jeśli przystaniesz na moje życzenie, staniesz się panią w moim pałacu, lecz jeśli nie przystaniesz, każę cię zabić.

– Nie przekonasz mnie w żaden sposób – odparła na to Katarzyna – bym postąpiła, jak pragniesz.

Wtedy cesarz rozkazał, by została zaraz ścięta, i tak uczyniono. I przybyli aniołowie z nieba, i zanieśli jej ziemską powłokę na górę Synaj, i pochowali w pięknym grobowcu, z którego po dziś dzień spływa wonny olejek, a to z mocy Boga, bo taki przywilej dał świętemu ciału Katarzyny.

Według Jakuba de Voragine

Leggende cristiane, Milano 1963, s. 43-46



Święta Zyta i jej pomocnicy

Legenda czeska

Zyta w Genewie na służbie u prefekta miasta święta Zyta, dobra dusza, bogobojna i wierząca. Jeśli tylko mogła pójść z samego rana, choćby na moment, pomodlić się w spokojnym mroku katedry, przez cały dzień była radosna i pilna. Lecz miała zawsze bardzo dużo pracy, gdyż dom był wielki. Musiała robić porządki, sprzątać pokoje, mieć pieczę nad spiżarnią, dbać o zaopatrzenie piwnic i w dodatku gotować. Jednak nadążała z robotą. Wystarczyło, że mogła pozwolić sobie na tę modlitwę w kościele, zanim zakasała rękawy.

Pewnego dnia w domu prefekta miała odbyć się uczta. Od samego rana święta Zyta nie miała chwili wytchnienia. Zrobiła zakupy na targu i dźwigała kosze jeden za drugim, z rybami, dziczyzną, winogronami, figami, ananasami, karczochami, flaszkami pełnymi najrozmaitszych win. I już miała stanąć przy kuchni, kiedy przypomniała sobie, że tego dnia nie była w kościele, nawet żeby odmówić „Ojcze nasz”. Z wąskiego okna kuchni widać było wielką katedrę; lśniły setki światełek, dochodziły odgłosy śpiewu i dźwięk dzwonów.

Święta Zyta rzuciła wszystko i obiecując sobie, że pospieszy się ile sił, zarzuciła na głowę chustę i pobiegła do kościoła. Ale dziwny los sprawił, że Zyta nigdy jeszcze

nie pogrążyła się tak bardzo w modlitwie jak tego dnia, nigdy starożytny kościół nie był tak przytulny ze swoimi starymi freskami, które zdawały się dopiero co namalowane, z muzyką, śpiewem i dzwonami, które ukołysały ją tak, że zaczęła śnić, ze świętymi w niszach, na kolumnach, ołtarzu, którzy zdawali się patrzeć tylko na nią i zapraszać, by jeszcze tu pozostała.

Klęcząc w półmroku nawy, w głębi kościoła Zyta marzyła, nie pamiętając o całym świecie i o zakupach, jakie zrobiła, o tym, jak głodni będą goście i w jaki gniew wpadnie jej pan. Ale kiedy wybiło południe, Zyta, jakby rażona gromem, zerwała się przerażona.

– Cóż uczynię, nieszczęsna?

Ledwie zrobiła znak krzyża, pomknęła do domu. Pod domem prefekta zebrało się mnóstwo karoc i sług. Święta Zyta znowu wpadła w przerażenie.

– O ja nieszczęsna, dalejże czym prędzej do kuchni.

Ale kiedy była jeszcze w korytarzu, zaskoczył ją dziwny, przyjemny zapach. Z kuchni dobywał się dym i dały się słyszeć odgłosy smażenia, gotowania, jakieś gwizdy, dzwonenie noży, szczęk talerzy, a czerwonawy blask pieca odbijał się nawet w długim korytarzu.

– Czyżby już znaleźli kogoś na moje miejsce? Czyżby wzięli już inną służącą? – myślała zagubiona całkiem święta. – Nie da się w tak krótkim czasie przygotować dobrej uczyty!

Pobiegła, by zobaczyć, co się dzieje, i aż pobladła ze zdumienia. Tysiące nagich, puciołowatych, skrzydlatych aniołków krzątało się pracowicie po kuchni, jeden podrzucał drwa do ognia, inny obracał rożnem, inny kroił złocisty melon, a jeszcze inny kładł na srebrne talerze tłuste kawałki ryby i ozdabiał zieleniną. Któryś ułożył ogromną piramidę z jabłek i winogron, tamten kroił, ten dzielił, ów ubijał tłuczkiem tak wielkim, że pot wielkimi perłami spływał mu z czoła.

Był tam jeszcze biedaczek, który krojąc makaron, skaleczył się w mały palec i teraz dmucha, robi miny i sam nie wie, ile ma wdzięku. A pośpiech, zamieszanie, gorączka przygotowań coraz większe. Wszystko jest już gotowe i o dwunastej niosą rządkiem, zaczynając od piramid złocistych fig, kończąc zaś na półmisku, na którym w morzu żelatyny tonie wielka ryba z cytryną w pysku. A dalej flaszki z winem i sto innych przysmaków, wszystko gotowe, wystarczy podać do stołu. Jakiż zapach, jakież piękno.

Zdumiona i zachwycona Zyta zamarła na progu. Potem płacząc ze wzruszenia podniosła białe ręce i wchodzi tam, gdzie pracują aniołowie. Boże Świąty, cóż to za cud! Nie może powstrzymać łez radości, ale ledwie ją aniołowie dostrzegli, zaraz znikają, jak za dotknięciem czarodziej-skiej różdżki. Jedynie trzepot setki skrzydeł dobiega spod sufitu, a potem cichnie i tylko w kominku, spomiędzy fal gęstego dymu pozdrawiają ją twarzyczki dzieciątek jasnowłosych i kędzierzawych.

Święta Zyta zostaje więc sama, medytując nad tym, co widziała, aż z zamyślenia wyrywa ją głos pana:

– Już południe, podawaj do stołu!

Nie wiem, co się stało potem, ale puciołowaty aniołek, który opowiedział mi to wydarzenie, rzekł, iż tym razem prefekt wraz ze swoimi współbiesiadnikami objedli się bardziej niż kiedykolwiek. A znakomici goście proponowali mu wielkie sumy, byle tylko zechciał odstąpić swoją kucharkę. Ale prefekt nawet nie chciał o tym słyszeć.

Według Jaroslava Vrchlicky'ego

Leggende cristiane, Milano 1963, s. 523-524



Lekkomyślna reforma

Legenda hiszpańska

Objawy radości, jakie towarzyszą pielgrzymkom w Baskonii od początku maja aż do października docierają do nieba. Sławny święty Błażej, biskup i męczennik, znużony wysłuchiowaniem tych odgłosów, wykrzyknął pewnego dnia:

– Nawet święty traci już cierpliwość! Nasze obchody przypadają na nasze nieszczęście zimą, więc musimy zadowolić się hołdami nielicznych wiernych, paroma zapalonymi świeczkami, Mszą bez kazania i uroczystych obrzędów, ci zaś, których obchody przypadają na lato, są doprawdy nienasyчени! Zda się, że cała Baskonia wydłubia się, żeby wziąć udział w uroczystościach na ich cześć! Z jednej strony słyszeć, jak biją dzwony, widzieć race, dochodzi dźwięk bębnów, z drugiej zewsząd okrzyki radości i kościół tonący w świetle od rana do wieczora! Zaczyna się o świcie prymą, a później uroczysta Msza śpiewana, z diakonami i kazaniami bez końca; muzyka, ofiary pieniężne, ofiary z wosku, wota! Jeśli ta różnica między świętami letnimi a zimowymi jest sprawiedliwa, niechaj sam Bóg to obwieści! Mam tego dosyć! Od dzisiaj zrobię, co w mojej mocy, by nic podobnego już się nie zdarzyło, i jestem pewny, że zwyciężę, gdyż Pan jest sprawiedliwy i nie może dopuścić, aby ta krzywda, która jest wszak dziełem ludzkim, trwała dłużej!

Jak powiedział, tak zrobił. Zaraz zawiadomił o całej sprawie tych świętych obojga płci, których obchody przypadają w zimie, i ku wielkiemu jego zadowoleniu, wszyscy jak jeden mąż, z miłością i zgodnie, przyznali mu rację. Trzeba – oznajmili – podjąć decyzję, by raz na zawsze położyć kres tej potwornej nierówności, nad którą święty Błażej tak ubolewa. Byli tak jednomyślni, że wtedy właśnie powstało przysłowie: „Tak rzekł święty Błażej i koniec”.

Na wniosek świętego Błażeja zwołano zebranie zainteresowanych. Tego dnia wszyscy święci obojga płci, którzy mieli kościół albo kaplicę w Baskonii, wzięli udział we Mszy. Święty Błażej wyjaśnił w krótkim, lecz wymownym przemówieniu powód zebrania, a następnie przystąpiono do wyboru świętych, którzy podejmą negocjacje. Przewodnictwo objął święty Józef, co było słuszne, gdyż był przecież otoczony chwałą przybranym ojcem Jezusa Chrystusa. Sekretarzem mianowano świętego Anioła Stróża, który był najmłodszy i najbardziej stosowny do takiej funkcji.

Po ożywionej dyskusji postanowiono napisać petycję, którą owi wybrańcy przedstawiają Panu. Anioł Stróż napisał petycję piórem, które wyrwał ze swojego skrzydła, i wszyscy zaaprobowali ją z jak największym entuzjazmem, nawet święty Tomasz, który nigdy nie zaliczał się do optymistów.

Następnie komisja stanęła w obliczu Pana, który przyjął ją z wielką życzliwością, również dlatego, że przewodniczył jej Jego otoczony chwałą przybrany ojciec. Święty Józef po zwięzłym przedstawieniu pragnienia świętych, których obchody przypadały między listopadem a majem, wręczył Mu dokument. Pan przeczytał go z zadowoleniem, gdyż petycja wypadła nader zgrabnie, a potem rzekł do przewodniczącego:

– Ojcze, także Mnie wydaje się sprawiedliwe, by świętym, nazwijmy ich tak „zimowym”, składano hołd tak samo uroczyście, jak świętym „letnim”. Żeby jednak uzyskać ten cel, trzeba by pozamieniać pory roku, wprowadzając zamęt wśród innych świętych z Baskonii, którzy w większości są czczeni między majem a październikiem. Gdyby petycja była podpisana przez większość, zaraz napisałbym: „Do wykonania”. Ale ponieważ została przedstawiona przez mniejszość, mogę jedynie napisać „podanie odrzucone”.

Święty Józef już miał odpowiedzieć coś swemu przybranemu Synowi, kiedy wszyscy usłyszeli wielki zgiełk u bram niebios. Pan zadzwonił dzwoneczkiem, przybiegł święty Piotr.

– Co ma znaczyć ten hałas, Piotrze? – spytał Pan.

– Panie w majestacie – odparł święty odźwierny nieba – to zmarli z Baskonii, którzy domagają się, by traktować ich jak świętych z wszystkimi uprawnieniami, gdyż ich uroczystości – powiadają – obchodzi się nie tylko w jednej wsi, jak dzieje się w przypadku innych świętych, ale po prostu w całym okręgu.

– Słusznie – odezwał się Pan – lecz po co tu przybyli?

– By udzielić swego poparcia petycji przedłożonej przez tu obecnych.

W ten sposób górę wzięła ogromna większość.

W Baskonii pory roku zmieniały teraz całkowicie swoje oblicze. Pora dojrzewania wiśni przychodziła w grudniu i styczniu, a kardów w czerwcu i lipcu. Najwięcej turystów przyjeżdżało plażować się w styczniu i lutym, gdy tymczasem w lipcu i sierpniu mieszkańcy Bilbao szli do Portugalete – smagani wiatrem północno-zachodnim po twarzach – by zobaczyć statki, które rozbiły się, i wysokie jak góry fale, które zalewały przystanie.

Odkąd zmieniły się pory roku, dało się zauważyć zjawisko szczególnego rodzaju, którego nikt nie potrafił

objaśnić. Święty Marcin, święty Andrzej, święty Tomasz, święty Antoni Opat, święty Sebastian, święty Wincenty Męczennik, święta Julianna, Anioł Stróż, święty Józef, w sumie ci wszyscy, którzy mieli ołtarze i kapliczki w Baskonii i podpisali petycję, byli zniechęceni i strapieni, i często, ale zwłaszcza w dniach swoich uroczystości, szeptali:

– To zupełne zgorszenie! Tak dalej być nie może!

I nikt nie potrafił pojąć, skąd w nich tyle niesmaku, zasmucenia, skąd tyle szeptania z oburzeniem, skoro są teraz w przypadającym im dniu czczeni przez lud Baskonii jak nigdy przedtem. Pragnienie świętego Błażeja i jego towarzyszy spełniło się wszak w pełni.

Zwrócono też uwagę na inne, nie mniej osobliwe zjawisko. Odkąd pory roku odmieniły swój bieg, ci święci obojga płci, których obchody przypadały między majem a październikiem, byli zadziwiająco ukontentowani i czasem wykrzykiwali:

– Jakże wspaniale, cóż za szczęście! Oby Bóg zechciał, by tak już pozostało!

Ledwie minęły obchody świętego Wincentego, świętego Błażeja i świętej Agaty, wszyscy troje byli oburzeni, chociaż uroczystości przebiegały w klimacie wielce radosnym. Naradzili się potajemnie, a potem święty Błażej zgromadził wszystkich świętych obojga płci, którzy podpisali petycję, i rzekł:

– Moi drodzy, trzeba wyznać, że zbłądziliśmy, a ja pierwszy, prosząc Pana, by nasze uroczystości były obchodzone tak, jak obchodzi się uroczystości przypadające w lecie. Myślę, że wam wszystkim zdarzyło się to samo, co mnie, i że z tej przyczyny podzielacie moje wielkie zasmucenie, jak dzieli je między innymi święta Agata, dziewica i męczenniczka!

– Proszę o głos w sprawie osobistej – odezwała się w tym miejscu święta.

Udzielono jej głosu, a ona z twarzą zarumienioną z zawstyżenia i oburzenia, wybuchnęła:

– Nie wiem, czy podczas innych pielgrzymek w Baskonii dzieje się to, co podczas mojej, odkąd zamieniono pory roku. Tak, to prawda! Przedtem do mojego kościoła wspinała się 5 lutego najwyżej setka osób i ofiary były skąpe. Tak, to prawda! Ołtarz był marnie oświetlony, a cała radość sprowadzała się do paru uderzeń w bęben i do tańca jakiegoś małżeństwa, które dziękując mi za uzdrowienie, chciało przypomnieć w ten sposób tańce z ich zaręczyn lub wesela. Tak, to prawda, że do tego sprowadzały się obchody na moją cześć, ale te prościutkie hołdy miały ogromną wartość, gdyż brały się z serc szczerych i czystych. Niestety! Minęły czasy, kiedy uważałam się za pokrzywdzoną – jakaż głupia byłam! – widząc z mojej przełęczы Castreiana tysiące pielgrzymów, którzy w czerwcu i lipcu składali zgiełkliwe hołdy świętemu Janowi, świętemu Piotrowi, świętemu Jagonowi i świętemu Michałowi! Teraz przyszły czasy, których my wszyscy, i ja jako pierwsza, tak pragnęliśmy, a którymi Pan obdarzył nas, gdyż bez wątpienia zasłużyliśmy na karę, powątpiewając w Jego sprawiedliwość! O tym, co przydarzyło się w tych nowych czasach, nie mogę mówić, a to ze wstydu i oburzenia.

Ogólny szmer potwierdzenia i bólu przerwał słowa świętej, która usiadła, dając świętemu Błażejowi znak, by dalej wyjaśnił cel zebrania.

– Moi drodzy – rzekł wówczas święty – to, co rzekła przed chwilą święta Agata, zwalnia mnie od dalszych wyjaśnień. Jednym słowem, wydaje mi się, że pozostaje nam znaleźć najskuteczniejszy sposób, by z rozkazu Pana wszystko wróciło do poprzedniego stanu. Musicie przyznać, że obchody w Baskonii straciły swój charakter czysto religijny. Niegdyś lud uczestniczył w nich albo żeby uzyskać jakąś łaskę, albo żeby za łaskę już otrzymaną

podziękować. Potem wszyscy wracali zadowoleni do swoich domów. Później jednak pojawił się ktoś, kto pomyślał, że pielgrzymi po wyjściu z kościoła nie odmówią szklaneczki wina, zwłaszcza ci, którzy wstali wcześniej rano. Jak tylko dana im została możliwość pokrzepienia się w sąsiedztwie sanktuariów, pielgrzymi zaczęli tańczyć, uznając, że taniec, jeśli jest wykonany właściwie, nie może obrażać Boga, zważywszy, iż święty król Dawid miał zwyczaj tańczyć przed Arką. Tak sprawy się układały przez wiele wieków, aż doszliśmy do dni dzisiejszych, kiedy to pielgrzymki stały się jarmarkami żarłoczności, pijaństwa, nieuczciwości, nieposłuszeństwa wobec prawa. Na przykład tańce oraz zachowanie kobiet i mężczyzn są takie, że wstydzono by się czynić to w skrytości swych domów.

Wszyscy oklaskiwali głośno przemówienie świętego Błażeja i byli zgodni, że należy wysłać znowu delegację do Pana z prośbą, by przywrócił wszystko do stanu poprzedniego. Komisja pod przewodnictwem świętego Józefa została przyjęta przez Pana ze zwykłą przychylnością. Pan uśmiechał się ze smutkiem i rzekł:

– Jedno tylko przeszkadza mi napisać „nie widzę przeszkód”, a mianowicie to, że petycja została wniesiona przez mniejszość tych, którzy pragnęli zmiany.

– Synu – odparł z wielkim zasmuceniem przewodniczący – pozwól mi przypomnieć sobie, żeśmy ci sami, co i przedtem.

– Nie, drogi ojciec – odparł Pan – albowiem poprzednio przyłączyli się do was wszyscy zmarli z Baskonii, których teraz tu nie masz, być może dlatego, że nie zgadzają się z wami!

– To prawda – uznał święty Józef i jego towarzysze. Ale w tym momencie dało się słyszeć głośne stukanie do bramy niebios i święty Piotr zapowiedział:

– Uwaga, przybyli wszyscy zmarli z Baskonii, by dołączyć swoje głosy do głosów tu obecnych. Powiadają, że nawet w Dzień Zmarłych w sąsiedztwie cmentarza je się, pije i tańczy w sposób nieprzystojny.

Po tych słowach Pan, nie zwlekając, napisał pod petycją „nie widzę przeszkód”. Zanim jednak członkowie komisji odeszli, święty Józef poprosił Pana, by w taki czy inny sposób położył kres oburzającemu zwyrodnieniu pielgrzymek. Pan odparł z wielkim smutkiem:

– Ach. ojczy! Baskonię spotka wielka kara za to zwyrodnienie. Straci to, co kocha najbardziej, a najpierwsi zapłaczą ojcowie i synowie. Pierwsi za winy przeszłe, drudzy za obecne!

Tak rzekł Pan. A łzy, jakie od czterech lat przelewają ojcowie i synowie w Baskonii, są być może spełnieniem tej straszliwej zapowiedzi.

Antonio de Trueba

Leggende cristiane, Milano 1963, s. 525-529



Święta Teresa spowiedniczka

Legenda hiszpańska

Opowiadają, że święta Teresa pragnęła spowiadać i że codziennie prosiła Boga, by uczynił ją spowiedniczką, jak są księża.

Jednego dnia ukazał się jej dobry Bóg i rzecze:

– Tereso, powiadasz, że chcesz być spowiedniczką, a ja chcę cię wypróbować, by zobaczyć, czy mogę spełnić twoje pragnienie. Najpierw daję ci tę małą szkatułkę i rozkazuję, byś nie otwierała jej przez trzy dni.

Kiedy Pan odszedł, święta Teresa rzekła sobie:

– Po cóż to Pan dał mi tę szkatułkę? Cóż w niej jest? Czemuż to Pan rozkazał nie otwierać jej przez trzy dni?

I jej ciekawość była tak wielka, że tegoż wieczoru, zanim położyła się spać, otworzyła szkatułkę, by zobaczyć, co jest w środku. Kiedy ją otworzyła, wyskoczył wróbelek i odleciał.

Przybył wówczas Pan i powiada:

– Widzisz, Tereso? Nie możesz być spowiedniczką, albowiem nawet trzech dni nie potrafisz dochować tajemnicy.

Wtedy Teresa tak się strapiła, że zawzięła się i znalazła sposób, żeby zostać świętą, choć nikogo nie spowiadała.

Opowieść o świętej Krystynie Dziwnej

Dziwne, zaprawdę dziwne było two serce, Krystyno! Serce pełne miłości tak gorącej i miłosierdzia tak niewyczerpanego, iż go już inne ludzkie serca znieść ani wyrozumieć nie mogły. I jak powiada dziejopis, „nawet ludzie dobrzy a pobożni modlili się do Boga, aby nie tak wysoko podnosiła się w niej ręka Jego i iżby udatniejsze były ludziom postęпки Krystyny”.

Ocaliłaś setki dusz, Krystyno, i znosiłaś męczarnie, jako żaden może ze sług Bożych nie znosił, i wsławiłaś się cudami wieloma, a jednak... jak mało ukochało cię serc.

I stało się, że ty, która z miłości dla ludzi bezgranicznej nie tylko ciało swoje na męczarnie srogie wydałaś, ale wieczną szczęśliwość duszy dla nich oddałaś, nie miłość, ale grozę raczej w ludziach budzisz.

Są bowiem sprawy, Krystyno, zbyt wielkie i tajemnicze dla naszych biednych, małych ludzkich serc.

Niebo we Flandrii nie jest bardzo błękitne, ale szarość jego nie posiada barwy popiołu. Rozpina się ono niby perłowe skrzydło nad świeżą zielenią dalekich łąk, po których wędrują, brząkając dzwoneczkami, trzody. I ta perłowa jakoby blaskiem od zewnątrz prześwietlona sza-

rość ucisza duszę. Jest w niej jakowaś słodycz przedziwna, która zdaje się prowadzić myśli ludzkie w pół śnie, a pół na jawie w niekończącą się dal.

Czasem znowu po jasnym błękanie nieba wędrują nieustannie jedne za drugimi srebrzyste obłoki.

I wówczas Krystynie, idącej za trzodą, wydaje się, że oto idzie ona wraz z obłokami.

Któż bowiem wiedzieć może, czy owce, czy obłoki pędzi przed sobą Krystyna?

Krystyna śpiewa.

Śpiewa o Panu naszym Jezusie, który tam w górze czeka na powracających z ziemi pasterzy.

Ludzie zatrzymują się i słuchają w zadumie, i uśmiechają się.

Krystyna idzie w dal za trzodą i obłokami, nie widząc ich. Spod lnianego kapturka błyszczy złoto jej włosów, ciemne w pół opuszczone rzęsy rzucają długie cienie na białość twarzyczki dziecięcej jeszcze, a gdy unosi je czasem, oczy jej mają barwę hiacyntu.

I ludzie myślą:

– Pastereczko wdzięczna! Miły musi Bogu być twój śpiew.

O poranku, wczesną wiosną, Flandria jest krainą mgieł. Krystyna lubi wychodzić wówczas przed chatę, jeszcze przed wschodem słońca.

A nie widać wtedy ani łąk, ani ziemi, ani nieba, ani wyniosłego zamku hrabiów z Loën.

Chata Krystyny zdaje się leżeć na dnie wód szarych i nieprzejrzystych.

I Krystyna z drżeniem serca, w modlitewnym skupieniu – czeka.

Któż bowiem może wiedzieć, co wyłoni się z owej mgły, gdy przedrze ją słońce?

Może nagle rozsunie się szara zasłona i Krystyna ujrzy to, za czym tęskni długie ciemne noce i długie dnie, kiedy wędrując za trzodami swymi nie może nigdy dojść do celu swej wędrówki?

Krystyna przypomina sobie, jak razu pewnego, gdy dzieckiem jeszcze była małym, zakrystian podniósłszy ją do góry, ukazał jej świat przez kolorowe szybki kościoła, które był wówczas pan z Loën wprawić kazał.

Gdy spojrzała przez jedną, ujrzała, że świat cały stoi w płomieniach.

Niebo i ziemia, drzewa i ludzie, wszystko – stało w ogniu czerwonym i złotym. Było to straszne i porywające zarazem.

– Oto jest – pomyślała Krystyna – królestwo złotych salamander o rubinowych oczkach...

Ale zakrystian podniósł ją do drugiej szybki i Krystynie wydało się nagle, że jest na dnie morskim.

Szmaragdowa zieleń objęła ją chłodną falą. Drzewa zdawały się być dziwnymi wodorostami, a ludzie płynęli cicho wśród zielonych wód...

Następna szybka była żółta i Krystyna poczęła wyrywać się i płakać, albowiem świat cały zamknięto nagle w bryle bursztynu jak uwieczony listek lub muszkę.

Zakrystian roześmiał się i podniósł dziecko do czwartej szybki.

Krystyna zamarła w zachwyceniu.

Wszystko tonęło i roztopiało się w liliowej poświacie. Niebo, ziemia i drzewa, jak gdyby zatraciwszy swój cielesny kształt, ledwie rysowały się w ametystowym blasku.

Krystyna nie widziała już znanego sobie świata w innej jego postaci i barwie. Wydawało się jej, że jest to już świat inny, nieznany i nigdy nie oglądany.

I oto wewnątrz jego poczęło żyć niezależnie już od barwy szkła i trzymających Krystynę w górze rąk. Ametystowe

światło przełamało się złotem i po raz pierwszy wyciągnął ku Krystynie ręce On.

Nie miał cielesnego kształtu. Postać Jego rysowała się ledwie w liliowej poświacie. Tylko oczy... Oczy pełne niezgłębionej tęsknoty, niewypowiedzianej dobroci i smutku.

I Krystyna wyprężyła się ku Niemu w porywie zbyt wielkim dla jego dziecięcego serca, w straszliwym spazmie tęsknoty, od którego zamarło w niej wszystko z bólu. Drobną jej ciało stężało i napełniła je struga gorącej radości. Krystyna straciła poczucie łączności z ziemią.

A kiedy ocknęła się na rękach przerażonego zakrystiana i płaczącej matki, która rozcierała jej zdrętwiałe członeczki, długo nie można jej było utulić w płaczu.

I teraz, kiedy Krystyna stoi przed progiem chaty, czekając z drżącym sercem na wschód słońca, myśli, że taki właśnie ametystowy świat wyłoni się przed nią zza mgły.

Krystyna modli się przed progiem chaty swojej.

Słońce już wzeszło.

Jutrzenka maluje niebo, od łąk płynie zapach ziół.

Siostry jej wychodzą przed chatę i patrzą na Krystynę, trwającą w zachwyceniu.

W różanym i złotym świetle jutrzienki krople porannej rosy błyszczą na jej włosach, jak diamenty.

Stają tedy cicho i myślą z radością wielką i pokorą:

– Błogosławiona jest chata, w której się rodziłaś!

Wszelako czasem nad Flandrią przelatuje wiatr.

Zrywa się nagle od morza i leci, chwiejąc drzewami jak wątłą trzcina. Po niebie pędzą wówczas i przewalają się ciemne chmury, a słońce zachodzi krwawo, zapalając je czerwienią i złotem, niby płonące żagwie.

Krystyna biegnie wówczas przed siebie aż na wysoką górę, na której niegdyś stał młyn, strawiony przez pożar.

Nie wie, po co biegnie. Nie przeczuwa tego jeszcze.

To wiatr zdaje się ją gnać, biorąc na swe czerwone skrzydła.

I staje tam Krystyna, szarpana przez wichry i przez cierpienie jakoweś straszliwe, któremu nie umie nadać imienia.

Czerwone strzępy chmur, rzucone w przestrzeń przez wichry, wydają jej się strzępami ociekającymi krwią serc.

I nie wie, czy serce jej jest także między tymi potępionymi, palonymi przez ogień i szarpanymi przez burze. Nie myśli o tym.

Czuje tylko, że ten ogień i ją pali, że ten wiatr i ją szarpie. Wyciąga ręce do Pana swego i modli się o litość dla tych serc.

Wszelako tej Krystyny nie widzi nikt, albowiem któż chodzi na pustkowiu patrzeć na szarpane wichrem chmury?

Wszyscy dostrzegają tylko wdzięczną pastereczkę o włosach złotych i oczach barwy hiacyntu, tonącą w zachwyceniu modlitwy.

Toteż nikt się nie dziwi, gdy Krystyna umierała, piętnaście lat mając i nawet siostry jej – nie płaczą.

– Bóg wziął swoją dziewczkę – powiadają.

A że jest to wiosna, dzieci znoszą jej pęki fiołków, krokusów i anemonów.

Pewnie na grobie jej zakwitłyby lilie i stanęłyby Krystyna, jako patronka pasterzy, w wianuszku z rumianku w wiejskich kapliczkach, i na wiosnę święcono by przed nią zioła, chroniące od złego chaty i obory, gdyby nie wychodziła czasem o wietrznym zachodzie patrzeć, jak wichry rzuca w ciemność płonące żagwie chmur.

Albowiem tu właśnie zaczyna się owo wydarzenie tak dziwne, że sam dziejopis, pisząc o nim, zaklina, by nie chciano temu, co mówi, „wiary uwłaczać”. Tak mu się samemu to niezwykłym i niepodobnym do wiary wydaje.

– Pójdź za mną! – rzekł Krystynie anioł. – A nie oglądaj się na prawo ani na lewo, tylko idź śladem skrzydeł moich.

I poszli wąską ścieżyną nad przepaściami, a wkoło była mgła gęsta i nieprzejrzana.

I nie było widać niczego, tylko skrzydła anioła świeciły srebrzystym blaskiem w mroku, a z przepaści podnosił się i wybuchał jęk, jak gdyby tam z ciemności wołały tysiące w niekończącej się skardze.

Czasami był on, jak przeciągłe, jednostajne wycie wichru, czasem skamlał o litość żalosnym kwileniem, czasem wybuchał straszliwym rykiem bólu lub tysiącem przekleństw, rozsypujących się jak uderzenie gromu.

I kiedy Krystyna usłyszała ów jęk, uczuła, że staje w niej serce, i zatrzymała się, nie mogąc postąpić kroku ani wymówić słowa.

Wówczas anioł rzekł:

– To dusze potępione albo pokutujące, Krystyno. Pójdź ze mną, a nie stawaj i nie oglądaj się ani na prawo, ani na lewo.

I poszli dalej, ale mimo że na skinienia anioła mgła otaczająca przepaście stała się jeszcze gęstsza, Krystyna – pastuszka z Flandrii – widziała. Albowiem przywykła już była do widzenia we mgle...

I oto z obydwóch stron otchłani zamajaczyły ręce.

Ręce wyciągnięte w rozpaczliwym błaganiu.

Ręce ściśnięte w przekleństwie.

Ręce szarpiące w bólu we własne członki.

Ręce drapiące skały.

Ręce załamane w beznadziejnej boleści.

Ręce czepiające się czegoś jak ręce topielców.

Ręce rozchwiane w powietrzu, niby gałęzie poruszające się bezładnie, ostatkiem sił.

Ręce ginące z pragnienia, żebrzące o kroplę dżdżu.

Ręce wyschłe z głodu i błagające o chleb.

I Krystynie wydawało się, że to ku niej wyciągają się wszystkie.

Cóż im da, czymże je nakarmi Krystyna?

Jest tylko biedną pastuszką z Flandrii. Jakżeż poradzi sobie z cierpieniem świata?

Nie posiada niczego prócz siebie. Więc mówi po prostu:

– Oto jestem. Bierzcie mnie.

I z rozpostartymi ramionami idzie ku otchłani.

Ale anioł osłania ją skrzydłami, a kiedy je znowu otwiera, Krystyna nie widzi już mgieł unoszących się nad otchłanią i nie słyszy jęku potępionych.

Przed oczyma Krystyny rozpościera się ametystowa dal, a święci patrzą z zadziwieniem na tę dziewczkę, którą anioł prowadzi przed tron Najwyższego – płaczącą.

Ale Ten, który schodził do otchłani, nie dziwi się.

– Krystyno... – mówi tylko cicho – Krystyno...

I Krystyna podnosi głowę.

Z liliowej poświaty patrzą na nią oczy już raz w dzieciństwie widziane i pod spojrzeniem ich Krystyna przestaje płakać. On pyta:

– Czy wiesz, na co się ofiarowałaś, Krystyno? Niczym są męki ciała, które znosić będziesz, wobec męki duszy. Tęsknota trawiąca człowieka, który ujrzał niebo i stracił je, pali bardziej niż ogień piekielny. Czy nie lękasz się męki tęsknoty, Krystyno?

I Krystyna czuje, że w promieniach tych oczu taje w niej w słodkim zachwyceniu serce, i chce zawołać:

– Zatrzymaj mnie, Panie!

– Skądże wezmę siły, by znieść mękę oddalenia?!

– Jestem tylko małą dziewczynką z Flandrii!

Ale w tej samej chwili przypomina sobie owe ręce, ręce wołające z otchłani, i odpowiada Panu mężnym spojrzeniem:

– Jestem gotowa!

A wtedy On podnosi rękę i mówi:

– Niech się stanie jako zażądałaś! Powrócisz na ziemię i będziesz cierpieć, a każde twoje cierpienie wykupi jedną duszę. A gdy zechcesz już spocząć, przywołasz mnie, przyjdiesz spocząć na sercu moim.

I tu się zaczyna Krystyny żywot drugi.

Krystyna budzi się.

Nad sobą w górze słyszy śpiew. Ale śpiew ten, który dawniej wznosił ją na skrzydłach swoich aż w niebo, wydaje się jej po śpiewie anielskim – zgrzytem, który ją przeraża. Krystyna podnosi się, chcąc uciec od tego dziwnie rażącego jej ucho wrzasku, i wszyscy cofają się przerażeni. Ksiądz chroni się za ołtarz, wieśniacy uciekają z kościoła.

Tylko najstarsza siostra Maria, która chowała ją po śmierci matki, zostaje.

Powieki Krystyny unoszą się z trudem, ciało jest obcym, nieznośnie gniotącym ciężarem. Tak obcym, że Krystyna spogląda ze zdumieniem i wstrętem na swe ręce i na swe nogi. To nie jest ona. To nie Krystyna. Krystyna jest zamknięta wewnątrz tego i szamocze się w nieznośnym bólu.

Maria i ksiądz patrzą na nią, nie mogąc wymówić słowa, drżący i bladzi z przerażenia.

Krystyna rozgląda się po kościele w zupełnej ciszy.

I ten kościół tak olbrzymi dla niej, tak biegnący w górę ostrymi łukami sklepienia, zdaje się ją tłoczyć i dusić.

Kamienne mury odgradzają ją od jej Pana, tam w górze; chcą ją przywalić na zawsze swoim ciężarem.

Przywykłej do przestrzeni niebieskiej Krystynie zdaje się, że te mury walą się na nią, że zamkną ją już na zawsze w swym ciemnym grobie, nigdy już Go nie ujrzy.

I Krystyna rzuca się na oślep przed siebie i poczyną bieć w górę aż pod strop kościelny i biegnie, tak biegnie

tam i z powrotem, niby oszalały z tęsknoty ptak, tłukący się w klatce.

Aż wreszcie pada bez sił z rozpostartymi ramionami na zimne płyty kamienne.

I wówczas ksiądz i Maria powoli, nieśmiało zbliżają się do niej, biorą ją na ręce i niosą.

W chacie Krystyny tłoczą się wkoło niej wszyscy. Krystyna rozpoznaje już twarze sióstr, przyjaciół, sąsiadów. Tylko twarze te są jakieś inne niż dawniej. Krystyna czyta w ich oczach jak w otwartej księdze. Krystyna widzi ich dusze. I jakżeż ciasne są i maleńkie te biedne ludzkie dusze, jak mało w nich miejsca na miłość ku Niemu! Fala litości zalewa serce Krystyny. Pochyla się nad nimi, jak matka pochyla się nad chorym dzieckiem. Mówi im o swoim posłannictwie i o słodczy oczu Jezusowych.

Ale oni chcą wiedzieć, jak męczą się „ci” – „tam”. Niech im to powie!

Krystyna patrzy w tępe twarze tych wieśniaków, wiecznie ku ziemi i jej troskom pochylonych, i pocziwych mieszczan z St Trudon, tak bardzo lubiących wieprzową pieczeń i piwo, i rozumie, że nigdy, przenigdy nie pojmą oni, iż największą męką jest męka oddalenia. I rozumie, że chcąc podnieść ku Bogu te dusze, trzeba je wstrząsnąć tak mocno, iżby oderwały się od ziemi, trzeba je przepalić w ogniu przerażenia.

I Krystyna wstępuje w rozpalone piece i kładzie się naga na cierniach i przywiązuje się do kół, na których łamiał złoczyńców i spędza całe dni pod lodem rzeki Mozzy.

Nieskończonym jest szereg mąk, które wymienia dziejopis! O jednym wszelako nie wie, że męki te były dla niej tylko chwilami spoczynku i ukojenia. Albowiem w straszliwej męce ciała zapominała o stokroć gorszej męce duszy.

Często bowiem rozpętywała się w sercu Krystyny taka burza tęsknoty, że jak w ów pierwszy dzień po obudzeniu się ze snu śmiertelnego, biegła przed siebie, nie patrząc, gdzie biegnie, i nie mogła znieść świata ani ludzi, tylko wyrывała się w górę jak ptak.

Duch jej zaś zdawał się wówczas brać górę nad ciałem, bo wbiegała na góry i dzwonnice, a uciekając w lasy, krążyła po wierzchołkach drzew.

A że ludzie sądzili, iż jest szalona lub opętana od diabła, i krępowali ją sznurami, dlatego nie śmiała czasem zejść po pożywienie do chat.

I kiedy razu jednego w dalekie zaszedłszy pustkowie, z głodu tam omdlała, uczynił z nią Bóg cud przedziwny.

Oto wydało się dziewczeczce leżącej w omdleniu, iż siedzi przed chatą w jasnym blasku słońca, a rozkosz jakaś niewymowna napęnia jej piersi i że nabrzmiewają one jak paki na wiosnę. Aż oto podbiega ku niej dzieciątko małe i bardzo wątłe i dzieciątko to jest jej dzieckiem i wyciąga do niej drobne rączki. A Krystyna podaje mu piersi i czuje, jak struga ciepłego, słodkiego mleka przepływa przez nią, jakoby dzieciątko – nią samą było.

I kiedy ocknęła się, była nakarmiona onym mlekiem cudownym.

Albowiem duch Krystyny ulitował się nad jej biednym umęczonym ciałem i nakarmił je.

Innym znowu razem pojмали ją ludzie, rozgniewani bardzo, iż ciągle im uciekała, i sądząc, że od czarta opętana była, ręce jej i nogi do kłody przywiązawszy, do komory ją rzucili. A od sznurów porobiły się jej głębokie rany i kości popróchniały jej. Wówczas poczęła Krystyna płakać, myśląc:

– Ach, do jakiegoż to grzechu przywiodłam te biedne dusze!

I lzy te nie nad sobą zaprawdę wylane, zamieniły się w olej cudowny, który uzdrowił jej rany.

Wtedy przerazili się bardzo owi ludzie i nigdy już jej tego nie czynili.

A będąc wśród ludzi, Krystyna nigdy nie pożywała z dobra swego ani nie chodziła prosić o jałmużnę do ludzi dobrych i sprawiedliwych, tylko szła do złodziei, złoczyńców i skąpców i ich prosiła, albowiem chciała, poruszywszy litością ich serca, zasługę im jakąś przed Panem dać.

A kiedy upłynął pierwszy rok męki Krystyny, objawił się Krystynie anioł, ten sam co ją nad otchłanią wiódł, i rzekł:

– Oto posyła mnie do ciebie Pan. Czy chcesz już wrócić do Niego, Krystyno?

I zakolało w Krystynie serce, jakby z piersi jej chciało wyskoczyć a biec.

Ale oto wspomniała na ręce wyciągające się ku niej z otchłani i, serce swoje dłonią uciszając, odparła:

– Pocierpię jeszcze!

I upływał rok za rokiem.

Sterało się ciało Krystyny, dręczone mękami.

Utraciły swój błękit przedziwny i zapadły w głąb jej oczy.

Pobielwały jej złote włosy.

Pomarła już większość tych, co pamiętali Krystynę jako dziewczynkę wdzięczną, za owieczkami wędrującą. I więcej ludzi bało się jej, niż kochało, albowiem ludzie boją się cierpienia.

A Krystyna wciąż odpowiadała aniołowi:

– Pocierpię jeszcze.

Ale coraz bardziej z czasem watała już w niej serce i diakon jeden patrzył, jak modłać się w nocy w pustym kościele, skarżyła się:

– O ciało moje, umęczone ciało! Dlaczego nie chcesz zaznać spokoju?

– O serce moje, serce! Dlaczegoż nie chcesz odpocząć?
– Czyliż upiłeś się cierpieniem jak winem?
– Bądźcie przekłete serce moje i ciało moje, pijacy
nienasyceni!

Ale zaraz przypomniała sobie zapewne, ile zbawiła
dusz, albowiem mówiła:

– Bądź błogosławione ciało moje, iżeś nie bało się
mąk!

– Bądź błogosławiona, duszo moja, iżeś nie bała się
tęsknoty.

I upłynęło tak lat czterdzieści i cztery.

I było już ciało Krystyny tak przepalone cierpieniem,
że przeźroczystym się wydawało, i ledwie go się już duch
trzymał. A kiedy przy modlitwie w zachwycenie wpadała,
opadało z niej niby płaszcz zużyty, iż garsteczką kostek
już się tylko być wydawało.

Wówczas nie mógł już dłużej Pan patrzeć na mękę
Krystyny i przez anioła swego zwiastował jej, iż nadszedł
jej czas.

I nie sprzeciwiała się Krystyna woli Jego, albowiem
bardzo już była zmęczona.

Poszła więc do klasztoru Świętej Katarzyny, w którym
rada przebywała, i, zawoławszy mniszeczkę jedną młodą,
imieniem Beatrix, poprosiła ją, by w komórcie swej łoże
jej przygotowała.

A miłowała ta Beatrix Krystynę miłością przedziwną,
nie rozumem swoim, ale sercem czystym i dziecięcym,
w serce Krystyny patrząc.

Ułożyła ją tedy Beatrix na łożu swoim i poszła po
jakieś zioła, których jej przynieść chciała, a powróciwszy,
ujrzała, że Krystyna usnęła w ciszy snem wiecznym.

Wówczas mniszka poczęła płakać i błagać Krystynę,
wyrzucając jej, iż opuściła ją i odeszła, nie pożegnawszy
się z nią.

I wtedy dusza Krystyny, która już po gwiazdnych szlakach do Pana wędrowała, wróciła raz jeszcze z jękiem, odrywając się od szczęśliwości wiecznej.

Widząc więc Pan jej duszy nieprzebrane miłosierdzie, którą każdego serca wołanie na mękę znów wydawać mogło, ulitowawszy się nad zbyt długą jej męką, sam naprzeciw Krystynie na gwiazdne szlaki wyszedł.

A gdy położył na jej umęczonej głowie swe święte ręce, Krystyna stała się znów złotowłosa pasterką z Flandrii, jak wtedy, gdy stanęła przed Nim pierwszy raz.

I rzekł do niej Pan:

– Niech uciszy się w tobie serce, Krystyno!

I uciszyło się w niej serce.

Nie lękajcie się więc Krystyny.

Możecie nie myśleć już o tym, jak cierpiała.

Ustawcie ją w wiejskich kapliczkach w wianku z rumianku i macierzanki i niech pasterze święcą przed nią na wiosnę zioła, chroniące od złego chaty i bory.

Halina Górska

„Znak” 1958 nr 1 s. 4-13



Legendy różne



Urian połyka wilka

Bardzo, bardzo dawno temu mieszkańcy Akwizgranu chcieli zbudować kościół. Opodatkowali się i zaczęli. Zrobiono wykop pod fundamenty, wzniesiono mury, ociosano belkowanie i przez sześć miesięcy słyszeć było tylko ogłuszający hałas pił, młotów i siekier. Kiedy minął szósty miesiąc, zabrakło pieniędzy.

Zwołano pielgrzymów, umieszczono cynową misę przy drzwiach kościoła, ale wpadło do niej tylko niewiele drobnych monet.

Co robić? Zebrał się senat, szuka sposobu, przemawia, rozważa, zasięga rady. Robotnicy nie chcą pracować i zielska, jeżyny, bluszcze oraz wszelkie bezczelne rośliny lubiące rumowiska obejmują w swe władanie nowe kamienie opuszczonej budowli. Może należało zostawić kościół w tym stanie? Wspaniałe zgromadzenie rajców miejskich było zbite z tropu.

Kiedy tak obradują, wchodzi jakiś człowiek, cudzoziemiec wysoki i pięknej postawy.

– Witajcie, mieszczanie. Nad czymże to tak deliberujecie? Wszyscy jesteście jacyś zniechęceni. Taką troskę budzi kościół? Nie wiecie, jak go ukończyć? Zdaje się, że brakuje wam pieniędzy?

– Przechodniu – rzecze zgromadzenie – idź sobie do diabła. Potrzeba nam miliona w złocie.

– Oto ów milion – powiada szlachcic.

I otwarłszy okno, pokazuje rajcom wielki wóz stojący na placu przed bramą ratusza. Do wozu zaprzęgniętych było dziesięć par wołów i czuwało nad nim dwudziestu uzbrojonych po zęby Murzynów prosto z Afryki.

Jeden z rajców schodzi ze szlachcicem, bierze pierwszy z brzegu wór z wozu, a potem we dwóch, rajca i cudzoziemiec, wchodzi z powrotem na górę. Opróżniają wór na oczach zgromadzenia.

Rzeczywiście wór pełen jest złota.

Rajcy wytrzeszczają oczy ze zdumienia i pytają cudzoziemca:

– Kimżeś jest, panie?

– Moi poczciwi mieszczanie, jestem tym, który ma pieniądze. Czegóż więcej chcecie? Mieszkam w Czarnym Lesie nieopodal jeziora Wildesee. Mam kopalnię złota i srebra i nocami przerzucam stosy klejnotów. Moje upodobania są jednak proste, nudzę się, jestem osobnikiem melancholijnym, spędzam całe dnie na patrzeniu, jak rybki igrają w przezroczystych wodach jeziora. Lecz dość już pytań i blagowania. Otworzyłem mój mieszek, korzystajcie. Oto wasz milion w złocie. Chcecie go czy nie?

– Do licha – odpowiada zgromadzenie – skończymy dzięki temu nasz kościół!

– No to bierzcie. Ale pod jednym warunkiem.

– Jakimż, panie?

– Skończcie wasz kościół, mieszczanie, weźcie całe to złoto, ale obiecajcie mi w zamian pierwszą duszę, czyjąkolwiek by była, która wejdzie do waszego kościoła w dniu, kiedy dzwony obwieszczą jego otwarcie.

– Więc jesteś diabłem? – wykrzyknęli mieszczanie.

– A wy głupcami – odparł Urian.

Rajcy zaczęli drżeć, trwożyć się i żegnać znakiem krzyża. Ale ponieważ Urian był diabłem zacnym i śmiał się do rozpuku, brzęcząc swoim złotem prosto z mennicy, uspokoili się i przystąpili do układów.

Diabłowi nie brak sprytu, dlatego właśnie jest diabłem.

– Prawdę mówiąc – oznajmił – to ja tracę na tym układzie. Wy będziecie mieli kościół i złoto, ja ledwie jakąś tam duszyczkę. I w dodatku cóż to za duszyczkę? Pierwsza lepsza, przypadkowa. Jakiegoś obłudnego łotra, który udając pobożność i przez fałszywą gorliwość, będzie chciał wejść pierwszy. Mieszczanie, przyjaciele, już teraz miło spojrzeć na wasz kościół, a mniemam, że gotowy będzie budynkiem pięknym. Trzeba go dokończyć. Nuże kumowie, milion dla was, duszyczka dla mnie. Układ stoi?

Tak przemawiał szlachcic Urian.

– Właściwie – pomyśleli sobie mieszczanie – i tak mamy szczęście, że zadowoli się jedną tylko duszą. Gdyby tak zechciał rozejrzeć się baczniej, mógłby z naszego miasta zabrać sobie wszystkie.

Układ zawarto, milion wpłynął do kasy. Urian zniknął w szparze, z której dobył się niebieski płomyk, i dwa lata później kościół był gotowy. Nie trzeba mówić, że wszyscy senatorowie przysięgli, że nie opowiedzą o tej sprawie nikomu, i nie warto dodawać, że każdy z nich jeszcze tego samego wieczoru opowiedział o wszystkim żonce. Jest to prawo, którego senatorowie wprowadzić nie uchwalili, ale pilnie go przestrzegają.

Tak czy owak, kiedy kościół był już skończony, całe miasto znało dzięki małżonkom senatorów tajemnicę senatu i nikt nie chciał wejść do kościoła.

Otóż i nowy kłopot, wcale nie mniejszy niż tamten pierwszy. Kościół zbudowany, ale nikt nie chce doń wejść. Po co komu pusty kościół? Senat zbiera się, lecz nic nie może uradzić. Wzywają biskupa, ale też nie wie, co począć. Wzywają braciszków zakonnych.

– Do licha – rzecze jeden braciszek – trzeba sobie powiedzieć, moi panowie, że łatwo napędzić wam strachu.

Winniście Urianowi pierwszą duszę, jaka przekroczy próg kościoła, ale nie zostało powiedziane, jakiego rodzaju ta dusza ma być. Urian jest głupcem, ja wam to mówię! Panowie, po długim polowaniu ujęto dzisiejszego ranka wilka w dolinie Borcette. Wprowadźcie tego wilka do kościoła. Urian będzie musiał się nim zadowolić. To tylko wilcza dusza, lecz przecież jakaś dusza.

– Świetnie – wykrzyknął chórem senat – oto temu braciszкови nie brakuje dowcipu.

Nazajutrz z samego rana rozbrzmiewają dzwony.

– Cóż to – powiadają sobie mieszczuchy – czyżby dzisiaj miało być otwarcie kościoła? Lecz kto się zdobędzie na odwagę, by wejść pierwszy? Z pewnością nie ja!

– Ni ja!

– Ni ja!

– Ni ja!

Zbiegł się tłum. Senat i kapituła zebrały się przed drzwiami. Przyniesiono w klatce wilka i na dany znak otworzono jednocześnie drzwi klatki i drzwi kościoła.

Wilk, przerażony tłumem ludzi, zobaczył pusty kościół i rzucił się do środka. Urian już czekał z otwartą paszczą i oczyma rozkosznie przymkniętymi. Pomyślcie tylko, jaka złość go ogarnęła, kiedy poczuł, że połyka wilka.

Ryknął przerażająco i latał przez kilka minut pod sklepieniami kościoła, czyniąc straszliwy hałas. Potem wyleciał oślepy ze złości, a wylatując, kopnął z taką wściekłością wielkie drzwi z brązu, że rozdarły się od góry do dołu. Po dziś dzień pokazuje się tę szparę.

Z tej przyczyny, dodają pocziwe staruchy, po lewej stronie drzwi postawiono posąg z brązu przedstawiający wilka, po prawej zaś szyszkę, która wyobraża jego biedną duszę tak głupio pożartą przez Uriana.

Według Victora Hugo

Mistrz Kopytko

Diabeł powiedział sobie, że będzie go miał. Bo dostać w swoje łapy Antoniego Kopytko, szewca z Saint-Maur-la-Pernelle, znaczyło chwycić w garść całą wieś. Zaiste, wspaniały był chłopak z tego szewczyka. Szczery, zawsze uśmiechnięty, a tak roztropny, że w Saint-Maur nie działo się nic bez jego pomocy albo bez jego zgody. To co Antoś Kopytko mówił – było święte, to co opowiadał – powtarzano sobie w każdej chacie, to co robił – każdy chciał naśladować w całym Saint-Maur-la-Pernelle. A słowu Antoniego Kopytko wierzono jak Ewangelii.

Takiego chłopaka mieć w swej władzy – wyobraźcie sobie, czym by to było dla szatana. Ale chodziło właśnie o to, by go dostać w sidła, a tymczasem nie działało na Antka nic z tego, na co inni tak łatwo się łapią. Diabeł nasyłał na niego wszystkich swoich starszych wypróbowanych wspólników. Pycha, Chciwość, Nieczystość, Gniew, Zazdrość, Obżarstwo i Pijaństwo, no i Lenistwo. Każdy po kolei próbował. Ale na próżno.

Aż wreszcie pewnego dnia diabeł trafił do swego kuma Stracha. Co między sobą uknuli, nikt tego nie wie. Można się tylko domyśleć z tego, co nastąpiło po ich rozmowie.

Otóż któregoś sobotniego wieczoru stara Dunfrotowa, sąsiadka Antosia, przyszła do niego z prośbą:

– Antoni, nie moglibyście mi pożyczyć pół bochenka chleba na niedzielę? Zagapiłam się, a teraz piekarnia już zamknięta do poniedziałku.

– Trzeba było być przewidującą, sąsiadko. Bardzo żałuję, ale nie mogę dla was tego zrobić. Boję się, że mnie samemu nie starczy.

Kilka dni później Kopytko spotkał Mikołaja, niegdyś parobka w tej wiosce, ale ostatnio pospolitego włóczęgę. Opowiadano o nim brzydkie historie, nawet i to, że siedział w więzieniu. A teraz ten to Mikołaj błagalnym głosem zwrócił się do Kopytko.

– Słuchaj, Antosiu. Jesteś szanowany w całej okolicy. Nie pomógłbyś mi znaleźć jakiejś choć najgorszej roboty? Zdycham z głodu.

– Zobaczę... – odpowiedział Antoś mocno strapiony. Ale w duszy sobie pomyślał:

– Ja mam się stawiać za tobą, łobuzie jeden, i narazić się może innym? O nie, takim głupim nie będę.

I naturalnie, nic dla niego nie zrobił.

Za jakiś czas znów odwiedził mistrza Kopytko jego przyjaciel z lat dziecięcych, Jan Świątek. Był on księdzem i właśnie został posłany do jednej z sąsiednich parafii.

– Antosiu – rzekł ksiądz Świątek. – W naszej wsi jest dwóch szewców, to za dużo, to jakby dwa grzyby w barzczu, a tam gdzie idę, nie ma żadnego. Chodź ze mną i osiadź w mojej parafii. Będzie mi rażniej z tobą. We dwójkę będziemy tam mogli zrobić dużo dobrego.

– Co ty sobie myślisz! – zawołał Kopytko. – Opuścić Saint-Maur, gdzie mam dobrą klientelę i gdzie mi jest dobrze, i przenieść się do takiej zapadłej dziury jak Vizville? Obawiam się, że przymierałbym tam głodem.

„Boję się”, „obawiam się”, „strach mnie oblatuje na samą myśl”. Tylko te słowa wciąż miał na ustach mistrz Kopytko. I odkąd tak zaczął się bać wszystkiego, wyraźna

zmiana nastąpiła w jego usposobieniu. Już nikt nie widział go śmiejącego się ani żartującego.

– Co się stało temu Antkowi? – mówili do siebie ludzie.

I on sam czuł się nieraz taki smutny i nieszczęśliwy, tak zbolały i roztrzęsiony, że myślał niekiedy, że to jakieś choróbsko go trapi. Ale ani lekarstwa, ani doktorzy nic mu nie mogli pomóc.

Pewnego dnia spotkał Antoś starego Marcina. Było to akurat w samą Wielką Sobotę wieczorem. Marcin szedł właśnie stroić kwiatami figurkę Matki Bożej, stojącą na skraju wioski. Czynił to każdego roku, aby uczcić pamięć onych trzech dni, w które wszyscy poddali się rozpacz, a tylko jedna na całym świecie Matka Najświętsza zachowała w swym sercu nadzieję.

Stary Marcin lubił Antosia i ten miał do niego zaufanie.

Zwierzył mu się więc ze wszystkich kłopotów i trosk, które go od pewnego czasu męczyły, dręczyły i przygniały.

Stary Marcin zastanowił się dłuższą chwilę, a potem rzeki:

– Chodź ze mną, weź płaszcz i kostur podróżny, bo czeka nas długa droga – może nie powrócimy za dnia.

– Olaboga – zawołał Kopytko – czy nie będzie to aby męczące? Boję się, że...

Ale Marcin przerwał jego lament.

– Chcesz być zdrowy czy nie?

Ton jego głosu nie dopuszczał nawet próby odmowy, więc niezwłocznie ruszyli obaj w drogę.

Kopytko myślał:

– Potrafię przecież zawrócić, kiedy będę miał dość dobrego.

Jednakże gdy stary Marcin złożył kwiatki przed figurką Matki Boskiej i ruszył dalej za wieś, Antoś poszedł za

nim bez słowa. Zapewne działała tu modlitwa Marcina, który przesuwiał w palcach paciorki różańca – a między każdym „Zdrowaś” – wzdychał:

– Panno Najświętsza, wspomóż mnie, przez Syna Twego, wspomóż mnie. Wszyscy święci niebiescy, wspomóżcie mnie!

Przyszedł wieczór, a oni jeszcze szli, noc zapadła, a oni szli i szli.

Koło północy minęli jakieś dziecko, które choć ciężko obciążone, szło tak lekko, że nie słychać było wcale stukotu jego chodaków na kamienistej drodze.

– Cóż to za dziecko? – zdziwił się Antoś. – I gdzież ono idzie o tej porze?

– To jest pacholę z Galilei, które na prośbę Pana Jezusa dało wszystkie swoje pięć chlebów i dwie ryby, aby nakarmić rzesze na pustkowiu. I dlatego, że onego dnia nie bało się zostać na pustyni bez kawałka chleba, każdego roku roznosi po kościołach chleb na Mszę świętą wielkanocną, a ten chleb uczyniony jest z tego wszystkiego, czym ludzie dzielą się między sobą, z miłości chrześcijańskiej.

Antoś nic nie odpowiedział, ale pomyślał o chlebie, którego odmówił swej sąsiadce.

Nieco później zobaczyli przechodzącą obok kobietę, która niosła dzban pełen wody.

– Co to za kobieta – spytał Kopytko – i dokąd ona idzie?

Marcin odpowiedział:

– To Weronika, która niegdyś otarła twarz Skazańca idącego na Golgotę. A że nie bała się brutalności żołdaków ani wyroków sędziów, dlatego każdego roku roznosi po kościołach wodę, która ma być zmieszana z winem we Mszy świętej wielkanocnej. A woda ta uczyniona jest ze wszystkich łez przelanych za grzechy świata.

Antoś nic nie odpowiedział, ale pomyślał o pomocy, której odmówił biednemu Mikołajowi.

Jeszcze później spotkali młodzieńca niosącego zapaloną lampę.

– Któż to jest? – spytał Antoś – i dokądże on idzie?

Marcin odpowiedział:

– To Jan, umiłowany uczeń Pana, który wszystko opuścił, aby iść za swoim Mistrzem. A że nie lękał się opuścić swojej łodzi, swego ojca i swego domu, dlatego każdego roku roznosi po kościołach ogień do świąteł wielkanocnych. A ogień ten jest uczyniony ze wszystkich znaków miłości, jaką na świecie ludzie okazują Bogu.

Antoś nic nie odpowiedział, ale pomyślał o odmowie, jaką dał Świątkowi.

Gdy już niebo zaczynało się rozjaśniać, przybyli wreszcie do celu swej pielgrzymki – do wielkiego kamiennego krzyża – stojącego na pagórku Guillguerete. Noc była niewypowiedzianie spokojna. Wszystko zdawało się być zawieszone w oczekiwaniu czegoś wielkiego. To oczekiwanie opanowało także Antosia, ale tkwiło w nim jak jakiś ból. Jakież to pragnienia go napełniały? I co znaczył ten ciężar na sercu i ta ciemność wokół? Doszedłszy pod Bożą Mękę, zatrzymali się. I bez słowa starzec wskazał Antosowi jakiś ciemny kształt leżący u stóp krzyża. Wyglądało to jak szmata, jak stare ubranie zrzucone z ciała.

– Cóż to jest? – spytał szewczyk.

Marcin odpowiedział zniżonym głosem.

– To jest strach i wszystkie jego rodzaje, lęk, by nam czegoś nie zabrakło, lęk, by się nie skompromitować, bojaźń przed życiem. Widzisz te wszystkie widma, które nas straszyły, leżą teraz bezduszne, bezbronne, nieszkodliwe.

Stali tak chwilę, nic nie mówiąc. Dniało. Niebo napełniło się olśniewającym światłem. Antoś czuł, że coś się w nim dzieje, nie śmiał prawie oddychać.

Wiedział, że strach, który nosił w sobie, zginął. W promieniach wschodzącego słońca ziemia wydawała się niepojęcie świeża i piękna. Od rozbudzonych żywotnych soków pęczniała kora i pączki liści i kwiatów na drzewach.

Nigdy, nigdy jeszcze Antoś nie wyobrażał sobie nawet, żeby na świecie mogło istnieć podobne szczęście.

Był to poranek wielkanocny.

„Nasza Rodzina” 1970 nr 4 s. 20-21



Gertruda w raju

Była to dobra, ale już bardzo słabowita staruszka. Całą twarz miała w zmarszczkach. Była tak skromna i pokorna, że gdy złośliwa gorączka zabrała ją z tego świata, nie zauważono prawie jej odejścia. Życie spędziła na służbie. Swoim gospodarzom poświęciła całe swe życie, wychowywała im dzieci. Oni zaś sprawili jej uroczysty pogrzeb.

Jako dobrej chrześcijance postawiono na grobie mały, drewniany krzyż i wyryto na nim napis: „Tu spoczywa Gertruda Carnauh; pomódlcie się za jej duszę”.

W tym samym czasie, a może nawet i wcześniej, dusza Gertrudy zjawiała się u wrót nieba. Święty Piotr przyjął ją trochę szorstko, jak przystało na dobrego odźwiernego, przeciążonego pracą.

– Wasze imię, proszę!

– Gertruda Carnauh – wyszeptała staruszka cała drżąca z przejęcia.

– Wasz zawód?

– Sługa, święty Piotrze.

Na słowo „sługa” twarz świętego Piotra rozjaśniła się sympatią.

– A gdzieżeś pracowała, moja córko?

– W Bourg-Saint-Louis, mój dobry Panie.

– Bourg – pomrukiwał święty Piotr, przewracając karty grubej księgi.

- O, już mam!
- U pani Beauvais – podawała dalsze dane Gertruda, trochę już ośmielona.
- Całkowicie się zgadza... Beauvais... Już znalazłem! I wierny stróż niebios powtarzał z wolna sylabami:
- Gertruda Janina Maria Carnauh.
- Tak, wielki święty Piotrze – powiedziała, czerwieniąc się Gertruda.
- Doskonale, cieszę się razem z tobą, moja córko: pójdziesz do pierwszej klasy w niebie.
- To niemożliwe – zaprotestowała biedna staruszka – w tym musi tkwić jakiś błąd... Możeście zamienili moją kartę z kartą pani Beauvais? Ja jestem tylko Gertruda – służąca. Proszę sprawdzić na następnej stronie...
- Na ten protest święty Piotr zmarszczył brwi i odpowiedział, wskazując palcem na księgę:
- Moja córko, tu nie ma błędów. Znam dobrze swój zawód. I nigdy nie zawiodłem zaufania Pana. Ty jako dobra chrześcijanka powinnaś pamiętać, że On powiedział: W Królestwie mojego Ojca pierwsi będą ostatnimi, a ostatni pierwszymi. Oto dlaczego ludzie mało ważący według opinii ziemskiej są tu tak mile widziani i wysoko cenieni. Zresztą, popatrz na całą twoją kartę. Mówi ona jasno: „Młodość przykładna, 40 lat pracy w tym samym domu. Służba wierna i pełna poświęceń. Znosiła cierpliwie humory swej pani. Wypełniała dokładnie swe praktyki pobożne. Przez czterdzieści lat wstawiała o 5 rano, aby wysłuchać pierwszej Mszy świętej i przyjąć Komunię świętą. Ubierała się skromnie i wszystkim dawała dobry przykład. Chroniła młodsze koleżanki od niebezpieczeństw złego towarzystwa. Niektórym z nich wystarała się o pracę i pomoc. Umarła pokornie, jak i żyła”.
- Czy to wszystko prawdziwe?
- Tak, Panie – wyjąkała Gertruda całkowicie zmieszana taką pochwałą.

– A oto tu anioł Azael czeka, by cię zaprowadzić do naszej Pani od pomocy domowych. Ona osobiście zastrzegła sobie radość przyjmowania sług chrześcijańskich, ilekroć któraś z nich tu się zjawi. Miłej drogi, moja córko!

Skoro tylko święty Piotr wskazał jej wolne przejście, Gertruda poprzedzana przez anioła, jako straż honorową, przekroczyła nieśmiałym krokiem próg niebieski.

Szła naprzód w olśniewającym blasku światła nie stworzonego poprzez tłumy świętych; zostawiła w tyle niejednego króla z berłem i wielu generałów ze szpadami. Wreszcie, gdy znalazła się sama jedna blisko tronu Bożego i stanęła twarzą w twarz przed świętą Dziewicą, w jej duszy tak prostej i tak czystej pojawiła się jeszcze ostatnia wątpliwość:

– Co powie moja pani Beauvais, gdy zobaczy mnie, Gertrudę, w pierwszej klasie niebieskiej?

Henri Pourrat



Zabijaka i jego chrześniak

Legenda francuska

Żył sobie niegdyś szewczyna biedak, który miał jedenaścioro dzieci i z trudem zarabiał na ich wyżywienie. Lecz kiedy urodziło się dwunaste, szewczyna znalazł się w tarapatach. Był tak biedny, że nikt w okolicy nie chciał być ojcem chrzestnym najmłodszego dziecka. Zasmucony i upokorzony, postanowił spróbować w sąsiedniej wsi. Założył niedzielne ubranie, wziął do ręki kij i, poleciwszy się Panu Bogu, ruszył w drogę. Na twarzy malowało mu się takie strapienie, że zatrzymał go po drodze wędrowny starzec i zapytał, cóż go tak trapi.

– Nikt nie chce być ojcem chrzestnym mojego najmłodszego – odpowiedział szewczyna.

– Jeśli tylko o to chodzi, mogę być nim ja – wykrzyknął nieznajomy.

Wyobraźcie sobie, jak się uradował biedaczysko! Bez namysłu zgodził się, umówił na następny ranek w kościele i wrócił, by opowiedzieć żonie, co się przydarzyło.

Lecz żona nie była wcale zachwycona.

– Kto wie, z kim będziemy mieli do czynienia? Może to zbójca!

– Co też powiadasz! – odparł szewczyna, nie tracąc dobrego samopoczucia – czemuż to nie miałyby zesłać go nam Opatrzność?

Jednak jego żona miała rację. Nieznajomy był wodzem bandy zbójców, którzy nękali całą okolicę. Ale następnego ranka, o umówionej godzinie stawiał się w kościele, trzymał dziecko do chrztu, podarował mu pewną sumkę złotych monet i zniknął.

Dziecko było słabego zdrowia i zmarło osiem dni później, a kiedy przybyło do raju, powitał je święty Piotr, który zaraz otworzył wielką bramę i zaprosił je do środka.

Ale dziecko odmówiło wejścia.

– Wejdę tylko z moim chrzestnym.

– A kimże jest twój ojciec chrzestny? – pyta święty Piotr.

– Nazywa się Zabijaka i mieszka w moich stronach.

– Zabijaka? Ależ to straszliwy zbójca. Nigdy nie wpuszczę go do raju.

– No to trudno. Bez Zabijaki nie przekroczę tego progu – powtórzył mały uparciuch. I usiadł sobie na schodkach. Wtedy święty Piotr, nie wiedząc już, do jakiego świętego się zwrócić, prosi o pomoc dobrego Pana Boga.

– Wejdź, mały. Zobaczysz, jaki piękny jest mój dom – zaprasza go Pan swoim głosem brzmiącym pięknie jak kościelne organy.

– Wejdę tylko z moim chrzestnym.

– Przecież nie mogę przyjąć do raju takiego zbójcy. Zbyt wieloma grzechami się splamił.

No i co? Dziecko ani myśli słuchać głosu rozumu.

– Wiem, że tylko on zgodził się trzymać mnie do chrztu, przez co zostałem chrześcijaninem, jest więc pocziwy i nie ma powodu, by nie wszedł do raju razem ze mną.

– Już dobrze – ustąpił w końcu dobry Bóg. – Zanieś mu ten dzbanuszek i powiedz, że kiedy napełni go swoimi łzami, będzie mógł wejść do raju. Zważ, że nigdy jeszcze nie uczyniłem nikomu tak wielkiego ustępstwa.

Dziecko wzięło dzbanuszek, zeszło na ziemię i zaczęło rozglądać się za starym zbójcą. Szukało długo, a wreszcie znalazło go w lesie, głęboko uśpionego. Obudziło go zaraz i opowiedziało, co się zdarzyło, jak to przybyło do raju i nie chciało wejść, jeśli nie będzie z nim chrzestnego, jak to święty Piotr i sam Pan nie chcieli się zgodzić, ale w końcu udało mu się przezwyciężyć ich opór. Zabijaka był tak poruszony opowieścią, że wybuchnął płaczem. I przyciskając dziecko do serca, tak płakał, że dzbanuszek napełnił się w jednej chwili. Płakał i śmiał się. Ale stare serce nie wytrzymało wzruszenia; bandyta skłonił głowę i umarł. Zabijaka i dziecko ujeli się za ręce i razem wstąpili do raju, a Pan i święty Piotr otworzyli wielką złotą bramę, by wpuścić ich do środka.

Leggende cristiane, Milano 1963, s. 364-365



Kłamstwo, które staje się prawdą

Legenda francuska

Żył raz święty pustelnik, który był usłużny dla wszystkich i miłosierny dla ubogich – prawdziwy przyjaciel Boga.

Pewnego dnia musiał wyruszyć w podróż. Zakasał suknie, wziął do ręki wielki kij pielgrzymi i ruszył w drogę.

Kiedy piał się w słońcu spadzistym stokiem, dostrzegł powyżej jakieś zamieszanie i usłyszał krzyki. Przyspieszył kroku. Dotarł na wierzchołek i oto widzi trzech mężczyzn, którzy krzątają się wokół innego mężczyzny leżącego pod kasztanem. Na widok pustelnika odwrócili się i biegają ku niemu.

– Litości – wykrzykują – ulituj się dobry pielgrzymie! Nasz towarzysz zapadł na jakąś słabość... Padł, wywrócił oczy, wydał tchnienie i umarł...

– To prawda – rzekł święty, przyklękając przy owym biedaczym, już sztywnym. – Nie żyje. To straszne! W tej chwili stoi przed wiecznym trybunałem. Oby Bóg wybaczył mu jego grzechy!

Pomodlił się z całego serca, a następnie wstał.

– Pomóż nam – odezwali się wtenczas owi mężczyźni – daj nam trochę pieniędzy, byśmy mogli go pogrzebać.

– Mój mieszek nie jest zbyt pękaty. Daję go wam taki, jaki mam. A przez całą drogę będę się modlił za zmarłego. Czekam na długą podróż i bardzo się spieszę.

Patrzyli za oddalającym się. A kiedy krzaki zakryły go przed ich oczyma, poczęli trącać stopami towarzysza, który tak dobrze udawał trupa.

– Możesz już się podnieść, pielgrzym jest daleko! Zresztą to pobożniś, któremu daleko do przebiegłości, biedaczysko, z pewnością nie przyczyni nam kłopotów...

Ale leżący pod drzewem ani się poruszył.

– Janie, rusz się, wstawaj! Koniec komedii. Mamy mieszka tego głupca. Chodźmy wypić za jego zdrowie!

Ale ponieważ tamten ciągle ani drgnął, wzięli go pod ramiona, by pomóc mu usiąść. I wtedy wszystkie włosy stanęły im dęba na głowach. Pochyliwszy się nad swoim kompanem, zobaczyli, że ma oczy szkliste i nie oddycha. Naprawdę nie żył.

Bóg nie chciał, by jego święty kłamał, choćby i nieświadomie. Święty powiedział: „Nie żyje”. I w tej samej chwili mężczyzna utracił żywot.

Trzej mężczyźni zdali sobie sprawę, że był to cud. Ze strachu nie wiedząc, co robić, wpadając jeden przez drugiego, rzucili się do ucieczki. Uciekali w stronę pielgrzyma, którego teraz ledwie było widać gdzieś daleko na horyzoncie...

Strach dodał im skrzydeł. Po przebiegnięciu mili dogonili go i rzucili mu się do stóp.

– Chcąc wyłudzić od ciebie jałmużnę, dobry pielgrzymie, zadrwiliśmy sobie z twojego dobrego serca.

Wyznali mu oszustwo, opowiedzieli wszystko, co się przydarzyło.

– To nędza wystawiła nas na pokusę... Dobry pielgrzymie, weź sobie mieszka, o, masz go tutaj... Ale wskrześ naszego martwego kompana!

Pomyśleli, że skoro jedno słowo świętego człeka mogło odebrać żywot oszustowi, jedna jego modlitwa wystarczy, by je przywrócić.

– Nie starajcie się więcej oszukiwać – rzekł im pielgrzym – a ponieważ jesteście bez pieniędzy, zatrzymajcie mieszek.

Nie wracając wcale do miejsca, gdzie leżał zmarły, święty ukląkł tam, gdzie stał. I oto daleko w dole, pod drzewem mężczyzna podniósł się i zrobił kilka kroków, rozglądając się za swoimi kompanami.

– Dałem wam pieniądze, byście pogrzebali martwego. Ponieważ Bóg tak zechciał, niechaj posłużą utrzymaniu go przy życiu. Przyjaciele, zaprowadźcie swojego towarzysza do najbliższego zajazdu. Dajcie mu kawałek chleba, by zagryzł wino – dodał z uśmiechem. – Ale niech wypije szklaneczkę za moje zdrowie!

Leggende cristiane, Milano 1963, s. 368-369



Ufność w Bogu

Legenda berberyjska

Jest to opowieść o biedaku, który zgębiony przez nędze swego żywota, czyniące go nieszczęśliwym, przysiągł, że pójdzie do Boga. Wyruszył. Najpierw przebył pustynną równinę i pewnego pięknego dnia dotarł na szczyt góry, gdzie żył pustelnik, którego Bóg wspierał, codziennie posyłając mu w cudowny sposób placki jęczmienne i czarne winogrona. Człeczyna nasz zwrócił się do niego, prosząc o schronienie na noc.

– Bądź pozdrowiony! – rzecze pustelnik. Chcąc uczcić gościa, Bóg zesłał mu chleb z pszenicy i winogrona białe, które to dary święty człowiek czym prędzej zamienił na przedtem otrzymany chleb jęczmienny i winogrona czarne.

Kiedy następnego dnia rano gość miał już się zegnać, pustelnik rzecze mu:

- Dokąd zdążasz tak pośpiesznie?
- Do Boga.
- Czyżbyś oszalał? Gdzie zamierzasz Go spotkać? Myślisz, że Boga można znaleźć na tej ziemi?
- Przysiągłem, że Go odwiedzę.
- Kiedy więc ujrzysz Boga, powiedz, że Jego sługa, który żyje na górze jako pustelnik, byłby szczęśliwy, gdyby dowiedział się, jakie miejsce Bóg przeznacza mu w raju. W drodze powrotnej przyniesiesz mi odpowiedź.

Człeczyna ten poszedł w inne strony i zatrzymał się wieczorem przy drzwiach samotnego domu. Otworzyła mu jakaś niewiasta i zapytała:

– Czego chcesz?

– Gościny na noc w imię Boga!

– Idź swoja drogą, nieszczęsny, a przede wszystkim nie natknij się na mojego męża, gdyż zabiłby cię, a byłbyś jego setną ofiarą!

– Ale ja nie znam nikogo, u kogo mógłbym schronić się na noc. Jeśli twój mąż chce mnie zabić, niechaj zabije. Śmierć dla mnie lepsza niż życie!

Dzielną niewiastą wprowadziła go wówczas do izby i zamknęła, żeby ukryć przed wzrokiem męża. Ten zaś rychło powrócił. Żona powiedziała mu:

– Przechodził tedy człeczyna, który prosił o gościnę w imię Boga, a ja odmówiłam mu ze strachu, że go zabijesz.

– Uczyniłaś źle. Nie zabiłbym go, bo mówi, że jest gościem Boga!

– Ależ został tutaj, w izbie obok! Zaraz go wyprowadzę, skoro zgodziłeś się pozostawić go przy życiu! – I żona pobiegła otworzyć. Obcy usiadł między małżonkami, ale przedtem mąż powitał go w te słowa:

– Nikt nie jest mi milszy niż gość Boga.

I rzeczywiście traktował go bez zarzutu, nie dopuścił, żeby czegokolwiek mu brakowało, a w chwili, kiedy miał odejść, rzekł mu:

– Zapytaj Boga, jakie miejsce przeznaczył mi w piekle!

Człeczyna poszedł sobie. Wędrując, spotkał takiego, który był całkowicie nagi i zakopał się w piasku po pas, by ukryć swoją nędzę.

– Dokąd idziesz? – zapytał.

– Idę w poszukiwaniu Boga, mojego Pana!

– Zapytaj Go więc, cóż takiego mu zrobiłem, że muszę oto zagrzebać się w piasku, by ukryć swą nagość!

Nasz człek poszedł dalej.

Kiedy Bóg upewnił się o szczerości jego ślubu, to znaczy o tym, że ów człek będzie wędrował bez chwili wytchnienia po drogach, posłał mu archanioła Gabriela – niechaj będzie pozdrowiony! Archanioł zstąpił z nieba i spotkał człeczyne.

– Bądź pozdrowiony, człeczko! Dokąd to tak wędrujesz?

– Idę zobaczyć się z Bogiem.

– Czy nie oszalałeś czasem? Jakże, czyż jest ktoś, kto mógłby zobaczyć Boga?

– A jednak przysiągłem, że zobaczę Go albo umrę.

I człeczyna poszedł dalej, gdy tymczasem archanioł, wypełniwszy swoje posłannictwo, powrócił do Boga.

– Ruszaj jeszcze raz do tego człeczyny – rozkazał mu Pan. – Powiedz, by wracał do domu i powiększył swoją zagrodę. Wówczas spełnię jego pragnienie!

Archanioł wrócił do człeczyny i przekazał mu polecenie Boga. Człeczyna rzekł:

– Lecz kimże jesteś ty, który przemawiasz do mnie w ten sposób?

– Jestem archaniołem Gabrielem. Bóg posłał mnie do ciebie. Powtórzyłem ci Jego słowa.

Przypomniawszy sobie o tych, którzy prosili, by przekazał Bogu ich życzenia, człeczyna opowiedział o wszystkim archaniołowi, ten zaś rzekł:

– Kimże oni są? Czego chcą?

– Pierwszy żyje jako pustelnik na szczycie góry. Drugi jest zbójcą, który ma już na sumieniu dziewięćdziesiąt dziewięć ofiar. Trzeci jest zagrzebany w piasku do pasa.

– Poczekaj tu na mnie, zaraz wracam.

Archanioł ruszył, by donieść o tym Bogu, i Pan przekazał mu swoją odpowiedź:

– Powiedz pustelnikowi, że jego miejsce jest w piekle. Powiedz zbójcy, że jego miejscem jest to, które pustelnik

miał w swym mniemaniu zająć w raju. Powiedz owemu zagrzebanemu w piasku, że jeśli nie będzie śpiewał na moją chwałę, pozbawię go nawet piasku, którym się okrywa; niechaj dziękuje Mi za to, co mu dałem!

Człeczyna wrócił drogami, którymi szedł poprzednio. Szybko odnalazł nieszczęśnika zagrzebanego w piasku.

– Czy widziałeś Boga?

– Widziałem.

– Co ci rzekł o mnie?

– Ostrzega cię, że jeśli Mu nie będziesz dziękował, zabierze ci nawet piasek, którym się okrywasz, i zostawi cię w całkowitej nagości!

I poszedł sobie.

Przybył do domu bandyty, który podjął go tak szczerze.

– I co odpowiedział Bóg na moje pytanie?

– Zawiadamia cię, że jeśli wrócisz do Niego drogą pokuty i jeśli położysz kres swoim zbrodniom, będziesz miał miejsce w raju!

I poszedł sobie.

Przybył do pustelnika, który żył z dala od świata na szczycie góry.

– Cóż powiada Bóg o mnie?

– Zawiadamia cię, że twoje miejsce jest najgorsze z możliwych, jeśli się nie nawrócisz.

I poszedł sobie.

Kiedy wrócił w swoje strony, wziął nóż ogrodniczy oraz widły i ruszył, by ściąć jujuby i powiększyć swoją zagrodę. Ludzie pomyśleli, że oszalał. Jednego dnia wybierał się odwiedzić Boga, a teraz, ledwie wrócił i odpoczął, zabiera się do ścinania jujub i budowania zagrody dla bydła. Cóż takiego chce tam umieścić? Cóż bowiem

posiada? Nasz człeczyna poszedł spać, a kiedy zbudził się rano, zobaczył, że w zagrodzie pełno jest wielbłądów, wołów, kóz i wszelkiego rodzaju bogactwa. I tak wypełnione zostało, dzięki Bogu, najcięższe jego sercu pragnienie.

Contes Berbères du Maroc, Paris 1949, s. 59-61



Widzenie brata Jaśmina

Jaśmin, człek pobożny, oblekł habit z powodu wydarzenia, które warto opowiedzieć. Zdechł ze starości osiołek klasztorny i ojciec przełożony, kiedy spotkał zasną duszę, Jaśmina, który prowadził Tarapatę za uzdę, położył mu dłoń na ramieniu:

– Synu mój, twój osioł przydałby się naszej wspólnocie biedaków przy kwestowaniu za pszenicą, więc pytam, czy byłbyś skłonny go sprzedać za rozsądną cenę.

Jaśmin żył w bojaźni Bożej, ale był przywiązany do swojego bydłęcia, więc odparł:

– Ojcze świątobliwy, choć biedny ze mnie człek, z radością oddałbym to bydłę bez żadnego wynagrodzenia i Bóg widzi, że nie kłamię. Ale to zwierzę jest moim jedynym towarzyszem i gdybym musiał się z nim rozstać, pękłoby mi serce.

– Niech się dzieje wola nieba – odparł przełożony i z westchnieniem ruszył swoją drogą. Lecz kiedy przeszedł kilka kroków, zdarzył się cud, bo Tarapata, miast iść z Jaśminem, poszła za bratem przełożonym stromą ścieżką, prowadzącą do klasztoru. Właściciel chwycił ją za munsztuk i próbował najrozmaitszych argumentów, żeby odmienić jej zamiar. I ciągnął ze wszystkich sił. Ale każdy wie, że osły są krewniakami mułów, więc cały pot i łzy przelane przez Jaśmina nie powstrzymały bydłęcia,

które pięło się za suknią braciszka. I tak oto Jaśmin, ciągnięty przez osła, znalazł się w klasztorze. Tarapata dostała siodło i czaprak zmarłego poprzednika, Jaśmin zaś piękny, prawie nowy habit, który wspaniale pasował do jego zielonkawej brody. Ojciec przełożony roztropnie wybadał naszego człeka w sprawie powołania, uprzedził go o ślubach i przeszkodach kanonicznych i Jaśmin obiecał, że będzie najlepszym braciszkiem kwestującym od czasu świętego Franciszka, a Tarapata najlepszym z osłów przed świętym Franciszkiem i po nim.

Tego lata rzeczywiście kwestowanie za pszenicą szło jak po maśle. O pierwszym brzasku dnia Jaśmin i Tarapata wychodzili z klasztoru śmiałym krokiem i deptali rosę łąk jeszcze ciepłych po nocy, zmierzając ku pełni dnia.

Przebywali razem całe mile, zanurzeni w pył skwar-nego lata, połykając gościńce dla mułów i percie, przeskakując przez rowy, brnąc przez rzeki. I wędrowali od zagrody do zagrody, kwestując za pszenicą.

Braciszek Jaśmin odmawiał na głos różaniec, przemilczając drugą część Zdrowasiek, by Tarapata mogła odpowiadać w swym sercu, a w to, że odpowiada, niewinny konwers nie wątpił, po cudownym powołaniu zakonnym, jakiego dowód dało bydłę.

Wszyscy w okolicy życzyli dobrze Jaśminowi i Tarapacie, a za każdymi drzwiami, do których braciszek zapukał, znajdował pszenicę i dzban młodego wina, by przywrócić siły kwestarzowi.

– Nie bolą cię nogi, bracie Jaśminie? – pytały niewiasty.

Odpowiadał, że da je kiedyś do podkucia, jak kopyta swojego bydłęcia. Bydłę zaś zostawało na zewnątrz, na podwórzu, z pyskiem zanurzonym w źródelku, by utopić muchy, które przypięły się do nozdrzy, i przyglądały mu

się z zaciekawieniem kury. W tym czasie jego pan chwalił zbiory i Najświętszą Maryję Pannę, udzielał jakiejs dobrej rady dobroczyńcom, którzy uskarżali się na swoje biedy, a kiedy już przepłukał gardło, ruszał dalej, ocierając brodę.

I znowu droga, znowu słońce, kurz, muchy i tysiące różańców.

– Szklaneczkę, bracie Jaśminie? – zapraszały go przy każdym postoju gospodynie ze swoich chłodnych kuchni. Braciszek Jaśmin przy każdym postoju miał pragnienie, jak Chrystus na krzyżu. I mówił:

– Czemu by nie?

Działo się jednak coś dziwnego. W głębi tych szklaneczek (może z łaski, a może natchniony sokiem Noego) braciszek Jaśmin znajdował nadzwyczajne rady dla swoich dobroczyńców, którzy traktowali je jak wyrocznie, a osobliwie rady udzielane w ostatnich już domach, gdzie nasz pielgrzym docierał zwawy i wymowny niby zięba.

– Bracie Jaśminie, czy mam sprzedać ten kawałek pola?

– Bracie Jaśminie, co doradzisz mi przeciwko robakom u mojego trzeciego dziecka?

– Bracie Jaśminie, wyjaśnij mi sen, powiedz, co się dzieje z moim synem żołnierzem, spraw, by grad zniszczył zbiory sąsiada zza miedzy...

Braciszek Jaśmin pił i trafiał z odpowiedzią. W przypadkach niepewnych wychodził, żeby poradzić się Tarapaty, i nigdy się nie pomylił. Jego sława jasnowidza rozszła się po całej okolicy.

Kiedy zapadał zmierzch, Tarapata, dźwigając na grzbiecie dwa pękate worki, odprowadzała do klasztoru braciszka Jaśmina, który trzymał się jej ogona. Chociaż bydlę było obładowane i umęczone, dzielnie odgadywało zawsze drogę najprostszą, by wrócić do domu, i szło

pewnie, wlokąc za sobą naszego braciszka, tak że zdawali się dziwną bestią o sześciu nogach, z których dwie nieco chwiejne.

Wieczne cienie kładły się niby balsam na wielką palącą ranę skwarne go dnia, a wietrzyk-widmo wplątywał się w brodę braciszka i osuszał pot, który perlił się mu na czole. Słodko było braciom, którzy kwestowali, zanim przyszedł do klasztoru Jaśmin, rozpoznawać zapach nocy, wdrapywać się na zbocza doliny, gdzie hasał diabeł, zostawiać je za sobą z dreszczem strachu przemykającym po krzyżu i myśleć o bezpiecznym schronieniu na szczycie, o refektarzu pełnym braci spożywających w zupełnym milczeniu zupę i chleb. Słyszeli, jak się krząta Kusiciel w tej chwili, która się rozpadała, i zarzuca swoje niewidzialne sieci przed wielkimi nocnymi łowami. I niby ktoś, kto boi się, że zaskoczy go pora gaszenia światła w mieście zajętym przez nieprzyjaciół, spieszyli do klasztoru, gdzie ich dusze podnosiły czym prędzej zwodzony most, by pozostawić na zewnątrz grzech. Ale Jaśmin niczego takiego nie odczuwał. Był wesolutki, i gdyby spotkał Złego z wielkimi rogami, klepnąłby go w ramię i miałby także dla niego niezawodną radę, jak stać się szczęśliwym i zacnym.

Wieść o sławie Jaśmina i jego roztropnych radach doszła w końcu także do uszu ojca przełożonego. Ten zaś, widząc, jak braciszek wraca co wieczór z całym dobrem Bożym, nader go miłował i też miałby go za świętoszka, gdyby nie to, że pewnego wieczoru, kiedy bracia wymieniali pocałunek pokoju, jak chce rytuał pewnej uroczystości, zdał sobie sprawę, iż habit konfratra pachnie niezupełnie świętością. A ponieważ ojciec przełożony był człkiem świętym, a święci w lot pojmują wiele rzeczy, wezwał braciszka do rozmównicy i rzekł mu te tylko słowa:

– Synu, zbyt dosłownie wzięłeś ten ustęp z naszej reguły, który powiada, że brat je i pije to, co przed nim postawią. Wino, nie zaś Duch Święty, nadmiernie rozwiązywało ci język, a to jest dzieło diabła. Radzę ci więc dokonać aktu skruchy i, aby więcej nie poddawać twojej powściągliwości w picciu, od dzisiaj z osłem będzie chodził kto inny.

Jaśmin pocałował dłoń swego sędziego, płacząc z zawstydy i dziękując za sprawiedliwą karę.

Ale w dolinie, wśród klientów Jaśmina orędownika, sprawy nie potoczyły się tak gładko. Wszystkie proroctwa braciszka spełniały się jedno po drugim. Biedy i choroby zniknęły spod dachów, pod którymi zatrzymał się pielgrzym, by ugasić pragnienie. Podniósł się krzyk, że chodzi o świętego, i kumotrzy bajali o widzeniach, jakich zaznał brat Jaśmin sam na sam z Jezusem Chrystusem i Najświętszą Maryją Panną, siedzącymi na złotych obłokach niby w cherubińskiej karocy i na które to obłoki, kiedy wszyscy spali, jemu dozwolone było wspiąć się i bronić w wielkiej zażyłości sprawy dobroczyńców.

Można sobie wyobrazić, jak przyjęto następcę braciszka Jaśmina, kiedy pokazał swą nieznana nikomu twarz i przychodził z Tarapatą, która zapierała się co pięć kroków. Nie zdołał zgromadzić ani ziarnka pszenicy i usłyszał kilka złych słów, a nawet witano go kamieniami. Potem, widząc, że zwierzchnictwo klasztoru pozostaje niewzruszone i brat Jaśmin nie opuszcza klauzury, cała dolina podjęła strajk religijny. Nikt nie chodził już na Mszę i nie przystępował do sakramentów, nowo narodzeni pozostawali bez chrztu, narzeczeni bez ślubu, a nawet zmarli przywykli wędrować na cmentarz sami, bez księdza.

Dobiegło końca lato. Ze swojej celi Jaśmin widział, jak pierwsze zziębnięte jaskółki nikną w niebie niby czarne konfetti. W tych dniach wstrzemięźliwości, wszystkich

jednakich jak ziarnka różańca, na powrót stał się z niego człek mierny i niespokojny, który zmażywał swój upadek połykając łyżę i ślinę. Czekał na powrót z pracy Tarapaty, by z wielką pieczołowitością oporządzić ją i często znajdował w uszach swojej towarzyszki zwinięty bilecik we tknięty tam przez kogoś proszącego o radę. Ale brat Jaśmin nie umiał czytać.

Była to jesień smutna i chuda dla klasztoru otoczonego niechęcią ludności, która odpłacała się bezbożnością i tym, że morzyła braci głodem. Kościół bez wiernych, spiżarnia pusta. W nowennę Bożego Narodzenia ojciec przełożony skapitulował. Zapukał do celi Jaśmina pewnej nocy, kiedy padał śnieg, dźwigając za szyjki dwie flaszki wina.

– Synu mój – rzekł – na pasterce chcę mieć kościół pełny. Zejdiesz na równinę i przekonasz swoje owieczki, by wróciły do stada.

I nalał mu wina, wydając przy tym długie i wymowne westchnienie, a potem zostawił sam na sam z dwiema flaszkami.

Lecz Jaśmin nie umoczył w nich nawet języka i nie umoczył go także w setce dzbanów, które podsuwały mu jego owieczki na równinie, kiedy rankiem ujrzały, jak ukazuje się z Tarapatą, a oboje okryci byli śniegiem niby niebiańscy kominiarze.

– Powrócił brat Jaśmin... – powiadali. Brat Jaśmin zaś, jakby po długiej chorobie wstał z łoża, gdzie oczekiwał już śmierci, dotykał miedzianych naczyń w kuchniach, kolb kukurydzy zawieszonych na gwoździu, główek dzieci, które urosły na piędź.

Przez dziewięć dni trwała zamieć śnieżna i przez dziewięć dni Jaśmin i Tarapatą zapuszczali się w tę wyklętą dolinę i, jak powiadają, dokonali nawet paru cudów.

Podczas pasterki cała ludność wypełniła kościół, dźwigając pod płaszcami dary i wpatrzone były tylko

w ambonę, na którą, jak było obiecane, brat Jaśmin miał wejść, by w to Boże Narodzenie wygłosić swoje pierwsze kazanie. Ale kiedy zwrócił się do nich, miał twarz tak zmienioną, że budziła strach, a rękami złapał się za głowę i zamiast mówić im o narodzinach Zbawiciela, poprosił wśród szlochu, żeby pomodlili się za duszę Tarapaty.

Bracia ścignęli go na dół tonącego we łzach. Ojciec przełożony, nie mogąc wyjść z za balustrady, gdyż odprawiał Mszę okryty błyszczącym ornatem, zagryzał brodę i błagał Najwyższego o grom na tego brata pijaka. Oślica Jaśmina wskutek zapalenia płuc przeniosła się do wieczności na krótko przed północą.

Wierni poszli gęsiego do stajni, by pozdrowić ją po raz ostatni, a ktoś uciał jej odrobinę sierści, by zachować jako relikwię.

Brat Jaśmin popadł znowu w pijaństwo, lecz na niewiele tygodni, gdyż pod koniec stycznia Pan ulitował się nad wdowcem i wezwał go w ślad za towarzyszką, jak niegdyś już zboczem wiodącym do klasztoru, tylko tym razem do raju. Była to zresztą doprawdy święta śmierć: leżał obleczony w habit na łożu, otoczony w klasztorze braćmi i na zewnątrz tłumem, który modlił się z czapkami w dłoniach w przejrzysty dzień zdobny w sople. Miał cudowne widzenia. W okienku nieba ukazała mu się Tarapata w świetlistej aureoli na uszach, a obok święty Franciszek, który pał ją własnymi rękami pełnymi złotego obroku.

Leggende cristiane, Milano 1963, s. 540-544



Wampir

Legenda chorwacka

Wśród biedaków, których na świecie nie brak, żyli raz mężczyzna i niewiasta, najubożsi we wszystko, gdyż nie mieli nawet dziecka. Jediną ich własność stanowiła chatka, a było to doprawdy niewiele. Pewnego dnia, kiedy rozmawiali o swojej nędzy, mężczyzna rzecze:

– Nie mamy nikogo, kto pomodliłby się za nas i zjadł łyżkę ugotowanej pszenicy, kiedy umrzemy. Ale przede wszystkim, co się z nami stanie, kiedy się zestarzejemy, bo przecież nie mamy ani krewnych, ani potomstwa? Spróbuję ruszyć w świat i zarobić choć trochę, byśmy na starość nie umarli z głodu.

Niewiasta musiała przyznać mu rację i wyruszył. Szedł przez wsie i miasta, ale nigdzie nie mógł znaleźć pracy. W swojej wędrówce dotarł w końcu do gęstego boru, a tam zgubił drogę i błądził przez kilka dni, nie trafiając na żadną polanę. Zaczęło mu już brakować siły i odwagi, kiedy nagle spotkał myśliwego, który spytał go zdumiony:

– Jakże trafiłeś, dobry człowieku, w to miejsce?

On zaś odpowiedział, że wędrował w poszukiwaniu pracy i zabłądził.

– Łatwo na to zaradzić – odpowiada myśliwy. – Kiedy wyjdiesz z lasu, znajdziesz mój dom. Jeśli chcesz, mogę dać ci dach nad głową, a za to będziesz zapisywał imię

każdego wędrowca, który przejdzie przed bramą. To będzie twoja praca.

– A zapłata, panie? – zapytał biedak. – Wiesz dobrze, że tylko pies służy swemu panu za strawę.

– Nie trap się o to, będziesz zadowolony – odparł myśliwy.

Biedaczysko zgodził się chętnie. Kiedy już myśliwy wskazał mu drogę, szybko dotarł do jego domu. Na drewnianym talerzu znalazł trochę papki kukurydzianej, a talerz nigdy się nie opróżniał, kiedy jadł. Znalazł poza tym kajet z białymi kartkami. A ponieważ nauczył się trochę czytać od mnichów ze swoich stron, zaczął wypełniać stronicie imionami osób, które tędy przechodziły. Po roku zeszyt był wypełniony. W tym samym czasie powrócił myśliwy. Powiedział, że jest zadowolony z pilności stróża, dał mu worek dukatów i zwolnił go. Któż mógłby być szczęśliwszy niż nasz biedaczysko? Czując, że serce wypełnia mu wdzięczność, powiedział myśliwemu, że w zamian za jego hojność dałby mu to, co ma najdroższe. Myśliwy, który tylko na to czekał, powiedział, by ujął na piśmie to, co rzekł. Biedaczysko zaś, nie podejrzewając nic złego, spełnił tę prośbę i ruszył w stronę swego domu z radosnym śpiewem na ustach.

Czekała go jeszcze jedna miła niespodzianka. Podczas jego nieobecności żona wydała na świat chłopczyka.

Teraz, kiedy mieli w końcu dużo pieniędzy, które mężczyzna pomnożył dzięki swojej pracowitości, mogli żyć bez trosk. Mimo to mężczyzna był często zamyślony, gdyż przypominał sobie, jaką obietnicę dał myśliwemu, i bał się, że ten przyjdzie i zażąda oddania jedyne go syna.

Ale czas mijał, dziecko rosło i rodzice coraz mniej myśleli o myśliwym i obietnicy. Pewnej nocy stała się jednak rzecz straszna. Kiedy wiatr północny dał mocno, a pies wył, jakby ktoś go dręczył, dał się słyszeć przed

domem dziwny zgiełk, a potem drzwi się uchyliły i na próg padła sylwetka człowieka opitego krwią. Był to wampir.

– Teraz musisz spełnić swoją obietnicę! – rozległ się posepny głos.

Mąż i żona poczęli zaklinać upiora w imię Boga i świętego Jana i skrapiać go święconą wodą, aż w końcu upiór musiał zniknąć. Zanim jednak odszedł, rzekł:

– Dziecko zostanie jeszcze z wami, ale za dwadzieścia pięć lat będzie moje.

Mąż i żona usnęli dopiero o świcie. Oboje mieli ten sam sen. Święty Jan, opiekun domu, wyszedł z obrazu i kołysząc lampką, która wisiała pod obrazem, jakby to była kadzielnica, powiedział:

– Niech chłopak zostanie mnichem. Tylko wtedy dziki myśliwy przemieniony w wampira nie będzie mógł zrobić mu nic złego.

Kiedy mąż i żona obudzili się, ołtarzyk stał jak zawsze. Tyle tylko, że po całym domu roznosił się wdzięczny zapach kadzidła.

Minęło siedem lat, rodzice zaprowadzili chłopca do klasztoru mnichów. Rozwijał się dobrze, wyrósł na pięknego chłopca i uczył się pilnie, tak że jeszcze w młodzieńczym wieku wyświęcono go na księdza. Za każdym razem, kiedy wracał do rodziców, zastawał ich zasmuconych. Pewnego dnia, kiedy wyrosła mu już broda, zdobył się na odwagę i spytał ojca, czemu jest taki smutny. Ojciec opowiedział mu wszystko i oznajmił, że wkrótce minie dwadzieścia pięć lat od tamtej strasznej nocy. Oto czemu ani on, ani matka, myśląc o swojej przyszłości, nie mogą być radośni.

Przerażony tym, co mu wyjawiono, postanowił ruszyć na poszukiwanie wampira, by odebrać mu – przy pomocy

Boga i świętego Jana – ową pisemną obietnicę i uratować w ten sposób swoją duszę.

Przygotował się więc tak, jakby miał w każdej chwili umrzeć, odbył spowiedź, przyjął Komunię i pojednał się ze wszystkimi, z ptakami górskimi, z rybami w wodach i z węzami spod kamieni. Potem zabezpieczył sobie głowę i piersi świętymi talizmanami, wziął w dłoń poświęcony kij i ruszył.

Wędrował dniem i nocą, nigdy nie odpoczywając, aż dotarł do tego boru, do którego niegdyś trafił jego ojciec. Zapadła noc i rozpętała się burza, która wyrывała drzewa z korzeniami jakby były trzcina, a deszcz lał jak z cebra.

Mnich dostrzegł słabe światło i poszedł w tamtą stronę. Natknął się na chatkę, wszedł z pozdrowieniem na ustach i poprosił o nocleg. Wyszła mu naprzeciw jakaś staruszka, która ucałowała jego dłoń i rzekła:

– Jestem wdzięczna niebu, że człowiek Boży wszedł do mojego nędznego domu. Lecz nie możesz tu zostać, gdyż mój syn jest wielkim grzesznikiem, zbójem i mordercą, a jeśli cię tu zastanie, zabije.

Ale mnich nie okazał najmniejszego strachu. Wtedy staruszka poprosiła go, by przynajmniej się ukrył w przyległej izbie, a on zrobił, o co prosiła. Zbój, ledwie wszedł do domu, wykrzyknął:

– Matko, czuję, że w domu jest chrześcijanin. Powiedz, żeby wyszedł, uciął mi głowę, przemienił mnie w proch i rozsiał na wietrze. Tak jestem nieszczęsny i przeklęty.

Mnich wyszedł. Kiedy zbój ujrzał szaty kapłana, zbladł jak trup, chciał pozdrowić go imieniem Bożym, ale język mu zesztyniał, chciał uczynić znak krzyża, ale jego ręka była jak sparaliżowana. Dopiero kiedy mnich uprosił dla niego łaskę niebios, niewidoczne łańcuchy opadły i z oczu zbója i matki popłynęły łzy.

Mnich pocieszył ich, a potem opowiedział swoją historię i jak to wybrał się w podróż, by odnaleźć wampira

i wydrzeć mu obietnicę napisaną ręką ojca. Kiedy niewiasta to usłyszała, rzuciła się na ziemię, poczęła wyrwać sobie włosy z głowy i bić się w pierś, krzycząc:

– O my nieszczęśliwi! Myśliwy był moim mężem, ojcem tego biednego grzesznika. Kiedy nie strzelał do zwierząt, strzelał do przechodzących tędy ludzi. Zaklinam cię, mężu Boży, przywróć mu pokój w grobie, zabij w nim wampira i módl się za jego duszę!

Jej błagania niosły się echem przez las, a odpowiadała jej świstem i łomotem zawierucha.

Wtenczas trzech nieszczęśliwi towarzysze, których los ze sobą połączył, ruszyli ku wsi leżącej na skraju boru i dotarli tam, padając ze zmęczenia i wzruszeń. Była jeszcze ciemna noc, kiedy poczęli stukać do drzwi domów i wzywać pomocy w imię Ukrzyżowanego Boga. Mieszkańcom przebiegał dreszcz przez plecy. Rzeczywiście, od jakiegoś czasu ludzie umierali często, gdyż krążył po okolicy ktoś, kto zatruwał wodę w poidłach i w studniach, a także ziarno w spichlerzach.

– To wampir, nic tylko wampir! – mówili ci nieszczęśnicy obudzeni tak wcześnie ze snu.

Kiedy jednak zobaczyli mnicha i jego towarzyszy, przyprowadzili zaraz ogiera czarnego jak węgiel i bez żadnej łąty, a poleciwszy niewiastom i dziewczętom pilnować dobrze dzieci, zapalili pochodnie od świętego ognia w kominku. Potem najstarszy wieśniak wziął za uzdę konia, który cały drżał, i wraz z mnichem, wdową po myśliwym i zbójem ruszyli ku cmentarzowi, na szczyt skalistego wzgórza. Kiedy tam dotarli zadyszani, dostrzegli czarny cień człowieka w białym całunie narzuconym na ramiona, ale ów cień zaraz zniknął. Wiatr świstał i wył, prawie gasił pochodnie. Szli z wielkim trudem od grobu do grobu, by zobaczyć, czy są całe i wreszcie wytropić w którymś wampira. Szukali i szukali, aż wreszcie we wschodniej części cmentarza dostrzegli w jednym z grobowców dziu-

rę, z której coś wystawało. Któryś wieśniak, odważniejszy od innych, chwycił to coś i wyciągnął wielobarwny trzewik, a wdowa zaraz go rozpoznała, gdyż był od pary, którą włożyła na nogi mężowi na marach, i z pewnością wampir wyrzucił go, ukrywając się pospiesznie w grobie. Wtedy przyprowadzili czarnego konia, który przedtem przeskakiwał przez wszystkie groby nie okazując strachu, ale teraz nie chciał przejść nad grobem myśliwego, chociaż wszyscy pchali go ile tylko sił, krzycząc i bijąc kijem. Wtedy stary wieśniak rzekł:

– Ludziska, wydaje mi się, że niewątpliwie jest to grób wampira. Dalejże, róbmy to, co czynili nasi dziadowie, by przywrócić pokój ludowi i zmarłemu!

Zaintonowali pobożną pieśń, a nad ich głosy wzbijał się głos mnicha, mocniejszy niż zawierucha. Wieśniacy ścięli stary głóg, naostrzyli kołek i opalili szpic nad ogniem, który przynieśli na pochodniach ze świętego kominika. Potem otworzyli grób. Leżał w nim zmarły, zupełnie nie zmieniony od czasu, gdy grzebano go wiele lat wcześniej. Wieśniacy stanęli kołem nad grobem unosząc wysoko pochodnie, i przy czerwonym ich świetle ciało wampira połyskiwało, napełnione czerwoną krwią ludzką. Wtedy mnich z całej siły wbił kołek w pierś potwora. Ten gest powtórzyli wdowa i jej syn, a potem inni wieśniacy, jeden po drugim, w porządku starszeństwa. Wampir miotał się i skręcał pod ciosami, a z grobu dobywały się westchnienia, które mroziły serca, jakieś głosy, które przypominały dźwięki dochodzące z otchłani, kiedy rzuca się w nią kamienie.

Potem zawierucha się uśmierzyła, wyrzało słońce, zaś w grobie pozostała tylko niekształtna masa ciała. Mężczyźni przeżegnali się, a potem zasypali znowu grób pozwalając dzikiemu myśliwemu zasnąć wreszcie w pokoju snem wiecznym.

Natomiast mnich daremnie szukał w grobie obietnicy spisanej ręką ojca, doszedł więc do wniosku, że znajduje się ona zapewne w piekle i zaraz postanowił tam się udać. Ujął więc z powrotem w garść poświęcony kij i ruszył w stronę mieszkania potępionych. Najpierw jednak obiecał skruszonemu grzesznikowi, że po powrocie wyspowiada go i udzieli mu Komunii. Ale dokądkolwiek ruszył, wszędzie trafiał na wąską ścieżkę. Ta ścieżka w końcu doprowadziła go do zamykającej dalszą drogę skały. Uderzył w nią kijem i kamień otworzył się, mógł więc iść dalej przez mroczną pieczarę, aż po długiej wędrówce dotarł do piekła.

Zobaczył cierpienia dusz skazanych na wieczny ogień. W jednym zakątku była gromada zgrzytających zębami diabłów z rogami i w czerwonych czapkach, a wśród nich stał wkopany w ziemię olbrzymi potwór chromy na jedną nogę. Był to Kulawy Dada, ich wódz. Mnich wziął święte talizmany, w które się uzbroił, i zaczął rzucać je między diabły. Ci poczęli uciekać w inny koniec, a wielki kulawiec zaczął zaklinać go, żeby zabrał talizmany, obiecując, że da mu w zamian wszystko, czego sobie życzy.

– Nie widzisz, że jestem kulawy na jedną nogę? – krzyczał. – Może chcesz, żebym złamał sobie także drugą?

Ale mnich odpowiedział, że nie ruszy się stąd, dopóki nie dostanie obietnicy spisanej ręką ojca. Wtedy Kulawy Dada rozkazał, by mu ją oddano natychmiast. Ale diabeł, który miał pieczę nad dokumentem, nie chciał o niczym słyszeć, tak że kulawiec musiał rozkazać, by go męczono na wszystkie możliwe sposoby. Diabły skuły go i powiesiły, rzucały do żywego ognia, ale wszystko na nic. Wówczas Kulawy Dada rozkazał, by krnąbrny diabeł został rzucony na stół pokryty sterczącymi gwoździemi, przeznaczona dla syna dzikiego myśliwego. Dopiero w obliczu tej groźby diabeł rzucił list, a mnich złapał go i uciekł.

Biegnie do domu co sił w nogach, by odnieść list rodzicom i opowiedzieć im wszystko, co widział i przeżył. Ale chociaż szukał wszędzie, nie mógł w żaden sposób znaleźć rodzicielskiego domu. Poczuł wielkie znużenie wędrówką. W końcu z wielkim trudem dotarł do klasztoru. Ale jakże wszystko się zmieniło! Nie mógł poznać nikogo i nikt nie pamiętał o nim. Wtedy powiedział swoje imię. Mnisi otworzyli stare księgi i odpowiedzieli mu, pochylając z uszanowaniem głowy w obliczu takiej tajemnicy, że dokładnie trzysta lat temu wyszedł z klasztoru.

Oddając się bez reszty Panu, mnich czekał na koniec swoich dni. Pewnego razu wyraził pragnienie, by zanieśiono go na pobliski cmentarz, gdzie, jak sądził, są groby jego rodziców. Modląc się, usiadł. Nagle usłyszał, że konfratrzy wołają go po imieniu. Dostrzegli jabłoń, która pochylała aż do ziemi gałęzie obciążone jabłkami, które pachniały rozkosznie, ale kiedy mnisi chcieli je zerwać, gałęzie unosiły się wysoko.

Konfratrzy poprowadzili starego mnicha, by zobaczyć cud i wyjaśnić go im. Kiedy wrócili, zastali pod drzewem starca, który klęczał z rękami złożonymi i spojrzeniem wzniesionym ku niebu.

– Dzięki niech będą Bogu – wykrzyknął starzec, zwracając się do starego mnicha – żeś przyszedł, gdyż ja będę mógł wreszcie umrzeć.

Był to syn dzikiego myśliwego, ten biedny grzesznik, który czekał, by mnich go wyspowiadał i oczyścił z grzechów. Stary mnich wyspowiadał biedaczyne, udzielił mu Komunii świętej. Pojednany z Bogiem zbój zamknął oczy na zawsze.

Wonne owoce z jabłoni przemieniły się w białe ptaszyny, które poderwały się do radosnego lotu ku niebu. Były to dusze ludzi, którzy zostali zabici przez dzikiego myśliwego i jego syna.

Wkrótce potem wybiła również ostatnia godzina dla starego mnicha, który zmazał zuchwałą obietnicę złożoną niegdyś przez ojca i dokonał, co zamierzył. Kiedy stanął przed sądem Bożym, owo drzewo – którego korzenie sięgały dwóch studzien pokrytych mchem, a które teraz uschło – zazieleniło się. Były to bowiem groby jego rodziców, którzy umarli ze smutku. W tym samym miejscu pochowano i jego.

Franio Trograncic

Leggende cristiane, Milano 1963, s. 493-499



Brat Dominik

Legenda abruzyjska

Brat Dominik w wolnych chwilach uprawiał malarstwo i dobrze wyuczył się tej sztuki, również dlatego, że malował zawsze to samo. Ponieważ był oddany Matce Boskiej Niepokalanego Poczęcia, którą przedstawia się z diabłem pod stopami, Ją tylko malował. A kiedy trzeba było namalować diabła, brat Dominik nie omieszkął przesadzić. Wszelako, szczerze mówiąc, wszyscy, którzy powierzali mu namalowanie obrazu, byli jeszcze bardziej zadowoleni z brzydkiego diabła niż z wizerunku Maryi. Lecz brat Dominik nie zadowalał się tym, że przedstawiał diabła coraz szkaradniejszego. Za każdym razem, kiedy kończył go malować, zbierał w ustach ślinę i pluł mu w twarz ku własnemu zadowoleniu. Potem stał przez dobrą chwilę, patrząc nań krzywym okiem.

Oto jednak pewnego dnia brat Dominik ruszył na kwestę do sąsiedniej wsi i spotkał pięknego młodzianiszka, który zatrzymał go i powiada:

– Rzeknij no, bracie Dominiku, czy naprawdę mnie masz, że jestem taki szkaradny?

– Byłbym kłamcą, gdybym tak rzekł.

– Wiedz zatem, żem diabeł. I pytam, czemu przedstawiasz mnie szkaradniejszym, niżli jestem? Mniejsza zresztą o to. Matkę Boską przedstawiasz przepiękną, czego

nie mogę mieć ci za złe, gdyż to twoja Pani. Malujesz diabła szkaradnego? No cóż, to nieprzyjaciel twojej Pani i w tym także spełniasz swój obowiązek. Ale dlaczego po skończeniu obrazu zawsze musisz napluć mi na twarz? Kto cię uczył dobrych obyczajów?

Brat Dominik, kiedy diabeł mówił, nazbierał sobie pełne usta śliny, a kiedy tamten skończył, całą twarz oblał mu ogromną plwociną.

– Zapłacisz mi za to – rzekł zimno diabeł, ocierając sobie pospiesznie twarz i umykając czym prędzej.

Brat Dominik był nie tylko malarzem, ale nocą pełnił też obowiązki furtiana w klasztorze. Do niego należało pójść do furty i otworzyć ją, a tej nocy dzwonek obudził go, kiedy był pogrążony w najgłębszym śnie.

– Kto tam?

– Jestem bratem Karmelem. – Był to kwestarz z sąsiedniego konwentu.

– Wejdź, bracie, ale czemu włóczysz się o tak późnej porze?

– Mam ci coś do powiedzenia – rzecze brat Karmel, kiedy już znalazł się w środku. – Rzecz w tym, że prowadzimy pieskie życie. My musimy harować, a inni, tylko dlatego, że odprawiają Mszę, mają prawo nic nie robić i zjadają jedynie owoce naszego znoju. Mam po dziurki w nosie takiego życia i pomyślałem, żeby zatroszczyć się o siebie i żeby nikt nie suszył mi głowy. Ale przed opuszczeniem klasztoru, chciałbym wynieść zawiniątko z potrzebnymi mi rzeczami. W końcu to owoc mojego trudu. Uczyń tak samo, jeśli jesteś moim przyjacielem. Ukradnij wszystko najlepsze, co znajdziesz w klasztorze. Przecież to owoc twojego kwestowania. Jeśli te pasożyty chcą jeść, niech sami pochodzą, dźwigając sakwy.

Brat Dominik poczuł jakiś zamęt w umyśle i rozumowanie brata Karmela wydało mu się trafne, przygotował więc tobolek z najlepszymi rzeczami, jakie były w kla-

sztorze, złotem, srebrem i haftowanymi ornatami, a potem wyszedł ze swoim towarzyszem.

– Czeka nas piękne życie! – powtarza co jakiś czas brat Karmel. A brat Dominik kiwa potakująco głową, ale milczy.

Kiedy znaleźli się dobrą milę od klasztoru, brat Karmel rzecze nagle:

– Och, bracie mój, cóż za głupstwo zrobiłem. Zosta-
wiłem to, co najlepsze! Poczekaj na mnie, nie odchodź
stąd. Biegnę do klasztoru i za parę minut będę z powro-
tem.

– Któż wie, cóż takiego zapomniał – przemyśliwa brat
Dominik. – Ale poczekajmy, obu nam wyjdzie to na dobre.
Cóż jednak za wielki człowiek z tego brata Karmela. A ja
jestem cymbał, bo zostawiłem mój obrazek z Matką Bo-
ską. Ale kiedy on wróci, pójdę po niego. Odejdę przynaj-
mniej ze wszystkimi moimi rzeczami.

Czeka, czeka i oto słyszy, jak rozbrzmiewa dzwon
w klasztorze.

– A co to znaczy? W środku nocy? Czyżby wybuchł
pożar? Albo wdarli się złodzieje? Ale ja się nie ruszę.
Obiecałem to Karmelowi.

Nie bratu Karmelowi zgoła obiecał. Był to diabeł uda-
jący brata Karmela, diabeł, który teraz pobiegł, by roz-
kołysać dzwony klasztoru i zbudzić wszystkich, mówiąc,
że brat Dominik nakradł i uciekł, ale można złapać go
nieopodal ze wszystkimi skradzionymi rzeczami...

Bracia nie chcieli dać wiary. Jakże to, przecież brat
Dominik prowadził życie doprawdy świątobliwe! Ale w ob-
liczu niezbitych dowodów musieli przyznać rację. Brata
Dominika odnaleziono z tłumoczką rzeczy należących
do klasztoru. Przybył sędzia tego okręgu i wtrącił go do
więzienia.

Zgnębnionego brata Dominika odwiedził diabeł.

– Wszak rzekłem, że mi zapłacisz. Czy masz jeszcze ochotę napluć mi w twarz?

Brat Dominik nie dał sobie tego dwa razy powtarzać. Nappełnił usta śliną i raz jeszcze splunął diabłu w twarz.

– Pluj sobie, pluj – rzekł tamten. – Ale teraz, kiedyś nakradł, nie wyjdiesz już z więzienia, jeśli nie wydobędzie cię z tarapatów twoja Matka Boska.

Ledwie to rzekł, ukazuje się Matka Boska i krzyczy:

– Na kolana, bydlę jedno! – Diabeł musiał posłuchać i padł na kolana. Matka Boska założyła mu łańcuch na kark i oznajmiła:

– Pozostaniesz tutaj, a kiedy przyjdzie sędzia, runiesz do otchłani!

Potem odprowadziła brata Dominika do klasztoru, kazała odłożyć na miejsce wszystkie przywłaszczone przedmioty i mówi mu:

– Teraz dzwoń, a kiedy spytają cię o coś, odpowiedz, że przez cały czas spałeś.

Brat Dominik ciągnie za sznur dzwonu. Wstaje brat przełożony, wstają wszyscy bracia.

– Któż to dzwoni, choć jeszcze nie pora? – oburzają się, przecierając oczy.

Widzą brata Dominika i ogarnia ich zdumienie.

– To ty – mówi brat przełożony – nie jesteś w więzieniu?

– Czemuż by? Przez cały czas spałem.

Idą rozejrzeć się i tam, gdzie brakowało skradzionych przedmiotów, odnajdują wszystkie na swoich miejscach. Brat Dominik mówi na zakończenie:

– Diabeł zawsze ma w zanadrzu jakieś sztuczki i mnie wyciął niezły figiel. Ale na szczęście jest Matka Boska Niepokalanego Poczęcia, która nad nami czuwa.

A jak się wszystko skończyło? Zawiadomiono sędziego i wszyscy udali się do więzienia. Ledwie otwarto drzwi,

diabeł zapadł się wśród dymu, ognia i wielkiego zamętu.
Wtedy wszyscy padli na kolana i zaśpiewali chórem:

*O Panno Niepokalana,
Wstawiaj się u Boga za nas!
O Matko naszego Pana,
Któraś była światłem świata,
Światłem duszę mą spowijaj,
Łaskiś pełna, Ave Maria!*

Leggende cristiane, Milano 1963, s. 421-423



Kij cały w kwiatach

Legenda francuska

Wiele lat temu w samym środku kniei żył pustelnik, który cały swój czas spędzał na modlitwach. Jadł tylko zioła i owoce, a jego samotność urozmaicały jedynie odwiedziny anioła, który przybywał codziennie, by opowiadać mu o raju.

Pewnego dnia – pogoda była tak szkaradna, że nie można było nawet wyjść, żeby nazrywać choćby odrobinę sałaty – pustelnik stracił cierpliwość.

– Cóż za wstrętna pogoda! – wykrzyknął.

Przez dziewięć dni anioł nie pokazywał się. Przybył wreszcie dziesiątego, ale miał twarz zasmuconą i pełną surowości.

– Pan Bóg rozgniewał się na ciebie, bo straciłeś cierpliwość i przyganiłeś Jego dziełu. Musisz teraz odbyć pokutę. Zasadź w ziemię swój kij. Trzy razy dziennie będziesz chodził do rzeki, nabierał wody w usta i tą wodą go podlewał. Kiedy kij zakwitnie, wrócę i będę ci towarzyszył do raju.

Anioł odleciał, a pustelnikowi pozostało tylko wykonać polecenie. Codziennie o świcie, w południe i o zmierzchu szedł nad rzekę, nabierał w usta wody i wracał, by podlać suchy i sękaty kij.

Pewnego dnia przechodził tamtędy wódz zbójców, a ujrzawszy pustelnika przy tym dziwacznym zajęciu,

osłupiał. Ale kiedy pustelnik wyjaśnił mu, w czym rzecz, wybuchnął śmiechem.

– Naprawdę wierzysz, że kij ucięty tyle lat temu może zakwitnąć? A poza tym taka ciężka pokuta za tak drobny grzech! W takim razie ja, który mam na sumieniu tyle zbrodni, cóż musiał bym uczynić, żeby wejść do raju?

Pustelnik skulił ramiona.

– Miłosierdzie Boże jest nieskończone.

Zbójca przestał już się śmiać, pomyślał chwilę, a potem rzecze:

– Dobrze, wierzę ci. Pozostanę z tobą i też spróbuję.

Pożałował swoich niegodziwych czynów, rozpoczął życie wypełnione pokutą i modlitwą. Wetknął w ziemię kij i trzy razy dziennie, o świcie, w południe i o zmierzchu, szedł do rzeki, wracał z ustami pełnymi wody i podlewał go. Ale nie miał nawet nadziei, by kij zasadzony przez takiego jak on grzesznika mógł kiedykolwiek zakwitnąć! Zadowalał się swoją pokutą.

Wszelako pewnego ranka pustelnik zawołał go i powiedział:

– Popatrz, twój kij już zakwitł, a mój nie.

I zaraz zstąpił z nieba anioł, skinął na zbójcę i wstąpił z nim do raju.

Natomiast kij pustelnika zakwitł znacznie później. W rzeczywistości bowiem starzec nie skruszył się tak głęboko jak zbójca i czasem nawet, idąc nad rzekę, by nabrać wody, mamrotał do siebie, że w końcu jego pokuta jest chyba za ciężka.

Leggende cristiane, Milano 1963, s. 366-367



Jasieniek z Paryża

Legenda francuska

Był raz pastuszek pięcio- albo sześćioletni, samotny na świecie, więc pilnował owiec pewnego złego starca, przez którego znosił głód i który często go bił. Pewnego dnia pastuszek, szukając baranka, który się zagubił, piał się na górę, a kiedy szedł i bił swoim kijem po krzewach, podśpiewywał jedyną piosenkę, jakiej nauczyła go kiedyś mamusia:

*Jasieńku z Paryża,
Pożycz twe trzewiki szare,
Bym zeszedł do raju.*

Wędrował ścieżyną, która pięła się zakosami po zboczach góry. Za każdym zakrętem niebo stawało się coraz większe. Dziecko nie wiedziało, co je ku niemu wzywa. Może powietrze stawało się lżejsze, w miarę jak szedł, może wabił go dźwięk dzwonów, których nigdy dotąd nie słyszał. Szedł długo, ale nie czuł nawet znużenia.

Kiedy dotarł na wierzchołek, zobaczył domek stojący obok źródła.

Drzwi były uchylone. Była to kaplica. Lecz pastuszek nie miał pojęcia, co to jest kaplica.

Wszedł do środka. Rozejrzał się z podziwem po ścianach pokrytych freskami, po witrażach. I usiadł sobie na ziemi przy drzwiach.

Zapadła prawie noc. Przyszedł braciszek kapucyn, by zamknąć kaplicę, nad którą miał pieczę położony nieopodał, na stoku góry klasztor, i zobaczył dziecko siedzące na progu.

– Rusz no się, chłopcze, muszę zamykać, już pora, żebyś sobie poszedł.

– Nie chcę odchodzić, skoro znalazłem się w raju. Proszę cię!

Braciszek nie miał serca wyrzucić siłą pastuszka, który przypominał aniołka z obrazu. Poszedł do ojca przełożonego. Opowiedział mu o dziwnym chłopczyku.

– Idź po niego – odparł przełożony – powiedz, żeby przyszedł z tobą do klasztoru, gdyż chce z nim pomówić przeor.

Pastuszek wstał.

– Pójdę, jeśli pozwolisz mi wrócić tutaj jutro. – I poszedł za braciszkiem do przeora.

– Moje dziecko – powiedział mu przeor – spędzisz noc w tym domu, a jutro wrócisz do miejsca, które nazywasz rajem.

Nadeszła pora posiłku w refektarzu. Bracia posadzili go, by jadł razem z nimi. Wieczorem jedli tylko kawałek chleba z masłem. Także pastuszek dostał kromkę z masłem. Potem zaprowadzono go, by przespał się w pobielonej izdebce. Na ścianie wisiał krucyfiks z pomalowanego drewna, jakie znajdują się zwykle w klasztorach, wielkości człowieka.

Dziecko patrzyło na krzyż szeroko otwartymi oczyma.

– Biedaczku, jakże musisz cierpieć... Przebili Ci dłonie i stopy, przybili Cię do tego drzewa... Gdybym mógł uśmierzyć ból, który musisz odczuwać!

Wspinając się na palce, jak mógł najwyżej, dotknął leciutko boku, dłoni i stóp Ukrzyżowanego. I był tak wzruszony, że cały drżał.

Następnego ranka pastuszek chciał wrócić do swojego raj. Braciszek, ten sam co poprzedniego dnia, odprowadził go do kaplicy i pastuszek spędził w niej cały dzień.

*Jasieńku z Paryża,
Pożycz twe trzewiki szare,
Bym zeszedł do raj. – śpiewał półgłosem.*

Wieczorem braciszek znowu przyszedł, żeby go zabrać. Kapucyni dali mu jeść, kiedy sami zasiedli do posiłku, i dostał jak zwykle kromkę chleba z masłem. Chłopiec, bacząc, żeby nikt niczego nie zauważył, owinał masło w liść kapusty, który ze sobą przyniósł, i wsunął do kieszeni.

Spostrzegł to brat zakrystian. Jego cela przylegała do celi dziecka. Poprzedniego wieczoru słyszał, że chłopiec coś mówi, ale nie mógł zrozumieć słów. Bracia postanowili śledzić dziwne dziecko i posłuchać, co też powie, kiedy znajdzie się sam w celi.

Pastuszek, jak tylko został sam, zbliżył się do krzyża. Wspiąwszy się na palce, ostrożnie posmarował rany masłem, które przechował w liściu.

– O biedaczku – mówił, oblizując sobie co jakiś czas palce – tak bym chciał, żebyś mniej cierpiał.

A Ukrzyżowany otworzył nagle drewniane usta i odpowiedział mu:

– Tak, moje dziecko, teraz moje rany bolą znacznie mniej. Wyrzekłeś się dla mnie wieczerzy, za to zapraszam cię na moją ucztę.

Bracia wszystko widzieli i słyszeli. Następnego ranka pastuszek poszedł do ojca przełożonego.

– Człowiek w białej izbie, ten, którego zawiesili na drzewie, powiedział mi: „Zapraszam cię na moją ucztę”.

– Moje dziecko – rzekł stary braciszek – tego wieczoru powiedz Mu, że ja też chciałbym przybyć na Jego ucztę.

Tego wieczoru wszystko przebiegło tak samo jak poprzedniego. Pastuszek starał się jak najlepiej namaścić rany Ukrzyżowanego masłem ze swojego posiłku.

– Pan tego domu – opowiadał Dobremu Bogu – kazał mi powiedzieć, że on też chciałby przyjść na Twoją ucztę.

– Moje dziecko – odparł Ukrzyżowany – powiedz mu, że przyjdzie za osiem dni. Ty zaś już za sześć.

Rzeczywiście po sześciu dniach pastuszek umarł. Ojciec przełożony poszedł w jego ślady dwa dni później.

W raju spotkali Jasieńka z Paryża i wielu innych, jeszcze ważniejszych, a życie w ich towarzystwie było cudowne.

Leggende cristiane, Milano 1963. s. 361-363



Mnich i wieczność

Legenda sycylijska

Pewien człowiek, porzuciwszy marność świata, schronił się do klasztoru. Starał się osiągnąć doskonałość i podawano go za przykład wszystkim mnichom. Ale kiedy był pochłonięty kontemplowaniem Boskiej prawdy, dręczyły go w głębi serca wątplenia i tęsknota za życiem doczesnym.

Pewnego kwietniowego wieczoru usiadł pod drzewem. Piękne barwy zmierzchu i słodki śpiew słowika przykuły jego uwagę i wypełniły duszę szczęściem. Lecz nagle ogarnęło go wątplenie właśnie co do wiecznej szczęśliwości w raju.

– Czy nie będziemy się nudzić? – zastanawiał się. – Kontemplowanie Boga jest rzeczą piękną, zgoda, ale czy nie znużymy się kontemplowaniem Go przez całą wieczność?

Nękany tą myślą i przestraszony jej zuchwałością, zwrócił się do Boga, błagając, by zechciał uwolnić go od tego strapienia. A kiedy modlił się, słuchał jednocześnie kojącego śpiewu słowika.

Ile czasu pozostawał tak pogrążony w modlitwie? Godzinę, dwie? Nie potrafiłby tego powiedzieć. Nagle zdał sobie sprawę, że słońce zaszło i zapanowały ciemności. Wstał i ruszył szybkim krokiem ku klasztorowi, lękając się, że się spóźni.

Lecz kiedy wszedł do refektarza, gdzie bracia zgromadzili się już na wieczerzę, stanął jak wryty, gdyż nie poznał ani jednego z nich. Suknie były takie same, ale zmieniły się twarze.

Także i bracia go nie poznali. Wyszli mu naprzeciw zbici z tropu.

– Kim jesteś? Skąd przybywasz? – pytali.

– Jestem ojcem Bogdanem i należę do tego konwentu – odparł. – Oddaliłem się ledwie na kilka godzin. Lecz powiedzcie raczej, kim jesteście wy? Nie poznaję nikogo. Można by pomyśleć, że wszyscy mnisi zmienili się w ciągu tak krótkiego czasu, ale to zda mi się niemożliwe. Gdzież jest ojciec przełożony?

Braciszkanie nie wiedzieli, co rzec. Patrzyli po sobie i milczeli. Ale nagle jednemu z nich przyszło do głowy odległe wspomnienie.

– Ależ tak – powiedział – niejaki ojciec Bogdan żył w tym klasztorze trzysta lat temu i zniknął w tajemniczy sposób, a nikt nie wiedział, dokąd poszedł dokonać żywota.

Ojciec Bogdan pojawił wtenczas, co się stało. Padł na kolana i błagał Boga o wybaczenie swojego zwątpienia, jakże głupiego i zuchwałego.

Skoro piękne barwy zmierzchu i słodki śpiew ptaka do tego stopnia pochłoneły jego uwagę, że minęło trzysta lat, a on nawet tego nie spostrzegł, jakże mogłoby znużyć go kontemplowanie Boga?

Leggende cristiane, Milano 1963, s. 370-371



Szlifierz w raju

Legenda francuska

Żył sobie niegdyś w Thiers szlifierz nader dzielny w osuszaniu dzbanów i garnców. W tym dziele wszyscy szlifierze są braćmi. Trzeba nie lada odporności, by wytrwać tak godzinami przy polewanym wodą kamieniu szlifierskim, ostrząc i szlifując, gdyż od wody ciągnie chłód, który jest złym kompanem. To prawda, że zwykle szlifierze trzymają na nogach śpiącego psa, lecz cóż po psie, kiedy brzuch nie jest rozgrzany od środka? A co lepiej go rozgrzeje niżli wino? Piją więc wino litrami! Również nasz szlifierz mógłby osuszyć całą krainę Limoges i okolice Saint-Pourçain.

Ale całe to wypite wino nie wybawiło go od śmierci. A ponieważ wino jest złym panem, pijanica nie trafił do raju. Nietrudno sobie wyobrazić, gdzie się znalazł. Nie był mu już potrzebny pies, by go grzał. Ale nawet w piekle znajdował sposób, by zwilżyć sobie gardło, upić się, narozrabiać, przeszkadzać innym i zawracać im głowę.

– Do wszystkich diabłów! – klął diabeł. – Odkąd przybył ten nicpoń szlifierz, ja przestałem się tu liczyć. Przedtem wszystko szło jak po maśle. Panowały porządek i powaga, kuchnia i ogrzewanie działały bez zarzutu. A teraz, co za zamieszanie! Tak dłużej być nie może. Piekło przestało być piekłem!

Lecz nic nie zapowiadało, by zamieszanie miało zmaleć, pomimo diabła i jego rogów. Szlifierze nie tracą upodobania do wina, pohulanek i bijatyki nawet na tamtym świecie. Diabeł nic więc nie wskórał. Pewnego ranka miał już tego całkiem dosyć. Uchylił bramę i wspaniałym rzutem trójzęba uwolnił piekło od szlifierza, jego kamienia szlifierskiego i psa, wyrzucając ich precz.

Mniej więcej w tym samym czasie święty Wilhelm, patron mistrzów brzytwy w Thiers, wędrował z ziemi do raju. Ledwie dotarł na miejsce, dostrzegł, że przydałoby się świętym, by od czasu do czasu ogolili się i podstrzygli włosy.

Poszedł do świętego Piotra i pokrótce wyłożył mu sprawę.

Święty Piotr od razu przyznał mu rację.

– Mnie pierwszemu – oznajmił – dobrze by zrobiło, gdybym doprowadził się do porządku. Proszę cię, święty Wilhelmie, zechciej zająć się moimi włosami.

Usiadł z rękami złożonymi na brzuchu, wysunął podbródek, jak to czynią klienci u fryzjera. Lecz wcale nie oddalił się od bramy. Święty Piotr znał swoje obowiązki i nie chciał ich zaniedbywać. Święty Wilhelm, który przyniósł mydło, brzytwę i miseczkę, zabrał się do dzieła.

Lecz kędzierzawa broda świętego klucznika była twarda jak z drutów. Tak że w jednej chwili nożyczki i brzytwy tępiły się jedne po drugich.

Strapiony święty Wilhelm ruszył w obchód po raju, wypytywał, dowiadywał się o szlifierza, szukał wszędzie, a w końcu wrócił z niczym.

– Cóż – rzekł święty Piotr – obawiam się, że szlifierzy w raju się nie znajdzie, nie widzę ich... Ale poczekaj no... Kilka dni temu widziałem takiego przy bramie, a miał ze sobą kamień szlifierski i nawet psa. Tak, tak, to był szlifierz. Przypominam sobie, że krzyczał: „Brzytwy, noże, nożyczki ostrzę na miejscu!”

Zaraz poszli się rozejrzeć. Szlifierz rzeczywiście stał przy bramie, kręcił kołem i naciskając pedał, rzucał ochryplym głosem swój okrzyk:

– Brzytwy, noże, nożyczki ostrzę na miejscu!

– Szlifierzu, podejdź no tutaj! – rzekł święty Piotr. – Mamy dla ciebie robótkę... Nie, nie wchodź, zaczekaj przy bramie. Przyniesiemy ci wszystko tutaj.

Oddalił się biegiem, a po chwili wrócił z nożyczkami i brzytwami i powierzył je szlifierzowi, zalecając, by wyostrzył je pięknie i odniósł nazajutrz.

Szlifierz obiecał, że będzie punktualny. Na szczęście był czwartek. Gdyby to był poniedziałek, robota potrwałaby o cały dzień dłużej. Nikt jeszcze nie widział szlifierza przy pracy w poniedziałek.

Temu szlifierzowi nie brakowało oleju w głowie. Wykonując zamówienie, ułożył sobie plan. Starannie wszystko przemyślawszy, przetaił brzytwy natłuszczoną szmatką, owinął je w białe płótno i ze swoją paczuszką w ręku podszedł do bramy raj.

Święty Piotr uchylił bramę i wyciągnął rękę, by wziąć paczuszkę, mniemając, że wypłaci się miłym uśmiechem i uprzejmym podziękowaniem. Pomylił się, i to bardzo.

– Kochany święty Piotrze, każda praca winna być wynagrodzona. Nie zamkniesz mi chyba bramy przed nosem, dopóki nie przyznasz mi drobnego wynagrodzenia!

– Właściwie w raju...

– Sam zobacz, czy w Thiers szlifierze pracują za darmo! Mają swoje wymagania, a jakże!

– No tak, ale tutaj musisz zadowolić się tym, żeś sprawił przyjemność świętemu dobrego Pana Boga.

– To wy święci winniście być zadowoleni, że możecie sprawić przyjemność biednemu szlifierzowi. Nie żądam wiele. Pozwól mi tylko wetknąć nos do raju, tylko nos, przez szparę w bramie. Chciałbym zobaczyć, czy znam kogoś z ...

Święty Piotr zaprotestował:

– Nos do raju, do raju świętych! Takich rzeczy nie można nawet mówić! To niemożliwe, zupełnie wykluczone! – I chciał go odesłać z kwitkiem.

Ale szlifierz nie ustępował. Zaczął domagać się wynagrodzenia głośniej. Takie wrzaski mogły wywołać zgorzzenie. A z drugiej strony święty Piotr powiadał sobie w sercu swoim, że biedaczysko ma w końcu prawo do niewielkiego wynagrodzenia.

– Tylko nos – powtarzał swoje szlifierz. – Kiedy ty będziesz oddawał brzytwy i nożyczki świętemu Wilhelmowi, nikt nie zauważy mojego nosa.

– No już dobrze, ale żeby to było ten jeden jedyny raz! Kiedy ja będę zanosił świętemu Wilhelmowi jego narzędzia pracy, ty zerkniesz sobie przez dziurkę od klucza.

– Nie, nie, kochany święty Piotrze, nic z tego. Chcę pochwalić się, że wetknąłem nos do raju.

W końcu, po mnóstwie zapewnień, targów i nalegań święty Piotr, znużony tym wszystkim, uległ prośbie szlifierza.

– Nos, tylko nos. Kiedy już wetkniesz nos do środka, ani kroku dalej.

– Kiedy wetknę nos już do środka, nie będę żądał niczego więcej.

Szlifierz czekał z rękami i nosem przytkniętymi do bramy. Ledwie usłyszał, że się klucz obraca w zamku i odsuwa rygiel, zrobił błyskawicznie w tył zwrot, jednym pchnięciem uchylił bramę i wepchnąwszy się bokiem, znalazł się cały w raju zanim jeszcze wetknął tam nos.

W raju nikt nie ucieka się do przemocy. Nikogo nie wyrzuca się siłą. I szlifierz poczuł się tak dobrze, iż nawet mowy nie było o tym, by poszedł sobie z własnej woli.

Święty Piotr nie mógł sobie tego darować. Święty Wilhelm nie musiał już troszczyć się o podstrzyżenie mu

włosów, gdyż wyrywał je sobie garściami w dzień i w nocy!

Niektórzy święci współczuli mu. Przyszli do portierni i odbyli z nim naradę. Pierwszy zjawił się święty Wilhelm. Powiedział, że wszystko przez niego i że wyrzuca to sobie trzydzieści razy na godzinę. Potem przyszli święty Wiktor, który doskonale zna mieszkańców Thiers, gdyż w tych okolicach mają dla niego wielkie nabożeństwo, a także święty Wincenty, który zna ich bardzo dobrze jako patron winogradników.

– Trzeba by – zaproponował święty Wilhelm – dać mu jakie inne brzytwy i nożyczki do naostrzenia. Pójdzie po kamień szlifierski, który zostawił wszak na zewnątrz.

Spróbowali. Ale szlifierz nie dał się nabrać.

– Powiedziałem mu, żeby poszedł kupić szczyptę tytoniu – westchnął święty Piotr – ale nic z tego.

– Posłuchajcie – oznajmił na koniec święty Wincenty.
– Nie umiecie się zabrać do rzeczy. Nie wiecie, co może podzielać na tego nicponia? Święty Piotrze, zechciej mi otworzyć, wyjdę na chwilę.

Święty Piotr otworzył bramę. Święty Wincenty wyszedł i zaraz zaczął krzyczeć dokładnie jak winogradnik w Thiers po winobraniu:

Wyborne młode wino!

Dwa soldy dzban...

Za cztery soldy

Można pić do woli!

Ledwie szlifierz usłyszał ten okrzyk, stracił całkiem rozeznanie, zapomniał o wszystkim. Pomknął za bramę, myśląc o tym jedynie, żeby wypić dzban, dwa, trzy, ile tylko się znajdzie...

Raj! Piękny jest raj dla szlifierza, lecz zbyt rzadko zdarza się tu wychylić szklaneczkę. Szlifierz miał na-

dzieję, że na zewnątrz trafi mu się coś lepszego. Kto wie, może prawdziwa winnica Pana!

Nie wiemy, czy ją znalazł! Święty Wincenty w każdym razie chciał, by dostał przynajmniej owo młode wino, które obiecał mu krzykiem winogradnik. Ale skoro dostał wino, musiał wyrzec się raju. Zamknięto wszystkie rygle i brama pozostała już dla niego na zawsze zamknięta.

Henri Pourrat

Leggende cristiane, Milano 1963, s. 514-517



Katarzyna grzesznica

Matka Boska staje w niebie przed Jezusem.

– Synu, na mleko, którym Cię wykarmiłam, na łzy, które spłynęły z moich oczu, i na całą krew, którą przełałeś, zbaw tę niewdzięcznicę Katarzynę.

Jezus zasmęcił się i nic nie rzekł.

– Synu, jeśli ona nie chce się zbawić, zastawmy na nią Boże sidła...

– Jestem gotów, Matko, ale jak?

Matka Boska powiedziała coś półgłosem Jezusowi, a potem rzekła głośno w obecności aniołów:

– Synu, wyrwij ją, choćby i wbrew jej woli, ze szponów Kusiciela.

Młody rycerz przechadzał się przed domem Katarzyny to w jedną stronę, to w drugą, jakby na kogoś czekał.

Ta zaś wszeteczniczka, która prawie cały dzień spędzała w oknie, nie omieszkała pokazać się. Młodzieniec spojrzał na nią.

Katarzyna uśmiechnęła się. Była sama w domu. Zeszła i otworzyła.

– Wejdz, piękny rycerzu, jestem sama.

Wszedł, a Katarzyna zamknęła drzwi.

– Jakiś ty piękny! (Ów młodzieniec był doprawdy tak piękny, że w jego urodzie było coś nadludzkiego). Dalej, rycerzu, podaj mi ramię.

Podał jej ramię i poszli po schodach na górę. Weszli do izby. Katarzyna rzecze:

– Daj mi całusa.

Młodzieniec zmieszał się i skłonił głowę.

– Jakże jesteś nieśmiały, rycerzu. Lecz już mnie omotałeś i kocham cię.

Młodzieniec pyta:

– Jak mnie kochasz?

– Tak jak może kochać niewiasta. Czy pragniesz mnie?

On odpowiada:

– Jeszcze nie.

Jednak Katarzyna ciągnie go ku przymkniętym drzwiom...

Młodzieniec idzie za nią w milczeniu. Ale później, kiedy znalazł się w izbie grzesznicy, kładzie się na łóżku i przemienia w Ukrzyżowanego.

Katarzyna wydaje okrzyk i pada na kolana.

– Boże, mój Boże – jęczy – miej litość nade mną.

Jezus stał się jaśniejący jak na górze Tabor.

– Katarzyno, czy miłujesz Mnie?

– Tak, Panie mój.

– Córo, jestem oblubieńcem zazdrosnym. Jeśli Mnie miłujesz, miłuj Mnie ponad wszystko i na wieczność.

Niewiasta odpowiedziała mu obfitymi łzami. Wówczas Pan rzekł:

– Moje stworzenie, bądź zbawiona.

I odszedł, by czekać na nią w swoim królestwie.

Domenico Giuliotti

Leggende cristiane, Milano 1963, s. 403-404



Legenda o śpiewających mnichach

Przed wielu, wielu laty, w głębokich ostępach leśnych żyło bractwo starych, bardzo starych mnichów, tak starych, że niektórzy z nich stali już jedną nogą w przedśionkach nieba. Lecz ich serca pozostały młode i gorące w służbie Bożej, a ich miłość była tak żarliwa, że śpiewane hymny pochwalne i dziękczynne rozbrzmiewały tym donioślej, im bardziej kolejne lata przygniatały ich barki, a głowy pokrywały się siwizną coraz bardziej. Ich radosne śpiewanie słyszać było z daleka i wielu ludzi zastanawiało się ze zdumieniem:

– Z czegoż to cieszą się czcigodni braciszku, przecież wcale nie mają powodu do radości?

Rzeczywiście, było to prawdą, co mówili ludzie. Czcigodni bracia nie posiadali nic z tego, co w ziemski sposób nadaje urok życiu. Mieszkali oni w jaskini położonej w lesie, której popękane szczeliny służyły im za okna, a której jedynym luksusem były drewniane drzwi, postawione przed wyjściem pewnej zimowej nocy przez czyjeś nieznane ręce – może przez anioła? Dał wówczas północny wiatr, zły jak sam diabeł, a w pobliżu słyszać było wycie wilków.

Mnisi podziękowali Bogu za drzwi i cieszyli się, że mają teraz coś, co można będzie otworzyć, kiedy na

przykład ktoś zabłąkany będzie szukał schronienia. Drzwi sprawiały im taką samą radość, jaką sprawiało im wspaniałe słońce, czysta woda, jasny księżyc. Starzy mnisi wyśpiewali swoją wdzięczność hen, w głęboki las. Ponieważ jednak byli tylko ludźmi w sędziwych latach życia, również dźwięk ich głosów pogorszył się, a złemu światu zaczęły przeszkadzać pochwalne pieśni, bo zakłócały jego przyjemności, dostatnie życie i radości.

– Czyż ci braciszkanie nie przestaną wreszcie – zrędzili leniwczy – budzą nas ze snu.

– Tracimy apetyt – uskarżali się żarłocy.

– To brzmi jak żałobne dzwony – mówili złoczyńcy.

– Ten wrzask przenika do szpiku kości – mówili bezbożni.

– Nawet jeśli nie przenika, to jednak fałszują fatalnie, że pożał się Boże – myśleli inni.

I to, niestety, była jedyna prawda w całym tym gadaniu. Wspaniali starzy mnisi fałszowali niemiłosiernie. Z pewnością znajdowali dla siebie dobre usprawiedliwienie. Niektórzy z nich niedosłyszeli i ze strachu, że nie będą mogli dotrzymać kroku innym, wybiegali zawsze o kilka taktów do przodu, inni natomiast po tak wielu latach nie potrafili już określić swego głosu i nie wiedzieli, czy są tenorami, barytonami, czy basami, więc w nadgorliwości śpiewali każdym głosem po trosze. Poza tym był jeszcze jeden kochany braciszek, który wydobywał z gardła tylko jeden głęboki ton i z entuzjazmem wkładał weń wszystko, co tylko potrafił.

– Czcigodny brat Laurenty brzęczy jak bąk – uskarżał się już od dawna słowik w lesie.

– A brat Bonifacy nie ma za grosz słuchu – gwizdał kos.

– To zawodzenie – zgrywał ważniaka gil.

A ptaki, do których niegdyś przemawiał święty Franciszek, ukrywały swoje łebki pod skrzydełkami, żeby nie

słuchać rozbrzmiewających głęboko w lesie śpiewów na chwałę Bożą.

Szybko mnisi zrozumieli wymowne milczenie ptaków. Dotknęło ich ono głębiej niż głośnie wymówki ludzkie. Mimo to z całą pokorą nie przestawali chwalić Boga za pomocą tych skromnych środków, jakie mieli do dyspozycji.

Przyszło Boże Narodzenie. Cały las wyglądał jak jedna biała kaplica, w której zimowe słońce wyczarowało jasne iskierki świec na zwisających soplach lodu. W ów wigilijny wieczór bracia modlili się do późna w noc, a kiedy powstali, by rozpocząć śpiewanie, ktoś zastukał do drzwi.

– Proszę wejść! – zawołali bracia chórem i otworzyli drzwi. Na progu stał młody mężczyzna i na wpół zeszywniały z zimna prosił o chleb i schronienie. Braciszkanie przyjęli go tak, jak gdyby podejmowali posłańca Bożego.

Młodzieniec przyjął, czym go częstowano, jadł, co było w miarę jadalne i dziękował za uratowanie mu życia. Opowiadał, jak to on, młody śpiewak, musiał uciekać w ciemną, mroźną noc z książęcego dworu, aby ująć przed prześladowaniami wrogów, którzy mu zazdrościli przychylności księcia.

– Śpiewak, prawdziwy śpiewak wśród nas – cieszyli się dobrzy bracia.

– To będzie dopiero pasterka! – radował się brat Laurenty. – Wszyscy będą musieli słuchać.

Tak też się stało. Śpiewak śpiewał tak, jak jeszcze nigdy nie śpiewano w tym lesie, tak wspaniale, że łąki, pola i wieś zamieniły się w słuch. Żaden z braci nie otworzył ust tego wieczora. W głębokim skupieniu poskładali ręce, a łzy wzruszenia spływały im po pomarszczonych twarzach.

Niebo też musiało się tej nocy bardzo do nich przybliżyć, by móc wsłuchać się w ten wspaniały śpiew w noc Bożego Narodzenia. Z całego serca mnisi pobłogosławili

młodego śpiewaka, a ten tak się tym wzruszył, że postanowił zostać jeszcze jeden dzień i pójść wraz z nimi do kaplicy we wsi.

Jeszcze się nie rozwidniało, kiedy wyruszyli na poranną Mszę, a z ciemności wyłaniały się jak zjawy jeszcze ciemniejsze postacie chłopów, którzy zdążali ze swoich wsi do kaplicy.

Kiedy zakonnicy chcieli otworzyć drzwi do kaplicy, twarze ich oświetliło jasne jak błyskawica światło. Było ono tak jaskrawe, że w pierwszej chwili musieli zamknąć oczy. W jasnej glorii stanął przed nimi anioł i kiedy wreszcie mogli już patrzeć, zauważyli, że spoglądał na nich bardzo smutnym wzrokiem.

– Co się stało z czcigodnymi braćmi – zapytał łagodnie – że w noc Bożego Narodzenia musieliśmy obyć się bez ich wspaniałego śpiewu?

Wielki, promienisty anioł kilkakrotnie musiał powtarzać swoje pytanie, zanim bracia zrozumieli, że odnosi się ono do nich.

– My i wspaniały śpiew! Bracie Niebieski, przepraszamy, ale to chyba nie o nas chodzi? My fałszujemy, jak powszechnie wiadomo – odpowiedzieli mu zgodnym chórem.

– Ja przecież jestem bakiem – poskarżył się brat Laurenty.

– A ja nie mam słuchu – powiedział brat Bonifacy.

– Mnie głos zawsze ucieka – westchnął trzeci.

Anioł potrząsnął głową.

– My tam, na górze, słyszymy tylko wspaniały hymn pochwalny, pochodzący z głębi waszych serc, a wczorajszego błogosławionego wieczoru byliśmy go pozbawieni.

– Za nas śpiewał śpiewak obdarzony wielkim talentem. Czy nie słyszać było jego wspaniałego głosu?

– Nie – powiedział z namysłem anioł – nawet najpiękniejszy głos nie może do nas dotrzeć, jeśli nie potrafi

zapomnieć o sobie i jeśli nie będzie natchniony miłością Bożą.

Anioł znikł, wszyscy uklękli na progu kaplicy, a śpiewak, który nic nie widział i nie słyszał, lecz zauważył przerażenie mnichów, a potem ich adorację, poprosił, aby mu opowiedzieli, co się wydarzyło, i spuścił głowę.

– Módlcie się za mnie, wielbni bracia, aby pewnego dnia również i mój głos był godzien znaleźć drogę do nieba – poprosił z powagą. Powiedziawszy to, odszedł w samotność, aby służyć tylko Bogu, w pokorze i miłości.

Natomiast śpiewający mnisi aż do śmierci wyśpiewywali swoje hymny wielbiące Boga. Ostatni z nich, brat Laurenty, śpiewał jeszcze na łożu śmierci swoim pięknym, jednym tonem:

– Pochwalony niech będzie Pan, który łaskawie pochyla się nad każdą pieśnią płynącą z czystego serca i z dobrej woli. Amen.

Helene Haluschka

*Stiller Weihnacht. Weihnachtserzählungen und Gedichte
Österreichischer Autoren, A-Steyer 1962, s. 89-92*



Chłopek w raju

Legenda niemiecka

Pewnego razu jeden wieśniak, człek zacny i pobożny, umarł i znalazł się u bramy raju. Wraz z nim przybył taki, który za życia był możliwym panem, a teraz zastukał, by wejść do królestwa niebieskiego.

Przybył święty Piotr brzęcząc kluczami, otworzył bramę i wpuścił bogacza. Chłopa nie spostrzegł. Zamknął bramę i poszedł.

Stojący przed zamkniętą bramą chłopina usłyszał wówczas jak uroczyście i ze śpiewem przyjmują do raju bogacza. Potem wszystko ucichło, a święty Piotr wrócił przypadkiem, otworzył bramę i przepraszając, wprowadził też chłopinę.

Chłopina wchodząc, oczekiwał, że i dla niego zagra muzyka i rozlegną się śpiewy, ale przywitała go głęboka cisza. Co prawda wyszli mu naprzeciwko aniołowie, powitali go z miłością, ale nikt nie myślał śpiewać. Wówczas chłopina zebrał się na odwagę i zapytał świętego Piotra, czemu dla niego nikt nie śpiewa, jak dla owego bogatego pana. Wydawało mu się, że w raju jest stronniczość, podobnie jak na ziemi.

– Nie, jesteś nam równie drogi, jak wszyscy inni, i radował się będziesz rozkoszami niebios tak samo jak

bogacz, ni mniej, ni więcej! – odpowiedział mu święty Piotr. – Lecz widzisz, biednych chłopków jak ty przybywa do raju codziennie wielu. Bogacz jak ten trafia tu raz na sto lat!

Leggende cristiane, Milano 1963, s. 360



Kiedy Twardowski bawił w Wielkopolsce

Któregoś jesiennego wieczoru znalazł się pan Twardowski koło Kowalewa w powiecie gnieźnieńskim, na drodze do Rogowa.

Jaśko szczelnie zawinięty w grubą opończę drzemał na koźle. Od czasu tylko do czasu podnosił senne powieki. Przez chwilę patrzył na ociekające wodą grzbiety i miarowo kołyszące się głowy koni, zmęczonych długą podróżą. Wołał:

– Wio, maluśkie!...

I znów zapadał w drzemkę.

Pan Twardowski nie spał. Wstrętne pogoda, rozmokła, błotnista droga, wielogodzinna jazda i zmęczenie dawały się mu mocno we znaki. A tu noc zbliżała się szybko i do kresu podróży było jeszcze bardzo daleko.

Późnym wieczorem wjechali do jakiejś wsi. Po zagrodach psy zanosły się głośnym szczekaniem. Ale tylko w nielicznych oknach migotało światło łuczyw.

Twardowski wychylił się przez okno karocy.

– Hej tam, Jaśko. A co to za wieś?

– Nie wiem, wasza wielmożność. Nic wszakże wielkiego. Kilkanaście chat dość nędznych... i karczma.

– Karczma, mówisz... – ucieszył się pan Twardowski.
– To dobrze. Na dzisiaj dosyć mam już jazdy. Wszystkie kości mnie bolą. Zatrzymujemy się tu na noc. Zajeżdżaj...

Karczma była stara i nieduża. Stało przed nią kilka kolasek. W izbie gościnnej ogień jasno płonął na kominie. Za stołem nad wysokimi kuflami siedziało kilku szlachciców.

Ledwo wszedł, a już گیا się przed nim w ukłonie karczmarz.

– Kwaterę i coś do zjedzenia, dla mnie i mego człowieka – rzekł mu w przejściu, zbliżając się do stołu. – Witam waszmościów – mówił do szlachty patrzącej na niego ciekawie.

– Witamy! Witamy! Prosimy do kompanii...

– Twardowski sum.

Podnieśli się z miejsc. A z kąta przy kominie poderwał się mały czarny człowieczek z cudzoziemska ubrany. Stał przed Twardowskim, ramiona roztworzył:

– Góra z górą się nie zejdzie...

Pan Twardowski oczom własnym nie wierzył. A ten tu skąd?! Śmierci by raczej się spodziewał niż takiego spotkania. Cofnął się, ręki uchylając, ale po chwili opanował się i skłonił głowę z godnością.

– Witam, witam mospana – rzekł łaskawie.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, o coś się zapytać, ale już szlachta podchodziła do niego, dłonie wyciągając na powitanie.

– Niech waszmość pan siada – rzekł najstarszy z nich po wzajemnej prezentacji. – I zanim Kasprowa coś gorącego poda, dobrego piwka się napijemy. Siadajcie, panie bracie. Zjecie, wypijecie i gadek krotchwilnych posłuchacie, którymi waszmości znajomek sypie jak z rękawa. Bywały to człowiek. Widać z niejednego pieca chleb jadł, a do fraszek zmyślny jak rzadko który...

Zajął miejsce za stołem pan Twardowski, w podanym mu kuflu wasy umoczył, potężny łyk piwa pociągnął. I kufel odstawiając, do czarnego człowieka się zwrócił.

Ten nic nie mówił, ręce tylko zacierał i uśmiechał się pod długim haczykowatym nosem.

– A ciebie, mój... miły, cóż tu sprowadza? – spytał.

– Wiadomo, waszmości osoba...

– Moja osoba? – zdziwił się mistrz.

– A któżby inny? – odpowiedział człowieczek. – Umówiliśmy się przecież...

– Umówili?

Zdziwienie pana Twardowskiego było coraz większe.

– Cóż to? Nie pamiętasz pan, panie Twardowski, że w umowie, którąś...

Twardowski parsknął głośnym śmiechem.

– Ach, o tym mówisz?! Zapomniałeś, widzę, że umawialiśmy się gdzie indziej...

– Jak to?

– Nie pamiętasz, muszę zatem ci przypomnieć... W Rzymie, mój miły, w Rzymie...

– No, właśnie...

Szlachta przysłuchiwała się tej rozmowie z widoczną ciekawością.

– No, właśnie – powtórzył jegomość z grzecznym uśmiechem. – Jesteśmy przecież w Rzymie. A więc...

Twardowski przypatrzył mu się uważnie.

– Kpisz, czy o drogę pytasz?

Człowieczek wzruszył ramionami. Twardowski zwrócił się do sąsiada.

– Co on plecie? Upił się czy co?

– Nie jestem pijany, panie Twardowski! Ta wieś Rzym się nazywa.

Twardowski zerwał się z ławy. Za szablę chwycił. Przerażony wzrokiem wodził dokoła.

– Łziesz! Łziesz jak pies!

Czarny wargi wydał wzgardliwie. Na szlachtę wskazał.

– Ich zapytaj, jeśli nie wierzysz...

– Prawdę mówi – zaczął jeden z nich – ta wieś Rzym się nazywa...

Twardowski nie słuchał dłużej. Do karczmarza przypadł. Za kurtkę na piersi schwycił. I gniewem wykrzywioną twarz do pobladłej twarzy karczmarza zbliżył.

– Ty mów, a nie łżyj, bo... Co to za wieś?

– Dlaczego miałbym łżeć? Toć wszyscy wiedzą... Rzym... do pana Kołdrąbskiego należący...

Nie skończył. Przez Twardowskiego pchnięty na stół się zatoczył i ramieniem kilka szklanic zrzucił na podłogę. Brzęk tłuczonego szkła karczmarkę z kuchni wywabił. Na widok męża leżącego na ziemi z krzykiem do niego przypadła. Pan Twardowski szablę z pochwy wyszarpnął.

– Nie zbliżaj się do mnie! Żywym mnie nie weźmiesz! Czarny ramionami znów wzruszył.

– Szablę schowaj, panie Twardowski, i nie rób tumultu. Co ci ten człowiek zawinił? W sobie winy szukaj, nie w nim. Nikt ci tu krzywdy czynić nie chce. Umowę zawarłeś dobrowolnie. Ja o zawarcie jej nie zabiegałem. Profit z niej miałeś... przez lata... niezły... Ja cierpliwie czekałem... Wierzyłem szlacheckiemu słowu, chociaż czasem... Kiedyś jednak tu wszedł, byłem – przyznaję – mocno zdziwiony. Pomyślałem: jest jednak uczciwość w tym człowieku. Prawy to szlachcic. Słowa danego dotrzymuje...

– Panowie, opuszczacie nas? – zwrócił się do szlachty, pośpiesznie opuszczającej izbę.

Nie odpowiedzieli. Pieniądz rzucali na stół i bez pożegnania znikali za drzwiami. W kilka chwil potem ani jednej kolaski nie było przed karczmą.

Twardowski szablę wypuścił z dłoni. Opadł na ławę. Zgarbił się. Głowę w ramiona wcisnął. Brodę oparł o gardę drogimi kamieniami wysadzanej szabli. W płomień na kominku błyskający patrzył.

– Mnie się nie spieszy – ciągnął czarny. – Czekałem tyle lat, mogę poczekać jeszcze kilka godzin. Po nocy

jeździć nie będziemy. Prześpij się. Zjedz. Droga przed nami daleka. Nieprędko będziemy w domu...

Twardowski milczał czas jakiś. Wreszcie głowę podniósł. Wyprostował się. Wąsa podkręcił. Uśmiech na twarzy przywołał.

– No, cóż robić? Trzeba – widzę – umowy dotrzymać. Pomyślałeś, żem prawy szlachcic? Nie myliłeś się. Znalazłem się w Rzymie... Jestem do twojej dyspozycji...

Masz jednak rację, trzeba przed tak daleką podróżą dobrze się najeść i wyspać. Zmordowany jestem setnie. I głodny także...

Karczmarz, udobruchany garścią talarów, stół godnie zastawił, wygodny nocleg w alkierzu przygotował.

Po kolacji – niedługo przed północą – rozeszli się na spoczynek. Pan Twardowski – do alkierza. Czarny na ławie kilimkiem zasłanej koło komina się wyciągnął. Płaszcz naciągnął na uszy. A Jaśko – coś mu tam pan Twardowski przed rozstaniem do ucha szepnął – do stajni poszedł na siano.

W ciszy, która zapadła w izbie, słyszeć tylko było cichy trzask polan płonących na kominie. Ale i one wreszcie przygasły, żarząc się w ciemnościach. A za oknami monotonnie szumiał deszcz.

Dobrze już po północy drzwi do alkierza uchyliły się nieco i jakaś postać wsunęła się do izby. Przystanęła nadśłuchując przez chwilę. Przesunęła się bezszelestnie przez izbę. Cicho pisnęły drzwi wejściowe, uchyliły i zamknęły się natychmiast.

Nad ranem deszcz ustał i kiedy wyblakłe jesienne słońce wynurzyło się zza lasu, czarny człowieczek podniósł się z ławy. Otrzeptał starannie swe kuse szatki. Ziewnął szeroko. Przeszedł po izbie. Pod alkierz podsunął. I nagle uchylone drzwi pchnął silnie. Spojrzał i do łóżka przyskoczył. Pod pierzyną nie było nikogo.

Wybiegł przed karczmę, zajrzał do stajni. I karocy, i koni pana Twardowskiego nie było. Tylko czarny jak smoła rumak przeciągłym rzeniem powitał swego pana. Czarny nie zwracał jednak uwagi na powitanie. Do karczmy wpadł z krzykiem:

– Gdzie ten szlachcic!?

Karczmarz krzątający się koło komina popatrzył na niego zdziwiony.

– Gdzież ma być? W alkierzu. Śpi po podróży...

– Śpi! Dawno go nie ma...

Zajrzał do alkierza karczmarz, zajrzała karczmarka.

Czarny wypadł z karczmy. I w kilkanaście minut później pędził przez wieś, że tylko błoto bryzgało na wszystkie strony, a przerażone psy szarpały się na łańcuchach i ludzie żegnali się znakiem krzyża...

Tymczasem pan Twardowski z Jaśkiem oddalili się od karczmy dobry szmat drogi. Rwali na północ, jak najdalej od Rzymu i czarnego.

Minęli uśpiony Janowiec, a potem Wągrowiec. Dobrze już po wschodzie słońca przejechali przez Margonin. Cwałem przemknęli przez Szamocin i rzucili się w stronę ciemniejących w dali lasów nadnoteckich. Gdzieś pod Atanazynem dobiegł ich tętent końskich kopyt.

Jaśko odwrócił się na koźle. Spojrzał, skurczył i gwizdnął przeciągle.

Twardowski wychylił się z okna. Spojrzał wstecz.

– Gnaj, co koń wyskoczy! Bata nie żałuj. Prędej! Prędej! Bo zginiemy...

Nie trzeba było zachęty Jaśkowi. Konie pomknęły jak strzała, brzuchami szorując po ziemi. Karoca fruwała niemal w powietrzu. Ale czarny jeździec był coraz bliżej i bliżej. Na rozstajach dopadał już karocy...

I nagle koń czarnego stanął jak wryty, aż jeździec twarzą zarył w końską grzywę. Ale Jaśko przerażony bliskością piekielnego prześladowcy szarpnął niezręcznie

lejcami. Konie skrzyły w miejscu. Karoca wypadła z kolein, uderzając tylnym kołem o krzyż przydrożny.

– Przekleństwo! – krzyknął pan Twardowski, wylatując przez otwarte drzwi karocy. W tej samej chwili Jaśko wielkim łukiem spadł z kozła. Pękły rzemienie uprząży i uwolnione konie pognały w pole.

Gdy oszołomiony upadkiem Jaśko podnosił się z ziemi, już ich nie było nigdzie widać. Ze skurczonym tylko w przerażeniu sercem ujrzał unoszącego się ku górze czarnego jeźdźca na czarnym jak smoła rumaku – z przezuconym przez siodło mistrzem Twardowskim.

A dookoła powstał wicher tak straszny i takie chmury kruków i wron napełniały powietrze przeraźliwym krakaniem, że Jaśko przypadł do pochylonego uderzeniem karocy krzyża i objął go ramionami.

– Krzyżu święty, ty mnie chroń, ty mnie broń, ty mnie od wszystkiego złego racz osłaniać... – wołał. I Zdrowaśki mówił jedna za drugą.

A gdy po dłuższej chwili – ucichł w powietrzu jazgot wroni – podniósł się z klęczek, oczom własnym nie wierzył. Karoca pana Twardowskiego, którą tyle lat w służbie u niego kierował, w ziemię do połowy się zapadła i w kamień zmieniła...

Jeśli znajdziecie się w Atanazynie – pod Szamocinem w powiecie chodzieskim, popytajcie ludzi, to pokażą wam na rozstajach skamieniałą karocę pana Twardowskiego, czy w Rzymie pod Rogowem stoi dziś jeszcze karczma, w której pan Twardowski spotkał się z czarnym wysłańcem piekieł, nie wiem. Nigdy w tej wsi nie byłem. Może sami sprawdzicie? Może we wsi pamiętają jeszcze tę historię? Przed laty było o niej tam głośno...

Adam Dubowski

Nie taki diabeł straszny, jak go malują

Był człowiek, który zazdrościł aż do nienawiści bogactwa i powodzenia innym ludziom. Marzył tylko o jednym: o tym, żeby być bogatym, mieć wszystko. Tak jak sobie postanowił, tak to i realizował. Powoli dochodził do pieniędzy, ale zyskiwał je na drodze niehumanitarnej. Cokolwiek robił, robił tylko pod tym warunkiem, jeżeli mu się to opłacało, inaczej nie podejmował żadnego kroku. Oszczędzał, zbierał, kombinował, zagarniał. Wszystko było w jego życiu interesowne. Notował skrupulatnie nawet najmniejsze należności, jakie ludzie byli mu winni. Żądał wynagrodzenia za wszystko. Wymagał, aby mu płacono od razu, natychmiast, albo zgadzał się na późniejszy termin, ale doliczał wysokie procenty. Jego zasadą było: „nic za darmo, wszystko za pieniądze”, „dostaniesz, jak zapłacisz”. To nie znaczy, żeby nie dawał prezentów. Dawał i to nieraz wielkie prezenty, jeżeli tylko wiedział, że człowiek, któremu daje, może mu się przydać, że będzie mu kiedyś potrzebny. Wielkość prezentu była zawsze mierzona wielkością przysługi, jakiej potrzebował. Dla swoich pracowników był bezlitosny, nie zezwalał na żaden odpoczynek, żądał od nich maksymalnego wysiłku. Nie przepuszczał najmniejszego nawet uchybienia. Karał surowo. Podwładni bali się go. Równocześnie dla tych, od

których zależało jego powodzenie, którzy mogli dla niego coś załatwić, był niesłychanie usługny, uprzejmy aż do przesady, wciąż gotów spełniać wszystkie, najbardziej wyszukane ich żądania. Rozpływał się cały w uśmiechach, serdecznościach dotąd, dopóki byli mu potrzebni. Gdy okazywali się bezskuteczni, odtrącał ich, zapominał, nie widział.

Przez ludzi nie był lubiany. Podśmiewano się z niego. Gardzono nim, a nawet nienawidzono. Nie miał przyjaciół. Zresztą nie chciał mieć przyjaciela, bo bał się, że to może kosztować, że będą wydatki, że będzie musiało być coś za darmo.

Był tylko chyba jeden człowiek na świecie, który Twardowskiego kochał. Było to dziecko. Córeczka ogrodnika mieszkającego w tym domu. Właściwie nie córka, ale podrzutek, znajda, którą przed paru laty znalazł ogrodnik przed bramą wejściową. Czyje to było dziecko, nikt nie wiedział. Żona ogrodnika nie była zachwycona, gdy przyniósł je do domu, bo miała własne dzieci. Początkowo nawet chciała kogoś namówić, aby sobie dziecko wziął. Ale nikt się do tego nie kwapił i tak w końcu zostało w jej domu. Ale nie miała do niego serca. To małe dziecko uwielbiało Twardowskiego. Trudno zrozumieć dlaczego, właściwie bez powodu. Jedyna przysługa, jaką on jej wyświadczał, to był spacer, na który brał ją od czasu do czasu. Po prostu wtedy, gdy był zmęczony, a nie chciał pozostawać w samotności, schodził na dół i brał dziecko na spacer, szedł z nim do parku albo nad rzekę. Wracał do domu wypoczęty i odświeżony. Dziecko było dla niego praktyczniejsze niż pies, wygodniejsze i bardziej interesujące, ponieważ można było z nim porozmawiać. Te spacerki traktował również jako element reklamy. To zawsze robiło dobre wrażenie na jego znajomych, zwłaszcza na starszych paniach. Wzruszający obrazek: przystojny, starszy pan, znany bogacz, prowadzący za rękę na spacer

sierotę. Twardowski nie przywiązywał do tego dziecka żadnego znaczenia, nie darzył go żadnym uczuciem, nawet go nie zaprosił nigdy do siebie. Nie zdawał sobie sprawy, że to dziecko bardzo go kochało, a może tylko nie liczył się z tym.

Myślał wciąż wyłącznie o jednym, w jaki sposób najszybciej wzbogacić się. Ktoś mu wreszcie poradził, by – jeżeli chce mieć dużo pieniędzy – zapisał swoją duszę szatanowi. Czy to powiedział żartem, czy poważnie, trudno dociec. Twardowski pytał ludzi – trochę żartem, trochę naprawdę – gdzie można spotkać szatana. Znowu ktoś doradził, że najłatwiej może znaleźć szatana w wieży zegarowej starego zamku. W tej wieży kiedyś bandyci – jak głosiło podanie – powiesili na belce właściciela zamku, starego sknerę, za to, że nie chciał im wydać ukrytych pieniędzy.

– Tylko – mówiono mu – trzeba tam znaleźć się o dwunastej w nocy, dokładnie w chwili, gdy zegar bije północ.

Nikomu nic nie mówiąc, poszedł na zamek w oznaczonym dniu tuż przed północą. Była ciemna noc, nie świecił nawet księżyc ani żadna gwiazda, ciężkie chmury nisko wisiały nad ziemią, zakrywały całe niebo. Ruiny zamku były niewidoczne w tych ciemnościach. Z trudem znalazł basztę zamkową, pchnął ciężkie drzwi i zapalił latarnię. Rozejrzał się. Wewnątrz zobaczył pełno jakichś starych przykurzonych gratów, z boku przylepione do ściany czerniały schody. Ostrożnie, trzymając się poręczy, wspinał się na górę. Schody głośno skrzypiały, zbutwiałe poręcze chwiały się. Miał wrażenie, że lada chwila schody się zwałą. Wreszcie wyszedł na piętro. Znalazł się w obszernej sali. Na środku stał ciężki stół, pod ścianami drewniane ławy. Opodal schodów zauważył starą szafę. W jej drzwiach było umocowane lustro, zajmujące całą wielkość drzwi. Postawił latarnię na stole. Było cicho,

tylko wiatr świstał w szparach i trzeszczały wiązania dachowe.

Chociaż uważał się za odważnego człowieka, coraz bardziej bał się tego spotkania, którego przecież sam chciał. Jaki jest szatan? Jak wygląda ten, który jest samym złem? Czekał niecierpliwie aż nadejdzie północ. Rozglądał się. Wszędzie było pełno starych pajęczyn, pod sufitem wisiały uczone u belki nietoperze. Wreszcie przyszła godzina dwunasta. Zegar zaczął skrzypieć, warczeć, zgrzytać, potem padło pierwsze uderzenie, drugie, trzecie. Liczył niecierpliwie. Uderzenia były potężne. Zdawało mu się, że huk dzwonu rozsadzi mu czaszkę. Doczekać się nie mógł końca. Wreszcie przyszło ostatnie uderzenie. I wtedy, gdy spodziewał się, że nastanie wreszcie upragniona cisza, w okno wtargnął poryw wiatru, otworzył je z trzaskiem. Zgasło światło latarni. Wiatr nappełnił izbę szumem i wyciem. Wszystko zdawało się wirować. Przelatywały chmary kruków, wron, kotłowały się nietoperze. Miał wrażenie, że jeszcze chwila i runie stara wieża. Wreszcie zawierucha, która tak nagle wybuchła, uciszyła się. W tej dzwoniącej w uszach ciszy przerażony Twardowski drżącymi rękami odszukał po omacku latarnię, zapalił ją i zaczął rozglądać się po sali. Zdawało mu się, że jest inaczej niż było, że coś tu się zmieniło, że ten szalejący wiatr coś tu poprzestawiał. Popatrzył wokoło. Wszystko było jak dawniej. Tak samo jak poprzednio na środku stał stół, pod ścianami stare, zakurzone ławy, nad głową wiszące nietoperze. Ale jednak coś się zmieniło. Zamknięte dotąd drzwi lustrzane odchyliły się. W lustrze zobaczył jakiegoś człowieka, który stał spokojnie i przyglądał się mu.

Uderzyło go to, że ten człowiek miał wzrost prawie identyczny jak jego własny i podobną sylwetkę. Twardowski spoglądał na niego, wciąż nie wiedząc, kto to może

być, skąd on się tutaj wziął. Nagle przyszło mu do głowy, że to jest chyba ten, którego oczekuje. Tylko czy to jest możliwe, żeby szatan był w takiej postaci, tak normalnie ubrany, tak normalnie wyglądający. W odpowiedzi na to, co myślał, usłyszał:

– Nie taki diabeł straszny, jak go malują.

Ale wciąż jeszcze nie był pewny. Wziął więc lampę ze stołu, podszedł do tego dziwnego nieznajomego stojącego w lustrze szafy. Wtedy dopiero spostrzegł z przerażeniem, że ten nieznajomy jest nim samym.

– Przecież to jest moja twarz, moje oczy, mój nos, moje wargi. Może tylko wargi bardziej zacięte, oczy bardziej drapieżne, ostrzejsze zmarszczki przy ustach – tak jak gdyby moja twarz, ale o dziesięć lat starsza.

Patrzył jak urzeczony w nieznajomego:

– Czy ja śnię, czy ja nie zwariowałem?

Ażeby przerwać tę męczącą dla siebie sytuację, zgodnie z tym, jak sobie ułożył, zaczął mówić, że potrzebuje pieniędzy i że jest gotów podpisać cyrograf.

– Cyrograf? – zdziwił się tamten. – Żartujesz chyba. To kiedyś opowiadano dzieciom takie bajeczki. Ale to nie te czasy. Zapisywać duszę? Nie trzeba zapisywać.

– No dobrze, ale co mam ci dać za pieniądze, za bogactwo, którego chcę od ciebie?

– Nic. Nic mi nie musisz dawać.

– Co mam robić?

– Rób to, co robisz. Wtedy będziesz miał dużo pieniędzy.

– I co dalej? – pytał nieznajomego. Nie wiedział, jakie jeszcze mógłby postawić pytanie, a nie chciał kończyć rozmowy.

Ale nieznajomy nie odpowiedział ani słowa. Wobec tego trzeba było odejść. Jeszcze raz spojrzał na niego niedowierzająco, odwrócił się i zszedł na dół po schodach.

Wrócił cały roztrzęsiony do siebie do domu, wciąż nie wierząc, czy to była rzeczywistość, czy tylko złuda.

– No i stąd mam teraz tyle pieniędzy – kończył ze śmiechem opowiadanie. – Jak jesteście ciekawi, czy mówię prawdę, czy też nie – dodawał słuchaczom – spróbujcie tam iść do niego tak jak ja, może go też spotkacie.

Czy to, co opowiadał swoim znajomym, było naprawdę, czy też tylko zmyślał, nikt nie wiedział. Fakt był jeden bezsporny: Twardowski miał coraz więcej pieniędzy, powodziło mu się znakomicie i coraz lepiej.

Płynęły lata. Twardowski przebudował dom, zappełnił go świetnymi, bogatymi meblami, starymi obrazami, miał szerokie kontakty z ludźmi, tak w mieście swoim, jak w swoim kraju, a nawet za granicą. Zdarzyło się razu pewnego, że wydał wielkie przyjęcie. Chętnie tego nigdy nie robił, bo zawsze żałował pieniędzy na niepotrzebne wydatki. Ale, jak i zawsze, było ono całkiem nieprzypadkowe. Chodziło o załatwienie paru ważnych interesów. Gości zaprosił mnóstwo, mnóstwo też ludzi przyszło. Stoły obficie zastawiono. Były do dyspozycji najlepsze potrawy, wina, przysmaki, świetna służba, znakomita orkiestra. Wszystko toczyło się zgodnie z planem. Gdzieś około północy udało się Twardowskiemu sfinalizować wszystkie swoje ważne sprawy. Podochocony sukcesami wznosił toasty i sam też spełniał toasty, które wznosili jego współpartnerzy. W pewnym momencie poczuł, że przeholował, że za dużo wypił. Nie lubił tego nigdy, bo wiedział, że zawsze wtedy istnieje niebezpieczeństwo popełnienia jakiegoś nieodwracalnego głupstwa. Zdobył się jeszcze na ten jeden wysiłek, wiedząc, że za moment może być za późno: wyszedł z salonów. Chciał znaleźć jakieś bardzo ustronne miejsce, gdzie nikt mu nie będzie przeszkadzał. Wszedł do swojej garderoby. Nie było tam nikogo. Panował

półmrok. Usiadł w fotelu. Naprzeciw na ścianie wisiało ogromne lustro. Nie zapalał światła, żeby lepiej wypocząć. Ogarnęła go cisza, chłód. Chciał szybko wytrzeźwieć. Rozsiadł się wygodnie, przymknął oczy. Dopiero teraz poczuł, jak wino szumi mu w głowie. Rozmarzył się. Czuł się szczęśliwy. Był bogaty i wiedział, że będzie coraz bardziej bogaty. Miał już wszystko, co chciał, a jeszcze na dodatek miał salony pełne gości i uznanie ludzkie. Po chwili otworzył oczy, bo zdawało mu się, że ktoś jest w pokoju. Faktycznie, naprzeciw niego siedział w fotelu szatan. Był podobny do niego, tak jak wtedy, gdy go spotkał w baszcie na zamku. Miał na sobie wieczorowe ubranie takie jak Twardowski, tylko jego włosy były trochę rozwiane, wzrok przymglony. Chwilę wpatrywali się w siebie: on siedzący w fotelu i tamten w lustrze. Wreszcie rzekł z uśmiechem do szatana:

– No i spełniły się twoje słowa: jestem bogaty. Nie tylko jestem bogaty, ale potrafię robić takie wystawne przyjęcia, jak dzisiaj, na które kogokolwiek bym zaprosił, każdy przyjdzie.

Szatan milczał, jakby nie miał mu nic do powiedzenia. Jakby przyszedł po to tylko, aby odpoczywać wraz z nim.

Nagle przyszło Twardowskiemu do głowy, żeby wykorzystać to spotkanie i spytać o swoją przyszłość.

– A co będzie ze mną dalej, możesz mi powiedzieć?

Szatan dał mu wymijającą odpowiedź:

– Jeżeli będziesz tak postępował dalej, jak postępujesz dotąd, będziesz jeszcze bogatszy.

– Nie. Nie wykręcaj się. Wiesz, o co cię pytam. Powiedz konkretnie, jak będzie wyglądało dalsze moje życie. Co ważnego jeszcze mnie w życiu spotka?

Szatan chwilę milczał, a potem odpowiedział:

– Nikomu nie wolno mi zdradzać przyszłości, jaka go czeka.

– Ale mnie? Dlaczego miałbyś mnie nie zdradzić mojej przyszłości? Myślisz, że mogę się zmienić? Myślisz, że mogę zmienić swoje życie, może mój majątek rozdać ubogim?

Zaczęli śmiać się równocześnie. Śmiali się długo, wreszcie szatan wysapał:

– Nie. Nie wierzę. Nie wyobrażam sobie ciebie rozdającego ubogim pieniądze.

– Wobec tego powiedz.

Szatan najwyraźniej jeszcze się wahał. Aż wreszcie przystał:

– Dobrze. Dzisiaj jestem trochę pijany, to mogę ci powiedzieć: ożenisz się.

– Ja, z kim?

– Z najbogatszą kobietą w mieście.

– Która z kobiet w naszym mieście jest najbogatsza? Doprawdy nie wiem.

– Nie szukaj wśród panien. – Szatan naprowadzał go na trafną odpowiedź. – Zresztą, chcesz ją zobaczyć?

– Proszę bardzo.

Szatan zniknął, a na jego miejsce w lustrze pojawiła się kobieta. Znał ją dobrze. To była żona najbogatszego bankiera w mieście.

– Przecież ona jest mężatką – powiedział Twardowski nie bardzo wiedzący, czy go szatan słyszy. Padła odpowiedź:

– Ale będzie twoją żoną.

– A co z mężem? – zdziwił się Twardowski.

– Umrze.

W Twardowskim zbudziło się podejrzenie.

– Mąż jest zdrowy, nie wygląda na to, żeby szybko miał umierać. Czy przypadkiem nie ja przyczynię się do jego śmierci?

– Jak chcesz wiedzieć, to ci powiem: tak.

Zaczęli się śmiać.

– A więc ja będę maczał w tym palce?

Szatan odpowiedział, wciąż śmiejąc się:

– Nawet nie tylko palce, ale całą rękę.

W lustrze znowu pojawił się przed nim szatan siedzący w fotelu tak jak i on.

– A co będzie potem? – spytał Twardowski.

Szatan w pierwszym odruchu znowu się zawahał, ale w końcu powiedział:

– Zgoda. Dzisiaj jesteś ty pijany i ja jestem pijany, mogę ci pokazać, co będzie dalej.

Lustro jakby zmatowiało, Twardowski zobaczył siebie ubranego w czarny garnitur, siedzącego obok białą ubraną żonę bankiera.

– A to co? – spytał szatana.

– A to jest uczta weselna po twoim ślubie z żoną bankiera.

– Ale przyznać musisz, że jest bardzo brzydka. Jak można mieć taką brzydką żonę – westchnął.

– Nie bój się, nie będzie to długo trwało.

– Nie długo? Co to znaczy?

– No, bo umrze. Popatrz!

Twardowski zobaczył leżącą w trumnie swoją żonę. Znowu zapytał podejrzliwie:

– A co będzie powodem jej śmierci? Czy także ja?

Szatan zaczął się śmiać:

– Ściśle biorąc, trucizna z twojej ręki. Ale nie musisz się martwić, że twojej żony już nie będzie. Pozostanie po niej majątek, a ty jedynym spadkobiercą.

Znowu zaczęli się obaj śmiać.

– A co będzie dalej? – spytał Twardowski.

– A co chcesz jeszcze? – spytał szatan.

Twardowski sam nie miał pojęcia, co chce jeszcze wiedzieć, ale nagle przyszło mu do głowy pytanie:

– A jak będzie wyglądała moja śmierć?

– A nie. To – to nie.

– Ależ pokaż, pośmiejemy się razem. Dzisiaj taka zabawa.

Szatan się nie zgadzał.

– Przecież każdy musi umrzeć, na to, jak dotąd, nie ma lekarstwa – tłumaczył mu Twardowski.

– Dobrze. Zgoda – powiedział szatan. – Ale żebyś nie żałował.

– Nie. Nie będę. Na pewno.

Obraz szatana zniknął. Twardowski zobaczył w lustrze siebie samego leżącego na wspnianym łożu. Był bardzo starym, chudym, kościstym człowiekiem z siwą rozmierzwną czupryną. Wyglądał strasznie. Z trudem odnajdywał w tym starcu swoje rysy.

– O, to długo pożyję, jak z tego wynika – powiedział zmienionym głosem.

– A długo, długo. Dobrobyt pomaga długo żyć.

– Ale dlaczego jestem w łóżku?

– Chorujesz trochę na serce. Jest noc. Wszystkie pokoje oświetlone, tak jak sobie tego życzyłeś.

Twardowski widział, jak starzec podnosi się z trudem z łóżka, idzie przez bogato urządzone pokoje, podchodzi do jakiegoś obrazu wiszącego na ścianie, wpatruje się w niego z czułością, potem idzie dalej, zbliża się do wspnianego stołu, dotyka jego marmurowego blatu, rzuca się na niego z łkaniem, przywiera całym ciałem, po chwili dźwiga się, idzie dalej, gładzi oparcie krzesła, wreszcie dochodzi do swojego biurka, trzęsącymi się rękoma otwiera dolną szufladę, wyjmuje klucze, podchodzi do kasy pancерnej, otwiera ją. Pełna jest banknotów, dokumentów, papierów wartościowych. Bierze w ręce jakiś stos pieniędzy, kartkuje je, wkłada na swoje miejsce, otwiera schowek, wyciąga garść kosztowności, jakieś pierścienie złote, spinki, nausznice, diamenty, perły, naszyjniki, przesypuje z ręki do ręki, wtula w nie twarz, chowa do tej

samej szuflady, skąd wziął, zamyka szafę pancerną, odkłada klucze do biurka, wlecze się coraz bardziej zgarbiony, pochylony, najwyraźniej w wielkim bólu, z ogromnym trudem stawiając krok za krokiem, przytrzymuje się szaf, stołów, stołków, ścian, powoli zbliża się do łóża, po drodze napotyka lustro, zatrzymuje się przed nim, wpatruje się w swoje oblicze, przygląda się podkrążonym oczom, niezdrowej cerze poplamionej brązowymi placami, przeciąga dłonią po wychudłym policzku, poprawia włosy i nagle poznaje w swoim obliczu szatana, który mówi do niego:

– Już czas.

Te słowa szatana najwyraźniej go zaskakują, jest zdziwiony, przerażony, łapie się za serce, jego twarz wykrzywia się w jakimś strasznym grymasie bólu. W tym momencie postać starca załamuje się, pada jak podcięta na ziemię.

Nagle lustro zaciemniło się. Twardowski patrzył na te obrazy w coraz bardziej narastającym strachu. Chciał się zerwać, uciec, żeby nie widzieć tego dłużej. Ale nie był w stanie. Siedział jak wrośnięty w fotel. Wreszcie z najwyższym wysiłkiem powstał i nie patrząc już w stronę lustra, skierował się do drzwi. Wyszedł z garderoby. Uderzyło go światło słońca. Teraz dopiero spostrzegł, ile czasu tam spędził. To już był ranek. Nie spotkał już nikogo z gości. Szedł przez puste salony. Stoły były jeszcze zastawione resztkami jedzenia i trunków – zwykajny nieporządek po zabawie. Prawie tego nie widział. Napotkał wzrokiem biurko, kasę pancerną, obraz, który widział w lustrze, potem drogocenny stół, który faktycznie kosztował cały majątek. Zaczął mówić do siebie:

– Całe życie poświęciłem na gromadzenie tego wszystkiego, ażeby teraz, za parę lat to zostawić. Przecież to szaleństwo. – Patrzył na to nawet nie z pogardą. Były to dla niego już tylko obce, bezwartościowe przedmioty.

– Co mnie potrafiło tak zaślepić?

Czuł się tak, jak gdyby wszystko zapadło się pod jego nogami. To, co było najważniejsze dla niego, cel jego dążeń, starań, czemu poświęcał każdą chwilę czasu, swój wysiłek i myśli, co go dotąd w sposób absolutny angażowało, całkowicie pochłaniało, co było przedmiotem jego marzeń – pieniądze, teraz ukazywało się jako kompletne śmieci.

Pojawiło się przed nim całkiem konkretne pytanie:

– Co dalej robić w życiu? Jeszcze więcej pieniędzy zebrać? Jeszcze parę mebli kupić? Może obrazów, może ziemi? Nonsens. Po co? Ale wobec tego, co robić?

Nie umiał nic innego robić. Cały czas zajmował się pieniędzmi. Im poświęcił bez reszty całe swoje życie.

– Co dalej robić?

Poczuł się zawieszony w absolutnej pustce. Życie bez załatwiania, bez interesów, bez robienia wciąż nowych pieniędzy okazywało się bezsensowne. Nie miał żony, nie miał dzieci, nie miał przyjaciół, był zupełnie sam. Nie było nikogo, kto by go kochał. Wszyscy ludzie, z którymi miał kontakty, których znał, to byli interesanci. Dotąd istnieli w jego życiu, dotąd on istniał w jego życiu, dopóki były sprawy do załatwienia. Zresztą nie miał podstaw, by występować z jakimiś pretensjami. Przecież nie było człowieka, dla którego uczyniłby coś bezinteresownie, nie mógł więc mieć pretensji o wdzięczność, o współczucie, o jakikolwiek akt serdeczności. Przecież sam wobec żadnego człowieka na to się nigdy nie zdobył.

Dochodził do wniosku, że można teraz jedno zrobić: popełnić samobójstwo. Zastanawiał się tylko – gdzie? Tutaj w domu, czy gdzieś poza miastem. Ale już za moment przyszła odpowiedź na to pytanie: baszta zegarowa.

– To jest jedyne najlepsze miejsce dla mnie, by sobie odebrać życie.

Skierował się w stronę wyjścia. Przypadkiem rzucił okiem na szafę wbudowaną w ścianę. W jej drzwiach

tkwiło wielkie lustro. Uderzyło go naraz własne odbicie: zmęczona twarz, wyostrome rysy, głębokie bruzdy zmarszczek koło nosa i koło ust. Patrzył na siebie jak na nieznanego człowieka. Nagle przyszło mu do głowy:

– Ja chyba ten obraz kiedyś widziałem. Tylko gdzie i kiedy?

Gdy tak usiłował sobie przypomnieć, nagle stanęła przed jego oczami tamta dziwna noc sprzed lat w baszcie zegarowej, w sali na górze.

– Przecież tak wyglądał szatan, jak ja w tej chwili – uświadomił sobie. I wtedy wszystko zrozumiał.

– Teraz już wiem. Tyś miał rację, kiedyś mi powiedział, że nie trzeba, abym podpisywał cyrograf. I tak masz moją duszę. Tylko że mnie haniebnie okłamałeś.

W tej chwili zobaczył, że odbicie w lustrze zareagowało na te jego słowa.

– Ja cię okłamałem? – usłyszał głos w lustrze.

– Oczywiście, okłamałeś mnie. Jestem nieszczęśliwy.

– Chciałeś być bogaty i stałeś się bogaty, czy nie tak? Miłości ci dać nie mogę. Mogę ci dać pieniądze i otrzymałeś je.

– Co mi z bogactwa, gdy jestem samotny – rzekł Twardowski i skierował się ku wyjściu. Nagle zatrzymał go głos szatana:

– Nie jesteś samotny, ja jestem z tobą.

– Dziękuję za takie towarzystwo.

– Jak to dziękujesz, przecież tyle lat jestem z tobą – powiedział szatan urażonym tonem. – Tak jak teraz jesteśmy, zostaniemy razem na zawsze.

Twardowski wściekły nagłym ruchem podniósł wazon, stojący na stoliku obok, i trzasnął nim w lustro, które rozsypało się na kawałki.

– Co ty robisz? – usłyszał w tej chwili głos za swoimi plecami. Wstrząsnął się zaskoczony, odwrócił się gwałtownie. Przed nim stała przybrana córeczka ogrodnika.

– Po coś tu przyszła? – wyjąkał wciąż przestraszony.
– Skąd się tu wzięłaś?

– Przyszłam, żeby zobaczyć, czy jesteś w domu. Chciałabym, żebyś poszedł ze mną na spacer – powiedziała, sama nie wiedząc dlaczego. Ale chyba dlatego, że jej się nie podobało to mieszkanie nie posprzątane. – Wczoraj był tu taki ruch i gwar w całym domu, a dzisiaj tak cicho – rozgadała się. – Wyszłam na schody, po schodach na piętro, otworzyłam drzwi, nie były zamknięte na klucz, po cichutku na palcach szłam przez pokoje i tak napotkałam ciebie.

Nie było mu na rękę to jej przyjście. Chciał się jej jak najszybciej pozbyć.

– Idź do domu. – W tej chwili nie miał zamiaru nikogo widzieć.

– Nie pójdziemy na spacer?

– Teraz nie mam czasu – odrzekł jej szorstko.

– No to kiedy? – spytała dziewczynka.

– Nigdy, bo odchodzę stąd.

– Odchodzisz, a dokąd?

– Daleko.

– No to poczekaj na mnie chwileczkę, ja się tylko idę ubrać i zaraz będę gotowa.

– Po co chcesz się ubrać? – spytał zdziwiony.

– Jak to po co? Pójdę z tobą.

– Ale ja nie mogę cię zabrać z sobą – krzyknął już prawie zezłoszczony, że ten mały brzdąc chce ingerować w jego życie. – Ani nawet nie mam takiego zamiaru.

Dziecko słuchało krzyku ze zdziwieniem, prawie nie dowierzając temu wszystkiemu. Nagle w jego szeroko otwartych oczach pojawiły się łzy i zaczęły spływać po policzkach. To nie był płacz. Nie było żadnych szlochów. Tylko wielkie jak groch łzy toczyły się po buzi i spadały na ziemię.

– Czemu płaczesz? – spytał zniecierpliwiony.

Chwilę milczała, potem przełamując wewnętrzne łkanie, powoli, prawie szeptem odpowiedziała:

– A kto będzie ze mną chodził na spacer, jak ty pójdziesz? Kto będzie ze mną rozmawiał? Przecież wiesz, że cię kocham. Gdybyś odszedł, to ja bym umarła – zakończyła stanowczo.

Zaśmiał się sztucznie, chcąc śmiechem pokryć swoje zmieszanie. Niby jakoś wiedział o jej przywiązaniu, ale to oświadczenie, które teraz słyszał, było dla niego zupełnym zaskoczeniem. To zdanie wypowiedziane poważnym głosem przez maleńkiego człowieka tu w pustym pokoju, w momencie kiedy chciał sobie odebrać życie, zrobiło na nim ogromne wrażenie. Coś jakby przełamało się w jego duszy. Sam nie wiedział nawet, co się z nim dzieje. A ona tymczasem, uspokojona jego milczeniem, uważała sprawę za załatwioną.

– Chodźmy już stąd – powiedziała.

– A gdzie chcesz, żebyśmy poszli?

– Nie wiem. To ty mówiłeś, że chcesz iść. Powiedz, dokąd pójdziemy.

– Sam nie wiem. Gdzieś w świat.

– Dobrze. Pójdziemy w świat. Ty będziesz pracował, ja będę na ciebie czekała w domu i będę ci przygotowywała obiad. Już umiem robić herbatę. Kiedy tylko wrócisz z pracy, będziesz mi opowiadał bajki, a potem pójdziemy na spacer.

Wzięła go za rękę i zaczęła powoli schodzić z nim razem po schodach w dół. Nie wiedział dokładnie, dokąd idzie. Szli przez ulice o tej porze puste, a on był szczęśliwy. Po raz pierwszy w życiu ktoś powiedział mu, że go kocha. Jeszcze naprawdę nie wiedział, dokąd idą i co będzie robił dalej.

W mieście dużo mówiono o tajemniczym zniknięciu Twardowskiego. Krążyły najrozmaitsze pogłoski. Niektórzy mówili, że szatan porwał go do piekła. Inni, że Twardo-

wski uratował się, bo przypomniał sobie modlitwę, której kiedyś nauczyła go matka. Mówili, że zaczął śpiewać Godzinki, że szatan przerażony tym zostawił go na księżycu i tak siedzi tam Twardowski do tego czasu. Ale naprawdę, to poszedł z tym dzieckiem w świat. Z dzieckiem, które go pokochało, w którym znalazł cel swojego życia.

ks. Mieczysław Maliński

*Opowiadania o nadziei, Pallottinum,
Poznań-Warszawa 1983, s. 59-70*



Trzej mnisi wędrują do ziemskiego raju

Raj ziemski jest na tej ziemi, w stronę wschodu, na wysokiej niezmiernie górze, wyższej niż wszystkie inne na całym świecie. A z raju biorą początek cztery rzeki, które płyną przez całą ziemię, a są to Tygrys, Eufrat, Nil oraz Ganges.

Nad Nilem wznosił się niegdyś klasztor jednych mnichów, wielkich przyjaciół Boga, którzy prowadzili żywot zaprawdę anielski.

Zdarzyło się pewnego razu, że podczas przechadzki po ogrodzie trzej mnisi znaleźli się nad rzeką i obmyli sobie stopy i dłonie. I oto ujrzeli, że płynie z prądem gałąź jaśniejąca przepięknymi kolorami, o liściach jednych ze złota, innych ze srebra, jednych błękitnych, innych zielonych, porośnięta owocami wdzięcznymi i z pewnością wyśmienitymi w smaku.

Wówczas trzej mnisi sięgnęli najdalej jak mogli i schwycili gałąź, a wcale nie mogli się nasycić oglądaniem jej zadziwiającego piękna i wychwalali imię i potęgę Boga, który stwarza takie cuda. Szeptali między sobą:

– Zaprawdę święte musi być miejsce, z którego przybyła ta gałąź! – i rozmyślali o tej cudownej ziemi, i patrząc jeden na drugiego oczyma lśniącymi od łez, powiadali: – Nad czym to płaczesz? – aż stwierdzili, że poruszyła ich

wszystkich ta sama przyczyna, a to obraz, jaki się w nich zrodził, tego miejsca, skąd gałąź spłynęła z prądem rzeki.

– Chyba tam przebywa Bóg ze swoimi aniołami – wykrzyknęli w końcu trzej mnisi, a jeden z nich dodał: – Czemuż nie mielibyśmy zawędrować aż do tego świętego miejsca, idąc brzegiem rzeki?

Na to inni, nagle rozpaleni pragnieniem:

– Idziemy! – rzekli. – Ruszajmy w imię Boże!

I zaraz rozpoczęli wędrówkę, nie pytając nawet o pozwolenie opata i nic nie mówiąc innym braciom, tak wielką zapalali miłością do tych niebiańskich spraw.

Zioła nad rzeką obrodziły manną i mnisi żywili się nią, uznając ją za najśłodsze i najsmaczniejsze pożywienie na tym świecie. Wędrówka trwała okrągły rok. Po drodze napotykali drzewa dźwigające na sobie najśłodsze jabłka i z powodu wielkiego brzemienia dotykające gałęziami ziemi, kiedy zaś dotarli do stóp góry, na której był ziemski raj, usłyszeli śpiew aniołów. Dalsza wędrówka była tak przyjemna, że ledwie muskali ziemię stopami.

Całą górę porastały gęsto drzewa najrozmaitszych gatunków, prześliczne z wyglądu i bogate w owoce soczyste i błyszczące, a zbocza zieleniły się trawą ukwieconą tysięcznymi barwami i rozsiewającą przecudne wonie. Góra miała może więcej niż sto mil wysokości, lecz oni szli tak radośnie, że nie czuli najmniejszego znużenia i rychło dotarli do murów raju.

Brama była zaryglowana i pilnował jej cherubin z ognistym mieczem w dłoni. Trzej mnisi usiedli, by odpocząć koło bramy i podziwiać cherubina, a serca ich wypełniła taka słodycz, że zapomnieli o tym i tamtym świecie. Na tym niemym zachwyceniu minęło im pięć dni i nocy, a oblicze anioła jaśniało światłem niby słońce. Wreszcie anioł zapytał:

– Hej, wy tam, czegoż to pragniecie?

Na to mnisi:

– Chcielibyśmy wejść do środka i jeśli raczysz pozwolić, pobyc tam ze trzy albo cztery dni.

Kiedy powiedzieli te słowa, brama się otworzyła i święci mnisi weszli do raju, i usłyszeli dźwięk, jaki wydaje sklepienie niebieskie, kiedy się obraca, a był to dźwięk tak miły dla ucha, że sami już nie wiedzieli, gdzie się znaleźli, i musieli zaraz usiąść, jak tylko przestąpili próg. Kiedy tak trwali zmieszani i drżąc z trudnej do zniesienia radości, zobaczyli, jak wychodzą im naprzeciw dwaj starcy bielutcy niby śnieg, z brodami i włosami do samej ziemi. Byli to święci ojcowie Eliasza i Henocha, których Bóg umieścił w ziemskim raju, by żyli tam aż do skończenia świata i dawali świadectwo śmierci Jego jednorodzonego Syna, Jezusa Chrystusa.

– Co tutaj robicie? – spytali mnichów.

Oni zaś odrzekli:

– Przyszliśmy, by ujrzeć to święte miejsce.

– Chwalcie więc naszego Pana Jezusa Chrystusa, który obdarzył was tak wielką łaską. Nikt spośród żywych nie doszedł jeszcze do tego miejsca, lecz tylko dusze oczyszczone i w chwale. A ponieważ tak spodobało się naszemu Panu Bogu, zaprowadzimy was wszędzie, byście ujrzeli cuda raju, których jest tak wiele i są tak wspaniałe, że ani język nie zdoła ich opisać, ani rozum wyobrazić sobie.

I wzięwszy mnichów za ręce, poprowadzili ich przez raj, a ci zobaczyli po raz pierwszy źródło życia; kto pije tę wodę, nigdy się nie starzeje, kto zaś jest stary, powraca do wieku lat trzydziestu. Zobaczyli drzewo wiadomości dobrego i złego, przez które wszyscy jesteśmy zgubieni, albowiem Adam i Ewa jedli jego owoce. I zobaczyli także drzewo naszego zbawienia, z którego wyciosano święty krzyż, i uklękli przed nim, wśród łez oddając cześć Panu.

W raju było jeszcze inne drzewo, a kto jadł jego owoce, nie umierał nigdy; i były cztery źródła, a z każdego brała początek rzeka, która potem płynęła przez świat. Inne źródło, które rozlewało się na pięć mil wokół, było pełne ryb, które z niewypowiedzianą słodyczą śpiewały dniem i nocą, kiedy słyszały harmonię raju. Wreszcie mnisi zostali zaprowadzeni przed drzewo chwały, tak rozległe i bujne, że gałęziami sięgało na milę dokoła. Liście miało całe ze złota, szerokie jak liście drzewa figowego, zaś owoce zdawały się wyrobione przez królewskiego cukiernika dla zadziwienia znakomitych gości. Na drzewie rojno było od małych ptaszków o piórkach czerwonych niby ogień, tak że zdawały się zapalonymi kagankami. Wszyscy śpiewali jednogłośnie i nie inaczej niżli aniołowie w niebie.

Kiedy Eliasza i Henocha odprowadzili już świętych mnichów do bramy raju, rzekli:

– Powróćcie do swego klasztoru, albowiem Bóg was wzywa.

Lecz mnisi nalegali, by pozwolono im przebywać w rozkosznym ogrodzie choćby jeszcze przez dwa tygodnie i z płaczem rzucili się na kolana.

– Nie minął jeszcze tydzień, odkąd przybyliśmy! – błagali.

Święci ojcowie odrzekli:

– Pozostawaliście w tym miejscu przez siedem setek lat!

Tym większy był płacz mnichów, którzy wznosili do nieba spojrzenia i ramiona.

– O święci ojcowie – powiedzieli w końcu trzej mnisi – czy zastaniemy jeszcze żywych naszych towarzyszy?

– Wasi towarzysze – odrzekli ojcowie – żyją życiem wiecznym, lecz ich ciała są od siedmiuset lat ziemią i prochem. Wasz klasztor siedmiokroć odnowił się przez nowych braci.

– Ci, którzy są teraz w klasztorze – zauważyli wówczas braciszkanie – nie zechcą nas przyjąć i nie uwierzą, że byliśmy tam mnichami. Cóż uczynimy?

– Dacie im ten oto znak – odpowiedzieli święci ojcowie.
– Powiecie im, by szukali w głównym ołtarzu mszału, w którym od tysiąca lat zapisuje się imiona wszystkich mnichów z tego klasztoru, i znajdą tam wasze imiona, a także godzinę, dzień i rok, kiedy wyruszyliście. Potem dacie im jeszcze ten znak: po czterdziestu dniach od waszego przybycia staniecie się nagle prochem i nie ujrzą już po was ni ciała, ni kości. Wasze dusze zyskają pokój żywota wiecznego i aniołowie z nieba zstąpią w sposób widomy, by je zabrać.

Przelali łązy radości święci mnisi i opuścili raj. Kiedy dotarli do klasztoru, brama była otwarta, więc weszli do kościoła i padli na kolana przed ołtarzem, płacząc i wychwalając moc Boga, który obdarzył ich łaską, gdyż wrócili oto do swego domu, by w nim umrzeć. Słyszając te płacze i głosy, dochodzące z kościoła, przybiegli czym prędzej mnisi.

– Cóż czynicie? – spytali zdumieni, zaś tamci trzej opowiedzieli im o wszystkim.

– Powiadacie, że jesteście z tego klasztoru – ozwał się opat – lecz my żyjemy tu od osiemdziesięciu lat z górą i nigdy nie widzieliśmy was ani nie znaliśmy. Czemuż mówicie nam takie kłamstwa?

Wówczas trzej bracia wymienili jako pierwszy dowód mszał i tamci mnisi, zdumiewszy się najpierw bardzo, bez zwłoki zaczęli szukać w ołtarzu i w istocie stwierdzili, że trzej mnisi wyruszyli przed siedmiuset laty. Opat i wszyscy bracia byli wzburzeni.

– Jakże to możliwe, że żyli tak długo – szeptali między sobą – skoro wyglądają na ludzi ledwie trzydziestoletnich.

Wtenczas trzech mnisi zapowiedzieli drugi dowód, a mianowicie swoją śmierć; tamci zaś, którzy byli w liczbie stu, padli przed nimi na twarze w niemym uszanowaniu i nie bez łez głębokiego wzruszenia.

Po czterdziestu dniach, kiedy trzech mnisi pozostawali w adoracji u stóp ołtarza, wylewając łzy o niewypowiedzianej słodyczy – a inni czuwali przed swoimi mrocznymi stallami – nagle rozsypali się w proch; i z prochu dobył się mocny zapach, jakby były tu zgromadzone wszystkie balsamy z całego świata. I ujrzeli aniołów, jak zstępują przez sklepienie i wśród cudownych pień towarzyszą душom trzech świętych mnichów aż do nieba, i mieli z tego wydarzenia słodką pociechę.

Anonim średniowieczny

Leggende cristiane, Milano 1963, s. 189-192



Bogaczka w raju

W jednej wsi żyła bogata właścicielka dużego majątku i stary, ubogi owczarz. Gdy przyszła dżdżysta, zimna jesień, owczarz rozchorował się i umarł. Właścicielka, dowiadując się o tym, rzekła:

– Niewiele straciliśmy przez jego śmierć.

Wieczorem, gdy zasnęła w wielkiej sypialni, ujrzała we śnie owczarza leżącego w wąskiej trumnie z drewna świerkowego. Po chwili zdało jej się, że to ona leży w trumnie. Ujrzała swą podłużną, trochę już siwą głowę, długi, wystający nos, zaciśnięte usta i kamienną twarz, jaką wyrzeźbiło w niej życie.

Wciąż we śnie podniosła się z trumny i pewnym krokiem weszła do nieba przez wysoką bramę. Po kilkunastu krokach spotkała paru aniołów zajętych zdobieniem złotego tronu. Skierowała swe kroki ku temu tronowi w przekonaniu, że to dla niej aniołowie go przygotowują. Czyż nie rządziła przez pięćdziesiąt lat pewną ręką folwarkiem zajmującym sześćset hektarów gruntu? Czyż nie powinna otrzymać tronu ona, która już na ziemi zajmowała wysokie miejsce w jadalni i salonie swego dworu, a nawet w kościele, w którym z bogato rzeźbionej ławki przez całe życie patrzyła na tłoczących się pobożnie w tylnej części kościoła wieśniaków? Postawiła więc stopę na pierwszym stopniu złotego tronu. Zanim jednak dosięgnęła drugiego, zatrzymał ją anioł, mówiąc:

– Ten tron nie dla ciebie.

Oburzona niewiasta zwróciła twarz ku aniołowi i spojrzała nań surowym wzrokiem. Przyszło jej jednak na myśl, że może oczekuje ją tron jeszcze piękniejszy i jeszcze wyżej. Zaczęła się rozglądać, czy go gdzieś nie dojrzy. Ale wszystkie trony były już zajęte. By wyjaśnić sprawę ponownie, zwraca się do anioła:

– Chyba mnie nie znasz – mówi z wielką godnością – jestem właścicielką Słonecznej Doliny, zajmującej sześćset hektarów dobrej ziemi, mam dziewięćdziesiąt krów, dwadzieścia koni, wielkie stado owiec. Ufundowałam dla kościoła dwa witraże, nawiedziłam kilkanaście sanktuariów i przy wszystkich akcjach charytatywnych moje nazwisko notowano na pierwszym miejscu. Powiedz więc mi łaskawie, któż inny mógłby zająć ten złoty tron?

Anioł odpowiedział krótko:

– To jest tron dla owczarza Hilgersa.

– Co? – krzyknęła oburzona. – Owczarz ma zająć ten tron? Czegóż takiego dokonał on w swym życiu?

– On – odpowiedział anioł – przez sześćdziesiąt pięć lat pał owce. Wiernie i uczciwie wykonywał swą pracę. Przez czterdzieści lat dzielił się swym śniadaniem i wieczerzą z chromym wyplataczem koszów, słał mu łóżko i utrzymywał porządek w jego izbie. Dzieciom sąsiadów kupował często słodycze, opatrywał im rozbite kolana i wystrugiwał różne zabawki. Niekiedy opowiadał im o Chrystusie i pokazywał, jaki piękny jest Boży świat. A wszystko to czynił z miłości. Ale oto, on już nadchodzi. Chodź, kochany ojczulku, tu odpoczniesz po trudach ziemi – anioł wziął go za rękę i po stopniach wprowadził na tron.

Gdy owczarz zobaczył, że tuż przy nim stoi właścicielka, u której pracował całe życie, chciał zejść na bok i ustąpić jej miejsca. Anioł jednak łagodnie, a jednocześnie stanowczo, posadził go na tronie.

- A ja?! - zawołała rozgniewana kobieta.
- Ty możesz tu usiąść - wskazał jej anioł podnózek tronu owczarza.
- Co to, to nie! - krzyknęła. Jej opór nie zdał się jednak na nic. Anioł mocną ręką posadził ją na najniższym stopniu tronu.

W tej chwili obudziła się. Długo rozmyślała nad tym osobliwym snem.

W następnych dniach ludzie nie mogli wyjść z podziwu, obserwując jej zachowanie. Najpierw urządziła wspaniały pogrzeb biednemu owczarzowi. Potem poszła do chaty chromego wyplatacza koszów i osobiście go obsługiwała. Zaczęła też zapraszać do domu dzieci swych pracowników, dzielić między nich owoce i słodycze oraz uczyć je katechizmu. Najbardziej jednak dziwiło otoczenie to, że przestała zajmować pierwsze miejsce zarówno w kościele, jak i podczas różnych zebrań. Zmieszana z tłumem zwykłych, szarych ludzi rozmawiała z nimi jak z równymi. Od czasu do czasu udawała się na grób owczarza i stała długo nad nim. Ludziom zdawało się, że prowadzi z nim cichy dialog.

„Paulinus” 1949 nr 26



Trzej pustelnicy

Pewien archimandryta płynął żaglowcem z Archangielska do Sołówki. Na tym samym statku podróżowali pielgrzymi, którzy zamierzali odwiedzić sanktuarium. Wiatr był sprzyjający, pogoda piękna, żadnego kołysania. Część pielgrzymów odpoczywała, druga część coś tam przegryzała, a trzecia siedziała grupką, gawędząc. Również archimandryta wyszedł na pokład i zaczął spacerować to w jedną, to w drugą stronę. Poszedł w stronę dziobu i zobaczył, że zgromadziła się tam grupka ludzi. Jakiś niski chłop wskazywał ręką coś na morzu i mówił, a ludzie słuchali. Archimandryta przystanął, by spojrzeć w kierunku wskazywanym przez chłopą, ale nic nie zobaczył, tylko morze błyszczało w słońcu. Podeszedł bliżej do grupki i zaczął słuchać. Chłop zobaczył go, zdjął czapkę z głowy i zamilkł. Wszyscy z szacunkiem odsłoniли głowy.

– Nie przeszkadzajcie sobie, bracia – rzekł archimandryta – podeszedłem, żeby posłuchać, co mówisz, dobry człowieku.

– Ten rybak opowiadał nam o pustelnikach – wyjaśnił jakiś śmielszy kupiec.

– Cóż takiego powiadasz o pustelnikach? – zapytał archimandryta, podchodząc bliżej do barierki i siadając na jakiejś skrzyni. – Opowiedz także mnie, chętnie posłucham. Cóż to pokazywałeś?

– Tam wystaje wyspa – odparł chłop, pokazując coś przed sobą po prawej stronie. – Na tej wyspie mieszka kilku pustelników, którzy dbają o zbawienie swojej duszy.

Archimandryta wziął lunetę i skierował ją na wskazane miejsce. Ujrzał trzech stojących pustelników. Jednego wysokiego, drugiego odrobinę niższego i trzeciego całkiem małego. Stali na brzegu, trzymając się za ręce. Podszedł do archimandryty kapitan:

– W tym miejscu, ojcze święty, trzeba nam zatrzymać statek. Jeśli ci na tym zależy, możemy zawieźć cię na brzeg szalupą, a my w tym czasie zakrzątniemy się przy kotwicach.

Opuszczono liny, zarzucono kotwicę, zwinięto żagle. Statek zerwał się i zakołysał. Spuścili szalupę, wskoczyli do niej wiosłarze, archimandryta zaś schodził po drabinie. Kiedy znalazł się na dole, usiadł sobie na ławeczce, a wiosłarze zaczęli wiosłować i skierowali łódź do wyspy. Podpłynęli na rzut kamieniem i ujrzeli trzech starców, jednego wysokiego, nagiego, opasanego plecionką, drugiego niższego w kaftanie w strzępach i trzeciego zgrzybiałego, skurczonego, okrytego starym habitem. Stali i trzymali się za ręce.

Wiosłarze podpłynęli bliżej brzegu i przycumowali. Archimandryta zszedł na ląd.

Pustelnicy pokłonili się mu, on zaś pobłogosławił ich, a wówczas pokłonili się jeszcze niżej. Archimandryta zaczął mówić:

– Słyszałem, że wy, pustelnicy Boży, pracujecie tutaj nad zbawieniem waszych dusz i modlicie się do Jezusa Chrystusa za bliźnich. Ja, niegodny rab Chrystusa, z łaski Boga powołany zostałem, by mieć pieczę nad Jego trzodą, pragnąłem więc ujrzeć także was, sługi Boże, i, jeśli tylko zdołam, przekazać wam naukę naszego Pana.

Pustelnicy milczeli, uśmiechali się i spoglądali jeden na drugiego.

– Powiedzcie mi, jak pracujecie nad zbawieniem duszy i jak służycie Bogu? – spytał archimandryta.

Pustelnik średni westchnął i spojrzał na najstarszego, zgrzybiałego. I uśmiechnął się najstarszy pustelnik, i rzekł:

– Nie umiemy, sługo Boży, służyć Panu Bogu. Służymy tylko sobie samym, by mieć co zjeść.

– A jak modlicie się do Boga? – zapytał archimandryta. I pustelnik zgrzybiały odpowiedział:

– Modlimy się tak: Jesteście Trójcą, nas jest trzech, zmiłujcie się nad nami!

Ledwie zgrzybiały pustelnik wypowiedział te słowa, wszyscy trzech pustelnicy wznieśli wzrok do nieba i jęli powtarzać:

– Jesteście Trójcą, nas jest trzech, zmiłujcie się nad nami!

Archimandryta uśmiechnął się i odezwał w te słowa:

– Z pewnością słyszeliście o Trójcy Przenajświętszej. Lecz nie modlicie się jak należy. Zapragnąłem waszego dobra, pustelnicy Boży. Widzę, że chcecie spodobać się Bogu, lecz nie umiecie Mu służyć. Nie powinniście się modlić w ten sposób. Posłuchajcie, nauczę was. Nie będzie to moja nauka, lecz przekażę wam to, co powiedziane zostało w Piśmie Świętym, powiem wam, jak Bóg nakazuje wszystkim ludziom odmawiać modlitwę.

I począł objaśniać pustelnikom, jak to Bóg objawił siebie ludziom. Opowiedział im o Bogu Ojcu, Synu i Duchu Świętym, a potem rzekł:

– Syn Boży zstąpił na ziemię, by zbawić ludzi, i nauczył ich, by modlili się w taki oto sposób. Posłuchajcie mnie i powtarzajcie moje słowa.

I zaczął:

– Ojcze nasz.

A jeden pustelnik powtórzył: „Ojcze nasz”, drugi też powtórzył: „Ojcze nasz”, i również trzeci powtórzył: „Ojcze nasz”.

– Który jesteś w niebie – i również pustelnicy powtórzyli „Który jesteś w niebie”. Ale średni poplątał słowa i wypowiedział je inaczej. Także ten wysoki, nagi, nie wypowiedział ich właściwie, gdyż wąsy wyrosły mu tak, że zasłaniały usta; nie wygłosił słów wyraźnie, lecz wybełkotał coś niezrozumiałego, także zgrzybiały pustelnik, który nie miał już zębów.

Archimandryta raz jeszcze powtórzył słowa modlitwy i również powtórzyli je pustelnicy. Archimandryta usiadł na kamieniu, pustelnicy stali obok, patrzyli mu na usta i powtarzali to, co mówił. I przez cały dzień, do samego wieczoru archimandryta trudił się, powtarzając te same słowa dziesięć, dwadzieścia, sto razy, a pustelnicy powtarzali za nim. Mylili się, a on ich poprawiał i kazał powtarzać od początku.

I nie dał spokoju pustelnikom, dopóki nie nauczyli się całej modlitwy Bożej. Powtarzali ją za nim, a później odmawiali sami. Pustelnik średni pojął wszystko pierwszy i sam powtarzał w całości. Archimandryta zaś rozkazał mu, by powtarzał jeszcze i jeszcze, aż wreszcie także pozostali odmówili całą modlitwę.

Zaczęło się ściemniać i księżyc wstawał już nad morzem, kiedy archimandryta postanowił wrócić na statek. Pożegnał się z pustelnikami, którzy złożyli mu pokłon do samej ziemi. Kazał im podnieść się, ucałował kolejno, polecił, by modlili się tak, jak ich nauczył, i wszedł do szalupy, która zaraz odbiła od brzegu.

Archimandryta, płynąc do statku, słyszał ciągle pustelników, którzy powtarzali trzema głosami modlitwę Pańską. Kiedy był już blisko i nie słyszał głosów starców,

widział ich tylko w blasku księżyca. Stali na brzegu w tym samym miejscu. Jeden, ten najmniejszy, pośrodku, wysoki po prawej stronie, a średni po lewej. Szalupa przybiła do statku, archimandryta wspiał się na pokład, podniesiono kotwicę i żagle, które wiatr nadał, i ruszyli dalej. Prałat udał się na rufę, usiadł tam i patrzył na wysepkę. Najpierw można jeszcze było dostrzec pustelników, ale później znikli z oczu, a potem widać było tylko wysepkę, aż wreszcie nawet wysepka zniknęła i tylko morze lśniło w świetle księżyca.

Pielgrzymi poszli spać i na pokładzie zapanowała cisza. Ale archimandrycie nie chciało się spać, siedział nadal na rufie, patrzył na morze w kierunku niewidocznej wysepki i myślał o zacnych starcach. Przypomniawszy sobie, jak byli szczęśliwi, że nauczyli się modlitwy, i dziękował Bogu, gdyż pozwolił mu pomóc Bożym pustelnikom i nauczyć ich słowa Bożego.

Siedział tak sobie, rozmyślając i patrząc na morze w kierunku niewidocznej wysepki. Przez jego oczy przełykały błyski, gdyż światło skrzyło się to tu, to tam na falach. Nagle zobaczył coś błyszczącego i bielejącego w smudze księżycowego światła. Bieleło to coś jakby ptak albo mewa, albo mały żagiel. Archimandryta przyjrzał się uważnie.

– Musi to być łódź żaglowa – pomyślał – która przepływa w pobliżu. Ale zdaje się zbliżać zbyt chyżo. Dopiero co była daleko a oto widać ją tuż tuż. Nie wygląda mi na łódź ani na żagiel. Ale jednak coś zbliża się do nas i rychło nas dogoni.

I nie zdołał pojąć, cóż to mogło być. Łódź, ale jakby nie łódź, ptak, ale jakby nie ptak, ryba, ale jakby nie ryba. Było podobne do człowieka, ale zbyt wielkie, a zresztą, jak mógłby znaleźć się człowiek na środku morza? Archimandryta podniósł się, podszedł do sternika i rzekł:

– Spójrz, co tam jest?

– Co to jest, bracie? Co to jest? – pytał archimandryta i już zobaczył sam, że to pustelnicy biegną po morzu i białą się i jaśniejają ich brody posiwiałe, i zbliżają się do statku, jakby ten tkwił w miejscu. Sternik obrócił się, puścił ster i zaczął krzyczeć wielkim głosem:

– Wielki Boże! To pustelnicy biegną za nami po morzu, jakby to był ląd! – Ludzie usłyszeli go, wszyscy się zerwali i popędzili na rufę. I zobaczyli, że trzech starcy biegną, trzymając się za ręce. Dwaj, którzy byli po bokach, wymachiwali rękami, żeby zatrzymać statek. Trzej pustelnicy biegli po wodzie jak po ziemi, nawet nie poruszając nogami.

Nim zdołano zatrzymać statek, już pustelnicy go dogonili. Zbliżyli się, podnieśli głowy i odezwali się chórem:

– Zapomnieliśmy, sługo Boży, zapomnieliśmy twojej nauki. Póki ją powtarzaliśmy, pamiętaliśmy. Przerwaliśmy na godzinę i umknęło nam jedno słowo, zapomnieliśmy go i wszystko się rozpadło. Nie pamiętamy już nic. Naucz nas na nowo.

Archimandryta przeżegnał się, pochylił w stronę trzech starców i rzekł:

– Także wasza modlitwa dociera do Boga, pustelnicy Boży. Nie do mnie należy pouczać was. Módlcie się za nas grzeszników.

I pokłonił się aż do ziemi przed starcami. A starcy zatrzymali się, odwrócili i oddalili po morzu.

Aż do ranka widać było łunę w stronie, w którą odeszli.

Według Lwa Tołstoja

Leggende cristiane, Milano 1963, s. 376-380



Pokutujący grzesznik

I dodał: *Jezusie, przypomnij sobie o mnie, gdy przyjdiesz w blasku Twego królewskiego majestatu. A Jezus rzekł mu: Zaprawdę powiadam ci, dziś jeszcze będziesz ze Mną w raju! (Łk 23,42-43).*

Żył na świecie człowiek siedemdziesiąt lat, a całe swe życie spędził w grzechu. Zachorował, ale też nie pokutował. A gdy nadeszła śmierć, w ostatniej swej chwili zapłakał, mówiąc:

– Panie, przebacz mi, jak przebaczyłeś łotrowi na krzyżu.

Ledwo to powiedział, wyszła z niego dusza, wzniosła się do nieba, umiłowała Boga, uwierzyła w Boże miłosierdzie i podeszła do drzwi raju. Zaczął grzesznik pukać i prosić, by go wpuszczono do królestwa niebieskiego. Wkrótce spoza drzwi rozległ się głos:

– Co to za człowiek puka do drzwi raju? Co uczynił ten człowiek w swym życiu?

I odezwał się głos oskarżający, wymieniając same grzeszne uczynki, nie wymieniając dobrych.

Odpowiedział więc głos spoza drzwi:

– Nie mogą grzesznicy wejść do królestwa niebieskiego. Odejdź stąd!

A człowiek poprosił:

– Panie! Głos twój słyszę, lecz oblicza twego nie widzę i nie znam twego imienia.

Odrzekł głos:

– Jestem Piotrem Apostołem.

Grzesznik odpowiedział, błagając:

– Zmiłuj się nade mną, Piotrze Apostole. Wspomnij na słabość ludzką, a miłosierdzie Boże. Czyż to nie ty byłeś uczniem Chrystusa i z ust Jego słuchałeś nauk, widziałeś przykład dany nam przez Jego życie? Wspomnij, jak z bólem i smutkiem w sercu prosił cię, byś nie spał, a czuwał z Nim na modlitwie, a tyś zasnął – i On trzykrotnie zastał cię śpiącego. Tak też ja czyniłem. Przypomnij sobie, jak Mu przyrzekałeś nie zaprzecić się Go do śmierci i jak trzykrotnie zaparłeś się Go, gdy prowadzono cię do Kajfasza. Tak też ja czyniłem. Przypomnij sobie, że wyszedłeś i gorzko zapłakałeś, gdy usłyszałeś pianie koguta. Ja też to uczyniłem. Nie możesz mnie nie wpuścić.

Zamilkł głos za drzwiami rajskimi.

Odczekał grzesznik chwilę i znów zaczął pukać do drzwi raju i prosić, by wpuszczono go do królestwa niebieskiego. Odezwał się spoza drzwi drugi głos:

– Co to za człowiek? Jak żył na świecie?

I znów zabrzmiał głos oskarżającego, przypominając złe uczynki tego człowieka, nie wymieniając dobrych. Zwrócił się do człowieka głos spoza drzwi:

– Odejdź stąd! Nie mogą tacy grzesznicy żyć razem z nami w raju.

Grzesznik odpowiedział:

– Panie, głos twój słyszę, lecz oblicza twego nie widzę i nie znam twego imienia.

– Jestem królem i prorokiem Dawidem – powiedział głos.

Nie przeląkł się grzesznik, nie odszedł od drzwi raju, lecz zaczął prosić:

– Zmiłuj się nade mną, królu Dawidzie! Wspomnij na słabość ludzką, a miłosierdzie Boże. Pan Bóg miłował cię i wywyższał nad ludźmi. Miałeś wszystko: królestwo, chwałę, bogactwo, żony i dzieci. Lecz będąc na dachu, zobaczyłeś żonę biednego i skusił cię grzech. Zabrałeś

żonę Uriasza, a jego zabiłeś mieczem Amonitów. Będąc bogatym, odebrałeś biedakowi ostatnią jego owieczkę, a jego samego zgubiłeś. Tak też i ja czyniłem. Ale przypomnij sobie, jak pokutowałeś, mówiłeś wówczas: *Wyznaję swoją winę i żałuję, że popełniłem grzech swój*. Ja też tak postąpiłem. Nie możesz mnie nie wpuścić.

Zamilkł głos za drzwiami. Począł grzesznik chwilę i znów zaczął pukać do drzwi raju i prosić, by wpuszczono go do królestwa niebieskiego.

Usłyszał spoza drzwi trzeci głos pytający go:

– Kim jest ten człowiek? Jak żył na świecie?

Głos oskarżyciela po raz trzeci wymienił złe czyny tego człowieka, nie wymieniając żadnych dobrych. Głos spoza drzwi odpowiedział:

– Odejdź stąd! Nie mogą bowiem grzesznicy wejść do królestwa niebieskiego.

– Głos twój słyszę, lecz oblicza twego nie widzę i nie znam twego imienia – odezwał się grzesznik.

– Jan Ewangelista, ukochany uczeń Chrystusa – brzmiała odpowiedź.

Wówczas ucieszył się grzesznik:

– Nie możesz mnie teraz nie wpuścić! Piotr i Dawid wpuszczają mnie, dlatego że znają słabość człowieka i miłosierdzie Boże. A ty mnie wpuścisz, bo jesteś pełen miłości. Czy to nie ty, Janie, napisałeś w swej księdze, że Bóg jest miłością i kto nie miłuje, ten nie zna Boga? Czy to nie ty, będąc stary, pouczałeś ludzi słowami: *Bracia, miłujcie się wzajemnie!* Czy teraz możesz mnie znienawidzić i przepędzić? Albo wyrzekniesz się tego, co mówiłeś, albo mnie umiłujesz i wpuścisz do królestwa niebieskiego.

I otworzyły się wrota raju, objął Jan pokutującego grzesznika i wpuścił go do królestwa niebieskiego.

Lew Tołstoj

Nagana za niestaranną modlitwę

Pewnemu sparaliżowanemu bratu ukazało się kilku zmarłych współbraci, skarżąc się, że bracia nie pochylają się na „Chwała Ojcu”, co obraża Błogosławioną Trójcę. Bracia, usłyszawszy o tym, poprawili się, ale wkrótce znów popadli w zaniedbanie.

W noc Bożego Narodzenia brat ów, chociaż sparaliżowany, kazał się zanieść na wspólne modlitwy. Po jutrzni bracia poszli spać i zapomnieli o współbracie, który nie mogąc się ruszać, tam pozostał. O świcie weszła do kościoła Błogosławiona Dziewica: miała postać królowej, we wspaniałej koronie i precudnie ozdobionych szatach, a towarzyszyły Jej dziewice niezwyklej urody i liczny orszak. Brat ów przypuszczał, że jest to żona albo córka króla. Zatrzymywała się kolejno przy każdym ołtarzu i w końcu weszła do chóru zakonnego; jakby zdziwiła Ją obecność brata, który był tam sam jeden, pozdrowiła go i usiadła po drugiej stronie chóru, i wiele z sobą rozmawiali.

Kiedy bracia przybyli do chóru i doszli do słów „Chwała Ojcu”, królowa powstała i złożwszy ręce na piersi, na klęczkach schyliła się całym ciałem i trwała tak aż do słów „Jak było na początku”. Zaś brat ów wielce się tym zadziwił. Królowa powiada mu:

– Bracie, czyż nie wiesz, że jestem Matką Boga i dziś świętujecie dzień, jak Go porodziłam? Idź i powiedz bra-

ciom, że Trójca skłania się ku wszystkim, którzy Jej pokłon oddają. Również cały dwór niebieski, kiedy słucha, jak bracia śpiewają „Chwała Ojcu”, skłania się podobnie jak Ja. Toteż powiedz im ode Mnie, że Bóg rozgniewał się na ten zakon, gdyż nieliczni pilnują pokłonów, a co gorsza, bracia żartują z tych współbraci, którzy podczas „Chwała Ojcu” pochylają się głęboko. Radzę im, aby się poprawili.

Brat ów, drżąc cały jak liść, powiada:

– Pani moja, mówiłem im o tym kiedyś, ale niewiele to pomogło, i powiadają jeszcze, że jestem niespełna rozumu i wizjoner.

Na to Błogosławiona Dziewica:

– Spójrz na Mnie!

I skrajem złotego płaszcza dotknęła jego twarzy i powiada:

– Wstań i chodź!

I natychmiast zniknęła. Brat zaś zobaczywszy, że został rozwiązany, zaczął z radości skakać i wołać; a nadbiegający bracia zdziwili się, że widzą zdrowym tego, który do tej pory miał związane ręce i nogi, i całe ciało. Usłyszawszy, jakie słowa wypowiedziała Błogosławiona Dziewica, zlekli się i skrupulatnie się poprawili. Dlatego też postanowiono, aby oddając cześć Trójcy Świętej, klęczący bracia pochylali się głęboko całym ciałem.

Legendy dominikańskie, „W drodze”, Poznań 1985



Daniel i dziecko

Dawno temu, w czasach, gdy kraj egipski pobłogosławiony został wieloma świętymi, żył tam również pobożny ojciec imieniem Daniel. Mieszkał on jako eremita na pustkowiu, a jego wstawiennictwo uważane było za tak skuteczne, że wielu go poszukiwało.

Otóż ojciec Daniel udał się pewnego dnia do miasta, chcąc tam sprzedać kilka uplecionych przez siebie koszy i mat, a za otrzymane pieniądze kupić trochę żywności i nowy sprzęt. Szedł wolnym krokiem po rozpalonej drodze, a jego szatę i włosy pokrył kurz. Dusza natomiast radowała się i była niezachwiana w łasce. Gdy ujrzał już w pobliżu mury miasta Terenuthis, poprawił ciężar na plecach, pochwalił Boga i raźnie wszedł w otwartą bramę, a po jej przekroczeniu poczuł przyjemny chłód, bijący z wąskich, kamienistych uliczek.

W tym momencie usłyszał, że z otwartego okna pobliskiego domku ktoś go woła:

– Święty mężu, drogi ojcze, wstąp do mnie!

Nie podążył jednak za głosem, bo często się zdarzało, że w ten nieprzyzwoity sposób dowcipkowały sobie z pustelników dzieci lub nieskromne kobiety. Tak więc nieporuszony poszedł dalej swoją drogą i właśnie skręcał w uliczkę handlarzy skórą, prowadzącą do rynku, gdy poczuł, że ktoś z tyłu chwycił go za szatę. Chcąc nie

chcąc, odwrócił się, w pokorze przygotowany na to, że będzie musiał odpowiadać na jakieś natarczywości i przycinki. Jednak zamiast tego, zobaczył stojącego za sobą, przyjaźnie wyglądającego, niestarego jeszcze, dobrze ubranego mężczyznę, który skłonił się przed nim, ukląkł i z uszanowaniem dotknął wargami jego szaty.

– Czego żadasz – spytał łagodnie ojciec Daniel. – Albo może lepiej, jaka potrzeba przygnała cię do mnie, biednego człowieka?

– O, panie, czyż nie jesteś pobożnym ojcem Danielem? – zawołał mężczyzna, nie wstając z kolan. – Wiele dobrego słyszałem o tobie i twoich cnotach. I jeśli jest ktoś, kto mógłby mi pomóc, to tym kimś jesteś tylko ty, drogi ojcze. Spójrz, jestem kupcem, interesy idą mi szczęśliwie i wszystko, co robię lub czego się podejmuję, Bóg wyraźnie błogosławi, tak iż powinienem mieć wszelkie powody, aby nazywać się człowiekiem szczęśliwym i zadowolonym. A jednak widzisz mnie tak nieszczęśliwego, że klęczę w ulicznym kurzu i błagam cię o pomoc w mojej wielkiej trosce, a wierzę i ufam, że potrafisz jej zaradzić. Już piąty rok jestem żonaty, a dotychczas Bóg nie zechciał podarować nam dziecka. Nieznośną wydaje mi się myśl, że po mojej śmierci nazwisko moje zaginie, a cały dorobek przypadnie obcym. Dlatego, drogi ojcze, okaż mi miłość i pójdz ze mną do mojego domu, pobłogosław moją żonę i wyrzeknij nad nią słowa, które usuną jej bezpłodność, i dadzą nam wreszcie oczekiwanego potomka.

– Wstań i wracaj do swojej pracy. Ja zaś, gdy będę wracał do swej przystani, chętnie pomodłę się za was. Idź z Bogiem, drogi bracie – powiedział Daniel do proszącego o pomoc.

Jednak proszący nie chciał się tak łatwo usunąć z drogi. W jego oczach pojawiły się łzy. Raz jeszcze uchwycił się szaty pobożnego starca, objął jego kolana i błagał, żeby drogi ojciec zechciał wejść tylko na chwilę

do jego domu i zamienić przynajmniej kilka słów z jego żoną, żeby potem wiedział, za kogo się modli.

Świątobliwy mąż uśmiechnął się wreszcie i przystał na prośbę, aczkolwiek niechętnie. Kazał kupcowi wstać z klęczek, iść przodem, a sam szedł kilka kroków za nim aż do samego domu.

Tam położył swój bagaż przed drzwiami i gospodarz zaprowadził go przez korytarz i niewielkie podwórze do wnętrza domu, gdzie wszystko świadczyło o skromnym dobrobycie. Daniel zdecydowanie odrzucił propozycję wypicia szklaneczki wina i zjedzenia posiłku, który gospodarz uprzejmie mu zaoferował, i poprosił, aby gospodarz niezwłocznie zaprowadził go do swej żony, gdyż musi jeszcze wiele godzin wędrować z powrotem do swojej pustelni, a wędrówki nocą nie należą do przyjemności.

Jednak prawdziwy powód, dlaczego odrzucił zaproszenie i dlaczego tak niechętnie wszedł do domu, zataił pobożny mąż częściowo ze wstydu, a po części z innych powodów. Bał się bowiem mieć do czynienia z kobietami i był to lęk przed drugą płcią, gdyż nie miał na tyle siły, aby zdecydowanie oprzeć się pożądaniu. Dlatego między innymi zdecydował się szukać mieszkania na pustyni. Kiedy tylko w jakiejś sprawie miał do czynienia z niewiastami, natychmiast czuł się zagrożony i na poły pokonany oraz – tak samo jak i tym razem – chciał jak najszybciej być znowu sam.

Kupiec otworzył drzwi i wprowadził gościa do pokoju swojej małżonki, która siedziała na podłodze i zajęta była przyszywaniem złotych sznurów do zielonej szaty. Była to jeszcze zupełnie młoda, ciemnooka brunetka o dziecięco małych ustach. Gdy się podniosła i powitała pokutnika, ukazała się jej gibka, doskonała figura, właściwego wzrostu, o niewymuszonym naturalnym wdzięku ruchów, co natychmiast oczarowało ojca pustyni, aczkolwiek nie był on tego wcale świadom. Opanowało go

bowiem już w drzwiach takie zakłopotanie i strach, jakie zwykle towarzyszą mu w kontaktach z kobietami, i podczas gdy ta śliczna istota bezwiednie przypadła do gustu jego oczom i sercu, zmarszczył czoło i zaczął rozmowę z tym pięknym stworzeniem mniej więcej tak, jakby była ona wysłańcem piekła:

– A więc nie macie dzieci? – spytał szorstko, oschłym głosem, w którym brzmiało trochę buty, ale i trochę ukrywanej tchórzliwości.

– Tak, drogi ojcze, i nie wiemy, czym sobie zasłużyliśmy na tę karę niebios. Dlatego bylibyśmy ci niezmiernie wdzięczni, gdybyś mógł nam pomóc – odpowiedziała niewiasta.

– Uklęknij – powiedział pośpiesznie święty mąż – chcę się razem z wami pomodlić.

Natychmiast uklękła, a on ukląkł obok niej. Małżonek chciał z pełnym uszanowaniem opuścić pokój, lecz dobry ojciec nakazał mu zdecydowanym gestem, żeby zechciał zostać. Ukląkł więc on również obok nich. Ojciec Daniel odmówił krótką modlitwę nad niewiastą, potem podniósł się zaraz pośpiesznie i chciał wyjść, gdy kobieta zawołała go cichutko i powiedziała z żalem:

– Czy odmawiasz mi swego błogosławieństwa, pobożny ojcze? Pobłogosław mnie, proszę, i włóż na mnie swe ręce, polecając mnie i naszą modlitwę Panu!

Ojciec Daniel chciał odrzucić tę prośbę jako niemożliwą. Zobaczył jednak ponownie klęczącą przed sobą niewiastę i kiedy położył swoją szorstką dłoń na jej głowie, chcąc ją pobłogosławić, wtedy kobieta przytuliła doń swoją głowę w odruchu zaufania. Pustelnik poczuł miękkie gęste włosy, które wydały mu się zdumiewająco delikatne, jak jedwab, i wydało mu się, że takich nie dotykał jeszcze swoimi palcami.

Kobieta wstała pełna wdzięczności, podała ojcu rękę i poprosiła, żeby zechciał zostać na obiedzie. Niewiele

brakowało, a już byłby się przychylił do tej prośby. Jednakże w porę udzielił sobie napomnienia, pożegnał się pośpiesznie i odszedł tak zmieszany, że zapomniał o pozostawionych przed drzwiami towarach, z którymi wybiegł za nim gospodarz.

Kiedy wieczorem zmęczony, ale bezpieczny ojciec Daniel znowu znalazł się w swojej trzcinowej chatce u stóp skały, myślał:

– Jak to dobrze, że mam tę cichą przystań i oddaloną od świata chatkę! Skoro już samo dotknięcie dłonią miękkich włosów niewiasty tak potrafi mnie wzburzyć, jakże mógłbym zostać nieskazitelny, gdybym musiał żyć pośród świata!

Jednakże przed wspomnieniami i przed marzeniami nie chroni wcale ani oddalenie, ani też trzcinowa chatka. I tak między nie mającą o niczym pojęcia mieszczką i samotnym pokutnikiem wytworzył się szczególnego rodzaju stosunek i ojciec Daniel stale musiał bronić się przed obrazem pięknej kobiety, która uporczywie pojawiała się kusząca przed nim, skoro tylko zmęczenie i drzemka obezwładniały jego czujne sumienie.

Kiedy w kilka tygodni później przyszła pora, żeby znowu załatwić kilka spraw w mieście, pokutnik był już tak zmęczony walką swego sumienia z obrazem wspomnienia, że jako dzielny mężczyzna postanowił pójść prosto do jaskini lwa i osobiście przeciwstawić się rzeczywistości, niż dłużej być błaznem swoich marzeń. Chciał ponownie zobaczyć tę kobietę i miał nadzieję, że wraz z ujrzaniem rzeczywistego obrazu swych marzeń, uwolni się od niego. Tak więc wyruszył w drogę, znów obciążony wytworami pracy rąk, i po długiej wędrówce stanął ponownie w godzinach południowych u bram miasta.

Tym razem zatrzymał się od razu przy domku w pobliżu bramy miejskiej, wszedł do środka, postępując niepewnie, z zalanej słońcem ulicy w ciemne korytarze pod-

wórza. Wtedy usłyszał coś, co zabrzmiało mu jak słodkie pozdrowienie: młody dziewczęcy głos śpiewał starą, pobożną piosenkę, której nauczył się jeszcze jako mały chłopiec od matki i którą często śpiewał w odległym już dzieciństwie. A kiedy podszedł bliżej i spojrzał na ocienione podwórko, zobaczył młodą niewiastę siedzącą na kolorowej słomianej macie, trzymającą na kolanach miszkę z soczewicą, która śpiewała przy jej przebieraniu. Ten piękny widok ujął go za serce i zawstydził się głęboko, że ta sama pobożna niewiasta, siedząca w kucki jak dziecko i śpiewająca ulubioną piosenkę z jego dzieciństwa, mogła być przedmiotem jego nieszlachetnych pożądlivości, wywołanych przez złe marzenia.

Z pozdrowieniem na ustach podszedł do niej, pobłogosławił i zapytał o zdrowie domowników. Kobieta poznała go natychmiast i przywitała z szacunkiem. Opowiedziała, że jej mąż wyjechał w interesach na południe, ona jednak została pod opieką pewnego starego wyzwolenca. Wprawdzie tęskni trochę za swoim małżonkiem, lecz poza tym czuje się dobrze. Słuchając jej bezładnej opowieści, pustelnik pozbył się nieco swojej rażącej nieśmiałości, odetchnął z ulgą i sam zaczął rozmowę od wspomnienia pieśni, a ponieważ niewiasta zadawała dalsze pytania, zaczął opowiadać o swojej ojczyźnie i swojej młodości. Wdzięczny i oswobodzony oddał się przyjemnemu uczuciu swobodnej pogawędki w miłym towarzystwie, czego nie kosztował już od wielu lat. W towarzystwie młodej niewiasty powróciło w nim nieśmiało pogrzebane już od dawna źródło wczesnego dzieciństwa, zdejmując cień z jego duszy i dając chwile przyjemnego spokoju, jakiego wcale nie zaznają asceci.

Pożegnał się z nią, obiecując, że odwiedzi jej dom znowu podczas kolejnej wizyty w mieście, załatwił swoje interesy i powrócił do pustelni z uczuciem radości w sercu. Jeśli znowu myślał o pięknej mieszcze, to myślał

o niej jak o siostrze, bez pożądania i dręczących wyobrażeń. Nie zapominał o niej i jej mężu w swoich modlitwach i czuł, że jego samotne i bezowocne życie włączone zostało w krąg przyjacielskich i serdecznych kontaktów.

Od tego czasu ojciec Daniel często odwiedzał dom kupca. Po jakimś czasie zastał pana domu zadowolonego ze swej ostatniej podróży. Wielokrotnie jadał posiłki u swych nowych przyjaciół, a po kilku miesiącach mąż wziął go pewnego razu na bok, uścisnął jego dłoń i powiedział:

– Mamy wraz z żoną pewną tajemnicę, a ty masz pełne prawo do tego, aby jako pierwszy ją poznać. Otóż moja żona spodziewa się dziecka, a zawdzięczamy to dobroci Bożej i twojej modlitwie, drogi ojcze!

Daniel, który sam nie miał najmniejszego zaufania do swoich modlitw, poczuł się szczęśliwy i ze wzruszeniem usłyszał, że jeżeli urodzi się syn, otrzyma jego imię.

Kiedy jednak po dłuższej przerwie, spowodowanej chorobą, ojciec Daniel znalazł się ponownie u swych znajomych, zobaczył, jak na jego widok wymknęła się z pokoju zapłakana niewiasta. Mąż przyjął pustelnika szorstko, aby nie powiedzieć wrogo. Stary wyzwoleniec obserwował go złym spojrzeniem. Kiedy tylko zostali sami, ojciec Daniel zdenerwowany i przejęty poprosił kupca o wyjaśnienie tej sytuacji. Ten z początku nie chciał nic mówić, jednak rozpalony złością, wybuchł nagle i wyrzucił z siebie wszystko, co miał na sercu. Powiedział, że stał się przedmiotem kpin i nieprzyjemności ze strony sąsiadów i krewnych, gdyż powstało wśród nich mocne przekonanie, że oczekiwane dziecko jest owocem niedozwolonego obcowania jego żony z nim, pokutnikiem Danielem. Wyzwoleniec widział ojca Daniela w domu wielokrotnie podczas nieobecności gospodarza. Innym również rzuciła się w oczy ta podejrzana przyjaźń. Krótko mówiąc, gospodarz sam nie wie, co ma o tym wszystkim

myśleć, życzy sobie jednak, aby podejrzany święty, którego przed jego złością chroni tylko imię i szata, nie pokazywał mu się więcej na oczy.

Na próżno przerażony pustelnik usiłował się usprawiedliwiać, na próżno kazał przywołać wyzwolenca, który chłodno powtórzył swoje podejrzenia. Zawstydzony i smutny opuszczał dom z zamiarem nieodwiedzenia go już nigdy. Zwlekał z kolejną wyprawą do miasta tak długo, aż zmusiła go do niej konieczna potrzeba. Kiedy tam ponownie przyszedł, usłyszał przypadkowo, że niewiasta urodziła syna i że za trzy tygodnie odbędzie się jego chrzest. Teraz na nowo zaczął przeżywać ciężkie chwile w swej trzcinowej chatce. To gniewał się i czuł się dotknięty tymi bzdurnymi oskarżeniami, to znowu przyjmował tę obelgę jako usprawiedliwioną i zasłużoną karę za wszystkie myśli, jakimi przez pewien czas obdarzał młodą niewiastę.

Wreszcie jednak zwyciężyło w nim poczucie niewinności i życzenie, by również niewinna młoda kobieta oraz całkiem nieświadome niczego dzieciątko nie cierpiały na zawsze pod ciężarem złych podejrzeń. Modlił się więc codziennie, by udowodniona została jego niewinność, i niebawem poczuł się tak umocniony w swoim przekonaniu, że po nocy spędzonej na czuwaniu ruszył do miasta z nagłym postanowieniem odwiedzenia domu kupca. Wkroczył odważnie do domu, chociaż zarówno podwórze, jak też sień pełne były nieznajomych ludzi.

Każdy spoglądał na przybywającego ze zdziwieniem, ciekawością, a czasem nawet z nieukrywaną ironią. On przeciskał się przez tłum, nie patrząc na nikogo, przeszedł przez wypełnione ludźmi podwórze i korytarz i stanął jak zjawą w komnacie, w której zastał kupca, przyodzianego w odświętne szaty oraz zmęczoną i bladą niewiastę z dzieckiem na kolanach. Oboje przestraszeni stanęli przed nim. Właśnie gospodarz chciał już wyprosić intruza

szorstko z domu, gdy drzwi otworzyły się ponownie i stanął w nich wyzwoleniec, wprowadzając pokornie kapłana. Była to bowiem trzecia niedziela od chwili urodzenia dziecka i kapłan przybył, aby je ochrzcić.

Ojciec Daniel skłonił się przed kapłanem, po czym się wyprostował, spojrzał wszystkim w oczy i powiedział:

– Wy wszyscy tutaj obecni i ty, kapłanie Boży, zebraliście się tu dzisiaj, aby ochrzcić dziecko, na którego poczęciu leży nie zdjęte jeszcze straszne pomówienie. Byłem przyjacielem tego domu, swoimi rękami błogosławiłem tę niewiastę i modliłem się za nią, żeby Bóg zechciał obdarzyć ją synem. Potem, kiedy była brzemienna, zjawili się źli ludzie i obciążyli tę biedną niewiastę i mnie podejrzeniem, które wstydzę się wypowiedzieć. Teraz stoję tu przed wami, ludzie, prosząc wszechmocnego Boga, aby zechciał być moim sędzią. Pytam się więc ciebie, nowo narodzony, który z nas jest wobec Boga i ludzi twoim ojcem?

Wszyscy zobaczyli ze zdumieniem, że chłopiec, który miał dopiero dwadzieścia dwa dni, otworzył szeroko oczka, uśmiechnął się, wskazał na kupca i powiedział jasnym głosem:

– On jest moim ojcem.

Wieść o cudzie szybko wydostała się poza mury domu i miasta. Chłopiec otrzymał na chrzcie imię Daniel, a ojciec Daniel jeszcze przez wiele lat przychodził do domu jako przyjaciel i pomocnik. Bawił dziecko na swych kolanach, a kiedy Pan powołał go do swej chwały, chłopiec rozpaczał po nim, jak po stracie prawdziwego ojca.

Hermann Hesse

Legenden, Suhrkampverlag, Frankfurt am Main 1975. s. 155-162



Córka Jeffego

Zapewne nigdy nie dowiemy się dokładnie, jak rzeczywiście było z opisywanymi tu wydarzeniami, bowiem inkwizycja nakazała spalić wszystkie związane z nimi dokumenty. Posiadamy jedynie skromny przekaz, który zachował się przez stulecia i brzmi jak odległy ludzki głos, czasem niesiony szmerem i szumem morza, a czasem przezeń zagłuszany.

Oto, cośmy z niego wyłowili:

W roku, w którym w Hiszpanii katolicki król Ferdynand Aragoński i królowa Izabela wydali edykt, aby wszyscy obywatele pochodzenia żydowskiego zamieszkali w ich królestwie albo przyjęli chrzest, albo opuścili kraj, Izraelici zamieszkujący miasto Santa Rosita, pogrążeni we łzach i przepełnieni lękiem, wyruszyli w drogę ku nieznanemu losowi. Skoro tylko pierwsze wozy z wypędzonymi opuściły miasto przez Bramę Północną, od Bramy Południowej rozeszła się przejmująca zgrozą wieść, że w kraju panuje dżuma, zapowiadana wcześniej przez zwiastującą nieszczęście kometę i że wkrótce dotrze również do Santa Rosita.

Na terenie miasta był tylko jeden godny zaufania lekarz, a mianowicie sławny Rabbi Charon ben Israel, wykształcony na uniwersytecie w Salamance. Stąd też znał on pisma medyczne uczonych arabskich, niedostęp-

pne dla lekarzy chrześcijańskich ze względów językowych, a także religijnych. Ojców miasta ogarnęło więc wielkie zmartwienie. Doszli wreszcie do wniosku, że Żydzi muszą spełnić polecenie pary królewskiej, natomiast Charon ben Israel będzie mógł opuścić miasto dopiero wówczas, gdy zostanie zażegnane grożące niebezpieczeństwo zarazy. Wezwano więc żydowskiego lekarza do ratusza, aby przekazać mu tę decyzję. Nie bez zafascynowania oczekiwali na rozmowę z lekarzem. Charon ben Israel bowiem w Salamance nauczył się nie tylko sztuki medycznej, lecz również znał zasady uprawianej tam logiki filozofów greckich. Mówiono o nim, że podczas sławnej dysputy w Tortozie, do której zapraszano teologów chrześcijańskich i żydowskich, swoją wypowiedzią zamknął usta wszystkim swoim przeciwnikom. Kiedy w czasie dyskusji po raz kolejny zarzucano Żydom, że Zbawiciela świata wydali na śmierć na krzyżu, odpowiedział spokojnie, że to prawda, ale dzięki temu dokonało się to, co chrześcijanie uważają za misterium zbawienia. Po tej wypowiedzi nastąpiło ogólne milczenie, aż wreszcie pewien sędziwy kapłan odpowiedział cicho, że łaska Boża potrafi przemienić w dobro nawet i złe intencje. Jednak potem to okazałe zgromadzenie rozeszło się w wielkiej nienawiści.

Tego to właśnie Charona ben Israel wezwali do ratusza ojcowie miasta Santa Rosita i przedstawili mu swoje postanowienie. Charon ben Israel, człowiek o twarzy dumnej i skrytej, słuchał spokojnie, lecz głos wewnętrzny krzyczał w nim:

– A więc nadchodzi chwila, w której Bóg Izraela – niech będzie pochwalony – pozwala ci pomścić wszystkie okrucieństwa, jakie wyrządzono twemu ludowi w tym mieście.

Wspomniał następnie niezliczone upokorzenia i prześladowania, jakie wycierpiał zarówno on, jak i jego współbracia z powodu swej żydowskiej wiary i pochodzenia,

wspomniat liczne przymusowe chrzty, dokonywane na jego żydowskich braciach i siostrach, chociaż surowo zabraniała tego Stolica Apostolska w Rzymie, ale tu Rzym i Ojciec Święty byli daleko. Charon ben Israel musiał więc się przyglądać, jak tłumy jego współbraci pędzono do chrztu, a potem, jeśli potajemnie przekradali się do synagogi, oddawano ich w ręce inkwizycji. Stała się ona narzędziem w ręku państwa, które dzięki temu mogło bez żadnych skrupułów przywłaszczać sobie często znaczne majątki skazanych. Lecz przede wszystkim Charon ben Israel myślał o młodym, gwałtownym arcybiskupie Santa Rosita, o którym było wiadomo, że to on nakłonił parę królewską do tego twardego nakazu wypędzenia Żydów. A więc Charon ben Israel odpowiedział ojcom miasta, że czuje się zobowiązany spełnić rozkaz pary królewskiej. Jego dobytek jest już spakowany i zamierza jeszcze dzisiaj opuścić Santa Rosita.

Ojcowie miasta obawiali się takiej odpowiedzi, gdyż bardzo dobrze wiedzieli, że rabbi nie miał najmniejszego powodu, aby przyjść im z pomocą. Ze strachem jednak powtarzali swoją prośbę coraz usilniej i niewiele brakowało, a rzuciliby się na kolana przed pogardzanym Żydem, gdyż z sąsiednich miast nadchodziły coraz bardziej niepokojące wiadomości o zbliżającej się straszliwej zarazie.

Słuchając ich w milczeniu i z uporem, rabbi zauważył nagle poruszenie wśród obecnych – drzwi do sali radców miejskich otworzyły się gwałtownie i na progu ukazał się ten, o którym rabbi myślał przez cały czas, a mianowicie młody arcybiskup w asyście dwóch kleryków.

Arcybiskup Santa Rosita był młodym człowiekiem, odważnym, zapalonym fanatykiem, dumnym tak jak rabbi, ale nie tak jak tamten – w głębi swej osoby, lecz dumne było również jego oblicze, jak przystało na księcia Kościoła. Przez chwilę zatrzymał się na progu sali, a jego

spojrzenie przebiegło ze złością po twarzach ojców miasta, którzy pobledli na jego widok.

Arcybiskup dowiedział się, o czym była mowa i że chodzi o niegodną próbę nakłonienia żydowskiego lekarza, aby sprzeciwił się rozkazowi pary królewskiej dlatego, że miastu grozi niebezpieczeństwo epidemii dżumy. Przyszedł tu, żeby przypomnieć o tym, że chrześcijanom nie wolno poddawać się leczeniu u lekarzy żydowskich. Co prawda, w ostatnim okresie nie przestrzegano zbyt tego nakazu, skoro ludność mogła cieszyć się daleko lepszym zdrowiem, lecz Kościół święty uważał w tym momencie za wskazane odnowić to z całą wyrazistością. Na nic więc zda się zatrzymanie żydowskiego lekarza, bo żaden pobożny katolik nie będzie się u niego leczył.

Ojcowie miasta pobledli jeszcze raz, bo oczywiście stało się w tej chwili jasne, że arcybiskup poprzez odnowienie takiego zakazu pokrzyżuje ich plany. Byli tak przerażeni, że nie mogli wydobyć z siebie ani słowa. Arcybiskup zwrócił się natomiast do Charona ben Israel.

Z wyszukany gestem powiedział:

– Chyba zrozumiałeś, że wszystko, co obiecałeś ojcom miasta jest nieważne.

Charon bez Israel odpowiedział spokojnie, że nic nie obiecywał ojcom miasta, przy czym nie udało mu się zupełnie ukryć wewnętrznej radości.

Młody arcybiskup spojrzał na niego ostro, po czym powiedział:

– Cieszysz się na pewno, nikczemny Żydzie, że możesz ojcom miasta odmówić swej pomocy, bo zarówno ty, jak i inni Żydzi nienawidzicie wszystkich, którzy wyznają naszego Zbawiciela. Gdybyś był chrześcijaninem, ubolewałbyś, że nie możesz pomóc ludziom, których uważasz za swoich wrogów.

Rabbi popatrzył na arcybiskupa ze zdumieniem, po czym powiedział tonem bardzo spokojnym:

– Czy chrześcijanie kochają tych, których uważają za swoich wrogów? 1

Przez dłuższy czas milczeli wszyscy obecni na sali. Znowu, podobnie jak w Tortozie, słowa Żyda odebrały im mowę. Natomiast Charon bez Israel skłonił się i opuścił ratusz.

Kiedy znalazł się na dworze, ogarnęło go poczucie wielkiego triumfu, który nappełnił jego wnętrze. Chwalił i sławił Boga swoich ojców, który podarował mu to zwycięstwo nad swymi wrogami. Coś ciągnęło go, aby ogrom tej wielkiej wdzięczności wyrazić jeszcze w świętym miejscu. Udał się więc do synagogi.

Uchodzący jednak z miasta Żydzi pozbawili ją niemalże jej świętego charakteru. Ołtarz stał ogołocony, usunięto zwoje Tory i innych świętych ksiąg, nawet siedmioramienny świecznik opuścił swoje odwieczne miejsce – synagoga przedstawiała obraz rozpaczliwego opustoszenia. Rabbi, umocniony jeszcze bardziej tym rozpaczliwym widokiem, w swym triumfalnym uczuciu zemsty, uznał za szczególną łaskę fakt, że po tym wszystkim, co się wydarzyło, w tym – jego zdaniem – odstręczającym pomieszczeniu, miała raz jeszcze wznieść się do nieba gorąca modlitwa dziękczynna i pochwalna. Trwając w modlitewnej postawie, dziękował Bogu swych ojców, wychwalał Go, a żar ogarniających go uczuć wyzwolił w nim szczególny rodzaj oddania: uroczyście przyrzekł Bogu, że złoży wszelką ofiarę, jakiej On od niego zażąda, i prosił Boga, żeby sam wyznaczył tę ofiarę.

Kiedy wreszcie podniósł się z klęczek, dostrzegł leżącą na stercie śmieci zapisaną kartkę, która prawdopodobnie musiała wypaść na podłogę z któregoś zwoju świętych ksiąg pośpiesznie wynoszonych ze świątyni. Rabbi schylił się po nią, jednak nie zadał sobie trudu, aby ją przeczytać. Wsunął więc wyrwaną kartkę do kieszeni swej szaty, by

mieć ją pod ręką, gdyby chciano ją znowu włożyć do świętej księgi na jej dawne miejsce.

Następnie skierował się pośpiesznym krokiem ku judarium, gdzie niecierpliwie oczekiwała go córka. Córka rabbiego Charona ben Israel miała na imię Mikal, tak samo jak piękna córka króla Saula, o której napisano w osiemnastym rozdziale Księgi Samuela, że uchroniła Dawida przed mordercami swego ojca, gdy ten nastawał na jego życie. Uczyniła to z ogromnej miłości.

Mikal była jedynym dzieckiem, jakim obdarzyła rabbiego jego przedwcześnie zmarła małżonka. Była ona piękna i kochana przez swego ojca gorąco, jak i jej zmarła matka, aczkolwiek nie bez bólu, ponieważ oczy Mikal nic nie widziały i cała sztuka medyczna rabbiego nie była w stanie ich otworzyć. Wprawdzie Mikal prowadziła gospodarstwo ojca, bo powoli nauczyła się rozpoznawać wszystko przez dotyk, ale Charon ben Israel wiedział, że nigdy nie będzie mógł wydać jej za mąż i nigdy nie będzie miał szczęścia trzymać wnuków w swoich ramionach, bo któż mógłby lub chciałby wprowadzić do swego domu niewidomą żonę?

Ale Mikal nie była także świadoma wydarzeń, które działy się wokół niej, bo rabbi, jej ojciec, starał się ukryć przed nią to, co działo się na świecie. Powtarzał sobie samemu, że Bóg Izraela nie chciał, żeby ujrzała urok tego świata, a zatem nie powinna także widzieć jego boleści. Tak więc Mikal nigdy nie zrozumiała do końca, że jej naród żył na wygnaniu.

O ile potrafiła już posługiwać się po omacku rękoma, o tyle nie potrafiła zapanować nad nogami. Dlatego Charon ben Israel prosił sąsiadki, aby zabierały ją w szabat i przyprowadzały do synagogi. Kobiety jednak zapominały niekiedy o swoim obowiązku i wtedy Mikal długo siedziała przed drzwiami ojcowskiego domu. Pozostawała tam

nawet wówczas, gdy była pewna, że o niej zapomniano. Wiedziała przecież i musiała być tego świadoma, że to był szabat, a Prawo zabraniało Żydom w tym świętym dniu używać rąk do jakiejkolwiek pracy. Trzymała więc je spokojnie złożone na kolanach, a słońce świeciło w jej nic nie widzące oczy. Odczuwała przy tym takie wewnętrzne ciepło, że wydawało się jej, iż może zobaczyć słońce.

Pewnego dnia ujrzał ją młody artysta Pedro della Barca, któremu arcybiskup polecił wyrzeźbić uosobienie Kościoła i synagogi, które to postaci miały być ustawione nad portalem katedry. Uosobienie Kościoła udało mu się wspaniale. Dumna postać stała już nad portalem katedry, z krzyżem w ręce i w koronie na wysoko wzniesionej głowie. Ale drugiej postaci Pedro nie potrafił dotychczas wyrzeźbić, bowiem od małego dziecka uczono go pogardy dla Żydów i dlatego jego podążająca za pięknem dusza wzdrygała się przed nadawaniem kształtu czemuś, co było godne pogardy.

Pewnego razu w szabat Pedro della Barca przechodził obok bramy judarium i ujrzał piękną Mikal, o której znowu zapomniały sąsiadki. I naraz, jak grom, padło na niego olśnienie: to tak właśnie musi wyglądać synagoga, piękna i szlachetna, w swoim powołaniu wyposażona we wszystkie łaski obietnicy, ale ślepa na przyjście tych łask, na Zbawiciela Jezusa Chrystusa. Nie mógł się napatrzyć na miłą i łagodną twarz Mikal i powiedział do siebie:

– Teraz znalazłem to, czego szukałem.

Odtąd Pedro della Barca w każdy szabat przechodził obok bramy, stanowiącej wejście do judarium, a obraz dziewczyny czekającej przed domem Charona ben Israel wycisnął się głęboko w jego duszy. Nie odważył się jednak podejść bliżej ani też zatrzymać na chwilę, bojąc się strażników inkwizycji, którzy z całą surowością czuwali, aby żaden chrześcijanin nie przekroczył progu judarium.

Tak się kiedyś zdarzyło, że święto patronki Santa Rosita przypadło w szabat. Opustoszało więc nie tylko judarium, lecz także plac przed wejściem do niego, bowiem całe miasto udało się do katedry. Pedro powinien również tam być, lecz ciągnęło go coś do pięknej Mikal, którą miał nadzieję spotkać znowu przed drzwiami jej domu. Dokoła nie było żywej duszy. Piękna Mikal zasnęła przed domem swego ojca, bo wokół panowała cisza jak nigdy dotąd. Tylko słońce rozpościerało nad placem złocisty welon swych promieni. Śpiąca dziewczyna przechyliła głowę nieco do tyłu. Pedro miał przed sobą jej twarz – jasną i czystą, a jednak jakby przyćmioną tajemniczym smutkiem i tęsknotą. Serce Pedra przepełnione zostało miłością i wdzięcznością do śpiącej dziewczyny. Podeszedł do niej i ucałował jej usta i oczy, po czym spiesznym krokiem odszedł, bo wtem dał się słyszeć odgłos kroków ludzi wychodzących z katedry, którzy wkrótce zapełnili pusty do niedawna plac.

Tego dnia Mikal powiedziała Charonowi:

– Ojczy, kiedy dziś zasnęłam przed drzwiami naszego domu, śniło mi się, że ktoś do mnie podeszedł i pocałował mnie. Dlatego jestem teraz szczęśliwa jak nigdy dotąd. O, jakie to przyjemne być całowaną!

Wówczas to Charon ben Israel śmiertelnie się przestraszył, gdyż to tylko chrześcijanin mógł być tym, który pocałował jego córkę. W tym bowiem czasie również i wszyscy synowie Izraela byli w synagodze. Poza tym wiedział, że miłość między Żydami i chrześcijanami była karana śmiercią przez inkwizycję.

Od tego czasu Mikal zaczęła śpiewać, krzątając się po domu. Dopiero wtedy usłyszano jej śliczny głos, o którym dotychczas nikt nie wiedział. Ale rabbi nie potrafił się cieszyć z jej śpiewu, gdyż rozpoznał w nim wersety Pieśni nad pieśniami: *Niech mię ucałuje pocałunkami*

swych ust, bo miłość twa przedniejsza od wina. Mówił więc do siebie:

– Tak, ona jest kwiatem Sarona, lilią w dolinie – ale skąd wzięła te słowa? Słowa te musiały kiedyś wpaść jej w uszy i tam drzemały, aż obudziła je miłość i kazała im rozkwitnąć. Bo miłość – jak napisano w Piśmie – jest silna jak śmierć i jak płomień Pański.

Nawet kiedy ogłoszono tę straszną ustawę o wypędzeniu Żydów, która nie mogła oszczędzić także Mikal, nie okazywała ona z tego powodu specjalnego zasmucenia. Zachowywała się, jak gdyby ten nieludzki los zupełnie jej nie obchodził. Wydawało się, jakby wewnętrznie przygotowywała się do czegoś zupełnie innego. I pewnego dnia usłyszał rabbi z jej ust niezrozumiałe słowa:

– Ojcze, nie martw się tym, że nasi muszą uchodzić z miasta, ty i ja tutaj zostaniemy – wiem to z całą pewnością.

Wtedy Mikal ukryła się przed niewiastami, które chciały zaprowadzić ją do synagogi, i wyszła dopiero wówczas, gdy te już poszły. Potem usiadła na ławce przed domem ojca i czekała. Ale Pedro nie odważył się już podejść i ją pocałować, bo na placu przed judarium było w szabat zwykle dużo ludzi. Smuciło to Pedra, gdyż odczuwał nieustannie bolesną tęsknotę za piękną śpiącą. Był w nim jednak i inny, triumfujący głos, który zdał się powtarzać:

– Pocałowałem ją na wsze czasy.

Wkrótce potem rozeszła się po Santa Rosita wiadomość, że Pedro della Barca przedstawił wreszcie projekt zleconej mu rzeźby, mającej być uosobieniem synagogi. Arcybiskup nie był jednak zadowolony, gdyż synagoga nie nosiła, jak to było w zwyczaju, opaski na oczach. Upomniął on surowo Pedra, że powinien wziąć pod uwagę powszechny wówczas zwyczaj. Pedro jednak nie mógł się

zdecydować, by twarz Mikołaj zakryć przepaską, bo czyż wielki Dante Alighieri nie umieścił swojej ukochanej Beatrice w niebie i czy w ten sposób miłość ziemską nie stała się odbiciem i odzwierciedleniem miłości niebieskiej?

– Synagoga – mówił do siebie – była bramą, przez którą zstąpiło na świat zbawienie. Chcę z niej uczynić Maryję i wynieść ją ponad nią samą – wobec oblicza Maryi nikt nie będzie przecież miał zastrzeżeń.

Kiedy rabbi Charon ben Israel doszedł do judarium, wszyscy zajęci byli bolesnym wyruszaniem z miasta. Pojazdy zaprzężone w muły zatrzymywały się przed domami wypędzanych, skąd wynoszono cały dobytek żydowskich rodzin. Stróża porządku publicznego kręcili się między nimi i dokładnie sprawdzali każdy tobolek, czy przypadkiem nie ma tam wartościowych przedmiotów lub monet, gdyż nakaz wypędzenia zezwalał na zabranie wyłącznie przedmiotów codziennego użytku. Zdawano sobie doskonale sprawę z tego, że wielu Żydów zdobyło znaczne majątki jako poborcy podatkowi i doradcy finansowi. Teraz państwo nie chciało się pozbyć tych dóbr. Całe przygotowanie do wyjazdu z miasta odbywało się prawie bezgłośnie. Czasem tylko dało się słyszeć łkanie jakiejś kobiety. Przed bramą judarium, dziś otwartą na oścież, cisnął się tłum chrześcijan, obserwujących wychodzących z miasta wypędzonych Żydów częściowo z chłodną ciekawością, a po części z wielkim współczuciem. Od czasu do czasu pojawiał się w tłumie sługa inkwizycji, nakazując żadnym widowiska, by dziękowali Bogu, że wreszcie obcy opuszczają miasto, które stanie się teraz całkowicie chrześcijańskie. Zbliżający się do bramy rabbi słyszał coraz wyraźniej delikatny głos swojej córki, na którą w całym tym zamieszaniu nikt nie zwracał uwagi.

Charon ben Israel przyspieszył kroku, ale kiedy jeszcze usiłował przecisnąć się przez zwarty tłum przed wro-

tami judarium, powstało wśród gapiów nagle zamieszanie. Podniosły się krzyki, tłum rozsunał się, tak że utworzono drogę, na której pojawiła się wysoka niewiasta. Szła bezszelestnie władczy, zamaszystym krokiem. Jej twarz była ziemista, a oczy błyszczące, rozpalone gorączką. Szła krokiem triumfującym. W całej jej postawie widać było, jak gdyby była przepelniona władcą mocą. Nikt nie wiedział, kim była ta kobieta i nikt nigdy się o tym nie dowie. Ludzie mówią, że była to zwiastunka zarazy, która – jak wiadomo – ukazywała się zawsze przed wybuchem epidemii. Niewiasta – jak powiadano – była blada i chuda jak śmierć, przy tym jednak władca jak zwycięzczyń, jakby chciała zepchnąć na bok wszystkich stojących jej na drodze.

Gapiący się ludzie i przygotowujący się do opuszczenia miasta Żydzi rozpierchli się jak spłoszone stado ptaków. Groza ogarnęła nawet muły, zaprzężone do wozów wyjeżdżających Żydów. Spłoszone, na oślep zaczęły uciekać w swoich zaprzęgach.

W oka mgnieniu plac przed wejściem do judarium opustoszał. Została na nim tylko niewidoma Mikal, bo tylko ona jedna nie mogła widzieć tej tajemniczej postaci. A ta szybkim krokiem podeszła do Mikal i objęła ją kościstymi ramionami. Mikal głośno krzyknęła, zachwiała się i śmiertelnie blada osunęła się w ramiona przerażonego ojca, który właśnie ku niej podbiegł.

Charon ben Israel zaniósł swoje omdlałe dziecko do domu i położył je na pozostawionym jeszcze łożu w prawie całkowicie spustoszonej mieszkanie. Następnie wydobyl sławny środek przeciwko zarazie, stosowany przez jego arabskich nauczycieli, ale czynił to drżącymi rękami, zdając sobie sprawę z tego, że jego nieomylna zazwyczaj moc lecznicza jest nieskuteczna wobec każdego, kogo objęły upiorne ramiona zwiastunki zarazy.

Wtedy Charon ben Israel zrozumiał, że Bóg jego ojców położył rękę na jego córce i przyjął tak gorliwie proponowaną mu ofiarę. Jednak ta ofiara wyglądała inaczej niż tego oczekiwał. Była to ofiara Jeftego, o której napisano w jedenastym rozdziale Księgi Sędziów, że po zwycięstwie nad wrogami Izraela złoży Bogu ofiarę całopalną z tego, kto wyjdzie mu naprzeciw, gdy będzie powracał do domu. I oto pierwsza wyszła mu naprzeciw jego ukochana córka, jego jedyne dziecko.

Wtedy rabbi zrozumiał, że będzie musiał ofiarować Mikal, ale zrozumiał również, że Bóg jego ojców chciał go zmusić do wytrwania w znienawidzonym mieście, które opuszczą jego bracia. Przecież nie opuści swej ukochanej śmiertelnie chorej Mikal.

Ale Mikal również zrozumiała wolę Pana. Powiedziała ojcu:

– Czyż nie mówiłam ci, że ty i ja zostaniemy w tym mieście? Bóg bowiem chce, żebyś pomagał chorym w Santa Rosita.

Wtedy rabbi odpowiedział:

– Moje najdroższe dziecko, w Santa Rosita nie ma już ani jednego Żyda, pozostały tylko dzieci Edomu, nasi śmiertelni wrogowie.

Ale Mikal odpowiedziała:

– Ojcze, również wrogowie są ludźmi i naszymi braćmi.

Rabbi milczał, ale w głębi serca powiedział do siebie:

– Ona nie zna niedoli świata i swego narodu.

Tak opowiadano o śmierci pięknej Mikal. Mówiono, że w ostatniej chwili swego życia podniosła się raz jeszcze i z bledziutkich już ust wyrwał się krzyk:

– Ojcze, widzę tego, który mnie pocałował. On jest śmiertelnie chory, pomóż mu i jego bliskim, żebym nie umierała nadaremnie i żeby się wypełniło przykazanie Pana.

Wtedy rabbi krzyknął z boleści:

- Mikal, moje ukochane dziecko, nie opuszczaj mnie!
- Ale Mikal schyliła głowę i powiedziała:
- Niech mi się stanie wola Pana – i zmarła.

W kilka dni później Charon ben Israel pogrzebał swoje zmarłe dziecko. Sam musiał jej wykopać grób i zasypać kryptę ziemią, gdyż nie było już ani jednego Żyda w Santa Rosita, który mógłby służyć mu pomocą.

Kiedy wracał od grobu Mikal, zauważył już przemianę, jaka zaszła w mieście. Wydało mu się, jakoby strach przed niosącą śmierć zarazą chciało ukryć przed samym sobą. Dokoła spotykał młodych, nadmiernie wesołych ludzi, tańczących na ulicach, usiłujących jak gdyby wesołą muzyką zagłuszyć nadchodzącą zarazę. Z szynków rozbrzmiewał wesoły brzęk kielichów i radosny śpiew. W mieście można było jeszcze spotkać pojedyncze procesje błagalne, zmierzające do świętego Rocha, wielkiego patrona chorych na dżumę. Kiedy rozpoznano rabbiego, korowody tańczących i procesje nagle się zatrzymały, ich uczestnicy upadli przed Charonem ben Israel, głośno krzycząc, że miłosierdzie Chrystusa zatrzymało go w Santa Rosita, mimo stanowczej odmowy na ratuszu. Inni, myśląc, że będzie chciał pośpieszyć za swoimi, wołali do niego, że bramy miejskie są już zamknięte i że to łaskawa wola Boża zatrzymała go tutaj, a oni nie pozwolą, aby ich opuścił. Wkrótce rabbi poczuł się tak przyciśnięty przez przepełniony strachem tłum ludzi, że nie był w stanie obronić się przed nimi. Wszyscy zrzucili maskę pozornej bez troski i wciąż na nowo rozbrzmiewało wołanie:

- Niech będą pochwaleni wszyscy święci za to, że ty jesteś jeszcze w Santa Rosita!

Wołanie to rozlegało się, mimo iż znowu tu i ówdzie pojawili się szpiedzy inkwizycji, usiłujący odgrodzić od Żyda proszący go tłum. Samotny – nikt bowiem nie zwa-

cał już na niego uwagi – rabbi poczuł się ogromnie zmęczony i pospieszył do domu, by uniknąć rozszarpania przez błagających o pomoc. Długo jednak jeszcze słyszał pod swoim domem błagania i płacze.

W domu oddał się odmawianiu przypisanych przez swoją wiarę modlitw i zagłębił się w świętych księgach, które miał w swojej bibliotece. Były one co prawda gotowe do wywiezienia, ale leżały jeszcze nie spakowane na podłodze. Czytał wzniosłe słowa wielkich proroków, które świeciły jak płonące błyskawice nad dziećmi Edomu, słyszał wyraźny przez proroków burzliwy gniew wobec oziębłych i nieposłusznych, rozpoznał nawet Boży gniew w pełnych umiłowania pieśniach Psalmów. Czy to przypadek, ciągle natykał się na słowa potwierdzające jego własne oburzenie i perspektywę sądu Bożego. Pochylił się nad świętymi księgami, wówczas to z kieszeni wypadła mu kartka, którą znalazł w synagodze. Przeczytał z niej słowa z Księgi Przysłów: *Nie ciesz się z upadku wroga. Kiedy twój wróg jest głodny – nakarm go, jeśli jest spragniony – napój.* Rabbiemu wydawało się, że Pismo mówi dalej: A kiedy jest chory, wtedy ulecz go. Lecz to nie było napisane dla niego. Bóg jego ojców – niech Imię Jego będzie pochwalone – zbyt wyraźnie objawiłby mu swoją wolę. Żałoba z powodu utraty umiłowanego dziecka coraz bardziej ustępowała wobec triumfu z powodu odwetu, jaki spotkał jego wrogów.

W tej chwili dał się słyszeć bolesny głos żałobnego dzwonu. Rabbi powiedział do siebie:

– To dla pierwszych zmarłych.

Wiedział, jak szybko rozprzestrzenia się straszliwa plaga zarazy. Wkrótce wybije też godzina, w której i on będzie musiał poddać się wyrokowi, jaki zawisł nad Santa Rosita. Żałobny dzwon kontynuował swą skargę. O świcie rabbi próżno czekał dźwięku dzwonów katedry, wzywa-

jących na poranną Mszę. Pewnie nikt już nie był w stanie uruchomić ich ciężkiego mechanizmu.

A teraz zbliżała się również chwila, w której rabbi z całą ostrością ujrzy wyrok, jaki zgotował Bóg jego ojców dzieciom Edomu. Nadal jednak pozostawał w domu, oczekując dalszego rozprzestrzeniania się zarazy.

Trzeciego dnia przybył jakiś człowiek, zastukał w drzwi i rozkazał:

– Przygotujcie się, Charonie ben Israel, arcybiskup nakazuje, żebyś przyszedł do niego.

Wtedy w sercu rabbiego odezwał się głos przepełniony radością:

– Twój wróg jest chory i w śmiertelnym zagrożeniu pragnie, żebyś go wyleczył – ale ja, ja tego nie zrobię i to będzie ukoronowaniem wyroku, jaki wydał Bóg naszych ojców – niech Imię Jego będzie pochwalone – na to miasto.

Natychmiast wyruszył z domu i już po kilku krokach zauważył wielką przemianę, jaka zaszła w mieście. Wszystko przepełnione było przerażającym znamięm śmierci! Teraz nikt już nie cisnął się do niego, prosząc o pomoc. Ciężko chorzy, leżący wprost na ulicach, nie byli w stanie nawet podnieść ręki. Nikt się o nich nie troszczył, bo cały świat bał się dotykać chorych. W większości domów panował mrok, tylko zwiastująca nieszczęście kometa ciągnęła swój blady warkocz nad umierającym miastem. Nigdzie już nie sunęły korowody młodych tancerzy. Tam, gdzie prawdopodobnie odbył się ostatni taniec, leżała na ziemi przepiękna dziewczyna z wieńcem ze zwiędniętych kwiatów w umierających dłoniach. Nikt z uciekających towarzyszy nie ośmielił się jej podnieść. Cisza panowała również w karczmach. Tylko w jednej z nich otworzyły się drzwi, kiedy przechodził rabbi, i wyrzucono zwłoki, wokół których natychmiast zaczęły gromadzić się bezdomne psy. Od czasu do czasu przejeżdżał załadowany

zwłokami wóz, słysząc było bluźnierczy śpiew prowadzącego ten okropny pojazd, który chciał w ten sposób zagłuszyć okrucieństwo swojej ponurej misji. Potem znowu wszystko pogrążyło się w grozie śmierci i rozkładających się zwłok. Śmierć zniosła wszelkie różnice klasowe, nie było już ani biednych, ani bogatych. Nie było też różnicy między chrześcijanami i Żydami – nastąpiła tu prawdziwa równość. Zdawało się, że zmarło wszelkie życie. Królowała jedynie śmierć.

Było niezwykle cicho, prawie tak, jakby umarł cały świat. Tylko od czasu do czasu rabbi słyszał gdzieś w oddali kroki – a może było to tylko echo jego własnych kroków? Czyżby w tym ogromnym opustoszeniu nocy szedł jeszcze ktoś inny przez umierające miasto, może jakiś odważny ksiądz, który chciał udzielić umierającym ostatniego pocieszenia? Ale może rzeczywiście było to tylko echo jego własnych kroków. Nie, bez wątpienia przed nim szedł ktoś, kto chyba nie był chory. W ciszy nocnej słysząc było jego elastyczny, sprężysty krok. Tak mógł iść tylko człowiek zdrowy.

Nie miał wątpliwości, ktoś szedł przed nim w ciemnościach nocy, ale też szedł ktoś obok niego.

Im dłużej rabbi szedł przez wymierające miasto, tym mniej radości sprawiał mu oczekiwany triumf. Wielka godzina, którą zechciał mu Bóg jego ojców podarować, zmieniła swe oblicze; po prostu do niej nie dorastał. Jego łaknąca odwetu dusza coraz mniej potrafiła się cieszyć z nadarzającej się sytuacji. Mówił do siebie:

– Zastanów się, przecież jesteś Żydem, pomyśl o okrucieństwach wyrządzonych twoim braciom!

Lecz on już dłużej nie zastanawiał się. Czuł się tak, jakby u jego boku szła ukochana córka i słyszał jej ciuchutki, lecz zarazem niezwykle wyraźny głos:

– Ojczy, to tacy sami ludzie jak my – także wrogowie są naszymi braćmi.

Z każdym krokiem czuł coraz wyraźniej, jakby przez całą drogę towarzyszyło mu jego ukochane dziecko. Nagle doznał uczucia, jakby ona w ogóle nie umarła, i znowu usłyszał jej ostatnią prośbę:

– Widzę tego, który mnie pocałował, pomóż mu i jego braciom, żebym nie umierała na darmo.

I nagle zobaczył ją na własne oczy! Stała w śmiertelnej ciszy umierającego miasta, delikatna, czuła twarzyczka o niewidzących oczach, łagodnie oświetlona promieniami księżyca. Stała blisko niego, wydobyta z ciemności, tak jakby prowadziła go przez całą drogę, żeby tu właśnie go oczekiwać. Było całkowicie cicho, ucichły nawet idące przed nimi kroki.

Rabbi stał jak wrośnięty; znalazł się przed halą otwartego warsztatu, wypełnionego rozmaitymi głazami, które jak skamieniała morską pianą cisnęły się wokół oświetlonej łagodnym światłem księżyca postaci Mikal. Tak, to była ona. U jej stóp leżał ciężko dyszący człowiek. Teraz ponownie rabbiemu wydawało się, że słyszy bardzo wyraźnie jej słowa:

– Ojczy, widzę tego, który mnie pocałował. Pomóż mu i jego braciom, żebym nie umierała na darmo!

Mimo woli pochylił się nad leżącym na ziemi mężczyzną. A więc to był człowiek, który pocałował jego córkę!

W tej chwili jego ręce spotkały się z rękami tego drugiego, który towarzyszył mu przez całą drogę. Charon ben Israel stanął twarzą w twarz z arcybiskupem, któremu chciał nadal odmówić leczenia. Ale arcybiskup nie był chory i nie potrzebował leczenia. Jasno, spokojnie, ale jakże odmiennie spoglądał on teraz na rabiego.

– Charonie ben Israel – powiedział arcybiskup – kazałem cię zawołać, ale ty nie przyszedłeś, więc odszukałem

cię, bo jestem ci winien odpowiedź. Zapytałeś mnie, czy chrześcijanie kochają tych, których uważają za swoich wrogów? Nie, nie kochają ich, ale w przyszłości będą ich kochać, gdyż w Tortozie powiedziane zostały niezwykle prawdziwe słowa: miłosierdzie Boże potrafi przemienić nawet nasze błędy w błogosławieństwo. Szukałem synagogi i znalazłem Maryję. Na Sądzie Ostatecznym nikt nie będzie pytany o prawowierność, lecz o miłość i miłosierdzie.

Po tych słowach arcybiskup pochylił się nad leżącym na ziemi człowiekiem, rabbi poszedł za jego przykładem. Wspólnie przenieśli bezsilnego artystę na łożo na zapleczu warsztatu. Nie padło przy tym ani jedno słowo.

W kilka miesięcy później ustała epidemia dżumy w Santa Rosita. Ci, którzy przeżyli, zawdzięczali swe uratowanie wspólnym wysiłkom arcybiskupa i Charona ben Israel, którzy nie szczędzili żadnego trudu przy pielęgnowaniu i przywracaniu do zdrowia chorych mieszkańców miasta.

Na koniec warto jeszcze raz wsłuchać się w unikalny przekaz, który zachował się przez stulecia w tym narodzie i brzmi jak daleki, ludzki głos, niesiony szumem morza, to znowu przezeń zagłuszany. Mówi on o tych, którzy przeżyli zarazę i po jej wygaśnięciu zebrali się na uroczystym nabożeństwie dziękczynnym w katedrze i po raz pierwszy ujrzeli nad portalem obydwie wyrzeźbione przez Pedra della Barca wspaniałe postaci. Synagoga nie miała w dalszym ciągu na oczach tradycyjnej przepaski, a niektórzy z wchodzących do katedry zawołali:

– Przecież to jest Maryja!

Arcybiskup zaś przez jednego z kapłanów kazał im odpowiedzieć:

– Synagoga jest też Maryją, gdyż była ona bramą, przez którą przyszło do nas zbawienie świata.

I tak nadal stoi wdzięczna postać synagogi bez opaski nad portalem sławnej katedry. Jednakże spośród licznych

turystów, którzy w obecnych sprzyjających podróżom czasach oglądają to słynne dzieło i biorą je za postać Matki Bożej, tylko nieliczni usiłują odczytać na wpół zatarte słowa z Pieśni nad pieśniami, które – jak się powiada – sam Pedro della Barca wyrył u stóp postaci: *Jak śmierć potężna jest miłość i jak płomień Pański.*

Gertrud von le Fort

Die Tochter Jephtas und andere Erzählungen, Insel Verlag, Frankfurt am Main 1964, s. 187-202



Tom II

Spis treści

Przedmowa 5

Niezwykłe historie o aniołach i diabłach

Proboszcz Marcin idzie do piekła
Legenda średniowieczna 9

Diabeł i kolumna
Legenda średniowieczna 15

Spotkanie
Stara legenda judeo-chrześcijańska 21

Legenda o „nocy róż”
Starożytna legenda perska 25

Pomoc w czyścicu
Legenda średniowieczna 33

Przebranie Maryi
Legenda średniowieczna 37

Trzydzieści małych srebrników
Legenda średniowieczna 46

Przemysłny stolarz
Legenda średniowieczna 50

Saturnin leci do raju
Legenda średniowieczna 55

Dominus tecum, mój synu
Ludowa legenda hiszpańska 63

Kim jesteś?
Legenda z XVII wieku 66

- Egoizm daleko nie zawiedzie
Hiszpańska legenda ludowa 69
- Anioł i bożonarodzeniowe drzewko
Legenda ludowa z Wielkiej Brytanii 72
- Trzy nasionka
Stara legenda judeo-chrześcijańska 76
- Pazerny brat Hieronim
Ludowa legenda włoska 87
- Anioł i dziecko
Legenda skandynawska 92

Niezwykłe historie o świętych Bożych

- Znak Judasza
Z Ewangelii apokryficznych 97
- Piotr i mag
Ze Złotej legendy 102
- Święty Franciszek i wilk
Z Kwiatków świętego Franciszka 110
- Palma
Legenda z Azji Mniejszej 115
- Wyjątkowy kamień
Ludowe opowiadanie francuskie 121
- Wisienki świętego Piotra
Stara legenda ormiańska 125
- Człowiek, który stracił i odzyskał mowę
Z Ewangelii apokryficznych 128
- Zwodniczy rozum
Ludowa legenda apokryficzna grecko-rzymska 132
- Kołyska świętego Józefa
Legenda średniowieczna 134
- Święty Hubert, patron Ardenów
Ludowa legenda francuska 138

Pani z Montjardin	
<i>Legenda francuska</i>	145
Kuglarz Tytus	
<i>Stara legenda prowansalska</i>	150
Święty Teodor i pokora	
<i>Legenda bizantyjska</i>	161
Święty Antoni Padewski i ryby	
<i>Z Kwiatków świętego Franciszka</i>	162
Historia Prawego i Lewego	
<i>Legenda średniowieczna</i>	164
Ramiona świętego Krzysztofa	
<i>Ze Złotej legendy</i>	167
Lato świętego Marcina	
<i>Ze Złotej legendy</i>	173
Cel drogi	
<i>Stara legenda syryjsko-palestyńska</i>	175
Błędna odpowiedź	
<i>Stara legenda syryjska</i>	176
Miłość bez pytań	
<i>Opowiadanie ludowe z XVI wieku</i>	178
Cud Panny Maryi	
<i>Z Księgi Rycerskiej (XV wiek)</i>	181
Gra w kości	
<i>Ludowe opowiadanie rosyjskie</i>	188
Niezwykłe pranie	
<i>Francuska legenda ludowa</i>	192
Miasto smoka	
<i>Legenda prowansalska</i>	196
Opowiedz mi jakąś historię	
<i>Stara legenda judeo-chrześcijańska</i>	202
Maria i chleb ze znakiem krzyża	
<i>Legenda średniowieczna</i>	206

Bankiet świętej Zyty
Legenda średniowieczna 208

Pokora irlandzkiej dziewicy
Z Acta Sanctorum 211

Niezwykłe historie o męczennikach i świadkach

Jestem nikim
Z Acta Sanctorum 215

Odwaga Gordiasza
Z Acta Sanctorum 220

Kobieta z owieczką
Legenda przypisywana świętemu Ambrożemu 224

Siedmiu śpiących
Stara legenda syryjska 233

„Męczennik” Opatrzności
Polskie opowiadanie ludowe 242

Quo vadis?
Ze Złotej legendy 245

Uśmiech Apolonii
Z Acta Sanctorum 250

Gościnność Gaudencji
Ludowa legenda z Lacjum 252

Legenda o świętym Sebastianie
Legenda przypisywana świętemu Ambrożemu 256

Podróż świętej Urszuli
Legenda średniowieczna 258

Nawrócenie skąpca
Z Acta Sanctorum 267

Niezwykłe historie
o eremitach, słupnikach i pustelnikach

- Osąd eremity
Z Legend Ojców Jury 271
- Rufus słupnik i bociany
Stara legenda z Anatolii 277
- Laska starego żebraka
Stara legenda z Kapadocji 281
- Makary Egipski
Z Vitae Patrum 283
- Modlitwa Erazma
Z Legend Ojców Jury 287
- Erazm i Jan
Z Legend Ojców Jury 291
- Mądry eremita
Z Vitae Patrum 297
- Święta Maria Egipska
Z Vitae Patrum 302
- Rozum i posłuszeństwo
Stara legenda syryjsko-palestyńska 312
- Słupnik astrolog
Stara legenda syryjska 314
- Święty Paweł eremita i bieda
Z Acta Sanctorum 316
- Próba świętego Filoteusza
Stara legenda syryjska 318
- Ekstaza i kontemplacja
Stara legenda z Azji Mniejszej 320
- Kłótnia
Z Vitae Patrum 322
- Ewagriusz i susza
Stara legenda z Kapadocji 323

Jerzy i lojalność	
<i>Stara legenda z Azji Mniejszej</i>	324
Święty słupnik Alipiusz	
<i>Stara legenda z Azji Mniejszej</i>	326
Traconzio i pokusy	
<i>Legenda bretońska</i>	329
Eremita w dębie	
<i>Z Acta Sanctorum</i>	333
Święty Julian i ofiarna miłość	
<i>Ze Złotej legendy</i>	335

Niezwykłe historie o pielgrzymach i Bożych wędrowcach

Cud z Bolseny	
<i>Legenda średniowieczna</i>	341
Samotny pielgrzym	
<i>Legenda francuska</i>	345
Pątniczka z Marsylii	
<i>Legenda francuska</i>	347
Nieśmiała głosicielka	
<i>Stara legenda z Azji Mniejszej</i>	353
Skruszony pielgrzym	
<i>Legenda średniowieczna</i>	355
Dzwony świętej Brygidy	
<i>Z Acta Sanctorum</i>	358
Krzyżowiec i pielgrzym	
<i>Legenda średniowieczna</i>	360
Święta Hildegunda i Ziemia Święta	
<i>Z Acta Sanctorum</i>	362
Boży wędrowiec	
<i>Legenda celtycka</i>	364

Książę i pielgrzym
Legenda celtycka 366

Chrystusowy szaleniec
Legenda rosyjska 369

Uczni pielgrzymi
Legenda celtycka 372

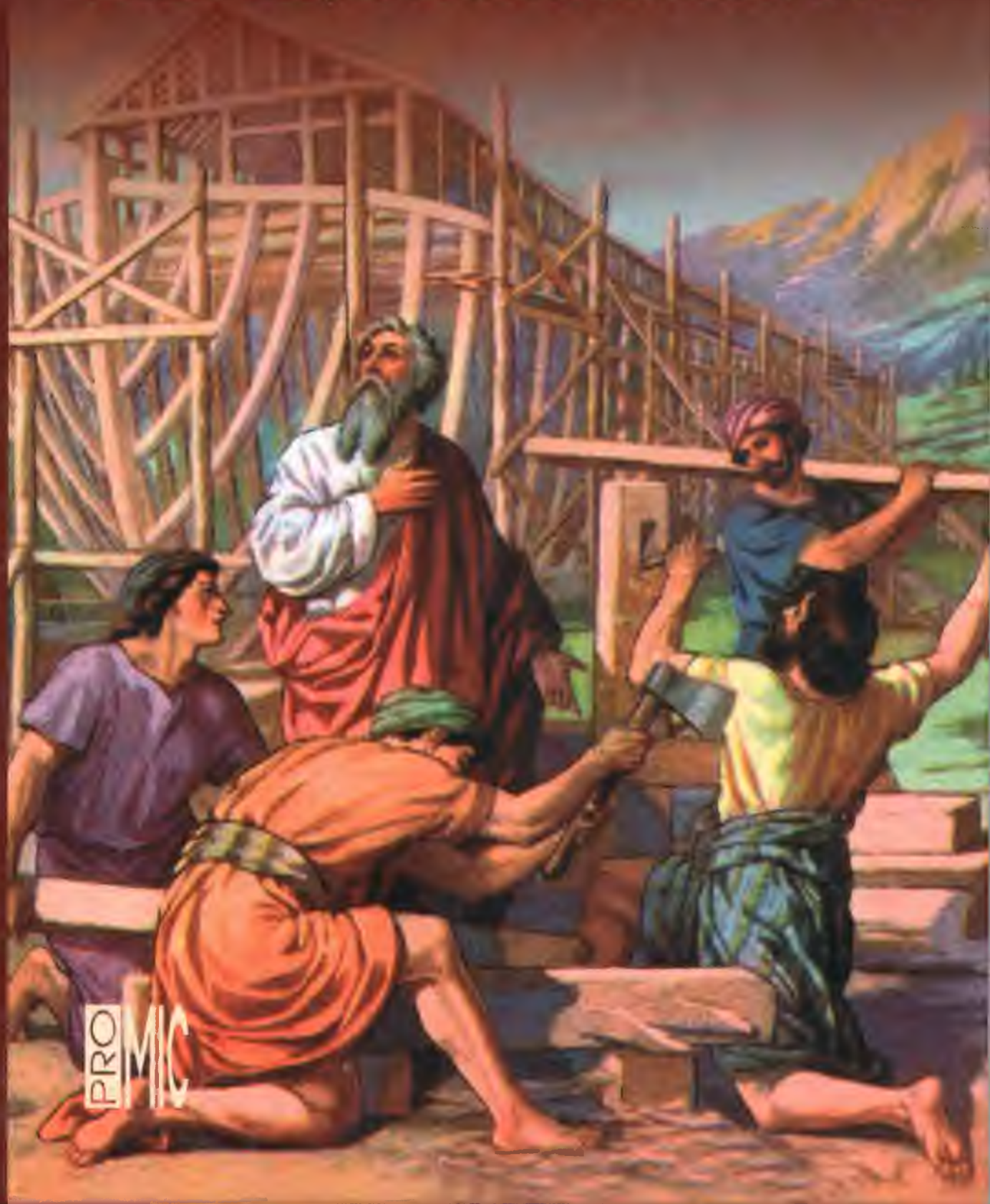
Dziedzic i bób
Średniowieczna legenda germańska 375

Święty Brendan i Wyspa Świętych
Legenda średniowieczna 377

Rzeka Pokoju
Legenda hiszpańska 383

Źródła. Bibliografia 385

Legendy chrześcijańskie



PRO
MIC

Niepowtarzalny zbiór opowiadań ludowych, mitów, anegdotek, zaczerpniętych z najróżniejszych źródeł i przełożonych na język współczesny.

Anioły i diabły, święci męczennicy, pustelnicy i słupnicy, pielgrzymi i boży wędrowcy – to przykłady niezwykłych postaci, występujących w tych starych legendach. Wiara, cud i czar mieszają się ze sobą i przeplatają w opowiadaniach o heroicznych czynach i cudownych przedsięwzięciach. Historie powstałe z tajemniczej gry wyobraźni, słowa i ducha utrzymane są w starodawnym stylu.

Dając się poprowadzić wartkiej narracji, Czytelnik przenosi się w niezwykłą podróż literacką, w atmosferę bajkową i niewinną, w fantastyczny świat, w którym to, co Boskie przenika to, co ludzkie, otwierając drzwi serca na rzeczy niesłychane i niemożliwe.

www.wydawnictwo.pl

ISBN 978-83-7502-045-8



9 788375 020458

cena 29,00 zł

LEGENDY CHRZEŚCJAŃSKIE

2

Niezwykłe historie o świętych,
męczennikach, pustelnikach i pielgrzymach

Wybór i opracowanie:
Roberta Bellinzaghi

Przekład:
Magdalena Dobosz



WARSZAWA

© Edizioni Piemme Spa
Via del Carmine 5, 15033 Casale Monferrato (AL) – Italy
Title of the original Italian edition:
Leggende cristiane by Roberta Bellinzaghi

© for the Polish edition by
PROMIC – Wydawnictwo Księża Marianów MIC, 2006

Dodruk do wydania I – 2010 r.

Projekt okładki: *Cezary Urbański*
Redakcja merytoryczna: *Bogusław Widła*
Redakcja techniczna: *Eliza Wiśniewska*
Korekta: *Ewa Litwiniak*

1922/K/668

Druk i oprawa:
Drukarnia na Księżym Młynie w Łodzi

ISBN 978-83-7502-045-8

ZAMÓWIENIA

PROMIC Spółka z o.o. Oddział w Warszawie
Wydawnictwo Księża Marianów MIC
ul. Św. Bonifacego 9/1, 02-914 Warszawa
tel. 22 651 90 54
sprzedaz@wydawnictwo.pl
www.wydawnictwo.pl

Przedmowa

Bajki, historie, legendy, mity... ile określeń jednego pragnienia: nagłego pojawienia się w naszym życiu niezwykłości, zachwytu, zdziwienia.

Badacze ludzkiego rozumu potrafią nam dziś wytłumaczyć mechanizm kierujący wymyślnym opowiadaniem, wyróżnili świadomość, nieświadomość, podświadomość itp., lecz z konieczności szukali i znaleźli wyjaśnienie „rozumowe”. Jednak gdzie w tym „piękno”?

Gdzie podział się urok akceptacji na ślepo, bez stawiania fatalnych pytań w stylu: „jak to”, „dlaczego”? Kto może stwierdzić z całkowitą pewnością, że zawsze istnieje jakaś przyczyna!

Każde racjonalne wyjaśnienie oparte jest na poszukiwaniu logicznego ciągu wydarzeń, którego nikt nie może zakwestionować, jednak to, co wydarzyło się sto razy, może nie wydarzyć się po raz sto pierwszy, a zatem... ten jeden jedyny raz, kiedy coś nie ułożyło się tak, jak tego oczekiwaliśmy, co to jest?

To jest wtargnięcie czegoś nieuchwytnego, zadziwiającego i może... cudownego. Trudno powiedzieć, skąd pochodzi i dokąd prowadzi, można tylko snuć różne hipotezy.

Bez wątpienia jednak ten sto pierwszy raz kryje w sobie nieznaną siłę, którą można by nazwać „darmo daną”, to znaczy coś, co przychodzi nieprzewidziane, bez jakiegokolwiek związku przyczynowo-skutkowego.

Te historie są przeniknięte darmo danymi Bożymi darami, które mogą zmylić ludzki rozum, zawsze skory

do porządkowania. To są opowiadania, które przywracają zadziwienie wobec świata z wczesnego dzieciństwa, kiedy wszystko wydawało się nowe i nieznane.

Jednak aby żyć, potrzebujemy pewności, wiedzy co jest dobre, a co nie, co jest ważne, a co nie, co nam pomaga, a co przeszkadza, co przyjąć, a co odrzucić, aż w końcu pewna dwoistość staje się władcą absolutnym naszego życia i zapominamy, że Rzeczywistość stoi zawsze ponad przekonaniami i wyborami.

Niezwykłość ukryta w życiu wydaje się tak naturalna, że nawet jej nie dostrzegamy, przyzwyczajeni do naszego schematycznego porządku myślowego. Aż do momentu, kiedy pewnego dnia spotkamy na swojej drodze coś „darmo danego” i wtedy jesteśmy porażeni jego mocą.

Te historie opowiadają o niepozornych, a jednak wstrząsających „wydarzeniach”, w których nawet kamień może zostać bohaterem wielkiej przygody.

Cudowne zjawiska przewijają się cicho, bez zbędnej sensacyjności, wyrażają się w spojrzeniu, skinieniu, poruszeniu duszy, słowie, wydarzeniu na pozór nic nie znaczącym, po którym jednak nic już nie będzie jak dawniej.

Radość istnienia stanowi wątek, myśl przewodnią, która na swój sposób przenika wszystkich bohaterów, ogarniając bez różnicy zarówno człowieka, jak i to, co go otacza.

Historie te tworzą subtelną sieć zaskakujących spotkań, jak na przykład spotkanie Jezusa z małym „Dlaczego”, Franciszka z wilkiem, Zosima z Marią, Piotra z magiem, Erazma z Janem, Wilhelma z diabłem, człowieka z tym, co boskie, ściśle połączonych między sobą tym, co musi się wydarzyć, i tym, co to czyni możliwym.

Roberta Bellinzaghi

Niezwykłe historie o aniołach i diabłach



Proboszcz Marcin idzie do piekła

Legenda średniowieczna

Ta historia opowiada o księdzu Marcinie, wielbnym proboszczu Kukanii. Od młodości Marcin marzył, że zostanie dobrym proboszczem i wniesie pokój oraz radość w serca tych, którzy będą jego parafianami, czyniąc ze swojej parafii rodzaj szczęśliwej wyspy w świecie pełnym goryczy i nienawiści.

Marcin uczył się pilnie i został wyświęcony na kapłana. Pewnego dnia biskup przywołał go i poinformował, że mu powierza parafię w Kukanii.

Proboszcz Marcin przybył do swojej parafii bardzo wcześnie rano i zobaczył, że nikt na niego nie czeka. Trochę był tym zawiedziony, ale nie zniechęcony, i jeszcze tego samego dnia przystąpił do realizacji swojego marzenia.

– Nasz proboszcz jest jak natka pietruszki, wszędzie można go znaleźć – mruzcili mieszkańcy Kukanii. Ale bardzo go polubili, nawet jeśli na spacer do kościoła czy modlitwę zwyczajnie nie mieli ochoty.

Proboszcz Marcin nie pomijał nikogo: jego święta gorliwość niosła go od domu do domu i każdy w parafii mógł powiedzieć, że otrzymał od niego dobre słowo czy mądrą radę.

W niedzielę jednak niewielu przychodziło do kościoła i odwzajemniało uprzejmość proboszcza, co go bardzo martwiło.

W pewną niedzielę rano proboszcz Marcin wszedł na ambonę, rozejrzał się po zniszczonym, prawie pustym kościele, po czym powiedział takie oto słowa:

– Chciałbym zdradzić moim drogim parafianom sposób na zdobycie skarbu, który uczyni wszystkich bogatymi i szczęśliwymi. Ale skoro dziś jest was tak mało, wolę wyjawić sekret w przyszłą niedzielę, tak żeby każdy mógł mieć w nim udział.

Po czym zszedł z ambony, nie dodawszy już ani słowa.

Możecie sobie wyobrazić, jaki tłum był w kościele w następną niedzielę! Kto by przepuścił okazję, żeby dowiedzieć się, gdzie znaleźć skarb?

Proboszcz wszedł na ambonę w całkowitej ciszy, wszyscy patrzyli na niego w trwożnym oczekiwaniu.

– Możecie być spokojni, skarb jest i wystarczy dla wszystkich. Gdzie go szukać, wkrótce się dowiecie. Teraz posłuchajcie uważnie, co mi się przydarzyło.

– Ubiegłej nocy obudził mnie nagle dziwny wiatr, który wtargnął do mojego pokoju. Wstałem, wyjrzałem przez okno i wicie, co zobaczyłem? Anioła, całego w bieli, który ręką dawał mi znak, żebym podążył za nim. Wystarczyło, że zapragnąłem pójść z nim, i w mgnieniu oka znalazłem się u drzwi Raju. Były piękne, ogromne, błyszczące. Otworzył mi sam święty Piotr, w dłoniach trzymał złote klucze do otwierania wrót prowadzących z doczesności do wymiaru wiecznego. Tam święty Piotr trzymał wielką księgę, na której kartach zapisane były wszystkie dusze z Raju, zarówno te, które już tam były, jak i te, które dopiero miały przybyć. Zatem, skoro tam byłem, i to na ich zaproszenie, ośmieliłem się zapytać, ilu mieszkańców Kukanii widnieje w księdze.

– Święty Piotr, który, zapewniam was, jest człowiekiem bardzo serdecznym, przeglądał dokładnie stronę po stronie, a ponieważ nie obejmował go czas, zajęło mu to nie więcej niż jedną chwilę.

Możecie wyobrazić sobie moje zdumienie, kiedy obwieścił mi, iż nikt z Kukanii nie widnieje na liście. Zacząłem rozpaczać:

– Jak to, nikt?

Święty Piotr pocieszał mnie:

– Proszę się nie martwić, księżo Marcinie, zobaczycie, że parafianie pewnie muszą odpokutować jakiś grzeszek. Znajdziecie ich bez wątpienia w czyścću. Od razu wyślę was w moim imieniu do Świętego Odźwiernego i tam będziecie mogli sami sprawdzić.

Nadal w towarzysztwie milczącego anioła zszedłem kilka pięter niżej i zastukałem do drzwi czyścća. Droga była tragiczna, pełna kłujących kamieni i głębokich przepaści, a z każdej dochodziły długie westchnienia podobne do podmuchów wiatru. Otworzył mi Święty Odźwierny, który został uprzedzony o moim przybyciu.

Kiedy sprawdzaliśmy imiona w wielkiej księdze Pokuty, słyshałem zlewające się głosy, które szemrały bez przerwy:

– Och, gdybym był nie zrobił... Ach, gdybym był nie powiedział... Ale jak mogłem nie zrozumieć... A przecież to byłoby takie proste...

Było mi bardzo żal tych biednych dusz: bardzo chciałem pomóc każdej z nich!

W końcu dotarliśmy do ostatniej strony księgi i Święty Odźwierny powiedział, ciężko wzdychając:

– Proszę być spokojnym, wielebny, po mieszkańcach Kukanii tu w czyścću nie ma nawet śladu: z pewnością wszyscy będą w Raju.

Czułem, jak ziemia usuwa mi się spod nóg! Jak to? Jeśli mieszkańców Kukanii nie było ani w Raju, ani w czyścću, to oznaczało, że... nie śmiałem dokończyć tej strasznej myśli.

Dobry anioł, który mi towarzyszył, wydawał się wahać niezdecydowany. Czy zechcę pójść jeszcze niżej?

Tak, upewnię się osobiście, że nie nastąpiło jakieś nieporozumienie. Byłem zdecydowany zejść nawet do piekła!

Odźwierny z czyścica spojrział na mnie z wyrozumiałością, wręczył mi specjalne buty, żeby chroniły moje stopy w czasie drogi do piekielnych otchłani, dał mi także grube ciemne okulary do patrzenia w płomienie.

Wziąłem się w garść i, podążając za aniołem, zacząłem schodzić coraz niżej.

Żar robił się nie do zniesienia, nie dałbym rady, gdyby co pewien czas anioł nie musnął mnie dużymi skrzydłami, darując mi nieco ochłody.

Na końcu tej drogi ciemnej i spalonej zobaczyłem w pewnej chwili bramy piekła, rozwarte szeroko jak paszcza jakiegoś potwora!

W tym momencie proboszcz Marcin przerwał na chwilę opowiadanie ocierając sobie chusteczką pot z czoła, jakby wystarczyło samo wspomnienie, żeby zrobiło mu się gorąco.

Parafianie, z zadartymi głowami, wstrzymali oddech.

– A więc byłem w piekle – podjął ksiądz. – Anioł nie przekroczył progu, a ja też, prawdę mówiąc, najchętniej bym tego nie robił. Słysząc było tylko wrzaski i zawożenia, powietrze przenikały najbardziej nieprzyjemne zapachy, a co jakiś czas ktoś wydawał straszliwe okrzyki.

– No i co, wchodzisz czy nie? – zapytał mnie niespodziewanie garbaty diabeł z wielkimi widłami w ręku.

– Zostaw mnie w spokoju – jęknąłem błagalnie cały przestraszony. – Jestem sługą Bożym!

– Na wszystkie diabły! A zatem, czego tu szukasz? Żarty sobie ze mnie stroisz? Wiedz, że nie opłaca ci się! Sługa Boży czy nie, porządnie cię przypiekę.

Potem, zobaczywszy czekającego za progiem anioła, zapytał mnie ponownie:

– Powiedz mi, czego chcesz, i idźcie sobie, ty i twój wypłowiasty towarzysz.

Zebrałem się na odwagę i zapytałem:

– Chciałbym tylko wiedzieć, czy macie tu u siebie któregoś z moich parafian z Kukanii...

Diabeł nie dał mi dokończyć zdania i wybuchnął śmiechem, który u nas wstrząsnąłby całą parafią:

– Głupi jesteś? Każdy wie, że mieszkańcy Kukanii są wszyscy tutaj.

Poruszony bardziej niż umiem to wyrazić, spojrzałem w tę nieprzeniknioną, ciemną przestrzeń i wśród płaczów i krzyków zobaczyłem was wszystkich co do jednego...

Byłem tak przerażony, że nie mogłem ruszyć się z miejsca i stałem jak wryty przed tym śmierdzącym diabłem, dopiero anioł wyciągnął szybko jedno skrzydło nad progiem piekła i zabrał mnie ze sobą.

I teraz jestem tutaj, żeby wam opowiedzieć tę nieprawdopodobną przygodę. Ale czy można tak dalej żyć i wędrować jak Beoci prosto do piekielnej otchłani?

Proboszcz Marcin nagle zamilkł, przyglądając się uważnie, jaki skutek wywołały jego słowa.

Mieszkańcy Kukanii, oszołomieni szczegółami cudownej przygody, jaka spotkała ich proboszcza, milczeli, ale wszyscy byli bladzi i drżący.

Kapłan nabrał powietrza i, korzystając z tej chwili ogólnego przerażenia, ciągnął:

– A zatem nie może tak być, i ja postanowiłem zrobić wszystko co możliwe, by wyrwać was z przepaści, ku której zmierzacie. Zaczniemy od jutra. W poniedziałek wypowiadam starców, i mam nadzieję, że nie będę miał dużo pracy. We wtorek dzieci, i to będzie dzień odpoczynku. W środę będę spowiadał mężczyzn, i to będzie prawdziwie trudny dzień. W czwartek kobiety..., biedne moje uszy. W piątek wiem, kogo będę spowiadał... po-

wiadomię go w cztery oczy. W sobotę rano każdy z czystym sumieniem będzie czekał na niedzielną Mszę świętą, na złość tym szczerwanym diablom, które już cieszą się, myśląc o was.

– A skarb? – nieśmiało ktoś zapytał.

– Prawdziwym skarbem jest pokój w sercu i pogodne życie w cieniu dobrego Boga. Nie trzeba robić wielkich rzeczy, wystarczy Go kochać... reszta sama przyjdzie.

– A teraz życzę wszystkim miłego dnia i niech się dzieje, co ma się dziać! – uciał krótko proboszcz Marcin.

Po kazaniu z tamtej niedzieli wszystko się zmieniło. Nie żeby wszyscy stali się święci! Ale proboszcz Marcin śnił co noc, że prowadzi wielką procesję, w której on i jego parafianie podążali gwiazdą drogą do miasta Boga.



Diabeł i kolumna

Legenda średniowieczna

Wiele lat temu, podczas bardzo mroźnej zimy, w najbiedniejszej dzielnicy na peryferiach Pragi żył człowiek, któremu przydarzyła się nieprawdopodobna przygoda.

Biedak udał się do lasu, żeby nazbierać drewna, mając nadzieję, że uda mu się chociaż trochę ogrzać dom. Przemierzał właśnie las, zatopiony w swoich smutnych myślach, kiedy usłyszał za plecami szelest opadłych liści. Odwrócił się podejrzliwie, zadając sobie pytanie, kto mógł zapuścić się w las w taki mroźny dzień.

Zobaczył, że podąża za nim jakiś mężczyzna owinięty w obszerny czarny płaszcz obszyty futrem, z twarzą niewidoczną pod kapturem i dłońmi w mufce.

Ta wysoka postać miała w sobie coś złowrogiego!

Biedak, przestraszony, przyśpieszył kroku, ale nie zdołał oddalić się od mrocznej postaci. Trzeba było zatem stawić czoło sytuacji i przemówić. Gorzej już być nie mogło! Zwrócił się więc do zakapturzonego nieznajomego, pytając uprzejmie, czy zgubił drogę i czy mógłby mu być w czymś pomocny.

Tamten spojrzał na niego ze swojego ciemnego schronienia i odpowiedział z obcym akcentem:

– Nie, ja nie gubię się łatwo. Ale jeśli o was chodzi, w tym kubraku nie jest wam zimno?

Biednemu człowiekowi wydało się nieprawdopodobnym, że może komuś opowiedzieć o swoich strapieniach,

dlatego wylał całą swoją gorycz i ból z powodu życia pełnego trudu i niedostatku.

– Widzicie, także teraz mogę tylko zebrać trochę drwa, ale nie wiem, jak nakarmić dzieci po powrocie do domu.

Nieznajomy wydawał się zainteresowany historią i przytakiwał od czasu do czasu, wypowiadając słowa współczucia.

Kiedy opowiadanie dobiegło końca, nastąpiła chwila ciszy i biedak zastanawiał się, czy nie było aby czymś niestosownym tak się wyżalić, ale nieznajomy jakby czytał w jego myślach, bo powiedział:

– Dobrzeście zrobili otwierając wasze serce, myślę, że będę mógł coś dla was uczynić!

– Och, byłbym niezmiernie wdzięczny – odpowiedział biedak, zaskoczony i pełen nadziei wobec nieoczekiwanej propozycji. – Oczywiście chodzi o pomoc tymczasową, oddam jak najszybciej – dodał pośpiesznie.

– Nie będzie to konieczne. Mogę zapewnić ci bogactwo, ale tylko jeśli w zamian dasz mi to, co twoja żona będzie trzymała w ręku, kiedy wrócisz do domu.

I to powiedziawszy, tajemniczy rozmówca wyciągnął z mufki pióro wraz z gotowym już kontraktem.

– Co to ma znaczyć! – pomyślał biedak. – Nie mamy nic cennego: mogę spełnić tę dziwną prośbę, niewiele tracąc. Wziął pióro, ale nie wiedział, w czym je zanurzyć. Tamten wyciągnął wtedy szybko z mufki nożyk z ozdobnym trzonkiem, i zrobił nim małe nacięcie na ramieniu mężczyzny, by użył swojej krwi jako atramentu.

Po dopełnieniu formalności skinął głową, owinał się płaszczem i zniknął wśród leśnych drzew.

Nasz bohater nie wiedział, co o tym myśleć. Słyszał opowieści o dobroczynnych czarodziejach, którzy krążą po lasach..., może właśnie spotkał jednego z nich. Ale jakie było jego osłupienie i trwoga, kiedy wchodząc do domu, napotkał żonę trzymającą w ramionach najmłod-

szego synka. Straszne przeczucie przeszło mu przez głowę, jak błyskawica: może człowiek z lasu był diabłem?

Od tego momentu rzeczywiście wszystko obróciło się ku dobremu i dostatek zagościł w jego domu. Wydawało się, że w każdej sytuacji los sprzyja jego rodzinie. Ale on nie miał spokoju. Zwierzył się sąsiadowi, opowiadając mu o dziwnym spotkaniu i nękających go wątpliwościach.

Przyjaciół nie wiedział, co doradzić, myślał i myślał, aż w końcu pewnego wieczora zastukał do drzwi i powiedział:

– Jedyne co można by zrobić, to jak najszybciej ochrzcić dziecko, nadając mu imię Piotr. Wielki święty z pewnością będzie chronił go lepiej, niż my możemy to zrobić.

I tak uczynili, ale i to nie wystarczyło, żeby uspokoić zatrokanego ojca, który czuł się okropnie winny.

Pewnej nocy święty Piotr, zdjęty współczuciem, ukazał mu się we śnie zapewniając, że zatroszczy się o małego. Niechby tylko diabeł spróbował z nim zadrzeć!

Ten znak przychylności przywrócił pokój naszemu bohaterowi, ale nie do końca. Możecie sobie zatem wyobrazić jego radość, kiedy syn, wyrósłszy na dobrego i mądrego chłopca, poprosił ojca o pozwolenie na naukę w klasztorze, bo chciałby zostać księdzem.

– Z pewnością diabeł nie zabierze księdza! – powtarzał sobie, nie mogąc się doczekać chwili, kiedy syn odprawi swoją pierwszą Mszę.

Chłopak oddawał się nauce ze szczerą pobożnością i dobrą wolą, dlatego już wkrótce mógł przyjąć święcenia kapłańskie i w końcu ustalono dzień jego pierwszej Mszy.

Ojciec był w siódmym niebie ze szczęścia: teraz ten chłopak należał do Boga i diabeł nigdy nie ośmieli się wtrącić.

Przez całą noc tylko wiercił się w łóżku w oczekiwaniu świtu, jakby już samo światło dzienne było gwarancją bezpieczeństwa. Wcześniej rano wstał i zaczął przygoto-

wywać się do ceremonii, kiedy nagle zjawił się diabeł, żądając uregulowania zobowiązań.

Miał na sobie ten sam płaszcz i tylko spod kaptura zauważyć można było czerwone błyski.

– A teraz daj mi, co mnie się należy! – zażądał stanowczo z tym swoim dziwnym akcentem.

Biedakowi wydawało się, że serce mu zamarło, uczeplił się krawędzi łóżka, żeby nie runąć na podłogę i rozpaczliwie szukał odpowiednich słów, by zyskać na czasie.

W tym samym czasie rozbłysło w pokoju silne światło i wynurzył się z niego święty Piotr.

– Nie wydaje ci się, że przesadzasz? – powiedział zwracając się do diabła. – Żądasz duszy człowieka, który ma być poświęcony Bogu. Miej na uwadze, że Jego gniew będzie straszny!

– Co tam bredzisz? – odpowiedział władca ciemności. – Ja domagam się tylko tego, co mi się prawnie należy. Między mną a tym człowiekiem została zawarta prawomocna umowa, której warunków ja w pełni dotrzymałem. Może uczciwość już nic dla ciebie nie znaczy, mój drogi Piotrze?

Święty Piotr nie dał się zbić z tropu, a wiedząc jak bardzo jego przeciwnik lubi wyzwania, rzucił mu rękawicę:

– Więc dobrze, zrobimy tak: jeśli uda ci się dolecieć do Rzymu i przynieść mi tu jedną z kolumn katedry, która nosi moje imię, zanim Msza i święcenia kapłańskie dobiegną końca, wtedy bez dalszych dyskusji będziesz mógł odejść z duszą, której się domagasz.

Szatan nie mógł nie ulec urokowi zakładu, zresztą święty Piotr dawał do zrozumienia, że nigdy by mu się nie udało sprostać zadaniu, ale już on mu pokaże do czego jest zdolny! I natychmiast się zgodził.

Podczas gdy diabeł leciał w kierunku Rzymu, młody ksiądz, cały przejęty, zaczynał odprawiać swoją pierwszą

Mszę. Szatan nie wątpił w swoją wygraną; a jakże, postanowił zakpić sobie ze świętego i wyrwał kolumnę z kościoła Maryi Panny na Zatybrzu, aby następnie podać ją za kolumnę z katedry Świętego Piotra.

Ale ze świętymi nie jest tak łatwo, święty Piotr nie spuszczał z oka diabła, który tymczasem był już nad Wenecją ze swoim ciężkim ładunkiem na ramionach.

Co robić? W tym tempie będzie z powrotem w Pradze z pewnością przed końcem Mszy. Piotr postanowił więc zwrócić się do świętego Marka z prośbą o pomoc.

Potężne skrzydła diabła pruły niebo nad Wenecją jak ciemne chmury, a pot spływający mu z czoła spadał na ziemię w postaci dużych gradowych grudek.

Wenecjanie, obserwując w zamyśleniu niebo, przewidywali rychłą burzę. Także diabeł wzniósł oczy, czując jak porywisty i zupełnie nieprzewidziany wiatr smaga mu ciało.

Co się działo? Znajdował się w samym środku wiru, który ściągał go coraz niżej. Nie do wiary, ale jego siła nie była w stanie przeciwstawić się huraganowi i zanim zdążył zrozumieć, co się dzieje, ciężka kolumna wpadła do wody z przeraźliwym pluskiem, nie zostawiwszy mu czasu na wezwanie posiłków z otchłani. Szatan wpadł w straszliwą złość, ale nie mógł pozwolić sobie na stratę czasu. Dał nurka w wody laguny i wśród głośnych złorzeczeń, które wszyscy wzięli za grzmoty, wyciągnął z trudem kolumnę na powierzchnię. Załadował ją sobie ponownie na ramiona i kontynuował lot w kierunku Pragi. Przeleciał nad Alpami i nagle poczuł, że jest mu bardzo zimno. Pomimo że był diabłem, wyłowienie tego ciężkiego kamiennego pakunku kosztowało go naprawdę dużo wysiłku!

Postanowił zatem prosić o wsparcie swoje zastępy piekielne, nie chciał jednak wyjaśniać powodów tej dziwnej podróży. Tymczasem zimno dokuczało mu coraz bar-

dziej. Małe sopelki u wielkich skrzydeł sprawiały, że te stawały się coraz cięższe. Wbrew swojej woli, musiał zatrzymać się właśnie na szczycie wysokiej góry. Wycieńczony położył swój ładunek, który o mało co nie stoczył się w dolinę. I starannie otoczył całe swoje ciało grubą zasłoną z gęstego dymu, która niezwłocznie utworzyła ciepłą barierę ochronną.

Tymczasem w Pradze ojciec młodego księdza uczestniczył zalekniony w Mszy, spodziewając się, że usłyszy nagle uderzenia potężnych skrzydeł powracających z dalekiej Italii.

Niespokojny, wiele razy wychodził już z kościoła i obserwował niebo, wzbudzając powszechną dezaprobatę.

Nieco dalej, osłonięty swoim własnym oddechem, diabeł ruszył śpiesznie i teraz szybował bez przeszkód w stronę miasta, pewien, że przybędzie przed końcem Mszy.

I rzeczywiście, oto kościół!

Brakowało jedynie kilku uderzeń skrzydeł i w końcu byłby na miejscu, kiedy jego wyostrzony słuch wyłapał słowa zakończenia liturgii: „Ite, Missa est!”.

Złość go zaślepiła. Nie do wiary: święty Piotr wygrał zakład zaledwie o kilka chwil!

W przystępie gniewu, chwycił kolumnę i rzucił nią jak strzałą wprost w kopułę kościoła. Potężne sklepienie zostało dosłownie przedziurawione diabelskim pociskiem, który roztrzaskał się z wielkim hukiem na trzy duże bloki, a ziemia zadrżała wstrząśnięta jakby dreszczem. Szatan tym razem przegrał dzięki dobroci świętego Piotra! Ale wiedz człowiecze, że pokusa zawarcia układu z diabłem może doprowadzić do zupełnie innego zakończenia...



Spotkanie

Stara legenda judeo-chrześcijańska

W Jerozolimie tego dnia było święto. Ludzie przemierzali ulice, rozprawiając o tym i owym, tu i tam widać było stragany pełne towarów, wyglądały, jak małe miejskie kwietniki, a dzieci, podekscytowane tą radosną atmosferą, biegały podskakując wśród nawoływań rodziców. Jedno z nich, korzystając z zamieszania, oddaliło się pośpiesznie. Był to siedmioletni chłopiec, chudy i ciemnoskóry, z dużymi czarnymi, wiecznie rozbieranymi oczyma.

Wszystko pilnie obserwował, ciekawy tego świata, którego jeszcze nie znał. Każda rzecz go interesowała, a ponieważ wszystko chciał wiedzieć, przylgnęło do niego przezwisko „Dlaczego”.

Każde stworzenie spotkane po drodze natychmiast zamieniało się w pytanie, nieustanne utrapienie dla tego, kto znajdował się nieopodal.

Wszystko dla niego mogło być źródłem poznania i tak od pytania do pytania zawsze w końcu oddalał się od domu, jak mały badacz, który nigdy nie ma dość nowych przygód.

Tego dnia szedł za dziwnym kulejącym psem, który wydawał się, jak on sam, gonić za jakimś bliżej nieokreślonym, tajemniczym obiektem.

Skreca tu, potem znów tam, pies i jego mały towarzysz znaleźli się na wzgórzach, w małym gospodarstwie nazywanym Ogrodem Oliwnym.

Zmierzchało i pierwsze cienie czyniły polowanie jeszcze bardziej interesującym.

Pies wydłużył krok i teraz mały „Dlaczego” z trudem za nim nadążał. Już wydawało mu się, że zgubił ślad, kiedy nagle dostrzegł swojego włochatego przewodnika, merdającego ogonem u stóp jakiegoś człowieka, który siedział tam samotnie.

Mężczyzna głaskał powoli psa, jakby miał świadomość, że nigdy już nie powtórzy tego gestu.

– Dzień dobry, czy to pański pies? – zapytało dziecko nadbiegając zadyszane.

– Nie – odpowiedział mężczyzna, który dopiero teraz spostrzegł małego.

– Dlaczego tutaj siedzisz, kiedy wszyscy są w mieście świętując?

Człowiek wydawał się zaskoczony tym nieprzewidywanym spotkaniem, wahał się niezdecydowany między skrępowaniem a serdecznością.

Pomyślał przez chwilę, potem uśmiechnął się i powiedział:

– Ponieważ czekam tu na mojego ojca.

– Ale ja nie widzę twojego ojca: czy jest bardzo stary?

– Jest bardzo stary i bardzo młody.

– Jak może być stary i młody?

– Ty kiedyś byłeś mały, teraz jesteś bardzo młody, potem staniesz się mężczyzną, a w jeszcze dalszej przyszłości będziesz bardzo stary; on natomiast w każdej jednej chwili jest całym swoim życiem.

– Oh, bardzo chciałbym poznać całe moje życie! – odpowiedziało dziecko. Po chwili dodając:

– Gdybym wiedział, co przydarzy mi się jutro, może nie zrobiłbym tego, co robię, ale coś innego. Co o tym myślisz?

– Z pewnością, ale gdybyś nie zrobił tego, co robisz, również to, co przydarzyłoby ci się jutro, byłoby czymś innym!

– Ach, jakie to skomplikowane! Czyli co powinienem zrobić?

– Dobrze wykonuj to, co wynika z potrzeby chwili; o resztę zatroszczył się już Bóg.

– W tej chwili dobrze mi tu z tobą, a tobie?

– Również mnie w tej chwili dobrze tu z tobą.

– A jutro, co będziesz robił?

– To, czego Bóg zechce.

– A więc dlaczego jesteś smutny? Bóg nie chce dla ciebie czegoś pięknego?

– Bóg nie przewiduje rzeczy pięknych lub brzydkich, On nie myśli tak jak my.

– Czyli to, co my myślimy, nie jest nigdy tym, co myśli Bóg?

– Nie, nie jest nigdy tym samym.

– Dlaczego?

– Dlatego, że nasz umysł jest mały i widzi w wąskim kadrze, podczas gdy Bóg nie ma żadnych ograniczeń, dla Niego nie istnieje ani czas, ani przestrzeń.

– Nie mogę wyobrazić sobie tego, o czym mówisz.

– Nic w tym dziwnego, dlatego musisz Mu zaufać.

Pies podniósł się i machał ogonem, patrząc niespokojnie to na Jezusa, to na małego, w nadziei, że któryś z nich pobawi się z nim.

– A jak się nazywasz?

– Jezus z Nazaretu.

– Masz dzieci?

– Tak, i to wiele.

– A ile?

– Tej nocy popatrz na niebo: każda gwiazda to jedno moje dziecko.

Mały „Dlaczego” nie wydawał się wcale zaskoczony tą odpowiedzią. Jak każdy brzdąc miał dar obserwowania rzeczywistości przez zaczarowane drzwi, za którymi gwiazdy nie są już gwiazdami, ale żywymi stworzeniami, a każde słowo ma tajemnicze znaczenie.

– Dobrze byłoby bawić się tam w górze z twoimi dziećmi... Jak mogę się tam dostać?

– Podejdź do mnie i zamknij oczy – odpowiedział Jezus.

I na kolanach Jezusa dziecko zostało przeniesione w miejsce tak wspaniałe, że nigdy nie było w stanie opisać go innym, a nie przestało go szukać przez resztę swojego życia.

Ściemniało się, ale „Dlaczego” nie chciał opuścić nowego przyjaciela.

– Teraz już idź, mój mały, twoi rodzice będą cię szukać – powiedział łagodnie Jezus, rozstając się niechętnie po tym ostatnim czułym spotkaniu.

– Jezu, kiedy będę mógł Cię znowu zobaczyć?

– Kiedy tego zapragniesz, zamknij oczy, zapomnij o świecie, który cię otacza, a mnie spotkasz.

Mały „Dlaczego” biegł w stronę domu z rozpostartymi ramionami, jak ptak na wietrze, co jakiś czas odwracał się i wykrzykiwał swoje pozdrowienie, pies biegł za nim, podskakując radośnie, a Jezus patrzył za nimi zamyśloni, aż zniknęli na horyzoncie.



Legenda o „nocy róż”

Starożytna legenda perska

Legenda głosi, że z wszystkich arabskich królów, którzy panowali w mieście Toledo, Zenon był najbardziej bezlitosnym prześladowcą chrześcijan. Nie uznawał on innej wiary poza muzułmańską i postawił sobie za cel zabić każdego, kto nie chciałby oddawać czci Allachowi i prorokowi Mahometowi, nawróciwszy się na przesłanie Koranu.

Podziemia jego pałacu zamieniono w mroczne więzienne lochy, w których schwytni chrześcijanie pozostawali zamknięci w oczekiwaniu na możliwe nawrócenie bądź ostateczny wyrok, w przypadku gdyby obstawali przy swojej absurdalnej wierze.

Dusza Zenona stwardniała w okrutnych bitwach o podbój półwyspu, a była jeszcze bardziej zamknięta na miłosierdzie, bo nieugięcie przeświadczona o misji niesienia zagubionemu Zachodowi światła prawdy.

A uznawał tylko swoją prawdę i nie dopuszczał żadnej rywalizacji: była to prawda martwa, jak staw, którego nieruchome wody mogą tylko gnić.

Dotarłszy zwycięsko do Hiszpanii, król zapragnął mieć przy sobie ukochaną córkę Casildę, która, jak każda młoda osoba spragniona przygód, wyczekiwała z niepokojem tej podróży na obce ziemie, znane jej jedynie z opowieści.

Ojciec polecił wybudować dla niej książęcy pałac, który ozdabiały liczne kolumnady i przestronne sale wzbogacone cennymi mozaikami, identyczne z tymi pozostawionymi w odległej ziemi Mahometa.

Casildę od razu oczarował ten kraj, po części podobny do jej ojczystej ziemi, ale zarazem zupełnie inny, jeśli chodzi o grę światła i urok pejzażu. Lud hiszpański podbił jej serce i wkrótce całe Toledo mówiło o słodkiej córce Zenona.

Z natury otwarta, młoda Arabka otoczyła się nowymi przyjaciółmi, od których nauczyła się miejscowych zwyczajów i tradycji, a ci żartobliwie nazywali ją „księżniczką ciekawską”. Ze smutkiem jednak Casilda zauważyła, że imię jej ojca nie wzbudza sympatii, a nawet wywołuje strach i nieufność.

Dziewczyna zastanawiała się nad głęboką zmianą, jaka zaszła w tym człowieku, którego zawsze знаła jako mądrego i uprzejmego, a który stał się zagorzałym wrogiem wszystkiego, co nie należało do ich kultury. Pamiętała go całkiem innego, kiedy w ogrodach przylegających do ich rodzimej siedziby opowiadał jej o odwadze, ale również o sprawiedliwości Mahometa, pokazywał ogrom nieba, nazywając każdą gwiazdę i wielbiąc wspaniałość stworzenia, które Allah nappełnił swoją miłością.

Tymczasem dzień po dniu więzienia Zenona wypełniały się coraz bardziej chrześcijanami, którzy nie chcieli wyprzeć się swojej wiary, a wszyscy już szeptali, że królewski pałac stał się miejscem kar i tortur.

Pewnej nocy Casilda obudziła się nagle, pewna, że jęki dochodzące do jej uszu nie są snem. Wstała i wsłuchiwała się uważniej. Wydało się jej, że wnętrza pałacu śpiewają głosem pełnym smutku i bólu, który mieszał się z nutą łagodnej rezygnacji.

Te dźwięki, raz dysharmonijne, a raz melodyjne, przeniknęły do głębi duszę młodej księżniczki, tak że od tego

momentu opanował ją niepokój, czyniąc z niej osobę z troskaną i pochmurną.

Casilda z uwagą wsłuchiwała się w każdy głos rozbrzmiewający w pałacu i chociaż wszyscy ucinali niektóre rozmowy, kiedy nadchodziła, czuła, że w podziemiach dzieje się coś tajemniczego i strasznego.

Pytała zatem tych, którzy byli jej najbliżsi, ale wydawało się, że nikt nie zna tego sekretu. Z niezdecydowanych odpowiedzi i zakłopotanych min księżniczka domyśliła się jednak, że ojciec wydał rozkaz ukrywania przed nią czegoś, co dzieje się w ich siedzibie, a to uczyniło ją bardziej niż zwykle zdecydowaną, żeby odkryć tajemnicę.

Udała się do najlepszych przyjaciół, dzieci hiszpańskiego szlachcica, i szczerze opowiedziała im, co ją trapi. Młodzi byli równie szczerzy wobec niej, i tak Casilda poznała bolesne losy chrześcijan z Toledo.

Nawet jej przyjaciele musieli ukrywać swą wiarę, by nie ściągnąć na siebie gniewu okrutnego Zenona, ale byli szczęśliwi z możliwości podzielenia się z młodą przyjaciółką tą wielką tajemnicą. Wielkie zaufanie, jakim ją obdarzyli, wzruszyło Casildę; żegnając się, przysięgła, że nigdy ich nie zdradzi, za żadne skarby świata.

Kiedy wracała do pałacu królewską karocą, spoglądała na miasto innymi oczyma, wyobrażając sobie krzywdę tylu ludzi zmuszonych do wyrzeczenia się rzeczy najcenniejszych: wolności myśli i wiary.

Wyobraziła sobie siebie zmuszoną do wyparcia się wszystkiego, czego ją nauczono i w co wierzyła od dzieciństwa, i wydawało jej się, że nie ma nic boleśniejszego od utraty bliskiej relacji z Allachem i jego prorokiem. Czuła, że gdyby pozbawiono ją tej cennej więzi, nie wydałaby już z siebie nic dobrego.

Znała naukę Jezusa z Nazaretu, a także życie tej cudownej postaci: dlaczego zabraniać, by Jego uczniowie Go kochali i w Jego imię wiedli pogodne życie? Jezus

nauczał o pokoju i przebaczeniu, zatem to, co robił ojciec, wydało się jej ze wszech miar niesprawiedliwe.

Dotarwszy na dwór, chciała natychmiast widzieć się z Zenonem i bez ogródek opowiedziała o jękach, jakie w nocy docierały do niej i o bólu tego ludu zmuszonego do poniżającej modlitwy do Boga w ukryciu. Jak to się stało, że jej ojciec tak się zmienił i że takie okropieństwa krył ten pałac?

Na słowa córki król wpadł w gniew, jaki rzadko miała okazję widzieć, i przysiągł, że natychmiast każe jej opuścić Toledo, jeśli odważy się ponownie poruszyć ten temat. Jego wzburzenie było gorzkie i gwałtowne:

– Ty nie wiesz, co znaczy trud podboju, zapach krwi, widok śmierci w każdej bitwie. Nieprzyjaciela należy pokonać na każdym froncie, ostatecznie, a pozbawienie duszy jest jednym ze środków najskuteczniejszych.

Casilda nie odpowiedziała. Znała ojca i czuła, że jego złość dotyczy przede wszystkim jego samego: król cierpiał, ponieważ nie umiał powstrzymać nienawiści do życia, które dało mu poznać straszliwy smak władzy.

Młoda księżniczka była w każdym razie zdecydowana wkroczyć na pole bitwy: szlachetność jej duszy i umiłowanie sprawiedliwości nie mogły bezczynnie znosić takiej sytuacji. Jezus chrześcijan wspomogę ją, a Mahomet z pewnością zaaprobuje!

Tej samej nocy, zjednawszy sobie niektórych strażników i sług, Casilda zdołała dotrzeć do pałacowych lochów. Widok, jaki roztoczył się przed jej oczyma, wydawał się nieprawdopodobny: mężczyźni, kobiety i dzieci byli stłoczeni w wilgotnych, brudnych i śmierdzących celach. Wyglądali wręcz upiornie, a wielu próbowało zawiązać sobie jakimś gałganem przesiąkniętym krwią głębokie rany.

Najmłodsi płakali z głodu, inni z bólu, niektórzy próbowali dodać nieco odwagi opuszczonym. Była jednak w tym wszystkim również fala męznego oporu, silnego

ufnością pokładaną w wierze oraz pewnością, że moc Boża przemieni ich ofiarę w drogocenną kroplę w oceanie życia.

Pocziwą arabską księżniczkę ogarnęło głębokie oburzenie, które wstrząsnawszy całą jej istotą, obudziło niezłomne męstwo, jakie miała we krwi. Teraz widziała i była pewna, taki stan rzeczy nie mógł dłużej trwać, nawet za cenę jej własnego życia!

Casilda chciała porozmawiać z tymi biednymi ludźmi. Zrazu niepewnie, wnet jednak coraz ufniej otwierali oni swoje serca przed młodą dziewczyną, która ze swej strony już ich pokochała jak nieszczęsnych braci, dzieci tego samego Ojca, który obdarzył ją życiem. Jakie to miało znaczenie, że nasiona zostały rzucone na różną glebę? Boski ogród nie miał granic i rodził nieskończoną różnorodność owoców!

Od tej nocy córka Zenona poświęciła się sprawie chrześcijan. Po pierwsze uzgodniła z przyjaciółmi z Toledo zorganizowanie siatki ochronnej, aby zapobiec nowym aresztowaniom; później zwróciła się do niewolników i strażników królewskich, wiedząc, że może liczyć na pomoc wielu z nich w pałacu.

Postanowiła, że będzie potajemnie leczyć i karmić więźniów, w oczekiwaniu na bardziej odpowiedni moment do podjęcia otwartej walki na rzecz ich oswobodzenia!

Wszystko to było niebezpieczne zarówno dla niej, jak i dla tych, którzy obiecali jej pomoc. Król bowiem niezwłocznie zauważył, że dzieje się coś dziwnego. Był to człowiek przebiegły i inteligentny, nie mogły więc ujść jego uwagi pewne porozumiewawcze spojrzenia czy szepoty nagle przerywane, kiedy nadchodził. Zenon postanowił zatem być czujnym i interweniować w najodpowiedniejszym momencie.

Miedzy nim a córką powstała sytuacja dwuznaczna, wywołana po części deklarowaną wrogością, a po części

długimi rozmowami, w czasie których podejmowali ponownie dialog, jak za dawnych czasów. Również ich serca wydawały się teraz rozdarte między głębokim niezrozumieniem a czułymi propozycjami wysuwanymi obustronnie w próbie przywrócenia więzi, która wydawała się nadzarpięta.

Tymczasem Casilda dotrzymywała obietnic złożonych w ciemnych pałacowych lochach i co noc udawała się tam z najbardziej zaufanymi sługami, zanosząc jedzenie i lekarstwa. Strażnicy przymykali oko, udając, że nie widzą tego nocnego zamieszania; zresztą kochali młodą księżniczkę i z pewnością nie chcieliby jej skrzywdzić.

W końcu pewnego dnia dziewczyna zdecydowała, że nadszedł moment, żeby stawić czoło ojcu w otwartej bitwie i zamiast omijać problem, jak to robiła do tej pory, zapytała go wprost o sytuację chrześcijan, którzy marnieją w jego więzieniu.

Zenon był osłupiały! Jak mógł usprawiedliwić swoje postępowanie tak sprzeczne z zasadami, które wpajono córce?

Czuł jakby w tym momencie Casilda uosabiała jego własne sumienie, które domagało się wyjaśnień w sprawie tego, co robił. I reakcja króla była straszna. Od kłótni, którą rozpętał, trząsł się cały pałac, a każdy na swój sposób modlił się za odważną dziewczynę. Nie przyjmując jakiegokolwiek odpowiedzi i jednocześnie zwlekając z podjęciem decyzji, jak się zachować wobec córki, ojciec rozkazał jej nie opuszczać komnat i nie pokazywać mu się na oczy, aż on po nią pośle; następnie uniesiony gniewem opuścił konno pałac i wrócił dopiero późną nocą. Król wiedział, że córka nie podda się łatwo jego woli, co po części napawało go również dumą z tego dzielnego stworzenia, zdolnego zarówno do ogromnej czułości, jak i żelaznej determinacji w walce z tym, co uważała za niesprawiedliwe. Zamierzał zatem pilnować ją i przyłapać na gorącym uczynku,

a jeśli nie będzie możliwe inne rozwiązanie, surowo ją ukarać.

Casilda kochała ojca, ale z czasem nauczyła się drzeć przed jego gniewem. Pomimo to ledwie minęła noc, znów podjęła tajemną wyprawę do lochów z jedzeniem dla więźniów. Wszyscy byli już przezorni i żaden środek ostrożności, by nie dać się odkryć Zenonowi, nie wydawał się przesadny. Odkąd ojciec zwrócił uwagę na ruch w pałacu, księżniczka postanowiła sama zajmować się dostarczaniem jedzenia chrześcijanom i tak, jak co noc, również tym razem wstała w porze, kiedy wszyscy pogrążeni byli w głębokim śnie. Zenon jednak nie spał, lecz czekał, by rzucić się na swoją zdobycz.

Aby dotrzeć do podziemi prosto z pomieszczeń kuchennych, Casilda znalazła drogę, która wiodła przez małe drzwi w ogrodzie, ukryte pod wonnym różanym krzakiem. Tej nocy wypełniła już obficie szeroki szal słodkimi bułeczkami i kierowała się pośpiesznie w stronę krzewu, kiedy nieoczekiwanie i cicho jak kot stanął przed nią król. Biedna dziewczyna podskoczyła ze strachu, a wir myśli pozbawił ją jasności rozumowania. Pomimo ciemności, mogła rozróżnić oczy ojca, świecące jak pochodnie.

– Cóż za osobliwe spotkanie z moją córką o tej porze nocy! – odezwał się do niej, pewien, że wygrał bitwę z tą upartą buntowniczką. – Co takiego niesiesz w szalu, jedzenie dla nieprzyjaciół Allacha?

– Nie, ojcze – odpowiedziała Casilda, choć słowa wychodziły jej z ust w sposób niekontrolowany. – Nie wydaje mi się, że Allah uważa za swoich nieprzyjaciół tych, którzy są jedynie twoimi nieprzyjaciółmi!

– Arogancka bezwstydnico, natychmiast pokaż mi, co tam ukrywasz!

Mówiąc to Zenon wyrwał z rąk córki końce szala, i na ziemię wysypała się jego zawartość... wonne róże.

– Mój ojciec, nie mogę obyć się bez moich ukochanych kwiatów, dlatego zrywam je nocą, by zabrać do moich komnat i w ciągu dnia móc cieszyć się ich zapachem i widokiem; ale jeśli to cię niepokoi, przestanę tak robić.

Co powiedziawszy, Casilda, choć jej kolana wciąż jeszcze drżały, wróciła do pałacu.

Król stał jak skamieniały wpatrując się w kwiaty, które z kolei wydawały się patrzeć na niego. Schylił się i podniósłszy jeden z nich, trzymał go długo w dłoni: był miękki i ciepły jak małe serduszko. Od tej nocy życie w Toledo uległo diametralnej zmianie. Więźniowie Zenona zostali uwolnieni i żaden chrześcijanin nie cierpiał więcej prześladowań.

Król i jego córka nie wspominali nigdy „nocy róż”, ale ich więź się umocniła. Było jak wtedy, kiedy opowiadał jej, jak cudowne i wypełnione miłością jest każde stworzenie. Nikt natomiast nie wie, że kiedy pamiętnej nocy Zenon wrócił do swoich komnat, zmorzył go głęboki sen, a oto co mu się śniło: znajdował się w zawiłym labiryncie, z którego nie mógł wyjść; jego niepokój narastał, aż w końcu zdawało mu się, że wpadł w jakiś ciemny wir. Głęboki tunel wiódł w bezgraniczną przestrzeń i tylko w oddali można było dostrzec postać pochyloną nad stołem. Zaczął zatem iść, ale w miarę jak postępował w kierunku tajemniczej postaci, ta oddalała się coraz bardziej.

Nagle stanął przed ścianą utworzoną z krzewów wijących się róż, która zatarasowała mu drogę. Zerwał jeden z kwiatów, a ten zaraz zamienił się w jego córkę Casildę. Dziewczyna wzięła go za rękę i zaprowadziła na skraj tego bezkresnego obszaru. Tu, w oślepiającym świetle, mógł rozpoznać Jezusa z Nazaretu zajętego pisaniem. Zenon podszedł bliżej, zaciekawiony, co młody Palestyńczyk pisze na pergaminie, i z wielkim zdziwieniem zobaczył zlewające się w nieprawdopodobnej grze światła słowa Bóg i Allach, które razem tworzyły słowo: Miłość.

Pomoc w czyścu

Legenda średniowieczna

W historii chrześcijaństwa nie brak wielkich przewodników duchowych: jednych znamy bardziej, innych mniej.

Brat Corrado da Offida był światłym mistrzem, żył w całkowitym ubóstwie, poświęcając czas nauczaniu miłości bliźniego.

Klasztor, w którym spędził większą część życia, zajmował się wychowaniem młodych braci, pragnących poznać myśl brata Franciszka z Asyżu i kontynuować jego dzieło.

Ruch franciszkański znał niewiele zasad i reguł, ale wszystkie one zmierzały do wykorzenienia tego, co najważniejsze dla człowieka: jego ego. Jest zrozumiałe, że wielu przybywało do brata Corrado uzbrojonych w najlepsze chęci, ale potem składali broń, nie mogąc sprostać trudowi zapomnienia o sobie z miłości do innych.

Corrado miał łagodny charakter i opiekował się swoimi braciszkami jak synami. Mówiono o nim, że będąc szczególnie miłym Bogu, otrzymał łaskę czynienia cudów.

Pewnego dnia nasz brat trwał pogrążony w myślach, kiedy podeszła do niego niewielka grupka młodych uczniów, by poskarżyć się na towarzysza.

Młodzieniec, o którym mowa, przybył niedawno, ale wydawało się, że już zdążył posiać zamęt. Obdarzony temperamentem wybuchowym i krnąbrnym, zakłócał

porządek nauk i medytacji, nie przejmując się wcale dyscypliną, głównym narzędziem do wykształcenia cnoty pokory i posłuszeństwa.

Corrado z przykrością słuchał tych skarg, ale obiecał, że zainteresuje się całym zdarzeniem najszybciej jak to będzie możliwe.

Tego wieczoru podczas kolacji obserwował uważnie chłopaka, potem opuścił w zamyśleniu refektarz i udał się do swojej celi w nadziei, że cisza podsunie mu odpowiedź, jakich potrzebował.

Nazajutrz rano przywołał młodzieńca i poprosił, by udał się z nim na krużganek, gdzie długo rozmawiali.

Tak samo zrobił dnia następnego i jeszcze następnego.

Niebawem braciszek zmienił swoje zachowanie w sposób tak radykalny, że wywołało to zdumienie nawet najstarszych braci. Corrado był doprawdy nadzwyczajny!

Młody uczeń codziennie robił postępy, a gdy tylko obowiązki mu na to pozwalały, szedł do swojego mistrza pełen nowych pytań, które niezawodnie rodziły się po każdej odpowiedzi.

Brat śmiał się serdecznie z tego niepokoju o wiedzę i raz odpowiadał, a innym zostawiał go z wątpliwością, mówiąc zwyczajnie:

– Pamiętaj, musisz opróżniać twój umysł, a nie napełniać go coraz bardziej!

Zdarzało się jednak coraz częściej, że Corrado, obserwując z daleka młodego ucznia, stawał się dziwnie milczący i zamyślony i zaczynał odmawiać po cichu jakieś modlitwy.

Minęło lato i zima, wróciła wiosna, a młody braciszek ciężko się rozchorował. W krótkim czasie jego siły witalne się wyczerpały i żadne ludzkie kuracje nie były w stanie zatrzymać go na tej ziemi. W dniu jego śmierci brat Corrado płakał, chociaż wiedział, że nie powinien.

Minęły pierwsze chwile powszechnego smutku wywołanego tą nieoczekiwaną i przedwczesną śmiercią, życie w klasztorze wróciło do normalnego rytmu, a brat Corrado oddał się swojej pracy.

Pewnego wieczoru zdarzyło się, że dziwny niepokój przeszkadzał mu w rozmyślaniu: myśli niepostrzeżenie ciągle gdzieś uciekały. Postanowił zatem wyjść z celi i zejść na krużganek. Maj się już kończył i dzień był ciepły; poza tym o tej godzinie nikt nie będzie go niepokoił.

Usiadł na kamiennej ławce, pod osłoną pachnącego krzewu rozmarynu i napełnił płuca wszystkimi zapachami wiosny, lecz nagle wydało mu się, że zobaczył tuż obok jakieś świetliste drżenie, a potem usłyszał szepczący głos:

– Ojcze, to wy?

Brat Corrado w jednej chwili zrozumiał, że znajduje się w obecności duszy, delikatnego świetlistego ciała czasowo przywróconego do wymiaru ziemskiego.

– Kim jesteś? – zapytał.

– Jak to, nie poznajecie mnie? To ja, wasz młody ciekawski uczeń!

– Och, najdroższy synu – powiedział brat wyraźnie wzruszony – powiedz mi, co się z tobą dzieje?

– Drogi ojcze, jestem w królestwie środka, w czyścicu. Dzięki waszym naukom uniknąłem długich lat oczekiwania, ale jeszcze wiele mi brakuje do osiągnięcia wiecznego pokoju. Proszę was przeto o wstawiennictwo za mnie u Boga, któremu bardzoście mili.

– Bóg wie, co czyni, nikt nie jest lepszy od drugiego w Jego oczach, niemniej jednak będę się modlił za ciebie. Uzbrój się w cierpliwość i pamiętaj moje słowa: kiedy nie będziesz już pragnął niczego, ogarnie cię pokój.

Wtedy dusza odeszła z westchnieniem, delikatnie musnąwszy dłoń brata.

Od tej nocy Corrado poświęcał nieustrudzenie każdą wolną chwilę na modlitwę za młodego przyjaciela. Wiedział, jaką moc ma jedna myśl miłości wspierana pełną ufnością w nieomyłne wyroki Boże.

Minęło trochę czasu i świetlista postać wróciła na ziemię; tym razem jej światło było jaśniejsze, a głos wydawał się dobiegać bardziej z daleka.

– Drogi ojciec – powiedziała – wasze modlitwy dotarły do mnie jak uzdrawiający balsam. Teraz jestem spokojniejszy i czuję siłę, jakiej wcześniej nie miałem. Nie ustawajcie, a moja droga będzie się wspinać coraz bardziej ku górze.

Podtrzymywany tymi słowami, dobry Corrado zwielokrotnił swoje błagania, spędzając nieraz całą noc na żarliwej modlitwie, która pochłaniała do reszty jego siły, tak że następnego dnia rano wszyscy w klasztorze zastanawiali się po cichu nad budzącym litość wyglądem współbrata.

Aż pewnego wieczoru, kiedy bracia byli zgromadzeni w kaplicy na ostatniej wspólnej modlitwie tego dnia, nad ołtarzem rozbłysło silne światło i dały się słyszeć słowa:

– Corrado, dusza, za którą tyle się modliłeś, niczego już nie potrzebuje. Nie ma pytań, nie ma celów, nie ma pragnień, ale odpoczywa w raju, gdzie tylko Ja jestem!

Wszyscy spoglądali na siebie zdumieni, klękając przed tym cudem.

Brat Corrado doświadczył bezgranicznego szczęścia: cóż uczynił, by zasłużyć na Boży przywilej daru modlitwy? Nie przypominał sobie nic szczególnego w swoim życiu, a jednak mimo to Łaska zechciała go dotknąć.



Przebranie Maryi

Legenda średniowieczna

Zanurzymy się teraz w fascynującej atmosferze średniowiecza, z jego głębokimi cieniami i olśniewającymi barwami, jak nam to przekazuje historia i sztuka w przepłatających się postaciach groźnie uzbrojonych wojowników, silnych i zdecydowanych świętych oraz prostych ludzi przywiązanych do wiary przenikniętej jeszcze czarem cudów.

W tych czasach żył mocarny rycerz o imieniu Wilhelm, który odziedziczył po swojej rodzinie zamek z rozległymi posiadłościami i wieloma bogactwami, zgromadzonymi przez lata walk, podbojów i nadużyć.

Nasz rycerz daleki był od wszelkich refleksji nie związanych bezpośrednio z przyjemnościami, jakich codziennie sobie dostarczał, a jego umysłu nie zaprzętały żadne myśli nie dotyczące jego samego.

Może właśnie dlatego nazywano te wieki mrocznymi? Kto wie! Z pewnością sumieniu trudno było dojść do głosu wśród tych ludzi, ale także wtedy istniały sposoby, by mogło to nastąpić.

Wróćmy zatem do Wilhelma i jego przygód. Sprawując od młodości władzę, przywykł do traktowania każdego, kto mu podlegał, w sposób najgorszy z możliwych, nie bacząc, jak wielką krzywdę mógł wyrządzić drugiemu człowiekowi.

Słudzy zamkowi oraz pracujący dla niego chłopci byli tak zastraszeni, że szeptali między sobą o nim jak o diable wcielonym! Nie było to bez znaczenia, jeśli się weźmie pod uwagę, jak głębokim poważaniem cieszył się wtedy książę ciemności, rzeczywiście obecny na każdym rogu ulicy.

Za żonę Wilhelm pojął córkę majątnego kupca, która, raczej nie przypadkiem, była tak uprzejma i delikatna, jak on grubiański i despotyczny.

Czasem imiona wydają się odzwierciedlać usposobienie tego, kto je nosi. Ta młoda kobieta miała na imię Małgorzata i jak margerytka, znany kwiat, od którego imię to pochodzi, posiadała rzadką zaletę: umiała zwyczajnie wnosić radość, nie żądając niczego dla siebie.

Życie z mężem musiało być zaprzeczeniem szczęścia, ale o tym nasza historia nie opowiada. Może przez wzgląd na ówczesne zwyczaje, wedle których uważano osobę płci żeńskiej za pozbawioną osobistych potrzeb, zasługą Małgorzaty było nie to, ile cierpiała, ale na ile umiała przyjąć to cierpienie.

W zamku Wilhelma życie upływało wśród wystawnych przyjęć, polowań z nagonką i krwawych turniejów, w czasie których każdy rycerz ryzykował własne życie w zamian za dumę ze zdobytego zwycięstwa. Tymczasem, jakkolwiek właściciel nie zdawał sobie z tego sprawy, okazały majątek powoli topniał, tak samo jak i czas życia niedoświadczonego Wilhelma.

Wiele kolejnych lat przyniosło marne zbiory i chłopci, dalecy od troski o znienawidzonego pana, chwyтали się każdego sposobu, by przeżyć, wykradając mu ile tylko zdołali. Z drugiej strony, on sam nie zaprzętał sobie głowy sprawami majątkowymi, zajęty jedynie czerpaniem z coraz to szczuplejszych zasobów.

Małgorzata widziała i milczała: nigdy nie ośmieliłaby się, i nawet by nie mogła, przedstawić w rozmowie z mężem

żem zastrzeżeń co do jego postępowania. Pozostawiała więc rzeczy własnemu biegowi, ale w sercu modliła się, by mądrość Boża wcześniej czy później interweniowała, budząc męża z tej rujnującej lekkomyślności.

Wilhelm nie pozwalał jej chodzić do kościoła, ale wychowanie otrzymane w ojcowskim domu okazało się dobrym ziarnem, które zapuściło silne korzenie w jej duszy.

O ile mąż Małgorzaty był nieokrzesany i prostacki, o tyle ona wrażliwa i otwarta na tajemniczy świat tego, co nie ma kształtu. Zamknięta w swoich pokojach, próbowała wyobrazić sobie Boga, Jezusa, a przede wszystkim Maryję, tak bliską jej jako kobieta. Przywoływała w pamięci różne wspomnienia z dzieciństwa: obraz, opowiadanie, figurkę... ale każdy materialny symbol tej niezgłębionej wielkości wydawał się jej nieodpowiedni do tego, czego doświadczała w swoim wnętrzu.

Często, gdy Wilhelm zastawał żonę pogrążoną w marzeniach, drwił z niej bezlitośnie, uznając za głupią kobietę.

Ale czas jego beztroski powoli dobiegał końca i to, co zaczęło się powolnym podupadaniem, szybko przybrało formę prawdziwej przepaści.

Chłopi w większości porzucili jego ziemię, która stawała się coraz bardziej jałowa, słudzy trwonili to, co trzeba było oszczędzać, i majątek, pozostawiony we władaniu zachłannych i nieuczciwych notabli, zniknął nie wiadomo jak i gdzie.

W ten sposób bogaty i mocarny Wilhelm znalazł się w najbardziej opłakanej sytuacji, a ponieważ przez całe życie gardził innymi, opanowało go bez reszty to podłe uczucie.

Zwalała się więc na niego najczarniejsza rozpacz, ale i to nie wystarczyło, żeby się opamiętał. Jedyłą istotą, która przy nim pozostała, była właśnie jego żona, tyle razy wyśmiana i upokorzona, że pewnie w jego oczach nie liczyła się wiele więcej niż wierny pies.

A jednak Małgorzata nie dała się nigdy zwyciężyć pragnieniu zemsty ani nienawiści do męża, wprost przeciwnie, umiała pomóc mu każdą cząstką swojej istoty, dając rzadkie chwile radości, jakimi on nigdy nie cieszył się w życiu.

To jednak nie wystarczyło, by zmienić brutalną naturę, której dawał upust w chwilach wściekłości na los, w jego oczach co najmniej niesprawiedliwy.

Pewnego wieczoru zdarzyło się, że Wilhelm, nie znajdując ukojenia w obrębie zamkowych murów, wyszedł na zewnątrz, kiedy nagle księżyc, który jeszcze przed chwilą jaśniał wysoko na niebie, znikł za chmurami, a i wilki, wypełniające okolicę swoim wygłodniałym wyciem, zamilkły.

Wilhelmowi wydało się to dziwne i odruchowo zaczął badać wzrokiem horyzont. Zdało mu się wtedy, że dostrzegł w głębi drogi czarny cień jeźdźca na koniu. Któż to mógł być? Ogarnął go blady strach, kiedy pomyślał, jak wielu chętnie zemściłoby się za jego nadużycia, zwłaszcza teraz, kiedy pogrążał się w ruinie.

Tajemnicza postać zbliżała się z wolna i – Wilhelm był tego bardziej niż pewny – szukała właśnie jego. Ucieczka nie wchodziła już w grę, a zresztą jak można uciec na piechotę przed człowiekiem na koniu? Dlatego zastygł w bezruchu, niezdolny nawet myśleć.

Koń i jeździec zdawali się tworzyć jedną formę z czarnego metalu, który wyglądał jakby pochłonał wszystkie inne kolory. Kiedy dotarli do człowieka stojącego nieruchomo na drodze, zatrzymali się i rycerz przemówił.

– Wiem, kim jesteś – powiedział ponuro. – Znam cię od dawna, ale nie bój się mnie: czy umrzesz dziś czy za sto lat, jest dla mnie bez różnicy. Znam twoje obawy i wiem, że utraciłeś wszystkie dobra, przeto oferuję ci moją pomoc.

Wilhelm poruszył się zaineresowany.

– Mów! – odpowiedział, nie kryjąc przecież wahania.

– Mogę wyjawić ci sekret, który pozwoli ci odzyskać wszystko, co straciłeś, ale nie ty mnie interesujesz; jestem tu ze względu na twoją żonę.

Po tych słowach tajemnicza postać zamilkła, czekając, aż tamten otrząśnie się z zaskoczenia.

Przez głowę Wilhelma w zawrotnym tempie przebiegały różne chaotyczne myśli. „Może mi pomóc?... Sekret?... Nie interesuję go ja, ale Małgorzata?... Będę znów bogaty?”

– Słuchaj uważnie – ciągnął tamten. – Zanim wyjawię ci, w jaki sposób znów będziesz mógł stać się bogaty, chcę od ciebie w zamian obietnicy. Za siedem lat, licząc od dziś, przyprowadzisz tu twoją żonę i przekażesz mi ją. Po ustalonym okresie należeć będzie do mnie. Zgadzasz się?

Nawet Wilhelm miewał wyrzuty sumienia, chociaż z rzadka, i kiedy usłyszał te słowa, aż podskoczył, próbując wsłuchać się w swój słaby głos, który mu podpowiadał: „Ale dlaczego chce właśnie ją, która nigdy nikogo nie skrzywdziła! I co chce z nią uczynić, kiedy już będzie jego? Wspomnij, ile dobrego otrzymałeś od tej kobiety i jak jej się odwdzięczasz”.

Jakby czytając w głębi Wilhelmowej duszy, rycerz zagłuszył wąty głos sumienia, który też natychmiast zamilkł, zagrzmiawszy oburzony:

– A zatem? Nie mam czasu do stracenia! Powiedz tak czy nie i twoja przyszłość będzie naznaczona bogactwem bądź nędzą.

Mężczyzna otrząsnął się, jakby przebudzony ze snu. Czyżby oszalał? Myślał już o możliwości odrzucenia takiej propozycji? Siedem lat to szmat czasu, a zresztą co go to obchodzi, w razie czego to nie on będzie spłacał dług!

Dlatego pośpiesznie odpowiedział:

– Zgadzam się, jeśli tego chcesz, za siedem lat będę tutaj z moją żoną, ale teraz chcę wiedzieć, jaki sekret masz mi do wyjawienia.

Tym sposobem Wilhelm dowiedział się o skarbie ukrytym w zamkowych lochach, o którym nikt nie wie.

– Pamiętaj o naszym spotkaniu, w przeciwnym razie pożałujesz! – usłyszał na pożegnanie, po czym koń i rycerz zniknęli w ciemnościach nocy.

Wróciwszy biegiem do zamku, Wilhelm ruszył w dół stromymi schodami prowadzącymi do lochów. Pochodnia drżała mu w dłoniach z niepokoju, jak najszybciej chciał dotrzeć do wskazanego miejsca, a często potykał się na wilgotnych popękanych stopniach, które wydawały się prowadzić wprost do piekła.

W końcu znalazł się na wprost małych drzwi ukrytych za szeroką kolumną i wszystko wyglądało tak, jak mu opisał czarny rycerz. Niska zakurzona komnata, drewniana skrzynia i... zaskoczenie! Oto niespodziewanie błyszczał przed nim stos złotych monet.

Od tej chwili życie Wilhelma zaczęło się od nowa, jak gdyby nic się nie wydarzyło; było nawet lepiej niż dawniej, gdyż wydawało się, że im więcej czerpał ze skarbca, tym bardziej ten się wypełniał.

Małgorzata nie umiała sobie wytłumaczyć tej nagłej zmiany, lecz w sercu wiedziała, że mogło to być tylko owocem zła. Zauważała jednak czasem niewielkie zmiany w zachowaniu męża, to jakąś ulotną czułość czy niecodzienny uśmiech, tak dalece nie odpowiadające jego naturze, że wydawały się ulotnymi błyskami światła pośród ciemnej nocy.

Z upływem czasu jej uczucia względem Wilhelma uległy zmianie, a zachowanie męża przestało być źródłem cierpienia, budziło jedynie wielką litość. Jak mógł znaleźć pogodę ducha i pokój, prowadząc takie życie? Biedny

Wilhelm, tak daleki od Boga i od wartości, które naprawdę się liczą!

Małgorzata prosiła często o pomoc i radę Matkę Bożą; chciała zrobić wszystko co możliwe, by zapalić choć płomyk wiary w tym twardym i z pozoru nie do zdobycia sercu.

Jest jasne, że siedem lat minęło jak okamgnienie i czas spłaty długu zbliżał się coraz bardziej. Nieco przed upływem uzgodnionego terminu fatalnego spotkania Wilhelm miał straszny sen: był unieruchomiony w wielkich czarnych szponach, które zawlokły go aż na miejsce tajemniczego spotkania. Zrozumiał, że nadszedł czas, ale nigdy nie przypuszczał, że będzie odczuwał w sercu taki ciężar na myśl o tym, co stanie się z Małgorzatą.

Wyznaczony dzień był najgorszym w jego życiu. Nie mógł znaleźć odpowiednich słów, by zaprosić żonę na wspólny spacer przez pola, i w końcu to właśnie nieświadoma niczego kobieta podsunęła mu po temu okazję, zwracając uwagę, że wieczór jest szczególnie ciepły i piękny.

Wyszli więc razem i powędrowali zakurzoną drogą w stronę miasteczka, on ponury i milczący, ona uśmiechnięta i zadowolona z nieoczekiwanej przechadzki.

Tuż za murami zamku, przy drodze, którą szli, był kościółek poświęcony Najświętszej Dziewicy, do którego wiele razy również Małgorzata udawała się po kryjomu, by powierzać Maryi swoje troski i wątpliwości. Kto wie, czy tego wieczoru pozwoliłby jej zejść tam na chwilę?

Wilhelm nie miał nic przeciw, ale sam zatrzymał się nieopodal, siadając pod wiekowym dębem.

Małgorzata weszła i natychmiast poczuła ciepłe objęcia tych murów; uklękła i modliła się żarliwie jak nigdy, aż ogarnęło ją dziwne odrętwienie, tak że zapadła w głęboki sen.

Wtedy Maryja zstąpiła z ołtarza, przyjmując wygląd Małgorzaty; potem, jak gdyby nigdy nic, wyszła pośpie-

sznie zamiast niej i szła dalej obok Wilhelma. On patrzył na nią zaskoczony: wcześniej nie czuł tego intensywnego zapachu róż, nigdy też nie zauważył, że tak bardzo ją kocha. Ale teraz było już za późno.

Dzielił ich jeszcze kawałek drogi od oczekującego rycerza na czarnym koniu o mięśniach spiętych i błyszczących.

Kiedy Wilhelm pośpiesznie rozważał możliwość zmierzenia się z przeciwnikiem, by przynajmniej spróbować stanąć w obronie żony, zbliżyli się o dalszych kilka kroków. Wtedy nagle koń wierzgnął, jakby szykując się do obrony.

Choć wyglądała inaczej, Maryja została rozpoznana.

W tej samej chwili czarna postać wydała straszliwy okrzyk i rzuciła się w przepaść pełną czerwonych języków ognia.

Wilhelm upadł na ziemię ogarnięty mdlącym zapachem siarki, który odbierał mu oddech. Jego umysł nie zdążył nawet zareagować na to, co naprawdę się wydarzyło, kiedy przeszła mu przez myśli oślepiająca jak błyskawica prawda.

Dopiero wtedy niczym piorun poraziła go świadomość, że spotkał diabła. Ale wobec tego, kim była kobieta, która mu towarzyszyła i która samą swoją obecnością wystraszyła potężnego pana zła?

Odwrócił się w stronę tej, którą brał za Małgorzatę, i zobaczył błysk światła... a może mozaikę melodyjnych dźwięków... a może gonitwę uczuć nigdy nie doświadczonych...

Wilhelm do końca życia nie mógł znaleźć słów, by opisać, co się wydarzyło. Poczuł w sobie wstręt do życia, które prowadził do tej pory, nie umiając wytłumaczyć, jak to się stało, że nie zauważył skarbów złożonych w sercu ludzkim... teraz już zasłona opadła na zawsze!

– Idź teraz do tej, która cię uratowała swoją miłością
– szepnęła mu Maryja, rozplywając się w wieczornej mgle.

Mężczyzna, zamyślony, ruszył w stronę kościoła: jego żona właśnie wychodziła, przecierając zaspane jeszcze oczy.

– Wybacz – powiedziała zatrwożona – musiałam zasnąć. Gniewasz się na mnie? Masz taki dziwny wyraz twarzy! Dobrze się czujesz?

– Świetnie, Małgorzato – odpowiedział. – Chodź do domu: wrócimy jutro pozdrowić twoją przyjaciółkę, która tu mieszka.

I objął ją ramieniem, wdychając słodki zapach róż, który ulatniał się z jej włosów.



Trzydzieści małych srebrników

Legenda średniowieczna

Jak myślicie, czy można opowiedzieć historię o trzydziestu monetach? Ale co to może być za historia, natychmiast zapytacie! A jednak nawet trzydzieści denarów może mieć swoje szczególne miejsce w skomplikowanych dziejach ludzkich.

Srebrny szekel był wtedy monetą pospolitą, jakich wiele, ale tych trzydzieści szekli miało w sobie coś, co czyniło je wyjątkowymi: zawsze były razem, jak jedna rodzina.

Od kiedy je wybito, były jakby połączone czarodziejską nicią, los nigdy ich nie rozdzielił.

A spotkało je wiele przygód! Najpierw w przedzalni między wełną i barwnikami, potem w rękach kupca, który podróżował ze swoimi tkaninami po całej Palestynie, z kolei wymienione za stary dywan znaleziony w domu jakiegoś pasterza, który zresztą krótko nimi się cieszył, gdyż kilka dni później ukradli mu je złodzieje.

Ale monety były zawsze razem, jak zwarta grupa rodzeństwa, wesola i gadatliwa. Dzwoniąc radośnie, przyjmowały życie takim, jakie było, zawsze gotowe do zgłębiania jakiejś nowej kieszeni.

Czasami, kiedy ręka człowieka zanurzała się w ich ciemnym schronieniu, śpiesznie ukazywały się wszystkie razem, zdjęte chwilową trwogą wobec możliwej rozłąki.

To jednak nigdy nie nastąpiło. Nawet kiedy różne okoliczności rzucały je w obieg na targach w wielu miastach, okazywało się zawsze, że w cudowny sposób każda transakcja opiewała dokładnie na trzydzieści denarów.

Poznały ludzi chyba każdego pokroju: uczciwych i nieuczciwych, dobre żony i prostytutki, mądrych i głupich. Świat już ich nie dziwił.

Umiały odczytać uczucia właściciela po dotyku jego dłoni, jak metalowi widzowie na przedstawieniu, w którym wyczuwały, że biorą udział.

Aż do pewnego dnia, kiedy ich uwagę przykuł człowiek zupełnie wyjątkowy.

A wszystko działo się w targowym zgiełku. Było mnóstwo ludzi rozproszonych grupami wśród straganów. Trzydzieści denarów, które wyglądały z kupieckiej ręki jak z wygodnego balkonu, zerkwały to tu, to tam, gdy nagle spotkały spojrzenie tego człowieka i przeszył je dziwny dreszcz.

Miały wrażenie, jakby z tych oczu emanowała siła, mająca swój udział we wszystkim, co je otacza, równocześnie w ich własnym istnieniu.

Spoglądał właśnie na nie, były tego pewne, jakby je poznał i zapraszał na spotkanie, które połączy ich losy.

Trwało to krótką chwilę, ale chwilę, której nie mogły zapomnieć. Od tego dnia, przy każdej okazji zerkwały dookoła w nadziei, że go ponownie zobaczą, albo szukając jakiegoś znaku jego obecności.

Przechodząc z ręki do ręki, trzydzieści szekli dotarło wreszcie do majestatycznych progów świątyni jerozolimskiej, gdzie jeden z kapłanów zobowiązał się je strzec.

Choć onieśmielone tym miejscem, tak cichym i niezwykłym dla nich, trzydziestu braciszków uważało, że trochę spokoju nie może zaszkodzić i leniuchowało spokojnie, oczekując na dalsze przeznaczenie.

Na następne spotkanie nie trzeba było długo czekać. Kilka wieczorów później mała szkatułka, w której były przechowywane, otworzyła się i niewielka ich garstka została przekazana człowiekowi nazywanemu Judaszem.

Zaciekawione, chciały natychmiast wiedzieć, co ten człowiek dał w zamian za ich wartość, a bardziej przebiegle od najbardziej sprytnego kupca, wyęzając słuch i wzrok, wyczuły z tych nocnych szeptów, że towar musiał być „interesujący”.

Usłyszały wtedy, że zostały wymienione za życie jakiegoś człowieka.

Były już wymieniane na różnego rodzaju towary i usługi, ale nigdy nie spotkało ich coś podobnego! Prawdziwa hańba! Po raz pierwszy opanowała je złość i silne pragnienie, by nie pozostawać biernymi aktorami podobnie wstydliwego występku: ale co robić?

Były zrozpaczone i żałowały dnia, w którym ktoś utworzył je z bezkształtnej masy srebra.

Człowiek, który właśnie je otrzymał, kierował się tymczasem szybkim krokiem w stronę obrzeży miasta. Nie włożył ich do kieszeni, ale trzymał w zaciśniętej dłoni. Czuły przykry zapach jego potu i niespokojne drżenie przebiegające długie i silne palce.

W niewielkiej odległości od nich słysząc było zbliżające się inne kroki, którym towarzyszył metaliczny chrzęst zbroi, kiedy jej elementy ocierając się o siebie intonują ponurą pieśń śmierci.

W pewnej chwili wszystko wokół ucichło, a nocna bryza delikatnie muskała miejsce, które wydawało się sceną dramatu. Człowiek zatrzymał się i niespodziewanie otworzył dłoń, jakby dopiero w tej chwili spostrzegł, że trzyma w garści rozżarzoną lawę.

Nasi przestraszeni przyjaciele stłoczyli się jeden na drugim w wilgotnej trawie, rozglądając się dokoła. Byli

w oliwnym gaju i właśnie tam stał przed nimi on. Nikt inny jak niezwykle człowiek z targu!

Również i on spojrzał na nie smutnymi oczyma, które wydawały im się pełne zrozumienia i przyzwolenia. Dopiero wtedy pojęły, jak konieczna była ich nieprzyjemna i niezamierzona rola, aby wszystko nabrało właściwego znaczenia.

Od tamtej chwili trzydzieści denarów połączono na zawsze jako symbol zdrady.



Przemyślny stolarz

Legenda średniowieczna

Był raz stolarz, którego można by nazwać prawdziwie złotym człowiekiem, gdyby nie paskudny nałóg karciarstwa.

Posłuchajcie, jak ten spryciarz umiał wykorzystać to, czym natura go obdarzyła.

Pewnego pięknego dnia zawitali do jego sklepu Jezus i święty Piotr, którzy zeszli na ziemię sprawdzić, jak się rzeczy mają.

Stolarz, chociaż nie wiedział, kim są wędrowcy, z dobrego serca ugościł ich chlebem i czymś do chleba oraz świetnym winem. A czynił to z taką uprzejmością, że Jezus zapragnął go wynagrodzić. W chwili pożegnania rzekł mu:

– Możesz prosić mnie o trzy rzeczy, a stanie ci się zadość.

– Proś o zbawienie duszy! – podszepnął mu święty Piotr.

– Powiem to, co mnie wydaje się słuszne – odpowiedział stolarz. – A oto moje trzy pragnienia. Pierwsze: abym grając w karty, zawsze wygrywał; drugie: aby każdy, kto usiądzie na moim stołku, pozostał do niego przykuty i nie mógł wstać bez mojej zgody; trzecie: aby każdy, kto wdrapie się na moje drzewo figowe, został na nim uwięziony.

– Niech ci się tak stanie – powiedział Jezus.

Święty Piotr, rozgniewany, wymamrotał:

– Nieszczęśniku, powinieneś prosić o zbawienie duszy!

– Milcz, jesteś aż nudny z tymi swoimi radami – odparł stolarz.

Wtedy Jezus i święty Piotr odeszli, a nasz stolarz... pędem do gry! Grał cały wieczór, uczciwie rozumie się, i wygrywał od początku do końca. Prawdziwa gratka!

Wzbogaciwszy się, myślicie, że przestał heblować i piłować? Ani trochę! Był dobrym człowiekiem, prawym i pracowitym: większą część wygranych pieniędzy rozdał ubogim i nadal pracował tak jak dawniej, ponieważ, jak mówił, praca wypędza złe myśli.

Kiedy brakowało mu pieniędzy, zasiadał do gry, wygrywając ile chciał. I tak minęło wiele szczęśliwych lat. Pewnego wieczoru, owinięta w duży czarny płaszcz, przyszła po niego Pani Śmierć.

Szczególnie zmęczona, gdyż tego dnia bardzo się nachodziła, chciała trochę odpocząć przed dalszą drogą i przycupnęła na stolarskim stołku.

– Świetnie – zakpił z niej stolarz. – Teraz spróbuj wstać!

Śmierć spojrzała na niego zdziwiona, myśląc, że biedak dostał pomieszania zmysłów na jej widok, i chciała się podnieść, ale pomimo wysiłków, oczywiście, nie była w stanie.

– O ja biedna! – żaliła się Śmierć, zdawszy sobie sprawę, że padła ofiarą dziwnego czaru. – Co ja teraz pocznę?

– Co mi dasz, jeśli cię uwolnię? – odpowiedział przebiegły człowieczek.

– Proś, o co tylko chcesz, a spełnię to – obiecała Śmierć, pragnąc jak najszybciej wstać z tego stołka.

– Chcę jeszcze sto lat życia.

– Ale, co za przesada! Dam ci pięćdziesiąt!

– Dobrze, zgoda, niech będzie kolejne pięćdziesiąt lat życia!

I zawarłszy ugodę, Śmierć wyruszyła w drogę.

Pięćdziesiąt lat później, nie zwlekając ani minuty, Śmierć jest z powrotem, zdecydowana wziąć to, co do niej należy.

Stolarz, który tymczasem stał się żwawym staruszką, gotów był ją przyjąć, ale oczywiście na swój sposób.

– A więc to znowu ty! Ale jakaś ty wyniszczona, moja droga Śmierci... taka chuda... Popatrz, jakie wspaniałe figi rosną na moim drzewie: dlaczego przed dalszą drogą, wspiąwszy się sama nie zerwiesz kilku?

Propozycja przypadła do gustu naszej Pani, jako że nie zdarzało się często, żeby ktoś tak uprzejmie proponował jej coś na pokrzepienie. Dlaczego zatem nie skorzystać?

Tak więc Śmierć wspięła się na figowiec i... możecie wyobrazić sobie, co się stało. Została na nim unieruchomiona, niczym jedna z gałęzi.

Biedaczka zaczęła płakać i złorzeczyć, ale nic to nie dało; tylko przebiegły staruszek mógł jej pomóc.

– Co mi dasz, jeśli pozwolę ci zejść z mojego drzewa?
– zapytał człowiek.

– Poproś o co tylko chcesz, a dam ci – odpowiedziała zrozpaczona Śmierć.

– Jeszcze dwieście lat życia!

– Sto, i na tym koniec! – A ton, jakim to rzekła, odpowiedział stolarzowi, żeby się zadowolił.

Zawarli ugodę po raz drugi i Śmierć odeszła zżerana złością.

Minęło sto lat, z naszego stolarza został strzęp człowieka umęczonego życiem i, choć trudno w to uwierzyć, grą w karty. Był jednak usatysfakcjonowany tym długim życiem, które dobiegało końca, a umierał tak jak żył – jako człowiek uczciwy.

Odszedł zatem w towarzystwie czarnej Pani, która zaprowadziła go prosto do drzwi raju.

– Proszę – powiedziała zwracając się do świętego Piotra
– w końcu przyprowadziłam ci stolarza!

– Jakiego stolarza? – zapytał święty. – Może tego, który nie posłuchał mojej rady, by prosić o zbawienie duszy? I teraz chciałby wejść? Precz stąd!

– Ależ święty Piotrze – wtrącił się człowieczek – wygrane pieniądze wykorzystałem najlepiej jak mogłem i zawsze uczciwie pracowałem.

Ale święty nie chciał słuchać żadnych racji i z wielkim hukiem zatrzasnął drzwi raju.

Wtedy Śmierć, utrudzona i zdyszana, wzięła go i skierowała się do czyśćca. Chciała pozbyć się tego problemu, nawet jeśli w głębi serca ten człowieczek zaczynał wydawać się jej dość sympatyczny.

– Gracz? – krzyknął Anioł strażnik czyśćca. – Precz stąd! Nie chcemy tu ludzi tego pokroju! Niech idzie do piekła!

I biedna Śmierć, sapiąc, wzięła go i skierowała się w dół, do królestwa zmarłych.

Sam Lucyfer we własnej osobie przyjął ich z wielkim entuzjazmem:

– No popatrz, kto do nas trafił! Stolarz. Bardzo chciałem cię poznać. Dwieście lat życia to szmat czasu, spryciarzu!

I od razu chciał go zabrać do swojej zadymionej nory, gdzie nikt nie wie, jak straszne rzeczy się dzieją.

– Byłem graczem, to prawda – powiedział staruszek – ale graczem uczciwym. Uszczęśliwiłem wielu ludzi z tego, co wygrałem, zawsze pracowałem i nigdy nikogo nie skrzywdziłem.

– Zawsze wygrywać w karty i nigdy nikogo nie skrzywdzić, te dwie rzeczy nie idą w parze – odparł Lucyfer. – Gracz, który zawsze wygrywa, siłą rzeczy musi być oszustem, a zatem zostaniesz tutaj.

– Zobaczymy! – odparł stolarz. – Masz talię kart?

– Żarty sobie stroisz? Nie wiesz, że wszystkie karty na ziemi robi się właśnie tutaj i że zachowujemy ich wzór? – odpowiedział dumny Lucyfer.

– Dobrze, a więc gramy! Zobaczysz, że mogę pokonać nawet ciebie.

– Wygrać ze mną, królem gier? Nie rozśmieszaj mnie! Dobrze sobie! Ale ty, o co będziesz grał?

– Pozostała mi już tylko moja biedna dusza.

– Niech tak będzie, grajmy o tę twoją duszyczkę! – krzyknął rozbawiony diabeł.

Nie potrafię wam powiedzieć, jak długo Lucyfer i stolarz zawzięcie grali, i grali, i grali. Rozgrywka po rozgrywce, stolarz wszystkie wygrywał. W końcu diabeł uderzył potężną pięścią w stół, tak że wstrząsnęło całym piekłem.

– Dość! – krzyknął rozsierzdzony. – Precz stąd i więcej się tu nie pokazuj!

Nasz człowieczek wrócił zatem do progów raju i zaczął stukać, ale święty Piotr nie chciał nawet słyszeć o otwarciu mu drzwi.

Jezus nie miał wyjścia, musiał interweniować osobiście.

– No już, Piotrze, wpuść go. Dar, który mógł wyrządzić wiele złego, zarówno jemu, jak i innym, ten człowiek umiał wykorzystać dla dobra wszystkich. Zbawienie duszy otrzymuje się nie tylko wtedy, gdy się o nie prosi!

I mówiąc to, otworzył wielkie złociste wrota.



Saturnin leci do raju

Legenda średniowieczna

Czart obserwował uważnie ludzi na ziemi, wyczulony jak zawsze na każdą możliwość zdobycia nowych dusz.

Spogląda to w jedną, to w drugą stronę – i nagle jego uwagę przykuła liczna grupa osób wychodzących z kościoła. Wyostrzył maksymalnie wzrok, nadstawił uszy jak anteny i w mgnieniu oka wydało mu się, jak gdyby sam znajdował się wśród tych ludzi.

Usłyszał zatem pochwały, jakimi uczestnicy niedzielnej liturgii obsypywali miejscowego biskupa, który, jak się zdawało, właśnie wygłosił jedno ze swoich słynnych kazań.

Możecie sobie wyobrazić ciekawość szatana. Kim był ten słynny kaznodzieja, który zdołał ujść jego diabelskim szponom?

Chodziło o świętego Donata, biskupa Arezzo, którego mowy, wygłaszane potężnym głosem, potrafiły pokonać największych przeciwników Kościoła.

Siedząc w swojej zadymionej norze, szatan zaczął zastanawiać się, co począć, ale przed podjęciem jakiegokolwiek decyzji postanowił przejrzeć olbrzymią encyklopedię, w której każda dusza była szczegółowo opisywana.

A oto co znalazł pod hasłem „Dusza świętego Donata”.

Dusza tego osobnika dysponuje wielką siłą, jej struktura jest związana z ciałem równie silnym i krzepkim.

Wychowany w rodzinie chłopskiej, odziedziczył mocne zasady związane z umiłowaniem natury i istoty ludzkiej, która z niej czerpie życie.

Ognistego temperamentu, Donat lubi angażować się w wszelkiego rodzaju dysputy, a czasem nawet głośnie spory.

Ta dusza nie należy do typu ascetycznego, traktuje pobyt na ziemi jako zaprawę w różnych próbach ciała i ducha.

Człowiek goszczący tę duszę ceni towarzystwo i lubi dobrze zjeść.

– Do diaska! – pomyślał diabeł. – Muszę popracować nad tym tutaj! Jeśli przeczucie mnie nie myli, gleba jest żyzna i uda mi się zapuścić korzenie.

I zaczął zastanawiać się, którego ze swoich pomocników zaangażować do tego zadania.

Przyszedł mu na myśl diabełek dość złośliwy i sprytny, który ukończył kurs „kuszenia” z najwyższymi ocenami i dał już dowody swoich możliwości.

Czart przywołał zatem Saturnina, bo tak na imię było diabełkowi, i powierzył mu delikatną misję omamienia duszy Donato oraz zdobycia jej.

Saturninowi wydawało się, że nie jest w wystarczająco dobrej formie, jeśli chodzi o kuszenie, gdyż od jakiegoś czasu nie zajmował się nim, otrzymując jedynie zadania administracyjne.

Najpierw śledził Donata przez kilka dni, trzymając się jednak z dala, również z powodu zapachu siarki, jaki czuć było od niego zawsze, kiedy wychodził z piekła.

Potem, przyjrzawszy się dokładniej świętemu, przygotował szczegółowy plan ataku.

Pierwsze posunięcie angażowało nieświadomą gospodynię, która od wielu lat zajmowała się kanonią.

Teresa, kobieta w średnim wieku, owdowiała młodo i mogła wychować trójkę dzieci tylko dzięki hojności swo-

jego biskupa; dlatego wydawało się jej w pełni słuszne, że chcąc być użyteczna, zajmowała się nim jak troskliwa siostra.

Kobieta wielkiej mądrości, dbała o Donata z takim samym oddaniem, z jakim wychowała swoje dzieci, i nigdy nie patrzyła na niego inaczej niż patrzy matka.

Żywiła do niego głęboki szacunek i podziw za siłę, z jaką stawiał czoło wszelkim problemom w diecezji, troszcząc się nawet o najmniejsze szczegóły.

Jako doskonała kucharka, Teresa przygotowywała różne smakołyki dla swojego dobroczyńcy i stół biskupa słynął z przysmaków, które dzielna kobieta umiała przygotować nawet „z niczego”, nie wspominając już o tym, że każdy biedak mógł zawsze liczyć na hojność tego stołu.

Saturnin postanowił więc zastosować jedną z najstarszych pokus: kobiecie wdzięki. Czy i Biblia nie mówiła, że kobieta jest pierwszym źródłem grzechu?

Tak więc nieświadoma niczego Teresa padła ofiarą tego spryciarza.

Można sobie wyobrazić zdziwienie Donata, kiedy pewnego wieczoru zobaczył swoją dzielną gospodynię, która jak zwykle przyniosła mu szklankę mleka, ale...

Odziana była niewątpliwie prowokująco i mówiąc między nami, raczej skąpo. Włosy, zazwyczaj zebrane w kok, miękko opadały na ramiona; i ten przekonujący głos...

– Do licha! Co się stało? – pomyślał zdezorientowany biskup.

Ale choć Saturnin był sprytny, Donat mu nie ustępował. Nie dając się wciągnąć w pułapkę, wstał, wyprostował się i krzyknął gromkim głosem:

– Precz stąd, łajdaku!

A mówiąc to wziął miskę z mlekiem, pobłogosławił je i zaczął kropić kobietę i wszystko dokoła.

Zmoczony w ten sposób Saturnin nie mógł wytrzymać pieczenia, wydawało mu się, że został poparzony wrzącym olejem. Na wszystkie diabły, to było gorsze od piekła!

Zostawił kobietę i jednym susem ukrył się w pierwszym ciemnym załomie, jaki znalazł po drodze. Piękne rzeczy! I co teraz powie swojemu panu?

Tymczasem Teresa, wróciwszy do siebie, z zakłopotaniem rozważała okoliczności zaistniałej sytuacji, nie mogąc zrozumieć, jakim sposobem znalazła się tam w takim stanie.

– Proszę, przynieś mi inną szklanekę mleka i nie przejmuj się – powiedział uprzejmie biskup. – Nic się nie stało, mieliśmy tylko nieoczekiwaną wizytę, ale teraz już wszystko w porządku.

Minęło trochę czasu i nasz diabełek otrząsnął się z porażki i ze strachu, jakiego się najadł tamtego wieczoru.

Kręcił się zatem dokoła Donata, czekając na sprzyjający moment do działania. Okazja nadarzyła się już wkrótce: stanęły przed nim otworem jego sny. Czy mogła być lepsza sposobność, by znaleźć tego człowieka słabego i bezbronnego?

Korzystając z drzemki, jaką uciał sobie biskup po południowym posiłku, zbliżył się ostrożnie i szepnął mu do ucha:

– Posłuchaj głosu przyjaciela... Mogę dać ci władzę i chwałę... Porzuć drogę dobra i wejdź w szeregi sług mojego pana: on obdarzy cię wszystkim, czego człowiek może zapragnąć!

Donat rozkoszował się popołudniową drzemką, ale czujniejszy po pierwszej wizycie mieszkańca otchłani, nigdy całkowicie nie porzucał mechanizmów obronnych.

I tak w odpowiedniej komórcie jego umysłu zabrzęczał natychmiast dzwonek alarmowy:

– Uwaga, czuć zapach siarki!

Święty przestał głośno chrapać, ale w rzeczywistości przygotowywał się do ataku, licząc na zaskoczenie.

Tymczasem Saturnin usadowił się spokojnie obok śpiącego i niewzruszony snuł nadal swe nęcące obietnice.

Donat zerwał się raptownie i wzięwszy diabła za raciczki, zaczął trzepać nim raz w jedną raz w drugą stronę, jak dywanem; następnie szybkim ruchem, niezwykłym dla człowieka jego postury, złapał go za gardło i ścisnął tak mocno, że Saturninowi pozostało tylko błagać o litość.

– Zlituj się, dobry biskupie – krztusił się biedaczek.
– Jeśli pozwolisz mi odejść, nie będę ci się już więcej naprzykrzał, słowo diabła!

Sapiąc jak miech kowalski, Donat zadowolił się zanurzeniem nieszczęśliwca w zakrystyjnej kąpielnicy, gdzie go zostawił przemoczonego, bardziej martwego niż żywego.

Kiedy w końcu udało mu się chwycić za brzeg szerokiej kąpielnicy, Saturnin zaledwie znalazł siłę, by czmychnąć na zewnątrz i dotrzeć do ciemnej groty poza miastem, bezpośrednio połączonej z piekielnymi tunelami. Tam w końcu odzyskał oddech i poddał się leczeniu przez gnomy ciemności.

Odzyskawszy siły, nasz diabeł pomyślał, że może lepiej byłoby porzucić zadanie i pozostać przez jakiś czas z daleka od tego miejsca. Co go obchodził Donat i jego cnota? Niech ją sobie zatrzyma... w gruncie rzeczy Saturnin był zawsze zwolennikiem wolnego wyboru.

Ale szatan był innego zdania. Natychmiast posłał po niego i zagroził strasznymi karami, jeśli wkrótce nie zdobędzie duszy tego upartego ucznia dobroci, a wymawiając to słowo, wykrzywił twarz w okrutnym, pełnym pogardy grymasie.

Do reszty przygnębiony, nasz diabeł ruszył w drogę, ale dawna pewność siebie zupełnie znikła.

Żałośnie wychudzony, wyliniały i często wstrząsany dreszczami, Saturnin włóczył się po Arezzo niezdecydowany, co począć.

Nie chcąc zupełnie wyjść z wprawy, chował się w ciemnych norach lub zaułkach, by znienacka wyskoczyć i nastraszyć przypadkowych przechodniów, ale większość z nich spoglądała na niego z niesmakiem, biorąc go za wynędzniałego psa przybłądę.

Jego duma była głęboko zraniona, musiał za wszelką cenę pozbierać to, co pozostało z dawnego wigoru, i ponownie przystąpić do biskupa. Wślizgnął się ukradkiem do jego domu i korzystając z chwilowej nieobecności Teresy w kuchni, zaczął wcinać resztki z kolacji; następnie, głowiąc się nad tym, jaki rodzaj kuszenia zastosować, wkręcił się w ubrania Donata.

Był styczeń, tego roku miesiąc wyjątkowo zimny; i Saturnin, najedzony i rozgrzany, w końcu twardo zasnął.

Ale kiedy się obudził, pozostawał w mocnym uścisku tego, który miał być jego ofiarą.

– Co za paskudne diablisko – krzyczał Donat – już ja sprawię, że przejdzie ci ochota do żartowania z biskupów!

I zabrał go na dzwonnice, przywiązał mocno do serca dużego dzwonu, tak że za każdym razem, kiedy ten dzwonił, diabłem ciskało jak szmatą o kamień.

Wkrótce myszy zamieszkujące dzwonnice, pytając co tam robi to coś, zaczęły podgryzać linę, którą był przywiązany, aż w końcu uwolniły go z tej niewygodnej pozycji, tak że spadł z hukiem na ziemię. Po raz pierwszy Saturnin zaczynał poważnie wątpić w swoją diabelską naturę, chociaż nie chciał się jeszcze poddać. Gdy tylko nadarzyła się okazja, zszedł ostrożnie do pokoi Donata i ukrył się w jego tabakierce; kiedy więc ten podniósł pokrywkę, Saturnin wyskoczył z niej z takim okrzykiem, że ciarki przechodziły. Ale nie tak łatwo było zastraszyć świętego, a tym bardziej tego.

– A zatem wróciłeś, zły duchu – powiedział, obserwując z zadowoleniem jego opłakany wygląd. – Teraz rozprawię się z tobą raz na zawsze, tak że będziesz mógł donieść twojemu panu, że ze mną nic nie wskóra!

To powiedziawszy, Donat chwycił diabła za ucho i wsadził go do schowka, gdzie przechowywał modlitwy, jakie zanosił do dobrego Boga.

To był szczyt wszystkiego! Saturnin wytrzeszczył oczy i zwijał się w straszliwych skurczach, jego ciało zostało wystawione na niewyobrażalny wstrząs. W końcu, zrozpaczony, zemdłał i zapanowała głęboka cisza.

Począwszy od tego dnia nasz diabełek nie śmiał więcej niepokoić świętego ani tym bardziej wrócić do swojego pana, okrutnego Władcy Ciemności.

Kręcił się po domu i ogrodzie, próbując przejść niezauważony, przemykał wzdłuż murów, zadowalając się resztkami z kuchni i próbując ukryć się w tym miejscu, które prawie zaczynało mu się podobać.

Czas mijał i Donat tracił coraz bardziej siły, zbliżając się do starości. Kiedy w końcu zachorował, z silnego niegdyś człowieka pozostał jedynie cień.

Saturnin uznał wówczas, że może nadszedł czas rewanżu i zbliżywszy się do wezgłowia swojego najgorszego przeciwnika, wyszeptał słabym głosem, jaki mu jeszcze pozostał:

– Posłuchaj mnie wreszcie, mogę wrócić ci zdrowie i młodość, jeśli poddasz się mojemu panu! Wystarczy jedno skiniecie, a nawet tylko pragnienie, i będziesz mógł odzyskać dawną młodość, siłę oraz zyskać ochronę najpotężniejszego z książąt.

Święty spojrzał na tego żalosnego demona, wyliniałego i wychudzonego, wykończonego tyloma bezskutecznymi bojami, i poczuł dla niego wielką litość.

– Posłuchaj, jeśli twój pan może uczynić wszystko to, co mówisz, dlaczego sam z tego nie skorzystasz?

Saturnin nie wiedział, co odpowiedzieć, ale te słowa dały mu do myślenia.

– Może zaproponuję ci układ – ciągnął Donat słabym głosem. – Nie mogę od razu zamienić cię w anioła, ale mogę wydobyć cię spod władzy twojego niesympatycznego pana.

A widząc, że diabełek wydaje się zadowolony z tej propozycji, Donat zwrócił się do dobrego Boga, aby On zatroszczył się o to stworzenie. W tej samej chwili paskudny ciemny cień towarzyszący świętemu zamienił się cudem w uroczonego, barwnego, melodyjnie śpiewającego ptaszka.

Przez wszystkie dni, kiedy Donat leżał chory, małe zwierzątko nie opuszczało jego pokoju, próbując ulżyć konającemu swoimi trelami.

Minęło niewiele czasu i święty opuścił tę ziemię, by udać się do raju, gdzie, możecie być pewni, zadbał o to, by znalazł się tam również pewien ptaszek.



Dominus tecum, mój synu

Ludowa legenda hiszpańska

To, co chcę wam opowiedzieć, wydarzyło się wiele lat temu w wiosce, której nazwy nikt nie pamięta.

Miejscowość, w której panował dobrobyt i pogoda ducha, położona była na łagodnym wzniesieniu uprawianym z dbałością i wprawą. Mieszkańcy, wieśniacy o duszy prostej i życzliwej, zawsze gotowi byli do uśmiechu i hojności wobec siebie oraz względem przybyszów.

Życie toczyło się bez większych wstrząsów, zaprawione słodyczą i goryczą, jakie zazwyczaj je wypełniają, kiedy patrzy się na tę doczesną wędrówkę przychylnym okiem.

Aż do momentu, kiedy nagle coś nieoczekiwanego a złego przemknęło ulicami miasteczka i zaczęło dręczyć to tę, to tamtą rodzinę. Każdy dzień radosny z powodu narodzin dziecka zamieniał się w dzień bólu, gdyż noworodek umierał po kilku godzinach od urodzenia, czego nikt nie potrafił wytłumaczyć.

Nawet stary ksiądz, który tyle przeżył i dużo widział, nie potrafił zrozumieć, skąd przyszła ta zaraza i dlaczego uwzięła się na te małe i niewinne stworzenia. Po przejrzaniu starych ksiąg przechowywanych w krypcie kościoła mądry człowiek zaczął domniemywać, że jakiś czort wysłany z ciemnych kryjówek złych duchów kręci się po wiosce, popychany nienawiścią do tego spokojnego i pogodnego zakątka.

Wkrótce mieszkańcy padli ofiarą wcześniej nieznanym lęków, nie umiając wytłumaczyć sobie, dlaczego życie zawzięło się właśnie na nich. Modlili się żarliwie do dobrego Boga, który wie wszystko, aby im pomógł wyjść z tego koszmaru, w którym zdawali się coraz bardziej pogrążyć.

Możecie sobie wyobrazić, w jakim byli stanie ducha, kiedy piekarz Prosper obwieścił całej miejscowej społeczności zgromadzonej na Mszy rychłe narodziny syna.

– Chybaś oszalał! – wykrzyknęli chórem. – Nie wystarczy ci to, co wydarzyło się do tej pory? Nie rozumiesz, że jakiś urok został rzucony na naszą wioskę?

Prosper, zdjęty trwogą, nie wiedział, co powiedzieć. Teraz zresztą mógł już tylko czekać z rezygnacją na swój przydział cierpienia.

Tymczasem stary ksiądz nie przestawał codziennie kartkować tajemniczych stron starych ksiąg, których wilgotne kamienie krypty tak długo zazdrośnie strzegły. Jak Bóg mógł nie przewidzieć tego, co się działo, i nie wskazać, co mogłoby im pomóc?

Święty człowiek czytał raz i drugi, analizował i rozmyślał, z przeświadczeniem w sercu, że za całym tym gorączkowym poszukiwaniem musi kryć się coś znacznie prostszego, jak tylko Bóg umie być prosty.

Minęło kilka miesięcy i pewnego słonecznego, choć zimnego lutowego ranka przyszedł na świat mały synek piekarza.

W domu, gdzie powinni go przyjąć z radością, panowała ponura atmosfera, a młoda mama obserwowała niespokojnie pucołowatą twarzyczkę, czekając że zaraz zobaczy, jak uchodzi z niej życie, co już wiele razy miało miejsce w wiosce.

Kiedy wszyscy trwali tak, smucąc się i płacząc, nagle rozwarły się drzwi i wszedł stary ksiądz.

– Moi drodzy, jakie wspaniałe dziecko! – zawołał, obejmując izbę szerokim, wesołym spojrzeniem.

Następnie zwrócił się do kobiety pochylonej nad łóżeczkiem noworodka:

– Nie płacz, moja droga, otrzyj raczej oczy i zrób, co ci powiem!

Wśród powszechnego zdumienia ksiądz kazał podnieść dziecko, polecając matce trzymać je przy piersi, dopóki nie powie inaczej.

Kobieta wydawała się niezdecydowana, jednak ze starego księdza emanowała taka siła, że trudno było się jej sprzeciwić. Wzięła małego i trzymała na kolanach, aż dziecko lekko kichnęło.

– Dominus tecum, mój synu! – natychmiast zawołał uroczyście stary ksiądz. W tej samej chwili dało się słyszeć nieprzyjemny i zdenerwowany głos dochodzący z okapu nad kominkiem.

– Staruch! Tysiąckrotnie przeklęty! Kto cię tego nauczył? – I mówiąc to, złośliwy chochlik, utykając, przemierzył pośpiesznie izbę, dał susa przez drzwi i w okamgnieniu zniknął z oczu osłupiałych widzów.

Pod postacią drżącego ciemnego cienia zły uciekał precz, pokonany siłą zaledwie dwóch słów, które jednak nie pozostawiały żadnych wątpliwości.

Nie potrzeba mówić wam, że zarówno to dziecko, jak wszystkie inne, które następnie się urodziły, rosło całe i zdrowe, a wioska odnalazła swoją dawną pogodę i radość.

Jeśli w tych dniach przypadkiem byście tamtędy przejeżdżali, z pewnością ją poznacie, gdyż mieszkańcy dobrze wam życząc, pozdrowią was mówiąc:

– Dominus tecum, synu mój, Pan z tobą!



Kim jesteś?

Legenda z XVII wieku

Od śmierci Nemo upłynęła zaledwie chwila, czas jednego westchnienia, kiedy u jego wezgłowia pojawił się anioł. Mężczyzna rozważał jeszcze fakt, że przejście przez drzwi życia i śmierci nie było znowu takie straszne, jak się obawiał.

W pokoju panowało ogólne zamieszanie. Lekarz biegał z cudownymi miksturami, które miały, według niego, ocalić życie chorego, ale Nemo miał się dobrze, zwrócony w stronę świata, który jawił mu się jako pogodny i gościnny.

Anioł zwrócił się do niego z serdecznym uśmiechem i nie bacząc na to, co działo się dokoła, wziął krzesło i usiadł obok łóżka. Kto wie, dlaczego mężczyzna nie spytał nawet, kim jest ta blada postać, która zjawiła się tak nagle: może obecność śmierci pociąga za sobą głębszą świadomość, kto wie...

– Co robisz, nie widzisz, że umarłem? – zapytał.

– Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, mogę cię zapewnić, że w tej chwili nie jesteś ani po jednej, ani po drugiej stronie, a ja znam się na tych sprawach – odpowiedział anioł.

– Przybyłeś, żeby mnie zabrać? – zapytał Nemo.

– Nie wiem. Prawdę mówiąc, jeszcze nie została podjęta ostateczna decyzja. Moim zadaniem jest spytać cię o coś, i wtedy się zobaczy – powiedział anioł, sadowiając się wygodniej.

Mężczyzna poczuł się trochę zdenerwowany. Wydawało mu się, że całe życie spędził zdając egzaminy, a teraz oto nowa próba, której trzeba stawić czoło.

– Posłuchaj, nigdy nie byłem kimś, to znaczy, chciałem powiedzieć, kimś wykształconym: nie chciałbym... – nieśmiało bronił się Nemo.

– Nie martw się: jakakolwiek zapadnie decyzja, na pewno będzie ona miała na względzie twoje dobro. Odpowiadaj zatem zupełnie spokojnie, ale przede wszystkim szukaj odpowiedzi w sercu, nie w głowie. Rozumiesz?

I anioł mrugnął okiem do leżącego, który rzeczywiście nic nie zrozumiał.

– A zatem posłuchajmy – ciągnął anioł. – Pytanie jest najprostsze jakie można postawić. Kim jesteś?

Nemo zaczął szybko myśleć, czy w tym zadaniu może kryć się jakaś pułapka, ale nawet gdyby tak było, on jej nie widział. Nie chcąc źle wypaść, właśnie w momencie tak ważnym, szukał najlepszego sformułowania na określenie siebie.

– No cóż, przede wszystkim jestem człowiekiem! – może trafił za pierwszym podejściem, pomyślał dodając sobie otuchy.

– Czy wydaje ci się, że pytałem do jakiego gatunku należysz?

– Jestem Nemo Jakiśtam.

– Pytałem cię kim jesteś, a nie jak się nazywasz – odparł spokojnie anioł.

– Jestem pracownikiem pocztowym.

– Ale ja pytałem, kim jesteś, a nie co robisz.

– Jestem żonaty, mam dwójkę dzieci i kocham moją rodzinę.

Świetna referencja, pomyślał Nemo.

– Nie pytałem o twój stan cywilny bądź uczucia, jakie żywisz wobec twojej rodziny, ale zwyczajnie, kim jesteś.

– Jestem człowiekiem religijnym, wierzę w Boga i czy-
nię dobrze bliźnim.

– Nie pytałem, jaką wyznajesz religię, w co wierzysz
ani o twoje relacje społeczne.

Biedny Nemo nie wiedział już, co powiedzieć. Ale co
to za pytanie, kim jesteś... Wiedział tylko, jak określić
się wśród ludzi; ale jak inaczej mógł to uczynić?

Czy kiedykolwiek postawił sobie to pytanie za życia?
Nie, było zupełnie oczywiste dla wszystkich, kim jest!
Może było coś głębszego i bardziej podstawowego, na co
nigdy nie zwrócił uwagi... do licha, nigdy nie miał czasu
na pewne rozważania, on, który musiał zmagać się z ty-
siącem problemów życia codziennego! A jednak, dopiero
teraz sobie to przypomniwał, było kilka chwil, kiedy na-
chodziło go wątpliwe poczucie niezadowolenia, budząc bliżej
nieokreślone przeczucie, że za każdym przejawem rze-
czywistości kryje się coś głębszego i umykającego.

– Dobrze – powiedział anioł wstając i zostawiając
w miejscu, gdzie siedział, delikatną poświatę. – Pozosta-
wiam cię z tym zadaniem: za każdym razem, kiedy użyjesz
zaimka ja, zapytaj się, o kim tak naprawdę mówisz.

Po czym musnął delikatnie Nemo, którego serce po-
nownie zaczęło bić spokojnie i regularnie.

– Udało nam się – zawołał zadowolony lekarz. – Ura-
towaliśmy go!

Postać anioła niemal całkiem się rozpułyła, ale gdyby
ktoś ją widział, zauważyłby oczko puszczone do mężczy-
zny leżącego w łóżku.

Nemo Jakiś tam nie zdał egzaminu, ale kiedy wyzdro-
wiał, postanowił odkryć, kim jest, i nic nie było już tak
jak dawniej.



Egoizm

daleko nie zawiedzie

Hiszpańska legenda ludowa

Któregoś dnia zmarła pewna staruszka i natychmiast aniołowie prowadzący jej sprawę zabrali się do dzieła. Jeden z nich podążał za konduktem i odnotował, że bardzo mało ludzi towarzyszyło zmarłej w drodze na miejsce ziemskiego pochówku, a słuchając szeptanych rozmów tej nielicznej grupy zauważył, że mało kto ma o niej wyraźnie pochlebną opinię. Inny wziął pojemnik wspomnień i szukał uważnie odcisków pozostawionych przez dobre uczynki oraz tych pozostawionych przez czyny nieuprzejme: okazało się, że tych ostatnich była przytłaczająca większość.

Trzeci wreszcie przejrzał mapę życia tych, którzy ją znali, by zbadać, czy postępując w sposób szlachetny bądź egoistyczny miała na nich wpływ, a widok, także i tym razem, z pewnością nie napawał otuchą.

W końcu trzej aniołowie zebrali się na szybką naradę i ustalili, że jedyną rzeczą przemawiającą na korzyść starej kobiety jest bochenek chleba podarowany pewnego dnia żebrakowi.

Wzięli zatem bochenek jako dowód przemawiający na jej korzyść, ufając, że nawet jeden konkretny przejaw hojności może być bardzo ważny. Zresztą przynieśliby dowolną rzecz sędziemu, który miał wydać wyrok, gdyż to do niego należało ostatnie słowo.

Udali się następnie do nieboszczki, która czując się jeszcze nieswojo w nowej sytuacji, czekała na kogoś, kto by przyszedł i się nią zajął.

– Nareszcie, a co teraz? – zapytała kobieta poirytowana długim oczekiwaniem.

– Czekaj nas sąd, który oceni twoje ziemskie życie – odpowiedzieli aniołowie.

Kiedy staruszka zaczęła przebiegać w myślach minione lata, naszły ją wątpliwości, że być może zmarnowała wiele okazji do zrozumienia czegoś, ale teraz nie można już było zmienić tego, co się stało.

Kiedy dotarli do siedziby sądu, aniołowie zaprowadzili kobietę do jednego z niezliczonych pomieszczeń, gdzie za wielkim biurkiem pełnym map życia, pojemników wspomnień, teczek kryjących obfitość różnego rodzaju myśli i uczuć siedział starszy mężczyzna o dobrotliwej twarzy. Nie wspominając o kartonach usprawiedliwień, które wydawały się pękać, tak były wypchane.

Aniołowie wręczyli swój raport i sędzia badał każdą rzecz z wielką uwagą, następnie wstał i wyszedł z gabinetu.

Kobieta na pewno nie wiedziała, że w sąsiednim pokoju znajduje się wielka księga, w której można było sprawdzić wydarzenia przeszłe i przyszłe, gdyż na jej stronach wszystko było zapisane.

Wróciwszy, stary sędzia polecił przynieść bochenek chleba podarowany żebrakowi i wręczył go oczekującej. Jakby za sprawą czarodziejskiej różdżki, zaledwie go wzięła, zaczęła unosić się do góry.

Jako że minęło niewiele czasu od śmierci ciała, myśli nie opuściły jeszcze duszy staruszki i zaczęły natychmiast napawać ją dumą i zadowoleniem z tego gestu poczynionego wobec biedaka, którego, prawdę mówiąc, nawet już nie pamiętała.

Nigdy by nie przypuszczała, że podany odruchowo bochenek uratuje ją i uniesie ku górze jak na niewidzialnej linii.

Nagle pojawił się za nią jakiś człowiek wychudzony i obdarty, który uczepił się jej sukienki i wznosił się wraz z nią, potem inny chwycił się z kolei biednego, później inny, i jeszcze inny, tak że powstał długi sznur wznoszący się do raju.

Dusza starej kobiety, zatopiona w samozachwycie, w pierwszej chwili nie zauważyła nawet tego orszaku, który za nią się ciągnął. Jednak nagle przypomniała sobie ziemię i swoje życie, a po chwili oszołomienia odwróciła się i zobaczyła te wszystkie osoby, które wznosiły się do raju uczepione jej sukienki.

Rozgniewało ją to i jedną ręką potrząsnęła połą ubrania, krzycząc z irytacją:

– Idźcie sobie, bochenek chleba należy tylko do mnie!

Kiedy wykonywała ten ruch, bochenek wysliznął się jej z dłoni i zaczął szybko spadać w dół, pociągając za sobą kobietę z całym orszakiem.

W tej samej chwili stary sędzia potrząsnął smutno głową, myśląc o bezcennych okazjach ofiarowanych przez Bożą miłość, a niezrozumianych przez ludzi.

Otwierając swoją wielką księgę, obok imienia kobiety zapisał starannie następującą adnotację: „Złem, które ogarnia świat, jest roszczenie, aby chociaż jedna maleńka rzecz mogła należeć do człowieka”.



Anioł i bożonarodzeniowe drzewko

Legenda ludowa z Wielkiej Brytanii

Jak wiadomo, człowiek przemierzał ziemię, zakładając osady, które z biegiem wieków coraz bardziej się rozrastały, tworząc różne społeczności, a następnie narody.

Chociaż mały Jezus przyszedł na świat w Palestynie, kraju ciepłym, w którym z pewnością nie ma takich drzew jak świerki, mieszkańcy północnej części świata mają zwyczaj przyozdabiać właśnie sosny i świerki z okazji świąt Bożego Narodzenia.

Również w Anglii, kraju położonym na północy Europy, co roku 25 grudnia place i ogrody rozświetlają wspaniałe dekoracje umieszczone na drzewach, które stały się symbolem tego szczególnego święta.

W pewnej angielskiej wiosce żyło wiele lat temu dziecko, któremu na imię było Jakub.

Było to bardzo ładne i wrażliwe dziecko, które jednak los naznaczył w szczególny sposób. Nie otrzymało bowiem daru widzenia i musiało polegać na opowieściach dorosłych bądź przyjaciół, by wyobrazić sobie to, co je otacza.

Jeśli z jednej strony mogło uchodzić za pokrzywdzone, to przecież z drugiej otrzymało szczególny dar: anioła stróża, który był naprawdę nadzwyczajny.

Jakub został powierzony temu aniołowi, a ten okazywał swojemu małemu podopiecznemu zapał i poświęcenie, jakie można znaleźć tylko u mieszkańców raju.

Chłopczyk w rzeczywistości nigdy nie był sam i to, czego nie mógł sobie wyobrazić, malował mu bezpośrednio w myślach uważny anioł.

Czasem ta zdolność wyczuwania rzeczywistych kształtów wprawiała wszystkich w osłupienie i niektórzy mamrotali półgłosem, że to dziecko potrafi wchodzić w kontakt z innym wymiarem.

Zdarzało się również, że ktoś znalazłszy się nieopodal, słyszał, jak chłopiec szepce coś do kogoś, kogo oczywiście nikt nie widział, i pyta o szczegóły dotyczące tej czy innej rzeczy, znajdującej się w pobliżu. Jakub nigdy nie mówił nikomu o tym oddanym przyjacielu, ani mamie, ani tacie, ani tym bardziej swoim małym przyjaciółkom, ale zwyczajnie zaakceptował go w swoim życiu, jak każdy z nas akceptuje najcenniejszą i najbardziej intymną część samego siebie.

Jak co roku, również tym razem zbliżała się Wigilia Bożego Narodzenia i praca nad przygotowaniem najładniejszych ozdób wrzała w każdej rodzinie.

Mamy, ojcowie, dziadkowie, wujkowie, krewni, wszyscy biegali od jednego sklepu do drugiego, starając się znaleźć coś naprawdę wyjątkowego, by zadziwić dzieci i przyjaciół.

Każdy puszczał cugle wyobraźni i wioska dzień po dniu zamieniała się w miejsce coraz bardziej urzekające: kolory i światła czyniły wszystko wspaniałe, prawie nierzeczywiste.

Oczywiście wyobraźnia Jakuba galopowała bardziej niż każda inna, a on sam ciągle pytał i pytał, raz o to, raz o tamto, ale właśnie teraz nie mógł uzmysłowić sobie obrazu „tajemniczego”, bożonarodzeniowego drzewka.

Często prosił dobrego Boga, by przynajmniej tym razem, tylko na kilka chwil, użyczył mu daru widzenia i pozwolił podziwiać tę cudowną grę światła. Wiedział dobrze,

że Bóg jest lepszy od kogokolwiek innego, gdyż jego sekretny przyjaciel opowiadał o Nim cudowne historie.

Jakub czuł w głębi serca, że to drzewko przedstawia coś jeszcze cenniejszego i głębszego niż wskazywały na to pozory.

– Te światełka igrające z cieniami gałązek są jak wiele uśmiechów ukrytych w zakamarkach duszy – podszepnął mu anioł.

– Ale dlaczego ukazują się tylko w tę noc bożonarodzeniową? – odpowiedział zaskoczony Jakub.

– Nie ukazują się tylko tej nocy, ale za każdym razem, kiedy człowiek czuje się szczególnie blisko Boga. A noc bożonarodzeniowa jest jedną z wielu okazji.

– Powiesz mi, które drzewko będzie miało najładniejsze uśmiechy, bo ja nie będę mógł go zobaczyć – powiedział wtedy zasmucone dziecko do anioła.

– Mój drogi przyjacielu, najładniejsze będzie drzewko, które zajaśnieje w twoim sercu!

Jakub zastanawiał się jeszcze nad tymi słowami, kiedy zawołała go mama.

– Chodź, Kubusiu, dotkniesz ozdób, które zawiesiłam na naszym drzewku: są też cukierki, które tak lubisz, a tata zawiesił dla ciebie piękną niespodziankę. Jestem pewna, że ci się bardzo spodoba.

– Jaki miły jest głos mamy! Bóg był naprawdę bardzo dobry dla mnie – pomyślało dziecko, rozkoszując się ciepłem, które miłość rodziców umiała w nim wzbudzić.

W tej chwili z jego serca wypłynęło wzruszenie tak głębokie, iż poczuł na sobie dreszcz, a obróciwszy głowę w kierunku dużego pokoju, zobaczył swoje błyszczące bożonarodzeniowe drzewko.

Jakub zobaczył po raz pierwszy nie tylko to, co go otaczało. Ujrzał też w oknie, odróżniającą się wyraźnie wśród migotania śniegu, jasną postać, która machała do niego ręką na znak pozdrowienia.

Nikt w wiosce nie zapomniał tego Bożego Narodzenia, kiedy to wydarzył się cud uleczenia małego ślepcy, a chociaż lekarze nadali temu niezwykłemu wydarzeniu naukową nazwę, wszyscy zawsze woleli uważać je tylko i wyłącznie za cud.

Jakub dorósł i stał się mężczyzną. Nigdy nie pytał, co się wydarzyło tamtej nocy, lecz przyjął to pełen wdzięczności i już.

Jego tajemniczy towarzysz zniknął w tej samej chwili, w której on odzyskał wzrok, ale nigdy go nie zapomniał.

Minęły lata i Jakub miał swoje dzieci i wnuki, dla których zawsze na Boże Narodzenie przyozdabiał piękne świetliste drzewko, przypominając im, że każde światło to uśmiech, który w ciągu roku skierowali do Boga.

Ale nadeszło Boże Narodzenie, kiedy Jakub nie miał już siły ubrać ogromnego świerku, który pięknie się prezentował w salonie jego domu, i zrobiły to dla niego dzieci i wnuki. A uczyniły to z taką miłością, że nigdy bożonarodzeniowe drzewko nie wydawało im się piękniejsze.

Siedząc w ulubionym fotelu, stary Jakub przyglądał się swym bliskim skupionym wokół roziskrzonego drzewka i wydawało mu się, że ich radość wypełnia cały świat.

Jego ostatnia myśl brzmiała: „Bóg był naprawdę łaskaw dla mnie!” I jego spojrzenie skierowało się na okno, za którym jasna postać czekała na niego wśród migotania śniegu.



Trzy nasionka

Stara legenda judeo-chrześcijańska

Człowiek, gdy zgrzeszył, znalazł się nagi na ziemi i rozejrzał się dokoła.

Jego myśli zaczynały dopiero przebiegać tysiące krętych ścieżek niesprawnego jeszcze mózgu i z trudem pojmował tajemniczy plan, którego czuł się częścią.

Adam i Ewa poznali swoje ciemne strony, co sprawiło im wielki ból i cierpienie.

W Bogu człowiek poznał spokojne piękno tego, co wystarczające samo w sobie, natomiast teraz, pogrążony w konflikcie, nie mógł uczynić nic innego, jak tylko wyruszyć na poszukiwanie tego, co utracił.

Smutny i przygnębiony na duszy, człowiek zwrócił się więc do Ojca, by prosić Go o pomoc miłosierdzia i nadziei, rozumiejąc, że bez nich trud ziemski będzie pozbawiony sensu.

Bóg nie mógł odwrócić spojrzenia od tego kruchego, słabego stworzenia, które jako jedyne ze wszystkich świadome było swojego stanu, i posłał dwa potężne anioły, ażeby Go wspomagały w jego zadaniu; uczynił nawet więcej, wzbudzając w duszy człowieka oczekiwanie na tego, który zostanie nazwany „Synem Bożym”.

– Wtedy ty i twoje potomstwo otrzymacie oliwę miłosierdzia! – i z tymi słowami w sercu Adam wyruszył na przeciw swojemu losowi.

Po otrzymaniu Bożej obietnicy Adam i Ewa udali się w drogę i dotarli do doliny Hebronu, gdzie urodzili się

ich pierwsi synowie, zły Kain i dobry Abel. Po raz kolejny był podział i spór, które pociągnęły za sobą nienawiść, zazdrość, żal i zemstę wraz z miłością, cierpliwością, litością i przebaczeniem.

Kain był człowiekiem zawziętym i niespokojnym: takie cechy otrzymał od życia, by wyciągnął z nich naukę ku lepszemu. Tak się jednak nie stało i w porywie gniewu Kain zabił łagodnego i cierpliwego Abła. Tak było napisane i od tej chwili myśli, uczucia i czyny nie przestały przeplatać się na ziemi w tańcu życia i śmierci.

Okrutny brat odkrył niepokój związany z poczuciem winy, więc uciekł z domu, kierując się kto wie ku jakim odległym ziemiom. Nieszczęśliwi rodzice pytali z kolei, czy tego nieszczęścia nie należy przypisać im samym i temu grzechowi, od którego wszystkie inne wzięły początek.

Upłynęło dwieście lat, gdyż wtedy czas płynął inaczej niż dziś, i Ewa urodziła trzeciego syna, któremu nadano imię Set. Rósł on zdrowy i mądry, rekompensując rodzicom wielki ból po stracie pierwszych dwóch synów.

Pewnego wieczoru, Adam, który miał wtedy ponad dziewięćset lat, zatrzymał się, by podziwiać zachód słońca i zaczął rozmyślać o tym, jak długie i ciężkie było jego życie. Był zmęczony i tylko Bóg mógł przyjąć jego wzdychnienia i modlitwę. Dlatego przywołał syna i powiedział mu:

– Synu mój, jestem bardzo stary. Wypełniłem to, co do mnie należało. Teraz chciałbym, żebyś poszedł tam, gdzie anioł Cherubin pilnuje świętego drzewa z korzeniami życia: uczynisz to dla mnie?

Set był synem troskliwym i posłusznym; odpowiedział zatem ojcu, że pójdzie, gdziekolwiek ten zechce, byle tylko wskazał mu drogę, jaką ma przebyć, i powiedział, co przekazać aniołowi.

– Po pierwsze, nie możesz się zniechęcać – odpowiedział starzec. – Droga będzie długa i trudna, ale rozpoznasz ją, wystarczy, że pójdziesz w przeciwną stronę szla-

kiem, którym szliśmy ja z twoją matką, kiedy Bóg oddalił nas od siebie; cierpienie towarzyszące tej drodze sprawiło, że nigdy więcej nie wyrosła tam trawa.

Następnie, po chwili wahania, Adam ciągnął:

– Powiesz aniołowi Cherubinowi, że twój stary ojciec wykonał wszystkie powierzone mu zadania, i że teraz jest stary i zbyt zmęczony, by dalej żyć; potem, z wielkim szacunkiem, przypomnij mu obietnicę oliwy miłosierdzia, on zrozumie.

Set wyruszył następnego dnia o świcie i szedł tak długo, że zużył kilka par sandałów, aż w końcu dotarł do olbrzymich wrót raju. Zaczął wtedy pukać, najpierw delikatnie, potem coraz mocniej. Długo błagał, żeby mu otworzono, i płakał nieomal bliski rozpacz, nie otrzymując żadnej odpowiedzi.

Kiedy już prawie utracił wszelką nadzieję, nagle wrota zaczęły się uchylać, ale tylko na tyle, że prześlizgnął się strumień światła, który był również muzyką i zapachem. Takiego światła nie było nigdzie na ziemi i wiedział, że nie ma słów, żeby je opisać.

Set, strwożony, zajrzał przez szparę, ale w tej samej chwili stanęło przed nim tak piękne stworzenie, że dosłownie zaparło mu dech w piersi; z trudem wypowiedział swoje imię i to, po co przyszedł aż tutaj. Dopiero wtedy anioł otworzył przed nim drzwi i delikatnie wepchnął do środka tego tajemniczego świata, o którym nikt nie mógł nic powiedzieć. Nawet on, który stapał po nim, nie był do końca pewien, czy to, na co patrzy, jest prawdziwe.

– Rozglądaj się, ile chcesz – uprzejmie odezwał się do niego anioł – ponieważ to jest raj, który do ciebie należy.

Set nie rozumiał tych słów: wydawało mu się, że śni. Był jakby zanurzony w niezliczonej ilości małych kolorowych ziarenek, które to łączyły się, to znów dzieliły, przyjmując wszystkie możliwe kształty, jakie mógł sobie wyobrazić.

Muzykę można było nie tylko usłyszeć, ale również zobaczyć, a wyglądała jak mięciutkie fale tańczące w zależności od tego, czy dźwięki były niższe czy wyższe. Tam skąd dochodziła muzyka, znajdowała się fontanna, a z niej wypływały cztery strumienie kryształowej wody. Anioł zauważył, z jakim zachwytem Set wszystkiemu się przyglądał, i szepnął mu do ucha:

– Widzisz, to są źródła czterech rzek, z których wszystko inne czerpie życie. Jedna nazywa się Nil, druga Ganges, trzecia Tygrys, a czwarta Eufrat.

W miarę jak chłopak zagłębiał się w ogród, napotykał coraz więcej niezwykłych cudowności. To, co było, było doskonałe, a to, co dopiero miało zaistnieć, było również doskonałe. Tego Set nie mógł zrozumieć, a mimo to wyraźnie to wyczuwał: tam każda możliwość wydawała się mieć spełnienie.

Dotarli do stóp drzewa, którego gałęzie uginały się pod ciężarem wielkich, dojrzałych owoców. Seta szczególnie ono wzruszyło, gdy przypomniał sobie opowiadanie swoich rodziców. Dreszcz strachu przeszedł mu po plecach na myśl, że na pewno tu również mieszkał wąż, ale anioł dodał mu otuchy.

– Nie obawiaj się i przyjrzyj się uważnie, czy nie widzisz niczego szczególnego?

Chłopak podniósł wzrok i dopiero w tym momencie zauważył młodego człowieka, który siedząc na najgrubszym konarze, obserwował go i uśmiechał się do niego w milczeniu.

Set skierował pytające spojrzenie na anioła: kim jest ten człowiek i dlaczego znajduje się tam, gdzie nikomu nie wolno przebywać?

– Widzisz, to jest Syn Boży, symbol miłości Ojca. Kiedy na ziemi nastanie ustalony czas, to on przyniesie największą łaskę, jaką kiedykolwiek człowiek otrzymał. On przyniesie oliwę miłosierdzia, którą Bóg obiecał two-

jemu ojcu, i aby wszystko wypełniło się jak należy, ty wracając do domu, zabierzesz ze sobą te trzy nasionka, które teraz ci daję.

Set otworzył dłoń, a anioł położył na niej trzy nasionka; następnie delikatnie zamknął palce chłopca na tym małym i delikatnym skarbie.

– Teraz musisz już iść: postanowienie Boże nie pozwala ci zatrzymać się w tym miejscu ani chwili dłużej.

Anioł był uprzejmy, ale stanowczy, i Set, już pełen nostalgii za tą rozkoszą zasmakowaną i natychmiast zabraną, znalazł się w mgnieniu oka u wrót raju.

– Posłuchaj mnie, chłopcze – odezwał się jeszcze do niego anioł. – Kiedy wrócisz do domu, opowiedz wszystko twojemu ojcu. Wiedz, że za trzy dni otrzyma pocieszenie śmierci, a ty go pochowasz umieściwszy pod jego językiem trzy nasionka, które ci dałem. Zapamiętasz?

– Jak mógłbym zapomnieć! – odpowiedział Set i zamysłony ruszył do domu.

W drodze powrotnej młody syn Adama nie mógł powstrzymać natłoku myśli, które przy każdym kroku kłębiły mu się w głowie, a ten zamęt zaczął powoli zacierać w jego umyśle wspomnienie raju.

Dotarłszy do domu, opowiedział wszystko ojcu, tak jak pamiętał; a Adam, słysząc, że za trzy dni umrze, nie mógł powstrzymać radości: po tylu trudach i udrękach będzie mógł spocząć, a oprócz tego Bóg ponawiał obietnicę miłosierdzia.

Upłynęły trzy dni i słowa anioła wypełniły się. Adam umarł i Set, grzebiąc go, położył pod język ojca otrzymane ziarenka. W krótkim czasie z tego kopczyka ziemi narodziło się nowe życie pod postacią trzech wiotkich roślinek: oliwki, cedru i cyprysu.

Pory roku następowały niezmiennie po sobie, historia ludzkości zapisała wiele, wiele stron od tego dnia, a natura, skarbnica nieskończonych sekretów, zachowała nie-

naruszone trzy roślinki, które zapuściły korzenie w ustach starego Adama.

Aż nadszedł czas, kiedy Bóg nakazał pewnemu człowiekowi imieniem Mojżesz stanąć na czele ludu hebrajskiego i wyprowadzić go z niewoli, organizując ucieczkę z Egiptu, choć wydawało się to przedsięwzięciem niemożliwym.

Z odwagą i śmiałością, jakich Bóg udziela temu, kto jest posłuszny Jego nakazom, Mojżesz przeprowadził Izraelitów przez Morze Czerwone i właśnie w dolinie Hebronu uciekinierzy rozbili namioty.

Mojżesz był człowiekiem, który umiał słuchać. To, co słyszał, pochodziło z innego wymiaru i było tak ciche, że jedynie dusza właściwie usposobiona mogła to uchwycić.

Tak się stało, że pewnego dnia jego kroki zostały skierowane ku trzem drzewkom wyrosłym na pustyni. Mojżesz je ściał i z wielką troską owinał białym, lnianym płótnem.

Z ściętych pni wydobywał się cudowny zapach i Mojżesz zrozumiał, że kawałki tego drewna kryją w sobie szczególną moc Bożą; dotykał więc nimi ciężko chorych lub ukąszonych przez jadowite zwierzęta w celu uzdrowienia.

Czasami używał ich, by zaradzić ciężkiej suszy, kiedy uderzył delikatnie gałązkami w twardą skałę pustyni, w jednej chwili wypływał obfity strumień najczystszej wody.

Pomimo licznych cudów dokonanych dla Izraelitów, Mojżeszowi, który zawsze był uległy każdemu Bożemu znakowi, nie udało się uczynić swojego ludu prawdziwie wdzięcznym Bogu, i z tym bólem w sercu zakończył swoje życie pełne przygód.

Jednak zanim umarł, wziął trzy drzewka i poszedł zasadzić je na nowo w dolinie Hebronu, u stóp góry Tabor, tam gdzie je ściał.

Minęło tysiąc lat zanim inny człowiek przyprowadzony został z woli Bożej do stóp tej góry. Miał na imię Dawid i był wielkim królem.

Król Dawid rządził ludem izraelskim z miasta Jerozolimy, zatem właśnie tam zabrał trzy krzewy.

Dotyk tych konarów wywołał w nim nieopisane emocje, tak jakby soki płynęły w nich za sprawą jakiejś tajemniczej siły. Jego przeczucie wkrótce potwierdziła seria cudów, jakie niebawem wydarzyły się w mieście.

Ślepi widzieli, chromi chodzili, głusi słyszeli, a każdy z nich wołał w proroczym uniesieniu:

– Panie, składamy Ci dzięki, żeś nam udzielił dzisiaj zbawienia przez święty krzyż!

Zaskoczony mocą ukrytą w trzech delikatnych krzewach, król postanowił strzec ich w wieży, która wznosiła się obok królewskiego pałacu. Pilnowały ich zaufane strażę, a każdego roku opasywał je srebrną obręczą, aż z trzech pni objętych w tym uścisku powstał jeden, dużo mocniejszy i trwalszy.

Minęło trzydzieści lat i król Dawid zaczął planować budowę wielkiej świątyni poświęconej Bogu, która miała stanąć w mieście Jeruzalem i symbolizować samo serce jego ludu. Ale nie była mu dana realizacja tego marzenia; inni doprowadzą je do końca.

Po śmierci ojca kontynuacja budowy świątyni – którą prowadził przez wiele lat zastęp cieśli, murarzy, kowali i stolarzy – przypadła w udziale synowi Dawida, Salomonowi.

Kiedy przyszło jednak do wyniesienia z wieży drzewa, które król Dawid trzymał tam pod strażą, by w końcu umieścić je w świątyni, wynikło wiele problemów. Robotnicy, pomimo licznych prób, nie mogli w żaden sposób postawić go w przewidzianym do tego miejscu. Wtedy Salomon, aby nie opóźniać dodatkowo prac, polecił położyć je poziomo na posadzce.

Wkrótce świątynia stała się ośrodkiem życia miejskiego, a w czasie uroczystości także miejscem zgromadzeń całego Izraela.

Właśnie jednego z takich dni, kiedy tłum kłębił się wokoło, jakaś kobieta, zmęczona i zgrzana, w roztargnieniu usiadła na drzewie wyrosłym wiele, wiele lat wcześniej z ust Adama.

W tej samej chwili, w której go dotknęła, jej szaty zaczęły płonąć, jakby usiadła na języku ognia; nietrudno zrozumieć więc, że biedaczka zaczęła krzyczeć. Wydawało się, że mówi niedorzecznie, miotając się jak opętana.

– Oto Bóg objawia nam moc świętego krzyża! – nie przestawała wołać kobieta. Wszyscy myśleli, że zwariowała; wrzeszczącą wyprowadzili poza mury miasta i ogarnięci dzikim szałem, ukamienowali.

Potem, nadal w porywie zbiorowego szaleństwa, wrócili do świątyni, wzięli drewno i wrzucili do wody w dużej sadzawce zwanej Siloe, gdzie płukano skóry zwierząt ofiarnych, a chorzy obmywali swoje rany.

Ale Bóg zasmucił się, widząc drewno zanurzone w wodzie i posłał anioła, który swoimi dużymi skrzydłami poruszał powierzchnię wody, czyniąc ją czystą jak woda źródłana.

Za każdym razem, kiedy anioł przybywał, dreszcz przeszywał powietrze, a kto był wtedy zanurzony w wodzie, widział jak pokrywające go rany cudownie znikają, podobnie jak inne choroby.

Wkrótce wieść o powtarzających się cudach obiegiła całą Jerozolimę i nikt nie wiedział, co o tym myśleć. Drewno wyciągnięto z sadzawki i umieszczono w poprzek małej rzeczki, która płynęła nieopodal.

Salomon był królem wielkiej mądrości i wielu zwracało się do niego z prośbą o radę w najróżniejszych kwestiach. Pewnego dnia przybyła także ze wschodu potężna królowa Saby. Jej gońcy przynieśli jej z miasta Jerozolimy

dziwną historię o trzech drzewkach znalezionych na pustyni przez wielkiego króla Dawida i połączonych w jeden pień, o którym mówiono, że ma cudowne właściwości.

Królowa była kobietą wielkiej wiedzy, znała sztuki magiczne i astronomię, czytała stare pergaminy oraz obserwowała niebo, odkrywając wiele tajemnych rzeczy, zakrytych przed innymi.

Chociaż jej wizytę na ziemi judzkiej oficjalnie usprawiedliwiały ważne rozmowy z królem Salomonem, pragnienie zobaczenia cudownego drewna stawało się z czasem tak naglące, że pozbawiało ją snu. Za nic na świecie nie chciała więc opuścić Jerozolimy, nie udawszy się wpierw do sadzawki Siloe, tam gdzie konar łączył spokojnie dwa brzegi małej rzeczki.

Kiedy królowa zobaczyła ten zaimprovizowany mostek, natychmiast zrozumiała, co sobą przedstawiał, i uklękła z wielkim szacunkiem, opierając czoło na szorstkim drewnie.

Jej umysł, zdolny do głębokich wizji, spostrzegł w tej chwili trzęsącą się ziemię, słońce i księżyc zaćmione oraz wielką świątynię jerozolimską obracającą się w gruzy. „Och, Salomonie – pomyślała zasmucona – jak mogłeś w twojej wielkiej mądrości przeoczyć tak ważny znak?”. Następnie, zdjeta niewypowiedzianym smutkiem, pośpiesznie wstała i opuściła to miejsce, wiedząc dobrze, że wszystko, co ma się wydarzyć, nastąpi w swoim czasie.

Wiele jeszcze lat upłynęło pod obojętnym spojrzeniem czasu, który wszystko wplata w swą nieskończoną spiralę, aż do dni, kiedy Bóg zechciał spełnić obietnicę daną Adamowi i na ziemię przyszedł człowiek, który przyniósł ze sobą oliwę miłosierdzia.

Królem Judei był wówczas Herod, niewiele mający już w sobie z dawnej wielkości. Jego lud znalazł się w niewoli i pozostawał pod dominacją imperium rzymskiego. Właśnie wtedy wokół świątyni jerozolimskiej miało miej-

sce wiele znaków, zapowiadających nadejście szczególnych wydarzeń.

Były to dni Paschy i miasto tętniło radością i zgiełkiem. Zwłaszcza jedno wydarzenie poruszało serca: zamierzano ukrzyżować dwóch łotrów i pewnego wichryciela, którego wszyscy nazywali Nazarejczykiem, jako że jego rodzina pochodziła z tej małej miejscowości.

Cała Jerozolima rozprawiała jednak o losie tego człowieka, gdyż trudno było zrozumieć, o co tak naprawdę został oskarżony i kto go nie lubił: władze rzymskie czy Sanhedryn.

Ludzie zastanawiali się, czy naprawdę musiał zostać skazany na tak straszną mękę albo czy ten wyrok nie krył czegoś mrocznego i nieodgadnionego.

Wielu go kochało. Mówili o nim, że jest prorokiem, a nawet, że sam Bóg go posłał. W mieście mówiono o jego cudach, jednak nie brakowało też oszczerców lub tych, którzy lubują się w okrutnych czynach, nie ważne wobec kogo, jakby w ten sposób mogli dać ujście goryczy, która za adresata miała po prostu życie.

W całym tym zamieszaniu, w gmatwaniu uczuć i emocji, ktoś zauważył, że brak jednego krzyża. Ponieważ już zdecydowano – skazańców było trzech, ale gotowe były tylko dwa krzyże – nie można było dłużej czekać, nadszedł właściwy moment.

– Weźcie drewno króla Dawida, które służy za mostek przy sadzawce Siloe! – zawołał nagle jakiś człowiek i wydawało się, jakby ten głos poruszył zgodnie sto marionetek, połączonych jedną nicią.

Ludzie stłoczyli się wokół drewna, pchając się jedni na drugich, aby je podnieść. Potem, włożywszy je na ramiona największych osiłków, pośpiesznie zaniecono pień do mistrza stolarskiego, który miał wyciąć z niego słup i ustawić go pionowo.

Kiedy stolarz dotknął pnia, zatrzymał się zaskoczony: było coś niezwykłego w jego włóknach... jakieś drganie... zapach... nie umiał tego określić, wiedział tylko, że nie wykona tej pracy, gdyż drewno kryło jakiś czar, przed którym on czuł trwogę.

W mieście byli inni rzemieślnicy zajmujący się obróbką drewna, wielu z nich potrzebowało pracy i pieniędzy. Dlatego bez trudu znaleziono kogoś gotowego podjąć się tego zadania.

Następnie wszyscy gromadnie udali się do więzienia, by dostarczyć swoje trofeum.

– Mamy krzyż, mamy krzyż! – wołali w uniesieniu, które nie ustanie, dopóki żądza krwi, upajająca już bez reszty ich dusze, nie zostanie zaspokojona.

Można by powiedzieć, że niewiele brakowało, aby sprawy przybrały inny obrót, ale, jak widzieliśmy, istnieje cieniutka nić przewodnia, wyznaczająca bieg wydarzeniom od samego zarania do ich kresu.

Oliwa miłosierdzia została obiecana w pradawnych czasach i otrzymali ją ludzie pod postacią skrajnie przeciwną, w akcie, w którym zabrakło wszelkiego miłosierdzia.

Ten zamysł jest tak tajemniczy, że wprawia umysł w zakłopotanie!



Pazerny brat Hieronim

Ludowa legenda włoska

W czasach renesansu żył w Italii brat, którego Bóg obdarzył wspaniałym darem umiejętnego korzystania z farb i pędzla.

Od dzieciństwa Hieronim kilkoma ruchami ołówka umiał oddać rysy twarzy przyjaciół i krewnych, którzy prześcigali się w zdobyciu portretu jego autorstwa, eksponując go następnie w widocznym miejscu domu.

Jego dłonie wydawały się być stworzone specjalnie do malowania i wszyscy w dzielnicy mówili, że zostanie sławnym artystą, przydając w ten sposób blasku również rodzinnemu miasteczku.

Hieronim jednak, chociaż nie porzucił swego zamiłowania, wcale nie myślał o karierze malarza, pragnął raczej poświęcić życie Bogu, wstępując do zakonu franciszkanów.

Postać Franciszka zawsze go fascynowała ze względu na miłość świętego do natury i zwierząt, które Hieronim uwieczniał z nieprawdopodobną wręcz biegłością.

Pod szybkimi ruchami jego dłoni wspaniały koń wydawał się prawie wyskakiwać z płótna wstrząsając długą grzywą, i można było spodziewać się, iż wróble siedzące na gałęzi drzewa lada chwila odlecą ćwierkając.

Kiedy Hieronim wyraził pragnienie wstąpienia do klasztoru, doznali rozczarowania wszyscy, którzy widzieli w nim już chlubę miasteczka, od zawsze biednego i za-

pomnianego, ale... wiadomo... kiedy dobry Bóg wzywa, trzeba słuchać.

W zamian za to sławę zyskał klasztor, gdzie talent młodego brata znajdował ujście we freskach malowanych na każdej wewnętrznej i zewnętrznej ścianie budynku, przedstawiających raj wraz z aniołami.

Brakowało tam tylko dobrego Boga, naszemu bratu wydawało się bowiem, że nic z tego, co podpowiada mu jego bujna wyobraźnia, nie jest w stanie zbliżyć się do nieopisanej wspaniałości Stwórcy.

Wkrótce klasztor stał się celem pielgrzymek zarówno ciekawskich, jak i wielbicieli niezwykłego artysty, który modlił się między jednym a drugim pociągnięciem pędzlem.

Pewnego dnia majętny kupiec poprosił przeora, by brat Hieronim mógł udać się do jego domu i wykonać portret jego starej matki. Przeorowi nie wydało się to czymś niemożliwym i zgodził się: Hieronim otrzymał specjalne pozwolenie i mógł dowolnie wychodzić z klasztoru.

Zdaniem przeora byłoby grzechem nie pozwolić, aby dar niezwykły, udzielony bratu przez samego Boga, nie służył bez wyjątku wszystkim, nie mówiąc już o tym, że datki zaczęły teraz napływać częściej i hojniej.

Wiele razy Hieronim prosił, aby wpływy uzyskane z jego pracy zostały rozdane biednym i potrzebującym, ale za każdym razem klasztor wymagał pilnie coraz to nowych prac renowacyjnych.

I tak Hieronim zaczął wędrować w tę i z powrotem, dźwigając swoje płótna i dużą drewnianą skrzynkę, w której trzymał cenne narzędzia pracy.

Kiedy brat udawał się do okazałego domu kupieckiego, wysyłano specjalnie po niego powóz, co pozwalało mu dotrzeć na miejsce w sposób możliwie najdogodniejszy.

Hieronim, zaciekawiony, rozglądał się dokoła, i w miarę jak dni mijały, coraz bardziej zdawał sobie sprawę

z biedy jednych dzielnic i bogactwa innych; biedne nie miały ani kościoła, ani szpitala, bogate skupiały się wokół wielkich katedr i nie brakowało im miejsc do hospitalizacji i leczenia chorych.

Tymczasem praca nad portretem staruszki postępowała i obraz uzyskiwał coraz to nowe szczegóły: zmarszczkę, przelotny cień w spojrzeniu, lekko zaznaczony na ustach uśmiech, surowość delikatnego i szlachetnego nosa.

Za sprawą zręcznych dłoni brata Hieronima płótno zdawało się wchłaniać samą istotę starszej kobiety, jakby ta chwila została na zawsze uwieczniona, pozwalając tym samym formie nie umrzeć ostatecznie.

Wieść o wyjątkowości portretu szybko zaczęła krążyć wśród miejscowej arystokracji i wszyscy prześcigali się, by móc skorzystać z tego niewiarygodnego talentu.

Życie brata uległo na pewno znacznej zmianie, ale nie skarżył się na to: Bóg nie obdarzył go talentem na darmo, tak jak na próżno Bóg nie tworzy nawet ziarnka piasku, tylko że nikt nie wie, co kryje Jego wola.

Brat Hieronim malował i modlił się, a raczej modlił się malując, gdyż wynikało to z jego natury. Coraz częściej zdarzało się jednak, że nie chciał, by po długich godzinach spędzonych przed sztalugami odwożono go do klasztoru, znajdując jako wymówkę chęć rozprostowania zdrtwiałych kończyn.

Ta prośba nie wydawała się nikogo dziwić, a nawet brzmiała bardziej niż naturalnie. Nikt jednak nie wiedział, że z tych długich godzin spędzanych w drodze powrotnej brat nie usprawiedliwia się przed przełożonym, który był przekonany, że ten zajęty jest malowaniem.

Gdzie chodził Hieronim w tych chwilach samotności? My z pewnością wam tego nie ujawnimy.

Również żaden zleceńodawca pod groźbą natychmiastowego zniszczenia malowidła nie śmiał nigdy wyjawić

przeorowi, że brat malarz żądał wysokich wynagrodzeń za swoje obrazy. Tylko od czasu do czasu szeptali między sobą, że brat Hieronim jest, owszem, genialny w swojej pracy, ale co do jego duszy żywili pewne wątpliwości: był wręcz zachłanny na pieniądze! Ach, co to u licha był za brat!

Pomimo to nikt nie chciał zrezygnować z jego arcydzieł, bo każdy mógł dostrzec w nich najskrytszą część siebie, to małe jądro własnej duszy, wokół którego wszystko się obracało.

Dzień po dniu oszczędności brata Hieronima rosły, a on wieczorem, po powrocie do swej celi wszystko przeliczał, dzieląc pieniądze na różne kupki, które następnie wkładał do odpowiednich starannie wiązanych węzełków. W tym samym czasie w najbiedniejszych dzielnicach miasta działy się dziwne rzeczy. Stara szkoła, brudny i podupadający budynek, któregoś dnia została odnowiona.

– Jak to możliwe? – pytali mieszkańcy biednej dzielnicy robotników wykonujących prace.

– A skąd my mamy to wiedzieć? Dostaliśmy pieniądze i projekt, więc przystąpiliśmy do prac!

Innym razem stary biedny ksiądz, który się głodził, chcąc utrzymać mały porzucony kościółek, znalazł pod drzwiami kopertę z pieniędzmi, których potrzebował, by udostępnić parafianom miejsce godne i przyjazne, gdzie mogliby zbierać się na wspólną modlitwę.

A co powiedzieć o tym, co wydarzyło się w najbiedniejszej części miasta, gdzie starcom i dzieciom każdej zimy groziła śmierć, ponieważ żaden lekarz nie kwapił się z wizytą w tych rudkach?

W jednej z podupadających stajni w tej dzielnicy znaleziono wyposażone małe ambulatorium, z mnóstwem lekarstw i lekarzem opłaconym z góry na długi czas przez nieznanego dobroczyńcę, któremu medyk obiecał, że nigdy więcej ci biedni ludzie nie będą zaniedbani.

Krótko mówiąc, po mieście krążył anioł, ale nikt nie wiedział, kim był; a cudów działo się naprawdę wiele.

Czas mijał i brat Hieronim nadal chodził do majątnych rodzin, malując to pucołowate dziecko, to znów wspaniałego rycerza bądź uprzejmą pannę lub ulubionego psa pana domu albo zwiniętego w kłębek kotka na jedwabnej poduszce; i nadal odbywał swoje tajemnicze wędrówki po mieście.

Aż w końcu, któregoś dnia, dobry Bóg zechciał powołać go do siebie, myśląc może, że potrzebują go również tam w górze. Kto wie... jakiś obłok nieco wyblakł lub trzeba było dodatkowego ruchu pędzla pięknie zachodzącemu słońcu... no cóż, czy można powiedzieć, dlaczego Bóg czyni to, co czyni?

Tak nadszedł jesienny wieczór, kiedy brat Hieronim nie wrócił do klasztoru i pomimo wszelkich możliwych poszukiwań, wszelki ślad po nim zaginął. Braciszek malarz dosłownie rozpułynał się. Całe miasto mówiło o tym przez dłuższy czas, niejeden zaś pomyślał chytrze, że pazerny franciszkanin uciekł cichaczem z pieniędzmi uzyskanymi od bogatych mieszkańców w zamian za swoją pracę.

Hieronim natomiast, malując stopień po stopniu, wspinał się aż do raju, bezpośrednio przed oblicze Boga.

– Hieronimie – powiedział do niego Bóg, gdy tylko zobaczył, że wynurza się spod chmury – potrzebuję ciebie tu w raju: mam w planach pewne ulepszenia...

– Och, Panie mój, nie ma problemu – odpowiedział pośpiesznie braciszek – ale widzisz, mam jeszcze do uporządkowania pewne rzeczy tam na dole; zatem powiedz, proszę, ile mógłbyś mi zapłacić?



Anioł i dziecko

Legenda skandynawska

Za każdym razem, kiedy dziecko zostaje wezwane do Pana, anioł zstępuje z nieba, by zaprowadzić je do raju. Ale zanim odleci tam do góry, anioł pozwala małemu odwiedzić ostatni raz najbardziej urocze miejsca na ziemi, by zebrać najpiękniejsze kwiaty i zanieść je do nieba.

Również tego dnia, w chłodzie wieczornego wietrzyku, anioł niósł w ramionach dziecko. Lecieli lekko nad ziemią pokrytą kwiatami i zatrzymali się w bujnym parku. Zerwali bratki, stokrotki, niezapominajki i fiołki, a także małe pączki róż w dopiero co przyciętym ogrodzie różanym.

Dziecko klaskało w dłonie z radości myśląc, że wnet polecą do nieba. Ale nie nadszedł jeszcze czas. Lecieli szybując to w górę, to w dół, wieloma ulicami i ciemnymi drózkami. Zapadła już noc. Miasto spało. W brudnym i brzydko pachnącym zaułku anioł zatrzymał się i poleciał małemu przeszukać stertę śmieci.

– Tam znajdziesz najpiękniejszy kwiat! – zawołał rozpromieniony anioł.

Dziecko, nie dowierzając, zbliżyło się do tej góry odpadków. Wśród starych szmat, resztek jedzenia i innych pozostałości były również skorupy naczyń z terakoty. Tuż obok zobaczył zasnuszoną polną lilię, jeszcze przytwierdzoną do korzenia. Dziecko było trochę rozczarowane:

– Chcesz zanieść dobremu Bogu ten zwiędły kwiat?

Anioł pochylił się, podniósł roślinkę i drżącym ze wzruszenia głosem opowiedział historię tej lilii:

– W tym zaułku, tam w dole, w nędznym pokoiku mieszkał chory chłopiec. Choroba odebrała moc jego biednym nogom i nie mógł prawie wstawać z łóżka. Nie mógł wyjść ani skakać, ani biegać z innymi dziećmi. Zmuszony do pozostawania w łóżku dzień i noc, kiedy czuł się nieco lepiej, robił kilka kroków po pokoju wsparty na kulach. W lecie sadzano go przed drzwiami domu, żeby mógł zaczerpnąć nieco świeżego powietrza. I chłopiec był naprawdę szczęśliwy: dla niego było to jak rozkoszowanie się kawałkiem szerokiego świata!

– Kwiat należał do niego? – zapytało dziecko, popychane ciekawością, która nigdy nie opuszcza dziecięcej duszy.

– Pewnego dnia – ciągnął anioł – stara kwiaciarka podarowała blademu chłopcu siedzącemu w drzwiach domu kilka lilii. Jedna z nich miała jeszcze korzenie. Kwiat umieszczony w glinianym naczyniu stał się najbliższym towarzyszem chorego malca. W dzień i w nocy roślinka stała obok jego łóżka, tak żeby mógł widzieć, jak rośnie i kwitnie. Wielka była jego radość, kiedy po niedługim czasie pojawił się pączek, który wkrótce rozwinął się, ukazując cały swój przepych. Wydawało się, że roślinka chce się odwdzińczyć chłopcu za troskę i miłość, jakie jej okazywał, i co wiosną rozkwitała coraz piękniej. Życie kwiatka wypełniało liczne godziny, które chłopiec zmuszony był spędzać nieruchomo, a w nocy rozweselała jego sny. Ból wydawał się mniej dotkliwy, od kiedy cieszył się tym niezwykłym towarzystwem. Ból bowiem jest silniejszy, kiedy cierpiący zostaje sam, zapomniany. Kiedy był bliski śmierci, ostatnie spojrzenie kierował na tę lilię, która uczyniła go szczęśliwym.

Malec słuchał tej historii ze wzruszeniem, ale nie umiał sobie wytłumaczyć, skąd anioł zna te wszystkie szczegóły.

– Jakże mógłbym nie rozpoznać mojego kwiatka? – odparł anioł. – Historia, którą ci opowiedziałem, mówi o mnie. Kiedy mieszkałem na ziemi, byłem chorym chłopcem, który trzymał obok swojego łóżka tę roślinkę.

Dziecko wzięło zwiędły kwiatek i dołączyło do bukietu. Kiedy przybyli do raju, złożyli u stóp Pana to, co zebrali, a w Bożych dłoniach lilia skąpana łzami cierpienia rozkwitła w całym swoim przepychu.



Niezwykłe historie o świętych Bożych



Znak Judasza

Z Ewangelii apokryficznych

Jest letni wieczór. Tego dnia słońce trzymało wszystkich w domowym zaciszu, ale teraz chyliło się już ku zachodowi i ulice powoli się zaludniały.

Józef wraca z warsztatu cały spocony, delikatnie całuje Marię na powitanie i rozgląda się, szukając Jezusa.

– Gdzie jest mały? – pyta kobietę, która podaje mu miskę z wodą.

– Nie widziałeś go? Wyszedł z Jakubem – odpowiada zapytana. – Dziś z powodu upału nie mógł wyjść wcześniej i biegał cały czas po domu. Wiesz, jakie są dzieci...

– No tak... jakie są dzieci... – powtarza jak echo zamyślony Józef, wyglądając na podwórko przez małe okienko.

Jezus z uwagą obserwuje jaszczurkę, która chowa się pod kamieniem; wystaje tylko koniuszek ogonka, który on na próżno próbuje dotknąć.

– Ty spróbuj – prosi trochę większego chłopca, który stoi obok.

– Wystarczy, pobawmy się w coś innego, i tak nigdy jej nie złapiesz!

– Zgoda, a więc ja biegnę do domu Samuela, a ty musisz przybiec przede mną, inaczej musisz wykupić fant, jak wczoraj.

Jakub wie, że musi dać mu wygrać, ponieważ Jezus jest młodszy, i wzdycha na myśl, że musi się nim zaj-

mować. Ale wie również, że Maria jest zajęta przygotowaniem kolacji i wyjdzie z groźną miną i łyżką w ręku, jeśli usłyszy, że się kłócą.

Chłopcy zauważyli właśnie, że Józef obserwuje ich przez okno, i już pędzą jak strzały ku cieśli, który bierze ich w objęcia.

– Małe łobuziaki – woła Józef – jak będziecie niegrzeczni, zabiorę was do warsztatu, a tam... – i czyni ruch, jakby miał ich przepiłować na dwie części, a oni chichoczą rozbawieni.

Wśród dziecięcych okrzyków nikt nie zauważa, że jakaś kobieta puka do drzwi.

– Tak? – pyta Maria, oddalając się od ognia.

– Czy zastałam Marię z Nazaretu? – pyta nieśmiało kobieta, ciągnąc za sobą chłopczyka w wieku Jezusa.

– Tak, to ja – odpowiada Maria, niezdecydowana czy odejść od patelni, czy prosić, żeby kobieta podeszła.

– Wybacz moją wizytę o tej porze – mówi nieznajoma.
– Potrzebuję pilnie z tobą pomówić.

Maria wyciera pośpiesznie ręce w fartuch i bierze stojący przy stole taboret.

– Usiądź – mówi.

Następnie zwraca się do męża i dzieci:

– Wyjdźcie się trochę pobawić; zawołam was, jak tylko kolacja będzie gotowa. Weźcie ze sobą także jego. Jak się nazywa? – pyta, zwracając się do matki.

– Nazywa się Judasz i właśnie o nim przyszłam z tobą porozmawiać.

– Chodź! – Jezus zbliża się do małego Judasza i wyciąga do niego swoją pulchną rączkę.

Dziecko cofa się, może jest nieśmiałe lub nieprzyzwyczajone do nowych kolegów. Maria obserwuje w zamyśleniu smutne oczy otoczone ciemną obwódką. Rozumie teraz, że dziecko jest chore i dlatego matka zdecydowała się tu przyjść.

Tymczasem Judasz zdecydował się przyjąć zaproszenie rówieśnika, który chwyciwszy jego dłoń wychodzi, drepcząc niepewnie, i w izbie zapanowuje spokój.

Maria słucha narzekań, które roztacza przed nią biedna matka. Mały Judasz jest nieświadomym bohaterem straszliwej historii. Kobieta wylewa cały swój ból i obawę; jedyne co może zrobić, to zwrócić się z prośbą o pomoc do tej, którą wszyscy wskazują jako matkę niezwyklego dziecka, które już dokonało cudownych uzdrowień. Zaklina Marię, by jej pomogła, gdyż jej syn jest opętany przez szatana i kiedy ten duch ciemności nim miota, Judasz ślini się i szamocze, próbując ugryźć każdego, kto jest w pobliżu, a nawet siebie samego.

Maria słucha w milczeniu i instynktownie wygląda na podwórko. Józef coś opowiada, siedząc na ziemi pomiędzy Jezusem i Jakubem, a mały Judasz przycupnął z prawej strony Jezusa.

– Jako matka doskonale rozumiem twój dramat – mówi pogrążona w myślach Maria, zbliżając się ponownie do kobiety i opierając rękę na jej ramieniu. – Ale mogę tylko słuchać i czekać, że wypełni się, co ma się wypełnić. To nie zależy ode mnie, rozumiesz?

– A więc od kogo? – odpowiada kobieta wycierając oczy.
– Wiem o innych osobach, które zwróciły się do ciebie.

Maria jest zaskoczona, nie wie, co powiedzieć. Kto decyduje? I jaka jest jej rola w tym wszystkim?

Właśnie chce coś odpowiedzieć, kiedy nagle słysząc okrzyk bólu jakiegoś dziecka.

Dwie kobiety patrzą na siebie zatrwożone i biegną na dwór. To Jezus płacze trzymając się za bok, a wielkie łzy spływają mu po policzkach.

Józef już jest na nogach i bierze go w ramiona, próbując uspokoić. Jakub, pobladły, chwyta małego Judasza za ramię, a tamten po wielokroć powtarza: „To nie ja, to nie ja!”.

Kobiety natychmiast zauważają przerażenie w oczach Józefa i chłopców, wpatrzonych w oddalającą się chmurę kurzu, którą ledwie można jeszcze odróżnić, a z której dobiegają głośne ujadanie i przerażające wycie.

Zamieszanie ustaje dopiero wtedy, gdy Jezus odzyskuje spokój, potem przychodzi czas na opowiadanie tego, co zaszło:

– Nagle tego małego – opowiada Józef wskazując na Judasza – ogarnął straszliwy przypływ gniewu lub jakiejś tajemniczej choroby, próbował ugryźć Jezusa, ale nie udało mu się; w uniesieniu musiał uderzyć go w bok i ten zaczął krzyczeć. W tej samej chwili zobaczyliśmy ciemny cień, który opuścił chłopca, rzucając się ze złością na drogę.

Józef jest jeszcze wstrząśnięty, nikt nie wie, co powiedzieć. Tylko Judasz nie wydaje się pamiętać tego zdarzenia, jego policzki znów się zarumieniły, a oczy są błyszczące i pogodne. Patrzy na nich z niewinnym uśmiechem, ale Maria rozumie – szatan już go opuścił.

Również jego matka wydaje się to wyczuwać, gdyż spogląda na Marię i na jej dziecko z nieskończoną wdzięcznością. Jezus ma tylko czkawkę i siedzi skulony w ramionach ojca.

– Już pójdziemy – mówi kobieta, szczęśliwa, ale i bardzo zakłopotana. – Jesteście świętą rodziną. Bardzo was proszę, nie myślcie źle o mnie: nie wiem, dlaczego ten demon zadomowił się właśnie w sercu mojego dziecka, ale teraz jestem pewna, że je zostawi w spokoju. Chodź, Judaszu, ucałuj Marię.

Dziecko podchodzi radośnie, wydaje się nie rozumieć, dlaczego znajduje się w tym domu. Ale jest też mama, i to mu wystarcza. Zarzuca ramiona na szyję Marii, która głaszcze go czule.

– Będę ci na zawsze wdzięczna, Mario – mówi kobieta wychodząc – i tego też nauczę mojego syna. Niech Bóg ci za to wynagrodzi.

W domu wraca spokój, Maria biegnie dopilnować kolacji, Józef ociera Jezusowi ostatnią łzę, podczas gdy Jakub próbuje zrozumieć to, co widział, ale jego uwagę natychmiast pochłania gdacząca na dworze kura.

Powoli zapada noc i po skończonej kolacji Maria kołysze synka do snu. Ani ona, ani Józef nie mają ochoty na rozmowę o tym, co zaszło.

Maria ogląda miejsce, gdzie Judasz uderzył Jezusa, i blisko serca widzi świeży siniak. „Zrobię mu okład” – myśli wzdychając, a jej oczy zachodzą łzami.



Piotr i mag

Ze Złotej legendy

Święty Piotr z natury był człowiekiem porywczym, a mówiąc między nami również nieco zapalczywym, ale właśnie ze względu na te cechy charakteru nie brakowało mu siły i zaradności.

Ten Jezusowy apostoł zawsze wyróżniał się swoją postacią, nigdy nie przeszedł niezauważony, i najczęściej tam, gdzie znalazł się Piotr, coś się działo.

Po śmierci Nauczyciela, jego gorliwość jeszcze się podwoiła i opowiadają o niezliczonych nawróceniach i cudach przez niego dokonanych. Tym razem chcę wam opowiedzieć, jak Piotr wyzwał maga Szymona i jak wciągnął szatana w tę historię.

Szymon mieszkał w samarytańskiej wiosce, gdzie znany był jako „mag”, ze względu na pewne tajemne władze, które posiadał w czasie podróży do Syrii. W tych odległych stronach studiował na podstawie starych ksiąg alchemię liter i liczb, a także zawiłe drogi wędrówki gwiazd po firmamencie.

Cieszył się powszechnym szacunkiem, ponieważ uważano go za swego rodzaju istotę nadnaturalną, a lęk wywoływany jego tajemną „wiedzą” dodatkowo potęgowała otaczająca go magiczna atmosfera.

Piotr i Szymon poznali się właśnie w Samarii, dokąd apostoł powędrował, by zanieść naukę Jezusa, a przede wszystkim, by głosić nowo ochrzczonej prawdę o zstąpieniu na nich, za Jego pośrednictwem, Ducha Świętego.

Szymona, który chętnie poznawał każdą nową naukę, zafascynował wygląd tego potężnego męża, który kładąc ręce na głowie chrzczonego, przyzywał donośnym głosem mocy Ducha Bożego. „Mag” postanowił więc zbliżyć się do Piotra i zaoferować mu pieniądze, w zamian za instrukcje, jak uzyskać takie właściwości.

Możecie wyobrazić sobie reakcję świętego na te słowa. Najpierw zgromił Szymona już samym spojrzeniem, a następnie napomniął go, ostro mówiąc:

– Jak śmiesz prosić o dar Boży w zamian za pieniądze? Bóg obdarowuje za darmo, jak, gdzie i kiedy chce. Teraz idź i przemyśl, co ci powiedziałem, gdyż widzę w tobie nikczemne powiązania, które przysporzą ci tylko kłopotów.

To pierwsze spotkanie wcale nie rokowało dobrze, a kolejne tylko potwierdziły, że tym dwóm przeznaczone zostało ścierać się ze sobą.

Minał pewien czas od spotkania z Piotrem i Szymon przeniósł się do Jerozolimy, gdzie szybko zdobył tak duży rozgłos jako wróżbiarz i cudotwórca, że polecił nazywać się „pierwszą prawdą”, obiecując nawet swoim uczniom nieśmiertelność. W mieście krążyły głosy, że nie ma dla niego nic niemożliwego: zarówno zamiana metali w materię żywą, na przykład ożywienie kamienia czy posagu, jak też spowodowanie, by zwierzęta mówiły czy zmieniły kształt.

Traf chciał, że również święty Piotr znalazł się w tym mieście, co natychmiast doszło do uszu Szymona. Zrobił też wszystko, żeby spotkać się ze świętym, wobec którego dojrzewała w nim przez te lata coraz głębsza niechęć.

Piotr nie szukał zwady z tym człowiekiem, ale nie był też skłonny ulec jego zuchwałym i podstępным knowaniom. W dniu, w którym spotkali się w Jerozolimie, udał zatem, że nie pamięta wydarzenia z Samarii, ale znając już duszę tego człowieka, wiedział, że jego wcześniejsze

zachowanie otworzyło między nimi przepaść prawdopodobnie nie do przebycia.

– Pokój wam, bracia miłujący prawdę – powiedział apostoł, przechodząc obok Szymona i jego uczniów.

– Nie potrzebujemy twojego pokoju – pośpiesznie odpowiedział mag. – Między walczącymi pokój nastaje wtedy, kiedy jeden z nich zostanie pokonany, a mnie się wydaje, że jeszcześmy obydwaj cali i zdrowi.

– Dlaczego tak boisz się słowa pokój? Spory rodzą się w ciemnych zakamarkach zła, ale gdzie jest myśl jasna i serce czyste, tam jest pokój – odpowiedział mu Piotr.

– Zamiast tyle mówić, popatrz co potrafię.

A to powiedziawszy, Szymon wykonał niektóre ze swoich magicznych sztuczek.

Widzowie patrzyli z zapartym tchem, czekając, co też się wydarzy. Nawet Piotr, zaskoczony, mógł tylko podziwiać zdolności tego człowieka, który umiał wykorzystać w bardzo zręczny sposób zarówno ludzką łatwowierność, jak i sekrety natury.

Moc świętego znacznie przekraczała jednak to, o czym myślał Szymon, po prostu dlatego, że to nie on działał, ale siła Boża przechodziła przez niego bez przeszkód, tak jak wiatr przemierzający pustynię.

Piotr mógł zatem bez większych trudności przeciwstawić się wróżbiarzowi i wykazać, że jego skomplikowane czary są nic niewartymi sztuczkami. Tak więc pokonany po raz kolejny Szymon wołał oddalić się jak niepyszny.

Wieść, że stary chrześcijanin stawiał czoło wróżbiarzowi Szymonowi, obiegła całą Jerozolimę, tak że dumny czarodziej z Samarii wołał opuścić miasto i przenieść się do Rzymu.

Niewątpliwie Szymon posiadał swoisty urok i rozległą wiedzę, znał sztukę wywoływania duchów i budzenia sił ukrytych w materii nieożywionej, tak jak znał imiona i kryjówki demonów, ale nie pojął, że wszelka wiedza

ludzka jest tylko iluzją, która bez trudu pryska wobec tajemnicy Boga.

Upłynęło trochę czasu, mag zadziwił cały Rzym i zdobył zaufanie samego cesarza Nerona, podczas gdy chrześcijanie toczyli trudną walkę, próbując głosić naukę swego Mistrza.

Do wielkiego miasta na półwyspie włoskim pewnego dnia przybył również Piotr, cieszący się autorytetem Apostoła Jezusa, bezpośredniego świadka nieprawdopodobnych zdarzeń oraz powiernika tajemnych nauk.

Mag i święty znaleźli się ponownie w tym samym miejscu, jeden silny pewnością własnych złudzeń, drugi gotowy przyjąć każde wydarzenie jako wyraz woli Bożej.

Cesarz uważał Szymona za najbardziej niezwykłego jasnowidza, powierzając mu całkowicie pomyślny bieg życia swojego i życia ludu rzymskiego. Każdego ranka zatem mag patrzył w swoje tajemnicze karty, przywołując imiona ciemnych mocy, by czuwały nad pałacem cesarskim i miastem.

Pewnego razu pochyłał się właśnie nad tymi dziwnymi symbolami, kiedy wyczuł obecność Piotra. Widział wyraźnie, że ponownie wkracza on w jego życie, niczym wichur próbujący wszystko zniszczyć. Dlatego zapytał karty, jak ma się zachować, ale po raz pierwszy nie udało mu się uzyskać odpowiedzi.

Piotr dowiedział się niebawem, jak wielki wpływ ma mag Szymon na cesarza; dlatego nie zastanawiając się długo, postanowił udać się do pałacu i zdemaskować tego, który manipulował cieniami, podając się za podobnego do Boga.

Święty postanowił zabrać ze sobą przyjaciela, Pawła, który już od dłuższego czasu przebywał w mieście i umiał lepiej lawirować wśród skomplikowanych pałacowych procedur. Razem poprosili o posłuchanie, a dotarłszy przed oblicze wielkiego Nerona, przedstawili mu powód swojej wizyty.

Gdyby to była zwykła historia, w tej samej chwili cesarz wygnałby, a nawet aresztował dwu bezczelnych intruzów, którzy śmieli wtrącać się w działalność jego jasnowidza, ale w naszym przypadku bieg wydarzeń musiał przyjąć nietypowy obrót, gdyż tak już zostało postanowione.

Ciekawość wkradła się zatem w myśli cesarza, który postanowił uczynić zadość tym dwóm „błaznom” i wezwał maga.

– Jeśli, jak utrzymujesz, w jego dziełach objawia się boskość – powiedział do Nerona Piotr – to każ mu, aby wyjawiał ci, o czym myślę i co ujawnię jedynie tobie w sekrecie.

Ze swojej strony Szymon przygotowywał się na to spotkanie, spędzając całe noce na głębokiej medytacji, by jego umysł mógł w sposób nieugięty sprostać spotkaniu ze znienawidzonym Palestyńczykiem. Po wielokroć przeglądał magiczne księgi, zatrzymując się dłużej na stronach poświęconych najpotężniejszym zaklęciom, świadom nieuchronnej konfrontacji z mocą częściowo mu nieznaną, której pochodzenia nie mógł ustalić.

Przybył zatem do pałacu chroniony pancerzem nie do przebicia, wodząc spojrzeniem srogim i wyniosłym; skinął lekko głową na znak pozdrowienia cesarzowi, lecz ignorując tego, który rzucił mu wyzwanie.

Neron zwrócił się do maga, pewien, że wkrótce otrzyma ostateczny dowód jego boskiej natury:

– Szymonie, ten człowiek utrzymuje, że nie działa w tobie żadna moc nadprzyrodzona i że jedynie umiejętność manipulowania siłami obecnymi w twoim umyśle umożliwia ci kształtowanie tego, co cię otacza. Teraz więc wzywam cię, byś wykazał, że to nieprawda i że Bóg, w imię którego ten człowiek jakoby przemawia, nic nie może przeciw tobie.

To mówiąc, dał znak Piotrowi, by zbliżył się i wyszeptał mu do ucha to, o czym myśli. Święty przedstawił wtedy cesarzowi w tajemnicy swoje dziwne życzenie:

– Poleć, aby mi przyniesiono trzy jęczmienne chleby, tak żeby nikt nie widział.

Życzenie zostało spełnione, sługa poprosił Piotra na bok i podał mu trzy bochenki, które ten niezwłocznie pobłogosławił szybkim ruchem ręki i krótką modlitwą, ukrywając je następnie w szerokim rękawie swojej tuniki.

Po czym apostoł wrócił na salę i rzekł do maga:

– Powiedz mi teraz, o czym myślałem, co powiedziałem i co zrobiłem.

– Powiedz najpierw, Piotrze, o czym ja pomyślałem – odparł Szymon.

– Nie muszę mówić, o czym ty pomyślałeś; wystarczy moje postępowanie, by wykazać, że wiem, co przeszło ci przez głowę.

Wtedy Szymon grzmiącym głosem powiedział:

– Mocą, jakiej Bóg mi udziela, niech zjawia się psy i rzuca się na tego człowieka, rozszarpując go w jednej chwili!

Wśród ogólnych krzyków wpadły na salę trzy wielkie czarne psy, które warcząc i śliniąc się, rzuciły się na Piotra. Ten jednak, przygotowany, wyciągnął z rękawa pobłogosławione chleby i rzucił je w paszczę bestii, które przeraźliwie ujadając, znikły z oczu obecnym.

– Tak więc dowiodłem, nie słowami, ale czynami, że przewidziałem, co Szymon obmyślił przeciw mnie – powiedział Piotr zwracając się do cesarza, który jeszcze drżąc po tej zatrważającej scenie, kurczowo trzymał się poręczy swojego tronu.

Mag był siny ze złości i doznanego upokorzenia. Nie chciał za żadną cenę przyznać, że ten człowiek, któremu poprzysiągł zemstę, jest prawdziwie nosicielem Ducha Świętego, tak jak głosił tamtego dnia w Samarii.

Postanowił zatem użyć swojej najmocniejszej karty i zwrócił się do cesarza i zgromadzonego wokół tłumu ze słowami:

– Zawsze broniłem miasta Rzymu i jego cesarza, a teraz wy wszyscy odpłacacie się mi pozwalając, by ten głupi Palestyńczyk szydził ze mnie za pomocą jakichś nędznych sztuczek. Ziemia nie zasługuje na moją boską obecność; zatem jutro, w godzinie, kiedy słońce będzie w zenicie, opuszczę ją, wstępując na najwyższą wieżę i odlatując do nieba, w ten sposób straciecie mnie na zawsze.

Tej nocy Piotra ogarnął głęboki niepokój: wolałby raczej doprowadzić do Boga tego człowieka niż go zgubić, jednak pozostawił wszelki wybór boskiej Mądrości.

Ze swej strony mag nie chciał posłuchać wielu znaków, które miały miejsce w jego życiu, woląc trzymać się tego, którego uważał za najwyższego pana: szatana.

Następnego dnia cesarz wraz z wszystkimi mieszkańcami Rzymu czekali o ustalonej godzinie, zebrawszy się u stóp najwyższej wieży na Kapitolu. I oto nagle, dokładnie w chwili, kiedy słońce znajdowało się nad jej wierzchołkiem, na wieży pojawił się mag.

Oślepieni blaskiem światła, wszyscy spoglądali w kierunku człowieka na wieży, który wydawał się prawdziwie wcieleniem bóstwa jaśniejącego chwałą. Szymon rozpostarł ramiona i zaczął unosić się w powietrzu jak na spokojnym morzu. Wśród powszechnego osłupienia zaczął zataczać koła nad głowami zebranych, rzucając im drapieżne spojrzenie, jak potężny orzeł pisklakom.

Neron zwrócił się do Piotra i Pawła, którzy przyglądali się w milczeniu:

– Widzicie! Ten człowiek mówi prawdę, a wy jesteście tylko szarlatanami na usługach jakiegoś zwodniczego bóstwa podziemi.

Paweł spojrzał na przyjaciela, który zdawał się zwlekać, zastanawiając się dlaczego nie położyć kresu tej

okropnej sytuacji, gdy niebo i ziemia wydawały się drżeć smagane jakąś złą siłą.

Dopiero wtedy Piotr jakby otrząsnął się z odrętwienia. Podnosząc rękę i kierując wskazujący palec w stronę maga powiedział:

- Aniołowie szatana, którzy swoimi skrzydłami podtrzymujecie w powietrzu tego człowieka, ja nakazuję wam w imię Jezusa Chrystusa podporządkować się Prawu i zostawić tego człowieka jego losowi, tak jak zostało napisane.

W chwili gdy wypowiedział ostatnie słowo, Szymon mag runął na ziemię i zginął.

Ta chwila mogła być oznaczać zwycięstwo Piotra i ludu chrześcijańskiego, ale tak się nie stało, gdyż jeszcze tak nie było pisane.



Święty Franciszek i wilk

Z Kwiatków świętego Franciszka

Święty Franciszek i wilk ... od razu na myśl przychodzą dwie skrajności: dobro i zło.

Kiedy święty Franciszek udał się do lasu nieopodal Gubbio, szukając groźnej bestii, z pewnością nie dokonywał tego rozróżnienia, ale po prostu zgłębiał pewien aspekt życia: że w jednych stworzeniach zaszczerpiony jest inny instynkt niż w drugich.

Brat Franciszek był szczególną postacią, znajdował się to tu, to tam, to w górze, to w dole. A gdziekolwiek go nogi poniosły, działo się coś takiego, że to, co zwykłe, zamieniało się w nadzwyczajne.

W tym czasie mieszkał w pobliżu Gubbio, małego miasteczka okolonego zielonymi lasami, gdzie rytm życia wyznaczały ranki i wieczory, zmieniające się pory roku i zbiory.

Święty Franciszek bardzo lubił przebywać w tym spokojnym miejscu, nawet jeśli wiedział, że z woli Bożej w każdej chwili mógłby zostać wezwany gdzie indziej.

Właśnie wtedy okolica ucierpiała na skutek wyjątkowo mroźnej zimy, podczas której ludzie i zwierzęta musiały walczyć, by znaleźć schronienie przed mrozem i coś do jedzenia. Nawet ziemia drżała z zimna, gleba stwardniała, pola posiniały.

Wszyscy wiedzieli, że w gąszczu leśnym, gdzie wznosiły się wzgórza, żyją wilki, które jednak rzadko schodziły

do doliny; dotąd więc nikt się nimi specjalnie nie przejmował. Zresztą wiadomo, że dobry Bóg posiał ziarno na całej ziemi i owoce są różne, nie żeby jedno pochodziły od Niego, a inne nie.

A jednak właśnie tej strasznej zimy wielki wilk dotarł aż do Gubbio. Była to bestia straszna i dzika. Przez jakiś czas wilk kręcił się jedynie w pobliżu domostw, ale wkrótce nabrał śmiałości i zaczął atakować małe rozproszone trzody, aż w końcu zapuścił się w oliwne gaje i zaatakował człowieka.

Teraz już nikt nie opuszczał głównej części miasta bez broni lub przynajmniej dużego kija, a wraz z nadejściem wieczoru wszystkie drzwi barykadowano.

Mężczyźni postanowili zorganizować obławę i przyszli do świętego Franciszka, żeby usłyszeć jego zdanie, lecz on nigdy nie oceniał problemu z ludzkiego punktu widzenia, ale zupełnie inaczej ... tak jak widzi święty.

Również i tym razem udało mu się wprawić wszystkich w osłupienie. Gdy tylko wyłożyli mu swoje zamiary, z całym spokojem zapewnił ich, że do wilka uda się właśnie on, nie ma problemu.

Po tym oświadczeniu, jak łatwo możecie sobie wyobrazić, podniósł się chór protestów. Ktoś wątpił nawet, czy ten człowiek jest przy zdrowych zmysłach. Ale kiedy święty Franciszek podejmował jakąś decyzję, nic nie było w stanie go powstrzymać.

I tak pewnego ranka wyruszył jak na spokojną, odprężającą przechadzkę po lesie, a za nim podążyli niektórzy towarzysze.

Nawet cień lęku nie przemknął mu przez głowę; inaczej przecież rzecz miała się z braćmi, którzy pewne wątpliwości co do tego przedsięwzięcia, a jakże, żywili!

Próbowali więc na wszelkie sposoby odwieść go od zamiaru, ale na próżno; i święty Franciszek poszedł dalej sam, ścieżką, która zaczynała wspinać się na wzgórze.

Domyślał się, gdzie wilk mógł znaleźć legowisko, bo kiedy on wędrował, znajdował schronienie, gdziekolwiek matka ziemia stwarzała taką możliwość. Podążał właśnie w kierunku urwistego grzbietu górskiego ściśle pokrytego krzakami, kiedy zwierzę stanęło mu na drodze.

Był to wielki szary wilk, który warczał i odsłaniał długie zęby, tak jak nauczyła go natura, przewidując zbliżający się atak; jednak nie ruszył się.

Może powstrzymał go instynkt, gdy usłyszał głos świętego Franciszka, który zwrócił się do niego tonem zupełnie nietypowym.

– Pójdź tu, mój bracie – mówił do niego – abym mógł pobłogosławić twój łeb w imię Pana, który uczynił z nas dwóch narzędzie swojej chwały.

Nie do wiary, na te słowa wilk zbliżył się do świętego Franciszka jak pies do pana. Popatrzył na niego, wywalając na bok długi szorstki jęzor, a siadając na potężnych tylnych łapach, obserwował go uważnie.

– Nie wiesz, co o tobie mówią tam w miasteczku, ale mogę cię zapewnić, że nic dobrego. Nie tylko zabiłeś ich zwierzęta, ale jeszcze zaatakowałeś człowieka, a to oznacza wojnę! Rozumiesz?

Zwierzę popatrzyło daleko, w kierunku doliny, a następnie wydało głuchy pomruk.

– Wiem, że jesteś głodny i nie zamierzam sprzeciwiać się prawom natury, jednakże teraz potrzebuję twojej pomocy, aby dać wyraźny znak, by człowiek pojął, że nic nie jest złe samo w sobie, i że dostrzeżenie sacrum we wszystkim, co nas otacza, sprawia nieprawdopodobne cuda.

Wilk machał ogonem niczym zwinną miotłą zamiatającą ziemię na lewo i prawo.

– Jesteś dobrym wilkiem – mówił święty Franciszek, gładząc spiczasty pysk – a teraz obiecaj mi coś, a ja również obiecuję ci coś. Ty nigdy więcej nie zabijesz,

a ja nakłonię mieszkańców miasteczka, że odtąd nie zostawią cię bez jedzenia; w ten sposób zawrzemy pokój między tobą a nimi. Obiecujesz?

I mówiąc to, święty Franciszek podniósł się i wyciągnął otwartą dłoń, na której wilk położył swoją wielką łapę.

Teraz mogli wrócić razem do Gubbio.

– Nie bój się niczego – mówił po cichu człowiek do zwierzęcia. – Ja nie miałem wątpliwości idąc do ciebie i ty powinienesz postąpić tak jak ja.

Kiedy zbliżyli się do miasteczka, pierwszymi, którzy wybiegli im naprzeciw, byli bracia; potem, w miarę jak wieść o powrocie świętego Franciszka przechodziła z ust do ust, wszyscy opuścili domy lub zostawili pola, żeby zobaczyć i usłyszeć, co się wydarzyło.

Był to dzień wielkich cudów i mocnych przeżyć, jak często zdarzało się w życiu tego nieprawdopodobnego świętego.

Kiedy cała ludność z Gubbio i okolic zebrała się dookoła, Franciszek zabrał głos.

Głaszcząc wilka, który stał u jego boku, pokazał, jak przesadny był ich lęk; lepiej zatem, by na przyszłość zachowali go dla ognia piekielnego oraz wszelkiego zła, które jest wewnątrz i na zewnątrz ich samych, z pewnością dużo groźniejszego niż kły tego zwierzęcia.

Po czym ku ogólnemu zdziwieniu zwrócił się do wilka, prosząc go o ponowienie ich umowy wobec wszystkich, a w odpowiedzi ten zwiesił uszy, zamachał wielkim ogonem i pochylił pysk, liżąc mu serdecznie stopę.

Teraz z kolei Franciszek zwrócił się do mieszczan, domagając się publicznej obietnicy ze strony wszystkich obecnych, że nie dopuszczą, by kiedykolwiek zabrakło pokarmu temu zwierzęciu, które stało się mu tak bliskie.

Naturalnie wszyscy jednogłośnie przystali na tę propozycję i owego dnia, za sprawą tego małego brata, który

umiał kochać wszystkie stworzenia, każdy z nich był nieco bliżej Boga.

Minęła zima i znowu nastała wiosna. Szary, bo tak w miasteczku nazywano tego, który był teraz ich wilkiem, zadomowił się na dobre. Swobodnie wchodził i wychodził ze wszystkich domostw, pomagał pasterzom pędzić stada, a co najważniejsze, zapomniał już, co to znaczy głód. Kiedy Szary zestarzał się i zdechł, święty Franciszek dawno już opuścił Gubbio, ale powiadają, że tego dnia kilka osób widziało, jak wychodzi ze swego klasztoru i podąża w stronę pól w towarzystwie wielkiego psa, który merdał wesoło ogonem.



Palma

Legenda z Azji Mniejszej

Ta krótka historia opowiada o dzieciątku, któremu na imię było Jezus, o jego ojcu Józefie i Marii, jego matce.

Rodzina nie była jednak jak wszystkie inne. Jezus podzielał wartości moralne, których siła wywołała najbardziej radykalną z rewolucji. Nic więc dziwnego, że jego narodzinom towarzyszyły cudowne znaki, jakby prawa rządzące światem zostały przezeń wstrząśnięte.

Wnet po narodzinach tego szczególnego dziecka Józef i Maria uświadomili sobie, że ich życie nie należy już do nich, ale do Tego, który odtąd będzie kierował każdym ich krokiem.

Cóż za odpowiedzialność dla Józefa, na którego barkach spoczął ciężar dużo większy niż na barkach każdego innego ojca! Jak postępować z tym cudownym dzieckiem, które wzrastało w jego domu?

Maria obserwowała w milczeniu małżonka, zastając go często pogrążonego w zadumie, ale nie znajdowała słów, by wyrazić swoją głęboką miłość i zrozumienie. Rodzice pielęgnowali tę samą roślinkę, ale czasami wydawało się, jak gdyby ją doglądali w dwóch różnych ogrodach.

Z powodu cudów które, jak już wspominałem, towarzyszyły narodzinom dziecka, Józefa nie omijały chwile poważnej obawy o bezpieczeństwo jego rodziny; było tak

choćby przy okazji edyktu wydanego przez Heroda, króla Judei.

W czasie, kiedy zdarzyło się to, co zamierzam wam opowiedzieć, Jezus był jeszcze małym dzieckiem, uroczym jak każdy maluch, w którego oczach błyszczy zadziwienie i ufność.

Wieść o narodzinach tej wyjątkowej istoty, przez starożytnych proroków nazywanej Mesjaszem i zapowiadanej w Świętych Księgach, rozniosła się już po całej Palestynie, aż dotarła do komnat królewskiego pałacu, wywołując w duszy króla, tak lęklivego jak ambitnego, obawę przed pojawieniem się ewentualnego rywala.

Zaniepokojony, chcąc się upewnić co do tego, o czym szeptało już w każdym mieście i wiosce, król postanowił spytać pisarzy, faryzeuszy, a przede wszystkim rabinów, którzy lepiej niż ktokolwiek inny znali Pisma.

Tak więc wezwano do pałacu głównego rabina Jerozolimy; przybył ze swoją księgą pod pachą. Czego chciał się dowiedzieć od niego król? Czy to możliwe, żeby nie znał prorocstwa o Mesjaszu?

Znalazłszy się w obecności Heroda, rabin z wielką uwagą i szacunkiem położył księgę – dla niego nie zawierała zwykłych słów, ale głos samego Boga – otworzył ją następnie na wybranym miejscu i sunąc palcem wzdłuż tekstu, wskazał królowi przepowiednię Micheasza: „A ty, Betlejem Judzkie, nie będziesz z pewnością najmniejsze z miast Judy, ponieważ z ciebie wyjdzie ten, który będzie władcą Izraela i poprowadzi mój lud”.

Choć Herodowi udało się ustalić miejscowość, gdzie narodziło się dziecko, na nic zdały się wszelkie próby odnalezienia małego intruza. I tak, wydało mu się czymś pewniejszym i prostszym rozporządzić, by każdy chłopiec urodzony w Betlejem, który nie skończył dwóch lat, został zabity.

Ale Józef korzystał z pomocy samego Boga i to, co zaskoczyło wiele rodzin z Betlejem, pogrążając je w bólu, nie zastało go nieprzygotowanym. W nocy poprzedzającej tę straszną rzeź przyszedł do niego anioł, kazał natychmiast zabrać Jezusa i Marię i uciekać na pustynię.

Józef westchnął, jak często mu się zdarzało, ale nic nie powiedział: jego umysł był już ukształtowany przez moc, która nie przyjmowała zastrzeżeń. Jak miało się stać, tak się działo. Obudził delikatnie Marię. „Biedna kobieta – westchnął. – Mam nadzieję, że nie pomyśli, iż padłem ofiarą nocnych koszmarów. Ale Maria nie była bardzo zdziwiona tym, co mąż szeptał jej do ucha: nie po raz pierwszy skrzydlaty posłaniec pukał do ich drzwi.

I tak wzięli osiołka, załadowali niezbędne rzeczy oraz kosz, w którym leżało pogrążone w głębokim śnie ich maleństwo, i wyruszyli, powierzając się nocy.

Zanim opuścili swój dom, obejrzeli się nie mówiąc ani słowa... Kiedy wrócą? Kto to wie... coś się wydarzy i poznają, że to jest właściwy moment.

Świt zastał ich już daleko od miejsca, gdzie zło wygrało krótkotrwałą bitwę i kosiło swoje ofiary.

Nawet jeżeli małżonkowie nie znali prawdziwej przyczyny pośpiesznej ucieczki, czuli ogarniający ich głęboki smutek, podobny do bliżej nieokreślonego poczucia winy, którego źródła nie umieli określić. To przeczucie często dotykało ich obydwoje; tak jak to często bywa w przypadku osób, których losy krzyżują się, tworząc nieuchronnie skomplikowany labirynt, któremu jedynie niedostępne rozumowi Poznanie może nadać sens i wartość.

Tego dnia szli zatem w milczeniu, każde z nich pochłonięte własnymi myślami. Tylko Maria co jakiś czas zwracała się do Jezusa tymi żartobliwymi i zabawnymi przydomkami, które brzmią bardziej jak dźwięk dzwoneczków niż prawdziwe słowa.

Muskając delikatnie jego policzki czy brzuszek, nie kryła szczęścia z radości dziecka, które wyciągało rączki i próbowało uchwycić skrawek chustki, okrywającej jej głowę przed słońcem.

Józef natomiast nie krył z troskania; wiedział o istnieniu oazy, która nie powinna znajdować się daleko stąd, ale nie mógł sobie przypomnieć dokładnie odległości. Dlatego rozglądał się dokoła, aby znaleźć jakiś punkt odniesienia, który przypomniałby mu drogę już kiedyś przecież przebytą. W końcu zobaczył stary wałacy się dom, który zauważył już poprzednim razem. Dobrze, kierunek był właściwy, również jemu puściło napięcie, dokuczające od początku podróży.

– Józefie, popatrz, czy nasze dziecko nie jest wspa-
niałe? – powiedziała nagle Maria, wydłużając nieco krok,
by go dogonić.

– Tak, najdroższa, ale czasami jest też zadziwiające,
i to mnie nieco przeraża – odpowiedział, otwierając tym
razem swoją duszę przed żoną.

– Proszę cię, nie mów tak... – Maria chciała jeszcze
coś dodać, ale jej spojrzenie utkwilo w dali, tam gdzie
kończył się horyzont, i słowa nie były w stanie wyrazić
tego, co mogła zobaczyć.

Było już po południu, kiedy dotarli do oazy Harbeb.
Ta zielona wyspa stanowiła prawdziwe dobrodziejstwo
dla podróżujących przez pustynię, dlatego otaczano ją
niemal czcią: szmaragd oprawiony w złoto pustyni, który
jawił się orzeźwiającym źródłem.

Tego dnia panował tu niezwykle spokoj. Przy nielicz-
nych karawanach krzatali się poganiacze wielbłądów,
którzy ładując towary, narzekali na niewystarczającą
ilość wody, przez co nie mogli obficie napoić wielbłądów
przed wyruszeniem w dalszą drogę.

Józef, przyłączywszy się do nich, wymieniał uwagi
i poglądy na wszystkie tematy, jakie od zawsze trapiły

każdego kupca i głowę rodziny. A trosk z pewnością było niemało: niewiadomą był rzymski najeźdźca, rządy warstwy kapłanów, która robiła co chciała w całym kraju, a podatki... nawet nie mówmy o tym, coraz większe. Rozmawiali cichym szeptem, jakby również w tym odległym zakątku tysiące uszu mogło ich usłyszeć.

Maria tymczasem usiadła pod wielką palmą; z jej szczytu zwisały dorodne kokosy, które Jezus obserwował zaciekawiony, bo przypominały mu kulki do gry.

Kilka kobiet towarzyszących karawanie podeszło uśmiechając się do dziecka: jedna chciała go wziąć na rękę, inna robiła różne grymasy, by go rozbawić, a wszystkie śmiały się wesoło, gratulując Marii tak uroczego malca. Po czym odeszły do swoich zajęć.

Kiedy Józef wrócił, Maria przyglądała się owocom zawieszonym wysoko na palmie.

– Żebyś wiedział, jaką mam na nie ochotę – powiedziała. – Gdybym mogła dostać chociaż jeden! Co ty na to?

Spojrzał na nią osłupiały: „Czy to możliwe, że wszystkie kobiety są takie same – pomyślał. – Mamy tyle problemów i nie kończą się one na uzupełnieniu wody w sakwach, a ona myśli o owocach zwisających prawie z nieba! No cóż, trzeba zrozumieć”.

– Wybacz, masz rację! Nie wiem, dlaczego przyszło mi to do głowy – poprawiła się natychmiast, jakby już w samym spojrzeniu męża odczytała jego myśli.

Jezus tymczasem dreptał dokoła Marii, a śmiejąc się, także spoglądał ku górze, naśladując mamę.

Następnie zatrzymał się, spojrzał na drzewo i zwracając się do majestatycznej, okazałej palmy, jakby to było coś najzwyklejszego na świecie, swoim przemiłym głosem, który nagle stał się poważny i zdecydowany, powiedział:

– Droga przyjaciółko, pochyl się do ziemi, tak żeby moja mama mogła zerwać twoje owoce!

Józef i Maria spojrzeli na siebie z zapartym tchem... znali tę raptowną zmianę tonu w głosie ich dziecka. I co się teraz stanie? Przez chwilę wydawało się im, że każde ziarenko piasku zamieniło się w skierowane na nich oko i że cała pustynia ich obserwuje.

Wreszcie palma potrząsnęła lekko liśćmi, wyginając powoli długi pień, aż wielkie liście dotknęły ziemi.

– Spójrz, mamó, jaka jest uprzejma: chce podarować ci swoje owoce! – szebiotał uradowany chłopczyk, klaszcząc przy tym w dłonie i drepcząc wokół drzewa.

Józef spojrzał zdumiony na Marię, po czym odruchowo rozejrzał się dokoła. Jeśli zobaczą to inni, co sobie pomyślą? Że to czary? Albo magia? To dziecko ciągle go zaskakiwało!

Ledwie minęła chwila osłupienia, owoce zostały zebrane i wszyscy posilili się nimi, uradowani z tej nieoczekiwanej możliwości. Ale palma również po zdjęciu z niej ładunku została pochylona, jak tancerka, która przykłęka na końcowe brawa.

– Wystarczy, dziękuję, teraz możesz się już podnieść i pozwolić, by wypłynęła struga wody uwieczona między twoimi korzeniami. Jesteś przyjaciółką piękną i hojną, jak twoje towarzyski, które rosną tam w górze, w raju – a mówiąc to Jezus dotknął lekko zielonej korony, która uniosła się ku niebu w całej swej okazałości, podczas gdy z ziemi zaczęła wypływać w obfitości źródłana woda.

– Widzisz, ojczu, teraz nie będziesz już musiał martwić się o napełnienie sakw i będziesz bardziej spokojny o naszą dalszą podróż! – zawołał Jezus, mrugając porozumiewawczo do Józefa.

Wszyscy w oazie posilili się kokosowym mięszem i napili się do woli. Zadowoleni i szczęśliwi, nie chcieli pytać, kim jest to wyjątkowe dziecko. Może „ktoś” podszepnął im w sercu, że tego dnia naprawdę spotkali Boga, a zatem... po co pytać? Nie było o co się martwić.

Wyjątkowy kamień

Ludowe opowiadanie francuskie

Wiele lat temu w Palestynie żył – jeśli tak można powiedzieć – mały kamień ostry i szary, kamień jak wiele innych w tym kraju upalnym i zakurzonym.

Od lat jego życie płynęło monotonnie, tak że czasem pytał sam siebie, co robi na tej nasłonecznionej drodze i komu mógłby się przydać, tkwiąc tam, nieruchomy i milczący widząc ciągle tego samego widowiska.

Marzyło mu się coś nadzwyczajnego i pasjonującego! Żeby ktoś go zauważył, uznał za wyjątkowy, szczególny. Co za absurdalne myśli, jak na kamień...

Ale życie ciągle zaskakuje i pewnego dnia nasz znużony przyjaciel został zaintrygowany niecodziennym zgiełkiem, zwłaszcza o tej szczególnie gorącej godzinie, kiedy wszyscy próbują schronić się w domowym cieniu.

– Co się dzieje? – zastanawiał się podekscytowany. Mogąc patrzeć jedynie z dołu do góry, w pierwszej chwili widział tylko mnóstwo nóg. Ich krok wydał mu się jednak bardzo zdecydowany i był pewny, że to nie zapowiada nic dobrego.

Ubrania trzepotały na wietrze, a sandały nie zważały na to, że wzbudzają tumany kurzu, który był do prawdy uciążliwy, bo pozostawiał osad z gorącego piasku.

Mały kamień nie mógł na razie dostrzec, komu też niesieni na tych nogach mężczyźni i kobiety, głośno pokrzykując, ułóżają.

Dotarłszy do niskiego muru, który ogradzał wysuszony ogród, nogi zatrzymały się, ale nie głosy, które coraz bardziej żądały czegoś, co miało związek z karą za jakieś przewinienie. Po wielu latach spędzonych w kontakcie z istotą ludzką, kamień nauczył się rozumieć jej język. A jakże, jego ulubionym zajęciem było składanie wszystkich dźwięków, jakie docierały z góry, poprzez rozmowy przechodniów.

W pewnej chwili zobaczył młodą kobietę gwałtownie przyciskaną do muru. Mógł dostrzec nawet jej twarz, ponieważ była przerażona i jej skulone ciało osunęło się na ziemię, jakby przez ludzką nienawiść również i ono zmieniło się w kamień.

„Z pewnością nikogo nie zabiła ani nie pobiła czy znieważyła – pomyślał kamień. – Jej spojrzenie jest czyste i przejrzyste, zasnute nieco, ale strachem, nie nienawiścią. Co też mogło uczynić takie młode i delikatne stworzenie?”.

Nastawił uszu, chciał za wszelką cenę zrozumieć.

Udało mu się wyłapać jedynie kilka słów: winna, cudzołożnica, i jeszcze: kochanka, miłość, obraza. „Co za absurdalne zestawienie!” – pomyślał kamień. Na ile się orientował, miłość i wina nie miały ze sobą nic wspólnego, ale... wiadomo... człowiek ma swoje dziwne prawa, odmienne od prostych praw kamieni.

Właśnie w tej chwili jakiś głos wzniósł się ponad wszystkie inne i zaczął krzyczeć:

– Ukamienujmy ją, ukamienujmy ją!

Jakby za pociągnięciem nitki poruszającej pajacyki: krzyk jednego stał się okrzykiem wszystkich.

Kamień struchlał z przerażenia i próbował stać się jeszcze bardziej szary i mniejszy. Nigdy, przenigdy nie uderzyłby tego stworzenia, nigdy, przenigdy nie zadałby ciosu życiu. Ale co począć, skoro był na łasce innych?

Już ktoś się schylił, by podnieść niektórych jego braci, którzy spoglądali na niego przerażeni, mając nadzieję na coś, czego ani on, ani oni nie mogli byli uczynić, ograniczeni swoją kamienną naturą.

Wydało mu się, że w głębi swej istoty słyszy serce, które bije jak szalone; nigdy nie przypuszczał, że będzie uczestniczył w czymś tak okrutnym.

W całym tym zamieszaniu nasz przyjaciel nie zauważył nawet zbliżającego się człowieka.

Jego krok był spokojny, jak krok kogoś, kto wie, że nie trzeba się śpieszyć ze zmianą czegoś, co już zostało zapisane.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, były jego dość zużyte sandały, a ponieważ był ekspertem od ludzkiego obuwia, pomyślał od razu, że to pielgrzym.

Po chwili zastanowienia stwierdził, że pobożny człowiek nigdy by się nie przyłączył do wznoszonych okrzyków; ale co mógł zrobić sam?

W tłumie zapanowała cisza, podczas gdy on usiadł spokojnie na ziemi, tuż obok młodej kobiety.

– Nauczycielu – odezwał się jeden z zebranych – ta kobieta jest cudzołożnicą, a prawo nakazuje, żeby ją ukamienować.

„Nazywają go Nauczycielem – pomyślał kamień – ale kim on może być, skąd przybywa? Wydaje się taki młody!”.

Tymczasem każdy ze zgromadzonych chciał coś powiedzieć: jeden odwoływał się do prawa, inny żądał surowego przykładu, jeszcze inny utrzymywał nawet, że zna wolę Bożą.

Kamień z trudem wytrzymywał te komentarze, nie mógł też zrozumieć, skąd w tych ludziach tyle pewności, że mogą wydać niepodważalny wyrok.

Kto zna przeznaczenie każdej rzeczy czy niezbadaną tajemnicę, jaka kryje się pod ulotnym pozorem jakiejś formy?

Kamień był rozgniewany. Przez długie lata akceptował swój los, starając się wypełniać to, czego żądała od niego natura. Dlaczego ludzki rozum stwarzał tylko niepotrzebne problemy?

Żar stawał się trudny do zniesienia i wolałby, żeby wszystko się jak najszybciej skończyło. Jak mógł pielgrzym rozwiązać tak skomplikowaną kwestię! Lepiej by było dla niego, żeby poszedł swoją drogą i zostawił mieszkańcom miasteczka odpowiedzialność za ich czyny.

Powietrze było nieruchome, a chwila wydawała się wiecznością: kiedy się zaczęła i kiedy się skończy?

Wydawało się, że uczucia zaraz eksplodują, ale jakaś tajemnicza siła zatrzymała je w duszy każdego z obecnych. Lęk, gniew, nienawiść, obłuda, wyniosłość, współczucie, wątpliwość wydawały się czekać na jakiś tajemniczy rozkaz. Dopiero wtedy głos pielgrzyma przerwał ciszę.

– Dobrze – powiedział – jeśli tego chcecie, niech tak się stanie. Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci na nią kamień.

Nikt się nie ruszył. Zawahali się, zaskoczeni tymi słowami? Czy naprawdę zrozumieli, czy tylko osłabiona została siła ich pewności?

Faktem było, że spoglądając na siebie nawzajem, jeden po drugim zaczęli w milczeniu opuszczać plac.

Młody pielgrzym oparł się o murek z westchnieniem i wyciągając rękę ku ziemi, podniósł właśnie nasz mały kamień, obracając go wesoło w palcach. Nie do wiary! Jego marzenie się spełniło. Ktoś go zauważył, podniósł i uczynił kamieniem doprawdy wyjątkowym!



Wisienki świętego Piotra

Stara legenda ormiańska

Jak z pewnością wiecie, Jezus i święty Piotr od czasu do czasu wracają na ziemię, by spędzić kilka dni wśród ludzi, a także, ale to tajemnica, ponieważ kochają naszą planetę najbardziej ze wszystkich.

I oto pewnego pięknego ranka nawiedzali wioski Nawarry, kiedy Jezus zobaczył coś leżącego w trawie.

Gdy przyjrzał się bliżej, stwierdził, że jest to podkowa, może nieco zardzewiała, ale ciągle wartościowa. Poprosił zatem Piotra, by schylił się i podniósł ją.

– Nigdy nie wiadomo – powiedział Jezus. – Nie jest powiedziane, że nam się nie przyda.

Piotr, zawsze gotowy do zwady, a także nieco leniwy, zastanawiał się, jaki pożytek mogą odnieść z tego starego kawałka żelaza; Nauczyciel czasami wydawał mu się doprawdy dziwny z tymi swoimi nielogicznymi życzeniami.

Z nonszalancją lekko kopnął podkowę, odsuwając ją na skraj drogi. Jezus sprawiał wrażenie, jakby nic się nie stało, ale kiedy Piotr z zapałem rozprawiał o ważnych kwestiach moralnych, schylił się i podniósł podkowę.

Szli tak, aż dotarli do wioski, gdzie chcieli się zatrzymać, żeby trochę odpocząć.

Kiedy Piotr włóczył się zaciekawiony, Jezus wypatrzył warsztat kowala, któremu postanowił zaoferować dopiero co znalezioną podkowę, w zamian za kilka groszy. Za te kilka monet kupił od wędrownego sprzedawcy garść doj-

rzałych soczystych wiśni, które natychmiast schował do kieszeni.

Nieco później dwaj podróżni spotkali się przy małej fontannie i usiedli na kamiennym murku, przez który spływała świeża i lśniąca woda. Piotr, jak zawsze, miał świeży zapas plotek zebranych wśród mieszkańców tej małej osady i zabawiał Jezusa, opowiadając nowiny.

Nadeszła pora ruszenia w dalszą drogę i dwaj przybysze zostawili wioskę, z zamiarem dotarcia do klasztoru, o którym dużo słyszeli od jednego gościa w raju, i chcieli w nim spędzić noc.

Dzień był gorący, nawet upalny. Wszystko wydawało się zrobione ze złota: słońce, niebo, pola pełne dojrzałych kłosów i nawet trawa przypominały żółtawy metal.

Piotr zaczął odczuwać nieprawdopodobną suchość i, jak to się często zdarza, ta myśl zaprzętała mu głowę do tego stopnia, że nic innego zdawało się go nie interesować.

– Co jest, Piotrze? Coś nie w porządku? – zapytał Jezus nagłaco.

– Nic, Panie, rozmyślam – odpowiedział szybko Piotr, nie chcąc ujawniać tej swojej ludzkiej słabości.

Szli dalej w milczeniu, Jezus na przedzie, a Piotr za nim, aż z Jezusowej kieszeni wypadł na ziemię soczysty czerwony owoc. Może w kieszeni była dziura? Potoczył się prosto pod nogi Piotra, który podniósł go bez słowa, jak prawdziwą mannę z nieba.

Jaka świeżość, co za nektar, co za rozkosz obracać w ustach ten owoc i wyciskać z niego sok na wysuszonym podniebieniu! Kiedy po kilku krokach kolejna wisienka upadła na ziemię, Piotr nie wierzył. Pośpiesznie schylił się, zerkając przed siebie, by sprawdzić, czy Nauczyciel go nie widzi. Ale Jezus szedł spokojnie bez słowa, jakby nic się nie stało. Jedna wisienka po drugiej, w końcu kieszeń była pusta, a Piotr posilił się smaczными owocami, przez co ugasił pragnienie i odzyskał swoją zuchwałość.

Nagle Pan zwrócił się do niego:

– Zatrzymajmy się w cieniu tego drzewa: odpoczniemy co nieco. Jest tak gorąco!

Dopiero teraz Piotr zaczął zastanawiać się, co powie, kiedy Jezus zechce zjeść kilka wisienek. Zachował się jak głupiec, uległ pokusie ugaszenia pragnienia i łakomstwu, zobaczywszy te pyszne owoce, a teraz... jak się usprawiedliwić?

Próbował rozluźnić gardło, w którym zdawała się wznosić bariera nie przepuszczająca jakiegokolwiek słowa, i wymamrotał coś w rodzaju:

– Tak... zgoda... usiadźmy tutaj... właśnie, jest gorąco... ale nie jesteś spragniony?

Czuł się taki bezbronny, jak każdy człowiek przyłapany na gorącym uczynku.

– Usiadź tutaj, mój przyjacielu.

Serdeczne zaproszenie Nauczyciela sprawiło, że czuł się jeszcze bardziej winny. Ile razy wypowiadał już te słowa i dlaczego nie mógł pokonać tej granicy, która sprawiała, że kierował się impulsem, niepozostawiającym czasu na zastanowienie? Był niepoprawnym głupcem!

– Posłuchaj, Piotrze. – Jezus zawsze tak zaczynał, zwracając się do przyjaciela, gdyż dobrze widział, w jakim stanie ducha się znajduje: – Ile razy schylałeś się ukradkiem, żeby podnieść wiśnie, które wypadały mi z kieszeni? Czy nie mądrzej było posłuchać mojej prośby i schylić się tylko raz, żeby podnieść podkowę? Mógłbyś ty ją sprzedać w wiosce i delektowalibyśmy się spokojnie tymi smaczными wiśniami. Ale nie musisz się smucić: już taki jesteś i pewnego dnia, kiedy nadejdzie właściwy moment, nauczysz się, że zawsze warto mi ufać.

Co powiedziawszy, Jezus klasnął trzy razy w dłoń i piękny kosz wiśni pojawił się przed nimi na łące.

– No już, nie rób takiej miny: skosztujmy razem tych owoców. Zasłużyliśmy na nie po tak długiej drodze.

Człowiek, który stracił i odzyskał mowę

Z Ewangelii apokryficznych

Zdarzyło się to pewnego popołudnia, gdy wszyscy ludzie zgromadzeni przed świątynią oczekiwali na złożenie ofiary kadzielnej na ołtarzu w przybytku Pańskim.

Tego spokojnego dnia, pozornie nieodbiegającego w niczym od wielu innych w ziemi Heroda, króla Judei, staremu i mądrymu kapłanowi Zachariaszowi przydarzyła się taka oto historia.

Nasz kapłan należał do dostojnego oddziału Abiasza i mieszkał od zawsze na tej cudownej ziemi, gdzie słońce, zapachy i gorący piasek przesłaniają horyzont, a wszystko wokół napęłniają słońcem.

Od dzieciństwa Zachariasza fascynowała świątynia, z której dobiegały go głosy starszyny śpiewającej Psalmu i w której słyszał bicie serca swego miasta.

Zauroczony tym czarem, Zachariasz wzrastał w mądrości i wierze, aż w końcu sam został strażnikiem tak drogiego jego sercu przybytku.

Od wielu lat dzielił życie ze swą żoną Elżbietą, kobietą piękną i urodziwą, a ich małżeństwo stało się z czasem przykładem wskazywanym każdej parze nowożeńców.

Można by myśleć, że Zachariasz był człowiekiem w pełni szczęśliwym, posiadłszy wiedzę, mądrość i domowy pokój. Ale żaden człowiek nie ma wszystkiego: również jemu brakowało czegoś do pełni szczęścia.

Nie dane mu było bowiem zrealizować wielkiego pragnienia swego życia – nie miał dzieci.

Zapewne tak postanowił Pan, myślał Zachariasz, tylko w tej myśli znajdując ukojenie, bądź tak zaplanowała natura, czyniąc Elżbietę nie płodną.

Faktem jest, że nasz pobożny kapłan daleki był od obwiniania kogokolwiek, a w miarę upływu lat widział, jak rozwiewają się jego nadzieje na ojcostwo.

W dniu, o którym opowiadamy, Zachariasz miał właśnie złożyć w świątyni ofiarę kadzenia; dlatego skierował się tam jak zwykle pobożnie, raczej dziękując za wszystko, co otrzymał w ciągu swojego długiego życia, niż oplakując łaski, które nie zostały mu dane.

Na małym piaszczystym dziedzińcu zamienił kilka przyjacielskich słów i zatrzymał się, by wypić kubek świeżej wody ze studni, zwyczaj, który nabierał wyjątkowego znaczenia dla każdego mieszkańca tej suchej okolicy.

Był to moment szczególnie drogi Zachariaszowi, który co dzień słuchał z wyrozumiałością i mądrością zarówno zwierzeń, jak i prośb o radę ze strony miejscowej ludności.

Kiedy nadeszła godzina dopełnienia obrządku, zostawiwszy wszystko i wszystkich, kapłan wszedł sam do świątyni wypełnionej zapachem oliwy i kadzidła, które przypominały o dobrym Bogu, dawcy pokoju.

Wielkie było zatem jego zdziwienie, gdy zorientował się, że obok ołtarza jest ktoś, kogo przecież nie powinno tam być. Któż śmiał wejść do świątyni przed nim, wbrew zwyczajowi?

Zwrócił się zdecydowanym ruchem w tamtą stronę i zamarł. Nie miał wątpliwości: zobaczył po prostu przepięknego anioła, utkanego z niezliczonej ilości świetlnych drobinek mieniących się wszystkimi kolorami tęczy; wyglądał jak słoneczny promień, który nagle przecina izbę.

Zachariasz, który z uwagą czytał święte pisma, od razu zrozumiał, że to Boży Posłaniec stanął na jego drodze i że w tej chwili nic innego już się nie liczy.

Anioł dogłębnie znając ludzi wiedział, że stary kapłan przeraził się na jego widok – bo pomimo znajomości ksiąg, było to dla niego doświadczenie nowe – i natychmiast go uspokoił.

– Nie bój się, Zachariaszu, gdyż jestem aniołem Pana i oznajmiam ci, że twoja prośba została wysłuchana. Będziesz cieszył się synem, który wyróżni się spośród ludu, nadasz mu imię Jan, a jego czyny będą wspomniane na wieki.

W chwili, kiedy anioł wypowiadał te słowa, rozum kapłana natychmiast zajął miejsce pomiędzy nim a wolą Bożą. Co podpowiadał? Nikt tego nie wie: może poruszenie pychy z powodu bycia wybranym, a może wątpliwość co do możliwości realizacji zapowiedzi danej przez anioła.

Pewnym jest, że usta Zachariasza otworzyły się i padła odpowiedź, której może serce by nie podyktowało:

– Jak może się spełnić to, co mówisz? Ja i moja żona jesteśmy już w podeszłym wieku i nigdy nie mogliśmy mieć dzieci!

– Ja jestem Gabriel, stoję przed Bogiem, przyjmuję Jego wolę i oznajmiam ją ludziom; ale tobie zabrakło wiary w Jego wszechmoc, dlatego stracisz mowę, która bardziej niż wszystko inne służy człowiekowi do wyrażania myśli i uczuć. A zatem będziesz niemy. – Mówiąc to musnął go skrzydłami, rozsypując dokoła miriady barwnych iskerek.

I Gabriel, tak jak pojawił się w smudze światła, tak też znikł, zabierając głos Zachariasza, który stał jak osłupiały, wstrząśnięty i zmieszany, ale też niezdolny do podzielenia się z innymi tym, co widział i słyszał.

Szepczący tłum spokojnie czekał na wyjście Zachariasza, by móc z kolei wejść do przybytku. Wszyscy spo-

dziewali się, że jak zwykle skieruje do nich pokrzepiające słowo, a tu nic... tylko milczenie... całkowite milczenie.

Zachariasz był blady i spocony. Zmieszał się okropnie na widok tylu wpatrzonych weń oczu, ale tak się stało i nie mógł nic zrobić ani tym bardziej nic powiedzieć.

Wszyscy w okolicy komentowali nagłe zaniemówienie kapłana, zastanawiając się, czy przypadkiem nie widział rzeczy tak nieopisanych, że odjęło mu mowę, a ktoś szeptał:

– Czasem Bóg się objawia, ale kiedy brakuje słów, by wyrazić to, co się wydarzyło, pozostaje tylko milczenie.

Minęły miesiące i spełniła się zapowiedź anioła. Zachariaszowi i Elżbiecie urodził się chłopiec i kapłan radował się w sercu, nie mogąc wyrazić Panu słowami swojej olbrzymiej wdzięczności.

Rodzice świętowali jak nigdy dotąd – te narodziny to był prawdziwy cud!

Syna Elżbiety i Zachariasza zaniecono do świątyni, by Bóg przyjął go oficjalnie do grona swoich ziemskich dzieci. Pozostało tylko jedno pytanie: jak nazwać dziecko?

– Jan, na imię będzie mu Jan!

Kto z taką siłą wypowiedział to imię? Wszyscy obrócili się w stronę Zachariasza, zdziwionego bardziej niż inni, że odzyskał mowę w tej właśnie chwili, by wypełnić polecenie anioła.

– Jan, tak, będzie nosił imię Jan – powtarzał uszczęśliwiony, wsłuchując się w dźwięk słów, które wychodziły z jego ust.

– Mój Boże, jaki jesteś wielki! – zawołał nagle Zachariasz donośnym głosem. Był szczęśliwy z powodu dziecka, które otrzymał w darze, i w tym okrzyku miłości wyraził rozpierające go uczucia.

Wtedy też ktoś będący spostrzegawczym obserwatorem, zauważyłby miriadę świetlistych drobinek, które rozpyływały się w słonecznym świetle.

Zwodniczy rozum

Ludowa legenda apokryficzna grecko-rzymska

Wędrując po świecie, Jezus postanowił wystawić na próbę swojego przyjaciela Piotra.

– Posłuchaj, Piotrze: chciałbyś mieć pięknego konia, na którym mógłbyś odbywać bez trudu długie wojaże?

– Jeszcze jak! – odpowiedział Piotr. – Zawsze marzyłem o wierzchowcu, który słuchałby tylko moich poleceń i niósł mnie szybko jak wiatr.

Oczami wyobraźni już widział siebie dosiadającego z naprężoną piersią dużego białego konia, potem spojrzał na Pana, może trochę zawstydzony tymi myślami, które On z pewnością wyczytał w jego głowie.

– A zatem, mam dla ciebie propozycję. Dostaniesz konia, jeśli uda ci się odmówić jednym ciągiem *Ojcze nasz*, nie rozproszywszy się ani na chwilę.

Piotr nie dowierzał własnym uszom. Tylko tyle! Wydawało mu się to zadaniem zbyt łatwym w zamian za tak cenny prezent.

– Nie ma problemu, też mi coś, jeszcze za czasów naszej przyjaźni na ziemi nauczyłeś mnie tej modlitwy i od tamtej pory ciągle ją powtarzam, a wiesz ile czasu już minęło!

– Dobrze, Piotrze, a więc zgoda: odmówisz *Ojcze nasz*, nie rozproszywszy się ani razu, i koń będzie twój – powiedział Jezus poważnie.

Piotr nie wierzył własnym uszom i, nie czekając ani chwili dłużej, zaczął modlitwę. Gdyby się chociaż trochę skupił!... Ale nie, z marszu *Ojcze nasz*.

– Ojcze nasz, który jesteś w niebie, przyjdź królestwo twoje... *a niech to, na koniu przemierzyłbym całe królestwo... bądź wola Twoja... wszystko dzieje się z Jego woli, może nawet to, żebym miał konia...*, jako w niebie tak i na ziemi. Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj... *ja również co dzień będę dawał obrok mojemu koniowi...* i odpuść nam nasze winy, jak i my odpuszczamy naszym winowajcom... *nie będę musiał nawet zaciągać długu, żeby mieć tego konia...* nie wódź nas na pokuszenie...

Tu Piotr zatrzymał się, uświadamiając sobie dopiero w tym momencie, jak paskudny kawał spletał mu rozum!

– Piotrze, Piotrze, już tyle czasu minęło, a jeszcze nie nauczyłeś się, że najtrudniejszym koniem do ujarznienia jest właśnie nasz rozum.

– Wybacz, Panie, ale to się stało niepostrzeżenie. Teraz już będę bardziej świadom, że nie zawsze jestem panem mojej woli, ale że rozum może w jednej chwili ponieść mnie, dokąd chce.

– Nie ma problemu, Piotrze – odparł Jezus. – Faktem jest, że dzisiaj przypłaciłeś to koniem, który przeszedł ci koło nosa.



Kołyska świętego Józefa

Legenda średniowieczna

Sufo, bogaty kupiec, który handlował sukniem na placu w Nazarecie, tego ranka opuścił swój sklep i udał się do cieśli Józefa.

Dom Józefa, sześcienn pod drzewem daktylowym, stał nieco na uboczu, dlatego Sufo musiał się trochę spocząć w słońcu, żeby do niego dotrzeć.

– Józefie! – zawołał kupiec, zbliżając się do warsztatu cieśli. – Byłem już kiedyś, by zamówić u was dzieło przed moim ślubem; teraz przychodzę prosić o kołyskę dla mojego pierwszoroźnego. Zróbcie mi kołyskę godną króla, z drogiego trwałego drewna, bogato rzeźbioną i kolorową. Sufo może sobie na to pozwolić!

Następnego dnia z samego rana Józef zabrał się do dzieła. Wybrał drewno cedrowe o pięknych zielonkawych słojach, twarde, ale zarazem podatne na ciesielskie narzędzia. Pracował do późnych godzin wieczornych, gdyż potrzebował tych pieniędzy. Był to miesiąc, kiedy płaciło się podatki i należało oddać Cezarowi to, co należało do Cezara. Nazajutrz rano kołyska była gotowa; Józef pracował nad nią z wielką miłością. Bijała się od samej śpiewnej melodii kołysanki. Józef udał się z kołyską do sklepu Sufo.

– Oto wasza kołyska, drogi Sufo. Maria udzieliła mi kilku rad, żeby była wygodna również dla mamy.

Sufo oglądał kołyskę i wydawał się rozczarowany. Nie było śladu bogactwa w tym kawałku drewna. Wydawała mu się raczej postaniem dla nieszczęsnego biedaka.

Tak więc Sufo wygonił Józefa ze swojego sklepu.

Wracając do domu, z kołyską i smutnymi myślami w głowie, Józef wpadł do Lizy, bliskiej przyjaciółki Marii, kobiety bardzo biednej, która owdowiała w kilka dni po urodzeniu synka. Ojciec, ciężko zachorowawszy, cieszył się dzieckiem tylko przez kilka dni.

Kobieta opowiedziała o tym, jak chodziła cały dzień wzdłuż rzeki, szukając sitowia. Chciała wypleść kołyskę dla swojego malca – rodzaj koszyka; ale znalazła tylko małą wiązkę zgniłych gałęzi.

– Weźcie tę, już gotową – uśmiechnął się do niej serdecznie Józef. – Kupiec Sufo jej nie chciał. Jestem pewny, że wasze dziecko będzie w niej spało jak suseł.

– Gdybym mogła wam za nią zapłacić, natychmiast bym ją wzięła.

– Lizo, weźcie ją, jest wasza.

I zostawił jej kołyskę na progu, nie czekając ani na błogosławieństwo, ani na podziękowanie.

Liza dobrze widziała, że Józef jest równie biedny jak ona. Nieraz mierzyła oczami skromną ilość chleba, jaką Maria wkładała do pieca. Ale kołyska była tak ładna, że stała się źródłem radości zarówno dla małego, jak dla matki.

Liza, kiedy nadszedł wieczór, układała w niej dziecko i zaczynała śpiewać słodką melodię. Jej śpiew rozchodził się po całej pogrążonej w ciszy okolicy i docierał do wszystkich domów w Nazarecie. Wiatr niósł echo daleko, daleko w ciemność nocy. Głos Lizy był tak czysty i pogodny, że każdy mógł usłyszeć wszystkie kolory szczęścia. Nagle jednak ton stawał się smutny i zboląły, jakby mamę przeszyło ostrze melancholii. Jej głos drżał jak strumień

wody na wietrze, na chwilę robił się ponury jak księżyc, kiedy przesłania go chmura. W jej sercu pojawiała się myśl, że ceną za jej szczęście był ból cieśli Józefa.

Sufo zlecił innemu rzemieślnikowi wykonanie kołyski dla swojego synka: bogato zdobionej, ciężkiej, masywnej jak tron. Zapłacił za nią cenę, której nie należy wypowiadać głośno, by nie obrażać biedy. I ułożył w niej do snu swojego ukochanego chłopczyka. Ale to królewskie cudo bujało się z trudem, a poruszając się, robiło tyle hałasu, że dziecko nie mogło zasnąć. Niania utrudzona huśtaniem w końcu zasypiała, ale niemowlę płakało i krzyczało, zmęczone żalosnym jęczeniem ciężkiego drewna.

Pewnego ranka Sufo, nie mogąc dłużej znieść męczarni niemowlęcia i skrzypienia kołyski, udał się do Lizy i powiedział:

– Odstąpcie mi kołyskę waszego dziecka, zapłacę ile zechcecie.

– Jak mogę wam ją oddać, nie raniąc hojnego serca, które mi ją podarowało? Nic z tego!

– Pójdę do Józefa zamówić drugą.

Ale Józef był w tych dniach dość zajęty. Za sprawą Opatrzności otrzymał pewne pilne zlecenia i pracował z ferworem.

– Przykro mi, drogi Sufo, ale mam już pracę na ten sezon. Proszę zrozumieć, nie mogę spełnić waszej prośby natychmiast.

– A moje dziecko? – wybuchnął Sufo. – Gdzie położę je spać?

– Poproście Lizę, by zrobiła dla niego miejsce obok jej maleństwa. Kołyska jest duża.

I Sufo wrócił do Lizy.

– Jeśli chcecie tylko tego – powiedział kobieta – przynieście mi dziecko tego wieczoru. Mój śpiew wystarczy dla obu.

– Przy okazji – zapytał Sufo – co oznacza ta nuta bólu, która maści w pewnej chwili słodycz waszej pieśni? Słysząc, że macie jakiś cierń w sercu.

– Każdej nocy, kiedy śpiewam, przypomina mi się, że moja radość została opłacona bólem cieśli Józefa. Cierpieniem, jakie wyście mu sprawili.

Sufo wrócił do Józefa i powiedział:

– Pozwólcie, Józefie, że wam zapłacę za kołyskę, skoro ma w niej spać moje dziecko.

– Ja już otrzymałem wynagrodzenie w postaci błogosławieństwa tej biednej wdowy. Które to błogosławieństwo stało się opatrnościowe dla mnie. Uczyniłbym kiepski interes, gdybym zamienił to błogosławieństwo na pieniądze. Ta kołyska jest lekka i sprawna, gdyż jest kołyską miłości. Nie płąćcie zatem mnie, ale weźcie raczej w opiekę tę biedaczkę, która nie ma za co żyć.

Sufo postanowił przyjąć do swojego domu wdowę i jej dzieciątko oraz poprosił ją, żeby została mamką jego pierworodnego. Tej nocy dwaj chłopcy spali smacznie w kołysce Józefa, usypiani śpiewem Lizy. Również Sufo w końcu zasnął, rozmyślając o tym, jak to miłość biedaka przywróciła jemu, bogaczowi, pokój i szczęście.



Święty Hubert, patron Ardenów

Ludowa legenda francuska

Może nie wszyscy wiedzą, że święty Hubert jest patronem Ardenów. W młodości był zaprzeczeniem świętego, jako akwitański szlachcic hulał beztrąsko, nie zastanawiając się nigdy, czy poza tym młodym i silnym ciałem istnieje coś innego.

Pierworodny syn znamienitego rodu, Hubert został obdarowany przez los wszechstronnie: bogaty, piękny, bystry i inteligentny, wydawał się ucieleśnieniem starożytnego pogańskiego bóstwa, na które Zeus spoznał był szczególnie przychylnym okiem.

Był jednym z najświetniejszych nadwornych rycerzy, zręcznym szermierzem i ulubieńcem króla, który nie przepuszczał okazji, by darzyć go względami.

Hubert nie był złym człowiekiem i – w odróżnieniu od innych podobnych sobie młodzieńców – często dawał jałmużnę biedakom, ale bardziej w nieświadomym porywie niż z prawdziwej miłości.

Uczty i bankiety wydawały się inne bez jego żywiołowego usposobienia i pogody ducha, które wystarczały, by ożywić długie zimowe wieczory. Młode damy z całego królestwa nie mogły mu się oprzeć: każda chciała prześcignąć inne i wypaść bardziej czarująco w jego oczach, ale młody Hubert kochał wolność, lubił towarzystwo przyjaciół i wspólne polowania.

Każdą wolną chwilę poświęcał tej rozrywce, którą przedkładał nad wszystkie inne. Jego zbroi zazdrościli mu inni rycerze, tak samo jak silnego konia, na którym godzinami galopował po równinach bądź przeczesywał najgłębsze zakątki lasu w poszukiwaniu zwierzyny.

Osobiście nadzorował wytwarzanie łuków i strzał, które musiały być idealne, by mógł podejmować wyzwania, w których niestraszny był mu żaden rywal.

Pewnego pięknego dnia król wezwał naszego wesołego Huberta i oświadczył, że jego wiek, pozycja na dworze i rodowód wymagają, by znalazł sobie żonę, zapewniając tym samym potomstwo szlacheckiemu rodowi, którego imię nosił.

Młodzieniec ociągał się trochę, ale w końcu musiał zacząć rozglądać się w poszukiwaniu odpowiedniej dla siebie towarzyszki. Dworskie piękności pociągały go tylko na tyle, by spędzić jeden wieczór w miłym towarzystwie, ale z żadną nie mógł sobie wyobrazić związku na całe życie.

Była jednak młodziutka córka lowańskiego hrabiego, która budziła jego ciekawość: rozważna i skryta, niechętnie uczestniczyła w towarzyskich spotkaniach, a najczęściej w ogóle na nich nie bywała. Hubert za wszelką cenę chciał ją lepiej poznać, zastanawiając się, dlaczego tak śliczna istota nie zachowuje się podobnie jak większość jej szlacheckich rówieśniczek.

W końcu pewnego dnia sam hrabia zaprosił go do zamku w Lowanium na polowanie na dzika. Czy mogła nadarzyć się lepsza sposobność, by spotkać jego córkę?

Hubert przybył na swoim koniu z łukiem przewieszonym przez ramię i kołczanem wypełnionym strzałami w olśniewających kolorach, zeskoczył na ziemię i przywitał uprzejmym ukłonem pana domu, rozglądając się równocześnie, czy gdzieś w pobliżu jest jego córka. Napotkał rzeczywiście jej duże oczy koloru orzechowego,

które przypominały mu spojrzenie nieśmiałej sarenki, i zrozumiał od razu, że Florianna, bo takie nosiła imię, jest osobą wyjątkową. Postanowił zdobyć jej serce.

Tego dnia młoda pani domu nie mogła uchylić się od zabawiania swoich gości i okazała się osobą uprzejmą i błyskotliwą, podobnie jak piękną i świątłą. Hubert był nią oczarowany tak bardzo, że odczuwał niepokój, kiedy nie mógł jej spotkać. Ona śmiała się rozbawiona jego opowieściami, nawet jeśli strofowała go za upodobanie do polowań, nie mogąc mu wybaczyć, że zabija zwierzęta, które ona tak bardzo kochała.

Czasem prowadzili burzliwe dyskusje na temat niesprawiedliwości, których ofiarą padał lud, a także nierówności w podziale dóbr, których jednym zbywało, podczas gdy inni cierpieli głód. Hubert nie był przyzwyczajony do pewnych niewygodnych refleksji i zdarzało się, że odchodził zirytowany, przysięgając, że już nigdy więcej nie chce widzieć tej dziewczyny o dziwacznych poglądach.

Ale nie mógł wytrwać w swoim postanowieniu dłużej niż jeden dzień, bo od razu czuł jej brak, tak że w końcu postanowił prosić o jej rękę.

Król nie dowierzał, że udało się ożenić nieokielznanego żrebaka, a lowański hrabia radował się na myśl o tym, że jego córka weszła do bardzo starego i ogólnie poważanego szlacheckiego rodu.

Florianna była bezgranicznie zakochana w jasnowłosym rycerzu, u którego pod zewnętrzną zapalczywością widziała wrażliwe, szlachetne serce.

Młodzi pobrali się i przez jakiś czas wszystko szło gładko. Ale potem Hubert zaczął gryźć wędzidło. Zrezygnował był ze znacznej części swojego kawalerskiego życia i teraz zaczynał czuć ciężar ograniczonej wolności.

Długie rozmowy z Florianną zasiały jednak ziarno w jego sercu i czasem przyłapywał się na tym, że mimo woli rozważa słowa żony, które mówiły mu o miłości Boga

i o tajemniczym tchnieniu z nieba, ogarniającym wszystkie ziemskie stworzenia.

Kiedy grała na harfie, przebierając delikatnymi palcami po strunach, wydawało mu się, że słyszy coś, co płynie z serca i rozlewa się na wszystko dokoła.

Ale wspomnienie dawnego beztroskiego życia było wystarczająco silnie, by zagłuszyć wszystkie inne przemyślenia. Do diabła z tymi głupstwami! Nie ma nic lepszego niż wystawna uczta czy myśliwska wyprawa z przyjaciółmi.

Nadszedł dzień, kiedy obchodzono w królestwie uroczystość religijną i książę Hubert powinien był zjawić się na liturgii wraz z całą rodziną. Jednak na przekór temu zwyczajowi i pomimo nalegań Florianny, dosiadł konia i udał się na polowanie do ardeńskiego lasu.

Chociaż rozgniewany na samego siebie za ten głupi gest – od jakiegoś czasu stawał się coraz bardziej niecierpliwy i niespokojny – zanurzył się w leśnym gąszczu, wdychając błogi zapach wilgotnej ziemi. Młodzieniec trzymając w dłoniach cugle, myślał o Floriannie i jej rozczarowaniu z powodu tej kolejnej fanaberii, kiedy niespodziewanie i wręcz bezgłośnie stanął przed nim okazały jelen.

Rozgałęzienie poroża wskazywało na długi żywot zwierzęcia, a wśród wypustek tkwił świetlisty krzyż. Jeleń spojrzał na myśliwego wielkimi oczyma i tajemniczym głosem zwrócił się do niego tymi słowy:

– Hubercie! Jak długo jeszcze zamierzasz prześladować leśne stworzenia? I jak długo twoje namiętności będą ci przesłaniać twoją duszę?

W tej samej chwili znikł, zostawiając sam na sam osłupiałego księcia.

Po powrocie do zamku Hubert zastał Florianę uśmiechniętą, zajętą układaniem kwiatów w wazonach i wcale nie nadszana z powodu jego porannego zachowania; po-

całował ją delikatnie, ale nic nie powiedział o tym, co mu się przytrafiło w lesie. Od tego dnia jednak starał się coraz częściej rozmawiać z nią o tym kochającym Bogu, który nie szukał zemsty, nie troszczył się o jednych bardziej niż o innych, i który dawał każdemu to, czego potrzebował, według swoich niezgłębionych zamysłów. Rozmawiali o zgodzie i o duszy, a Hubert wracał myślami do tajemniczego jelenia spotkanego kiedyś w lesie.

Ale nadszedł straszliwy dzień, kiedy życie Huberta legło w gruzach i przybrało zupełnie inny obrót.

Młodziutka Florianna z wdziękiem i subtelnością, zupełnie tak jak żyła, opuściła nagle tę ziemię, a Hubert zapadł się w sobie, jakby wraz z nią umarł.

Przez długi czas faktycznie był jak umarły. Zamieszkał w pustelni, zdecydowany opuścić ten świat teraz już dla niego pusty.

Diabeł widział, jak wymykała mu się cenna zdobycz, którą od dłuższego czasu miał nadzieję zdobyć dla siebie, dlatego niezwłocznie zjawił się w pustelni, próbując wszelkich środków, by odzyskać księcia. Wlał mu do serca głęboką niechęć do Boga, który odebrał mu żonę, przypominając dawne życie, beztroskie polowania, młode kobiety, które jeszcze na niego czekały. Na próżno.

Sam biskup przybył go odwiedzić i doradził mu pielgrzymkę do Rzymu. Ta podróż miała przynieść pociechę jego strapionej duszy i stworzyć okazję do spotkania z papieżem.

W pierwszej chwili Hubert odmówił, ale potem pomyślał, że zamknięty w pustelni nikomu nie może pomóc, a tego Florianna by nie pochwaliła. Zatem wyruszył do Rzymu.

Tej samej nocy, kiedy Hubert wyruszył do Italii, papież miał dziwny sen. Szedł przez gęsty las, a kiedy dotarł na polanę, ukazał mu się okazały jeleni. Obok zwierzęcia stał świetlisty anioł i głaskał po łbie, kiedy zaś nadszedł pa-

pież, odwrócił się; ale przybyły nie widział wyraźnie rysów twarzy z powodu silnego blasku, jaki od niego emanował. W rękę dzierżył laskę biskupią, którą przekazał papieżowi z poleceniem wręczenia Hubertowi z Akwitanii.

Wypełniwszy zadanie, Boży posłaniec znikł, a wraz z nim jeleni i las. Papież obudził się i ze zdumieniem stwierdził, że obok łóżka znajduje się laska biskupia, którą przed chwilą widział we śnie.

W noc poprzedzającą przybycie Huberta do Rzymu wola Boża objawiła się ponownie i tym razem anioł zostawił przy łóżku Chrystusowego namiestnika paramenty kapłańskie oraz śnieżnobiałą stułę, dar Niepokalanej.

Nie mogło być wątpliwości: Bóg chciał ognistego rycerza dla siebie.

W Rzymie Huberta oczarowało piękno wielkiego miasta i przepych bazyliki, a spędziwszy wiele godzin na rozmowie z papieżem zrozumiał, że miłość Boża, o której Florianna tyle razu mu mówiła, podbiła jego serce.

Zatrzymał się w Rzymie przez jakiś czas, rozmyślając i modląc się w cieniu wysokich kolumn bazyliki: to miejsce emanowało jakąś tajemniczą siłą, która napełniała jego duszę, czyniąc go coraz bardziej świadomym misji, jaka go czekała.

Kiedy poczuł, że jest gotowy uczynić ten wielki krok, sam papież udzielił mu święceń kapłańskich i biskupich.

Hubert odzyskał teraz dawne siły życiowe i postanowił wrócić do Francji, do swoich ukochanych Ardenów. Dzień wyjazdu został już ustalony, kiedy niebo zechciało dać inny dowód swojej aprobaty.

Wieczorem, w dniu poprzedzającym odjazd, francuski biskup udał się po raz ostatni do olbrzymiej bazyliki, teraz już opustoszałej, chcąc jeszcze raz doświadczyć pocucia szczęścia i siły, jakimi to miejsce emanowało.

Był pogrążony w rozmyślaniach, kiedy wyczuł obok siebie czyjąś obecność. Odwrócił się gwałtownie i zoba-

czył postawnego starca, który go obserwował. Jego twarz była surowa, ale dobrotliwa, a cała osoba wzbudzała głęboki szacunek.

Hubert nie wiedział, co począć: ta nieoczekiwana postać miała wygląd ludzki, ale było w niej coś, czego nie umiał sobie wytłumaczyć.

To starzec przemówił:

– Mój synu, ja jestem Piotr, ten, którego Chrystus uczynił rybakiem ludzi. Ja również, jak ty, byłem porywczy i uparty, ale oddałem te cechy na służbę Bożą i tylko to wyróżniło moje życie.

Następnie podał Hubertowi złoty klucz.

– To jest klucz od Królestwa, które jest w tobie: obyś umiał znaleźć właściwe drzwi. Wraz z tym kluczem z woli Bożej przekazuję ci moc uzdrawiania ludzi z gniewu i innych chorób, które nauczysz się stopniowo rozpoznawać dzięki twojej wrażliwości. Teraz jedź z moim błogosławieństwem!

Książę Akwitanii opuścił Rzym jako biskup Tongres. Powrócił do ukochanych lasów i do swoich Ardenów. Z dawnego wspaniałego rycerza zmienił się we wspaniałego biskupa i został patronem tej ziemi ze względu na całe dobro, jakie tam uczynił. Święty Hubert, dzielny i szlachetny rycerz Boży!



Pani z Montjardin

Legenda francuska

Wiele lat temu w ardeńskich lasach, nieopodal jeziora, wznosił się kasztel Montjardin, uważany za jeden z najpiękniejszy w ówczesnie znanym świecie.

Ze swymi okazałymi wieżami, wysokimi murami z blankami i bogatymi kolumnadami, zamek wydawał się wynurzać w czarodziejski sposób z błękitnej taflి jeziora.

Zamkowe ogrody emanowały wdziękiem i przepychem: zielone krzewy okalały ukwiecone, barwne trawniki, a małe fontanny dawały poczucie świeżości i radości.

Wszystko pierścieniem otaczał park wiekowych drzew, czyniąc tajemniczą siedzibę podobną do diamentu o niespotykanej piękności.

Zamek wzniesiono na życzenie tajemniczej damy, której nikt nigdy nie widział, ale która zawsze troszczyła się o dobrobyt całej okolicy.

Minęło od tamtej chwili wiele czasu i wielka budowla, jak wszystko, co stanowi część świata materialnego, przechodziła zmienne koleje losu.

W czasach, kiedy rozegrała się nasza historia, zamek Montjardin zamieszkiwał bogaty pan, równie nikczemny i potężny, jak brzydki i niezgrabny w ruchach.

Wystarczyło wymówić jego imię, a ludzi ogarniało przerażenie, o jego nadużyciach zaś krążyły straszliwe historie.

Wszyscy przejezdni byli oczarowani widokiem kasztele, ale natychmiast ich ostrzegano, by mieli się na baczności; zupełnie jakby chodziło o trującą roślinę, równie pięknie wyglądającą, jak niebezpieczną.

Podczas jednego ze swoich nieszczęsnych wypadów pan zamku miał okazję spotkać młodziutką córkę miejscowego notabla, zakochując się w niej na zabój. Opowiadają, że od tamtej pory każdej nocy słysząc było w całej dolinie odgłos jego kroków wzdłuż zamkowych baszt.

Pewnego dnia ten brzydki i nikczemny człowiek postanowił posłać swojego sługę do ojca dziewczyny z prośbą o jej rękę.

Dziewczyna była naprawdę piękna i cnotliwa, co czyniło z niej osobkę rzadko spotykaną w tamtych czasach. Rzeczywiście, nie przywiązywała wielkiej wagi do urody, jaką ją natura obdarzyła, wiedząc dobrze, że ta w okamgnieniu przeminie, troszczyła się zaś o intelekt, który uważała za pożyteczniejszy i trwalszy.

Dowiedziawszy się, komu wpadła w oko, przestraszyła się. Jak udaremnić zamiary tej nikczemnej istoty, nie narażając na niebezpieczeństwo najbliższych?

Postanowiła zatem schronić się w pobliskim klasztorze, w nadziei, że to święte miejsce okaże się skuteczną barierą między nią a kandydatem do jej ręki.

Ale tak się nie stało. Potężny władca po całej okolicy rozesłał jej tropem swoich zbirów, którzy wkrótce odkryli, gdzie panna się ukrywa.

Nie było łatwo dostać się do starego klasztoru, dobrze chronionego przez wysokie mury i bramy, ale kiedy zło chce uderzyć, zawsze znajdzie sposób, by osiągnąć cel, a gdzie nie uda się sprytem, użyje brutalnie siły.

Bogacz, opętany żądzą, bez skrupułów nakazał bandzie zbójów pozostających na jego usługach za wszelką cenę uprowadzić dziewczynę. A podlegli mu ludzie stanowili grono najgorszych oprychów, jakich można było

spotkać: złodzieje, mordercy, donosiciele, osoby bez prawa i bez Boga, które uczyniły ze swojego życia bluźnierstwo. Nie kazali sobie zatem powtarzać rozkazu dwa razy, traktując go jak prawdziwą rozrywkę.

Ze swej strony siostry nie były oczywiście w stanie odeprzeć ataku tych łajdaków, bo jedynym stróżem klasztoru był stary bezbronny ogrodnik. Zresztą kto mógł przypuszczać, że to miejsce pokoju i modlitwy znajdzie się w podobnej sytuacji!

Po zapadnięciu zmroku ludzie pana z Montjardin wspięli się na mury konwentu i przewrócili do góry nogami każde pomieszczenie, nie oszczędzwszy nawet kaplicy. Przez lata wszyscy wspominali tę straszliwą noc jako noc demonów.

Panna zrozumiała, że nie ma wyjścia, i odwołała się do Niepokalanej, by ją chroniła. W pośpiechu, słysząc zbliżające się wzburzone głosy, chwyciła figurkę Maryi, którą trzymała zawsze obok łóżka, i wyszła z celi, by położyć koniec utrapieniom, których czuła się niezamierzoną przyczyną.

Kiedy zobaczyli ją w głębi korytarza, przez chwilę zawahali się. Przywykli do życia brutalnego i pozbawionego harmonii, mężczyźni ci zamarli pod wrażeniem takiej urody i odwagi. Niestety, czar trwał tylko krótką chwilę.

Odzyskawszy zwykłą pewność siebie, pociągnęli dziewczynę do wyjścia, gdzie czekała na nich karoca.

W zamku paliły się wszystkie światła. Mężczyzna, którego nie opuszczała udręka, zerkał na drogę, aż wreszcie zobaczył nadjeżdżającą galopem karocę eskortowaną przez jeźdźców na koniach.

Czekał w najciemniejszym miejscu wielkiego holu, próbując ukryć swoją szkaradną postać pod obszernym szkarłatnym płaszczem, a jego niepokój zapierał mu dech w piersiach. Nie zwykł czekać na to, czego pragnął, i nie

dopuszczał nawet możliwości, żeby czegoś mu odmówiono.

Zobaczył drobną postać kobiecą popychaną przez grubiańskich hultajów i pysznił się w duchu, że to wspaniałe stworzenie należy tylko do niego.

Odprawił następnie swoich sługusów i dał znak kobiecie, by podeszła, ale ta nie zrobiła nawet kroku. Jak śmiała nie usłuchać jego polecenia? Zbliżył się do niej zdecydowanie i chwycił za ramię, ale ona wyrwała się. Żądza zaślepiła go, próbował więc chwycić ją w talii i przyciągnąć do siebie.

Myśl, że znajdzie się w ramionach tego człowieka, wtrąciła dziewczynę w otchłań strachu.

Ratunku mogła oczekiwać jedynie od Maryi, jako kobiety i jako matki. Ścisnęła w dłoniach małą białą figurkę, którą zabrała ze sobą, i zwróciła się do niej z taką siłą, że nagle cała budowla zaczęła się trząść.

Mężczyzna stanął zaskoczony, wpatrując się w twarz tej, która stała kilka kroków dalej, i wydawało mu się, że z jej oczu promieniuje oślepiający blask, podobny do wybuchu gwiazdy.

To była ostatnia rzecz, jaką widział; w tej samej chwili zamek runął, grzebiąc w swoich ruinach oprawcę i jego ofiarę, wraz z wszystkimi, którzy mieli śmiałość mu służyć.

Doliną wstrząsnął straszliwy huk i mieszkańcy wioski, podniósłszy oczy ku kasztelowi, widzieli, jak obraca się on w gęstą chmurę szarego kurzu, z wolna przechodzącego w czerwień, kolor ognistych języków w piekle.

Nieco wyżej dostrzegli dwie białe postacie unoszące się ku górze po świetlistym promieniu księżyca. Były to kobieta i dziewczyna trzymające się za ręce, ale nie mogli dostrzec ich twarzy.

Wiele czasu upłynęło od owego dnia i to, co zostało ze starego zamku, pokryła roślinność. Jaszczurki grzały

się na rozrzuconych kamieniach, a małe zwierzątka zbudowały tam swoje norki.

Pewnego dnia pasterz w poszukiwaniu owcy dotarł aż na górę i zaczął kręcić się wśród tych osobliwych ruin.

Przez przypadek zauważył, że coś błyszczy się wśród kamieni; podszedł i podniósł małą figurkę Matki Boskiej, osmaloną przez płomienie, ale nienaruszoną. Wziął ją i zaniósł do miejscowego proboszcza. Dzielny człowiek, uważając figurkę za dar nieba i znak pojednania dla tego miejsca przez długi czas opuszczonego, umieścił ją w niszy na ołtarzu Niepokalanej.

Wielkie było jego zdumienie, kiedy następnego ranka spostrzegł, że czarna figurka znikła. Ale zdziwił się jeszcze bardziej, gdy kilka dni później znaleziono ją w tym samym miejscu, gdzie pierwszy raz dostrzegł ją pasterz.

Zabrano figurkę ponownie i umieszczono w niszy ołtarza poświęconego Maryi.

Ale znowu następnego dnia statuetki nie było, pojawiła się w sposób cudowny wśród ruin zamku Montjardin.

Nie było już wątpliwości. Z woli Bożej mała czarna Madonna musiała zostać tam, gdzie ją znaleziono, tak więc wybudowano kaplicę i w niej umieszczono cenną figurkę.

Wkrótce jednak okolicznym mieszkańcom, którzy udawali się do Montjardin, by modlić się do czarnej Matki Boskiej, budowla wydała się za skromna i wznieśli inną, większą, bardziej odpowiadającą wielkiemu cudowi sprzed lat.

A jak było nie pomyśleć o tych wszystkich nie wykorzystanych kamieniach, które leżały dokoła? I tak ze starego zamku powstał wielki kościół ku czci Pani z Montjardin, dla zapewnienia, że już nigdy więcej zło nie zamieszka w tym miejscu.

Kuglarz Tytus

Stara legenda prowansalska

Siedział tam już ponad godzinę, z głową ukrytą w dłoniach, nie umiejąc znaleźć sensu dla tego swojego tułaczego życia.

Za każdym razem, kiedy Tytus próbował powiązać wydarzenia swego życia w logiczną całość, umysł odmawiał mu posłuszeństwa, jakby zawieszony nad przepaścią. Tak naprawdę, wbrew własnej woli, w głębi duszy nie wierzył w to, że jakaś logika kieruje losem.

Często mu powtarzano: „Pamiętaj, masz to, co sobie wybrałeś!”, i te słowa wydawały mu się w tej chwili więcej niż rozsądne, a jednak w jakimś ukrytym zakątku umysłu widział wyraźnie, że rzeczy nie do końca tak się mają.

Przypomniał mu się ten poranek, kiedy mama, wyszedłszy jak zawsze, by odnieść wyprane rzeczy, już nie wróciła. I to z pewnością nie był ani jego wybór, ani jego mamy.

Wszystko zaczęło się właśnie tego straszliwego ranka, kiedy nagle musiał stawić czoło brutalnej rzeczywistości śmierci; i może właśnie wtedy, po raz pierwszy, doświadczył tego niewyraźnego poczucia nieuchronności.

Choć minęło już wiele lat, wspomnienie matki pozostało w nim niezatarte – zarówno wygląd zewnętrzny, jak i cechy charakteru – i często pytał sam siebie, co z niej przeszło na niego, dochodząc za każdym razem do wniosku, że łączyła ich skłonność do radości.

Radości niewymuszonej, ale wrodzonej, szczególna zdolność do odnajdywania w sobie, nawet w najcięższych chwilach, powodów, by mimo wszystko widzieć życie jako pokaz sztucznych ogni.

Ta radość pozwalała im dostrzec obok ponurego cienia choćby malutki promień słońca, a w bólu, czekające za rogiem szczęście.

Oto dlaczego tamtego dnia, trzymając w swoich rączkach zimną dłoń matki, zrozumiał, że mimo śmierci życie trwa i nigdy nie zostanie przerwane.

Tego dnia jednak Tytus nie widział fajerwerków, a tylko szary deszczowy dzień, w którym nic nie czekało na niego za rogiem. Z upływem lat nie wykazywał już takiej sprawności jak niegdyś: musiał bez przerwy ćwiczyć, by utrzymać zwinność rąk, a i tak coraz częściej jedna z kolorowych kul wymykała mu się i lądowała na ziemi, czemu towarzyszył pomruk niezadowolenia.

Tak, ponieważ Tytus z zawodu był sztukmistrzem i spędził życie wędrując od miasteczka do miasteczka, z placu na plac.

Początkowo było trudno, ale nigdy nie zastanawiał się, czy nie mógłby wykonywać jakiegoś innego zawodu albo czy mógłby wtedy więcej zarabiać. Życie wprowadziło go na tę drogę i on ją przemierzał.

Oto nad czym rozmyślał Tytus teraz, kiedy lata robiły swoje i czyniły coraz trudniejszym dalsze życie na ulicy: czy to naprawdę on sam wybrał, czy życie za niego wybrało?

Życie stanęło przed nim wiele lat wcześniej, w osobie Bartłomieja, tęgiego znachora, który szukał bystrego chłopca do pomocy.

Wynagrodzenie było minimalne, a praca ciężka, ale Tytus – inteligentny i ciekawy; tymi cechami znakomicie nadrabiał brak wykształcenia.

Znachorowi towarzyszył wszędzie hałaśliwy wóz ciągnięty przez Szkapę, pozór konia, równie brzydkiego z wyglądu, jak silnego i godnego zaufania.

Jednym z obowiązków Tytusa było właśnie dbanie o Szkapę po każdym pracowitym dniu. Poza tym do niego należało utrzymywanie w porządku wyposażenia wozu: mycie butelek, napełnianie flakoników, przelewanie płynów, gotowanie mikstur. Wszystko to przyprawione było z początku tęgimi szturchańcami za każde źle wykonane zadanie. Ale wkrótce nasz praktykant stał się tak uważny i sprawny, że coraz częściej zasługiwał na pochwałę swojego pracodawcy.

Potrafiąc rozpoznać każdą ewentualną możliwość zarobku, znachor szybko zdał sobie sprawę z możliwości tego dziecka. Na każdym postoju klientela była zwoływana na wszelkie możliwe sposoby, a Tytus każdego dnia wymyślał inny: trąbka strzelająca konfetti, bębenek połączony z dwoma mosiężnymi talerzami, które było słyhać w każdym domu w wiosce, albo megafon, do którego chłopiec wykrzykiwał różne dowcipne slogany.

I tak nadciągał mały tłumek... zarówno potrzebujący porad znachora, jak i spragniony słów tego zabawnego dzieciaka, zdolnego rozśmieszyć dużych i małych.

Kuracje Bartłomieja były więcej niż dyskusyjne, ale tanie, a ludzie z nich korzystający i tak nie mogli zwrócić się do prawdziwego lekarza, znacznie droższego, a ponadto dostępnego najczęściej tylko w dużych miastach.

Sprytny pracodawca szybko zorientował się, że młody pomocnik ma rzadki talent rozśmieszania i że jego wesołe usposobienie jest źródłem coraz wyższych dochodów.

Odkrycie tej zdolności napawało Tytusa entuzjazmem: teraz czuł się bliższy mamie, zawsze pełnej uśmiechu i zdolnej ożywić nadzieję. Klientelę Bartłomieja stanowiła grupa biednych chłopów i robotników, ludzi prostych, którym on oferował chwilę pogodnej beztroski.

Życie znachora i chłopca przybrało pomyślny obrót, a drobniaki zebrane w ciągu dnia pozwalały nawet na zaoszczędzenie trochę grosza na zimę, aby łagodniej ją przetrwać. Zdarzyło się jednak, że śmierć ponownie stała się pomiędzy Tytusem a jego marzeniami. Z powodu nagłej niedyspozycji Bartłomiej pożegnał się z tym światem, zostawiając Tytusa samego z wozem pełnym dzwiczących buteleczek i starym koniem.

Co począć? Tytusowi brakowało doświadczenia pracodawcy, nie wiedział też, do czego służą te mikstury, których moc leczniczą tamten wychwalał. Rozgoryczony, zaczął włóczyć się bez celu. Jesień stała u drzwi, a oznaki jej rychłego nadejścia wymalowały już melancholijny ślad na okolicznej roślinności.

Jego myśli błądziły, nie znajdując właściwej drogi: musiał sprawdzić czy już coś na niego czekało na najbliższym skrzyżowaniu?

Pomyślał o mamie i, jak często mu się zdarzało, ta subtelna kobieca postać w końcu zespoliła się ze wzorem wszystkich matek, Marią z Nazaretu... radość i ból... życie i śmierć...

Zatopiony w myślach, Tytus nie zorientował się, że przebył długą drogę i znalazł się na polanie otoczonej wysokimi drzewami. Tam pośrodku stał inny wóz, podobny do jego, ale wokół panowała cisza.

– Prr! Stój, Szkapo! – Koń usłuchał, a zatrzymując się, uruchomił całą brzęczącą zawartość wozu, która przy każdym hamowaniu dzwoniła głośno.

Tytus zsiadł i rozejrzał się dokoła, nie dostrzegając nawet małego człowieczka, podobnego do leśnego krasnala, który przyglądał mu się z zaciekawieniem. Dlatego aż podskoczył ze strachu, kiedy usłyszał, że ktoś zwraca się do niego, mówiąc:

– Witaj, chłopcze! W końcu jakaś żywa dusza w tych stronach. Chcesz coś przegryźć?

Spoglądając w stronę, skąd dochodził głos, Tytus zauważył, że miniaturowy człowieczek, siedzący na równie małym stołeczku, zamierza zabrać się za coś, co wyglądało na suto wypełnioną pajdę chleba.

Do diaska, czy był głodny? Dopiero teraz uświadomił to sobie, czując jak ślinka spływa mu po podniebieniu.

– Bardzo dziękuję, to bardzo miło z waszej strony, jeśli mógłbym skorzystać z zaproszenia...

– Ależ oczywiście, siadaj obok mnie, prowiantu starczy dla dwóch.

Tytus nie dał sobie powtarzać dwa razy i odwiązawszy Szkapę (wiedział, że ta również ma ochotę poskubać spokojnie trawy), usiadł na murawie, biorąc do rąk grubą pajdę chleba z serem, którą nieznajomy natychmiast mu podał.

– Widzę, że apetyt ci dopisuje. To dobry znak. Przybywasz z daleka?

I tak zaczęli gawędzić. Tytus dowiedział się, że Poldo, bo takie imię nosił karzeł, jest sztukmistrzem w małym cyrku, który zatrzymał się nieopodal.

Chłopiec opowiedział natomiast, jak został sierotą i spotkał znachora Bartłomieja, który zabrał go ze sobą zachwycony jego talentem do wymyślania śmiesznych historyjek.

– I co teraz zamierzasz zrobić? – zapytał Poldo.

– Zastanawiam się, ale na razie doprawdy nie wiem – odpowiedział Tytus.

– Posłuchaj, mam propozycję, na którą chętnie przystaną także inni, również dlatego, że twój wóz mógłby nam się bardzo przydać. Przyłącz się do cyrku. Medicus, nasz zielarz, będzie mógł skorzystać z twoich preparatów, a ja nauczę cię starej sztuki kuglarskiej. Będiesz mógł występować ze mną i jednocześnie wymyślać zabawne scenki. Odniesiemy sukces!

Tytus zastanawiał się przez chwilę... życie wskazywało mu nową drogę: dlaczego z niej nie skorzystać?

– W porządku, zgoda! – i uścisnęli sobie dłonie dla umocnienia zawartej przyjaźni, która nigdy już się nie rozpadnie.

Podczas gdy Poldo zbierał resztki z obiadu, Tytus poszedł zaprząć Szkapę do wozu. Koń stał trochę dalej i wydawał się przyglądać komuś buszującemu w krzakach, chociaż chłopiec był pewien, że nie słyszy najmniejszego hałasu.

Tytus znał dziwne historie o zwierzętach, które w odróżnieniu od człowieka umiały wyczuć obecność istot z nieznanymi światów, i dreszcz przeszedł mu po plecach.

Podszedł do konia i wydało mu się, że wśród leśnych drzew dostrzegł oddalającą się kobietę ubraną w długą błękitną szatę.

– Mamo, to ty? – zawołał odruchowo, ale potem zawstydził się; jego mama umarła wiele lat temu.

– Mówiłeś coś do mnie? – zapytał tymczasem Poldo, który słyszał krzyk Tytusa.

– Nie, nie. Wydawało mi się, że widzę kogoś, ale pewnie to był tylko słoneczny cień między drzewami.

Rzeczywiście, mimo że chłopiec wyteżał wzrok, w lesie nikogo już nie widział.

Tak zaczął się nowy etap w życiu Tytusa.

Cyrk *Trzy serca* – tak nazywała się mała wędrowna trupa, do której należeli, poza karłem-kuglarzem Poldo, również znachor Medicus, uzdrowiacz każdej dolegliwości, i Ignis Wspaniały, połykacz ognia. Towarzysze karła przyjęli naszego chłopca z entuzjazmem, oznajmiając, że od teraz wszyscy tworzyć będą cyrk *Cztery serca*.

Teraz należało nauczyć Tytusa sztuki kuglarskiej.

Tymczasem zyski musiały płynąć i karawana, złożona teraz z dwóch wozów, kontynuowała występy i sprzedaż cudownych eliksirów zdolnych uleczyć każdą przypadłość.

W wolnym czasie Poldo zaczął uczyć Tytusa, jak pod-
rzucać kolorowe kulki i łapać je, wykonując równocześnie
łamańce i piruety.

Początek wyglądał tak tragicznie, że obaj zaczęli oba-
wiać się, iż nawet cud nie zdoła uczynić Tytusa choć
trochę bardziej zwinnym. Powaga, z jaką chłopiec się
angażował, oraz grymasy towarzyszące każdej porażce
podsunęły jednak pewien pomysł Poldo: tak właśnie mógł
wyglądać numer Tytusa! On próbowałby złapać kulki
w locie, a niepowodzenie pozwoliłoby mu zaprezentować
żarty, grymasy i biadolenia.

Na początku żaden z nich nie przypuszczał, że ten
pomysł zakończy się prawdziwym triumfem: Tytus czynił
postępy w roli kuglarza-niezdary. Jego wprawa rosła
i w końcu przerósł nawet swojego mistrza.

Numer Tytusa odnosił coraz większe sukcesy i fama
o zabawnym kuglarzu, wyprzedzając ich, rozchodziła się
z wioski do wioski. Na każdym przedstawieniu ludzie
śmiali się do rozpuku i chętniej kupowali również mi-
kstury Medicusa, zatrzymując się, by ze zdumieniem
popatrzeć na Ignisa Wspaniałego, który wyrzucał długie
ogniste języki.

Był to czas naprawdę szczęśliwy dla naszych przyja-
ciół, którzy zawsze działali zgodnie, nie przepuszczając
żadnej okazji, żeby się pośmiać.

Tymczasem lata mijały i więź łącząca Poldo i Tytusa
umacniała się. U boku przyjaciela, teraz już dojrzałego
mężczyzny, karzeł mniej cierpiał z powodu swojej przy-
padłości, jakby postura Tytusa nadrabiała to, czego jemu
brakowało.

Dwaj przyjaciele spędzali długie godziny, rozmawiając
o życiu, o duszy, o Bogu i o losie każdego z nich. Całe
życie spędzili pośród ludzi, nigdy mury nie oddzielały ich
od trudnej ulicznej rzeczywistości.

Przed ich oczyma przetoczyła się pokaźna część ludzkości, co uczyniło ich mądrymi i wyrozumiałymi; dawali to, co mogli, zatrzymując dla siebie rzeczy niezbędne do życia, i nigdy nie szczędzili sił, dzieląc się radością i uśmiechem.

Ale Poldo szybko posuwał się w latach, a jego drobna postać z coraz większym trudem znosiła trudy tego wędrownego życia. Tytus pracował teraz za dwóch, tak żeby nigdy mu niczego nie brakowało, aż w końcu trzeba było opuścić przyjaciół i zatrzymać się w gospodzie, gdzie Poldo mógł wygodniej odpoczywać.

Tytus wydał wszystkie oszczędności na leczenie przyjaciela, ale to nie wystarczyło, by odwrócić los, i Poldo opuścił ucznia, kiedy ten ścisnął jego rękę opowiadając mu swoje zabawne historyjki.

Śmierć wróciła, by pomieszać szyki, i Tytus zmuszony był znów zacząć od początku. Ale tym razem było trudniej: postarzał się, a zebrane grosze znikwały na jedzenie i opłacenie gospody, w której spał.

Wystarczyło jednak, że zatrzymał się na rogu ulicy, wyciągnął kolorowe kulki z kieszeni, odgrywając jedną ze swoich zabawnych pantomim, a każdy pozostawał pod jej urokiem; również przechodnie zajęci swoimi kłopotami zatrzymywali się i uśmiechali.

Ale wróćmy do początku naszej historii, kiedy to zostawiliśmy Tytusa w melancholijnym nastroju na skraju ulicy.

Czyżby nadeszła chwila nowego wyboru? Ale w jakim kierunku powinien się udać?

Na ulicy lśniącej od deszczu kilka osób minęło go pośpiesznie, rzuciwszy jedynie okiem, ale jeden z przechodniów zatrzymał się tuż przed nim.

– Dobry wieczór! Czy mógłbym w czymś panu pomóc?
– zapytał przyjaźnie męski głos.

Tytus podniósł głowę i zobaczył pochylonego nad sobą zakonnika.

– Może umiecie nadać sens mojemu życiu? – zapytał ponuro.

– Nie znam waszego życia, ale służąc Bogu, ja swojemu nadałem jedyny możliwy sens – jak echo odpowiedział braciszek.

– A czy nie służy się Bogu zadowalając się życiem? – zapytał wtedy Tytus.

– Cóż, jak mi się zdaje, na razie życie postawiło was na mojej drodze. No dobrze, wstańcie i chodźcie zjeść trochę cieplej zupy. Potem o tym porozmawiamy. – To mówiąc zakonnik ujął Tytusa pod ramię i zabrał ze sobą.

Klasztor brata Bartłomieja nie leżał daleko i kiedy tam przybyli, wybiła właśnie godzina kolacji. Tytusa usadzono przy długim stole, a podniesiony na duchu przez ciepłą strawę i trzaskający ogień, pomyślał, że mógłby wykorzystać swój talent, zabawiając nietypową publiczność.

Po czym wyjął z kieszeni kolorowe kulki i zaprezentował jeden ze swoich kuglarskich numerów. Bracia zanosili się od śmiechu, ale też zastanawiali się, czy to miejsce modlitwy i zadumy jest odpowiednie dla kogoś takiego. Tymczasem zrobiło się późno i brat Bartłomiej zapytał Tytusa, czy nie zechciałby zatrzymać się na noc w klasztorze, co uradowało starego kuglarza.

– Byłoby wspaniale – odpowiedział zwyczajnie.

Mijały kolejne dni, a Tytus nadal pozostawał w klasztorze. Kręcił się cicho po krużgankach, pytając to tego to tamtego o ich obowiązki.

Podziwiał zręczność brata Antoniego, który potrafił wydobyć z kościelnych organów piękne melodie ku czci Niepokalanej, wzdychał z zazdrości, czytając rymy ułożone przez brata Abbondio i marzył o obejrzeniu płócien brata Mateusza, który utrwalił na twarzy Maryi tyle dobroci, że aż łzy płynęły z tęsknoty.

Wydawało mu się, że życie tych ludzi miało szlachetny cel, coś, dla czego doprawdy warto było żyć. A jego? Radość, która zawsze przepełniała go bez reszty, teraz jakby się wyczerpała i została tylko pustynia, na której stary Tytus nie mógł znaleźć nic do zaoferowania innym, nawet sobie samemu. Stary kuglarz stawał się coraz bardziej ponury, a bracia w rozmaitych aluzjach wytykali przeorowi jego obecność w klasztorze. Nie było to z pewnością najodpowiedniejsze miejsce dla człowieka, który roztrwonił życie na ulicach, wśród ludzi wszelkiego pokroju.

Pewnego dnia jednak Tytus zmienił postępowanie. Wydawał się bardziej pogodny, a w czasie, kiedy wszyscy oddawali się swoim zajęciom, gdzieś znikał.

To dziwne zachowanie nie pozostało niezauważone, i nietrudno było odkryć, że udawał się do klasztornej kaplicy, gdy tylko była ona pusta.

Bracia pobiegli donieść przełożonemu o tym, co odkryli, i postanowili, że będą śledzić staruszka, by zobaczyć, co też knuje.

I tak, kiedy Tytus znikł ukradkiem, brat Bartłomiej i niektórzy starsi bracia podążyli za nim.

Wszedłszy po cichu do pogrążonego w półmroku małego kościółka, nie zauważyli od razu Tytusa, ale usłyszeli głos dobiegający od ołtarza Maryi. Najświętsza Panna, ubrana w błękitną szatę, trzymała swojego małego Synka na kolanach. Wydawała się obserwować go zatroskana, jakby radość z boskiego macierzyństwa była już osnuta przeczuciem tego, co nastąpi.

Tytus opowiadał Maryi swoje życie, wplatając sytuacje zabawne i groteskowe, które uszom zakonników wydawały się co najmniej mało szacowne. Następnie wyciągnął z kieszeni nieodłączne kolorowe kulki i między jednym żartem a drugim zaczął podrzucać je w powietrzu z werwą, jakiej od dawna nie mógł z siebie wykrzesać. Bracia,

oburzeni, już mieli się rzucić na niego, by położyć kres tej bezwstydney zuchwałości, kiedy powstrzymał ich serdeczny kobiecy śmiech.

W murach kościółka rozbrzmiewały harmonijnie wybuchy śmiechu, serdeczne i szczere jak krystaliczna woda tryskająca z górskiego źródła.

Małe rączki dziecka wesoło biły brawo, a głosik wołał: „Jeszcze, jeszcze!”. Niepokalana we własnej osobie okłaskiwała ten wspaniały pokaz.

Tytus był cały spocony z wysiłku, ale na jego twarzy malowało się niczym nie zmaćcone szczęście. Uniósł jedną rękę do serca i osunął się szepcząc:

– Jesteś ze mnie zadowolona, mammo?



Święty Teodor i pokora

Legenda bizantyjska

Opowiadają, że świętego Teodora, prześladowanego przez szatana, po wielokroć nękały demony. Dręczyły go zwłaszcza w czasie przeznaczonym na modlitwę.

Pewnego dnia wyznał swojemu kierownikowi duchowemu, że widział szatana przebranego za świetlistego anioła, który go zwodził tymi słowami:

– Lubię ambitnych: będą moją własnością! Jesteś ambitny i dlatego zabiorę cię do siebie!

Pograżony w ciemnościach lęku i rozpacz, zawołał:

– Panie, widzisz, że demony nie pozwalają mi się modlić. Powiedz, co zrobić, żeby poszły precz ode mnie.

Pan mu odpowiedział:

– Demony nie przestają nękać dusz wyniosłych.

Święty Teodor na kolanach błagał:

– Panie, powiedz mi: jakie myśli oddalą ode mnie złego ducha i oświecą moją duszę?

Pan w swojej nieskończonej cierpliwości pouczył go:

– Kiedy przyjdzie do ciebie szatan, powiedz mu: „Jestem najgorszym ze wszystkich!”

Od tego dnia Teodor zaczął tak czynić i całe jego jestestwo znalazło pokój w Bogu.



Święty Antoni Padewski i ryby

Z Kwiatków świętego Franciszka

Święty Antoni w młodym wieku wstąpił do kanoników regularnych św. Augustyna, ale potem postanowił przejść do zakonu franciszkańskiego, który uważał za bardziej odpowiedni dla swojej natury pokornej i cichej. Jednak siła i głębia jego nauczania niosły go to tu to tam po Italii z orędziem Ewangelii, a wraz z tymi podróżami zaczęła rozchodzić się także wieść o jego pierwszych cudach.

Pewnego dnia Pan, chcąc pokazać wielką świętość swego wiernego franciszkanina, a także dać lekcję mieszkańcom Rimini, obojętnym na jego kazania, wysłał go na brzeg morza, u ujścia rzeki, i tam, z natchnienia Bożego, św. Antoni zaczął nauczać ryby.

– Słuchajcie Słowa Bożego, wy, ryby morskie i rzeczne, skoro niewierni i heretycy z tego miasta słuchać go nie chcą!

A ledwie zaczął mówić, natychmiast nadciągnęło do brzegu takie mnóstwo ryb – od malutkich sardeli po wielkie tuńczyki – jakiego nigdy na całym Adriatyku ani w tej rzece tak wesoło pluskającego nie widziano; wszystkie trzymały oczka i skrzela na grzbiecie fal, nie bojąc się niczego, a tylko spokojnie i uważnie słów świętego słuchając. Bliżej brzegu zajęły miejsce najmniejsze rybki, potem średnie, a dalej, gdzie woda była głębsza, umiejscowiły się ryby duże i morskie potwory.

Święty Antoni zwrócił się do nich uroczystym tonem:

– Moje drogie siostry i bracia, przybyliście licznie, zgodnie z wolą Bożą, by podziękować waszemu Stwórcy, który dał wam za mieszkanie żywioł nieskazitelny, przejrzysty. Macie wody słodkie i słone, które chronią was przed trzęsieniem ziemi i burzą, w nich znajdujecie pokarm i schronienie; w dniu waszego stworzenia Wszechmogący pobłogosławił wam i polecił rozmnażać się, tak byście zamieszkiwały rzeki, jeziora i morza. W dniach powszechnego potopu, kiedy inne zwierzęta umierały, tylko was Bóg ocalił i uchronił od wszelkiej szkody. Jednej z was dane było ocalić proroka Jonasza. Tylko wy dostąpiłyście przywileju rozmnożenia, jako pokarm pobłogosławiony przez Pana naszego Jezusa Chrystusa dla tłumów zmęczonych i głodnych.

Na te oraz inne słowa ryby zaczęły ze czcią pochyłać główki, chwając Boga; a pluszcząc i skacząc, pieniały łagodnie te wody błękitne i kryształowe.

Wówczas Antoni, poruszony ich czcią dla Stwórcy, uradował się i wzruszył postawą tych niemych stworzeń, które rozumiały dużo więcej od ludzi o twardym karku. A im dłużej święty Antoni nauczał, tym bardziej rósł zastęp zgromadzonych ryb, a żadna pływająca istota nie oddalała się od tych błogosławionych brzegów.

Niektórzy rybacy, będący świadkami tej sceny, w wielkim pośpiechu roznieśli wiadomość o cudzie i tak wkrótce nadbiegła na to miejsce duża liczba osób.

Na widok tej wodnej fauny wszelkiego gatunku i wielkości, która słuchała uważnie słów kaznodziei, mieszkańcy Rimini upadli na kolana, by prosić o przebaczenie.

Na zakończenie kazania również wielu heretyków z tych stron nawróciło się na wiarę katolicką, tak szlachetnie głoszoną przez tego świętego brata.

Historia Prawego i Lewego

Legenda średniowieczna

Pewnego razu były sobie dwa sandały, bracia-bliźniacy, jeden zwał się Prawy, a drugi Lewy.

Żaliły się między sobą, bo ani trochę nie zachwycił ich fakt, że kupił je pewien rybak. Wolałyby, czy ja wiem, uczonego pisarza, szacownego kupca, czyli kogokolwiek innego, byle nie rybaka.

Kiedy zostały wybrane w sklepie szewca Zachariasza, od razu zobaczyły oczami wyobraźni swoją przyszłość, zawsze mokro, wśród plusku śmierdzących ryb i sieci pełnych alg.

A jednak właśnie taki los przypadł im w udziale, połączyło je wspólne przeznaczenie, najnędzniejsze, jakie można było sobie wyobrazić.

Prawy, mądrzejszy, próbował pocieszyć brata:

– Nigdy nie wiadomo – mówił mu. – Kto może z góry powiedzieć, na ile dzisiejsza niedola jutro wyjdzie na lepsze?

– Cicho bądź, nie wiesz, co mówisz! – odpowiedział Lewy, zawsze gotów do zwady.

Nowy właściciel nazywał się Szymon i on także miał całkiem porywczy charakter, zawsze krzyczał z łodzi i wśród nadbrzeżnych kamieni.

Sprzecзка tu i utarczka tam, dwa sandały znalazły się w krótkim czasie w opłakanym stanie, ale teraz wy-

dawało im się, że są częścią tych stóp, które potrzeba uczyniła nieustrudzonymi.

Czy sandały mogły pogodzić się z nieuchronnym losem i zająć się gorliwą ochroną tych dwu stóp? Tak, mogły to uczynić. Co więcej, nasi bracia wypełniali swoje zadanie z powagą i starannością.

A musiały być dobrze chronione te stopy, zwłaszcza gdy przemieniły się w stopy wędrowca. Tak więc już nie ryby, ale drogę i kurz dzieliły z tym tajemniczym i fascynującym Człowiekiem, który nagle pojawił się w życiu ich pana i który swoimi niezwykłymi historiami, a mogły ich słuchać bez końca, umiał nadać każdemu wydarzeniu magiczne znaczenie.

Również miniony dzień był taki ekscytujący!

Nie żeby mogły zrozumieć dobrze, co się stało – zajęte jak zwykle bieganiem w tę i z powrotem i rozdawaniem chleba i ryb, które jakby same rozmnażały się w koszach – ale z pewnością wydarzyło się coś cudownego.

Szymon i jego przyjaciele właśnie o tym rozprawiali, a dwa sandały nie pozwalały umknąć z tego ani słowu.

Były wyczerpane, ale w końcu mogły odpocząć, nie obawiając się nowych zadań, ponieważ na łodzi, jak wiadomo, nie ma miejsca na dłuższe spacery!

Jednak Człowieka od niezwykłych historii nie było: słyszały jak mówił, że chciał zostać sam aż do wieczora.

Dwa sandały były zaintrygowane tym nieoczekiwanym pragnieniem samotności: może był po prostu zmęczony, a może każdy cud kosztował Go tak dużo wysiłku, że potrzebował przyjść do siebie, aby odzyskać to, co dał.

Jak zwykle, Prawy i Lewy sprzeczały się właśnie o znaczenie tego faktu, kiedy nagle zerwał się silny wiatr. Łódź cała się trzęsła, jakby muskana czarodziejską różdżką.

Wtedy też uwagę wszystkich przyciągnęła zbliżająca się ludzka postać. Ale jak to było możliwe, skoro wokół nich była tylko woda?

Ale zamęt! Ludzki strach tak je opanował, że zapominając o tym, iż są parą sandałów, pomyślały od razu o pojawieniu się ducha.

Ale potem wszyscy usłyszeli Jego uspokajający głos. Był to właśnie ich towarzysz podróży, który – nie do wiary! – spacerował po wodzie!

Ponad nimi Szymon patrzył osłupiały. Co dokładnie przyszło mu w tej chwili do głowy, nie wiadomo, pewne jest natomiast, że poprosił przyjaciela, by mógł przyjść do Niego po tej wodnej drodze.

Wtedy też dwa sandały uświadomiły sobie, co może je spotkać, skoro niechcący zostały wciągnięte w nieprawdopodobną przygodę.

Popatrzyły na siebie i roześmiały się szczęśliwe, w końcu zgodne.

Ten wyjątkowy Człowiek na chwilę uczynił je podobnymi do siebie, silniejszymi od jakiegokolwiek prawa, panami własnej woli, synami Kogoś, kto nigdy nie odmawia temu, kto prawdziwie Mu się powierza.

I choć wydaje się to nieprawdopodobne, dwa sandały szły po wodzie, podczas gdy Szymon, zląkwszy się, o mało nie utonął.



Ramiona świętego Krzysztofa

Ze Złotej legendy

Król kananejski miał wśród swoich sług młodzieńca tak wysokiego i silnego, że wydawał się olbrzymem, który zstąpił z gór. Na imię mu było Krzysztof i od dziecka służył królowi z wielkim oddaniem i miłością. Był to człowiek z granitu, i choć był z niego kawał chłopca, nie budził lęku, wręcz przeciwnie, odgłos jego śmiechu i sposób bycia, prosty, ale szczery i serdeczny, budziły sympatię. Powiadają, że równie wielki jak on sam był jego apetyt, ale przewyższała wszystko jego naturalna dobroć i pragnienie bycia pomocnym królowi i innym. Każdy, kto prosił go o pomoc w jakiejś pracy, mógł liczyć na jego potężne ramiona, które wydawały się dwiema skałami z pustyni Kumran.

Śmierć króla głęboko dotknęła Krzysztofa, a ponieważ jedyne co umiał robić, to służyć, postanowił udać się na poszukiwanie króla największego i najpotężniejszego na świecie, by zaciągnąć się do niego na służbę.

Szukał i szukał, aż znalazł się w dalekim kraju, gdzie jak mówiono, panował król najpotężniejszy na świecie, król, który nie miał równych sobie w bogactwie, wspaniałości i szlachetności. Kiedy Krzysztof przybył na dwór i prosił o przyjęcie na służbę, król pod wrażeniem tego łagodnego i usłużnego herkulesa chętnie go przyjął.

Pewnego dnia, podczas uczyty w pałacu, Krzysztof usłyszał, jak błazen śpiewał dziwną pieśń, która wspo-

minała wiele razy diabła. Król, który był wiernym chrześcijaninem, kiedy słyszał o diable, natychmiast czynił znak krzyża i spoglądał ku niebu. Krzysztof, zaciekawiony, zapytał króla:

– Dlaczego czynisz ten gest?

– Co to za pytanie, Krzysztofie? – zganił go król. – Jesteś sługą i nie masz prawa pytać o to, czego nie dane jest ci wiedzieć.

– Jeśli mi nie odpowiesz, odejdę z twojego dworu i nie będę dłużej ci służył.

Wtedy król, nie chcąc utracić tego silnego i wiernego sługi, powiedział:

– Za każdym razem, kiedy słyszę imię diabła, ciarki przebiegają mi po plecach; dlatego bronię się, czyniąc znak krzyża, by moc Złego nie mogła mi zaszkodzić i zapanować nade mną.

Dobroduszny Krzysztof przez chwilę milczał, a potem powiedział:

– Jeżeli boisz się, że diabeł może ci zaszkodzić, to znaczy, że on jest potężniejszy od ciebie. Tym samym ja nie robię tego, co zamierzałem, gdyż sądziłem, że znalazłem władcę największego i najpotężniejszego na ziemi. Wasza wysokość, proszę o wybaczenie, ale chcę iść w świat na poszukiwanie króla mocniejszego i potężniejszego i jemu chcę służyć.

I tak Krzysztof wyruszył na poszukiwanie diabła. Przemierzał równiny, pustynie i góry, aż pewnego dnia, w ciemnym i wyludnionym lesie, zobaczył nadjeżdżający galopem mały oddział jeźdźców. Owinięci w upiornie czarne płaszcze, wyglądali jak nietoperze na koniach. Mieli opuszczone kaptury, tak że twarze ich były zakryte.

Jeden z jeźdźców zbliżył się niebezpiecznie i huknął przeraźliwie:

– Dokąd zmierzasz, cudzoziemcze?

Krzysztof odpowiedział:

– Szukam diabła, gdyż chcę, żeby został moim panem i władcą.

Rycerz zdjął kaptur i powiedział:

– Ja jestem tym, którego szukasz.

Widok był straszliwy: czarny kaptur odkrył twarz podobną do kozła. Potworny rycerz miał rozżarzone węgle zamiast oczu, a z nosa wychodziły ogniste języki.

Krzysztof, nie czując bynajmniej strachu, ze zwykłą łagodnością i nieśmiałością ucieszył się ze znalezienia króla, którego szukał, i oddał się na służbę panu zła.

Po opuszczeniu lasu, podążając długą prostą drogą natrafili na krzyż, który wznosił się majestatycznie dokładnie pośrodku traktu. Diabeł, przestraszony, puścił konia galopem i zboczył z szerokiej i równej drogi na boczne dróżki. Przekraczali spadziste masywy i nieprzyjazne góry, schodzili przez strome górskie przełęcze i skaliste urwiska.

Po długiej wędrówce w górę i w dół wrócili na główną drogę, którą jechali wcześniej, w miejscu niezbyt odległym od tego, w którym ją opuścili.

Wtedy Krzysztof, zdumiony tą absurdalną przeprawą, zapytał:

– Skąd ten strach? Poprowadziłeś mnie z wielkim trudem przez góry i urwiska, a teraz wróciliśmy na tę samą drogę...

Diabeł milczał.

– Jeśli nie powiesz mi, czego tak się obawiasz, opuszczę cię i przestanę być twoim sługą.

– Jeden taki, którego nazywano Chrystusem – wyznał diabeł – został przybity do krzyża i kiedy jakiś widzę, nie mogę znieść jego widoku. Ogarnia mnie przerażenie i pozostaje mi tylko ucieczka.

Krzysztof rozmyślał chwilę w milczeniu, po czym powiedział:

– Jeśli boisz się Chrystusa tak bardzo, że lękiem napawa cię sam znak Jego krzyża, to na próżno byłem twoim sługą, gdyż ten Pan jest z pewnością większy i potężniejszy od ciebie.

Dobry sługa opuścił na zawsze diabła i na nowo podjął swoją pielgrzymkę w nadziei odnalezienia pewnego dnia Chrystusa Pana.

Po długiej wędrówce dotarł do chaty pewnego pustelnika, który opowiedział mu o Jezusie Chrystusie i pouczył dokładnie o Jego męce, śmierci i zmartwychwstaniu.

Krzysztof zapytał pustelnika:

– Jak mogę służyć temu dobremu i potężnemu Królowi, Panu życia i śmierci?

– Ten Król, któremu chcesz służyć, wymaga od ciebie postu pokutnego – powiedział pustelnik.

Krzysztof westchnął:

– Jestem gotów podjąć się każdej posługi dla Króla królów, ale post jest czymś, czego po prostu nie mogę uczynić. Jak inaczej mogę służyć Chrystusowi Panu?

Pustelnik nalegał:

– Zatem dużo się módl.

– Mój drogi pustelniku – zaprotestował Krzysztof – ja doprawdy chcę służyć Chrystusowi, ale czy to możliwe, żeby On wymagał ode mnie rzeczy, na których w ogóle się nie znam? Czymże są te modlitwy? Nie wydaje mi się, bym umiał wypełnić takie posługi.

Pustelnik uśmiechnął się i powiedział:

– Widzisz tę rzekę tam w dole? Wielu próbując ją przebyć, utonęło, gdyż jest dość głęboka. Ty jesteś wysoki i silny jak cyklop; jeśli zechciałbyś osiedlić się w miejscu, gdzie rzeka jest najpłytsza, i pomagać tym, którzy będą chcieli się przepłynąć na drugi brzeg, uczynisz z pewnością coś miłego Chrystusowi królowi.

– To jest posługa, którą mogę podjąć! – zawołał Krzysztof. – Obiecuję, że od dziś będę ją pilnie wykonywał.

Udał się zadowolony nad rzekę i tam zamieszkał w niewielkiej chacie. Wszyscy, którzy chcieli się przeprawić, chwyтали go za szyję, a on dźwigając ich na plecach, wsparty na długim kiju, przenosił podróżnych na przeciwny brzeg.

Pewnej nocy, kiedy odpoczywał w swoim skromnym schronieniu, usłyszał łagodny i ledwie dosłyszalny głos, który go wołał:

– Krzysztofie, wyjdź i pomóż mi przekroczyć rzekę.

Krzysztof natychmiast wyszedł, lecz nie widząc, kto go woła, wrócił do chaty.

Po jakimś czasie usłyszał ponownie ten sam cienki głosik, prawie dziecięcy, który go wzywał.

Wyszedł na zewnątrz, ale nie dostrzegł żywej duszy. Ledwie wrócił na swoje posłanie, został wywołany po raz trzeci.

Wyszedszy z chaty dostrzegł w ciemności kształt dziecka, niewidocznego prawie za krzakiem, które ciągnęło go za tunikę i prosiło o pomoc w przebyciu rzeki. Krzysztof podniósł chłopca i wsadził sobie okrakiem na ramiona, chwycił żerdź i wszedł do rzeki. Kiedy obserwował prąd, a woda powoli wzbierała, czuł, że dziecko ciąży mu na plecach jak ołów; im dalej się posuwał, tym woda stawiała się wyższa, a chłopiec coraz cięższy. Krzysztof pomyślał, że nie da rady; obawiał się upadku, który mógłby okazać się fatalny zarówno dla niego, jak i dla dziecka.

Z trudem udało mu się dotrzeć na drugi brzeg rzeki i wyczerpany postawił chłopca na ziemi.

– Dziwny z ciebie pędrak – spojrzał na niego z pytającą miną. – Wystawiłeś mnie na duże niebezpieczeństwo. Gdybyś wiedział, jaki byłeś ciężki! Wydawało mi się, że mam na plecach ciężar całego świata!

Dziecko odpowiedziało:

– Nie dziw się, Krzysztofie: niosłeś na ramionach Tego, który wziął na siebie wszystkie grzechy świata. Ja jestem

Chrystus. Ja jestem Królem, dla którego znosiłeś ten trud. A żebyś wiedział, że mówię prawdę, słuchaj mnie uważnie: kiedy wrócisz na tamten brzeg, weź twój kij i zasadź go w ziemi obok chatki; jutro rano zobaczysz, że wypuści gałęzie z liśćmi, na których znajdziesz kwiaty i owoce.

Co powiedziawszy, chłopiec znikł.

Dobry przewoźnik wrócił na przeciwległy brzeg rzeki i zasadził w ziemi swój kij. Nazajutrz rano, kiedy wstał, znalazł cudowne drzewo pełne kwiatów i owoców.

Krzysztof był szczęśliwy, że może służyć Królowi największemu i najpotężniejszemu na świecie, i wyruszył w kierunku odległych krain, by nawracać niewiernych.



Lato świętego Marcina

Ze Złotej legendy

Marcin był dzielnym żołnierzem rzymskim. W jego sercu zdomowała się żarliwa i niezłomna miłość: dlatego Pan zechciał powołać go do swojej służby. Na widok biedy lub cierpienia bliźniego, współczucie przepępniało Marcina do tego stopnia, że zapominał o obowiązkach, otrzymanych rozkazach, i spieszył z pomocą potrzebującemu.

Pewnego szczególnie mroźnego dnia spotkał zziębniętego żebraka. Bez wahania wydobył miecz z pochwy, jednym zdecydowanym ruchem przeciął wojskowy płaszcz i połowę podarował biedakowi. Nagle zachmurzone niebo wypogodziło się i wyrzało promieniste ranne słońce, by ogrzać świat.

W nocy Marcin zobaczył we śnie samego Jezusa przyodzianego w oddaną połowę płaszcza, i zrozumiał wezwanie. Przyjął chrzest i poprosił o zwolnienie z wojska, mówiąc:

– Jestem żołnierzem Chrystusa: nie mogę toczyć wojen.

Przez dłuższy czas mieszkał u pewnego pustelnika nieopodal Mediolanu, na wyspie Gallinara, naprzeciwko Albenga: modlił się i czynił pokutę. Biskup Poitier, Hilary, zadbał o jego wykształcenie i udzielił mu święceń kapłańskich. Głosem ludu wybrany na biskupa Tours, założył pierwsze w Galii klasztory i krzewił wśród tych barbarzyńskich i pogańskich ludów dobrą nowinę Ewangelii.

Jednak nawet jako biskup, na widok człowieka ubo-
giego Marcin tracił głowę, a jego serce biło jak szalone
z miłości i wzruszenia.

Pewnego dnia, kiedy szedł do kościoła, by odprawić
Mszę, zauważył, że podąża za nim jakiś biedak, półnagi
i skostniały z zimna. Marcin polecił swojemu arcydiako-
nowi zakupić prędko i podarować mu niezbędną odzież.
Ponieważ tamten nie nadchodził i zaczynał padać śnieg,
Marcin nie mógł dłużej znieść widoku biedaka trzęsącego
się z zimna na jego oczach. Nie zastanawiając się długo,
zdział swoją tunikę i podarował ją nieszczęśnikowi, który
odszedł wielbiąc Boga.

Tymczasem arcydiakon wrócił sapiąc ze zmęczenia
z koszuliną w dłoniach; to wszystko, co udało mu się
znaleźć za kilka groszy. Marcin przywdział pośpiesznie
koszulę, która sięgała mu zaledwie do kolan, i udał się
do ołtarza.

W czasie podniesienia wierni widzieli podobno ognistą
kulę, zstępującą z nieba. A płomieniste języki otuliły ciało
Marcina, jakby chciały go osłonić i rozgrzać. Jego oczy
błyszczały jak rozżarzone węgle, a jego twarz była jaś-
niejsza od słońca. Oślepiające światło otoczyło ołtarz i na-
wę kościoła. Marcin był zanurzony w ogniu Ducha Świę-
tego, a obecni mieli wrażenie, że święty, uśmiechając się,
rozmawia z samym Bogiem.

Kościół był wilgotny, a mróz tamował oddech; wierni
uczestniczyli we Mszy opatuleni w grube futra.

Marcin, okryty ledwie cienką koszuliną, powinien był
zamarznąć, ale Duch Święty ogarnął jego członki i jego
serce, i w tej właśnie chwili poczuł, że znalazł się w raju
i może zakosztować przedsmaku ciepłego i przejmującego
uścisku Boga.



Cel drogi

Stara legenda syryjsko-palestyńska

Pewnego dnia Piotr i Jezus zatrzymali się dłużej niż zwykle w cieniu rozłożystej, sękatej oliwki.

Piotr drzemał, a Jezus wydawał się cieszyć tą spokojną chwilą.

Kiedy odchodzili, Nauczyciel, zamiast pójść drogą, która prowadziła do najbliższej wioski, podążył ocienioną dróżką biegnącą wzdłuż długiego zniszczonego muru, za którym pasło się leniwie kilka kóz.

– Dokąd idziemy? – zapytał zdziwiony Piotr.

– Czy to ważne? Chodźmy, a wędrując, podziwiamy to, co nas otacza.

– Ale ja chciałbym wiedzieć, dokąd idziemy – odparł apostoł.

– Dlaczego musisz wiedzieć, dokąd zmierzasz?

– Żeby wiedzieć, kiedy dotrę do celu. – Piotrowi wydawało się to takie oczywiste!

– Dobrze, odpowiem na twoje pytanie. Idziemy dokładnie tam, gdzie jesteśmy teraz.

Piotr poczuł się zdezorientowany:

– A zatem, zatrzymajmy się – powiedział.

– Nie – ciągnął Jezus – gdyż idziemy właśnie tam, gdzie jesteśmy teraz przez całe nasze życie.



Błędna odpowiedź

Stara legenda syryjska

Jezus często oddalał się z apostołami, by udzielić im szczególnych pouczeń.

Pewnego wieczoru, po tym, jak mówił im o Opatrzności i bezinteresowności Bożej, milczał przez jakiś czas wsłuchując się w szelest wiatru w trawie. Po czym nagle spojrzał na nich i zapytał:

– Jeśli mielibyście wypowiedzieć życzenie, które mogłoby natychmiast zostać wysłuchane, o co byście poprosili?

Apostołowie zastanawiali się przez chwilę, potem po kolei odpowiedzieli.

- Ja o wiedzę.
- Ja o mądrość.
- O Twój sposób widzenia rzeczy.
- O władzę.
- O to, jak cieszyć się dobrym zdrowiem.
- O bogactwo, żeby nakarmić biednych.
- O umiejętność wielbienia Boga.
- O zdolność czynienia cudów, by nawrócić niedowiarków.
- O dar sprawiedliwego sądu.

Kiedy już każdy wypowiedział swoje życzenie, wszyscy razem zapytali:

- A ty, Nauczycielu, o co byś prosił?

Jezus uśmiechnął się i odpowiedział:

– Po prostu o to, żebym był nauczycielem zdolnym nauczyć was czegoś.

Zdumieni tą odpowiedzią, apostołowie zawołali:

– Ależ już nim jesteś!

– Słyszając to wszystko, o co prosiliście, trudno byłoby to powiedzieć – odpowiedział Jezus.



Miłość bez pytań

Opowiadanie ludowe z XVI wieku

Do czego może służyć zwykłe łóżko? Do odpoczywania, do spania. Łóżko, bohater naszej historii, otrzymało zadanie znacznie bardziej bolesne: gościło ciało chorego.

A robiło to troskliwie, próbując, na ile to możliwe, przynajmniej częściowo ulżyć cierpieniom tego człowieka, który widział, jak życie mija, a on nie może się nim cieszyć. Był sparaliżowany od wielu lat, właściwie przez całe życie. Łóżko odkształciło się już nawet, przybierając formę jego ciała, myślało jego myślami i śniło jego sny.

Przez długi czas rozklekotane łóżko i jego gość pozostawali opuszczeni w rogu domu, na uboczu, jakby mieszkańcy nie chcieli, żeby im przeszkadzał nawet sam widok chorego.

A oni nie chcieli przeszkadzać. Cisi i ulegli, przebywali najczęściej w wyjątkowym świecie fantazji, próbując wyobrazić sobie egzystencję złożoną z kroków, ulic, ciągle nowych spotkań.

Ich życie uległo nagłej zmianie, kiedy ktoś zatrzymał się w małym domku na pogawędkę i opowiedział o tajemniczej sadzawce Betesda w Jerozolimie, której wody, poruszone po przejściu anioła, miały moc uzdrawiania każdej przypadłości.

Ile radości może wnieść nadzieja! Nagle w umyśle rodzi się pewność, że jutro coś się zdarzy.

Tak więc łóżko i chory zostali przeniesieni pod jeden z pięciu portyków otaczających sadzawkę z cudowną wodą.

Gdy tylko ich ustawiono i zostali sami, zaczęli rozglądać się dokoła. Łóżko, które potrafiło już porozumiewać się z człowiekiem za pomocą specjalnego języka, natychmiast spostrzegło, że czar nadziei powoli znika.

Portyki wypełniało cierpienie. Każdy miał swoje, każdy rozumiał swoje, każdy zamykał się w swoim świecie bólu.

Ciało ludzkie uczyniło z tego miejsca namacalny znak swojej niedoskonałości i słabości.

Dni mijały i wszyscy wyczekiwali przejścia anioła, który marszcząc wodę uderzeniem skrzydeł, czynił ją cudowną. Tylko jedna osoba zostanie uzdrowiona, tylko ten, kto jako pierwszy zanurzy się w sadzawce po przejściu tajemniczej istoty.

Oczekiwanie sprawiło, że dni były jeszcze dłuższe, a noce nie do zniesienia. Na nic zdawały się wysiłki łóżka, żeby stać się możliwie najbardziej przytulnym, i smutna myśl zaczęła rodzić się w jego wnętrzu: może całe życie tego człowieka okaże się bezużyteczne, jeżeli nie uda mu się nadać sensu własnemu cierpieniu.

I anioł poruszył wodę jeden, dwa, trzy razy... ale czas mijał, a nikt nie baczył na paralityka. Wszyscy pędzili do wody, jak kto mógł, głusi na żałosne nawoływania tych, co nie mogli się ruszać.

Aż w końcu przyszła rezygnacja. Trwali tam, łóżko i jego chory, obserwując, jak ból budzi zazdrość o siebie samego i czyni nieczułym na wszystko dokoła. Było im tylko żal tych ludzi, nie prosili już o nic dla siebie.

Ale życie może zaskoczyć na tysiąc sposobów właśnie tych, którzy niczego się już nie spodziewają. Może się zdarzyć, że samo cię odnajdzie i zaprosi, byś ponownie zaczął chodzić. I tak pewnego dnia jakiś Człowiek zbliżył się i skierował wzrok pełen miłości na to biedne ciało zeszywniałe w swoim łóżku.

Na imię było mu Jezus, Jego krok był lekki, ale ślad pozostał niezatarty. Czy zbieg okoliczności przywiódł Go tutaj? Czy to cud wypływający z miłości postawił na nogi paralityka? Czy może potężny przebłysk litości bądź nie-pohamowany odruch miłosierdzia? Łóżko nie pytało. Przyjęcie gestu miłości nie przewiduje pytań.



Cud Panny Maryi

Z Księgi Rycerskiej (XV wiek)

Na Sycylii, w prowincji Tortosa, żył wiele lat temu człowiek imieniem Teofil, wikariusz biskupi. Był to człowiek wielkiej uczciwości i dobroci, wrażliwy na potrzeby słabych, hojny dla biednych.

Zawsze uprzejmy, cieszył się tak wielkim uznaniem wśród ludu, że ten po śmierci biskupa wybrał go na jego następcę.

Po oficjalnym wyborze wysłano list do arcybiskupa, prosząc o zatwierdzenie elekcji.

Arcybiskup, otrzymawszy wyraźne świadectwo prawości Teofila, uczynił zadość woli ludu i ratyfikował wybór. Ale Teofil, pokorny i nieśmiały, nie czuł się na siłach, by sprostać tej wzniosłej posłudze, i odmówił.

Został zatem wybrany inny biskup, który na prośbę kilku zawistnych osób odebrał Teofilowi godność biskupiego wikarego i pozbawił go wszystkich przywilejów, z jakich do tej pory korzystał.

Teofil był człowiekiem cierpliwym i początkowo zaakceptował ochoczo nową sytuację. Ale kiedy zobaczył, że zastąpił go człowiek nikczemny i przewrotny, zaczął żałować własnej odmowy i ogarnęło go głębokie rozgoryczenie.

Tym sposobem diabeł – który nie przepuszcza nigdy żadnej okazji, by wykorzystać chwilę słabości i wprowadzić świątobliwą duszę w stan zamętu – zasiał w sercu i wy-

obraźni Teofila wstyd z powodu odsunięcia od pełnionych wcześniej obowiązków oraz żal za utraconym prestiżem i zaszczytami, do których zdążył się już przyzwyczaić.

Teofil zaczął analizować. Wkrótce wszystkie jego myśli ukierunkowane były na obmyślenie sposobu, jak odzyskać to, co zostało mu odebrane.

Udał się zatem do pewnego żydowskiego wróżbity, wprawionego w sztukach magicznych i w zaklinaniu diabłów. Opowiedział mu o doznanym afrontie oraz stratach, jakie poniósł ze strony nowego biskupa, prosząc jednocześnie o pomoc i radę.

– Wróć do domu niezauważony – odpowiedział wróżbiarz – tak żeby nikt się nie dowiedział, żeś był u mnie. Tej nocy wrócisz tu, a ja cię zaprowadzę do mości Lucyfera, mojego władcy, wtedy będziesz mógł prosić go, o co zechcesz.

Teofil pożegnał się, a kilka godzin oczekiwania wydało mu się latami.

Kiedy wybiła ustalona godzina, w środku nocy, Teofil wrócił do wróżbity, który go zaprowadził do groty za miastem. Kiedy tak szli, długą kamienistą ścieżką prowadzącą do jaskini, wróżbita bez przerwy pouczał Teofila, że nie powinien obawiać się tego, co zobaczy, a przede wszystkim w żadnym wypadku czynić znaku krzyża.

Kiedy dotarli do ciemnej pieczary, wróżbita zaczął zaklinać demony. I oto już wkrótce nadciągnął w procesyjnym szyku zastęp czarnych rycerzy okrytych upiornymi płaszczami, opadającymi aż do stóp. Wydawało się, że jest to królewski orszak szlachciców. Miejsce w środku grupy zajmował Książę Ciemności, który po zakończeniu ponurego przemarszu zasiadł na tronie wykutym w skale.

Wtedy wróżbita wziął za rękę Teofila i zaciągnął przed ten trybunał Złego Ducha.

– Panie – powiedział z wielkim szacunkiem – przyprowadziłem wam tego człowieka, który mówi, że spotkała

go ze strony biskupa wielka niesprawiedliwość. Powierzam wam go i błagam, byście mu pomogli, czyniąc to, o co poprosi.

– A jakież to pomocy miałbym udzielić temu nie-
szczęśnikowi, który służy Bogu? – zapytał trochę podirytowany Lucyfer. – Ci chrześcijanie są doprawdy bezczelni! – zaprotestował prychając. – Wielbią Boga, Niepokalaną i Świętych licznymi modlitwami, ale potem, kiedy są w potrzebie, przychodzą do mnie! A otrzymawszy od wyżej wspomnianego to, czego chcieli, szydą ze mnie i wracają do Jezusa Chrystusa, który, zawsze uступliwy i miłosierny, przebacza im! A ja zostaję na lodzie!

Mości Lucyfer kontynuował swój wywód, wyjaśniając, że teraz zasady uległy zmianie. Był zmęczony ciągłym zwodzeniem przez chrześcijan, którzy prosili o różne czary! Teraz wymagał, by nie tylko wyparli się Boga, Jezusa, Niepokalanej i Świętych, i na kolanach adorowali jego, ale żeby własnoręcznie podpisali sporządzony kontrakt, w którym potwierdzają wyparcie się swojej wiary i uroczystie zobowiązują się służyć odtąd Belzebubowi.

Biedny Teofil, zdjęty strachem i zagubiony, ukląkł i ucałował stopy szatana, po czym drżącym głosem wyparł się Boga, Syna i Jego Matki Niepokalanej Maryi, a w końcu niepewną dłonią podpisał świstek papieru, na którym obiecywał własną duszę Diabłu.

Na zakończenie Lucyfer powiedział:

– A teraz precz stąd! Jutro sprawię, że spełni się to, o co mnie prosiłeś.

I czarne grono dworzan Złego Ducha znikło im z oczu.

Następnego dnia, za sprawą Diabła, biskup przyjął Teofila z wielką pompą i przywrócił mu wikariat w czasie uroczystej ceremonii w obecności duchowieństwa i wobec całego ludu.

Po jakimś czasie Teofil przyszedł do siebie i ogarnęły go wyrzuty sumienia. Lęk i niepokój sprawiały, że w nocy

nie mógł oka zmrużyć. Płakał w samotności, powtarzając w sercu: „O, ja nieszczęsny, cóżem uczynił? O, ja nieszczęśliwy, dokąd pójdę, dokąd ucieknę? Jak mogłem wyprzeć się dobrego Boga i jego Matki, chwalebnej Panny Maryi? Jak śmiałem stać się niewolnikiem Diabła i zostawić mu jeszcze deklarację spisana moją dłonią? Biada mi! Co ja teraz pocznę? Do kogóż pójdę prosić o pomoc i radę? I co odpowiem sędziemu w dniu ostatecznym?”.

W końcu przepełniony goryczą, lecz ponownie natchniony przez Boga, powiedział sam do siebie: „To prawda, splamiłem się tym strasznym występkiem przeciw Bogu i przeciwko Niepokalanej, jednak wiem, że błogosławiona Matka Boża jest także matką miłosierną; Ona kocha swoje dzieci, nawet jeżeli są grzesznikami; udam się zatem do Jej kościoła i będę trwał tam na kolanach, płacząc i modląc się, aż ulituje się nade mną”.

Wszedł do kościoła i spędził w nim czterdzieści dni i czterdzieści nocy, poszcząc, płacząc i błagając o miłosierdzie. Po czterdziestu dniach ukazała mu się Najświętsza Panna Maryja i zwróciła się do niego tymi słowami:

– Jak śmiesz prosić o miłosierdzie po tym, jak wyparłeś się mnie i mojego Syna? Zniewagę, jakiej dopuściłeś się względem mnie, mogę znieść, ale moje serce matczyne nie może ścierpieć obrazy wyrządzonej mojemu ukochanemu Synowi, który już cierpiał z powodu obelg i podłości ludzkiej, będąc bez winy. Ja wybaczam grzech, jaki popełniłeś przeciwko mnie, ponieważ kocham jako swe dzieci wszystkich chrześcijan, zwłaszcza tych, którzy we mnie pokładają nadzieję i żywią do mnie szczególne nabożeństwo. Jednak zbyt ciężki jest grzech, jakiego dopuściłeś się przeciw mojemu Synowi. Trzeba, byś z głęboką skruchą w sercu prosił Go o przebaczenie, którego pragniesz”.

Teofil padł na kolana i wzruszony powiedział:

– O, najmilsza Panno Maryjo, uznaję, że bardzo zgrzeszyłem, wiem dobrze, że nie zasługuję na miłosierdzie, jednak ufność i nadzieję, ośmielające mnie w błaganiu o przebaczenie, dają mi święci, którzy ciężko zgrzeszyli, lecz żałując dostąpili miłosierdzia, jak święty Piotr apostoł, który po tym, jak trzy razy zaparł się naszego Pana, gorzko zapłakał i został założycielem Kościoła, czy święty Paweł, który prześladował chrześcijan, ale po nawróceniu został niezwykle wyróżniony przez Boga.

Wtedy Maryja poprosiła Teofila o złożenie uroczystego wyznania wiary:

– Wyznaj zatem, że Jezus jest Synem Boga, żywym i prawdziwym, który przyjdzie sądzić żywych i umarłych, a ja wstawię się za tobą.

Teofil padł twarzą na ziemię i wśród jęków i westchnień oświadczył:

– Wierzę, wielbię i sławię twojego jedyne Syna, a mojego Pana, Jezusa Chrystusa. Wierzę, że jest Jednorodzonem Synem Boga w jedności z Ojcem i Duchem w Trójcy Świętej. W to wierzę i to wyznaję, a tym wyznaniem błagam cię, Matko najłaskawsza, o wstawiennictwo za mną u twojego Syna, by przebaczył mój grzech.

Maryja, widząc dogłębny ból i skrucę Teofila, obiecała, że będzie za nim prosiła; po czym znikła.

Teofil, podniesiony na duchu tą obietnicą, czekał trzy dni i trzy noce w lodowatym kościele, nie jedząc i nie pijąc.

Po trzech dniach Niepokalana ukazała się z twarzą pogodną i radością w oczach, a dobrotliwym i łagodnym głosem oznajmiła mu:

– Człowieku, wystarczy twojej pokuty; raduj się, gdyż Jezus, ze względu na moje usilne błagania, wybaczył ci, i przyjął cię ponownie do swej łaski, obyś wytrwał w dobrym aż do końca życia.

Teofil, uszczęśliwiony, podziękował Najświętszej Pannie, uwielbiając Pana, ale nagle ponownie się strwożył i powiedział:

– Matko Najświętsza, jest coś jeszcze, co napawa mnie strachem. Kiedy w mojej podłości wyparłem się wiary, podpisałem deklarację, która mogłaby być użyta przeciw mnie w dniu sądu. Zaklinam Cię, Matko najłaskawsza, rozkaż Lucyferowi zwrócić mi ten papier, abym mógł go zniszczyć.

Najświętsza Panna westchnęła, ale poleciła mu nie tracić nadziei i znów znikła. Teofil podjął post i modlitwę z większą żarliwością niż wcześniej.

Maryja przywołała swoich aniołów i poleciła:

– Udajcie się do Lucyfera i przyprowadźcie go do mnie, powiedzcie mu też, żeby wziął ze sobą kontrakt podpisany przez Teofila.

Aniołowie zstąpili do piekła i zabrali Diabła, pytając go o dokument Teofila.

Kiedy znalazł się przed obliczem Niepokalanej, Diabeł zaczął kręcić głową:

– To Teofil przyszedł do mnie! – zaprotestował. – To nie ja go szukałem. Nie możecie odebrać mi tego pisma, gdyż Teofil podpisał je dobrowolnie, bez żadnego przymusu. Poprosił mnie o pewną przysługę, a ja mu ją wyświadczyłem w zamian za tę umowę!

Niepokalana tonem uroczystym i oburzonym powiedziała do Lucyfera:

– Czyżbyś nie wiedział, że gdy tylko grzesznik żałuje, Bóg mu przebacza i zapomina każdą obrazę i każdy błąd? Teofil gorzko opłakiwał swój grzech, jest zatem godzien otrzymać łaskę Bożą.

Wtedy Lucyfer, nie mając wyjścia, z wyciem i wrzaskiem zwrócił akt umowy Pannie Maryi, wściekły, że został po raz kolejny oszukany.

Po trzech dniach Maryja ukazała się ponownie w kościele Teofilowi, który leżał na ławce pogrążony we śnie. Położyła mu ten kawałek papieru na piersi i odeszła. Kiedy Teofil obudził się, poczuł w sercu radość i wdzięczność, jak nigdy dotąd. Dziękował Niepokalanej, trwając na modlitwie przez całą noc.

Następnego dnia Teofil udał się do biskupiej katedry i poprosił, by zgromadzili się duchowni i cały lud. Wobec wszystkich opowiedział swoją historię: o tym, jak wyparł się Chrystusa Pana, Niepokalanej i Świętych i podpisał pakt z diabłem, a także o tym, jak Niepokalana ulitowała się nad nim i go ocaliła.

Tłum płakał wzruszony, wyśpiewując hymny i pochwalne pieśni na cześć Panny Maryi.

Teofil uczestniczył we Mszy świętej i ze czcią przyjął Komunię. Po czym rozdał wszystko, co posiadał, biednym i prowadził życie surowe, utrzymując się z jałmużny i pokutując aż do końca życia.



Gra w kości

Ludowe opowiadanie rosyjskie

Gdyby ludzie rozglądali się z większą uwagą, dostrzeżliby, że każda rzecz w ich otoczeniu może mieć swoją historię do opowiedzenia, nawet mała kość do gry.

Posiadać bowiem sześć boków to nie byle co. Nie wszystkim jest to dane, ale kości przypadła ta cecha w udziale: być jedną, ale za każdym razem pokazywać inną rzeczywistość.

Ta historia opowiada właśnie o pewnej kości do gry, którą dwa tysiące lat temu jakiś zręczny palestyński rzemieślnik wyciął z drewna dla miłośników tej starej rozrywki.

Dla naszej przyjaciółki o sześciu twarzach życie toczyło się niczym w wesołym kalejdoskopie: niekończąca się kombinacja liczb, w których układanie bawiła się ona i jej siostry.

Kiedy rzucała nią jakaś ręka, będąc kością ciekawą i spostrzegawczą, potrafiła szybko zauważyć, że w zależności od liczby wykonanych obrotów, pochylone twarze zmieniają swój wyraz.

Najpierw widziała wymalowane na nich oczekiwanie, potem niepokój, a w końcu, na przemian, to rozczarowanie, to satysfakcję, to gniew, to znów radość. „Czy to możliwe, żeby nic nieznaczący przedmiot jak ja, posiadał taką moc?” – zastanawiała się zakłopotana.

Musicie jednak wiedzieć także, że w owym czasie wszystkie kości na całym świecie stworzyły rodzaj stowarzyszenia, zawierając między sobą pakt.

Chciały bowiem odkryć tajemnicę nieprzewidywalności, która rządziła ich życiem.

Były pewne, że gdyby udało im się odkryć układ nieskończonych kombinacji liczb, zdobyłyby ogromną władzę. Dlatego uzgodniły dokładną strategię.

Po skończonej grze, pozostawione na boku, kości mogły wymienić się spostrzeżeniami i rozpoczynały cierpliwą pracę klasyfikacyjną. Potem, podróżując wraz z człowiekiem z miejsca na miejsce, wymieniały się zebranymi danymi. Zadanie było doprawdy ciężkie. Za każdym razem kończyły stwierdzając, że nic już nie pojmują z tej plątaniny możliwości.

Pewnego pięknego dnia postanowiły nawet zacząć oszukiwać: jeżeli tocząc się wyczuwały, że pokażą, na przykład, liczbę jeden, miały uczynić niewielki dodatkowy wysiłek, by pokazać raczej liczbę trzy. Ale tu pojawiły się poważne problemy: bez względu na to, jak się trudziły, rozumiały, że nie od nich zależy, jaką liczbę pokażą, ale od czegoś, co je popychało, raz silniej, raz łagodniej, to w tę, to w drugą stronę.

To odkrycie wywołało w nich poważny problem sumienia: były czy nie były panami samych siebie? Dyskusje kości przeciągały się w czasie, a każda dochodziła do własnych wniosków, nie mogąc porozumieć się z innymi.

W tym momencie nasza kość postanowiła kontynuować poszukiwania sama.

Odtąd różne perypetie prowadziły ją drogami Palestyny do tawern, domów, na place targowe. Chcąc nie chcąc, kierowana nie wiadomo przez kogo, wiele razy była nieumyślnym sprawcą wielkiej radości, jak również rozpaczliwego bólu.

Tylko wtedy, gdy znajdowała się w rękach dzieci, nie odczuwała żadnego niepokoju związanego z zakończeniem swojego biegu, gdyż przekonała się, że mają one niezwykłą zdolność śmiania się niezależnie od tego, jaką pokazuje liczbę.

Wiele razy próbowała przewidzieć możliwe kombinacje i tym samym zmienić losy gry, ale zawsze na próżno. Upłynęło już tyle czasu, że przestała zastanawiać się, dlaczego wydarzyło się to, a nie tamto, świadoma bezużyteczności takiego pytania, na które nawet najdłuższe życie nie mogło przynieść odpowiedzi. Ograniczała się do radości, kiedy inni się radowali, i cierpienia, kiedy inni cierpieli, turlając się spokojnie wraz ze swoimi liczbami.

Ach, gdyby tym razem bok z liczbą trzy zrobił mały obrót w swoją stronę... ile rzeczy zmieniłoby się w życiu tego człowieka! Jeszcze go pamiętała, strasznego w swojej nienawiści względem niej, niewinnego narzędzia jego przegranej.

Zdarzały się jednak również chwile wielkiego podniecenia, kiedy jakaś wdzięczna dłoń ścisnęła ją z radością, a ona czuła się dumna... ale z czego, zastanawiała się, jeżeli w rzeczywistości zrobiła tylko to, co powinna była zrobić?

Kość nosiła już teraz widoczne znaki upływu czasu na każdym boku, żaden nie wydawał się bardziej zużyty od innych, wszystkie miały równe szanse w grze.

Ale któregoś dnia zdarzyło się, że nie wiadomo jak, znalazła się w dłoniach rzymskiego centuriona. Dłonie jak wiele innych, pomyślała kość, obserwując cierpliwie niebo, które stawało się coraz bardziej granatowe.

Dokoła słyszała głośne krzyki ludzi. Jedni wydawali rozkazy, inni płakali, jeszcze inni śmiali się albo złorzeczyli, śpiewali, rozmawiali. Podobało się jej to zamieszanie, może dlatego, że przypominało gmatwaninę liczb,

pozornie przypadkowych. Trochę tak jak ona, kilka różnych boków jednej, małej kości.

Nagle jednak zgiełk ucichł i zapanowała cisza, z wyjątkiem szumu wiatru, wiejącego zza wzgórza.

Wyciągnąwszy kość z torby, właściciel podrzucał ją przez chwilę w zagłębieniu twardej, szorstkiej dłoni. Starej kości ten gest znany był od dawna. Po czym dłoń otworzyła się, pozwalając jej na wielki skok. Znalazłszy się na ziemi, kość ujrzała młodego, umęczonego mężczyznę zawieszonego w górze i zastanawiała się, cóż to za straszliwa gra toczyła się u stóp krzyża, na którym umiera człowiek.

Tym razem doprawdy nie chciałyby brać udziału w grze, ale nauczyła się już, że są rozgrywki, których nie można uniknąć. Szanowała rytm liczb i ich tajemniczą mądrość. Nie zastanawiała się już, kto je układa, ale nauczyła się ufać Jego potężnej dłoni.

Spojrzała na Człowieka na krzyżu i zobaczyła, że jest już daleko, uczestnicząc w innej grze z niekończącymi się liczbami. Wtedy potoczyła się zamyślona po murawie... raz... dwa... trzy... cztery...



Niezwykłe pranie

Francuska legenda ludowa

Wiele lat temu Jezus przywołał świętego Piotra i powiedział:

– Zamierzam udać się na ziemię, żeby zobaczyć, co teraz robią ludzie. Chcesz mi towarzyszyć?

Święty Piotr nie wierzył własnym uszom. Życie na ziemi nie było dla niego przykrym doświadczeniem: raczej fascynującym! Dlatego pośpiesznie wyraził bezwarunkową wolę uczestnictwa.

Natychmiast też (tam u nich nie zajmuje wiele czasu przejście z jednego wymiaru do innego), wręcz w okamgnieniu znaleźli się na ziemi. Nie wybrali żadnego konkretnego celu podróży; uzgodnili bowiem, że zmateriaлизują się tam, gdzie zechce los.

– I tak – powiedział Jezus – człowiek jest człowiekiem, niezależnie od tego, gdzie żyje.

Znaleźli się zatem na francuskiej prowincji, nieopodal pewnej wsi, nad dużą rzeką Loarą.

Oczywiście nikt nie mógł w najmniejszym stopniu przypuszczać, jaka jest prawdziwa tożsamość dwóch wędrowców.

Mieszkańcy wsi, w której skupiło się kilka chłopskich rodzin, byli bardzo radzi mogąc gościć przybyszów, tak że prześcigali się w zapraszaniu ich od jednego stołu do drugiego, a równie szczęśliwy był Jezus i jego towarzysz, znajdując tyle prostej dobroci i gościnności.

W dniu rozstania Jezus postanowił nie opuszczać tego miejsca, nie zostawiwszy nic w zamian: miał zawsze słabość do serc hojnych, które chętnie dzielą się z nieznanym tym, co mają.

Tak więc trąciwszy łokciem świętego Piotra, zapytał, co będą robić następnego dnia.

– Musimy zrobić pranie – wyjaśnili ludzie.

Na to Jezus:

– Dobrze, niech więc pranie trwa od rana do wieczora.

– Drogi przyjacielu – odparli z uśmiechem – jak to możliwe, skoro naszych skromnych rzeczy jest tak niewiele? Mamy tylko kilka znoszonych sztuk bielizny i pieluchy dla maluchów. Nie możemy nawet wystarczająco osłonić się przed mrozem w zimie: pranie z pewnością nie zajmie nam tak dużo czasu.

Jezus spojrzał na nich z czułością i powiedział:

– Niech moje słowo ma moc Boską!

I odszedł spokojnie piaszczystą wiejską drogą, ramię w ramię ze świętym Piotrem, który uśmiechał się pod wąsem.

Następnego ranka kobiety wyszły pracować jak co dzień, tym razem każda niosła kosz z brudnymi ubraniami, przygotowanymi do przeprania w wodzie.

Prały i prały, a ubrania wydawały się mnożyć w miarę zanurzania w wodzie i rozpościerania na słońcu.

Kubraki, portki, ubrania grube i cienkie, pieluchy i ubranka dla dzieci, do tego poszewki i prześcieradła. Krótko mówiąc, różne Boże dary, które mogły przydać się tym pocziwym ludziom.

A ponieważ ta błogosławiona praca trwała cały dzień i prawie brakowało łąki do rozpościerania rzeczy, ludzie z sąsiedztwa, przyzwyczajeni do kilku wytartych gałganów, jakie widzieli w każdy inny dzień prania, zdziwili się wielce i przyszli dowiedzieć się, co się stało.

Mieszkańcy wsi długo radzili i znaleźli tylko jedną odpowiedź: gościli świętego człowieka, który miał dar czynienia cudów; nie mogło być inaczej.

Wśród sąsiadów byli niestety chłopci przebiegli i chytrzy, którzy od razu poczuili zazdrość. Dlaczego to do nich los się nie uśmiechnął? Umieliby odpowiednio wykorzystać taką okazję!

Wróciwszy do swojej wioski, odległej o kilka mil, nie tracili nadziei, że zobaczą przechodzących także i tam dwóch wędrowców, o których wygląd wypytali z należytą dokładnością. Aby przypadkiem nie stało się tak, że przez pomyłkę musieliby gościć każdą parę pielgrzymów!

Niedługo potem Jezus i święty Piotr przechodzili właśnie tą drogą, a kiedy tamci spostrzegli ich z daleka, czym prędzej, niby to mimochodem, znaleźli się obok.

– Dwóch samotnych wędrowców, kiedy już zmierzcha! Nie możecie podróżować nocą: na drogach grasują rozbójnicy. Ale nie martwcie się: przyjmiemy was w gościnę – powiedzieli, próbując wykazać szczerzy niepokój o dwóch przybyszów.

Oczywiście Jezus przyjął propozycję, a następnego dnia rano, żegnając się, powtórzył pytanie, które już zadał w poprzedniej wiosce:

– Dobrzy ludzie, co macie dzisiaj do zrobienia?

– Prawdę mówiąc, musimy policzyć pieniądze, jakie uzyskaliśmy z naszych plonów – odparli bez wahania – ale jest ich tak mało, że zajmie nam to niewiele czasu.

Wówczas Jezus swoim słodkim głosem powiedział:

– W podzięce za waszą tak hojnie mi udzieloną gościnę, zapewniam was, że pierwsza praca, jaką zaczniecie wykonywać, skończy się dopiero wieczorem.

– Ale jak to możliwe? Mamy tak mało pieniędzy!

– Niech moje słowa mają moc Boską! – I nie mówiąc nic więcej, Jezus ruszył w drogę, podczas gdy i tym razem święty Piotr śmiał się pod wąsem.

Wieśniacy, pewni, że udało im się nabrać świętego człowieka, zaczęli wyobrażać sobie, ile pieniędzy będą posiadać przed wieczorem, mieli jednak jedno poważne zmartwienie:

– A jeśli sąsiedzi, zaciekawieni, przyjdą podglądać przez okna i okradną nas?

Nie mogli pozbyć się tych myśli, dlatego zdecydowali, że zanim zaczną liczyć pieniądze, zaryglują drzwi i okna, zatkają każdą dziurę i każdą szczelinę. I tak, z wielką gorliwością, wzięli się natychmiast do pracy.

Zakończenie naszej historii? Kiedy nadszedł wieczór, jeszcze ryglowali drzwi i okna, zatykali dziury i szczeliny, gdy tymczasem marne grosze, które zamierzali zacząć liczyć, w tajemniczy sposób znikły.



Miasto smoka

Legenda prowansalska

Marta z Betanii nie mogła się uspokoić. Odejście Nauczyciela pozostawiło w niej pustkę nie do wypełnienia. Czuła głęboką potrzebę słuchania nadal Jego słów, ponieważ umysł jej pełen był pytań, na które nie udzielił odpowiedzi.

Teraz, kiedy Go już nie ma, będzie musiała sama szukać rozwiązania tysiąca wątpliwości, które kłębiły się w jej głowie, a Marta doświadczyła już, jak bezużyteczne jest zagłębianie się w labirynt własnych myśli, bo te zamiast przybliżyć do jakiejś ostatecznej odpowiedzi, wydawały się oddalać ją jeszcze bardziej.

„Muszę działać, muszę coś zrobić” – myślała, ale nie mogła się zdecydować

Od śmierci Nauczyciela wszystko toczyło się tak szybko, jakby poza nią: pochówek, ból, łzy, zniknięcie Jezusa, a potem powrót na krótko ze świata zmarłych. Emocje były za silne dla niej, przyzwyczajonej do porządkowania spraw życiowych, jakby sprzątała w domu.

Chciała, żeby wszystko wróciło do poprzedniego stanu, ale nie mogła być już tą samą osobą: o czym była głęboko przekonana, tak jak i inni, którzy na swojej drodze spotkali Nauczyciela.

Po odejściu Jezusa Marta pożegnała wielu przyjaciół, którzy, jak siewcy rzucający ziarno w każdy zakątek pola, wyruszali do odległych prowincji, przynaglani pragnieniem zanieśienia słów Mistrza w każdy zakątek świata.

Entuzjazm Marty stawał się coraz bardziej zaraźliwy, aż w końcu zrozumiała, że również dla niej nadszedł czas uczynienia kroku w stronę tego, co nieznane.

I tak wsiadła na statek płynący w kierunku Francji, gdzie znalazła się wiele, wiele lat temu.

Przeciwności było wiele, ale mała Palestynka z Betanii szybko odkryła, że jest dużo silniejsza niż kiedykolwiek mogła przypuszczać. Samo życie wydawało się podtrzymywać ją i pchać do przodu, obdarowując doświadczeniem i mądrością.

Po pierwszym okresie, spędzonym w Bordeaux wraz z liczną grupą rodaków, Marta postanowiła przenieść się do miasta Aix. Wiedziała, że w tym rejonie szczególnie mocno zakorzenione są obrzędy pogańskie, i pragnęła zmierzyć się z trudną próbą otwarcia serc mieszkańców na chrześcijaństwo i miłość do jedyne go Stwórcy. Zebrała więc swoje skromne mienie, pozdrowiła przyjaciół i ruszyła w drogę, pewna, że i tym razem los będzie łaskawy.

Przybywszy do Aix, znalazła mieszkanie u starej krawcowej, która bardzo chętnie użyczyła miejsca w swoim domku młodej cudzoziemce. Szybko doszły do porozumienia i w zamian za nieco jedzenia i nocleg, Marta obiecała pomagać staruszce w codziennych obowiązkach.

Przyzwyczajona do prac domowych, bez trudu radziła sobie w niewielkim obejściu i potrafiła nawet pomagać staruszce przy szyciu.

Marta nie dawała się oczywiście zastraszyć nieżyczliwymi spojrzeniami czy szeptami za plecami: wiedziała, że nieufność wobec cudzoziemców jest taka sama na całym świecie. Mieszkając u krawcowej miała sposobność poznać wiele kobiet, a swoją uprzejmością szybko zdobyła ich przyjaźń.

Te kobiety były z kolei matkami, siostrami czy małżonkami, i tak dobra opinia na temat Marty rozniosła się po całym mieście wraz ze słowami Nazarejczyka.

Minęło trochę czasu, inni chrześcijanie przybyli do miasta i Marta pomogła im się urządzić. Z wolna powstała niewielka wspólnota, która zajmowała się pomocą biednym, chorym i wszystkim potrzebującym.

Zdarzyło się, że pewnego roku, na wiosnę, całe miasto obudził straszliwy odór: był to smród nie do zniesienia, jaki można sobie wyobrazić tylko w otchłani piekielnej.

Co się stało? Wszyscy, zatykając sobie nos najlepiej jak umieli, zaczęli zbierać informacje o tym, co wkrótce stanie się koszmarem Aix.

A zatem, trudno było uwierzyć własnym oczom, własnym uszom, zwłaszcza własnemu nosowi! Od strony Galicji olbrzymi smok posuwał się w górę rzeki Rodan, siejąc panikę, gdziekolwiek się pojawił.

Smok po części płynął i czasem zabawiał się wywracaniem nieszczęsnych łodzi, które właśnie wtedy pruły wodę z transportem towarów z południa na północ Francji. Kiedy indziej znów wyląził na brzeg, terroryzując mieszkańców okolicznych wsi.

A co z zapachem? Nieprawdopodobne, ale ta bestia wydalała tak wielkie ilości cuchnącego łajna, że utworzyły się wzgórza, tam gdzie wcześniej była równina.

Miasto Aix szybko znalazło się w stanie izolacji od świata: nikt nie miał odwagi dotrzeć tutaj, ani drogą rzeczną, ani lądową. Okoliczna szlachta organizowała rozmaite wyprawy myśliwskie w celu pokonania potwora, ale na próżno: jego okrucieństwo było równe jego odorowi.

To wtedy ktoś przypomniał, jak chrześcijanka Marta często mówiła, że nie ma nic niemożliwego dla jej Nauczyciela, opowiadając, jak wiele cudów uczynił On za życia.

Mieszkańcy Aix doszli do wniosku, że nic nie stracą zwracając się do Palestynki. A nawet, gdyby wszystko poszło dobrze, upiekliby dwie pieczenie na jednym ogniu:

uwolniliby się od smoka, a jednocześnie sprawdziliby słowa tej kobiety i potęgę jej Boga.

Usłyszawszy prośbę ludzi, Marta przestraszyła się. Jak miałyby sama pokonać smoka? Ale jeśli stchórzy, co pomyślą ludzie? Z pewnością dojdą do wniosku, że jej słowa o mocy Boga są nic niewarte i zlekceważą je.

Jedynym wyjściem było zwrócić się do Jezusa: jeśli Jego śmierć była tylko przejściem z jednego życia do innego, nie będzie miał żadnych problemów z objawieniem również w tej chwili swojej mocy.

Tak więc Marta zaczęła się modlić tak żarliwie, iż wydało się jej, że straciła przytomność i została wessana przez jakiś niezwykle głęboki wir, z którego, myślała, nie wyjdzie już żywa.

Jednak wyszła z niego silniejsza i bardziej zdecydowana niż zwykle. Wziąwszy krucyfiks, obiecała mieszkańcom miasta, że sama zmierzy się ze smokiem. Po czym ruszyła pewnym krokiem w stronę rzecznej zatoczki, gdzie dnia poprzedniego widziano wielkiego zwierza.

Im bardziej oddalała się od miasta, tym bardziej rozwijała się w niej inna walka, mniej widoczna, ale wcale niełatwa, bo przeciwnikiem był nikt inny tylko rozum, który nękał ją tysiącem myśli, wątpliwości i lęków.

Ufność zmagала się z wątpliwościami, odwaga z lękiem, chwała zwycięstwa z mrokiem klęski. Na próżno Marta odwoływała się do swojej wiary, rozum prowadził ją tak zręcznie swoimi zaułkami, że biedaczka czuła się rzucana to w jedną, to w drugą stronę, aż w końcu, a niewątpliwie był to niezwykle cud, w jej wnętrzu zapanało poczucie pustki i ciszy.

Nagle strach znikł i Marta zrozumiała ponad wszelką wątpliwość, że robiła co należało i że nie ma znaczenia, czy wygra, czy przegra. Nie było dla niej ważne nic poza uległością wobec tej siły, która ją popychała.

Całkowity brak lęku i nadziei co do wyniku jej przedsięwzięcia uczynił ją niezwyciężoną.

Nawet las przyjął ją bez słowa, żaden odgłos nie chciał zakłócić tego wydarzenia zawieszonego między rzeczywistością a tajemnicą.

Drzewa zaczęły się przerzedzać. Jeszcze kilka kroków i liściasta osłona przestanie ją chronić. Stanie więc na wprost tego, którego nawet ona nie była w stanie sobie wyobrazić, wielkiego smoka obojętnego na wszystko i na wszystkich w swoim wrodzonym okrucieństwie.

I wielka bestia rzeczywiście była tam, wyciągnięta na brzegu rzeki w oczekiwaniu na kolejną ofiarę. Jej instynkt czynił ją niespokojną, wielki ogon pokryty łuskami uderzał nerwowo, w połowie zanurzony w wodzie, oddech uchodził z szerokich nozdrzy w postaci szarego dymu.

W jednej chwili wyczuł obecność istoty ludzkiej i zerwawszy się – w sposób nieprawdopodobny z uwagi na potężną masę – obrócił ciało w stronę nadchodzącej drobnej kobiety. Bystre oczy wydawały się ją mierzyć, ale jedna rzecz uderzyła w jego nozdrza. Nie wyczuwał gorzkiego zapachu strachu i to go sparaliżowało.

Marta natomiast nie wahała się ani przez chwilę. Straszliwy wygląd zwierza nie robił na niej żadnego wrażenia: dla niej wszystko to, co uczyniła natura, miało swoje miejsce w świecie i nawet potworność była taką tylko w oczach rozumu, ale jej rozum w tej chwili milczał.

Wyciągnęła rękę w kierunku paszczy smoka i pokazała mu krucyfiks, który trzymała mocno w dłoni: to był jej talizman, znak zwycięstwa dobra nad złem, i poprzez ten gest wszyscy rozumieją jego potęgę.

Smoka przeniknął dreszcz, świat jego instynktownych odruchów zawalił się, nie znajdował bodźca do rzucenia się na ofiarę ani strachu przed nieprzyjacielem, którego konsekwencją byłby zabójczy atak, słowem, był to smok, który nie poznawał swojej smoczej natury!

- Chodź tu, mały! - wyszeptała Marta, jakby się zwracała do najłagodniejszego szczeniaczka. I faktycznie, zachowanie zwierza przypominało właśnie reakcję psa przyzwyczajonego podchodzić do pana i lizać mu dłoń.

Wówczas Marta bez trudu owinęła dokoła pyska smoka przyniesiony ze sobą długi, mocny sznur, do którego starannie przymocowała krucyfiks, teraz kołyszący się na piersi zwierzęcia przy każdym jego kroku.

Musiał to być widok doprawdy wyjątkowy: drobna kobieta prowadząca na smyczy straszliwego smoka, który zachowywał się jak łagodny piesek! Teraz już nie stanowił zagrożenia dla nikogo i łatwo było się go pozbyć.

Odejście smoka było okazją do powszechnej radości i świętowania. W końcu koszmar minął i życie mogło wrócić do swojego rytmu.

Marta miała wrażenie, że przebudziła się ze snu: czy to możliwe, że bohaterką tego nieprawdopodobnego cudu była właśnie ona?

Okoliczni mieszkańcy przez długi czas mówili tylko o tym wydarzeniu i wszyscy biegli do chrześcijan ochrzcić się. Nigdy żadne z ich bóstw nie mogłoby rywalizować z Bogiem, który posłużył się słabą kobietą, by zatrzymać siły natury. A więc uczniowie Chrystusa nie kłamali.

Każdy miałby powód do chluby, ale Marta bardzo pilnowała się, żeby nie wpaść w pułapkę podstępnie na nią zastawianą przez rozum: nie ona wszak sprawiła, że to wszystko było możliwe, ale ktoś inny posłużył się nią, zwyczajnie jak rzemieślnik posługuje się narzędziem, by wykonać swoje dzieło.

Wspomnienie tego niezwykłego zdarzenia nie zatarło się i w miejscu, gdzie Marta spotkała dzikie zwierzę, powstało miasto zwane Tarascona, które jednak utrwaliło się w powszechnej pamięci jako „Miasto Smoka”.

Opowiedz mi jakąś historię

Stara legenda judeo-chrześcijańska

Echo Jego głosu nie opuściło jeszcze piaszczystego placu i On stał tam, oparty o rozłożyste drzewo, które zapewniało mu przyjemny chłód. Liście, jak zielone rączki, poruszały się w cichym aplauzie, milczący widzowie tych godzin spędzonych wśród ludzi.

Jezus odpoczywał, zastanawiając się, ilu serc dosięgły Jego słowa. Przesłanie było takie proste, ale jednocześnie przyjmowało niezliczone odcienie, w zależności od uszu, które go słuchały.

Westchnął spoglądając w niebo, które przybierało różowy kolor i opróżnił umysł, rozkoszując się ciszą, która powoli zapadała. Dziękował w sercu uczniom, którzy oddaliwszy wszystkich, stworzyli mu możliwość spędzenia kilku chwil w samotności.

I właśnie wtedy jakiś głosik zapytał:

– Jesteś zmęczony?

Jezus odwrócił się i znalazł się twarzą w twarz z chłopcem, który stojąc mierzył tyle, ile On siedząc.

– Nie tak bardzo, ale ty skąd się tu wziąłeś?

– Dziś byłem tu z moimi rodzicami. Dorośli chcieli Ciebie posłuchać, dlatego my, maluchy, zostaliśmy trochę dalej. Wiesz, mówią, że przeszkadzamy i że nie możemy zrozumieć. Opowiadasz dorosłym historie?

– Ja opowiadam historie o życiu tym, którzy chcą ich słuchać, ale żeby je opowiedzieć, muszę używać słów,

a jak wiesz, słowa, które są odpowiednie dla dorosłych, niekoniecznie pasują też do was, dzieci.

Malec wydawał się przytakiwać wszystkiemu z powagą. Ten człowiek miał rację: dorośli są tacy skomplikowani!

– Mówią, że jesteś dobry, najlepszy... Proszę, opowiedz również mnie jakąś historię.

I położył się na brzuchu, opierając łokcie o ziemię, a głowę na małych zaciśniętych piąstkach.

– Masz braci? – zapytał wtedy Jezus.

– Tak, ale są starsi ode mnie i zawsze chcą mi rozkazywać: nie wydaje mi się to sprawiedliwe.

– Jestem pewien, że bardzo cię kochają. A zatem opowiem ci historię o dwóch braciach, którzy darzyli się nawzajem miłością, choć może nigdy sobie tego nie powiedzieli.

Jezus zaczął swoje opowiadanie.

– Dwóch braci, jeden kawaler, a drugi żonaty, otrzymali w spadku po ojcu zagrodę i żyzne pola, które rodziły zboże w obfitości.

Każdemu z dwóch braci przypadała połowa zbiorów i obaj ciężko pracowali od rana do zachodu słońca.

Na początku wszystko układało się dobrze, potem, od czasu do czasu, ten żonaty zaczął budzić się w nocy i rozmyślać, że może nie jest to sprawiedliwe, żeby dzielić na połowę zbiory: on miał żonę i trójkę dzieci, dlatego nie zostanie sam na starość, podczas gdy brat nie będzie miał nikogo; zatem bardziej od niego potrzebował odłożyć coś na przyszłość.

Rozmyślając tak przez kilka nocy, doszedł do wniosku, że najlepiej będzie oddać część zbiorów bratu, a żeby nie wprowadzać go w zakłopotanie, kiedy wszyscy spali, wstawał po kryjomu, szedł do swojego spichlerza, brał worek zboża i wsypywał go do spichlerza brata, potem zadowolony wracał do łóżka.

Również brat kawaler zaczął budzić się w nocy i, jak to się często zdarza, w spokoju i ciszy różne myśli zaczęły krążyć mu po głowie. Nie wydawało mu się sprawiedliwe, że brat, żonaty i z trójką dzieci, dostawał połowę zbiorów. Z pewnością potrzebował dużo więcej, by utrzymać swoją rodzinę, podczas gdy jemu, który żył sam i musiał troszczyć się tylko o siebie, wystarczyłoby o wiele mniej.

Kawaler wiedział dobrze, że żonaty brat nie zgodziłby się przyjąć większej części zbiorów. Był człowiekiem uczciwym, i jako że wspólnie ciężko pracowali w polu, uważał, że to, co zbierają, należy się im obydwu po równo.

Postanowił więc nic nie mówić bratu i zaczął nocą wstawać po kryjomu, by iść do swojego spichlerza, nabrać worek zboża i wsypać go do spichlerza brata. I tak było przez kolejne noce: za każdym razem jeden brał worek ze swojego spichlerza i zanosił go do spichlerza drugiego. Aż w końcu pewnej nocy los chciał, że wstawszy o tej samej godzinie, spotkali się w połowie drogi między jednym spichlerzem a drugim, każdy z workiem zboża na plecach.

Wtedy bracia, zdjawszy worki z ramion, wybuchnęli śmiechem i razem wrócili do domu, szczęśliwi z odkrycia, że w spichlerzu swych serc posiadają dar najcenniejszy, jakim jest miłość.

Mały słuchacz pograżył się w myślach, bardzo mu się podobała ta historia.

Tymczasem różowe niebo ustąpiło miejsca wielkim błękitnym chmurom i powietrze zaczęło stawać się chłodniejsze.

– Malek, Malek! Gdzie jesteś, nicponiu? Jak cię znajdę... Chodź, mama cię szuka! – Nawoływania jakiegoś chłopca dobiegły nagle ich uszu, gubiąc się następnie w dolinie.

Malec, wyrwany z zamyślenia spojrzał na Jezusa: jego zdaniem ten człowiek musiał być kimś naprawdę wyjątkowym.

– Znasz jeszcze inne historie? – zapytał chłopiec.

– Tak, znam wszystkie historie świata – odpowiedział Jezus.

– Ooo! – Chłopiec otworzył usta ze zdumienia.

– A czy jest książka z wszystkimi historiami świata?

– Tak, Malek, jest nią serce ludzi.

– A jak można czytać w sercu ludzi, jeżeli jest ono tu zamknięte? – i dziecko wskazało na swoją pierś.

– To bardzo proste, mój mały, wystarczy kochać.

Tymczasem chłopiec, który przybiegł z miasteczka, zauważywszy dziecko pod drzewem obok siedzącego tamże mężczyzny, podszedł cały zdyszany, zastanawiając się, jak to jest, że jego brat spędza tu czas z prorokiem z Nazaretu, o którym wszyscy rozprawiają w tych dniach.

– Nauczycielu, czy Malek przeszkadzał wam? Wybaczcie mu: taka z niego z mora! Ale to dobry dzieciak – powiedział, czochrając ręką włosy braciszka.

– Idź już, Malek, w domu czekają na ciebie. I dziękuję za twoje towarzystwo.

Tak Jezus pożegnał małego przyjaciela, patrząc za nim jak odchodził, trzymając za rękę brata.



Maria i chleb ze znakiem krzyża

Legenda średniowieczna

Tego dnia Maria wstała wczesnym rankiem i nie wkładając sandałów, żeby nie zbudzić Jezusa i Józefa, którzy jeszcze spali, pełna zapachu zaczęła krzątać się po domu.

Podsyciła ogień, otworzyła na oścież okno, poszła zaczerpnąć wody ze studni, potem zajęła się przygotowaniem chleba na rozpoczynający się dzień.

Spojrzała do dzieży i znalazła tylko niewielką kupkę mąki, niewiele większą niż pięść. Na troje było to mało, ale musiało wystarczyć.

Zagniatanie chleba sprawiało Maryi wiele radości. Zagniała go z miłością, aż ciasto było miękkie, a wtedy formowała pachnące i pulchne bułeczki, niosła je do pieca, by nabrały tam złocistej barwy. Woń powszedniego chleba była dla niej piękną modlitwą dziękczynną, która wznosiła się do nieba również wtedy, kiedy, jak tego dnia, myśl o tej jednej bułeczce, która musi wystarczyć dla wszystkich, ciążyła jej sercu.

Ułożywszy ciasto na desce przykrytej lnianym płótnem, wzięła wiązkę chrustu pod pachę i poszła do pieca.

Tam spotkała inne kobiety z chlebem do wypieczenia. Wszystkie bułeczki można było umieścić w piecu jednocześnie. Widząc jak niewiele przyniosła, jedna z kobiet zagadnęła z pogardliwą miną:

– Nie jest już was troje w rodzinie, Mario?

– Piekarczy – powiedziała inna – uważnie wyjmujcie chleb z pieca! Tak żeby nikt nie wyciągnął rąk po więcej niż przynióśł.

Maria spoglądała w stronę domu, mając nadzieję, że zobaczy nadbiegającego Jezusa. Widząc ją taką zamyśloną, kobieta, która miała największy bochenek, wzięła nóż i dwoma ruchami zrobiła krzyżyk na chleбку Marii.

– W ten sposób – powiedziała – kiedy będzie gotowy, będzie można odróżnić nasz od należącego do innych.

Piekarz włożył do pieca chlebki.

– Mój ułóżcie w najcieplejszym kąciku, żeby dobrze się zarumienił – dopominała się jedna.

Kobiety, czekając, rozmawiały, a piekarz co rusz to zerkał do pieca, by przewrócić chleb.

– Jest jeden, który nie przestaje rosnać – powiedział, poruszając drewnianą łopatą.

A kobieta, która uczyniła znak krzyża na chleбку Marii, uważała, że to może być tylko jej bułeczka.

Piekarz ponownie przewracał chleb i coraz bardziej zdziwiony, zawołał:

– Jest jeden chleb, który kwitnie jak róża. Wydaje się, że chce stanąć na palcach!

A wyniosła kobieta powiedziała do siebie: „A przecież użyłam tej samej ilości mąki jak w inne dni”.

Kiedy piekarz wyjął bułeczki, zauważył, że ta ze znakiem krzyża jest jakby kilkakrotnie większa niż pierwotnie. Przedtem mała i skromna, była teraz najokazalsza, najlepiej przyrumieniona, najbardziej pachnąca. Znak uczyniony ze skąpstwa sprawił, że chlebek wyrósł i zarumienił się jak zaczarowany...

Były tam kobiety i wiadomość o cudzie, oczywiście, szybko się rozniosła. Od tego dnia wszyscy zaczęli przynosić swój chleb opatrzony krzyżem, i jeszcze dzisiaj na wsiach piecze się tylko chleb naznaczony znakiem krzyża, symbolem błogosławieństwa Bożego.

Bankiet świętej Zyty

Legenda średniowieczna

W czasach, kiedy nauczał święty Franciszek i jego towarzysze, mieszkała w Lucce i pracowała u prefekta kucharka imieniem Zyta. Modlitwa i gotowanie – to były jej specjalności.

Była tak rozmiłowana w dobrym Bogu, że jeśli rano udało się jej wymknąć do kościoła choćby na minutę modlitwy, była potem pogodna i energiczna przez cały dzień. Ale miała zawsze dużo pracy, gdyż pałac prefekta był wielki. Każdego dnia Zyta musiała czyścić wielkie piece, zaopatrzyć spiżarnię i piwnicę, zwłaszcza zaś przygotować wyśmienite dania dla swojego pracodawcy.

Prawie zawsze udawało się jej wykonać wszystkie te obowiązki, tak że rano mogła wejść przynajmniej na chwilę do katedry i odmówić modlitwę.

Tego dnia przygotowywano wielką ucztę w pałacu prefekta i od świtu Zyta wzięła się do pracy: kupiła na targu ryby, zające, kurczaki, figi, kilka butelek najlepszego wina, i właśnie zabierała się za gotowanie, kiedy przypomniała sobie, że nie zajrzała nawet na minutę do kościoła.

Zostawiła zatem wszystko i pobiegła do najbliższej kaplicy, ale tego ranka modliła się tak żarliwie, że zapomniała o zaopatrzeniu, gościach i całej reszcie.

Kiedy wybiło południe, oprzytomniawszy nagle, Zyta poczuła, jak ziemia usuwa się jej spod nóg i ruszyła biegiem do pałacu prefekta. Dotarłszy do drzwi wejścio-

wych, zobaczyła gości, którzy już tłoczyli się w atrium. Dobra kucharka przestraszyła się: nie można było przygotować przyjęcia w krótkim czasie, jaki pozostał.

Zbiegła po schodach. Kiedy sapiąc przemierzała biegiem korytarz, zaskoczyła ją woń dobrego jedzenia i dobiegający z kuchni odgłos kipiących garnków, skwierczących patelni, dźwięczących widelców i noży! Piec był rozpalony i drwa głośno trzaskały.

– Czyżby przyjęli do pracy inną kucharkę? – pomyślała.

Stała w drzwiach i zamarła ze zdumienia: sto pucołowatych aniołków uwijało się, fruwając tu i tam. Jeden dorzucał drwa do ognia, inny obracał rożen; któryś kroił na cząstki melon, jeszcze inny układał na srebrnym półmisku tłuste gorące połówki, pieczone udka kurczaka, plastry szynki, przybierając wszystko świeżymi warzywami. Dwa układały olbrzymią piramidę z fig i winogron, trzy kroїły na plastry pieczeń, a jeszcze jeden garniował olbrzymi tort śmietaną i czerwonymi wisienkami. Inny biedny aniołek, wykrawając ciasto francuskie, skaleczył się w mały palec i teraz ssał małą ranę.

Pośpiech i zamieszanie rosły z minuty na minutę, ale wszystko było już właściwie gotowe: dwanaście dań, wśród których wspaniale prezentowały się okazała ryba z cytryną w pyszczku, utopiona w morzu z żelatyny, oraz wieprz pieczony na ruszcie. Trzeba było już tylko podać do stołu te wszystkie smakołyki!

Zyta, skamieniała ze zdumienia, przystanęła na chwilę w drzwiach, potem weszła do kuchni i wzruszyła się, wznosząc dłonie ku niebu na znak wdzięczności. Aniołki, gdy tylko ją zauważyły, uciekły przez komin; słychać było jedynie delikatny trzepot ich skrzydeł; zatrzymały się jeszcze w ulatującym znad płomienia dymie, żeby pozdrowić ją uśmiechem na pucołowatych twarzyczkach. Zyta została w kuchni sama, kiedy zajrzał majordomus.

– Już czas, proszę podawać do stołu!

Prefekt i jego goście jedli do syta, wychwalając wprawę, z jaką przygotowane zostały potrawy.

Zyta wielbiła Boga, który zawsze specjalnymi względami obdarza tych, którzy kierują ku Niemu przynajmniej jedną myśl dziennie.



Pokora irlandzkiej dziewczicy

Z Acta Sanctorum

Na zielonej irlandzkiej ziemi mieszkała Ida, młoda księżniczka z rodziny królewskiej, która rządziła na całej wyspie mądrze i długo. Ida była piękną dziewczyną o anielskiej twarzy i miłym usposobieniu. Różni szlachetnie urodzeni rycerze prosili o jej rękę, ale Ida, w pokorze, oddała siebie Chrystusowi i po cichu wstąpiła do klasztoru. Tego dnia przypadało święto Przenajświętszej Trójcy i Ida gorąco pragnęła przyjąć Komunię.

Nagle została przeniesiona daleko, do kościoła innego klasztoru, gdzie otrzymała Hostię z rąk świątobliwego kapłana.

Urzeczony wspaniałością nieziemskiego piękna, ksiądz zaledwie zdążył zapytać:

– Siostro najpokorniejsza, która zstąpiłaś z nieba, powiedz mi twoje imię.

– Ida – odpowiedziała pokornie zjawa i natychmiast znikła.

W klasztorze żadna z współsióstr nie zauważyła, że Ida oddaliła się i wróciła, gdyż pozostała z wszystkimi innymi w klasztornej kaplicy, odmawiając oficjum. Ksiądz, który koniecznie chciał ponownie ujrzeć młodą mniszkę, odwiedził wszystkie klasztory Irlandii, szukając siostry klauzurowej, której na imię było Ida. Wyruszył w podróż w towarzystwie innych duchownych. W czasie drogi jeden z nich spadł z konia i stracił wzrok. Towa-

rzysze pocieszali go pełni ufności, że święta dziewica przywróci mu zdrowie. Kiedy stracili już wszelką nadzieję na odnalezienie swojej zjawy, dowiedzieli się, że księżniczka Ida, córka władcy tych ziem, wstąpiła do klasztoru leżącego nieopodal królewskiego zamku.

Ruszyli pełni zapału, a przybywszy na miejsce poprosili przeorysę o możliwość spotkania ze szlachetnie urodzoną mniszką Idą, którą poznali w dniu Przenajświętszej Trójcy.

Przełożona była zaskoczona:

– Żadnej z sióstr klauzurowych nie wolno wychodzić z klasztoru. Nigdy nie opuszczamy tego miejsca. W uroczyste święta przychodzi z miasta ksiądz, by odprawić dla nas Mszę. W uroczystość Trójcy Świętej Ida jak zwykle była tu z nami.

Kazała przywołać Idę, która – w swojej nieskończonej pokorze – nie chciała wyjaśnić, co się wydarzyło. Przyjęła jednak księdza bardzo uprzejmie – jakby go znała od dawna – i poprosiła, żeby odprawił Mszę w obecności wszystkich współsióstr.

Podczas podniesienia duchowny, który spadł z konia, został całkowicie uzdrowiony ze swojej ślepoty.



Niezwykłe historie o męczennikach i świadkach



Jestem nikim

Z Acta Sanctorum

Aleksy był ukochanym jedynakiem bogatego i potężnego senatora rzymskiego Eufermiana. Ojciec marzył dla syna o wszelkiej pomyślności, jaką życie mogło mu zaoferować, próbując wyeliminować każde możliwe źródło niezadowolenia.

W ten sposób Aleksy wzrastał w dostatku i beztrosce. Wszystko wydawało się układać jak najlepiej: był młodzieńcem pociągającym, wykształconym, a niejednokrotnie miał okazję wykazać się bystrością i przenikliwością, tak że sam imperator chciał go mieć na swoich usługach.

Nic dziwnego więc, że Aleksy był najbardziej pożądanym kawalerem wśród rzymskich panien, i chociaż młodzieniec nie myślał o ożenku, ojciec także i tym razem znalazł mu najlepszą z możliwych partię.

Tak więc Aleksy ożenił się pewnego pięknego wrześniowego dnia, świętując wydarzenie z przepychem godnym księcia.

Wydawało się, że życie zastrzegło dla tego młodzieńca drogę uprzywilejowaną, rzadko spotykaną w świecie, w którym wszyscy musieli ciężko walczyć, żeby zdobyć jakieś zaszczytne miejsce.

Dlaczego więc Aleksy nie był szczęśliwy? Nie wystarczyło mu to wszystko, co już miał? Jego niezadowolenie dziwiło przyjaciół, którzy w głębi serca mu zazdrościli.

– Jak to możliwe! – myśleli. – Gdybyśmy mogli zająć jego miejsce, bylibyśmy najszczęśliwszymi ludźmi na ziemi!

Tymczasem Aleksy miał w głowie zamęt, chciałby się cieszyć tym, co go otaczało, ale nie mógł; coś mu w tym przeszkadzało, jakby dobiegający z oddali szept, który zabraniał mu być tam, gdzie się znajdował.

– Jesteś bogaty, piękny, zdrowy, jesteś kochany... Czegóż więcej chcesz? – pytał go często ojciec, zatroskany o niespokojnego syna.

– Nie chcę być tym lub tamtym – odpowiedział mu pewnego dnia zdesperowany Aleksy. – Po prostu nie chcę być ani tym, ani tamtym.

Słowa wymknęły mu się mimochodem, a podczas gdy ojciec przyglądał mu się wstrząśnięty, młodzieniec rozumiał, że znalazł odpowiedź na swoje strapienia.

Życie obdarowało go wszystkim właśnie po to, żeby on szukał rzeczy przeciwnej... niczego. Kiedy to sobie uświadomił, doznał olśnienia, i nic już nie mogło pozostać takie, jak było. Rzeczywiście, pewnego dnia Aleksy rozdał wszystko, co posiadał, biednym i opuścił Rzym.

Wiadomość o jego wyjeździe w całkowitym ubóstwie głęboko poruszyła całe miasto. Nie mogło być innego wytłumaczenia, jak tylko nagły przypływ obłędu. Tak, Aleksy musiał oszaleć!

Młody człowiek tymczasem nigdy nie czuł się radośniej, a jego myśli nigdy nie były bardziej przejrzyste, jakby nagle opadła zasłona w jego umyśle, odsłaniając mu coś zupełnie niespodziewanego.

Po opuszczeniu Rzymu udał się do Ostii, a stamtąd statkiem do Palestyny. Zawsze próbował wyobrazić sobie ten kraj, gdzie Jezus żył bogaty jedynie w swoją miłość do Boga.

Dotarłszy do Ziemi Świętej, zmieszał się z najbiedniejszymi, żyjąc jedynie z datków, jakie ludzie zechcieli mu ofiarować. Niczego nie żałował i po raz pierwszy w życiu czuł się naprawdę wolny, nie musząc niczym się wykazywać ani niczego bronić.

Upłynęło siedemnaście lat, w czasie których wieść o nim jako świątobliwym człowieku zataczała coraz szersze kręgi. Kto tylko się do niego zbliżył, był do głębi poruszony pokojem i pogodą ducha, jakie z niego emanowały, a wielu opowiadało o niewytłumaczalnych uzdrowieniach doznanych za jego przyczyną.

Pod portykiem, gdzie zwykł był prosić o jałmużnę, dzień w dzień gromadził się niewielki tłumek.

– Mistrzu – mówili ludzie – jesteście świętym Oświeconym: wskażcie również i nam drogę, którą mamy poążać!

– Mylicie się – odpowiadał pokornie Aleksy. – Jestem tylko pokornym bezwartościowym narzędziem. W rzeczywistości ten, który przed wami stoi, jest nikim.

Lecz słowa te, choć pozostawały niezrozumiałe, zwiększały tylko jego sławę w oczach tych ludzi.

W ten sposób Aleksy był znów w centrum zainteresowania, tym razem bogaty w uznanie innych, podczas gdy jego pragnieniem było ogołocić się z każdej zalety, która mogła czynić z niego kogoś wyjątkowego.

Postanowił zatem kolejny raz wyruszyć w drogę. Udał się do najbliższego portu, prosząc, w zamian za pracę w kuchni, o przyjęcie na statek, który zawijał do portu w Cylicji, i tak odpłynął do tego kraju.

Ale człowiek proponuje, a... Bóg decyduje. Dziwny zbieg okoliczności sprawił, że statek natknął się na groźny sztorm i musiał zmienić kurs, dobijając do portu w Ostii, dokładnie tam, skąd Aleksy wiele lat wcześniej wyruszył.

Świątobliwy człowiek wcale się nie zraził, odczytał raczej to szczęśliwe zakończenie podróży jako znak Boży i dlatego postanowił wrócić do domu, w którym się urodził.

Tego ranka, kiedy przybył do Rzymu, dołączył do grupy biedaków, żebrzących o coś do jedzenia przed pałacem Eufermiana; po czym, kiedy nadeszła jego kolej,

zaklinał służącego, żeby postarał się dla niego o pracę w tym domu, zapewniając, że chętnie podejmie się nawet najnędzniejszych posług.

Sługa zastanawiał się przez chwilę: ten człowiek z wyglądu wycieńczony nie dawał gwarancji siły, mógł jednak wykonywać pewne obowiązki, na które inni słudzy bez przerwy narzekali.

I tak Aleksy został w ojcowskim domu pomywaczem. W ciągu dnia wykonywał najgorsze prace, a wieczorem oddawał się modlitwie w klitce przydzielonej mu w pobliżu piwnicy.

Ponieważ nadal emanowała z niego świętość, robił wszystko, żeby uważano go za przygłupiego, niezdarnego, a nawet leniwego, tak by uniknąć jakiegokolwiek pochwały, i w końcu stał się pośmiewiskiem całej służby.

W ten sposób przeżył kolejne siedemnaście lat, z wolna tracąc siły. Kiedy w końcu zrozumiał, że zbliża się śmierć, wśród powszechnej uciechy poprosił o przybory do pisania.

Sprawa przygłupiego sługi i jego prośby dotarła aż do uszu skryby starego senatora, który, by znaleźć powód do śmiechu, polecił dostarczyć to, o co biedny głupiec prosił.

Przez te ostatnie noce ziemskiego życia, resztką sił, jakie mu jeszcze zostały, Aleksy spisał historię swojego życia, przede wszystkim opowiedział o cudownej mocy pokory, która odziera z bezużytecznej pychy, odkrywając wielkość tego wszystkiego, co wcale nie należy do człowieka.

Spisawszy ostatnie linijki, Aleksy zdjął jedyne ubranie, jakie mu jeszcze pozostało i którego już nie potrzebował: swoje ziemskie ciało.

Była to niedziela rano i w bazylice większej w Rzymie odprawiano Mszę w obecności papieża Innocentego i cesarza Arkadiusza. W trakcie liturgii kościół zadrżał i donośny głos rozległ się w szerokich nawach:

– Szukajcie człowieka Bożego w domu Eufermiana, on będzie modlił się za Rzym!

Wszyscy obecni spoglądali po sobie przerażeni. Wobec tak kategorycznego polecenia nie pozostawało nic innego, jak... udać się do domu starego senatora.

Po przybyciu do okazałego domostwa mały orszak zaczął zastanawiać się, gdzie podjąć poszukiwania, i w pierwszej chwili z pewnością nikt nie pomyślał o klitce obok piwnicy. Jakżeby tam mógł się znajdować człowiek Boży?

Nagle jednak w powietrzu dał się odczuć intensywny zapach jaśminu.

– To z pewnością jest znak! – zawyrokował papież Innocenty.

I wszyscy poczęli podążać wonnym śladem, który zaprowadził ich do małych drzwiczek o niespójnej formie.

Popchnięte z lekka drzwi otworzyły się, ukazując wyciągnięte na nędznym posłaniu, martwe ciało Aleksego. Wszystko dokoła było biedne, ale on wydawał się królem. W dłoniach ścisnął kartki, których nikt nie śmiał dotknąć, aż wreszcie sam papież podszedł i wyjął je delikatnie.

I tak odczytano wobec wszystkich prostą, cudowną historię tego człowieka.

Starego Eufermiana o mało nie zabiła wiadomość, że poniżany i wyśmiewany pomywacz był jego synem, o którego powrocie tyle razy marzył. Pocieszał go jednak widok, że honory, które chciał mu zapewnić, otrzymywał teraz z powodu zupełnie innych zasług.

Ciało świętego zostało przeniesione do bazyliki, gdzie poświęcono mu ołtarz, którego on z pewnością by nie chciał. Jednak z tego ołtarza pocieszał każdego, kto się do niego zwrócił, uczynił też wiele cudów.

Jeśli zdarzy się wam spotkać biedaka zniesławionego i wyśmianego przez wszystkich, uważajcie... bo może na swojej drodze spotkacie świętego Aleksego.

Odwaga Gordiasza

Z Acta Sanctorum

Gordiasz był dzielnym żołnierzem, służącym jako centurion w rzymskich legionach. Należał do szlacheckiej rodziny z Palestyny, która w tajemnicy – z obawy przed prześladowaniami – nawróciła się na chrześcijaństwo.

Jego rodzice starali się wzbudzić w nim miłość do Ewangelii i woleliby, by poświęcił się studiom, ale nieprzeparta rząda zaszczytów i sukcesów przeważała w jego sercu nad wszystkimi innymi aspiracjami.

Wybrał służbę wojskową i jego błyskotliwa inteligencja zaowocowała szybką karierą.

Gordiasz, którego wyróżniały odwaga i zdolności stratega, osiągnął wszystko, czego pragnął: uwielbiali go jego legioniści, miał liczne włości, niewolników, bogactwa, poznał także smak miłości. A jednak, pomimo rozrywek i przywilejów, jakimi mógł się cieszyć, młodego centuriona dręczył bliżej nieokreślony niepokój i głęboki smutek.

Niezadowolenie z dostatniego życia wywoływało w jego duszy stały konflikt pragnień i uczuć.

Zaczął podróżować. Porzucił życie rodzinne, luksus, obowiązki wojskowe, i rozpoczął życie tułaczę. Był przekonany, że uroki nieznanых miejsc oczarują jego duszę i wyciszą wewnętrzne rozterki. Był pewien, że znajdzie to, czego szukał, nawet jeżeli nie widział jeszcze, co miałoby to być. Podróżował i podróżował. Odwiedzał miasta i wioski, pokonywał góry, pagórki i pustynie, przekraczał

rzeki i jeziora oraz żeglował po morzach przez wiele lat. Podziwiał bogate kraje. Obserwował ze zdumieniem różne krajobrazy i różne ludy. Poznał nowe języki i nowe kultury. Nauczył się mnóstwa rzeczy w czasie swoich podróży. Gdy jednak kończyła się wyprawa i osiągał wyznaczony cel, jego duszę ogarniała niewypowiedziana udręka i wracał ten nieugaszony niepokój, który odbierał mu dech w piersiach. Wtedy ruszał nowym szlakiem ku nowemu przeznaczeniu.

Aż pewnego dnia spotkał starego mnicha, który żył z kilkoma towarzyszami na pustyni Kumran. Mnich zabrał go do swej wspólnoty, nakarmił i wysłuchał jego historii.

Po kilku dniach mnich zaproponował Gordiaszowi, żeby pozostał przez jakiś czas na pustyni, prowadząc wraz z innymi mnichami ubogie, kontemplacyjne życie.

Gordiasz zgodził się. Był zmęczony podróżowaniem i stracił już nadzieję, że jego skołatane serce odnajdzie upragnioną odrobinę spokoju.

W tych dniach na nowo usłyszał ewangeliczne przypowieści, czytane w czasie modlitwy przez mnichów. Tyle razy je słyszał, opowiadane ledwie słyszalnym głosem przez matkę, ale teraz wydawało mu się, że słyszy je po raz pierwszy. Brzmiały jak muzyka, która dotykała duszy i przywracała życie ciału. Spadały jak orzeźwiający deszcz na spękaną i rozpaloną ziemię, którą zdawał się nosić w piersi.

Gordiasz został mnichem na pustyni.

Co roku obchodzono w Cezarei Palestyńskiej wielkie święto ku czci Marsa, organizując zawody i widowiska w amfiteatrze. Tego roku miał przybyć sam cesarz.

W dniu inauguracji cały lud zgromadził się na stadionie. Nikogo nie brakowało. Obecni byli Żydzi i poganie, Grecy i Rzymianie, mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy, żołnierze i zwykli ludzie. Nieprzebrany tłum siedział nie-

dbale na marmurowych stopniach widowni, w oczekiwaniu na niezwykle widowisko, które niebawem miało się rozpocząć. Wyścig zaprzęgów konnych powożonych przez najznamienitszych woźniców z Palestyny miał otworzyć zawody.

I właśnie w tym momencie gorączkowego oczekiwania pojawił się Gordiasz, dotychczas oczekujący samotnie na uboczu. Torując sobie drogę wśród tłumu, szorstki, zarosnięty, z długimi włosami, twarzą spaloną od słońca, odziany w kożłecą skórę, postępował zdecydowanym krokiem ku środkowi areny, gdzie wzniesiono podium.

Wszedł na podest i donośnym, pewnym głosem zwrócił się do zgromadzonej publiczności:

– Przyszedłem z pustyni, by wyznać moją wiarę chrześcijanina, by potępić kult kłamliwych bożków. Nie straszne mi są wasze groźby i nie cofnę się wobec okrucieństwa katów, jeśli to będzie konieczne. Im będą surowsi dla mnie, tym większa będzie moja nagroda w niebie.

Po tych odważnych słowach na arenie zapanowała całkowita cisza. Ucichł odgłos wozów. Przestały rzeć konie. Umilkły okrzyki woźniców i próbne akordy muzyków. Wszyscy wspinali się na palce, by zobaczyć tego łachmaniarza, dziwnego i nieustraszonego, który głosił, że jest chrześcijaninem.

Z rozkazu prefekta Gordiasz został przesłuchany wobec wszystkich.

Kiedy się okazało, że jest człowiekiem szlachetnie urodzonym, powszechnie znanym i ma stopień rzymskiego centuriona, chciano wiedzieć, dlaczego porzucił karierę wojskową, bogactwa i rodzinę.

– W życiu cieszyłem się powodzeniem wśród kobiet i moich legionistów, miałem majątek, niewolników i bogactwa, jednak uciechy tego życia nie uczyniły mnie człowiekiem szczęśliwym. Wyruszyłem na poszukiwanie czegoś, co mogło dać trochę spokoju i pogody mojemu udrę-

czonemu sercu, ale odbywszy wiele długich podróży, nie znalazłem cennego skarbu, którego szukałem. Kiedy się zatrzymałem, zrozumiałem, że nikt nie stawia czoła podróży dłuższej i trudniejszej niż ten, kto podejmuje pielgrzymkę do wnętrza własnego serca. Moje serce jest teraz na służbie innego władcy, Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, i dla Niego gotów jestem nawet umrzeć, byle tylko ogłosić wszystkim, jak bezcenny skarb posiadałem.

Oburzenie, protesty i obelgi podniosły się w każdej części widowni, obecni na widowni Żydzi rozdarli szaty.

W obecności cesarza, prefekt pośpiesznie skazał Gordiasza na ścięcie od razu amfiteatrze.

Gordiasz, z rozpromienioną twarzą, zdecydowanym krokiem zbliżył się do katów, lecz kiedy jego głowa upadła odcięta jednym ciosem topora, na niebie rozległ się potężny grzmot i straszliwa burza zmusiła widzów do opuszczenia amfiteatru.

Deszcz padał przez siedem dni i siedem nocy, obracając arenę w muliste bagno. Cesarz zmuszony był wyjechać. Tego roku obchody ku czci Marsa nie odbyły się.



Kobieta z owieczką

Legenda przypisywana świętemu Ambrożemu

Pewnego ciepłego letniego dnia, jakiś student przemierzał plac w pewnym wielkim mieście, znanym z pięknych starych kościołów. Przygotowywał dyplom na wydziale architektury i chciał zawrzeć w swej pracy historię tych wspaniałych budowli. Właśnie tego ranka postanowił odwiedzić jedną z najważniejszych katedr, kiedy – poniekąd ze względu na nieznośną duchotę, poniekąd chcąc uciec przed zgiełkiem ulicznym w godzinach szczytu – zdecydował się wejść do kościoła stojącego przy placu.

Kiedy wszedł, rozejrzał się bacznie dookoła w poszukiwaniu czegoś wyjątkowego, ale kościół wydał mu się zupełnie zwyczajny; zapewniał jednak trochę chłodu i miejskie odgłosy docierały tu przyjemnie stłumione.

Po bokach nawy głównej ciągnęły się rzędem małe kapliczki, każda z wizerunkiem świętej postaci i żelaznym stoliczkiem, na którym świeciły wesoło liczne światełka. Student nie był człowiekiem szczególnie religijnym, ale teraz, już po odbytych studiach, umiał rozpoznać większość postaci przedstawionych w niszach.

Niepokalana... święty Józef ze swoim kijem... święty Piotr ukrzyżowany głową w dół... A to? Zatrzymał się zaintrygowany przed obrazem młodziutkiej kobiety, która trzymała w ramionach liść palmy i małą owieczkę.

To płótno zafascynowało go tak bardzo, że nie mógł oderwać od niego wzroku. Dlatego usiadł w ławce, z której mógł je wygodnie obserwować.

Przedstawiało z pewnością młodą dziewczynę ze starożytnego Rzymu: wskazywało na to, jak szybko zauważył, jej odzienie, ale również profil twarzy, idealny owal z nosem prostym i ostrym, ciemnymi i przenikliwymi oczami, z których emanowała pewność siebie oraz godność, i wąskimi ustami delikatnie wygiętymi w uśmiechu.

Nasz student zastanawiał się, co za artysta uwiecznił ją z taką wprawą... a może to sama dziewczyna swoją poruszającą urodą tchnęła życie i duszę w to płótno.

– Nie poznajesz jej? – zapytał czyjś głos tuż obok.

Chłopak podskoczył: tak bardzo zajęty był wpatrywaniem się w obraz, że nie zauważył, iż nie jest już sam. Obok niego siedziała starsza kobieta i uśmiechała się; emanowało z niej to szczególne wewnętrzne piękno, które przychodzi jedynie z wiekiem, jeżeli życie wydało dobre owoce.

– Szczerze mówiąc, właśnie jej nie poznałem. Czy pani wie, kto to jest?

– Ależ oczywiście – odpowiedziała kobieta. – Noszę jej imię i wiem o niej wszystko... Chcesz poznać jej historię?

– Byłbym rad, ale nie chcę zabierać pani czasu... – odpowiedział, nie umiejąc wytłumaczyć sobie przyczyny tego nieprzewartego pragnienia wysłuchania historii „dziewczyny z owieczką”.

– Czas nie stanowi dla mnie problemu, mój synu. Zatem posłuchaj... – i starsza pani usiadła obok niego, zaczynając swoją opowieść.

– Nazywała się Agnieszka i jej uroda, jak sam zauważyłeś, była niezwykła. Każdy, kto ją spotkał, zatrzymywał się pełen podziwu, pociągnięty wyrazem tej twarzy. Nie tylko doskonałość kształtów wyróżniała Agnieszkę, ale coś głębszego, jakby emanował z niej ogień, który tworzył wokół jej postaci świetlistą aurę.

Zakochany w niej był do szaleństwa syn prefekta, który dałby wszystko, byle tylko jego uczucie zostało

odwzajemnione. Wiele razy prosił ją o rękę, oferując to, o czym żadna kobieta w Rzymie nie śmiała nawet marzyć, ale Agnieszka nie wydawała się zainteresowana ani miłością młodzieńca, ani tym, co jej oferował.

Pewnego dnia uznała jednak za słuszne usprawiedliwić się przed nim; liczyła bowiem na to, że postawiony wobec faktu, który nie pozostawi mu żadnej nadziei, przestanie cierpieć. Zwierzyła mu się zatem, że jest już zakochana w kimś, kogo z nikim innym nie można porównać, kto nie oferował jej nic z tego, co można sobie wyobrazić, ale coś, co jest warte o wiele więcej. Poprosiła go więc, żeby nie zaprzętał sobie nią głowy i skierował swą miłość ku dziewczynie, która mogła odwzajemnić jego uczucie i uczynić go szczęśliwym.

Po tych słowach, wypowiedzianych łagodnie, ale i z determinacją, młodzieniec wrócił do pałacu pogrążony w rozpacz, czując, że nigdy nie będzie mógł konkurować z tajemniczym rywalem.

Minęło trochę czasu i prefekta zaczął niepokoić poważnie stan depresji, w jaki popadł jego syn. Postanowił dowiedzieć się zatem, kim jest ukochany tej upartej dziewczyny, i silny swą władzą, rozesłał po całym Rzymie najlepszych informatorów.

Jeden z nich szczególnie nienawidził Agnieszki, gdyż sam był w niej po kryjomu zakochany, i jak to się często zdarza wśród ludzi, radował się na myśl, że może zniszczyć to, czego nie mógł osiąść.

Udał się więc do prefekta i opowiedział mu, że Agnieszka należy do sekty chrześcijan, i że wielu z nich opamiętało do tego stopnia sztuki magiczne, że uważają się za ślepo zakochanych w człowieku ukrzyżowanym wiele lat temu w Jerozolimie. Osobiście uważał, że nie można kochać kogoś, kogo nawet się nie zna, i kto, na dodatek, już umarł, nie dając tym samym świadectwa głębokiego

niezrównoważenia umysłowego, z pewnością wywołanego złym wpływem jakiejś ciemnej mocy.

Po części podniesiony na duchu tą wiadomością, która pozwalała mieć nadzieję, że nie ma żadnego urodziwego młodzieńca w życiu Agnieszki, prefekt postanowił przywołać ją do swojego pałacu, by osobiście zbadać sytuację.

Kiedy ją zobaczył, poczuł jednak dziwne zmieszanie: była nie tylko piękna, ale emanowało z niej coś podobnego do ciepłego i wartkiego potoku, który poruszał serce. Nie był w stanie nawet potraktować jej zbyt szorstko, jak to miał w zwyczaju. Próbował natomiast zwabić ją słowami i propozycjami, o których z doświadczenia wiedział, że nie pozostają kobiecie obojętne.

Jednak Agnieszka nie była kobietą jak inne i wszystko, do czego się uciekał, sądząc, że poruszy jej kobiecą naturę, spotykało się z całkowitą obojętnością.

Wobec tak jawnego niepowodzenia prefekt, rozgniewany, zmienił taktykę, sięgając po zupełnie inne sposoby; próbując przekonać dziewczynę do poślubienia syna, nie omieszkał nawet zagrozić jej strasznymi torturami.

Lęk, który krył się w sercu Agnieszki jak w sercu każdego innego człowieka, w tym momencie wybuchł z całą mocą. Była młoda i kochała życie: jak tu nie lękać się bólu i śmierci? Nauczono ją, że życie jest wielkim Bożym darem, ale że również odwaga, by bronić tego, w co się wierzy, czyni je prawdziwie godnym.

Agnieszka była zakłopotana: rozum wystawiał do walki swoich żołnierzy, jednego po jednej stronie, drugiego po drugiej, jak zawsze naprzeciw siebie. Co począć?

Nie pozostało nic innego, jak jednym susem przeskoczyć rozum i zanurzyć się w sercu: i tak dziewczyna pozostała nieugięta w swojej stanowczej odmowie.

„Sama tego chciała” – pomyślał prefekt, jakby chciał sobie ulżyć, i zwołał jeszcze tego samego dnia trybunał,

który miał osądzić Agnieszkę jako członkinię fanatycznej sekty chrześcijan.

Przeciwko nim grzmiał najbardziej zażarty z sędziów rzymskich: „...nie można dalej tolerować podobnego gniazda żmij w sercu miasta! Chrześcijanie to wariaci, zwolennicy niebezpiecznych utopii, i dlatego powinni być znieszczeni”.

Przedstawił jednak Agnieszce, ze względu na jej nieodpowiedzialny młody wiek, jeszcze jedną szansę: ocali życie, jeżeli przyłączy się do westalek w świątyni.

Ale jak mogłaby skłonić się przed pustym posągim, kiedy w jej sercu gorzał płomień jedyne go żyjącego Boga! Na samą myśl przechodziły ją ciarki: świątynia Westy zdawała się jej podobna do czarnego grobu, w którym jej dusza powoli by umarła.

– To jest twoja ostatnia szansa – powtórzył prefekt. Albo przyłączysz się do dziewic, które czczą boginię Westę, albo zostaniesz zaprowadzona na plac prostytutek i tam podzielisz los innych nieszczęśnic, które oddają swoje ciało nie szlachetnej miłości, a jedynie pożądaniu zmysłów.

– Nie wiesz, co mówisz – odpowiedziała spokojnie Agnieszka, pewna swoich słów jak nigdy dotąd. – Nic nie dzieje się bez woli Bożej i jeśli On tego będzie chciał, to nikt nie dotknie mojego ciała.

„Głupia dziewczyna” – pomyślał zirytowany prefekt, zastanawiając się, za pomocą jakiego demonicznego czaru chrześcijanie zdołali tak skutecznie omotać ten młody umysł.

Wyrok ogłoszono natychmiast: Agnieszka miała zostać zaprowadzona na plac prostytutek, obnażona i pozostawiona tam dla powszechnej uciechy. I tak, usadzona na rozchwianym wozie, młoda chrześcijanka została odprowadzona na plac o złej sławie, gdzie mogło zostać zaspokojone każde najobrzydliwsze cielesne pożądanie.

Wrzucono ją do celi wychodzącej na ulicę i tam zaczęli ją obnażać. Ale w miarę jak zdzierano z niej szaty, włosy zaczęły szybko rosnać i w końcu jej nagość osłoniła bujna czupryna, ciężka i miękka jak drogocenny płaszcz.

Wieść, że młoda i piękna kobieta znalazła się wśród prostytutek, przyciągnęła liczną grupę osób, ale każdy, kto zaglądał do celi Agnieszki, widział tylko oślepiające światło, przed którym nie można było nie uklęknąć w pełnym szacunku milczeniu.

Syn prefekta śledził całą sprawę z rozterką w sercu, rozdarty pomiędzy ślepą miłością i równie wielką nienawiścią. Może wydać się to absurdalne, że te dwa, tak skrajnie przeciwstawne uczucia mogą współistnieć w jednym sercu, ale jest to huśtawka światła i cienia.

Tak więc pewnego wieczoru, bardziej niż zwykle zdjęty niepokojem, szukał towarzystwa najbliższych przyjaciół, by wspólnie zjeść kolację, a przede wszystkim utopić w kielichu pełnym wina swoje troski. Zapadła już głęboka noc, kiedy postanowili udać się na plac prostytutek, by dać nauczkę tej głupiej chrześcijance.

Po placu kręciło się już niewielu podejrzanych mężczyzn, zataczających się bardziej pod wpływem alkoholu niż pożądania. Miejsce wyglądało żałośnie, a cele otwierały się na bruk jak liczne usta czarne i bezzębne.

– Wejdźcie i zabawcie się do woli – powiedział syn prefekta do przyjaciół, podczas gdy jego oczy wypełniała przerażająca złość.

– Jesteś pewien, że tego chcesz? – zapytał jeden z nich.

– Powiedziałem wam, żebyście weszli! – wrzasnął młodzienc.

Powróciła cisza. Jedynie kilku pijaków mamrotało bezładne słowa, a kilka kobiet podśmiewało się z nich gdzieś w rogu.

Nie minęło wiele czasu, kiedy grupa młodzieńców wróciła do przyjaciela.

- No i co? – zapytał ponuro.
- No i... nic! – odpowiedzieli z pobladłymi twarzami.
- Posłuchaj nas, chodźmy stąd. Ona nie jest kobietą jak inne. Albo jest boginią, albo jest demonem: z pewnością nie należy do ziemi, ale do Olimpu.
- Zniewieściali głupcy, pokażę wam, do kogo należy!
- To mówiąc chłopak przemierzył biegiem plac i zniknął w ciemności.

Za progiem stała Agnieszka, jego ukochana Agnieszka, która ośmieliła się odepchnąć go i której on teraz odbierze godność i życie. A ona stała tam, świetlista jak gwiazda w ciemności i równie odległa. Młodzieniec zatrzymał się tylko na chwilę, po czym sam jej widok rozpałił w nim na nowo ogień tak potężny, jak ten piekielny.

Rzucił się na nią jak wilk na małą owieczkę, ale kiedy jego ręce dotknęły ciała Agnieszki, młodzieniec upadł na ziemię porażony.

Kiedy zobaczyła jak wchodzi, drżała ze strachu, gdyż bardziej niż każde inne uczucie, miłość może okazać się siłą niszczącą; ale potem, patrząc na młode ciało nieruchome u jej stóp, Agnieszka poczuła głęboką litość. Pomyslała w tej chwili, że może kocha tego młodego człowieka, nawet jeśli nie tak, jak on by tego chciał.

Prefekt powiadomiony natychmiast o tym, co się stało, zdjęty niepokojem udał się pośpiesznie tam, gdzie leżał syn. Objął ciało bez życia i długo płakał.

Agnieszka obserwowała go ze smutkiem, kiedy zwrócił się do niej szlochając:

- Dlaczego poraziłaś właśnie jego, a nie innych? Dlaczego właśnie mojego chłopca?
- To nie ja go poraziłam! Ten, kto wszedł tu przed nim, dostrzegł obecność anioła wysłanego przez Boga, żeby bronić mojego ciała, ale tylko twój syn, zaślepiiony żądzą, wyciągnął ręce ku mnie i anioł go poraził.

– Teraz wiem, że Bóg, o którym mówisz, jest naprawdę obecny i potężny. Błagam cię, Agnieszko, poproś Go, żeby się zlitował i przywrócił mi jedynego syna!

– Mogę poprosić, ale nie jest w mojej mocy zmienić to, co ma być. Jeśli Bóg zechce, twój syn zostanie ci przywrócony.

I tak Agnieszka usiadła na kamiennej posadzce i położyła na piersi głowę młodego rzymianina; następnie zamknęła oczy i modliła się.

Małe krople potu zrosiły jej czoło i spadały na martwą twarz chłopca, podczas gdy poświata wydawała się igrać, muskając to ją, to jego. Kiedy otworzył oczy, zobaczył spoglądającą na niego bladą twarz Agnieszki i uśmiechnął się do niej. Silne poruszenie zjednoczyło ich na krótką chwilę i odtąd nigdy się już nie zobaczą.

Gdy młodzieniec podnosił się podtrzymywany przez ojca, oddział straży wkroczył na plac i wyciągnął Agnieszkę, tak że nikt nie mógł stanąć w jej obronie.

Prefekt i jego syn, tak jak ci, którzy byli obecni przy cudownym uzdrowieniu, nawrócili się na chrześcijaństwo, ale musieli pośpiesznie uciekać z Rzymu i przez długi czas byli prześladowani jako zdrajcy.

Agnieszkę umieszczono w więzieniu prefekta Aspazjusza, który skazał ją na spalenie na stosie. Ale jeszcze raz anioł Boży zażartował z jej prześladowców. Za każdym razem, kiedy podpalano ogień, czerwone rozzarzone języki tańczyły wszędzie, tylko nie dokoła ciała dziewczyny.

Zgromadzeni wokół stosu rzucili się do panicznej ucieczki, wydawało się, że każde polano upatrzyło sobie jedną osobę i nie popuszcza jej... powstało ogromne zamieszanie, tymczasem Agnieszka nie została nawet muśnięta przez płomień.

Aspazjusz był wściekły na tę chrześcijankę, która przysporzyła mu już wystarczająco dużo kłopotów, przemieniając nawet jego poprzednika wraz z synem i jego

przyjaciółmi w wiernych fanatyków tego Boga, który wprowadzał zamęt gdzie tylko się pojawił. Przebrana została wszelka miara! Postanowił zatem, że Agnieszka zostanie zarżnięta jak owca.

Dobiegł kresu jej czas i tak miało być. Agnieszka odsłoniła swoje gardło przed katem, jak owieczka przed rzeźnikiem... ale krew nigdy nie płynie na próżno...

– Wybacz, chłopcze, ale nie przychodzi się do kościoła, żeby spać.

Nasz student zerwał się zdrętwiały, spoglądając ukosem na księdza, który delikatnie potrząsał go za ramię.

– Ależ, prawdę mówiąc, słuchałem opowiadania o tej świętej... Agnieszce, jeśli się nie mylę... – odpowiedział chłopak, spoglądając w kierunku ołtarza.

– Tak, oczywiście, że to Agnieszka, ale tutaj od kilku godzin nikt nie wchodził; zatem nie wiem, kto mógłby ci opowiadać jej historię – odpowiedział ksiądz, zaczynając przyglądać się chłopcu podejrzliwie.

– Ależ, proszę księdza, nie widział ksiądz starszej pani, która siedziała obok mnie?

– Zdecydowanie nie; a teraz wybacz, ale muszę wracać do konfesjonału. Jeśli chcesz, zostań, ale bądź tak uprzejmy i nie śpij! – Co powiedziawszy, pośpieszył do zakrystii.

– Agnieszka... – wyszeptał chłopak i spoglądając na wspaniałą istotę, która trzymała w ramionach palmę męczeństwa i owieczkę – symbol niewinności, uśmiechnął się do niej. Następnie rozejrzał się śpiesznie dookoła, by się upewnić, że nikt go nie widzi. Teraz ten gest wydawał mu się głupi, ale uczynił go jakoś tak spontanicznie, prawie z poufałością. Nie mógł oderwać się od tego miejsca, ale zrobiło się już późno i musiał iść. Zanim wyszedł, spojrzał na nią raz jeszcze... było coś dziwnego... ale co to było?

Siedmiu śpiących

Stara legenda syryjska

Opowiadają, że w Azji Mniejszej, w nadmorskim mieście Efez (obecnie Turcja), mniej więcej dwieście lat po śmierci Chrystusa miał miejsce cud siedmiu śpiących.

Zegar historii zdecydował, że region ten, otoczony ciepłymi wodami Morza Śródziemnego, był wówczas terytorium podbitym przez Rzymian, którzy wprowadzili kult wielu większych i mniejszych bogów, jednych zdanych na kaprysy drugich.

Z biegiem lat do Efezu dotarło również wielu chrześcijan, uciekinierów z Palestyny, głoszących poglądy do tego stopnia nowe i rewolucyjne, że nie spuszczano ich z oka i trzymano na marginesie społeczeństwa, jako niebezpiecznych wywrotowców.

Wspólnota powiększyła się jednak i zorganizowała, tworząc rodzaj miasta w mieście.

Przez pewien czas sprawy nie układały się tak źle: pogańskie świątynie z jednej strony i prymitywne kościołki chrześcijańskie z drugiej. Oczywiście te pierwsze były bogate i rzucały się w oczy, podczas gdy te drugie musiały być biedne i niepozorne.

Aż do momentu, kiedy do Efezu przybył cesarz Decjusz, znany w całym imperium z okrucieństwa, z jakim prześladował wyznawców nauki Jezusa, która według każdego zdrowo myślącego już dawno powinna zniknąć, jak śnieg na słońcu.

Cesarz niezwłocznie dał odczuć wszystkim ciężar swego jarzma, zmuszając każdego mieszkańca Efezu do publicznego wyznania wiary w bogów rzymskich, którym wszyscy mieli oddać hołd i złożyć ofiary.

Chrześcijanie nie umieli od razu zareagować na to nagłe zaostrenie wrogości wobec nich i wspólnota rozpierzchnęła się, próbując przeżyć jak kto mógł.

Wielu ukryło się, żeby ocalić życie, innym zabrakło odwagi do stawienia oporu i okazywali żądane oznaki pobożności względem obcych bogów, jeszcze inni nie dali się zastraszyć i oddali życie za własne poglądy.

Nauka Chrystusa zdobyła serca nie tylko ludzi biednych, ale również młodych z dobrze sytuowanych rodzin efeskich, i oni jako pierwsi musieli dokonać trudnego wyboru, od którego przecież zależało ich życie.

Wśród tych młodzieńców było siedmiu wskazywanych przez wszystkich jako prozelici Nazarejczyka, którzy, nawet jeśli początkowo zdołali uniknąć gniewu Decjusza, musieli w końcu wyjść z ukrycia i wyznać swoją wiarę.

Młodzieńcy pochodzili z rodzin, których z politycznego punktu widzenia lepiej było nie atakować, nie podejmując przynajmniej próby rozwiązania sytuacji w sposób bezkrwawy. Dlatego cesarz postanowił dać im możliwość wyboru, zanim podejmie ostateczną decyzję.

Maksymilian, Malko, Martynian, Dionizy, Jan, Jamblik, Serapion i Konstanty, takie nosili imiona, postanowili podjąć próbę ocalenia życia, nie wypierając się jednak tego, w co mocno wierzyli. Dlatego pod osłoną ciemności wymknęli się otuleni w płaszcze.

Z pewnością Mądrość Boża czuwała nad nimi podczas wędrówki po skalistych zboczach górujących nad miastem i doprowadziła ich do jaskini, która z kolei przyczyni się do przyszłej chwały ich imion i do wypełnienia planów Opatrzności.

Nie byli przyzwyczajeni do surowych warunków życia, jakie panowały w górach, początek był dość trudny, ale potem ich położenie uległo poprawie i chociaż musieli stale mieć się na baczności, kryjąc się wśród skał i zarośli, siedmiu młodzieńcom udało się zadomowić w tym środowisku.

Natura zaspokajała podstawowe potrzeby, jednak co siedem dni, na zmianę, jeden z nich musiał wędrować do miasta, by zdobyć przynajmniej kilka bochenków chleba i zebrać wiadomości o tym, co działo się w Efezie.

Pewnego ranka o świcie Malko opuścił kryjówkę i wyruszył do miasta, gdzie zastał duże zamieszanie. Cesarz, czując się ośmieszony przez siedmiu młodych ludzi, rozesłał swoje najsrozsze strażę na ich poszukiwanie, obiecując sowitą nagrodę dla tego, kto ich wytropi.

Mówiono, że każdy zaułek w mieście i na wsi ma być przeszukany i że nawet góra zostanie zbadana krok po kroku. Decjusz za nic w świecie nie pozwoli zbiec tym siedmiu spryciarzom, słowo cesarza!

Przerażony, Malko wrócił mocno zdyszany na górę i opowiedział towarzyszom, co się dzieje w mieście.

Co począć? Właśnie rozważali, co dalej robić, kiedy ni stąd, ni zowąd pojawiła się nagle duża łania, która zamiast uciec w gęstwinę leśną, jak to zazwyczaj czynią te nieśmiałe stworzenia, wydawała się zwracać właśnie do siedmiu chłopców, wskazując im ścieżkę, którą przyszła, by przemierzyli ją wraz z nią.

Znak losu był tak wyraźny, że nasi młodzieńcy bez zastanowienia podążyli za łanią, która szła przodem majestatyczna i spokojna, aż doprowadziła ich do ujścia jaskini, której nigdy przedtem nie zauważyli w czasie tych dni spędzonych na górze.

Co to wszystko miało znaczyć? Chłopcy rozejrzeli się dookoła w poszukiwaniu łani, ale tak jak się pojawiła, tak teraz znikła.

Na pierwszy rzut oka grota wydała się sucha i przytulna. Panowała w niej atmosfera pełna pokoju i bezpieczeństwa, która natychmiast wlała w dusze młodzieńców nową siłę i przekonanie, że to miejsce – doskonała kryjówka – zostało wybrane dla nich przez niewidzialną siłę. Młodzieńcy zabrali się z zapalem do zbierania porozrzucanych w okolicy kamieni, by zmniejszyć wejście do groty, podczas gdy jeden z nich, pod wpływem jakiegoś osobliwego natchnienia, postanowił wyźłobić ostrzem noża ich imiona i datę dla upamiętnienia tego pracowitego dnia.

Otwór miał teraz wielkość niewielkiej dziury. Chłopcy objęli ostatnim spojrzeniem delikatne promienie słoneczne, którym jeszcze udawało się przedostać do środka, a potem zapanowała już tylko ciemność.

Młodzi ludzie ułożyli się jeden obok drugiego, by dodać sobie otuchy. Z wolna okryła ich jakby miękka kołdra, opanowało delikatne odrętwienie, które przerodziło się w sen, po czym zeszli kolistymi ruchami po czarnej spirali do tajemniczego królestwa nieświadomości.

Tymczasem cesarz nie zrezygnował z poszukiwania siedmiu zbiegów, zobowiązując całe miasto pod karą śmierci do szukania wszelkich możliwych kryjówek w obrębie murów i poza nimi.

Grupa mężczyzn i żołnierzy dotarła właśnie do stosu kamieni, który zamykał wejście do naszej jaskini, ale za każdym razem, kiedy próbowali się zbliżyć, niebo zciemniało się i gwałtowny wiatr nie pozwalał im na jakikolwiek ruch; jednocześnie straszliwe bestie schodziły się ze wszystkich stron, groźnie mrucząc.

Przestraszeni tymi dziwnymi znakami, ludzie cesarza powrócili do miasta i wszystko z przejęciem opowiedziano okrutnemu Decjuszowi, na którym oczywiście nie zrobiło to wrażenia.

– Dobrze – zawołał – jeśli znajdują się tam w środku, zamurujemy wejście; w każdym razie tak czy inaczej uwolnię się od nich!

I tak uczyniono. Jeden z murarzy wysłanych na górę, potajemny wyznawca wiary chrześcijańskiej, postanowił jednak wykuć na jednym z kamieni historię siedmiu męczenników, ich imiona i datę tego straszliwego wydarzenia.

Na zewnątrz jaskini dni biegły zwyczajnym rytmem. O siedmiu młodych ludziach zapomniano, a czas pogrzebał również cesarza Decjusza i całą tę historię, by pisać różne nowe, ciągle nowe.

Trzysta lat później wszystko się zmieniło i z woli Bożej w imperium rzymskim nastali władcy mądrzejsi i bardziej tolerancyjni, którzy potrafili otworzyć dusze na chrześcijańską naukę.

W Efezie panował wtedy Teodozjusz, który chcąc ułatwić życie górskich pasterzy, ze względu na ich bezcenną wartość dla miejskiej ekonomii, wysłał kilku mistrzów murarskich, by dokonali oględzin i zdecydowali, gdzie jest najdogodniejsze miejsce na budowę szałasów dla ludzi i zwierząt.

Gdzie dotarli robotnicy? Właśnie tam, gdzie wiele lat wcześniej Decjusz dopełnił swojej okrutnej zemsty.

– Spójrzcie tu – powiedział jeden z murarzy. – Wydaje się, że tu jest zamurowana jaskinia; czy nie jest to odpowiednie miejsce do naszych celów!

Zaczęli więc usuwać kamienie zamykające otwór, by dostać się do groty. Potem, utrwaliwszy sobie to miejsce w pamięci, żeby móc tu wrócić w późniejszym czasie, kontynuowali swoje poszukiwania.

Światło dzienne z trudem przedzierało się przez ciemność, która nie dopuszczała go przez tyle lat. Natychmiast promień słońca wślizgnął się do groty, obejmując każdy

kat, oświetlając również naszych siedmiu młodzieńców, którzy leżeli nietknięci, jakby czas o nich zapomniał.

Malko obudził się pierwszy, przeciągając się, jak to zwykle robią po długim odpoczynku; po czym po kolei wszyscy inni, siadając, próbowali uporządkować to, co zmaćił sen.

– Posłuchajcie – powiedział Maksymilian. – Wziąwszy pod uwagę to, co Malko opowiedział nam wczoraj wieczorem, i to, że w żadnym razie nie możemy ulec cesarzowi, radziłbym ponownie zejść do miasta, żeby zobaczyć, jaka jest sytuacja dziś rano.

– Zgadza się – odpowiedział Malko – ale dzisiaj również pójdę ja, gdyż wiem teraz lepiej od was, jak poruszać się po mieście.

Tak postanowiwszy, pewny siebie i nieco nieprzytomny, jak każdy młody człowiek, szybkim krokiem zszedł w dolinę.

Dotarłszy w pobliże murów, zauważył od razu, że coś dziwnego musiało wydarzyć się w nocy: domy wiejskie wydawały się liczniejsze i większe. „Noc spędzona w grocie musiała mi pomieszać w głowie” – pomyślał, podśmiewając się z tej osobliwej sytuacji, która jednakże stawała się coraz bardziej dziwna, w miarę jak Malko zbliżał się do miasta.

Co też sobie pomyślał, kiedy nad północną bramą miasta zauważył znak chrześcijańskiego krzyża? Może, że jeszcze śni? Wchodząc jednakże miał się na baczności, tak samo jak tego dnia, który uważał za poprzedni.

Jego zdumienie było jeszcze większe, kiedy musiał przyznać, że w mieście wszystko się zmieniło: nie poznawał żadnego sklepu ani żadnego przechodnia, a jeszcze mniej ich porannych strojów. A ten kościół? Mógł przysiąc, że dzień wcześniej go nie było!

Kościół w Efezie? Symbole chrześcijańskie na drzwiach domów? A więc to prawda: stres dni spędzonych w górach zakpił sobie z jego rozumu. Chyba zwariował?

„Wejdę do sklepu piekarza – pomyślał – wezmę bochenek chleba i zapytam, co się stało. Farius jest moim przyjacielem i nie dalej jak wczoraj obiecał mi pomóc”.

Ale jaki tam Farius! Przy ladzie stał jakiś nieznany człowiek. Zdecydowany za wszelką cenę rozwikłać zagadkę, Malko zapytał ostrożnie, czy znajduje się w Efezie, i oczywiście piekarz odpowiedział twierdząco, myśląc, że ten nieco dziwny młodzieniec jest tu obcy.

Dla naszego przyjaciela sytuacja stawała się coraz bardziej dramatyczna. Gdyby chociaż pomylił drogę i miasto! Natomiast nie, był właśnie w Efezie.

– Przepraszam, ale cesarz Decjusz nie rozesłał wczoraj swoich ludzi przeciwko siedmiu młodym chrześcijanom, którzy uciekli? – ośmielił się zapytać Malko, nie wiedząc jak rozwiązać narastający zamęt w głowie.

Piekarz spojrzał na niego wytrzeszczonymi oczami, a nawet zaczynał się bać tego młodego człowieka, myśląc, że może być wariatem albo jeszcze gorzej, opętanym przez diabła.

– Mój drogi chłopcze – odpowiedział zakłopotany – nie wiem, kim jest ten Decjusz. Jeśli chcesz chleba, weź, zapłać i idź sobie.

Malko nie śmiał więcej pytać, wyciągnął jedną dłoń, by wziąć chleb, a drugą wydobył jedną z monet, którymi zazwyczaj płacił, aż do poprzedniego dnia.

Kiedy piekarz zobaczył monetę, stanął jak wryty. Cóż to za dziwny pieniążek? Z pewnością jakaś stara moneta, ukradzioną z jakiegoś ukrytego skarbu. Może to był złodziej, ale kimkolwiek był, trzeba było zawołać strażę, żeby go zaprowadziły do biskupa.

Biedny Malko nie wiedział już, co począć i co myśleć; może biskup był osobą wykształconą i sprawiedliwą i pomoże mu: taką miał tylko nadzieję.

Biskup Artemon troszczył się o swoje miasto sprawiedliwie i mądrze, pomimo że ostatnio bardzo się martwił, ponieważ szerzyła się nowa herezja, która odrzucała możliwość zmartwychwstania zmarłych. Jakby każdy porządny chrześcijanin nie wiedział, że Jezus umarł i zmartwychwstał!

Wyrwany ze swoich zajęć, przyjął młodzieńca, którego mu przyprowadzono, mając nadzieję, że nie będzie musiał po raz kolejny rozprawiać o śmierci i zmartwychwstaniu.

Malko nie pozostało nic innego, jak opowiedzieć dokładnie wszystko, co – jak sądził – miało miejsce dzień wcześniej, i pokazać monetę, którą chciał zapłacić za bochenek chleba.

– Mój chłopcze – próbował przekonać go biskup – opowiadanie kłamstw nikomu nie przynosi korzyści, a na dodatek jest ciężkim grzechem. Czyżbyś nie wiedział, że chrześcijaństwo jest naszą religią już od kilkuset lat? I skąd masz tę monetę? Nie upieraj się: wybaczę wszystko, cokolwiek mi wyznasz.

– Panie – odparł Malko zdesperowany – widzę, że nie mogę was przekonać do moich słów, lecz jeśli rzeczywiście jesteście, jak mówicie, ojcem nam wszystkim, błagam was, abyście udali się ze mną i na własne oczy zobaczyli, że to, o czym wam opowiedziałem, jest tylko samą prawdą. – I zdjęty strachem, wybuchnął żalosnym płaczem.

Artemon miał dziwne przeczucie, że coś się nie zgadza. Jakiś dziwny niepokój ogarnął go, od kiedy zobaczył tego młodzieńca; mądry człowiek wiedział, że czasami Bóg przemawia przez sytuacje zupełnie niezrozumiałe dla człowieka. Biskup i mieszkańcy udali się na górę, aż do groty, gdzie na Malko czekało sześciu towarzyszy, zaniepokojonych jego opóźniającym się powrotem.

Na miejscu wszystko się powtórzyło i to, co nieprawdopodobne, zaczęło stawać się wiarygodne, kiedy ktoś odnalazł zapiski potwierdzające całą tę doprawdy niezwykłą historię, jedne na kamieniach zewnątrz jaskini, drugie wewnątrz.

Wiadomość przechodziła z ust do ust, przekazywana najpierw szeptem, potem krzykiem nie do powstrzymania, a sylaby układały się, dzieliły i ponownie układały, aż utworzyły słowo „cud”.

Biskup oddał pokłon siedmiu młodzieńcom, uznając w nich dłoń Bożą, która objawiła się na ziemi, by zrealizować jeden ze swych misternych zamysłów. To, co trzysta lat wcześniej wydawało się porażką Chrystusa, zmieniło się, przemierzając nieprzeniknione drogi opatrności, w triumf, i to w momencie najwłaściwszym, by przeciwstawić herezji ten niezbity dowód. Życie może zwyciężyć Śmierć!

Ale gdzie tak naprawdę byli przez te wszystkie lata nasi młodzieńcy? Skąd wrócili?

Kto może odpowiedzieć na te pytania? Nikt, nawet oni... gdyż po tym, jak zaświadczyli o tym nieprawdopodobnym przeżyciu, siedmiu przyjaciół ponownie ułożyło się i zasnęło, tym razem na zawsze.



„Męczennik” Opatrzności

Polskie opowiadanie ludowe

Ksiądz Tarcisio, proboszcz w górskiej wiosce, siedział skupiony, przygotowując cotygodniową homilię.

Zawsze bardzo uważnie dobierał słowa, jakie miał wygłosić w niedzielę z ambony, próbując wybrać te właściwe, by przekazać parafianom przesłanie, które byłoby możliwie najbliższe ich codziennemu życiu.

Tej niedzieli obiecał sobie, że wyjaśni pojęcie Bożej Opatrzności, i przeglądał z uwagą karty Ewangelii. Pamiętał, co powiedział Jezus o liliach polnych, które nie trują się i nie przędą, a przyodziane są w szaty, których mógłby im pozazdrościć największy spośród królów.

Mógł też mówić o podobieństwie do ptaków niebieskich, które nie sieją, nie żną, nie zbierają, a Ojciec niebieski je żywi.

Niełatwo będzie ułożyć homilię, jaką sobie wymarzył, westchnął.

Och, jak bardzo mu się podobały słowa Jezusa: „Każdy dzień ma dość swojej biedy”. Ale on miał do czynienia z konkretnymi problemami robotników i rolników, siłą rzeczy zatroskanych o jutro i utrzymanie swoich rodzin.

Prawdę mówiąc, czuł się trochę winny, ale w tym momencie myślał o nich jak o ciemnych prostakach, niezdolnych do wzniesienia się ponad szarą codzienność.

Był pogrążony w tych rozważaniach, kiedy straszliwy huk ogłuszył go i wydało mu się, że cała góra runęła w dolinę.

Zdjęty nieopanowanym strachem, podbiegł do okna i zdał sobie sprawę, że dzieje się coś doprawdy groźnego. Ludzie krzyczeli i biegali we wszystkie strony, jakby nie wiedząc dokładnie, przed czym uciekać i w którą stronę. Pierwsze podniecone głosy, jakie dobiegły do jego uszu, były jak siarczasty policzek:

– Tama, tama, tama puszcza! Uciekajcie!

Rzeczywiście, woda już się zbliżała do wioski, najpierw powoli, niezdecydowanie, potem coraz szybciej, zdecydowana dotrzeć do doliny przez każdą dostępną szczelinę.

Proboszcz obserwował z niepokojem, jak poziom wody podnosi się coraz bardziej, sięgając w końcu parteru plebanii, i strach począł nurtować jego myśli; ale potem, próbując pokonać to uczucie, które nie wydawało mu się godne, powiedział do siebie: „Jakże to, przygotowuję homilię o Bożej Opatrzności i trwożę się na widok pierwszej poważnej przeszkody, jaką napotykam! Skorzystam z okazji, żeby doświadczyć na własnej skórze tego, o czym chciałbym powiedzieć: będę tu spokojnie czekał, powierzając się Bożej opiece”.

Woda jednakże nie dawała najmniejszego znaku, że chce wziąć pod uwagę myśli naszego bohatera i nadal nieprzerwanie jej poziom podnosił się i podnosił.

Osiągnęła już poziom okien jego gabinetu, kiedy łódź, już pełna ludzi, przy płynęła na pomoc ufnemu księdzu.

– Ojcie, wsiadajcie, szybko! Jesteśmy tu, żeby was zabrać! – wołali pasażerowie.

– Nie martwcie się, moje dzieci – odpowiedział spokojnie. – Ufam Bożej Opatrzności, która mnie uratuje.

Proboszcz pomyślał zadowolony, że tymi słowami już wygłosił piękne kazanie; tymczasem z ostrożności, w oczekiwaniu na Bożą pomoc, wszedł na dach.

Kiedy był już na górze, miał nadzieję, że Bóg pośpieszy się choć trochę: woda bowiem dotykała już rynnę. W tej chwili podpłynęła inna łódź, z której ludzie machając rękami zachęcali go, żeby porzucił to nędzne schronienie i udał się wraz z nimi w bezpieczne miejsce.

– Drogie dzieci, dlaczego miałbym wątpić w Bożą Opatrzność? Nie bójcie się o mnie. Czy myślicie, że dobry Bóg mnie opuści?

Może Bóg miał tego dnia za wiele na głowie, gdyż dach nie wystarczył za schronienie i proboszcz był zmuszony wspiąć się na dzwonnice.

Kiedy woda sięgała mu do kolan, podpłynęła szalupa policyjna, żeby go zabrać; on jednak, zacięty w swoim uporze, odpowiedział spokojnie funkcjonariuszowi, który próbował przekonać go do zejścia z dzwonnicy:

– Nie, dziękuję, ufam Bogu, nie rozumie pan? On mnie nie opuści!

I tak się stało, że wszyscy ocaleli oprócz proboszcza, który utonął i znalazł się cały przemoknięty na tamtym świecie.

Kiedy w końcu uświadomił sobie, co się stało, rozejrzał się, nadąsany, szukając dobrego Boga, ponieważ zamierzał się Mu poskarżyć.

Czy naprawdę Go zobaczył, czy tylko mu się wydawało, że Go widzi, czy też ujrzał Go zanurzonego w nieprzeniknionej światłości, tego do końca nie wiemy; w każdym razie wiadomo, że zaczął głośno się skarżyć:

– Jakże to? Zupełnie Ciebie nie rozumiem! Ofiarowałem się, żeby wykazać, jak nieskończenie wielka jest Twoja Opatrzność, ślepo Ci zaufałem! Dlaczego nic nie zrobiłeś, żeby mnie ocalić?

– Prawdę powiedziawszy – odpowiedział mu Bóg – wysłałem po ciebie aż trzy łodzie!

Quo vadis?

Ze Złotej legendy

W dniach, kiedy Neron zapalał gniewem przeciwko chrześcijanom, pewien niewolnik, niedawno nawrócony na wiarę w Jezusa z Nazaretu, został złapany przez straż cesarską z kilkoma listami Piotra i Pawła.

Dowódca straży, Tygellin, był przekonany, że Piotr zginął już jakiś rok temu, ale po znalezieniu pism na nowo rozpoczął poszukiwania dwóch apostołów. Neron osobiście wydał rozkaz, by dwaj niebezpieczni przywódcy chrześcijan zostali aresztowani możliwie jak najszybciej.

Jeden z przyjaciół ostrzegł Piotra:

– Bracie, grozi ci wielkie niebezpieczeństwo: przeszkują już domy w tej dzielnicy i wkrótce będą tutaj. Szukając cię, na własne oczy widziałem wiele domów otoczonych przez żołnierzy i wiele osób przesłuchiowanych. Na Zatybrzu dzieje się coś niepokojącego: tu i tam zgromadziły się już grupy gapiów, podczas gdy strażnicy kontynuowali przesłuchiwanie ludzi i aresztowania.

Słyszając te wieści, młody Nazariusz, który mieszkał w domu apostoła i był z nim bardzo związany, wyprowadził Piotra, a z nim innych chrześcijan, sekretnym wyjściem przez ogród, po czym powiódł ich do opuszczonego kamieniołomu nieopodal wzgórza Janikulum.

Kiedy byli już bezpieczni, odbyli naradę, by zdecydować, jak ocalić bezcenne życie apostoła.

– Drogi Piotrze – powiedział Winicjusz, inny dowódca wojskowy, również niedawno nawrócony – pozwól, że o świcie będę ci towarzyszył w Góry Albańskie. Stamtąd zaprowadzę cię do portu w Anzio, gdzie wsiądziesz na statek, którym popłyniesz do Neapolu, a potem na Sycylię.

Wielu spodobał się plan Winicjusza i błagali apostoła, żeby przyjął tę propozycję.

– Ukryj się – radzili mu. – Nie zostawaj w Rzymie! Idź gdzie indziej głosić prawdę Ewangelii, żeby nie zginęła wraz z nami i z tobą! Posłuchaj nas, ojcze!

– Zrób to w imię Chrystusa! – prosili go inni.

– Moi bracia – odpowiedział Piotr – nikt nie może wiedzieć, jaki kres ustanowił Pan dla mojego życia.

Nie miał pewności i nie wiedział, czy spełnić ich życzenie: od jakiegoś czasu był pełen obaw i wahał się, co zrobić.

– Stado rozpierzchło się, praca została zniszczona – stwierdzał pełen goryczy. – Kościół, który przed pożarem Rzymu przypominał pączkującą roślinkę, został zmieciony z powierzchni ziemi, obrócony w proch przez tyrana. Nie pozostało nic prócz łez i pewności męczeńskiej śmierci. Ziarno wydało dobre owoce, ale szatan rozdeptał je swoimi stopami; zastępy anielskie nie przybyły na pomoc ofiarom, a Neron, potężniejszy i straszliwszy niż zwykle, triumfuje nad nami z pogardą i przemocą. Panie, co mam czynić? Jak zdołam ja, teraz już słaby i stary, pokonać złe moce?

A pogrążając się w tych myślach, słuchał zachęt wiernych, którzy nakłaniali go do ucieczki. W końcu również Linus, który został wyznaczony na jego następcę w kierowaniu Kościołem, próbował przekonać go, by uchodził.

– Posłuchaj Piotrze – powiedział zasmucony. – Dobry Pasterz polecił ci paść swoje owieczki, ale teraz stada nie ma już tutaj. Udaj się przeto tam, gdzie możesz je znaleźć:

Słowo Boże rozbrzmiewa również w Jerozolimie i innych miastach. Dlaczego chcesz zostać w Rzymie? Jeśli ty polegiesz, wzrośnie zwycięstwo bestii. I nie wracaj tutaj, dopóki Pan nie zmiażdży tego, który rozlał tyle niewinnej krwi!

– Wejrzyj na nasze łzy! – powtarzali wszyscy płacząc. Również po twarzy Piotra spływały łzy.

Po chwili wstał, wyciągnął ręce nad klęczącymi przed nim wiernymi i powiedział:

– Niech będzie uwielbione imię Pana i niech się pełni Jego wola!

Następnego ranka, o świcie, apostoł Piotr i wierny uczeń Nazariusz zmierzali drogą zwaną Via Appia w kierunku Kampanii. Rzym opuszczali również ich braci w wierze.

Droga była opustoszała. Wieśniacy, którzy zazwyczaj dostarczali warzywa do miasta, jeszcze nie wyruszyli w drogę i w ciszy jutrzeńki rozlegał się tylko hałas sandałów wędrowców kroczących po kamiennych płytach.

W końcu słońce pokazało się między górami, ale właśnie wtedy niezwykle widok ukazał się oczom apostoła: wydawało mu się, że rozżarzona tarcza, zamiast wznosić się po niebie, zdaża prosto ku niemu, tocząc się po górskim zboczu.

Piotr stanął przestraszony i zapytał Nazariusza:

– Czy i ty widzisz tam na drodze zbliżającą się płomienną światłość?

– Nie, nic nie widzę, mistrzu – odpowiedział młodzieniec.

Żeby lepiej widzieć, Piotr osłonił oczy, przykładając ręką do czoła.

Po czym dodał:

– Widzę człowieka, który zmierza w naszym kierunku, jaśniejącego jak słońce!

Wokół panowała nieprawdopodobna cisza. Nazariusz widział jedynie drgające w dali korony drzew, jakby je poruszyła jakaś niewidzialna dłoń. Ustał bowiem nawet najłżejszy wietrzyk.

Zwrócił się do wstrząśniętego głęboko apostoła:

– Mistrzu, co się dzieje?

Piotrowi kij wypadł z dłoni.

Szeroko rozwarte oczy, utkwione w jednym punkcie, patrzyły w dal, usta pozostały przymknięte, twarz, początkowo pełna osłupienia, chwilę potem zapłonęła radością.

Nagle padł na kolana, wyciągnął ręce i zawołał:

– Panie Jezu!... Panie mój i Boże!

I z twarzą przy ziemi wydawał się całować stopy kogoś będącego tuż przed nim. Niewidzialnego!

Cisza trwała długo.

Potem, wśród szlochów, Nazariusz usłyszał głos starego apostoła pytającego z trwogą:

– Panie, dokąd idziesz?...

Nazariusz nie usłyszał żadnej odpowiedzi, ale do uszu Piotra dotarł głos smutny, a zarazem łagodny:

– Ty uciekasz, więc ja idę do Rzymu dać się ukrzyżować po raz kolejny.

Apostoł trwał nieruchomy, z twarzą przy ziemi, jakby skamieniały, i Nazariuszowi wydawało się, że umarł bądź zemdlał.

W końcu Piotr wstał i drżącą ręką podniósłszy kij, nie mówiąc ani słowa, pośpieszył w kierunku miasta, z którego dopiero co uciekł.

Widząc zawracającego apostoła, młodzieniec powtórzył jak echo:

– Dokąd idziesz, panie?

– Do Rzymu – wyszeptał apostoł.

I wrócili do Wiecznego Miasta, gdzie Paweł, Jan, Linus i inni chrześcijanie przyjęli ich zaskoczeni.

Bardzo się bali, gdyż tego ranka strażę cesarskie otoczyły dom, gdzie jeszcze dzień wcześniej mieszkał Piotr.

Ale na wszelkie pytania wiernych Piotr odpowiadał krótko:

– Widziałem Pana!

Wieczorem tego samego dnia nauczał i ochrzcił wielu uczniów, kontynuując bez żadnych obaw swoją posługę wśród ludu.

Nadeszła również dla niego błogosławiona i przeklęta godzina męczeństwa. Został ukrzyżowany głową w dół, gdyż nie uważał się godnym otrzymania tej samej kary, co jego Mistrz.



Uśmiech Apolonii

Z Acta Sanctorum

Wesołe poranne słońce oświeślało uliczki Aleksandrii w Egipcie. Czerwone mury miejskie rysowały się wysoko na tle intensywnego błękitu nieba, a fontanny migotały radośnie wśród pałacowych mozaik i marmurów na placach. Wędrowcy, który był tu przejazdem, miasto jawiło się jako magiczna szkatułka pełna cudowności i spokoju. Nic zdawało się nie mącić tej pozornej ciszy, nic zdawało się nie zapowiadać okrutnych prześladowań chrześcijan, jakie miały rozpętać się w tych dniach w mieście.

A jednak ponad tym oniemiałym bezruchem wyczuwało się dziwny niepokój.

Chrystusowa Dobra Nowina rozbrzmiewała już od wieku w tych stronach i zagościła w sercach wielu ludzi. Apolonia, młoda i urocza dziewczyna, córka wysoko postawionego senatora nawróconego na chrześcijaństwo, została najpierw zafascynowana Ewangelią, a potem całkowicie przez nią podbita. Jej życie zupełnie się zmieniło; mimo że groźba prześladowań nękała dusze wielu chrześcijan, jej serce było spokojne i ogarnęło ją nowe, nieznane dotąd uczucie całkowitego spełnienia.

Apolonię znano i podziwiano jako dziewczynę powściągliwą, ale zawsze uśmiechniętą. Jakby cała była uśmiechem: oczy, usta, wyraz twarzy, nawet gesty odzwierciedlały jej wewnętrzną radość. Była piękna i wiedziała o tym. Dostrzegała to w spojrzeniach cichych i za-

chwyconych, które towarzyszyły jej powolnym i układowym krokom. Jednak nie dbała o ten zachwyt: jej spojrzenie i duch szybowały wysoko ponad tymi ludźmi, małymi uliczkami, murami. Jedynym jej pragnieniem było podobać się Bogu i pełnić Jego wolę.

Właśnie tego ranka, kiedy pogodna przemierzała lekkim krokiem wąską miejską uliczkę, została zaatakowana wraz z innymi chrześcijanami przez grupę żołnierzy i zaprowadzona przed cesarza.

Na próżno cesarz próbował nakłonić ją siłą do kultu bóstw pogańskich. Pomimo ciosów i groźby spalenia na stosie, Apolonia pozostała nieugięta. Dumna i niewzruszona wobec własnych prześladowców, nadal się uśmiechała i wyglądała pięknie. Rozpuszczono jej długie włosy, brutalnie zdarto szaty. Jeszcze piękniejsza, nadal się uśmiechając, powiedziała:

– Tak długo, jak długo będę żyła w tym biednym i kruchym ciele, mój język nie przestanie wyśpiewywać chwały mojemu Panu, Wszechmogącemu.

Wtedy polecono jednemu z żołnierzy wyrwać jej obcęgami po kolei wszystkie zęby i zaczęto podpalać stos. Ponownie zagrożono jej śmiercią, jeśli nie wypowie rytualnych formuł ku czci pogańskich bogów, ale dziewczyna, z zakrwawionymi ustami, nie wydawszy żadnego okrzyku, rzuciła się w ogień z niebywałą odwagą, wiedząc dobrze, że taki ma być jej koniec.

Wokół zapanowała głucha cisza, prawie dzwoniło w uszach, a delikatne złote iskierki unosiły się ku górze i setkami rozpraszały po niebie. Świadców tej męczarni zdjął nagle zimny dreszcz i zgrzytanie zębów.

Opowiadają, że po tej męczeńskiej śmierci ponad pięćset osób nawróciło się na chrześcijaństwo, a wieść o wielkiej wierze Apolonii rozeszła się po całym Wschodzie.

Gościnność Gaudencji

Ludowa legenda z Lacjum

Gaudencja, fascynująca karczmarka, znana wszystkim ze względu na swoje pogodne usposobienie i serdeczną gościnność, żyła w Rzymie w strasznych czasach prześladowań chrześcijan.

W swojej gospodzie przy ulicy Collatina Gaudencja miała zwyczaj szeroko otwierać drzwi i serdecznie przyjmować przejezdnych cudzoziemców. Gospoda urządzona była schludnie, radośnie i przytulnie, liczyła ponad dwadzieścia pokoi. Gaudencja krzątała się niestrudzenie, wspomagana przez sześć towarzyszek o dziwnych imionach: Ostina, Rustika, Serena, Risolina, Donata i Serotina.

Młode, ładne i pełne wigoru, wesole karczmarki znane były w całym Rzymie ze względu na życzliwość, jaką hojnie obdarzały mile widzianych gości, oraz przysmaki, owoc ich sztuki kulinarnej. Tak czy inaczej, nie było złośliwości w ich sposobie bycia, a tylko szczęście i radość z życia.

Za niewielką opłatą goście mogli pokrzepić się w komfortowych warunkach. Obfite posiłki i aromatyczne nowalijki układano miękko na glinianych półmiskach do smakowania i zakrapiania delikatnym winem. Gaudencja dbała ze szczególnym upodobaniem o piękną winorośl za swoim hotelikiem. Przy każdym winobraniu można było uczestniczyć w widowisku, zarazem zmysłowym

i wesołym, kiedy to siedem bosych dziewcząt podskakując wytlaczało dorodne winogrona w dużej kadzi. Przechowywane w beczkach, lekkie wino o przyjemnym smaku będzie potem obficie wlewane do kielichów smakoszy.

Ile pochwał za przytulne łóżka zaściełane co rano! Ile wdzięczności za świeżą lnianą pościel oraz wiazanki lawendy i werbeny zawieszane główkami do dołu, które roztaczały miły zapach! Krótko mówiąc, prawdziwy raj.

Gaudencja ponadto umiała rozweselić otoczenie swoim darem tak zadziwiającym, jak spontanicznym: śmiechem. Jej śmiech brzmiał jak muzyka. Wesołe trele towarzyszyły Gaudencji, gdy była uprzejma bądź zaskoczona. Kiedy ten radosny podmuch przenikał dusze i korytarze, nie można było nie uśmiechnąć się i nie zarazić dobrym humorem.

Pewnego burzliwego wieczoru przybyło do gospody siedmiu dziwnych gości: z wyglądu poważni i podejrzliwi, obdarci i zmęczeni, z plecami posiniaczonymi od uderzeń wiatru i deszczu. Kiedy Donata im otworzyła, stanął przed nią człowiek, który ich prowadził, niejaki Seleuzjusz, typ wysoki, otyły, trochę szorstki i tajemniczy. Wypytana o wszystkich gości w gospodzie, Donata, przestraszona, ale również trochę zirytowana, zamruczała coś, informując, że klienci to kupcy odwiedzający Rzym ze względu na targ. Seleuzjusz wydawał się rozluźniony. Po czym rozmówił się szeptem ze swoimi towarzyszami i łagodniejszym już głosem zapytał, czy mogliby się zatrzymać przez kilka dni w całkowitej tajemnicy. Donata nie pojmowała dlaczego, niemniej jednak zaprowadziła przybyszów do ich pokoi. Nie rozumiała również, dlaczego tych siedmiu gości chce mieć łóżka w jednym pokoju, w pobliżu tylnego wyjścia.

Wieczorem cudzoziemcy prosili, żeby kolację podano im w pokoju, zresztą nigdy nie widziano ich wśród innych gości.

Zaciekawione powściągliwością tych dziwnych przybyszów, dziewczyny szukały każdego pretekstu, by kręcić się w pobliżu ich pokoju. Z początku źle widziane – zwłaszcza przez ponurego Seleuzjusza – w końcu zdołały zdobyć gości uprzejmością i uśmiechem.

Niebawem też siedmiu mężczyzn otworzyło się przed nimi. Byli chrześcijańskimi pielgrzymami, przybyłymi do Rzymu, by incognito nawiedzić groby Piotra i Pawła. Przybywali z Jerozolimy, tam poznali historię pewnego Jezusa, który umarł i zmartwychwstał w tym świętym mieście i oddychał powietrzem tej ziemi przesiąkniętej Ewangelią, a teraz postanowili wyruszyć w pielgrzymkę do Rzymu.

„Rzeczy nie z tego świata! – myślały rzymianki. – Cały ten trud i wszystkie niewygody długiej podróży, i dla czego? dla wiary? dla Boga jedyne i to niewidzialnego?”. Czasem pielgrzymi opowiadali o Jezusie. O świętych i męczennikach. O apostołach. O cudach i o obietnicach.

Gaudencja od kilku dni, chociaż nie straciła swojego wesołego śmiechu, milczała i pozwalała słowom tych ludzi drażnić i poruszać struny jej serca. Jako pierwsza pewnego wieczoru schyliła głowę i uczyniła znak na czole i piersiach na wzór chrześcijan. Po kilku dniach wszystkie siedem poprosiło o dopuszczenie do wieczornej modlitwy pielgrzymów.

Oczarowani tym nawróceniem i cnotliwą gościnnością, Seleuzjusz i jego towarzysze w końcu zapomnieli o ostrożności.

Żołnierze rzymscy, powiadomieni przez jakiegoś prawego człowieka, już od kilku dni węszyli zapach chrześcijan w pobliżu gospody. I pewnego ranka, oto oni, na progu gospody, stado psów spuszczone i warczących, spragnionych krwi męczeńskiej.

Gaudencja i jej towarzyszki nie upadły na duchu. Pozwoliły uciec tylnym wyjściem pielgrzymującym przyjacielom. Po czym, by dać im możliwość oddalenia się,

udawały ciężko zaspane. Następnie odporne drzwi nie chciały się otworzyć. Kiedy w końcu żołnierze wyjęli je z zawiasów, wybałuszyły niewinnie oczy i uparcie milczały. Rozlały wino i zainscenizowały nawet wściekłą kłótnię. Żołnierze z początku byli pod wrażeniem tych siedmiu żywiołowych piękności i wyli z uciechy przez jakiś czas. Ale potem przywódca stada dla przywrócenia dyscypliny podniósł głos i rozkazał zabrać je wszystkie na przesłuchanie.

Uciekający pielgrzymi, będący już daleko, nie mogli słyszeć okrzyków oburzenia i strachu biednych dziewcząt.

Pewnej jesiennej niedzieli, kiedy na niebie nie było żadnej chmurki, Gaudencja i inne dziewczęta ostatni raz pochyliły głowy, oddawszy pod topór kata młode ciała. Ostina, Rustika, Serena, Risolina, Donata i Serotina uśmiechnęły się chwilę przed śmiercią. Gaudencja zaniosła do nieba swój cudowny śmiech, poświęcony wierze, na którą otworzyła swoje serce.



Legenda o świętym Sebastianie

Legenda przypisywana świętemu Ambrożemu

Kiedy Dioklecjan zauważył, że liczba chrześcijan rośnie z dnia na dzień, postanowił rozpocząć straszliwe prześladowania. Również Sebastian, który był oficerem w cesarskim legionie, został oskarżony o wyznawanie nowej religii i poproszony o wyjaśnienia.

– Ja – odpowiedział młody żołnierz – czczę mojego Pana Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, prosząc Go o ocalenie cesarza i o pomyślność dla imperium. Nie wierzę w fałszywych i kłamliwych bogów. Głupotą jest adorowanie marmurowych czy drewnianych posągów wykonanych naszymi własnymi dłońmi.

Na te słowa cesarz rozgniewał się i kazał żołnierzom zaprowadzić Sebastiana na duży plac paradny, tam zdebrać z niego szaty i przywiązać do słupa. Potem polecił, żeby łucznicy celowali w niego strzałami, aż będzie naszpikowany ostrzami jak jeź.

Zrobiwszy swoje, żołnierze zostawili go, myśląc, że nie żyje.

Z nastaniem nocy Irena, pobożna rzymianka, udała się na miejsce męczeństwa za swoimi pokojówkami, by zabrać ciało Sebastiana i pochować je, ale spostrzegła, że młody oficer jeszcze żyje. Wtedy poleciła odwiązać go od słupa i zabrać do swego domu, w pobliżu pałaców cesarskich, gdzie Sebastian z woli Bożej został w cudowny sposób uzdrowiony z wszystkich ran.

Chrześcijanie, którzy po kryjomu przychodzili go pozdrowić, radzili mu, żeby uciekł z Rzymu i schronił się na wsi, w miejscu, gdzie ukryli się inni chrześcijanie.

Ale Sebastian odpowiadał:

– Gdybym uciekł, to tak jakbym zdradził moją wiarę!

Po kilku dniach Dioklecjan udał się do świątyni Herkulesa, by złożyć ofiarę.

Sebastian odważnie wyszedł mu naprzeciw i spytał:

– Okrutny człowieku, dlaczego prześladujesz nas, chrześcijan, którzy jesteśmy nową siłą cesarstwa?

Dioklecjan sądził, że zobaczył ducha.

– Tak, to ja, Sebastian, dowódca twojego oddziału, którego skazałeś na śmierć z ręki łuczników! Ale mój Pan ocalił mnie, abym ci ogłosił, że jeżeli nie zaprzestaniesz prześladowań, skończysz w otchłani piekielnej.

Dioklecjan ponownie polecił go aresztować i rozkazał, by został zachłostany na śmierć. Z obawy że jego ciało mogłoby stać się obiektem kultu, jak to już miało miejsce w przypadku innych męczenników, polecił wrzucić je do dołu kloaczego i nie chciał więcej o nim słyszeć.

Ale pewnej nocy święty ukazał się Lucjanie, szlachetnie urodzonej i bogatej chrześcijance, i wskazał jej, gdzie zostało schowane jego ciało, aby go pochowała obok szczątków apostołów, którzy głosili wiarę w Chystusa.

Wiele wieków później, za panowania Longobardów, w całej Italii rozprzestrzeniła się straszliwa epidemia, tak zaraźliwa, że nie można było znaleźć nikogo skłonnego grzebać zmarłych. Dżuma zbierała żniwo zwłaszcza w Rzymie i w Pawii. Ukazał się anioł, który ogłosił, że chłosta zakończy się po wzniesieniu ołtarza ku czci świętego Sebastiana w rzymskim kościele Świętego Piotra w Okowach.

Kiedy tylko ołtarz został wzniesiony, dżuma znikła. Potem relikwie świętego męczennika zostały przewiezione z Rzymu do Pawii.

Podróż świętej Urszuli

Legenda średniowieczna

Król i królowa Węgier, małżonkowie posunięci już w latach, obawiali się, że nie doczekają spełnienia ich wielkiego marzenia, narodzin potomka.

Stracili już prawie wszelką nadzieję, ale ożywieni wielką wiarą, postanowili powierzyć swoje strapienie Panu.

Czuwali na modlitwie przez trzy dni i trzy noce, i kilka tygodni później królowa znalazła się brzemienną.

Radość małżonków była ogromna. Świętowano też w całym królestwie. Kiedy nadszedł czas porodu, królowa wydała na świat rumianą i puciołowatą dziewczynkę. I – cud nad cudami! – kiedy mała się urodziła, miała na sobie miękkie brunatne futro.

Król przywołał nadwornych uczonych i mędrców, ale nikt nie umiał wyjaśnić tego zadziwiającego zjawiska. Radzono się biskupa, ale i on nie umiał rozwikłać tajemnicy. Wezwano również starego kapelana, który przewodniczył ceremoniom religijnym na dworze. Stary ksiądz wyjaśnił, że dziewczynka będzie miała wielkie dary świętego Jana Chrzciciela: mądrość, dziewictwo i prorocтво.

Te słowa podniosły na duchu króla i królową i z powodu futra, które chroniło ją w dniu narodzin, dziewczynka otrzymała imię Urszula.

Urszula rosła i była coraz piękniejsza, bardziej niż jakakolwiek inna dziewczyna na całych Węgrzech. W wieku piętnastu lat była światłem mądrości, zwierciadłem

piękności i źródłem wdzięku. Każdy, kto ją spotykał i z nią rozmawiał, miał wrażenie, że rozmawia z aniołem, który zstąpił z nieba.

Nie podejmowano w królestwie węgierskim żadnej ważnej decyzji, nim nie wysłuchano rady i poglądów młodej księżniczki.

I tak wieść o piękności i mądrości Urszuli doszła do uszu germańskiego króla, który postanowił mieć ją za synową.

Król zebrał liczny oddział zaufanych hrabiów i markizów oraz swoich najlepszych ambasadorów i wobec nich wygłosił uroczystą mowę:

– Wyruszyście do królestwa Węgier, a dotarłszy do celu, udacie się na dwór króla, ojca księżniczki Urszuli. Tam dyskretnie wypytacie króla, czy jest gotów przystać na małżeństwo córki z następcą tronu w moim królestwie, moim synem, księciem Astolfem. A jeśli po uprzejmych namowach nie przyzwolił, powiedzcie mu, że nie przyjmę odmowy. Wydam mu śmiertelny pojedynek i niezwłocznie najadę jego królestwo, a moje oddziały je zniszczą. Spalę wszystkie domy i ziemie, jakie napotkam po drodze. Potem, kiedy już zrównam z ziemią jego królestwo, zabiję królową i jego ukochaną córkę, ale jemu daruję życie, żeby mógł opłakiwać swoje nieszczęście przez resztę życia. Dajcie królowi trzy dni czasu na zastanowienie się i udzielenie odpowiedzi. Po otrzymaniu jej wracajcie natychmiast, by mi ją oznajmić.

Ambasadorowie wyruszyli nazajutrz z wielkim zapamię. Przebyli tysiące mil, aż wreszcie po upływie jednej pory roku przybyli przed oblicze króla Węgier i przekazali mu słowa władcy, z wszystkimi błaganiami i groźbami.

Po czym wycofali się do gospody, gdzie mieli czekać przewidziane trzy dni. Biedny król został niemal zdruzgotany tym poselstwem; pocił się i przetykał tak gwałtownie, że dostał skurczy i napadu wściekłości.

Królowa przybiegła do niego i zapytała:

– Co się stało, mój panie? Kto wywołał w was tyle niepokoju, mój biedny mężu?

– Moja żono, zanim Urszula się urodziła, moje życie było nędzne i pełne bólu, ale teraz, kiedy otrzymaliśmy ją w darze, pozostanę pogrążony w rozpaczach aż do śmierci. Jesteśmy chrześcijanami, pobożnymi sługami Pana; jeżeli wydam moją córkę za tego nieprzyjaciela Boga, moja śmierć będzie powolna, sącąc się dzień po dniu, aż do końca moich dni. Jeśli ją oddam temu poganinowi, z pewnością nigdy więcej jej nie zobaczę. Ale jeśli nie przyzwolę na ten ślub, ten nieszczęśnik najedzie królestwo Węgier ze swoim barbarzyńskim wojskiem.

Na te słowa królowę ogarnął głęboki smutek i zaczęła płakać nad własną niedolą:

– Duszo moja, co ja pocznę bez jedynej pociechy mojego życia, jedynej osłody moich trudów, mądrości i światła mojego królestwa?

Król zwołał na naradę nadwornych hrabiów, baronów, markizów, ale nikt nie umiał zaproponować wyjścia z sytuacji, która wydawała się już nieuchronnym przeznaczeniem.

Urszula weszła do sali narad i widząc łzy matki oraz zmieszanie ojca i jego doradców, zapytała o powód takiego poruszenia.

Król wziął za rękę ukochaną córkę i wszystko jej wyjaśnił.

– Mam tylko trzy dni na podjęcie decyzji – podsumował zbolęły. – A dwa dni już upłynęły. Jutro ci rycerze przybędą tutaj po odpowiedź.

– Ojciec, gdzie zatrzymali się ambasadorowie pogańskiego króla? – zapytała dziewczyna.

– W jednej z gospód w mieście – odpowiedział król.

– Dobrze, jutro rano zaprosisz ich tutaj, by zasiedli z nami do stołu. I ja sama dam im odpowiedź.

Król zgodził się. Znał już zbyt dobrze upór i determinację córki, żeby się jej przeciwstawiać w równie trudnej sytuacji.

Urszula, ufna i pogodna, czuwała całą noc w swoim pokoju, a płacząc i modląc się prosiła Boga, aby ją oświecił w tym trudnym momencie:

– Panie Jezu Chryste, Ty wiesz, że w skrytości mojej duszy złożyłam ślub przed Tobą, że będę żyła i umrę jako dziewica przez wzgląd na Twoją miłość, i oddam moje życie Tobie nawet za cenę męczeństwa, żebyś był moim jedynym Oblubieńcem. Panie, bądź wola Twoja. Uczyni ze mną, co chcesz. Ale jeżeli chcesz, bym miała za męża tego księcia, pozwól mi przynajmniej nawrócić jego, jego ojca i cały ten pogański lud; spraw, aby przeze mnie poznali Ciebie, który jesteś jedynym prawdziwym Bogiem, oraz bym umiała pocieszyć i rozweselić w ten sposób smutne dusze moich rodziców i wszystkich poddanych w królestwie.

Anioł Boży ukazał się jej, by ją pocieszyć, i powiedział:

– Urszulo, twoja modlitwa została wysłuchana przed obliczem Boga. Jutro rano staniesz wobec ambasadorów, a sam Bóg cię oświeci i wskaże ci drogę.

Kiedy nastał dzień, Urszula przebudziła się z krótkiego snu, uwielbiła Boga i ubrała się, jak przystało księżniczce na oficjalne okazje. Założyła śliczną sukienkę, a dwórki włożyły jej na głowę koronę ozdobioną drogocennymi kamieniami, spod której wymykały się jak kwiatowe pączki jej złote loki.

O ustalonej godzinie ambasadorowie znaleźli się w królewskiej sali; król z wszystkimi baronami był już w sali i czekał na przybycie księżniczki.

Kiedy pojawiła się na progu, wydawało się wszystkim, że widzą wchodzący słoneczny promień. Zapadła niezmana cisza, pełna podziwu i poważania. Tego ranka księżniczka promieniała. A goście byli zachwyceni pięknnością

tego węgierskiego dziewczęcia i natychmiast poczuli dumę ze swej przyszłej królowej.

Urszula weszła dumnym, pełnym wdzięku krokiem, ze wzrokiem skierowanym ku ziemi na znak uniżenia, a za nią weszło kolejno sto panien ubranych w biały jedwab, wszystkie tak jak ona złotowłose i czarujące.

Urszula – księżyc, a panny świetliste gwiazdy na firmamencie.

Pozdrowiła gości, dwór, króla i królową i zaczęła swoje przemówienie:

– Powiedzcie swojemu królowi, że król Węgier, przychylając się do jego prośby, zgadza się oddać mu rękę swojej córki. Przekażcie także z mojej strony, że zdaję się całkowicie na jego dobroć. Ponadto zanieście moje pozdrowienia jego wysokości księciu, jego umiłowanemu synowi, a mojemu przyszlęmu mężowi. Przekażecie ode mnie, że proszę mego władcę jedynie o trzy rzeczy przed dopełnieniem ceremonii zaślubin: pierwszą jest, by król wraz z księciem swoim synem przyjęli chrzest w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego; drugą jest, by mój ślub odbył się za trzy lata, gdyż w tym czasie pragnę odbyć pielgrzymkę do Rzymu, a potem do Jerozolimy, by nawiedzić Święty Grób Jezusa Chrystusa; trzecią będzie przydzielenie mi dziesięciu tysięcy dziewic ze szlacheckich rodów, które udadzą się ze mną i tysiącem panien z mojego królestwa w świętą pielgrzymkę. Jeżeli te trzy życzenia zostaną spełnione, za trzy lata, po moim powrocie, zgodzę się na ślub.

Z wielką radością ambasadorzy powrócili do swego króla, szczęśliwi, że poznali dziewczę tak mądre i czyste. Po podróży, która trwała kolejną porę roku, król pogański, wiedząc o powrocie wysłanników, wyjechał im naprzeciw i został o wszystkim poinformowany.

Król i syn, słysząc pełne podziwu wypowiedzi wysłańców o dziewczęciu, niezwłocznie podjęli decyzję. I przyjęli

wszystkie życzenia szlachej księżniczki. Król miał nadzieję, że jego barbarzyński lud praktykujący jeszcze ofiary z ludzi, nabierze ogłady przez religię.

Wysłał z powrotem swoich ambasadorów z odpowiedzią oraz ładunkiem jedwabiu, klejnotów i drogocennych naszyjników ze Wschodu, by uhonorować królową i księżniczkę.

Następnie wybrano dziesięć tysięcy panien szlachej krwi, które miały wziąć udział w wyprawie. Król, by dać dobry przykład, postanowił wysłać swoje dwie córki, i tak uczynili również baronowie i hrabiowie. Kiedy je wybrano, natychmiast przygotowano olbrzymią karawanę, która miała za nimi podążać. Pięć tysięcy rycerzy, także oni ze szlacheckich rodów, miało im towarzyszyć.

Dziewczęta wiozły złoto, srebro oraz inne dary dla saraceńskiego sułtana, by ułaskawiony pozwolił przejść przez swoje ziemie tej rzeszy pielgrzymów.

Król widząc tyle pięknych ludzi i tyle młodej szlachty w wesołym towarzystwie panien i rycerzy, wzruszył się.

Postanowił wtedy, że się przyłączy do karawany i zabierze ze sobą również księcia, następcę tronu. Nie chciał dłużej odkładać chrztu, który miał przyjąć z woli Urszuli.

Wyruszyli.

Urszula prosiła Pana, by czuwał nad ich podróżą.

Tymczasem na Węgrzech wrzały przygotowania na przyjęcie króla, księcia, dziesięciu tysięcy panien i pięciu tysięcy rycerzy.

Król ze swej strony obawiał się najgorszego:

– Boję się, że ta pięciotysięczna armia z królem na czele będzie chciała przywłaszczyć mój tron.

Urszula uspokajała go, pewna, że Bóg będzie ją wspierał w zamiarze nawrócenia tych pogan na miłość Chrystusa.

– Niebiosa głoszą chwałę Bożą; oddałam życie w ręce Boga, wraz z całym moim sercem, a skoro nie dbam

o rzeczy tego świata ani nie pożądam rzeczy doczesnych, chcę, abyście wiedzieli, ojcze, że każdy, kto umieści swoje serce i swoją wolę w rzeczach niebieskich i wiecznych, o cokolwiek poprosi Boga, nie będzie mu odmówione. Wiedźcie, że Ojciec niebieski obiecał mi, że wysłucha każdą moją prośbę.

Potem Urszula poprosiła króla, swojego ojca, by zwołał całą szlachtę królestwa.

Kiedy zebrali się hrabiowie, baronowie i markizowie, Urszula wstała i ogłosiła wiadomość o przybyciu w pokojowych zamiarach dziesięciu tysięcy panien i rycerzy, wyjaśniła też powód i poprosiła, by wybrano tysiąc dziewic ze szlachejnych rodów i tysiąc rycerzy, którzy będą jej towarzyszyli w pielgrzymce, by czuwać nad ich bezpieczeństwem i godnością.

Kolejne tygodnie wypełniło wybieranie szlachejnych pielgrzymów i przygotowania do świętej podróży.

Czas zleciał bardzo szybko i pewnego wiosennego ranka na dwór węgierski dotarła wiadomość, że rzesza panien bogato odzianych, a za nimi armia zacnych rycerzy i karawana sług, dwórek i niewolników, przekroczyła granice królestwa, kierując się w stronę miasta.

Cały dwór z niepokojem oczekiwał tej rzeszy osób, podróżujących od miesięcy, którym trzeba będzie zapewnić odpoczynek i strawę.

Tej nocy Urszula, klęcząc na gołej posadzce, modliła się żarliwie aż do rana, dziękując Panu i prosząc o cud.

Anioł Boży ponownie ją nawiedził:

– Urszulo, Urszulo, twoje błagania zostały wysłuchane przed obliczem Boga: o cokolwiek poprosisz, Bóg to spełni!

Na równinie przyległej do zamkowych murów tysiące białych namiotów dużych i małych czekało, by przyjąć tłum pielgrzymów. To olbrzymie pole rozciągało się jak okiem sięgnąć na około dwie mile. W każdym dużym namiocie ustawiono w równych rzędach łóżka oraz róż-

nego rodzaju sprzęty, a na zewnątrz każdego namiotu znajdowała się fontanna, z której można było zaczerpnąć wody.

Kiedy Urszula ujrzała ten przepych, wielbiła imię i moc Boga, po czym zwróciła się do baronów, którzy z nią byli, tymi słowami:

– Widzicie, jak wielka jest Boża łaskawość: kto Mu ufa, nie jest nierozumny.

Cały dwór, król i królowa uklękli, by oddać jej pokłon.

Urszula podniosła ich i natychmiast rozkazała zadać w trąby na powitanie pogańskiego króla i księcia, którzy jechali na czele karawany.

Kiedy książę ujrzał Urszulę, poczuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg, porażony jej pięknością pełną majestatu. Zakochał się w niej na zabój i za każdym razem, kiedy ją widział, tracił rozum i mowę.

Od razu poprosili o chrzest i otrzymali go z rąk biskupa miasta. Następnie wyruszyli w dalszą drogę do Rzymu.

Wieść o karawanie złożonej z chrześcijan i pogan, którzy udawali się z pielgrzymką, rozniosła się na wszystkie strony. Urszula i inne dziewice miały na sobie białe suknie z krzyżem i kiedy papież zobaczył nadciągający orszak, postanowił przyłączyć się do tego świętego zgromadzenia i udać się do Ziemi Świętej.

W czasie drogi Urszula i pozostałe węgierskie dziewice modliły się i głosiły Ewangelię dziewczicom pogańskim. I wszystkie, jedna po drugiej nawróciły się w czasie podróży i poprosiły o chrzest. Stopniowo również rycerze, dwórki i słudzy zostali ochrzczeni.

Opuściwszy Rzym, z łaski Bożej przeszli przez Toskanię i Lombardię, wkroczyli na ziemie germańskie, a potem bałkańskie. Król tych ziem był spokrewniony z sułtanem, władcą saraceńskim. Kiedy sułtan dowiedział się od bałkańskiego króla, że rzesza chrześcijan kieruje się

na jego tereny, niezwłocznie zebrał pięć tysięcy żołnierzy i z impetem skierował swoje oddziały przeciwko świętemu orszakowi.

Sułtan wysunął się na czoło wojska i prosił o rozmowę z królem, który prowadził wojsko chrześcijańskie.

Urszula nieustraszenie wystąpiła naprzód:

– Jesteśmy chrześcijanami, zmierzamy do Świętego Grobu, by czynić pokutę i ocalić nasze dusze. Przychodzimy w pokoju i jeśli pozwolicie nam przekroczyć wasze ziemie, otrzymacie jedynie błogosławieństwo naszego Pana Jezusa Chrystusa.

Sułtan, już gotów do boju, polecił świętej i królowi pogańskiemu wyprzeć się wiary i odstąpić od ich zamiaru.

Jednak wiary, która już zagościła w świętym zgromadzeniu, nie można było odrzucić i Urszula odpowiedziała w imieniu wszystkich, że nigdy nie zdradzą swojego Boga i że są gotowi raczej umrzeć.

Stoczono wielką i krwawą bitwę. Armia złożona z pięciu tysięcy pogańskich rycerzy i tysiąca rycerzy węgierskich, chociaż znużona długą podróżą, walczyła mężnie. Sułtan rozkazał swoim żołnierzom, by nikogo nie oszczędzali. Wszystkie dziewice, dwórki, słudzy i rycerze polegli na polu bitwy nie dotarwszy do Jerozolimy.

To Jerozolima niebiańska stała się celem ich podróży. Opowiadają, że po bitwie Saraceni słyszeli zboląły śpiew aniołów, którzy przybywali zabrać dusze pogan i chrześcijan, by zaprowadzić je do raj.



Nawrócenie skąpca

Z Acta Sanctorum

Za czasów cesarza Trajana żył w Rzymie chciwy kupiec, który z trudem zebrał trzysta tysięcy denarów na handlu i lichwie. Postanowił zatem wziąć sobie rok urlopu, by zdecydować, co począć ze swoim majątkiem.

Ale zaledwie zakończył ostatnią transakcję, stanął przed nim Anioł Śmierci, by odebrać mu życie.

Skąpiec wysuwał wszystkie argumenty, jakie mu tylko przyszły do głowy, by przekonać Anioła, ten jednak pozostał twardy jak diament i trwał w swoim postanowieniu.

W końcu kupiec powiedział:

– Daj mi jeszcze trzy dni życia, a dam ci третią część tego, co posiadam.

Anioł odmówił i próbował zabrać skąpca, usiłując odebrać mu życie i zaprowadzić prosto do piekła.

Wtedy skąpiec prosił:

– Jeśli pozwolisz mi pozostać dwa dni na ziemi, dam ci dwieście denarów z moich skrzyń, dwie trzecie tego, co posiadam.

Anioł jednak nie chciał go słuchać. Nie zgodził się nawet zostawić go dzień dłużej w zamian za wszystkie bogactwa, jakimi dysponował, całe trzysta tysięcy denarów.

Wtedy skąpiec zaklinał:

- -
- Proszę, daj mi przynajmniej czas potrzebny na napisanie krótkiego zdania.

Tym razem anioł zgodził się i potępieniec napisał własną krwią: „Człowieku, naucz się liczyć twoje dni i rób dobry użytek z twojego życia. Ja nie mogłem kupić nawet jednej godziny za moje trzysta tysięcy denarów”.

Anioł zamiast zaciągnąć biedaka prosto do piekła postanowił darować mu życie. Pan bowiem nigdy nie omieszką przyjąć nawet najmniejszej części dobrego czynu.

Ten skąpiec nazywał się Mirko i zmarł śmiercią męczeńską kilka dni po tym, jak nawrócił się na chrześcijaństwo.



Niezwykłe historie
o eremitach,
słupnikach
i pustelnikach



Osąd eremity

Z Legend Ojców Jury

Ta historia opowiada o Justynie, który został eremitą, nie mogąc znieść niesprawiedliwości, których często był świadkiem.

Jak wszyscy ludzie wrażliwi i o dobrym sercu, Justyn zamartwiał się za każdym razem, kiedy widział kogoś słabego, kto zmuszony był ulec wszechmocy siły fizycznej bądź niegodziwych podstępów.

„Jak to możliwe? – myślał. – Nie ma sprawiedliwości na tym świecie! Jak dobry Bóg może pozwalać na to wszystko?”

Będąc bardzo pobożnym i gorliwym chrześcijaninem, szybko uświadomił sobie, że wątpliwości co do Bożej Opatrzności dręczą go coraz bardziej, zwłaszcza kiedy spotykał się z tym, co według niego było ewidentnym zwycięstwem zła nad dobrem. Dlatego zdecydował, że opuszczając społeczność ludzką, przynajmniej uniknie okazji, by wątpić w Stworzyciela.

Zostawił zatem wszystko i wszystkich i zbudował sobie szałas na zboczach góry, gdzie las był najgęstszy, zapewniając mu możliwie największą samotność. W tej swojej pustelni, po wielu godzinach spędzonych na modlitwie, zdołał w końcu odzyskać pogodę ducha, zwiększyła się też jego ufność w Bożą obecność.

Minęło wiele czasu zanim spokój Justyna zakłóciła ludzka obecność. Stało się to pewnego dnia, kiedy zszedł-

szy prawie do doliny zbierał jagody i był, na swoje nieszczęście świadkiem straszliwego występu.

Grupa rabusiów napadła na kupca i kiedy biedny człowiek próbował bronić tego, co miał, tamci go zabili i uciekli z łupem.

„Mój Boże – pomyślał Justyn – dlaczego życie ukazuje mi zawsze najokrutniejszą stronę człowieka!” I już wracał skąd przyszedł, nie mogąc nic uczynić dla tego nieszczęśnika, kiedy miejscowy zarządca podszedł do martwego ciała.

Eremita widział, jak tamten pochylił się i czyniąc znak krzyża, odmówił modlitwę. Ten gest litości był dla niego wielką pociechą, przypominając mu, że nie do niego należy decydować, jak ciężkie są szale dobra i zła. Pograżony w tych myślach, wrócił do leśnej gęstwiny, zdecydowany bardziej niż kiedykolwiek zostawić innym zadanie zmierzenia się z życiem i bronić tego kojącego spokoju zdobytego wraz z samotnością.

Po jakimś czasie pewien chłopiec, zapuściwszy się do lasu na górze w poszukiwaniu grzybów, trafił na Justyna, który siedział spokojnie u stóp dorodnego kasztanowca.

Eremita nie wzgardził możliwością zamienienia kilku słów; ale miał tego żałować, nie wiedział jeszcze, że życie udzieli mu porządnej lekcji.

Chłopiec opowiedział mu bowiem, że na drodze został zabity kupiec i że strażnicy przyłapali na miejscu, obok trupa, jego zabójcę, miejscowego zarządcę.

Justyn nie dowierzał własnym uszom:

– Jak to zarządcę! I co się z nim stało? – zapytał strwożony.

– Aresztowano go, osądzono i skazano na co sobie zasłużył – odpowiedział tamten zadowolony, mogąc zapewnić, iż sprawiedliwości stało się zadość.

Eremita raptownie wstał – zaskoczony chłopiec omal nie stracił równowagi – i zaczął głośno uzalać się na wszystko i wszystkich.

„A zatem to prawda, co mówią w wiosce – pomyślał chłopiec. – Na tej górze mieszka wariat!” I tak, nawet się nie pożegnawszy, jeden wrócił do lasu, a drugi uciekł w dolinę.

Justyn nie mógł powstrzymać złości i poczucia winy, jakie gwałtownie się w nim rodziły. Jeszcze jeden niewinny, który płacił za występki innych, niesprawiedliwość, która wydawała się zależeć od przypadku. Ale gdzie była również i tym razem Opatrzność, która powinna była sprawić, aby dobro i zło zostały równomiernie rozłożone?

Justyn był rozgniewany tak bardzo, że jego umysł sformułował butną myśl: może Boga nie interesuje to, co się dzieje z ludźmi.

Tak więc nasz eremita z marsową miną, której, jak sądził, dawno się już pozbył, postanowił wrócić do świata jako czynny bohater i zrobić wszystko co możliwe, by nie dopuścić do triumfu zła, a sprzyjać zwycięstwu dobra.

W czasie swojej wędrówki w obronie – przynajmniej tam, gdzie nadarzyła się ku temu sposobność – prawych, którzy zostali niesprawiedliwie oskarżeni, Justyn znalazł się pewnego dnia w zatłoczonej tawernie. Usiadł przy stole po części zajętym już przez innego przybysza i wkrótce zaczęli rozmawiać.

Rozprawiając o tym i owym, zorientowali się, że mają wspólny cel podróży, dlatego po skończonym posiłku razem wyruszyli w drogę.

Justyn mówił o swoich poglądach na temat nadużyć zła i o zupełnym braku sprawiedliwych regulacji, które pozwoliłyby dobrym cieszyć się ich cnotą, a złym kazały zapłacić za ich niegodziwości. Co to za świat, żalił się,

w którym Bóg nie ingeruje, godząc się, by dobrzy cierpieli zamiast złoczyńców?

Jego towarzysz podróży słuchał w milczeniu, przytakuując tylko od czasu do czasu.

Idąc, zobaczyli na moście żebraka, który wyciągał rękę. Justyn już szukał w sakwie kilku monet, kiedy cudzoziemiec powstrzymał go zdecydowanym ruchem ręki.

Nasz dobry człowiek popatrzył na niego zaskoczony, gotów zaprotestować, ale zauważył, że tamten wcale go nie słucha, zajęty obserwowaniem żebraka: jego oczy nabierały jasności, aż straciły wszelkie barwy, stając się przejrzyste jak kryształ.

Po czym, kiedy znaleźli się obok żebraka, cudzoziemiec dotknął go, a ten upadł na ziemię porażony.

Justyn spojrzał zaskoczony na martwe ciało i zimny pot zaczął spływać mu po czole:

– Dlaczego to zrobiłeś? Kim jesteś, może demonem?
– zapytał głosem łamiącym się ze strachu.

– Nie powiedziałbym – odparł tamten spokojnie. – Raczej moim gestem właśnie ocaliłem tego biedaka od potępienia. Musisz wiedzieć, że ten człowiek, pomimo biedy, do tej pory żył uczciwie, przyjmując próbę ubóstwa bez żalu względem Boga. Ostatnio jednak dojrzała w nim myśl, że nie warto tak łatwo godzić się z własnym losem, dlatego postanowił przyłączyć się do grupy rabusiów, którzy kradną i zabijają bogatych podróżnych. Jemu przydzielono właśnie ten most na stawianie zasadzek. Teraz on nie żyje, ale jego dusza będzie mogła wstąpić do nieba, gdyż nie została jeszcze obciążona straszliwymi winami.

To wyjaśnienie z pewnością nie uspokoiło Justyna; w każdym razie jego dziwny towarzysz podróży ukrywał coś niepokojącego. Pomimo to nie zdecydował się go opuścić, po części ze strachu, ale i dlatego, że tamten skrycie go fascynował.

Dalej szli w milczeniu; o ile Justyna nurtowały tysiące myśli, o tyle jego towarzysz wydawał się ich całkowicie pozbawiony. Wieczorem dotarli do chatki eremity, który, jak niegdyś Justyn, porzucił świat, by się modlić. Przyjął ich z wielką uprzejmością, częstując tą odrobiną jedzenia, jaką miał, i dzieląc się schronieniem na zapadającą noc.

Wcześniej rano dwaj podróżni wstali, podziękowali i ruszyli w drogę.

Kiedy znaleźli się w pewnej odległości od chatki, cudzoziemiec dał znak Justynowi, żeby się zatrzymał; wtedy otworzył swój worek i wyciągnął złoty puchar wykradziony eremicie.

– Ale jak mogłeś? To było jego jedyne dobro. Doprawdy, wydaje mi się, że jesteś jakąś złą istotą!

Nasz przyjaciel był prawdziwie oburzony tym zachowaniem.

– Nie śpiesz się nigdy z osądem – odpowiedział obcy.
– Eremita, którego dopiero co opuściliśmy, ma zły nawyk upijania się, a pod wpływem czerwonego napoju popełnia rzeczy doprawdy niestosowne, których potem nawet nie pamięta. Ostatnie zapasy oddał nam: dlatego planował sprzedać ten puchar, żeby kupić jeszcze wina, podczas gdy teraz... nie ma pucharu... nie ma wina. Jego pragnienie ustanie, a jego oczy otworzą się.

I tak cudzoziemiec zakończył wywód bez dalszych wyjaśnień.

Znowu ruszyli w drogę i przyszedli na rozległą równinę. Justyn dopiero teraz zauważył, że krok za krokiem dotarli w okolice jego wioski. Tu tajemniczy podróżny zatrzymał się, wyciągnął z sakwy motykę i zaczął kopać ziemię u korzeni jakiegoś drzewa.

Justyn przyglądał się mu zaskoczony, zastanawiając się, co też tamten robi. Po pewnym czasie w wykopanym dole ukazały się ludzkie kości. Co to mogło znaczyć?

– Widzisz – powiedział człowiek – to są szczątki dwóch mężczyzn zabitych z zawiści i pogrzebanych tutaj przez tego złotego zarządcę który, dziwnym zbiegiem losu, został osądzony za zbrodnię, której nie popełnił. Ale wszystko się zgadza, Justynie... zawsze!

Justynowi brakło słów, ale teraz zaczynał rozumieć.

– Powiedz mi, kim jesteś – prosił ciągle oszołomiony tą nagłą wiadomością.

– Jestem twoim aniołem stróżem i pozwolono mi pokazać ci, że każdy twój osąd jest przysłonięty przez umysł z konieczności wprowadzający w błąd, bo ograniczony. Jak możesz rościć sobie prawo do osądzania zamysłów Bożych, z których rozumiesz jedynie nieskończenie małą część, jaką twoje słabe ludzkie oczy mogą dostrzec? Bóg dokonał już swojego dzieła w sposób doskonały. Wracaj do twojej pustelni, mój kochany bracie, i zastanów się: każdy osąd jest tylko etykietką umieszczoną na czymś, z czego nic nie rozumiesz.

To powiedziawszy anioł znikł.



Rufus słupnik i bociany

Stara legenda z Anatolii

Rufus postanowił opuścić świat i zostać słupnikiem za przykładem świętego Symeona, który spędził całe życie na szczycie kolumny. Ale z powodu panującego podówczas ducha wielkiej świętości znalezienie wolnej kolumny graniczyło z cudem, a Rufus był zbyt biedny, żeby wznieść taką specjalnie dla siebie.

Pewnego dnia na skraju lasu zobaczył pał, który wieśniacy ustawili dla bocianów.

Na szczycie znalazł wielkie drewniane koło, a na nim leżał siennik. Rufus postanowił, że to będzie jego kolumna.

Wspiął się na górę z niemałym trudem i stamtąd zaczął rozmyślać o sprawach niebiańskich.

Na jesieni jednak przyleciały bociany z zimnych krajów północnych i zatrzymały się na różnych palach, które opuściły z nadejściem wiosny.

I tak dwa bociany zastały swoje gniazdo zajęte przez Rufusa.

Ptaki natarły na niego z wrzaskiem, a nie szczędząc dziobów i trzepocząc skrzydłami, próbowały go wypędzić.

– Po co tyle zgiełku, bracia bociany? – zawołał Rufus.
– Czyżbyście nie słyszały braterskiego przesłania Jezusa Chrystusa naszego Pana?

Bociany, zaskoczone łagodnością Rufusa, przestały się miotać. Słupnik opowiedział im wtedy Ewangelię i Do-

bra Nowina zafascynowała je. Unosząc się w powietrzu, krążąc dookoła, słuchały go zaciekawione.

Jedynie demony są niewrażliwe na Słowo Boże. Ziarno Słowa, gdziekolwiek wpadnie, choćby nawet do bocianiego serduszka, nie wraca do Boga nie zostawiwszy śladu. Bociany uspokoiły się, usiadły obok Rufusa; potem na znak pojednania potarły dziobami o jego głowę.

Rufus powiedział:

– Jeżeli Bóg chciał, żebyśmy mieszkali w trójkę na tym kole, to dlatego, byśmy dali światu przykład największej miłości na najmniejszej powierzchni!

Chociaż bociany mają małe główki, to obdarzone są wielkim geniuszem. Rufus podziwiał ich sztukę uporzędkowania gniazda wokół niego.

Kiedy padało, Rufus pozwalał im się schronić pod swoim płaszczem, a na znak wdzięczności bociany przynosiły mu trochę owoców.

Kiedy gniazdo było gotowe, przechodzący podróżni, widząc skulonego w nim człowieka, pytali słupnika, czy nie jest przypadkiem ptakiem. A on odpowiadał:

– Jestem tylko skromnym sługą Bożym!

Wtedy podróżni uśmiechali się niedowierzająco, sądząc iż zwariował.

Jedynym problemem świętych słupników było wówczas to, że znajdowali się poza zasięgiem księży, którzy mogliby udzielić im Komunii Świętej. Rufus bardzo ubolewał nad tym ograniczeniem. Powiedział o tym swoim bocianom i bez proszenia, jeden z ptaków wrócił pewnego dnia do gniazda z Hostią w dziobie. Rufus uklęknął i przyjął ją pobożnie, a trwając przez jakiś czas w ekstazie, poczuł się przeniesiony w sam środek procesji aniołów, która przemierzała rajske ścieżki.

Nadszedł dzień, kiedy bocianica zniosła trzy jaja. Rufus zasmucił się tym faktem; nie dlatego, że zmniejszy się przestrzeń w gnieździe, ale dlatego, że miał nadzieję,

iż za jego przykładem bociany wybiorą czystość ze względu na Królestwo Boże.

Ale ptaki uspokoiły go, mówiąc, że wszystko miało miejsce zanim go poznały, w czasie podróży migracyjnej.

Święty uradował się tym, a nawet, na znak swojej wielkiej troski, zaproponował, że sam będzie wysiadywał jaja, kiedy rodzice będą zajęci.

Święci mają pewną przewagę nad zwykłym śmiertelnikiem: chociaż mało jedzą, potrafią czerpać z modlitwy siłę potrzebną do utrzymania swych ciał w temperaturze powyżej przeciętnej. W tym wypadku oddziaływanie tej energii na bocianie jaja było doprawdy zdumiewające. Podczas gdy zazwyczaj potrzebne są trzy tygodnie wysiadywania, Rufus sprawił, że wykluły się po sześciu dniach.

Pobłogosławił trzy bocianki dopiero co narodzone, a przypuszczając, że są rodzaju męskiego, nadał im imiona trzech apostołów: Piotr, Jakub i Jan. Po czym z milczącym przyzwoleniem rodziców zajął się ich edukacją, zachęcając ich przede wszystkim do hamowania znakomitych apetytów, które sprawiały, że piszczwały na całe gardło, z dziobami stale rozdziawionymi, w oczekiwaniu jedzenia.

Nadeszła w końcu chwila, kiedy bociany musiały odlecieć w rejony północne. Rufus patrząc jak odlatują, zmuszał się do radości. Chociaż ślubował oderwanie od rzeczy ziemskich, uczucie, jakim darzył te stworzenia, było czyste i błogosławione.

Został sam w gnieździe, które wydawało mu się za duże, i przez całą następną porę roku tylko się modlił. Ale kiedy drzemał, nie mógł powstrzymać się od wyobrażania sobie bocianów latających wokół niego. Deszcze i wiatry spadły na gniazdo, ale Rufus swoim ciałem chronił siennik i nie dopuścił, by uległ zniszczeniu.

Z nadejściem jesieni Rufus obserwował z uwagą przełot ptaków. Pewnego dnia przyleciał orzeł, który konie-

cznie chciał osiąść w gnieździe, jednak Rufus z Bożą pomocą zdołał odeprzeć natarcie. Kiedy indziej zatrzymywały się obok niego ptaki zmęczone podróżą. Eremita podnosił je na duchu i pytał o wiadomości o rodzinie bocianów, których dzieci nazywały się Piotr, Jakub i Jan.

Niestety, nikt ich nie widział i Rufus był smutny. Wszystkie ptaki z okolicy wróciły już do swoich gniazd z wyjątkiem jego bocianich przyjaciół.

Ale pewnej niedzieli rano zobaczył je na horyzoncie. Pierwszy trzymał w dziobie Hostię.

– Bóg jest dobry! Bóg jest wielki! Bóg jest miłosierny!
– zawołał święty słupnik. I przyjął Komunię.

Ocknąwszy się z ekstazy, zwrócił się do bocianów, które odpoczywały ściśnięte wokół niego:

– Nigdy Święta Komunia nie przyniosła mi tyle rozkoszy. Powiedzcie mi, bracia, skąd pochodziła Hostia, którą mi przynieśliście?

– Z Rzymu! – odpowiedziały uradowane bociany.

Powodowane świętą gorliwością, bociany nadłóżyły drogi i przeleciały przez Rzym, przynosząc przyjacielowi Hostię konsekrowaną osobiście przez papieża!

– Mam nadzieję, że jej nie wykradłyście?! – powiedział Rufus.

Bociany zapewniły go: papież sam im ją dał, udzielając ponadto swojego szczególnego błogosławieństwa, którym były całkowicie nasycone.

Wtedy wszyscy razem podziękowali Bogu, który czyni tyle cudów.

Kiedy Rufus zmarł, bociany ze szczególną troskliwością wzięły na plecy jego zwłoki i pochowały w miejscu sekretnym, gdzie lecą umrzeć wszystkie ptaki.



Laska starego żebraka

Stara legenda z Kapadocji

Kiedy Niilo postanowił opuścić świat i udać się na pustynię, uczynił to tylko po to, by żyć samotnie w miłości Bożej.

Pielgrzymom, którzy go odwiedzali, zwykł był mawiać:

– Ten, kto kocha prawdziwie, znajduje Światło, a staje się światłem tylko wtedy, gdy, podobnie jak świeca, żyje spalając się.

Pewnego dnia przechodził tamtędy ubogi starzec i podszedł, żeby poprosić o kawałek chleba. Ale ponieważ nie śmiał poprosić o pomoc, gdyż wstydził się swojej biedy, wolał najpierw opowiedzieć swoją historię. Zmęczony i zdeenerwowany, biedny starzec, mówiąc, zranił przypadkiem eremity w stopę żelaznym zakończeniem swojego kija.

Słuchając uważnie, o czym zgłodniały staruszek mu opowiada, Niilo nie odezwał się ani słowem, chociaż najpierw zbladł, a potem poczerwieniał na twarzy z bólu, jaki sprawiało mu ostrze wbite w stopę.

Skończywszy opowiadać o swoich nieszczęściach, starzec zdobył się na odwagę i poprosił o kawałek chleba, by nie zemdleć z głodu, który trapił go już od wielu dni. Niilo wziął ostatni kawałek, jaki miał, i podał go starcowi. Wyciągając jednak dłoń po jedzenie, biedak spostrzegł, co uczynił, i natychmiast zabrał swój kij z krwawiącej stopy eremity.

– Bracie, siedziałeś z krwawiącą stopą, podczas gdy ja przebijałem ci ją żelaznym końcem mojego kija i nic nie powiedziałeś, zupełnie nic!

– Nie chciałem okazywać żadnej oznaki bólu, ponieważ obawiałem się, że ty, i tak już zaleźniony i zmieszany, pójdziesz sobie i tym samym zrezygnujesz z poproszenia mnie o pomoc. Jak mogłem dodawać zmartwień tobie, który już jesteś tak doświadczony przez los?



Makary Egipski

Z Vitae Patrum

Błogosławiony Makary spędził prawie całe swoje długie życie na pustyni, ale zanim udał się na to miejsce odosobnienia i medytacji, przydarzyła mu się przygoda, którą wam opowiem.

Od młodości Makary mieszkał w celi u armeńskich mnichów, którzy przyjęli go w gościnę, ale kiedy pewnego dnia chcieli go zmusić, by został duchownym, on uciekł do pobliskiej wioski.

Ulokowawszy się w jakiejś chatce, zaczął wyplatać koszyki do przechowywania żywności, by sprzedając je, zarabiać na życie.

W pierwszej chwili mieszkańcy wioski przyglądali mu się podejrzliwie i nieufnie, potem przyzwyczaili się do jego milczącej obecności i zaczęli cenić, uważając go za mądrego eremity.

Pewnego dnia zdarzyło się, że młoda kobieta, która zaszła w ciążę nie będąc mężatką, oskarżyła właśnie Makarego, że zdobył ją przemocą, kiedy poszła do niego kupić koszyk.

Rodzice dziewczyny byli wściekli, a ludzie oburzeni. Nigdy by się tego nie spodziewali, zwłaszcza po tym nieznanym, którego uważali wręcz za Bożego człowieka!

Krewni dziewczyny udali się natychmiast do chatki Makarego, prowadząc ze sobą dziewczynę.

Kiedy dotarli do drzwi, zawołali głośno:

– Wyjdź, niewdzięczniku!

Makary, słysząc zgiełk, nie mógł zrozumieć, co się stało; podszedł więc do drzwi z wiązką rafii w jednej ręce i częściowo wplecionym koszykiem w drugiej.

– Spójrz na tę dziewczynę: zniewoliłeś ją i teraz oczekuje twojego dziecka!

Boży człowiek stał przez chwilę zakłopotany; potem zawołał:

– Ach, więc tak się sprawy mają?

Zebrani, nie zadowolając się bynajmniej gniewnymi słowami, wyciągnęli Makarego na ulicę i zaczęli bić jak na to zasłużył, aż jakiś starzec wtrącił się, kładąc koniec tym przepychankom.

– Przestańcie! To wszystko nie ma sensu: zatłukłszy go na śmierć, nie rozwiążecie problemu. Raczej postarajcie się, żeby utrzymał matkę i dziecko.

Słowa te wydały się nad wyraz rozumne. Rzeczywiście, ludzie uspokoili się, po czym nakazali Makaremu od zaraz zatroszczyć się o dziewczynę. Biada mu, jeśliby tego nie zrobił, zagrozili odchodząc.

Chatka wystarczała zaledwie dla niego: co począć? Pomyślał zatem, że z kilku starych desek zbuduje sobie jakiś szałas w przyległym małym ogródku.

Jeżeli mnich był zakłopotany, to dziewczyna tym bardziej, wiedząc dobrze, że mogła nabrać mieszkańców wioski, ale z pewnością nie oszuka tego łagodnego, niewinnego człowieka.

Mimo że źle teraz widziany i omijany przez wszystkich, Makary nadal sprzedawał koszyki, zarówno mieszkańcom wioski, jak i przejeżdżającym karawanom, pracując dwukrotnie więcej niż wcześniej, by móc nakarmić również młodą matkę.

Ona wydawała się bardzo smutna i próbowała robić co tylko mogła, by pomóc Bożemu człowiekowi, który nawet nie usiłował dowieść jej kłamstwa. Żadne z nich

nie wspominało o tym, co zaszło, ani też Makary nie prosił o wyjaśnienie jej zachowania.

Mieszkając w tym domu, dziewczyna przywykła do ciszy i modlitwy, doświadczając w sercu pokoju i pogody ducha, jakich nigdy wcześniej nie zaznała.

Miesiące mijały i nadszedł czas, kiedy dziewczyna wróciła do domu matki, by urodzić.

Urodził się chłopiec ładny i zdrowy, któremu nadano imię Samuel.

Makary nie przywykł do wychowywania dzieci, ale bardzo się tym nie przejmował. Wziąwszy swoje narzędzia, zrobił śliczny koszyk w kształcie kołyski, potem wystawiał Pana za to stworzenie czyste i promienne, w którego oczach odbijał się jeszcze raj.

Młoda matka nie wiedziała już, jak się zachować. Poczucie winy na widok ogromnych poświęceń tego człowieka znoszonych w milczeniu dla niej i jej dziecka nie dawało jej spokoju.

Kiedy pieniądze uzyskane ze sprzedaży koszyków nie starczały, Makary zebrał o mleko i żywność, i często zdarzało się, że drzwi zatrzaskiwano mu z hukiem przed nosem, obrzucając proszącego obelgami.

Gdyby Makary nie był prawdziwym mędrce, prosiłby Boga, by objawił ludziom prawdę, ale on tego nie zrobił. Jeżeli życie przyniosło mu to dziecko, co za różnica, czy był jego prawdziwym ojcem czy nie? To było bez znaczenia! Dziecko było i wymagało troski: takie były fakty. I Makary robił wszystko, by zastąpić mu ojca, zdobywając się na miłość, jakiej nie okazałby mu prawdziwy ojciec.

Aż do dnia, kiedy dziewczyna poczuła, że dłużej nie wytrzyma w kłamstwie: wydawało jej się to zbyt niesprawiedliwe. Dlatego zwierzyła się matce, wyjawiając imię prawdziwego ojca dziecka.

Rodzice dziewczyny udali się ponownie do Makarego, ale usposobieni już inaczej. Nie wiedzieli, jak się usprawiedliwić i jak mu wynagrodzić.

Stanęli przed jego drzwiami i opowiedzieli całą prawdę: prawdziwym ojcem był młodzieniec, który pracował na targu rybnym. Oczywiście nie wyobrażali sobie, że córka mogła skłamać, i prosili o przebaczenie. Poza tym przyszli zabrać dziecko. Makary wyjął małego z kołyski i kiedy podawał go im z miłością, powiedział tylko:

– Ach, więc tak się sprawy mają?

Potem, obawiając się, że cała wioska przyjdzie go przeproszać, i nie wiedząc, jak ustrzec ciszę, którą tak kochał, zostawił wszystko i udał się na pustynię, gdzie spędził resztę życia.

Ale nigdy nie zapomniał, aby każdego wieczoru o zachodzie słońca pomodlić się za „swoje dziecko”.



Modlitwa Erazma

Z Legend Ojców Jury

Wiele lat temu pobożny i świątły człowiek zdobył sławę wielkiego uczonego chrześcijańskiego.

Na imię było mu Erazm, a udawał się do niego każdy, kto chciał zrozumieć dogłębnie słowa Ewangelii.

Erazm mieszkał w miejscu odosobnionym, w jego domu panował bałagan, z którym nieustannie się zmagał.

Książki poukładane w stosy próbowały zachować nieprawdopodobną równowagę, kartki wszelkiego rodzaju i rozmiarów fruwały tu i tam przy każdym podmuchu wiatru, a Erazm żył niemal w ustawicznym niepokoju, pochłonięty poszukiwaniem „jakiegoś zdania” przeczytanego w „którejś książce”.

Odwiedzający zastawali go zajętego wertowaniem książek, czytaniem lub pisaniem; wyglądał jak czarodziej wśród swoich przyrządów.

Erazmowi odpowiadała ta sytuacja. Zachowywał też pokój z Bogiem, ponieważ swój czas poświęcał studiowaniu Jego słów, głoszonych światu przez Pismo Święte.

„Czy jest coś ważniejszego, dla czego warto byłoby żyć?” – zastanawiał się Boży człowiek i nigdy nie znajdował niczego lepszego.

Pewnego dnia jednak pokój i samotność, którymi Erazm odgradził się od świata, zostały zakłócone skutkiem nagłego i nieprzyjemnego losu. Właśnie tam, obok jego

ogrodu, osiadł Jan, wesoły wieśniak ze swoją gromadą zwierząt wszelkiego rodzaju i rasy.

Przypadkowo właśnie w tym czasie Erazm zajęty był studiami nad modlitwą, rozważaniem, jak porozumiewać się z Bogiem poprzez różne formy słowne: to zagadnienie było doprawdy skomplikowane i bardzo obszerne.

Zaczął od Biblii, potem przeszedł do Ewangelii, potem do żywotów świętych i coraz bardziej plątał się w swoich rozważaniach; dlatego możecie sobie wyobrazić, w jakim humorze i stanie ducha przyjął pojawienie się sąsiada.

Jan, który tryskał radością życia i energią, już od pierwszych godzin rannych krzątał się w obejściu, dziękując kogutowi za opatrnościowe ranne budzenie i głośno wołając kury i gęsi, które ze swej strony odpowiadały mu zgiełkiem zdolnym obudzić umarłego.

Porfirio, miły kudłaty piesek, nie szczędził strun głosowych, ścigając dla zabawy dwie beczące kózki, nie wspominając już o Tymoteuszu, osiołku do wszystkiego, który każdego wieczoru ryczał zadowolony w oczekiwaniu na obrok.

Jakby tego nie było dość, Jan był urodzonym śpiewakiem: znał wszelkiego rodzaju ludowe przyśpiewki i wykonywał swoje liczne codzienne obowiązki, intonując co rusz to inne rytmiczne piosenki.

Erazm był zrozpaczony. Jak mógł myśleć o najlepszym sposobie zanoszenia do Boga modlitwy w takim zgiełku!

Początkowo liczył na pracę w godzinach nocnych. „Przecież chyba śpią wieśniacy i zwierzęta!” – myślał zirytowany, ale nie wziął pod uwagę żab, które zwabione sadzawką urządzoną przez Jana dla gęsi, rechotały tak głośno jakby koncertowała duża orkiestra.

Umysł Erazma nie zaznawał spokoju: wydawało się, że cały jego świat krąży teraz wokół tych dźwięków, które

wydawały się coraz głośniejsze, w miarę jak uwaga odwracała się od modlitwy, a skupiała na nich.

Błogi spokój, wypełniający świątobliwego człowieka, odszedł nie wiedzieć dokąd, a on przemierzał długimi krokami pokój, nie mogąc ani się skoncentrować, ani wybaczyć sobie złości, która coraz bardziej w nim narastała. Zamiast modlitwy!

Pewnego pięknego letniego wieczoru, o zmierzchu, kiedy zachodzące słońce pozostawiło na ziemi swoje ciepło, redukując światło do spokojnych złotych cieni, Erazm, będąc u kresu wytrzymałości, podszedł do wyjścia i ze wszystkich sił zawołał:

– Teraz już starczy, wszyscy milczcie!

Oczywiście nie spodziewał się, że odniesie to jakikolwiek skutek; wydawało mu się po prostu, że sięgnął po najlepszy sposób, by dać ujście swojemu zniecierpliwieniu. Tymczasem nagle wszystkie dźwięki umilkły i wszystko pogrążyło się w ciszy.

W pierwszej chwili cisza ta wydała się Erazmowi najpiękniejszym dźwiękiem, ale potem – czymś tak nienaturalnym, że się zląkł.

Nagle, niczym jakaś nietypowa fala na idealnie spokojnym morzu, dziwne vibracje poruszyły powietrzem.

– Erazmie, dlaczego mój głos ci przeszkadza?

Biedak sądził, że postradał zmysły, a jednak był pewien, że słyszał te słowa.

– Chciałbym studiować i zgłębiać najlepszy sposób modlitwy, ale jak mam to robić, jeśli jestem ciągle rozproszony? – odpowiedział nieśmiało, żeby się usprawiedliwić.

– Nie sądzisz, że każde stworzenie modli się w sposób najwłaściwszy, na jaki Bóg mu pozwolił, i że każdy dźwięk łączy się z innym, aż powstanie ten jeden wspólny, który wraca od stworzenia do Boga? – nalegał tajemniczy głos.
– Gdybyś nauczył się słuchać mniej twojego rozumu,

a bardziej serca, może to, co cię otacza, przestałoby ci przeszkadzać, mój przyjacielu.

Właśnie w tej chwili życie podjęło na nowo swój śpiew w całej okazałości, dziękując dobremu Bogu za każdy trud i każdą radość tego kończącego się dnia.

Nigdy żadna muzyka nie brzmiała piękniej w jego uszach.

Erazm zamknął drzwi, ale siadając do stołu, otworzył na oścież okno, żeby mógł wlać się przez nie zapach łąki wraz z wszystkimi dźwiękami, jakie wieczór zechce mu zaoferować. Potem spokojnie zabrał się do pracy, jakby wokół niego była tylko cisza.

Wziął kartkę i zaczął pisać: „Modlić się to przyjmować ze zdziwionym zachwytem wszystko, co niesie z sobą każda chwila życia...”.



Erazm i Jan

Z Legend Ojców Jury

Jan był poczciwym wieśniakiem, zadowolonym i szczęśliwym ze wszystkiego, co dzień mu przynosił, troszczył się zapobiegliwie o zwierzęta i z całą gorliwością pracował w polu.

Wychował się w biednej rodzinie i wiedział, co znaczy trud. Dlatego mając teraz ten skrawek ziemi, uważał go za największy skarb, jaki człowiek mógł sobie wymarzyć. Jego pragnieniem było odłożyć trochę oszczędności, ale nigdy mu to nie wychodziło, ponieważ za każdym razem, kiedy zaoszczędził kilka monet, spotykał kogoś bardziej potrzebującego i nie umiał oprzeć się, by nie podarować mu swoich oszczędności.

Jan pracował coraz ciężiej i nim się spostrzegł, ranek spotykał się z wieczorem.

Co tydzień chodził do wioski sprzedawać masło, jaja i jarzyny. Był łagodny i litościwy, tak że wszyscy mu dobrze życzyli i często zapraszali na kieliszek. Nie dawał się długo prosić, chętnie przebywał w towarzystwie i wypełniał gospodę swoją zaraźliwą wesołością.

– Dalej, Janie, zaśpiewaj nam coś – prosili gromko przyjaciele, a on intonował jedną z ballad typowych dla tych okolic; te beztroskie, zabawne historie opowiadały tak interesująco o życiu ich wszystkich.

Przyjaciele zastanawiali się, jak to jest, że życie przemyczone w melodii i słowach tych piosenek, jawi się roziskrzony tysiącem kolorów, zupełnie inne niż to zwyczaj-

nie toczące się dzień po dniu. I wracając do domów, rozmyślali nad zadziwiającą atmosferą, jaką wiejski pieśniarz umiał wywołać.

Jan ze swej strony nie myślał o żadnych czarach, śpiewał o życiu po prostu tak, jak je przeżywał, czyli jak o najpiękniejszej grze, w której każdy jest na swój sposób bohaterem, i wygrywając czy przegrywając, zanurza się coraz bardziej w fascynującej tajemnicy.

– Widać, że dobrze ci się żyje! – mówili śmiejąc się przyjaciele, i za każdym razem, kiedy dziewczyna bliska jego sercu przechodziła koło gospody, mrugali do siebie porozumiewawczo.

I tak Jan pracował bez wytchnienia, dziękując często szczęśliwemu losowi, który dawał mu zdrowie i wystarczająco dużo sił.

Tej niedzieli, udając się na targ, młody wieśniak był naprawdę zadowolony z obfitych zbiorów, z kur, które podarowały mu wiele jaj, z dobrego masła i pożywnego mleka cenionego w całej wiosce. Jan chciał zaoferować swoim klientom najlepszy towar i miał nadzieję otrzymać od nich w zamian sporo pieniędzy.

Zanim dotarł do wioski, przypomniał sobie, że powinien odwiedzić Piotra i trójkę jego dzieci: obiecał mu to i miał dla nich prezent. Wiedział, że najmłodszemu chłopcu marzyła się od dawna para nowych drewniaków, ale Piotr był tak biedny, że nie mógł wydać ani grosza na cokolwiek poza jedzeniem.

Ale jak sprawić prezent jednemu dziecku, kiedy pozostałych dwoje patrzy rozczarowanym wzrokiem? Nie, nie można! Tak więc Jan postanowił przygotować również pieska z kawałków materiału oraz wyciąć wóz z drewna z kręcącymi się kółkami.

Osiołek Janowy truchtem zmierzał w kierunku małej grupki, przewidując uściski i całusy, kiedy Piotr i jego maleństwa już biegły mu naprzeciw.

– Trzymaj, Piotrze, to jest dla ciebie – powiedział wieśniak, podając przyjacielowi koszyk z jajami, warzywami, masłem i mlekiem.

– Ależ nie możesz pozbawiać się części twojego zarobku z mojego powodu: nie wydaje mi się to sprawiedliwe! – powiedział Piotr zakłopotany.

– Nie bądź głupi! A poza tym to wcale nie jest prezent: jak będziesz miał czym zapłacić, to mi zapłacisz – i poklepawszy go po ramieniu, Jan uciał rozmowę, czyniąc tym samym swój prezent mniejszym, ale równie cennym.

Dwaj przyjaciele gawędzili przez chwilę, po czym wieśniak ruszył w dalszą drogę, wyrywając prawie siłą osiołka z uścisków maluchów.

– Ach, prawie zapomniałem – powiedział odwracając się. – W tym worku jest coś dla małych szkodników, ale tylko jeśli będą grzeczne – i mrugnawszy porozumiewawczo, ruszył w kierunku wioski.

W dzień targowy każdy chciał zrobić dobry interes, a wszyscy wiedzieli, że produkty Jana są dobre, świeże i w uczciwej cenie. Tak więc i tego popołudnia wszystko zostało sprzedane, nawet jeśli pieniążków nie było zbyt dużo. Ale jak mogło być inaczej, jeżeli zamiast myśleć o zarobku, Jan miał w głowie potrzeby innych! „Stara Maria nie ma pieniędzy i nie ma zębów... mógłbym podarować jej kartofli... Mateusz nie ma pracy, a co więcej, teraz żona oczekuje dziecka: dam mu mleko i nie będę płacić... Mały Łukasz jest taki mizerny: kupię mu duży kawałek tortu i powiem piekarzowi, by wziął za niego jajka”... i tak dalej.

Tymczasem pora była wracać do domu. No cóż, zysk był nieduży, ale dzień jak zwykle udany.

Teraz musiał wrócić na czas, by zająć się swoimi zwierzętami i podlać pole: dla nich niedziela była dniem jak wszystkie inne.

Wieśniak zbierał ostatnie rzeczy, kiedy zaczęły bić dzwony. „Do licha!” Dopiero teraz uświadomił sobie, że nie tylko nie poszedł na Mszę, ale przez cały dzień nie skierował nawet myśli do Boga. Ale kiedy się modlił?

Wracając ze swoim osiołkiem, Jan począł zastanawiać się nad faktem, że zaniechał nawet zwyczaju odmawiania porannego pacierza i rzadko pamiętał o nim wieczorem, kiedy zmęczenie zwałało go z nóg, a oczy zamykały się same.

A jednak pamiętał, że w dzieciństwie krótką rozmową z Bogiem zaczynał i kończył każdy dzień, a mama nawet mówiła mu, że ktoś w górze czeka właśnie na jego modlitwę.

Ale czy zwracanie się do Boga jest nawykiem, czy odruchem serca? Potrzebne są specjalne słowa, żeby z Nim rozmawiać? Ludzie modlą się, żeby prosić czy żeby dziękować? No i poza tym, co Bóg robi z naszymi modlitwami? A jeśli rzeczy nie układają się po naszej myśli, czy to oznacza, że On nas nie kocha?

Jan roztrząsał i głowił się, nie znajdując zadowalającej odpowiedzi; zasmucił się bardzo: może dobry Bóg nie jest z niego zadowolony.

Zatopiony w myślach, nie zauważył, jak dotarł do domku swojego sąsiada: świętego męża, jak mawiali niektórzy, człowieka studiującego religię, mędrca, eremity...

W wiosce każdy miał swoje zdanie na temat Erazma eremity. Jan wiedział tylko, że był on uśmiechniętym staruszką, któremu chętnie zanosił główkę sałaty lub kilka świeżych jaj, i że czasem opowiadał mu zabawne historyjki o mieszkańcach dalekich krajów lub siadał z nim na ławeczce, bez słowa, wsłuchując się tylko w to, co ziemia miała do powiedzenia.

„Ależ oczywiście – pomyślał Jan – zapytam Erazma!”.

Starzec stał oparty o drewnianą bramkę i był tak pogrążony w swoich myślach, że kiedy Jan go pozdrowił, zdawał się wracać nie wiadomo skąd.

– Dobry wieczór, Erazmie! Przeszkadzam wam?

– Mój chłopcze, żaden kłopot. Wejdźcie do środka, ale bez osiołka – odpowiedział staruszek, śmiejąc się.

Jan nie dał sobie dwa razy powtarzać: przywiązał osiołka do płotu i puścił do niego oko, jak zawsze czynił chcąc dać do zrozumienia, żeby na niego poczekał.

– Panie Erazmie, chciałbym was o coś zapytać, ale nie wiem, od czego zacząć, taki mam zamęt w głowie.

– To przecież twoje pytania domagają się odpowiedzi wszystkie naraz. Trudno ci będzie je zaspokoić, nie uważasz?

– No właśnie, a zatem skąd mam wiedzieć, czy Bóg jest na mnie zagniewany?

– A czemóż to miałby być?

– Ponieważ nie chodzę w niedzielę do kościoła: również dziś zapomniałem o tym.

– Dlaczego?

– W dniu targu spotykam wielu przyjaciół, którym nie poszczęściło się tak jak mnie. Próbuje pamiętać o wszystkich i przynieść coś każdemu, ale widzicie, zapominam o tym najważniejszym.

– Nie ma problemu, synu. Uważam, że na drzwiach każdego kościoła powinna wisieć tabliczka z napisem: „Jestem na zewnątrz”. Zresztą, jak Bóg mógłby być zamknięty w murach, jeżeli nawet cały wszechświat nie może Go ogarnąć?

– To prawda, dokładnie tak jest. Ale powinienem przynajmniej modlić się rano i wieczorem, natomiast mnie pochłania taka radość, żeby dobrze wykonać moją pracę, że często o tym zapominam.

– Jeżeli twoje serce i twoje ręce są szczęśliwie zajęte tym, co Opatrzność ci powierzyła, to tak jakby sam Bóg wykonywał twoją pracę. A zatem, jaki jest sens przypominąć sobie o Nim, kiedy przez cały czas się z Nim jest?

– Erazmie, kiedy się modlicie, co Bóg wam mówi?

– Ależ Bóg nie mówi, słucha, i to wszystko – odpowiedział.

– A zatem, co mu mówicie?

– Ja nie mówię, słucham i już.

Jan nie pojmował rozumem tych słów, a nawet w tej chwili jego rozum był całkowicie wyciszony i osłupiały, ale właśnie dzięki temu nagłemu zawieszeniu myśli, serce poruszyło się i zrozumiało.

Było to uczucie nieznane wcześniej i absolutnie nie do opisania, które trwało krótką magiczną chwilę. W ciszy, jaka zapanaowała w chacie, rozległo się tylko długie westchnienie.

Erazm spojrzał na swojego młodego sąsiada i położył mu delikatnie dłoń na ramieniu, po czym serdecznie powiedział:

– Gdybym był na miejscu Boga, uważałbym to westchnienie za dużo cenniejsze od modlitwy.



Mądry eremita

Z Vitae Patrum

Dawno temu kilku mnichów postanowiło zamieszkać w miejscach na tyle niegościnnych, by zniechęcić innych do podążenia za nimi. Postawili sobie za cel zgłębianie duszy ludzkiej w świętym spokoju, poprzez wewnętrzną wędrówkę, z dala od uwarunkowań świata i jego zasad.

Był to wybór jak inne, może tylko trochę bardziej nietypowy i bardzo, bardzo wymagający.

Niektórzy z tych mnichów obrali na miejsce swych samotnych poszukiwań wyschnięte równiny Anatolii, w Azji Mniejszej, gdzie wiatr smagając ziemię z niebywałą siłą, czynił ją twardą i suchą, a noce były prawie tak zimne jak ich samotność.

Uzyskać na tej ziemi żywność do przeżycia było zadaniem niezwykle trudnym, ale wytrwałym eremitom udało się i to, uprawiali więc pracowicie i cierpliwie małe ogródki.

Niektórzy mieli kózkę, która dawała im trochę mleka, inni, któż to wie..., nikt nie może tego potwierdzić, hodowali dla jaj kilka kur.

Eremita, o którym dzisiaj chcemy wam opowiedzieć, nazywał się Tacyt i dawno opuścił wspólnotę ludzką; dlatego kiedy wydarzyło się to, o czym wam opowiemy, urządził już sobie życie lepiej niż król w swoim królestwie.

Grota, w której mieszkał, wydawała się przystosowana do wymagań świątobliwego człowieka i zapewniała

mu, poza schronieniem, również komfortowe pomieszczenia: szerokie wejście dla niego i jego kozy, małą niszę, gdzie mógł się wyciągnąć, i nawet małe źródółko, z którego strumień wody wypływał do skalnej misy.

Choć byli tak oddaleni od reszty świata, wieść o tych ludziach podsycala ciekawość nomadów, którzy, przemierzając te ziemie, by dotrzeć z jednej wioski do drugiej, chętnie schodzili z utwardzonej drogi i zatrzymywali się u jednego z eremitów.

Nie zamierzając bynajmniej izolować się od ludzi z braku miłości, eremici witali każdego z wielką serdecznością i życzliwością, przyjmując z uniżoną wdzięcznością to, co niektórzy chcieli zostawić. Jedzenie bądź ubranie, wszystko przyjmowali jako dar pochodzący bezpośrednio od wspólnego Ojca niebieskiego.

Na skraju pustyni, gdzie mieszkał Tacyt, wzniesiono klasztor, gdzie grupa księży oddała się mniszemu życiu pod przewodnictwem surowego przeora.

Ten przeor nazywał się Regolus i poświęcał cały swój czas na studiowanie i nauczanie przykazań Bożych, doglądając, by jego mnisi skrupulatnie ich przestrzegali.

Oczywiście również w tym świętym miejscu dużo mówiło się o eremitach rozproszonych na pustyni, rozprawiając, czy ich wybór jest bardziej czy mniej miły Bogu od ich własnego.

Po długich dyskusjach zdecydowano w końcu, że mała grupka zakonników uda się na płaskowyż, aby przekonać się osobiście, czy to, co mówiono o życiu tych ludzi, odpowiada prawdzie.

Droga była męcząca, również ze względu na burzę piaskową, która w tych dniach szalała po wyżynie, ale w końcu, z woli Bożej, wędrowcy dotarli do Tacyta, który właśnie robił w najlepsze porządki w swojej grocie, wymiatając złocisty pył.

– Braciszku – mrucał do siebie Tacyt – jesteś lekki i delikatny jak myśli aniołów, ale nie wydaje ci się, że jesteś również zbyt natrętny?

Mnisi spojrzeli po sobie nie do końca pewni, czy przebywając długo na pustyni, ten człowiek nie postradał zmysłów.

Pochłonięty swoim zajęciem Tacyt odwrócił się dopiero po dłuższej chwili i szeroki przyjazny uśmiech pojawił się na jego chudej twarzy.

– Witajcie, moi przyjaciele! Chodźcie, chodźcie do środka: jesteście zapewne zmęczeni i głodni!

I tak, ani nie czekając na obowiązującą godzinę posiłku, ani nie zanosząc modlitwy i dziękczynienia do Pana, posadził ich i poczęstował wszystkim co miał.

Tymczasem nastał wieczór i Tacyt, chcąc ugościć przybyszów jak najlepiej, rozpałił również ogień z chrustu zebranego w ciągu dnia, po czym wycofał się dyskretnie do swojej niszy.

Przyzwyczajony do nocnej ciszy, nasz eremita nie mógł nie słyszeć słów, które trochę później cicho szeptali między sobą jego goście.

– No cóż, to wszystko, co mówi się o eremitach, wydaje mi się trochę przesadzone – mówił jeden. – Moim zdaniem jedzą nawet więcej od nas w klasztorze.

– A co powiecie o modlitwach? – powiedział jeszcze inny. – Z pewnością nie wysilają się.

Tacyt powściągnął uśmiech, przewrócił się na drugi bok i zasnął.

Nazajutrz rano mnisi pożegnali się, mówiąc, że udadzą się do jeszcze innego eremity.

– Niech Pan błogosławi waszej podróży, a kiedy do-trzecie do eremity Anzelma, przekażcie mu, proszę, ode mnie, by uważał i nie mył warzyw.

Mnisi obiecali, wymieniając między sobą porozumiewawcze spojrzenia, dotyczące zdrowia na umyśle gospodarza.

Zostawiwszy w spokoju Tacyta, współbracia ruszyli w drogę i po kilku dniach dotarli do pustelni Anzelma.

Po pierwszym powitaniu nowo przybyli opowiedzieli, że odwiedzili Tacyta i przez grzeczność przekazali dziwną wiadomość, której Anzelm wysłuchał z uwagą, natychmiast zrozumiał, co drugi eremita chciał mu przekazać.

Mnisi byli wyczerpani podróżą i mieli nadzieję, że szybko będą mogli się posilić, ale Anzelm nie pozwolił im nawet otrzeć potu z czoła, lecz natychmiast zagonił do pracy.

– Proszę was, muszę upleść te kosze dla kilku handlarzy: usiądźmy natychmiast i weźmy się razem do roboty.

Usiadł obok nich i pracowali bez przerwy aż do wieczora.

Po zachodzie słońca, kiedy nadszedł czas zapalenia lampy, zatroszczył się o uzupełnienie zwyczajnej liczby psalmów kilkoma dodatkowymi, a potem powiedział:

– Zazwyczaj my, eremici, nie jadamy codziennie, ale skoro jesteście tu wy, dla odmiany dobrze będzie spożyć jakąś niewielką kolację.

Po czym podał im suchy chleb, trochę oliwy z solą i dodał:

– To uczta specjalnie dla was!

Po kolacji mnisi byli wykończeni. Ale Anzelm udał, że tego nie widzi, podejmując na nowo recytowanie psalmów, które zakończyło się prawie o świcie.

– Dobrze – powiedział wtedy – widzę, że nie da się odmówić do końca naszych zwyczajnych modlitw, ponieważ jesteście zbyt zmęczeni podróżą. Odpocznijcie trochę

i będziemy kontynuować, kiedy przyjdzie powitać nas jutrzeńka.

Światło dnia zaczęło ledwie złocić pustynny piasek, kiedy Anzelm obudził swoich gości, pogrążonych w głębokim śnie.

– Zbudźcie się, dzień eremity zaczyna się, weselmy się w Panu.

W tym momencie mnisi poczęli gorączkowo szukać pretekstu, żeby sobie pójść: przytaczali najwymyślniejsze wykręty, jakie tylko przyszły im do głowy. Ale nie mogli nic poradzić. Anzelm ciągle powtarzał:

– Nie mogę pozwolić wam odejść tak szybko: miłość bliźniego nakazuje mi zatrzymać was na dwa, trzy dni. Nie uważacie, że wspaniałe jest życie eremity?

Nie uwierzycie, ale nim nadszedł wieczór, nasi mnisi wymknęli się cichaczem, zostawiając pustelnię, eremitę i wszystkie jego zwyczaje tam, na pustyni, gdzie gościnność i przyjaźń nie są zbyt skomplikowane.



Święta Maria Egipska

Z Vitae Patrum

Opat Zosim był przeorem w pewnym klasztorze w Palestynie i sam opowiedział swoim mnichom, jak – przypadkiem... a może nic nie dzieje się przypadkiem – doszło do spotkania, o którym mówi ta stara legenda.

Trwał okres Wielkiego Postu, a ponieważ mnisi mieli zwyczaj spędzać te szczególne dni w samotności, on udał się na skraj pustyni, by oddać się medytacji. Wtedy też, nieopodal rzeki Jordan, natknął się po raz pierwszy na Marię Egipską, surową i tajemniczą pokutnicę, o której wiele mówiono w tych okolicach.

Kiedy Zosim ją spotkał, Maria była już starą kobietą, przyodzianą w strzęp jakiejś zużytej tuniki, który okrywał kruche ciało.

Kobieta pojawiła się nagle, jakby jakieś niewidzialne drzwi dzielące dwa światy otwarły się w tej chwili w tajemniczy sposób. Choć jej ciało nosiło widoczne znaki długich lat wyrzeczeń i samotności, ta kobieta miała nieprawdopodobny urok. Zosimowi wydawało się, kiedy spojrzał w jej czarne oczy, że zanurzył się w samym sercu Tajemnicy.

Opat w pierwszej chwili nie krył zaskoczenia, ale natychmiast zrozumiał, kogo spotkał, podczas gdy Maria, wyraźnie zakłopotana, próbowała przypomnieć sobie zasady ludzkich kontaktów, które wiele lat wcześniej postanowiła zerwać.

Mnich i kobieta usiedli, chroniąc się w cieniu jakiegoś głazu. Maria nie wydawała się szczególnie zaciekawiona tym, co dzieje się w świecie, który porzuciła; pragnęła raczej opowiedzieć, w formie jakby spowiedzi, historię swojego życia temu człowiekowi, którego los postawił na jej drodze.

Oto opowiadanie o życiu Marii Egipskiej, tak jak usłyszał je Zosim z jej własnych ust.

„Ja, mój ojciec, urodziłam się w Egipcie, w dobrej rodzinie. Nie byliśmy bogaci, ale niczego nie brakowało mnie i moim braciom. Jednak czułam się między nimi jak w więzieniu, ograniczona nakazami, które nie pozwalały mi żyć pełną piersią.

Dlatego w wieku dwunastu lat opuściłam dom i wybrałam życie, które wtedy pociągało mnie jak zaczarowany śpiew.

Przylączając się to do jednej karawany, to do drugiej, dotarłam do Aleksandrii, która wtedy jawiła się moim oczom jako szkatułka kryjąca bezcenne skarby. Byłam dziewczyną niespokojną, pełną złudzeń, ale tego nie żałuję, gdyż życie daje każdemu to, co mu się należy, pozostawiając z kolei zadanie jego zrozumienia.

I tak w końcu dotarłam do celu moich marzeń. Ale co mogła robić taka młoda osoba jak ja, pozbawiona wszelkiej pomocy i doświadczenia, jeśli nie to, co dyktuje młodzieńcza zarozumiałość?

Wkrótce znalazł się ktoś, kto zauważył mnie tylko po to, by uczynić przedmiotem swoich pragnień, i wpadłam w przepaść prostytucji. Początkowo byłam dumna z tego, że tak wielu mężczyzn zwraca na mnie uwagę, zaczęłam odkrywać sztukę uwodzenia i używać jej, ale byłam też wtedy dość naiwna i traktowałam to tylko jak zabawę.

Każdy robi to, co robi, zgodnie z tym, kim jest, a ja nie posiadałam ani sprytu, ani zachłanności, dzięki którym mogłabym się wzbogacić. Otrzymywałam tylko stra-

wę, posłanie na noc, czasem jakieś świecidełko, które przyjmowałam jak dziecko, dostrzegające w sztucznym pieniążku z cukru złotą monetę.

Tak przeleciało kilka lat, a wraz z nimi zaczęły rozwiewać się również pierwsze złudzenia, jak krople rosy po wzejściu słońca.

Pewnego dnia, było to w okresie Wielkanocnym, kiedy kręciłam się po ulicach wokół portu, napotkałam grupę pielgrzymów. Wielu z nich pochodziło z Egiptu jak ja, inni z Libii lub z jeszcze innych krajów.

Zaciekawiona, zapytałam jednego z nich, dokąd zmierzają, a ten mi odpowiedział, iż udają się do Jerozolimy, by uczcić Święty Krzyż i miejsca, gdzie żył Jezus z Nazaretu. Pomyślałam wtedy, że Aleksandria nie ma mi już nic do zaoferowania i że to może być dobra okazja, by udać się na poszukiwanie nowej szkatułki, która tym razem mogłaby okazać się hojniejsza.

Spytałam więc tego człowieka, czy i ja mogłabym przyłączyć się do ich grupy, a on chciał wiedzieć, czy mam z czego utrzymać się w czasie podróży. Jeden Bóg wiedział, że moje pragnienie udania się do Jerozolimy nie było podyktowane potrzebą uzyskania Jego przebaczenia za życie, jakie wiodłam, ale nadzieją odniesienia jak największej korzyści w tym miejscu, którego jeszcze nie znałam.

Odpowiedziałam mu, że nic nie posiadam, ale że umiem odpłacić się „w inny sposób” każdemu, kto weźmie mnie ze sobą. Na moją wyraźną propozycję człowiek ten spojrzał na mnie z uśmiechem pełnym współczucia, wcisnął mi do ręki kilka pieniążków, potem odwrócił się i odszedł.

Postanowiłam wtedy udać się prosto do portu, by znaleźć statek, który miał zabrać pielgrzymów. Po drodze spotkałam grupę marynarzy i z ich rozmowy wywnioskowałam, że zostali najęci właśnie do pracy na statku do

Palestyny. Nie musiałam dokładać starań, by mnie zauważyli i poznali moje zamiary, a i oni dali mi do zrozumienia, że nie zostanę przyjęta z czystej dobroci dla „pątniczki”. W ten sposób uzgodniliśmy, że mnie zabiorą, bym umiliła im podróż.

Spędziłam te dni żeglugi jakby otumaniona grzechem rozwiązłości i ten narkotyk pozwolił mi nie myśleć o moim życiu i o niepewnym losie, jaki mnie czekał.

Przez ostatnie lata długo rozmyślałam nad tą podróżą, zastanawiając się, jak morze mogło mnie nieść na swoich falach, nie zatapiając w przepastnych głębinach, gdzie była moja dusza. Ale Bóg nie mści się zsyłając śmierć, On raczej posługuje się życiem, by dotrzeć do ciebie.

W końcu dotarliśmy do celu i jak wszyscy inni opuściłam statek wśród obscenicznych komentarzy marynarzy. Czułam się skrępowana wśród tych ludzi, udających się do Jerozolimy, by uwielbić Krzyż, dlatego próbowałam trzymać się na uboczu, zmieszana tym dziwnym uczuciem, które zagościło w mojej świadomości, jak i nowością miejsc.

Tej nocy znalazłam schronienie w jakiejś stajni, a następnego ranka przyłączyłam się do procesji zmierzającej do świątyni, gdzie miał być wystawiony Krzyż. Nie umiem ci powiedzieć, dlaczego to zrobiłam: może już nie pamiętam, a może nie było wyraźnego powodu; zrobiłam tak i już.

O wyznaczonej godzinie drzwi świątyni otwały się na oścież i rzeka pobożnych osób ruszyła, by zobaczyć święte drzewo, ja również. Jednak kiedy miałam przekroczyć próg świątyni, jakaś nadzwyczajna siła stanęła przede mną niczym niewidzialny mur, tak że nie mogłam uczynić ani kroku dalej i zaczęłam utrudniać wstęp tym, którzy byli za mną.

Postanowiłam wtedy zmieszać się z ostatnimi, kierując się ponownie ku świątyni. Ale zaledwie dotarłam do

drzwi, znów ta sama tajemnicza siła nie pozwoliła mi wejść.

Próbowałam wiele razy, aż w końcu straszliwe zmęczenie ogarnęło całe moje ciało i osunęłam się w jednym z rogów placu. Opanowały mnie ponure zgorzknienie i bolesna nostalgia: dopiero wtedy zrozumiałam, że Bóg nie chce mnie w swoim domu.

Ta świadomość przeszła mnie jak piorun i obraz mojego życia wydał mi się nie do zniesienia. Obfite łzy zaczęły płynąć z moich oczu i wstrząsnął mną rzewny płacz.

Zacząłam wtedy, właściwie mimowoli, przyzywać tej, która w dzieciństwie wydawała mi się matką miłą niż wszystkie inne. Jednocześnie wspomnienia tych odległych niewinnych dni tłoczyły mi się w pamięci, przywracając dawną ufność w orędownictwo Niepokalanej Dziewicy z Nazaretu.

Modliłam się do Niej, jak dawno już tego nie robiłam, wiedząc dobrze, że mam wiele do odpokutowania. Wlałam w tę modlitwę całe uczucie, jakim darzyłam życie, i prosiłam Ją, by wstawiła się za mną, abym z woli Bożej mogła wejść do świątyni i uczcić drzewo Krzyża, do którego Jej Syn został przybity również przez moją bezwstydną rozpustę.

Wtedy też wypowiedziałam uroczystą obietnicę: jak tylko ucałuję drzewo Krzyża, zrezygnuję ze świata i udam się, gdziekolwiek Matka Jezusa mi wskaże.

W tym momencie ogarnęła mnie słodka pewność, że zostałam wysłuchana, i tak, resztką sił, jakie mi pozostały, wstałam i ponownie skierowałam się do świątyni.

Tym razem nic nie wzbraniało mi wejścia do świętego miejsca; tam przez dłuższy czas zatrzymałam się przed znakiem odkupienia, który wydawał się wyciągać swoje ramiona, by przyjąć właśnie mnie, najbardziej niegodną ze wszystkich stworzeń.

Kiedy uwolniłam się z tego uścisku i wyszłam na plac, wszystko wydawało mi się nowe, wspaniałe jak nigdy przedtem. Nawet kolor nieba wydawał się inny, tak samo ludzkie twarze. Przypomniałam sobie dzień po ulewnym deszczu, kiedy rozglądając się zobaczyłam, że wszystko jest cudownie czyste.

Ponownie zwróciłam się do Maryi, pewna, że moje szczęście dotarło aż do Jej serca, i przypomniałam złożoną Jej obietnicę: teraz powinna wskazać mi miejsce, gdzie mogłabym poświęcić Jej resztę życia.

Mój dobry ojciec, nie uwierzycie, ale usłyszałam Jej głos, tak jak dzisiaj słyszę wasz, który polecił mi przekroczyć rzekę Jordan, gdyż tam znajdę odpoczynek.

Wszystko stało się w czasie, którego dziś nie umiałabym określić, ale pamiętam, że wtedy wydawało mi się, że minęła krótka chwila. Ta niespodziewana zmiana mojego życia nappełniała mnie lękiem, tak że przyzywałam Maryi, by mnie wspierała, prowadziła i broniła.

Zobaczył mnie jakiś litościwy i pobożny człowiek i zdjęty współczuciem z powodu mojego stanu, podarował mi trzy monety. Za ten cenny kapitał kupiłam trzy chleby na drogę, po czym zapytałam, którą bramą winnam wyjść, by dojść do rzeki.

Ruszyłam w drogę, aż dotarłam do wskazanego mi ustronnego miejsca, które stało się moją pustelnią. Od tego odległego już w czasie dnia, obserwowałam sprawy świata oczami duszy, przestając jedynie z Matką Najświętszą i rozmyślając w ciszy”.

Zosim słuchał opowieści, nie przerywając kobiecie ani razu, ale teraz wiele pytań cisnęło mu się do głowy.

– Ile lat spędziłaś w samotności? – zapytał, gdy tylko skończyła.

– Mówisz mi o czasie, kiedy czas od dawna nie istnieje w moim życiu – odpowiedziała Maria. – Przypuszczam, że od tamtych dni upłynęło blisko pięćdziesiąt lat.

– Z czego żyłaś do tej pory? – zagadnął jeszcze ojciec Zosim.

– Powiedziałam ci, że wzięłam ze sobą trzy chleby, a ponieważ zrobiły się twarde jak kamienie, tarłam je po trochu przez lata; potem znalazłam na pustyni zioła, którymi gasiłam głód i pragnienie. Chłód nocy i spiekota dnia szybko zniszczyły moje szaty, ale łaska Boża zawsze chroniła moją duszę i ciało od wszelkiego nieszczęścia.

Zosim spoglądał na nią zdumiony, a ponieważ Maria, rozmawiając, cytowała z przekonaniem niektóre fragmenty Pisma Świętego, zapytał ją, czy miała możliwość sprawdzić te teksty bądź czy spotkała jakiegoś mądrego eremity.

– Wierz mi – odpowiedziała Maria – od dnia, w którym przekroczyłam tę rzekę, jesteś pierwszą istotą ludzką, jaką spotykam, tym bardziej więc nie mogłam znaleźć w tym miejscu żadnych ksiąg. Ale jeżeli umiesz zwracać się do Boga, nie potrzeba innej nauki, skoro On sam jest Mądrością.

Na te słowa Zosim rzucił się kobiecie do nóg, uznając w niej konkretny przejaw tajemniczej Obecności Bożej.

Maria uchyliła się w sposób zdecydowany przed tym gestem, który wydawał się jej niewłaściwy w stosunku do tak biednego stworzenia jak ona. Prosiła natomiast Zosima, żeby nie mówił nikomu o ich spotkaniu, przynajmniej do czasu jej śmierci, ale też żeby wrócił za rok, w Wielki Czwartek, i przyniósł jej konsekrowaną Hostię, którą bardzo pragnęła przyjąć.

Następnie zostawiła Zosima, znikając mu z oczu tak jak się pojawiała.

Opat wrócił do klasztoru, dziękując w sercu Bogu za to spotkanie, ale nikomu o nim nie mówił.

Minał rok i Zosimowi wydawało się, że Wielki Czwartek nigdy nie nadejdzie, nie mógł się doczekać spotkania nad brzegiem Jordanu. Kiedy w końcu nadszedł ustalony

dzień, wziął ze sobą Świętą Hostię, kilka daktyli i figi, udał się pośpiesznie na brzeg rzeki.

Czekał przez jakiś czas, ale po Marii ani śladu. Opat spoglądał niespokojnie w stronę pustyni, do głowy przychodziły mu różne myśli: „A jeżeli umarła?... Nie, to niemożliwe: powiedziała mi, że tego dnia będzie tutaj!... A jeżeli popełniłem takie grzechy, że zdaniem Boga nie jestem godzien tego niezwykłego spotkania?... A może była przede mną i nie widząc mnie, poszła sobie?... A może przyszła, ale nie było żadnej łodzi, żeby ją przewieźć na drugi brzeg?” Zosim brał pod uwagę każdą możliwość, kiedy podniósłszy wzrok, zobaczył ją uśmiechniętą po drugiej stronie rzeki. Wielka radość ogarnęła jego duszę, ale natychmiast zaczął martwić się, nie widząc w pobliżu niczego, co mogło posłużyć do przekroczenia rzeki.

Kiedy szukał jakiegoś rozwiązania tego problemu, zaskoczony zobaczył, że Maria zrobiła znak krzyża nad wodą, po czym, jakby to była rzecz najzwyklejsza na świecie, zaczęła iść po wodzie.

Mnich nie mógł zrozumieć, dlaczego Bóg pozwolił właśnie jemu podziwiać ten cud, i przyszły mu do głowy słowa Jezusa mówiące o wierze, która daje zdolność do czynienia rzeczy równie niezwykłych.

Uświadomił sobie wtedy, jak daleko mu do tej doskonałości i jak długa droga jeszcze go czeka.

Tymczasem ona zbliżyła się i spoglądała na niego łagodnym wzrokiem. Może czytała w jego myślach, gdyż dotykając z lekka jego twarzy, powiedziała:

– Zosimie, wszystko jest w rękach Boga!

Potem Maria uklękła, prosząc mnicha o Świętą Hostię. Następnie usiedli obok siebie, zatapiając się w ciszy serca i myśli, osnuci takim spokojem, jakim rzadko istota ludzka może się cieszyć.

Nadeszła w końcu pora pożegnania, jednak opatowi trudno było wyzwolić się z tego czaru. To Maria wstała

pierwsza, a odchodząc prosiła, żeby o niej nie zapomniał. Potem, tak jak wcześniej, uczyniła znak krzyża nad wodą i przeszła na drugą stronę, znikając mu z oczu.

Wróciwszy do klasztoru, Zosim był tak poruszony tym doświadczeniem, że dopiero teraz uświadomił sobie, iż nie zapytał jej nawet, kiedy będzie mógł ją znowu spotkać.

Upłynęło trochę czasu, ale opat nie mógł znaleźć spokoju; pragnienie ponownego ujżenia tego anioła Pańskiego tak go nurtowało, że wyruszył na poszukiwania tej niezwykłej kobiety.

Szukał wszędzie, w końcu przeprawił się na drugi brzeg rzeki, prosząc Boga, by wskazał mu właściwą drogę, aż w oddali zobaczył łunę, jakby małe słońce jaśniało za wydumą. Pobiegnął w kierunku świetlistego punktu i tam znalazł martwe ciało Marii.

Mnich był wstrząśnięty: jego rozum nie chciał przyjąć do wiadomości tej prawdy. U stóp zmarłej kobiety widniał na piasku napis poczyniony małą wprawna dłońią, który głosił: „Zosimie, przyjacielu, pochowaj biedne ciało nędznej Marii i módl się za nią, tak jak ona będzie się modlić za ciebie”.

Stary opat, udręczony, nie wiedział jak wykopać dół, by móc w nim pogrzebać ciało kobiety. Usiłował wykorzystać znaleziony w pobliżu kawałek drewna, ale ten się złamał. Próbował rękoma, jednak nie miał siły i ziemia była zbyt twarda dla niego.

Kiedy, cały spocony, trudził się tak na próżno, nadbiegł nagle okazały lew. Zosim nie śmiał nawet pomyśleć, jak to ogromne zwierze znalazło go, ani czy stanowi zagrożenie. Zobaczył natomiast, że bestia, obwąchując ciało Marii jakby oswojone, ułożyła się tuż obok.

„Nic mnie nie zdziwi, co wiąże się z tą kobietą – pomyślał mnich – nawet teraz, gdy leży tu tylko jej martwe ciało. A zatem również to jest znakiem!”.

I tak Zosim, uczyniwszy znak krzyża, zwrócił się zdecydowanym tonem do lwa:

– Muszę pochować tę świętą istotę, lecz brakuje mi sił, by to uczynić. Ty mógłbyś swoimi silnymi łapami wykopać dla mnie dół: wtedy ja zwrócę Marię ziemi, która stworzyła jej ciało.

Na te słowa lew podniósł się dostojnie i zaczął kopać potężnymi łapami dół szeroki i głęboki, w którym Zosim ułożył doczesne szczątki kobiety. Potem na nowo drapał ze wszystkich sił ziemię, rzucając ją na ciało, aż zostało całkowicie przykryte. Wtedy zwierze, tak jak się pojawiło, znikło.

Dopiero wówczas Zosim, zdjęty bólem, wybuchnął rzewnym płaczem. Ogarnął go lęk, że wraz z Marią stracił także nadzieję na odnalezienie Boga, i w tej ciszy poczuł się po raz pierwszy w życiu prawdziwie sam na sam z „Wiecznością”.



Rozum i posłuszeństwo

Stara legenda syryjsko-palestyńska

Pewien mnich z pustyni przyjął któregoś dnia dwóch młodzieńców, którzy prosili, by mogli zostać jego uczniami. On zgodził się pod warunkiem, że poddadzą się próbie.

– Na końcu tej ścieżki, u stóp murów miejskich, znajdziecie dwa konie; każdy z was weźmie jednego z nich za postronek i pędząc galopem, spróbuje przeskoczyć obwarowanie. Ja będę czekał na was po drugiej stronie.

Pierwszy uczeń powiedział:

– Mistrzu, człowiek, który pragnie świętości, musi ćwiczyć swój rozum. Mój rozum podpowiada mi, że to, o co nas prosisz, jest niemożliwe. Te mury są zbyt wysokie nawet dla konia, który umiałby latać. Zdrowy rozsądek mówi mi, że poprosiłeś o to jedynie, by sprawdzić, czy jestem rozumny czy nie, oraz czy umiem odwołać się do zdrowego rozsądku.

– A zatem nie spróbujesz przeskoczyć konno ponad murami? – zapytał mnich.

– Nie, nie zrobię tego – odpowiedział bez wahania uczeń – i wybaczone mi, jeśli wydaję ci się nieposłusznym.

Mnich zwrócił się wtedy do drugiego ucznia:

– A ty jak odpowiesz na moją prośbę?

Nie mówiąc ani słowa, drugi kandydat na ucznia skierował się w stronę miasta. Mnich poszedł za nim, dając znak pierwszemu, aby mu towarzyszył. U stóp muru chodził w tę i z powrotem, szukając, czy nie ma niż-

szego przejścia lub jakiegoś wyłomu. Ale nic nie znalazł. Chwycił jednak jednego z dwóch koni za uzdę, dosiadł go i oddalił się, by wziąć długi rozbieg. Rozpędził konia do galopu i kiedy był tuż przed murem, upadł na ziemię, w nadziei, że koń przeskoczy mur. Jednak koń zwolnił nagle i uderzył w mur, raniąc sobie pysk.

Kiedy stało się jasne, że wszystkie inne próby skazane są na niepowodzenie, mnich powiedział:

– Odprowadź konia do stajennego i chodź za mną.

Kilka minut później, kiedy wszyscy trzej byli znów na klasztornym dziedzińcu, mnich powiedział:

– Wszyscy wiedzą, że życie mnisze wymaga od tych, którzy je podejmują, różnych zdolności: rozumu, zdrowego rozsądku, a także posłuszeństwa. Posłuszeństwo w przypadku mnicha jest równie ważne jak rozum i zdrowy rozsądek. Większość nowicjuszy czuje w głębi serca, że posłuszeństwo jest mniej ważne niż bystry rozum. Świat pełen jest ludzi rozumnych, ale gdzie znajdziecie ludzi uległych?

Następnie zwrócił się do drugiego ucznia i zapytał go, dlaczego próbował rzeczy niemożliwej.

– Wiedziałem, że ty wiesz, iż chodzi o zadanie nie do wykonania; a zatem nie było nic złego w tym, by posłuchać i zobaczyć, dokąd mnie zaprowadzi to, o co prosisz. Wiedziałem, że najłatwiej będzie powiedzieć: „To niemożliwe, zdrowy rozsądek nie pozwala mi spróbować”, i że tylko ktoś naiwny mógł tak pomyśleć. Wszyscy mamy dość zdrowego rozsądku, by odmówić, kiedy to uważamy za konieczne. Zatem, wiedziałem, że chcesz wystawić na próbę moje posłuszeństwo i moją rezygnację z łatwych wyborów”.

I tak pierwszy uczeń został odprawiony, gdyż przykładał zbyt dużą wagę do osądu rozumu, a drugi przyjęty, gdyż nie sądząc po pozorach, sięgnął głębiej i dał z siebie wszystko.

Słupnik astrolog

Stara legenda syryjska

Pierwsze wieki Kościoła na Wschodzie obfitowały w ludzi oddanych Bogu.

Jedni udawali się na pustynie, niosąc skałom wątłe cienie swych wychudzonych ciał.

Inni zostawali w miastach, a ponieważ w tym przypadku trudno im było odejść od świata, by modlić się i medytować, wielu szukało schronienia na wierzchołku wysokiej kolumny. Nazywano ich słupnikami.

Jeden z nich nazywał się Syriusz, a radzili się go wszyscy mieszkańcy miasta ze względu na jego przenikliwość i wiedzę.

Częste rozważania i modlitwy wyostrzyły do tego stopnia jego zmysł przepowiadania i władze duchowe, że stał się jasnowidzem, potrafiąc widzieć lepiej od innych, jak się rzeczy mają.

Prości ludzie chętnie ciągnęli do niego, ufni, że otrzymają mądre słowo od prawdziwego Bożego przyjaciela.

Niezadowoleni z popularności tego dziwnego osobnika byli jedynie książę i dworzanie, którzy mieszkali w ogromnym pałacu pośrodku miasta.

Któregoś dnia, podczas modlitwy, eremita otrzymał wyraźną zapowiedź: poznał, że miasto zostanie zniszczone przez lawinę, która wypłynie z nieaktywnego od wieków wulkanu.

Przekazał wiadomość prefektowi miasta, który wiedział, że słupnik jest człowiekiem prawdomównym.

– Jestem pewien, że mówisz prawdę, jednak król nigdy ci nie uwierzy. Ufa jedynie swoim magom i astrologom – ostrzegł prefekt.

– Poślij po szambelana – polecił Syriusz.

Szambelan przybył ze swoją świtą i powiedział:

– Co chcesz oznajmić księciu i jego dworowi, stary głupcze, bo nim jesteś!

– Powiedz księciu, że już od wielu lat oddaję się tu, na szczycie mojej kolumny, badaniom astrologicznym i że gwiazdy powiedziały mi, iż wkrótce miasto zostanie zniszczone przez ten wulkan, który widać niedaleko stąd.

Książę uwierzył w tę zapowiedź i rozkazał ewakuować miasto. Kiedy wulkan się obudził, mieszkańcy byli w miejscu bezpiecznym.



Święty Paweł eremita i bieda

Z Acta Sanctorum

Paweł był młodzieńcem urodziwym, dobrze zbudowanym i energicznym, obdarzonym bystrą inteligencją. Potomek szlachetnej i bogatej rodziny egipskiej, został wychowany w dobrobycie i obyczajach, jak przystało na przyszłego światłego, wpływowego człowieka.

Pewnego dnia, jadąc konno po pustyni Tebaida, spotkał Antoniego, eremitę, który żył od wielu lat samotnie w grocie blisko źródła, spędzając czas na modlitwie.

Paweł usiadł obok niego i zapytał:

- Co tu robisz sam na pustyni?
- Nie jestem sam. Towarzyszy mi mój Pan.
- Kim jest twój Pan? – zapytał młodzieniec.

Stary pustelnik zaczął więc opowiadać o życiu Jezusa i o cudownych darach, które otrzymał, od kiedy postanowił wycofać się do pustelni. Paweł zafascynowany słowami eremity nie mógł powściągnąć ciekawości:

- Czym się żywisz? Na pustyni nie ma nic do jedzenia.
- Po co się martwić, co będę jadł czy pił? Po co troszczyć się o ciało czy ubranie? Spójrz na ptaki niebieskie: nie sieją, nie zbierają, nie gromadzą pożywienia i bogactw, a jednak Ojciec niebieski w swojej dobroci żywi je, podobnie i mnie.

Kiedy z anielskim spokojem wypowiadał te słowa, przeleciał nad nimi kruk i złożył u stóp świętego eremity bochenek chleba.

– Proszę, widzisz, Pan posyła nam ten obiad. Już siedemdziesiąt cztery lata żyję na pustyni i każdego dnia dostaję połowę chleba. Ze względu na twoją dzisiejszą wizytę porcja została podwojona.

Porwany słowami Antoniego, Paweł wybrał ewangeliczną radę ubóstwa, rozdał wszystkie swoje dobra i udał się na pustynię, by spędzać czas w ciszy i na modlitwie.

Opowiadają, że Paweł dowiedział się od Boga, którego dnia umrze. Posłał po Antoniego, by mu towarzyszył i potem pochował go. Antoni usłuchał.

Podczas drogi ujrzał rozpaloną miłością duszę Pawła, wstępującą do nieba na skrzydłach aniołów. Kiedy dotarł na miejsce jałowe i puste, gdzie żył Paweł, znalazł jego ciało w pozycji klęczącej, z czołem opartym o głaz i rozwartymi ramionami oranta przyzywającego Pana.

Wzruszył się i uрониł parę łez, modląc się za drogiego przyjaciela, który teraz mógł już cieszyć się oglądaniem rozpromienionego oblicza Boga.

Zdziwił się, że bieda tak bardzo zbratała się z nim: rozglądając się dokoła, nie zobaczył ani siennika do spania, ani kupki chrustu do ogrzania się, nic! Nawet kija lub stosownego narzędzia, żeby wykopać dół i pogrzebać ciało.

W tej chwili dwa lwy wynurzyły się nagle zza skał, podbiegły groźnie w kierunku Antoniego i legły potulne jak baranki obok zwłok. Dudniło w uszach ich potężne ryczenie, jakby opłakiwały śmierć Pawła. Następnie łapami wykopały głęboki dół, a skończywszy pracę, wróciły w milczeniu do swoich kryjówek.

Antoni owinał zwłoki w palusz, który pewnego dnia otrzymał w darze od świętego biskupa Atanazego, i złożył w dole. Na kopcu ustawił prosty krzyż; jako znak Świętego Ubóstwa, w którym zakochał się Paweł i które on sam kochał przez całe życie.

Próba świętego Filoteusza

Stara legenda syryjska

Filoteusza miłość Boża fascynowała od dziecka. W wieku trzynastu lat postanowił założyć klasztor na pustyni, i tak uczynił. Znany był ze swoich licznych cudów, ale przede wszystkim z głębokiej mądrości.

Pewien młodzieniec z tych stron, który dużo słyszał o świętości Filoteusza, pragnął przyłączyć się do jego wspólnoty.

Dotarłszy do klasztoru, poprosił odźwiernego, by mógł spotkać się z Filoteuszem.

– Dlaczego chcesz widzieć się z naszym przeorem? – zapytał mnich.

– Pragnę przyłączyć się do wspólnoty – odpowiedział młodzieniec.

– Jeśli tylko tego pragniesz, zaprowadzę cię do mistrza nowicjatu. Wszyscy, którzy wstąpili do tego klasztoru, musieli przejść trudną próbę.

Mistrz nowicjatu wytłumaczył młodzieńcowi, na czym polega próba, którą musi przejść, by zaspokoić swoje pragnienie zostania mnichem:

– Musisz najpierw znaleźć odpowiedź na jedno pytanie – powiedział mu mistrz nowicjatu. – Jeżeli ci się to uda, Filoteusz będzie szczęśliwy, mogąc cię przyjąć.

Poznawszy pytanie, młodzieniec zaczął szukać na nie odpowiedzi. Szukał i szukał, ale bezskutecznie. Szukał w książkach, pytał mędrców i uczonych, odwiedził miej-

sca święte i klasztory. Minęły lata. I kiedy stracił już nadzieję, postanowił zebrać ostatnie siły, zawział się, i w końcu, w dalekim kraju znalazł odpowiedź na tę dziwną zagadkę.

Przybywszy do klasztoru, udał się do mistrza nowicjatu i podał mu odpowiedź.

Mistrz nowicjatu poszedł do Filoteusza i wrócił z taką oto wiadomością:

– Twoja odpowiedź jest poprawna. Teraz możesz odejść. Musisz jeszcze poczekać, aż minie tysiąc i jeden dzień, po czym będziesz mógł wrócić tutaj i zostaniesz przyjęty do grona nowicjuszy.

Aspirant na mnicha był szczęśliwy, że przeszedł próbę, ale nieco rozczarowany koniecznością dodatkowego oczekiwania. Podziękowawszy mistrzowi nowicjatu, zapytał go:

– A co by się stało, gdybym nie udzielił prawidłowej odpowiedzi?

– Och! W tym przypadku zostałbyś przyjęty od razu. Gdybyś pragnął wstąpić do klasztoru z całego serca, zostawiłbyś na boku swoją dumę i uczynił pierwszy krok w stronę pokory mądrości.



Ekstaza i kontemplacja

Stara legenda z Azji Mniejszej

Był raz człowiek pragnący zostać uczniem świętego eremity, który uczył sztuki modlitwy. Stary pustelnik miał szczególny dar odróżniania prawdziwych uczniów, pokornych i cierpliwych, od fałszywych uczniów, ambitnych i zbyt prędkich, chcących w krótkim czasie dojść do ekstazy i kontemplacji.

Prawdę mówiąc, nowy uczeń nie był jeszcze gotów na podjęcie wędrówki w poszanowaniu właściwej kolejności wydarzeń. Łatwo się ekscytował i był zachłanny, nie-skłonny do oczekiwania na Boże dary.

Jednakże eremita dał mu szansę, gdyż możliwe było, że uda mu się dostrzec – poprzez oczywiste konsekwencje swoich niedoskonałości – potrzebę większego wyciszenia i rozwagi.

Zaczął uczyć go od podstaw, ale po kilku miesiącach uczeń, zniecierpliwiony i zniechęcony, żalił się, że nie widzi żadnych rezultatów. Zdawało mu się, że nauczyciel stawia go w sytuacjach, w których nic się nie dzieje, i wyciągnął wniosek, że wybrał niewłaściwego nauczyciela.

Udał się zatem na poszukiwanie innego mistrza, kogoś, kto potraktowałby poważnie jego zdanie o sobie samym, czyli że jest gotów doświadczyć czystego zanurzenia w Bogu. Bez trudu znalazł szarlatana na swoją miarę.

Na domiar wszystkiego ten drugi nauczyciel obsesyjnie nienawidził pierwszego.

Gdy już zdobył zaufanie nowego ucznia i rozpałił jego wyobraźnię obietnicą wyjawienia sekretów i osiągnięcia stanów mistycznych niedostępnych większości, polecił mu:

– Teraz poddam cię próbie: jeśli wyjdiesz z niej zwycięsko, będziesz mógł osiągnąć najwyższe szczyty mistyki.

Uczeń zaklinał się, że jest gotowy na każdą próbę.

– Bardzo dobrze! – kontynuował fałszywy preceptor.
– Przynieś mi serce twojego pierwszego mistrza.

Uczeń był tak oczarowany swym nowym nauczycielem, że zupełnie stracił rozum. Poszedł, zabił świętego eremity i wyrwał mu serce z piersi.

Podniecony i żądny poznania sekretów stanów mistycznych, biegł jak koń, którego poniosło, by zanieść serce swojemu nowemu mistrzowi, gdy nagle potknął się i upadł, upuszczając krwawiącą jeszcze cenną zdobycz, którą trzymał w dłoni.

Kiedy, oszołomiony, próbował się podnieść, zobaczył że serce zaczyna na nowo bić, i usłyszał słowa:

– Spokojnie, mój synu. Opanuj swoją niecierpliwość i twoje żądze! Droga modlitwy jest ciężka i wymaga odwagi: jest jak ścieżka na pustyni, gdzie spotykają się oschłość, trud, monotonia i zmęczenie. Niewielu jest takich, którzy potrafią dotrzeć do oazy Bożej obecności.



Kłótnia

Z Vitae Patrum

Było pewnego razu dwóch starych eremitów, którzy mieszkali razem w jednej celi i nie mieli nigdy powodu do kłótni.

Któregoś dnia jeden powiedział do drugiego:

– Zróbmy tak jak inni: posprzeczajmy się chociaż raz! Inaczej umrzemy, nie zaznawszy tego doświadczenia.

Drugi wydawał się zakłopotany.

– Problem w tym, że nie wiem, jak zaczyna się sprzeczkę.

Wtedy pierwszy zastanowił się przez chwilę i wydawało się, że ma pomysł:

– Ja wezmę tę cegłę i położę ją między nami. Potem powiem, że jest moja. Ty natomiast powinienes zaprzeczać, mówiąc, że jest twoja. Wydaje mi się, że właśnie to prowadzi do kłótni.

Uzgodnili co trzeba i położyli cegłę między sobą.

Jeden powiedział:

– Jest moja!

Drugi odparł:

– Mnie natomiast wydaje się, że jest moja!

Pierwszy wtedy odpowiedział:

– Nie jest twoja, jest moja!

Na co drugi:

– No cóż, jeśli jest twoja, to ją sobie weź!

I rozeszli się, zadowoleni, do swoich prac.

Ewagriusz i susza

Stara legenda z Kapadocji

Opowiadają, że w czasie wielkiej suszy ludzie z miasteczka Urgub udali się z prośbą do mnicha Ewagriusza, który właśnie wyruszał na pustynię, by modlić się do Boga o deszcz.

Ten poprowadził ludzi wąskimi zaułkami do miejsca, gdzie siedziała młoda kobieta kołysząca w ramionach swoje dziecko.

– Błagam cię, nakarm niemowlę – polecił mądry eremita.

– Wiem, kiedy mam karmić – odpowiedziała kobieta.
– Jestem jego matką. Dlaczego wtrącasz się w sprawy, które znam tylko ja, a które są ułożone w sposób, o którym tym nie masz pojęcia?

Ewagriusz poprosił, by słowa kobiety zostały zapisane i odczytane publicznie wszystkim mieszkańcom miasta.



Jerzy i lojalność

Stara legenda z Azji Mniejszej

Przy drodze, która z Jerycha wspina się do Jerozolimy – tej samej, którą przechodził dobry Samarytanin, a także sam Jezus – wznoszono od pierwszych wieków liczne klasztory, z których najslawniejszym był klasztor w Koziba, gdzie żył święty mnich nazywany Jerzym.

Jerzy był prawdziwym ojcem duchowym, znanym w całej Palestynie. Do klasztoru przybywali zaciekawieni podróżni oraz uczniowie z różnych stron świata. Pielgrzymi, mnisi, pustelnicy, ale także królowie i książęta udawali się w nadziei odbycia z nim chociaż jednej duchowej rozmowy.

Pewnego dnia, w czasie rozmowy z księciem arabskim, Jerzy zauważył:

– Ludzie nie potrafią być wierni, nawet jeśli uważają inaczej.

Książę sądził, że mnich chce mu się przypodobać, zwracając uwagę, że wśród jego mnichów nie ma nikogo wiernego mu i gotowego na męczeństwo.

– Jerzy, gdybyś wiedział, jaka hipokryzja panuje na moim dworze. Egoizm i dwulicowość cechują skrytą naturę dworzan jak i tych, którzy obracają się wokół władców takich jak ja. Ty jesteś jednym z najświętszych ludzi żyjących na tej ziemi i wokół ciebie nie może być pochlebców. Tylko pobożni cię naśladową, aby osiągnąć dobra wieczne. Ich uczucia są bezinteresowne i szczerze.

Świątobliwy mnich powiedział:

– W całym klasztorze, wśród wszystkich mnichów, którzy ślubowali wierność Chrystusowi i mnie jako przeorowi tej wspólnoty – wiem to na pewno – w przypadku próby znalazłoby się ledwie półtora człowieka zdolnego okazać odwagę; wszyscy inni daliby dowód bojaźliwości i tchórzostwa.

Pragnąc zweryfikować zasadność tej wątpliwej teorii, książę i mnich postanowili zainscenizować pozorne aresztowanie. Książę miał oskarżyć mnicha o zabójstwo jednego ze strażników ze świty i miał go wyprowadzić ze związanymi rękami i nogami na środek klasztoru, gdzie miała się odbyć natychmiastowa egzekucja przez powieszenie.

Kiedy żołnierze przyszedli go pojmać, żaden mnich nie stawiał oporu. Książęce straże eskortowały go na podwórzec klasztorny, ale żaden głos nie podniósł się w jego obronie.

Minęło wiele godzin, zanim postawiono szubienicę i przystąpiono do wykonania egzekucji. Kiedy już założono stryczek na szyję Jerzego, jeden mnich wystąpił wołając:

– Ten człowiek jest niewinny!

Potem drugi mnich podbiegł do stóp szafotu i powiedział:

– Zanim zostałem nowicjuszem, splamiłem się straszliwymi przestępstwami. Zabijcie mnie, który jestem grzesznikiem! Jestem gotów umrzeć za świętość mojego przeora. A jeżeli nawet byłby winny, Jezus Chrystus przyjmie tę moją ofiarę i przebaczy mi moje winy.

O zmierzchu książę i Jerzy spotkali się ponownie na osobności, by skomentować przebieg wydarzeń. Przeor powiedział do władcy:

– Jak widzicie, mój drogi książę, wszystko przebiegało tak jak przewidywałem. Ten, który ogłosił moją niewinność, jest w połowie osobą nietchórzliwą; a jedynym nieskazitelnym człowiekiem w moim klasztorze jest ten, który gotów był oddać za mnie życie.

Święty słupnik Alipiusz

Stara legenda z Azji Mniejszej

Życie świętego Alipiusza z Adrianopolu było tak bardzo wypełnione cudami, że nie wiadomo od którego zacząć, żeby je wszystkie opowiedzieć.

Kiedy się urodził, matka miała wizję: widziała mieszkańców jakiegoś miasta, którzy zdążali w procesyjnym orszaku do jej dziecka, śpiewając psalmy i hymny pochwalne.

W wieku trzech lat Alipiusz stracił ojca; powierzono go opiece biskupa Teodora, pod którego kierunkiem wzrastał w mądrości i bojaźni Bożej. Uległy natchnieniom łański, gdy został wyświęcony na diakona, rozdał wszystko, co posiadał, biednym, i powiedział matce, że zamierza udać się na Wschód i zostać mnichem pustyni.

Jednak biskup Teodor, który uważał, że straci nie tylko umiłowanego syna duchowego, ale człowieka świętego, podążył za nim i przekonał go, by wrócił do rodzinnego miasta. W czasie drogi powrotnej Alipiusz miał widzenie, z którego dowiedział się, że miejsca święte są wszędzie tam, gdzie sługa Boży decyduje się żyć w sposób święty.

Zaczął wtedy szukać miejsca odosobnionego i wydawało mu się, że znalazł je w górach, które wznosiły się na południe od miasta. Jednak w tych górach brakowało wody. Po całym dniu kopania w poszukiwaniu wody, zasnął wykończony. We śnie zobaczył, gdzie ma drążyć, aby znaleźć źródło, i następnego ranka, kiedy je znalazł, pobiegł do biskupa, żeby ten przyszedł je pobłogosławić.

Ale tym razem biskup Teodor – chyba zbyt zaborczy – najpierw pobłogosławił źródółko, a potem po kryjomu polecił je zatkać, w nadziei, że jego diakon wróci do miasta.

Pragnienie samotności płonęło w sercu Alipiusza, który szukał tylko towarzystwa Boga. Tak więc młodzieniec zaczął wędrować po górach, aż osiadł na pustyni w pobliżu miasta, gdzie, jak mówiono, mieszkały diabły.

Pewnego dnia Alipiusz, nie chcąc być nieposłusznym, zgodził się towarzyszyć biskupowi Teodorowi, który udawał się na spotkanie z cesarzem. Alipiusz dotarł aż do Chalcedonii, ale kiedy mieli wsiąść na statek do Konstantynopola, ukrył się pod ławkami w oratorium świętej Bassy, nieopodal morza, i tam zasnął. Tej nocy święta Eufemia, patronka Chalcedonii, ukazała mu się we śnie i poleciła wstać i wrócić do rodzinnego miasta.

Przed powrotem jednak Alipiusz uparł się, że wzniesie w miejscu wizji kaplicę ku czci świętej męczennicy, która ukazała mu się we śnie. Nie mając grosza przy duszy, a jedynie niezachwianą ufność w Bożą Opatrzność, skorzystał z pomocy uczniów, przyjaciół i wiernych, którzy zdobyli środki potrzebne na budowę małego kościółka. Tam zatrzymał się przez kilka lat, dopóki dzieło nie zostało ukończone. Właśnie wtedy zaczął marzyć o tym, by zostać słupnikiem i zamieszkać na szczycie kolumny.

Gdy wrócił w góry, wiele osób z miasta przychodziło do niego po radę i Alipiusz przyjmował wszystkich bardzo uprzejmie. Niemniej jednak był przekonany, że te wizyty odciągają go od modlitwy i ograniczają ascezę.

Nie zwlekając, postanowił wspiąć się na kolumnę. Kilku uczniów pomogło mu umocować parę drewnianych desek na kapitelu. Miejsca było tak mało, że nie mógł ani położyć się, ani usiąść. Ale Alipiusz – pomimo nalegań matki i przyjaciół – nie chciał, by zwieńczenie kolumny zostało poszerzone. Stał tam dzień i noc jak marmurowa statua, walcząc z gorącem, zimnem, deszczem i wiatrem,

a także z rozmaitymi demonami, które przychodziły go nękać, ciskając weń kamieniami.

Pewnego dnia poprosił matkę – która zamieszkała u stóp kolumny w namiocie wraz z grupą uczniów i kobiet – by postarała się dla niego o siekierę. Zamierzał obalić również niewielki daszek, który osłaniał jego ciasne schronienie. Matka sprzeciwiła się, nie mogąc znieść widoku własnego syna zmagającego się pokornie z tak surowymi warunkami, ale w końcu musiała ulec. Alipiusz usprawiedliwiał się twierdząc, że jego udręki są niczym w porównaniu z tymi, jakie cierpiał Chrystus.

Alipiusz był już teraz tak blisko Boga, że żadna jego modlitwa nie pozostawała bez odpowiedzi: przewidywał przyszłość, uzdrawiał chorych, jednał nieprzyjaciół i rozstrzygał spory. Pewnej nocy, gdy jego uczniowie spali, zobaczył u stóp kolumny biedaka drżącego z zimna. Zdjął swoją zużytą już szatę i rzucił ją ubogiemu.

Świętość promieniująca z tej niezwyklej kolumny rozlewała się na uczniów. Wielu z nich zdecydowało się zrezygnować z ciszy i spokoju tego miejsca, by stanąć na czele nieobsadzonych kościołów.

Po pięćdziesięciu trzech latach połowa ciała Alipiusza była sparaliżowana. Nogi odmawiały posłuszeństwa i dlatego kolejne czternaście lat spędził skulony na jednym boku na ciasnej platformie. Do tych utrapień doszła jeszcze straszna choroba skóry, która pokryła jego ciało wrzodami, tak jak miało to miejsce w przypadku Hioba.

Kiedy umarł, ogromna procesja, prawdziwa rzeka ludzi przybyła zobaczyć i dotknąć ciała Alipiusza. A kto przyszedł do grobu świętego, nie chciał już odejść z tego miejsca pełnego ducha i pokoju.

Bardzo szybko kult Alipiusza rozszerzył się na Wschodzie i Zachodzie. W Konstantynopolu dedykowano mu nowo wzniesiony klasztor.

Traconzio i pokusy

Legenda bretońska

W lasach Bretanii, wiele wieków temu, żyło liczne gromno pustelników.

Wśród nich był niejaki Traconzio, potomek bogatej rodziny kupieckiej. Chciał dostać się do raju i by uniknąć jakichkolwiek pokus, uważał za stosowne opuścić dom i bogactwo, by kiedyś stanąć zupełnie czystym i bez skazy przed obliczem Boga.

Nie wystarczało mu życie kontemplacyjne pośród innych eremitów, gdyż często przeszkadzali mu odwiedzający go wierni, dlatego szukał większego odosobnienia, przekonany, że z dala od wszystkiego i od wszystkich, uniknie wszelkich możliwych pokus i nie będzie ryzykował zbrukania swojej duszy grzechem.

Postanowił udać się na plażę, a zbliżywszy się do napotkanego rybaka, zapytał go, czy nie zna jakiejś wyspy zapomnianej i niezamieszkannej. Przewoźnik odpowiedział:

– Jest rafa wąska i wysoka, w odległości czterech godzin drogi stąd, ale tak dzika i nieprzyjazna, że budzi grozę w każdym, kto ją zobaczy.

Uradowany tą wiadomością, Traconzio błagał usilnie:

– Proszę cię, w imię Boże, zabierz mnie na tę wyspę, gdzie nikt nie będzie już mącił mojego spokoju i żadna pokusa mnie nie dosięgnie.

– Skąd weźmiesz niezbędne pożywienie?

– Ty od czasu do czasu dostarczysz mi chleba i wody, a pracując własnymi rękami, zrobię z muszli naszyjniki, które ty będziesz mógł sprzedać, by odzyskać wynagrodzenie za twój trud.

Rybak zrozumiał, że ten młody eremita jest zdecydowany i nie majaczy. Przystał na tę umowę.

Przy sprzyjającym wietrze dotarli do rafy. Traconzio wspiał się na skałę, pobłogosławił przewoźnika i podziękował Bogu, że prowadził go na miejsce ustronne. Tam, odsunięty od świata, bez przeszkód oddawał się modlitwie, medytacji i pracy.

Pewnego wieczoru, przed udaniem się na spoczynek, tak się modlił: „Wszechmogący Boże, dziękuję Ci za to życie z dala od pokus: tylko w ten sposób zdołam osiągnąć raj całkowicie nieskażony i czysty, bez zmazy i grzechu, gdzie mnie przyjmiesz na koniec mojego życia”.

Ale właśnie kiedy wypowiadał te słowa, naszły go nieoczekiwane pokusy! Szatan nie mógł znieść, żeby młody eremita odznaczał się taką cnotą i heroizmem, i zaczął go dręczyć. Całymi dniami próbował go znęcić różnego rodzaju pokusami i pochlebstwami.

Na początku kusił go jedzeniem.

Przyszedł przebrany za przewoźnika, ale zamiast przynieść jak zwykle chleb i wodę, przywiózł mu różnego rodzaju pyszne, soczyste owoce. Traconzio był nieugięty:

– Zabierz te owoce i przywieź mi moje zwykłe jedzenie. Ślubowałem żywić się chlebem i wodą i nie zrezygnuję z tego zobowiązania. Będę pościł aż do twojego powrotu.

Skoro rozkosze cielesne nie robiły na pustelniku wrażenia, szatan kombinował, jakby uraczyć go wygodami.

Traconzio zazwyczaj spał wyciągnięty na szorstkim kamieniu, wystawiony na niepogodę i na fale, które w czasie burzy uderzały o wyspę. Nie miał nigdy ani siennika, ani przykrycia. Któregoś dnia, kiedy chodził po malutkiej plaży szukając muszelek, zobaczył sejf ukryty

w piasku. Może pozostałość po jakimś przepływającym statku. Wykopał go i otworzył, a w środku znalazł małą poduszeczkę i zwinięty pled z miękkiego materiału. Nawet przez chwilę Traconzio nie pomyślał o zatrzymaniu tych cennych przedmiotów. Zwrócił je morzu, wrzucając do wody, wierny swojemu ślubowi nieposiadania niczego, co nie byłoby niezbędne do przetrwania.

Skoro również pokusa posiadania nie odniosła zamierzonego skutku, szatan postanowił zastawić sidła na eremitę, wykorzystując najgorszą ze swoich pułapek.

Traconzio pośród ciszy nocnej czuwał na modlitwie, kiedy przeszył go silny, zimny dreszcz, poruszający całe jego ciało. Zdawało mu się, że wkrótce dosięgnie go śmierć. Pościł od przeszło czterdziestu dni. Traconzio widział przed sobą bramy raju. Czuł się pewnie, czysty i nieskalany, gotowy wejść triumfalnie do królestwa błogosławionych, by zostać przyjętym do grona świętych i przyjaciół Boga. Zapukał do drzwi. Z drugiej strony dobiegł go głos:

– Jestem aniołem odzwierciedlającym raj: czy uważasz, że jesteś godzien przekroczyć te progi?

– Drogi aniele – odpowiedział Traconzio – całe życie spędziłem żyjąc w samotności, w trudzie, z dala od wszystkiego i wszystkich, aby uniknąć pokus, i nawet kiedy szatan mnie nachodził, nie uległem i nie popełniłem grzechu. Oczyszczony przez post i modlitwę, uważam się za godnego wejścia do chwały Bożej.

– Dobrze, teraz uklęknij, byś mógł otrzymać błogosławieństwo od aniołów i wejść, aby uwielbić Boga zasiadającego na tronie.

Traconzio uklęknął.

Z wolna drzwi się otworzyły. Traconzia dobiegł śpiew aniołów i pienia błogosławionych wielbiących Boga. Ale przeraźliwy obraz ukazał się jego oczom. Zobaczył siebie jakby w lustrze. Twarz, początkowo pogodna, wykrzywiła

się w smętnym uśmiechu, aż w końcu oszpecił ją złośliwy grymas. Następnie ten autoportret ujawnił swoją prawdziwą naturę i diabeł we własnej osobie, zwycięski, stanął przed nim, zmuszając go, by oddał mu pokłon.

Traconzio uciekł, popychany jakimś nagłym wyrzutem. Serce biło mu w piersi jak oszalałe. Biegł ile tchu w piersiach pośród nocy, a ponieważ szalała burza, wpadł do morza, nie zorientowawszy się, że dotarł do końca małej rafy.

Bóg w swoim nieskończonym miłosierdziu posłał dwa delfiny, który eskortowały go bezpiecznie do plaży, z której wyruszył.

Traconzio wylewał gorzkie łzy, ale w tym momencie zrozumiał, że żadna żywa dusza nie może uciec przed pokusami, i że w swojej pysze padł ofiarą najgorszego bałwochwalstwa, to jest wizerunku samego siebie.

– Ty karzesz nas łagodnie i upominasz, Panie – modlił się płacząc. – Przypominając nam nasze grzechy, zmuszasz nas, byśmy uznali nasze ubóstwo i doświadczyli nieskończonej słodyczy Twojego przebaczenia. Nikt nie może czuć się godnym Twojej miłości, ale wszyscy możemy uważać się godnymi Twojego miłosierdzia.

Traconzio pielgrzymował nieustrudzenie po krajach Bretanii i poświęcił się całkowicie głoszeniu Bożego miłosierdzia. Zmarł pogodnie dwa lata później.



Eremita w dębie

Z Acta Sanctorum

Sewer po śmierci żony porzucił służbę wojskową i poświęcił się służbie biednym. Minęło wiele lat, które spędził na pełnieniu dzieł miłosierdzia, kiedy po życiu czynnym poczuł się wezwany do samotności i kontemplacji. Postanowił wrócić do lasów w Normandii, gdzie się urodził, i zostać eremita. Krążąc po okolicy znalazł olbrzymi, wiekowy dąb, którego pień był w dużym stopniu spróchniały i wydrażony przez dzikie zwierzęta. Sewer urządził tam sobie schronienie i poślanie z kamieni.

Od kiedy stracił żonę, Sewer zwykł powtarzać: „Bóg jest Panem wydarzeń i rzeczy. My możemy tylko zdać się w całej pokorze i ufności na Bożą Opatrzność”.

Nieopodal jego pustelni płynął wartki potok; większy problem stanowiło znalezienie jedzenia. Sewer jednak nie martwił się tym. Każdego dnia znajdował coś na ząb, chociaż poszukiwanie jedzenia odbywało się zawsze kosztem czasu poświęcanego codziennej modlitwie.

Aż pewnego dnia przechodził tamtędy właściciel tych ziem, który w zamian za chleb i ser powierzył opiece eremity swoją owczarnię.

Sewer był zadowolony, że może wykonywać tę pracę. Zapewniała mu ona każdego dnia posiłek i miał więcej czasu na sprawy duchowe.

Miejsce, gdzie pasło się stado, nie leżało zbyt daleko od jego dębu. Był to uroczy zakątek, obfitujący w sady

i zielone łąki. Bardziej na północ, w lesie, wznosił się wiecznie zielony, wielki dąb, wokół którego jego pan, który był poganinem, gromadził się wraz z rodziną i kilkoma druidami, by okrutnym zwyczajem składać ofiary na cześć leśnych bóstw.

W pobliżu stał również mały kościółek poświęcony świętemu Marcinowi. Tam przybywali nieliczni chrześcijanie, których Sewerowi udało się zebrać na wspólną modlitwę.

Pewnego dnia zjawiała się przed nim prosząca o jałmużnę staruszka.

Sewer nie miał co dać biednej kobiecie i nie wiedząc co począć, wziął jedną owcę z jagniątkiem i podarował żebrzącej.

Doszło to do uszu właściciela.

Przywołał eremitę i kazał mu zwrócić natychmiast wszystkie owce. Sewer był spokojny, nie martwił się. Poszli do owczarni, policzyli owce co do jednej: nie brakowało żadnej. Tajemnica!

Okazało się później, że modlitwy Sewera dokonały cudu.

Właściciel nawrócił się na chrześcijaństwo i prowadził życie przykładowe aż do śmierci.

Sewera pochowano z wielką pompą w katedrze w Evreux.

Dąb, który gościł eremitę, stał się celem pielgrzymek i przetrwał jeszcze wiele wieków, a nikt nie śmiał ściąć go bądź – traktując jak relikwię – zabierać po kawałku.



Święty Julian i ofiarna miłość

Ze Złotej legendy

Zazwyczaj, kiedy zamykał oczy, Julian wracał pamięcią do swojej młodości.

Widział dziedziniec zamkowy, charty na schodach, giermków w zbrojowni, a pod dużą pergolą szlachetnego i dumnego nastolatka o złotych włosach, stojącego między starcem okrytym futrem i uroczą damą w wysokim nakryciu głowy w kształcie stożka; nagle były tam dwa trupy. A on rzucał się twarzą na łóżko, rozdarty bólem i wyrzutami, a płacząc powtarzał:

– Och, biedny ojciec! biedna matka! dlaczego...? dlaczego...?

Julian był zwinny i myśliwy. W czasie jednego z polowań zabił jelenia, który konając, wypowiedział złowróżbne słowa:

– Zabijasz mnie i nie czujesz żadnych wyrzutów, ale nadejdzie dzień, w którym niechcący zabijesz twojego ojca i matkę, a wyrzuty nie opuszczą cię już do końca życia.

Kłątwa spełniła się i Julian, niepokieszony po śmierci swoich ukochanych rodziców, postanowił wyruszyć w świat, błakając się po różnych krajach i wypełniając życie postami i pokutą.

Po około trzydziestu latach pielgrzymowania, zmęczony samotnym podróżowaniem, jedynie w towarzystwie swoich trosk, postanowił osiąść w chatce na moczarach,

w miejscu nieprzyjaznym, by kontynuować swoje życie pokutne.

Niewielki stół, stołek, łóżko z suchych liści, talerz i gliniany dzban, to cały jego dobytek. Dwie dziury w murze służyły za okno. Z jednej strony rozciągały się opustoszałe i podmokłe równiny, na których powierzchni tworzyły się tu i tam blade sadzawki; z drugiej strony błotniste moczary wydawało zgniły zapach. Kiedy nadchodziła pora ciepła, nie przestawały go nękać chmary komarów. Kiedy mroźna zima dała odczuć swój uścisk, wszystko było sztywne i martwe.

Minęły miesiące i Julian nie widział żywej duszy. Trwał, nie wiedząc o Bożym świecie, w swej przymusowej pustelni. Jedynie w snach oglądał posępne obrazy i tragiczne postacie.

Pewnej nocy obudził się w przekonaniu, że słyszy, jak ktoś go wołał. Nastawił uszu, ale usłyszał tylko łoskot deszczu i świst wiatru, który uderzał w okna chatki.

Potem ponownie usłyszał swoje imię:

– Julianie!

Głos dochodził z przeciwległego brzegu sadzawki.

Po raz trzeci głos go zawołał:

– Julianie!

Ten głos miał dźwięk wibrujący jak dzwon.

Julian zapalił lampę i wyszedł na zewnątrz. W nocy szalał huragan. Po chwili wahania rzucił się do wody; muł dochodził mu już do kolan, kiedy zauważył na drugim brzegu sylwetkę człowieka leżącego na ziemi. Biedak był owinięty w strzępy płótna, twarz przypominała woskową maskę, jego oczy miały kolor czerwony jak rozżarzone węgle. Zbliżywszy latarnię, Julian wzdrygnął się z przerażenia: trąd odrażająco zniszczył twarz i ciało tego biednego człowieka; jednakże było coś w jego zachowaniu, co wzbudzało lęk.

Julian nie tracił ducha. W zacinającym deszczu zbierał w zaroślach gałęzi i sitowia i zbudował prowizoryczną tratwę. Ułożył na niej chorego i spuścił tratwę na wodę.

Zanurzony w błocie, Julian popychał z trudem to małe unoszące się na powierzchni legowisko. Pchał rękami, a zapierając się nogami pochyłał plecy, by zwiększyć siłę parcia. Grad smagał mu dłonie, deszcz spływał po plecach, siła wiatru zapierała mu dech. Wiele razy kusiło go, żeby zrezygnować, ale ponieważ wiedział, że nie może się zatrzymać, zaczynał pchać na nowo i zbierając resztki sił, jakie mu zostały, dotarł w końcu na brzeg.

W chatce Julian ułożył trędowatego na macie i zamknął drzwi.

Obmywszy się z błota, zdjął delikatnie z chorego dziwny całun, który owijał jego ciało. Przepaski odsłoniły wychudzone ramiona, klatkę piersiową i kończyny, pokryte bąblami, ropnymi krostami i strupami. Głębokie zmarszczki przeorały jego czoło. Jak szkielet miał dziurę w miejscu nosa, a niebieskawe wargi roztaczały powiew śmierci intensywny i mdłący.

– Jestem głodny – powiedział chory.

Julian podał mu co miał: kawałek zjełczałej słoniny i rybę.

Kiedy trędowaty pochłonał jadło, powiedział:

– Chce mi się pić.

Julian poszedł poszukać dzbanka, w którym zostało trochę czystej wody. Chory opróżnił dzbanek.

Potem powiedział:

– Zimno mi.

Julian od świecy zapalił pośrodku chatki wiązkę liści paproci. Trędowaty przycupnął jak najbliżej, żeby się ogrzać; drżał na całym ciele i wyraźnie tracił siły; jego oczy już nie świeciły, z wrzodów sączyła się ciecz i zgaszonym głosem wyszeptał:

– Twoje łóżko.

Z delikatnością, do jakiej nigdy nie był zdolny, Julian pomógł mu wyciągnąć się na łóżku.

Trędowaty jęczał. Kąciki ust odkrywały jego zęby, przyspieszony oddech wstrząsał klatką piersiową, a brzuch przy każdym oddechu zapadał się aż do żeber.

Potem zamknął powieki.

– Czuję się jakbym miał lód w kościach. Połóż się obok mnie.

I Julian położył się na sienniku z suchych liści obok niego, najbliżej jak mógł.

Trędowaty odwrócił głowę.

– Rozbierz się, abym czuł ciepło twojego ciała.

Julian zdjął z siebie ubranie; potem, nagi, położył się na łóżku i objął czule chorego, jakby był dzieckiem. Czuł na piersiach skórę chorego zimniejszą od węża i chropowatą jak pilnik. Próbował dodać mu otuchy, ale tamten odpowiadał, ciężko dysząc:

– Czuję mroźny powiew śmierci: zbliż się całym twoim ciałem i ogrzej mnie.

Julian przywarł jeszcze ciaśniej do biednego umęczonego ciała. Teraz byli już jednym cierpiącym ciałem, pierś w pierś. Wtedy trędowaty przycisnął go do siebie i nagle jego oczy nabrały blasku gwiazd, twarz pojaśniała, a pomarszczona skóra zaczęła powoli nabierać gładkości. Rany trędowatego zbliżniały się jedna po drugiej, a w tym samym czasie – jak przez śmiertelne zakażenie – koszmarnie rany i pęcherze zaczęły pojawiać się na ciele Juliana.

W tej właśnie chwili, kiedy dostrzegł śmierć w każdej części swego ciała, Julian poczuł, że jego dusza zanurza się w miłości i radości, i kiedy nasz Pan Jezus Chrystus zabierał go do raju, zrozumiał, że nie post i pokuta uczyniły go czystym w oczach Boga, ale tylko jego bezgraniczna miłość.

Niezwykłe historie
o pielgrzymach
i Bożych
wędrowcach



Cud z Bolseny

Legenda średniowieczna

Minęło przeszło tysiąc lat od śmierci Jezusa i ci, którzy Go znali, już dawno odeszli z tego świata tam, gdzie obiecał ich oczekiwać.

Jego nauczanie dotarło do chrześcijan pierwszego tysiąclecia, przemierzając długi most złożony z myśli, słów i czynów, który mając swój początek w Palestynie, dosięgnął także miasta Bolsena w słonecznej Italii.

Bolsena to małe miasto o bogatej historii, założone w odległych czasach przez tajemnicze plemię Etrusków, które zmieszało się później z potężnymi sąsiadami – Rzymianami.

Tak więc właśnie do Bolseny przybył pewnego dnia niemiecki ksiądz, który z dalekiej Germanii podróżował do Rzymu, by nawiedzić wielkie kościoły i święte miejsca tak liczne w tym mieście.

Świątobliwemu człowiekowi odradzano tę długą podróż. Na drogach grasowali bandyci i trzeba było wiele razy zatrzymywać się na odpoczynek, co zwiększało ryzyko spędzenia nocy pod gołym niebem, licząc jedynie na przychylność Opatrzności.

Pleogit, bo takie imię nosił ksiądz, wziął pod uwagę te mądre rady, ale czuł, że powinien odbyć tę podróż. Już zbyt długo nosił w sobie niszczące uczucie niedosytu, a jakiś wewnętrzny głos powtarzał mu, że tylko tam znajdzie wytchnienie.

Z drugiej strony, urodziwszy się w germańskich lasach, przyzwyczajony był do niewygód i trudności. Swoją wiarę w Zbawiciela zdobył tocząc niejedną bitwę z sobą samym, zanim jeszcze zaczął je toczyć ze swoim ludem.

Pleogita kochano za dobroć. Uważał każdego człowieka za godnego uwagi i ze względu na tę cechę charakteru, odnalazł w słowach Chrystusa bezpośredni wzór. Niektóre jednak nauki Mistrza z trudem znajdowały miejsce w jego rozumie, który czuwał uważny, zawsze gotów do uwypuklenia sprzeczności między tą nauką a tradycjami jego ziemi.

Była zwłaszcza jedna sprawa, która od jakiegoś czasu utrudniała mu nawet odprawianie Mszy świętej, co powodowało głębokie rozdarcie w sumieniu.

Dobrze znał życie Jezusa. Wszystko, co On czynił, uważał za cudowne, we wszystkim widać było wyraźnie Boże piętno, ale jednej rzeczy Pleogit nie zdołał do końca zaakceptować: tajemnicy Eucharystii.

Wiele razy chodził do biskupa Moguncji i długo z nim rozmawiał, usiłując przebiec w myślach godziny spędzone przez Chrystusa wraz z apostołami w wieczerniku, w Jerozolimie.

Często, kiedy był sam w swojej celi, próbował wyobrazić sobie ów wieczór, zgłębiając stan ducha tego niezwykłego człowieka, gotowego złożyć największą z ofiar, jednak nigdy nie zdołał przeniknąć głębokiej tajemnicy Jego słów: „Bierzcie i jedzcie, to jest Ciało Moje”, podobnie jak: „Pijcie z niego wszyscy, to jest bowiem kielich Krwi Mojej, która za was i za wielu będzie wylana”.

Kiedy został wyświęcony na księdza, uczono go, że wiara polega na czystej akceptacji, czyli krótko mówiąc, albo się wierzy, albo nie wierzy. Jednak jego rozum po tylu latach walczył jeszcze z sercem, broniąc prawa do krytycznego spojrzenia, z czego trudno mu było zrezygnować.

Pleogit, wykształcony i przywykły do introspekcji, znał znaczenie symboli i ich wpływ na człowieka; niemniej jednak gesty wykonywane w czasie Mszy, kiedy sam pił z kielicha i łamał Hostię, niepokoiły go, zamiast wzbudzać emocje, jakich ksiądz chciałby doświadczać.

Według niego liturgia Eucharystii wyrażała największą tajemnicę Bożą. Zatem, jak to możliwe, by gest sam w sobie był taki ubogi, żeby nic szczególnego się nie działo? A jeżeli to zależało jedynie od jego ułomności? Jeżeli jego wiara była tak nikła, że nie pozwalała mu całkowicie utożsamiać się w tej chwili z Chrystusem, czyli z Bogiem?

Wszystkie te wątpliwości dręczyły go, i dlatego, jakby w ich towarzystwie, Pleogit postanowił wyruszyć przez Germanię do Rzymu, stolicy tej wiary, którą, jak domniemywał ze smutkiem, utracił.

I tak oto znajdujemy się w Bolsenie w odległym roku tysięcznym.

Niemiecki ksiądz przybył tu o zmierzchu, kiedy łagodne wzniesienia tej zielonej krainy rozciągały długie cienie w dolinach. Bardzo zmęczony podróżą, przyjął bez wahania gościnę u mnichów w miejscowym klasztorze i zjadł z nimi kolację, po czym cały wieczór opowiadał im swoje przygody.

Na szczęście język łaciński pomagał im się porozumieć, a tam, gdzie brakowało jakiegoś słowa, posiłkowali się gestami, ku ogólnej uciechu.

Pleogit chętnie odpoczął w małej celi, którą dostał do dyspozycji, ale zanim ułożył się do snu, usiadł na murku okalającym klasztorny ogród.

Wszystko wydawało się takie harmonijne! Cisza, kolory, zapach unoszący się w powietrzu i spokój, który wypełniał go z wolna, jak chłodna dłoń położona na rozgrzanym czole.

Gdyby tylko jego wiara nabrała pewności! Gdyby Bóg zechciał wejrzeć na jego ludzką słabość i ograniczenia: o własnych siłach nie mógł wyjść z labiryntu, w którym był uwięziony! Z głębokim westchnieniem Pleogit podniósł się niechętnie, zmożony przez sen i zmęczenie.

Nazajutrz mnisi wstali wcześniej i kiedy ksiądz wszedł do refektarza, otoczyli go wszyscy, prosząc gorąco, by odprowadził dla nich poranną Mszę.

Pleogit, nie chcąc odmawiać osobom tak gościnnym i uprzejmym, odpowiedział, że uczyni to z wielką chęcią i poszedł przywdziać szaty liturgiczne.

We Mszy odprawianej w klasztornej kaplicy uczestniczyło również wielu mieszkańców miasteczka, którzy przed wyjściem w pole pragnęli zacząć nowy dzień od pozdrowienia dobrego Boga.

Wszystko toczyło się prosto i spokojnie.

Nawet myśli Pleogita były pogodne i inaczej niż zwykle, nie stawiał sobie żadnych pytań. Ksiądz, dotarłszy do momentu konsekracji chleba, jak zawsze, wziął Hostię, pobłogosławił ją wznosząc ku górze, po czym połamał.

W tej chwili w swoich dłoniach poczuł pulsujące ciepłe serce i kilka kropli krwi upadło na śnieżnobiały obrus przykrywający ołtarz.

Usta wszystkich, którzy uczestniczyli w liturgii, rozwarły się w milczącym okrzyku zdumienia. Na oczach tych osłupiałych ludzi Bóg chciał objawić swoją miłość Pleogitowi, gdyż czasami zdarza się, że postanawia On wkroczyć w życie człowieka w niecodzienny sposób.



Samotny pielgrzym

Legenda francuska

Jest to historia pewnego pielgrzyma, który przez całe życie szukał najlepszego miejsca do modlitwy.

Odwiedził bazyliki, sanktuaria, klasztory, różne relikwiarze i inne święte miejsca, był po trochu wszędzie, ale żalił się, że nie potrafi się modlić. Kiedy próbował, kolana wkrótce zaczynały go boleć, głowa bujała w obłokach, a dusza... ach! dusza nie wiedziała zupełnie co począć. Zrobiłby wszystko, by móc się cieszyć choć przez chwilę głęboką rozmową z Bogiem.

Pewien ojciec duchowy doradził mu miejsca święte, jako szczególnie sprzyjające modlitwie. Dlatego wyruszył w poszukiwaniu najlepszego miejsca na modlitwę. Przyłączył się do innych pielgrzymów i był w wielu sanktuariach, ale towarzystwo innych osób przeszkadzało mu, czuł, że wśród ludzi nie będzie mógł się modlić.

Postanowił więc podjąć trud pielgrzymowania samotnie. Udał się do Rzymu i przy grobie świętego Piotra, wydawało mu się, doznał głębszego poruszenia, kilku mocniejszych uderzeń serca. Ale również i tam dialog z Bogiem nie był możliwy.

Samotny pielgrzym postanowił wtedy skierować swe kroki do Ziemi Świętej: miał nadzieję, że na Kalwarii lub w ogrodzie Getsemani doświadczy w końcu prawdziwej modlitwy.

Ale i tam, wszystko na próżno. Interesujące pamiątki, uroki miejsca, zmęczenie... wszystko utrudniało mu skupienie, o które zabiegał. Pewnego wieczoru udał się do klasztoru nieopodal Jerozolimy, prosząc o gościnę.

Przyjął go stary mnich, zaproponował kolację i był skłonny porozmawiać z nim przez chwilę. Mnich wiedział z doświadczenia, że samotni pielgrzymi szukają Boga sercem szczerym i bardzo żarliwie.

– Drogi ojcie, byłem w sanktuariach, klasztorach, miejscach świętych, odwiedziłem Rzym, a teraz jestem tutaj, w Ziemi Świętej. Ale nie mogę znaleźć miejsca odpowiedniego do modlitwy. Powiedzcie mi, gdzie ono jest według was?

– Dlaczego nie spróbujesz w sercu Ojca?

Pielgrzym wrócił do domu. Dotarwszy do swojej miejscowości, po kilku dniach udał się do kościoła. Tego dnia pogrążył się w tak głębokiej modlitwie, że czuł, iż otacza go Bóg. Nie czuł Jego obecności w niebie, w kościele, czy w sercu. Po prostu czuł Go wokół siebie. A Bóg tego dnia przemówił do niego i poprosił, by został mnichem. Następnego dnia pielgrzym został przyjęty do zakonu benedyktynów.



Pątniczka z Marsylii

Legenda francuska

Po śmierci Jezusa wspólnota żydowska w Jerozolimie uznała za swój obowiązek zniszczyć to, co pozostało z wielkiej grupy Jego uczniów, i zaczęła utrudniać im życie w mieście. Niektórzy nie chcieli jednak opuszczać ojczystej ziemi i zaczęli się ukrywać. Natomiast inni, poruszeni pragnieniem głoszenia historii i słów ich Mistrza, wyruszyli w odległe strony.

Małymi grupkami opuszczali Palestynę, jedni drogą morską, inni lądową, zabierając ze sobą tylko to, co niezbędne. Dalej każdy z nich powierzał się woli Bożej, tak jak nauczał Mistrz.

Wśród uciekinierów znajdowała się kobieta, którą los obdarzył ujmującą urodą i ognistym temperamentem. Była to Maria z Magdali, która zamierzała po raz pierwszy w życiu wsiąść na statek i przepłynąć nieznane morze.

Myśl o miejscu wygnania nie przerażała jej, gdyż zawsze nosiła w sobie pragnienie nowych przygód. Jednak teraz, kiedy siedziała na plaży, zapach jej ziemi przynosił wspomnienia i gorzki smak tęsknoty wyzierał już ukradkiem z płataniny uczuć, jakie kłębiły się w jej sercu.

Co z nią się stanie, tym bardziej że jako kobieta była słabsza od towarzyszy? Co zastanie tam za morzem, skąd marynarskie opowieści przynosiły wieści o cudach, ale też o zdarzeniach przerażających?

W ten sposób Maria spędziła ostatnie godziny pozostawiona między zapałem i zniechęceniem, tocząc spór,

którego nie mogła rozwiązać... „No cóż, będzie co ma być” – powiedziała do siebie. Wszystkie te rozważania były bezużyteczne, tak jak wracanie do przeszłości czy wybieganie w przyszłość: nadszedł czas działania.

Statek wiozący Marię przybił do portu w mieście, które nazywało się Marsylia, tyle przynajmniej zrozumiała z rozgorączkowanych okrzyków. Ale jakim dziwnym językiem mówili ci ludzie! A jednak, choć oni sami nie umieli sobie tego wytłumaczyć, mała grupka uciekinierów rozumiała wszystko, a i ona też była rozumiana. Marii wydawało się oczywiste, że to, co przynosi życie, jest ciągiem prawdziwych cudów, i że pomieszanie języków przy budowie biblijnej wieży Babel było tylko oddaleniem się ludzi od siebie spowodowanym brakiem miłości. Ale nie było czasu na rozmyślanie: trzeba było stawić czoło rzeczywistości z wszystkimi jej niewiadomymi.

Z upływem dni nasi przybysze, choć nie bez wielkich poświęceń, zdołali z wolna zadomowić się w obcym kraju i dać się poznać jako ludzie prawi i wspaniałomyślni, tak że również dawni mieszkańcy zaczęli interesować się ich historią i wydarzeniami, które aż tam ich zaprowadziły.

Była to prawdziwie sprzyjająca okazja, jakiej oczekiwała Maria i inni, by w tym kraju zdominowanym przez liczny zastęp mniej lub bardziej przychylnych bogów przedstawić historię i myśl ich Mistrza.

To, co miało się wydarzyć, powoli spełniało się i wieść o „chrześcijanach” zataczała coraz szersze kręgi. Poruszane jakąś tajemniczą siłą, nowe myśli przybyłe zza morza zaczynały się rozchodzić, jednak życie Marii i jej towarzyszy nie stało się przez to lepsze; nie wziawszy nic ze sobą, żyli tylko z jałmużny.

Pewnego dnia przyszła do Marii zapłakana kobieta i zwierzyła się, że jest żoną bogatego kupca, ale brak potomstwa nęka ją dzień i noc, nie dając spokoju. Kobieta próbowała już wszelkich sposobów: składała ofiary bó-

stwom, radziła się wyroczni i magów, ale bezskutecznie. Może wielki Mistrz, o którym mówiła piękna cudzoziemka, mógłby sprawić dla niej ten cud.

Maria dodała jej otuchy, mówiąc:

– Aby otrzymać to, czego pragniesz, nie warto składać ofiar twoim bóstwom: proś jedynego Stworzyciela nieba i ziemi, a resztę zostaw Jego woli.

Tej samej nocy żona bogatego kupca miała sen, w którym ujrzała piękną cudzoziemkę. Widziała ją unoszącą się w powietrzu i usłyszała wyraźnie, jakby rzecz działa się na jawie, słowa: „Ty i twój mąż jesteście tak bogaci, że możecie sobie pozwolić na to, co konieczne, a nawet jeszcze więcej, dlaczego nie chcecie pomóc biednym braciom, którzy przynoszą wam słowo Boże? Zapamiętaj moje słowa i powtórz je mężowi”.

Następnego dnia rano kobieta obudziła się pod wrażeniem tego dziwnego snu (wydawało się jej, że wszystko naprawdę przeżyła), ale nie wspomniała o nim mężowi, sądząc może, że ją wyśmiej.

Dzień minął, zacierając wraz z upływem godzin pamięć o tym, co ujawniła podświadomość; gdy jednak położyła się wieczorem do łóżka i zasnęła głęboko, znowu ukazała jej się Maria, powtarzając te same słowa co poprzedniej nocy.

Obudziwszy się, kobieta zaczęła poważnie rozmyślać nad usłyszczanym przesłaniem, ale i tym razem nie wspomniała o nim mężowi ani słowem.

Trzeciej nocy Maria ukazała się obojgu małżonkom. Jeżeli w typowych życiowych sytuacjach ujawniała się jej silna osobowość, to noc zdawała się przydawać jej mocy. Jej duch stanął przed dwojgiem śpiących i wtargnął z mocą do ich snów, tym razem zwracając się do mężczyzny ognistymi słowy:

– Twoja żona nie chciała powiedzieć ci tego, co sny jej przyniosły, a ty, okrutny tyranie, nawet nie pomyślisz

o tych, co nie mają co jeść i w co się ubrać, a dbasz tylko o swój dobrobyt!

Tym razem objawienie odniosło zamierzony skutek. Gdy małżonkowie opowiedzieli sobie nawzajem, co widzieli i słyszeli, zdjął ich strach, a Boży wymiar widzianych znaków zdobył ich serca.

– Mój mężu, może powinniśmy zatroszczyć się o tych ludzi, nie brakuje nam odpowiednich środków, a ich Bóg może naprawdę przewyższać mocą naszych bogów!

Co kierowało bogaczem i jego żoną: nadzieja pozaziemskiej odpłaty, strach czy przeznaczenie? Nie wiadomo.

Wiadomo tylko, że od tej pory uczniowie Jezusa mogli nauczać spokojnie, nie kłopotząc się dłużej o utrzymanie, co więcej, korzystając z poparcia tej wpływowej rodziny.

– Jeżeli porzucicie wasze bóstwa i staniecie się synami jedyne Ojca, wierzę, że On obdarzy was dzieckiem – powtarzała im Maria. – Nie traćcie nadziei i upodobnijcie wasze serca do serca Jezusa.

Upłynęło trochę czasu i kupiec gorąco zapragnął poznać miejsca, o których opowiadała Maria, a przede wszystkim chciał poznać Piotra, wielkiego apostoła. Postanowił więc zorganizować wyprawę, która przeprawivszy się przez morze, dotarłaby aż do Jerozolimy.

Kiedy zakończono przygotowania, żona kupca oczekiwała już dziecka i mąż nalegał, by została, z uwagi na zdrowie własne i maleństwa, które nosiła w łonie. Ale ona nie chciała o tym słyszeć i tak, powierzwszy Marii wszystkie swojej dobra, wypłynęli z Marsylii.

Maria cieszyła się, że przynajmniej oni będą mogli zobaczyć jej ukochaną ziemię i odetchnąć gorącym powietrzem pustyni, jedynym w swoim rodzaju, którego nie zdoła opisać ktoś, kto nie zna tego zapachu. W dniu wyjazdu podarowała im płaszcz ze znakiem krzyża, aby ich chronił od niebezpieczeństw, oraz obsypała radami,

napomnieniami i pozdrowieniami, zwłaszcza dla Piotra, którego dawno już nie widziała.

Przez pierwsze dwa dni statek żeglował spokojnie, aż na horyzoncie pojawiła się straszna burza. Morze bywa najlepszym sprzymierzeńcem, ale i najgorszym wrogiem, i tym razem nie oszczędziło podróżnym oznak swej potęgi.

Fale wznosiły się bardzo wysoko, wiatr wył i smagał każdy centymetr łodzi. Potem wszystko ucichło, ale tymczasem żona kupca zmarła, wydając na świat dziecko, które również nie przeżyło.

Rozpacz z powodu tej straty była straszna, ból ścisnął serce kupca w ognistym imadle. Ale na nic się zdadzą próby przeszkodzenia śmierci, kiedy nam staje na drodze. Żeby nie rzucać w morze dwóch ciał, postanowił zostawić je na wyspie, która właśnie znajdowała się na ich kursie.

Po zejściu na ziemię ze swoim bagażem bólu w ramionach, kupiec zauważył mały kościółek, jedyną budowlę wśród bujnej roślinności, i tam, niczym w kołysce, która mogła ich strzec, złożył matkę i dziecko. Potem odwróciwszy się na pięcie, wrócił szybko na statek i odpłynął w docelowym kierunku.

Kiedy podróż dobiegła kresu, zszedł na ląd i skierował się do Jerozolimy, roztropnie i ostrożnie, jak Maria i jej towarzysze mu polecili. Trzymał się z dala od wiosek, a zwłaszcza od oddziałów rzymskich, które patrolowały okolicę na swoich szybkich koniach.

Kupiec był człowiekiem obrotnym i dotarwszy do dużego miasta, natychmiast nawiązał kontakt z tamtejszą wspólnotą chrześcijańską. Wszyscy widząc płaszcz, który Maria mu podarowała, przyjęli go jak przyjaciela i zaprowadzili do Piotra, który przyjął gościa z otwartymi ramionami.

Piotr i inni byli ciekawi wieści o tych, którzy wcześniej opuścili te miejsca. Potem pozwolili mówić kupcowi, by lepiej go poznać. Oczywiście opowiedział o podróży i o stra-

sznym nieszczęściu, jakie go spotkało, odbierając najbliższych i zostawiając duży znak zapytania: „Dlaczego?”

– Bądź spokojny: nie możesz i nie mogłeś nic zrobić. Bóg daje i Bóg zabiera – odpowiedział Piotr – według zamysłów, których nie znamy; ale ból zmieni się w radość. Nie dręcz się więc i pozwól, by twój syn i jego matka spali w pokoju tam, gdzie ich zostawiłeś.

Nie uwierzycie, ale upłynęły ponad dwa lata, zanim człowiek z Marsylii opuścił święte miasto. Tymczasem pragnął dowiedzieć się wszystkiego o nauczaniu Jezusa i chciał odwiedzić z Piotrem wszystkie ważne miejsca.

Później, gdy upłynął czas, jaki miał upłynąć, ruszył w drogę powrotną, jednak nie mógł nie ulec pragnieniu zatrzymania się na małej wysepce, na której zostawił część swego serca.

Kiedy statek przybił do nadbrzeża, pobiegł niespokojny do kościoła pogrążonego w ciszy i zieleni, jakby ktoś tam na niego czekał; ale w sercu powtarzał sobie, że wszystko to jest przecież śmieszne i bezużyteczne.

Wszedłszy do kościoła, zrobił zaledwie kilka kroków, kiedy usłyszał westchnienia i delikatny hałas, jakby ssącego dziecka. Nigdy by nie uwierzył w to, co się stało, gdyby nie ujrzał tego na własne oczy: jego żona karmiła ich dziecko i uśmiechała się do niego, rozpromieniona i szczęśliwa, jakby ją tam zostawił kilka chwil wcześniej.

Oszalały z radości, myślami pobiegł błyskawicznie do Marii i w tej chwili zrozumiał, że piękna chrześcijanka był istotą tak bardzo wyjątkową, że nie tylko umiała doskonale kochać, ale sama zamieniła się w miłość, zdolną przywrócić życie.

Nie było już i nigdy nie będzie kupca z Marsylii, człowieka, który opuścił to miasto dwa lata wcześniej. Nauczyciel uczynił mu zaszczyt, pozwalając przebyć swą własną drogę.

Nieśmiała głosicielka

Stara legenda z Azji Mniejszej

Starożytne kodeksy z Sebaste opowiadają o młodej dziewczynie imieniem Manuela, która należała do grupy kobiet towarzyszących Jezusowi na Kalwarię.

Manuela była nieśmiała, nieśmiałością czasem nawet kłopotliwą. Potrafiła siedzieć godzinami bez słowa, z nikim nie rozmawiając.

Brakowało jej odwagi do podjęcia jakiejkolwiek inicjatywy czy wyrażenia własnego zdania. Ach tak... odwaga! Tego jej brakowało. Skamieniała od tysiąca lęków, dałaby sobie rękę odciąć za okrucieństwo odwagi.

Manuela potrafiła jednak słuchać. Była naprawdę dobrą słuchaczką. Chodziła słuchać proroków, eremitów, nauczycieli, wszystkich, którzy zachodzili do jej wioski, i od każdego czegoś się uczyła. Nikt jednak nie zdradził jej sekretu odwagi.

Aż pewnego dnia nad Jeziorem Tyberiadzkim spotkała Jezusa. I jej serce zatrzepotało z nową mocą. Ujął ją ten młody mężczyzna, który przemawiał bez lęku przed wielkimi tłumami.

Zdobyły ją Jego słowa. Słowa doniosłe, pełne pewności i odwagi.

Usłyszawszy o zmartwychwstaniu, Manuela nie potrzebowała ani widzeń, ani potwierdzeń. Nieważne było dla niej, by zobaczyć i dotknąć ran Chrystusa, nie mu-

siała spotkać Go nad brzegiem jeziora bądź w drodze do Emaus.

Od razu uwierzyła. A poruszona śmiałością, jakiej nigdy wcześniej nie знаła, wyruszyła głosić słowa Mesjasza, jedynego prawdziwego Mesjasza zesłanego przez Boga, który wyjawiał jej „sekret odwagi”.

Manuela już się nie bała. Chodziła po wioskach i miasteczkach i gromadziła kobiety. Wiedziała, że zwracając się do mężczyzn, zostałyby wyśmiana, przegoniona i źle potraktowana. Nie szukała dużych placów, ale miejsc na uboczu. Siadała na brzegu studni, pod sykomorą, w pobliżu pieca chlebowego, pod pergolą i zaczynała rozmawiać z kobietami, które spotykała.

Z jej ust wychodziły słowa wyraźne i czytelne. Nigdy nie przygotowywała tego, co będzie mówić.

Wiedziała, że to nie ona dobiera słowa, ale Duch obiecany przez Pana.

Pewnego dnia podeszła do niej kobieta, głęboko poruszona jej nauką.

Usiadła obok Manueli i nieco onieśmielona jej pewnością, wymamrotała:

- Powiedz mi, jaki jest sekret odwagi?
- Pokora. Tego nauczył mnie Nauczyciel.

Kobieta zastanawiała się przez chwilę w ciszy, potem pokonując wahanie, zapytała jeszcze:

- A co to jest pokora?
- To być pierwszym, który powie „Kocham cię”.



Skruszony pielgrzym

Legenda średniowieczna

Pod koniec roku tysięcznego prawie wszyscy – sceptycy i bojący się Boga – wstawali rano i spoglądali w niebo, wypatrując, czy nie nadchodzi koniec świata.

Dużo o tym mówiono i dlatego już od dziesięciu lat, niemal wszędzie, modne były pielgrzymki do miejsc świętych.

Wielu pielgrzymów wędrowało do znanych sanktuariów, inni wyruszyli do Rzymu, a jeszcze inni, odważniejsi, do Jerozolimy i Ziemi Świętej.

Wśród podróżujących pielgrzymów był jeden znany już w całej Florencji. Starzec ten już od dziesięciu lat udawał się do Palestyny, ale dotarwszy do murów Jerozolimy, klękał, odmawiał modlitwę i zawracał. Nigdy nie wszedł do miasta, żeby nawiedzić Święty Grób. Po powrocie do Florencji odpoczywał kilka tygodni, a następnie wyruszał do Palestyny, by dopełnić tego samego rytuału.

Nikt nie znał powodu tego dziwnego zachowania. Ale pewnego dnia, w drodze do ziemi Jezusa, pewna pątniczka florencka, która słyszała o osobliwym Bożym wędrowcu, przyłączyła się do tej samej karawany.

Zanim dotarli do Palestyny, w sandałach na nogach, z sakwą na plecach i kijem w dłoni, dwójka pielgrzymów przemierzyła spory kawałek drogi razem.

Nawiedzili Kafarnaum, Kanę, a w Nazarecie zatrzymali się w grocie Zwiastowania.

Potem szli wzdłuż Jordanu, w stronę Sychem i Jerycha. Przeszli przez Betanię i Betlejem, by ukłknąć w grocie narodzenia Zbawiciela, aż w końcu skierowali się do Jerozolimy.

Gdy dotarli do murów miejskich, pielgrzym ukląkł, pomodlił się i już miał się zegnać z towarzyszką podróży, kiedy usłyszał pytanie:

– Dlaczego nie wejdziecie nawiedzić Świętego Grobu? Przecież po to tu przyszliście. Dlaczego za każdym razem zawracacie, a potem zaczynacie od nowa?

– Wiele lat temu – zaczął pielgrzym, który zdążył już polubić pobożną kobietę – po młodości bez Boga, nawróciłem się i wstąpiłem do klasztoru. Tam uczyniłem ślub, że nie popełnię już żadnego grzechu, ani małego, ani wielkiego. Za bardzo obrażałem mojego Pana, że bym mógł sobie pozwolić na dalsze znieważanie Go. Spędziłem w klasztorze wiele lat nie grzesząc, a moje postępowanie zrobiło takie wrażenie na współbraciach, że wybrali mnie na przeora.

W tym miejscu opowiadania pielgrzym westchnął.

– A potem... co było dalej? – zapytała kobieta.

– Wiedziałem, że wraz z podjęciem obowiązków przeora wzrośnie odpowiedzialność i pokusy, ale byłem pewien mojego ślubu, przekonany, że nie upadnę pociągnięty przez grzech. Jednak myliłem się. Ani się spostrzegłem, jak splamiłem się haniebnym występkiem. Czynem strasznym i trudnym do opowiedzenia, tak że nie pytajcie o szczegóły. Trudno było wyznać go nawet mojemu ojcu duchownemu. Dość że wydano mnie z klasztoru, a zdjawszy mnisi habit, zostałem pielgrzymem.

– Dobry człowieku, nie proszę byście mi opowiadali o dramacie waszego sumienia. Gdybyście jednak mogli mi wyjaśnić, dlaczego nie kończycie nigdy waszego pokutnego pielgrzymowania?

– Po tym jak prosiłem o miłosierdzie i otrzymałem Boże przebaczenie, Pan oświecił mnie i sprawił, że rozumiałem pewną ważną rzecz: życie chrześcijańskie jest ciągłym rozpoczynaniem. Nie jest podróżą po równinie bez wstrząsów, bez potknięć i bez upadków. Wszyscy upadamy i powstajemy. Upadamy i powstajemy. Zbawienie polega na niepoddawaniu się i zaczynaniu od nowa. Wszyscy zaczynamy wciąż od nowa, inaczej nigdy nie doświadczymy Bożego przebaczenia. Nikt nie umiera czysty i bez skazy. Tylko Syn Boży przeszedł przez życie niepokalany... a zresztą, kto wie, może i On miał swoje wewnętrzne chwile wahania i „rozpoczynania”. Oto powód, dla którego nigdy nie kończę mojej pielgrzymki. Żeby nie zapomnieć, że jeżeli upadnę, zawsze jest Ktoś gotowy mnie podnieść i postawić na drodze, bym rozpoczął od nowa.

W drodze powrotnej, właśnie tego roku, pielgrzym zmarł kilka kilometrów przed Emaus.

Pątniczka dowiedziawszy się o tym, zrobiła wszystko, by ten świątobliwy człowiek został pochowany pod murami świętego miasta, gdzie wiele razy klękał, by pomodlić się i zawrócić.



Dzwony świętej Brygidy

Z Acta Sanctorum

Brygida, dziewczę z bogatej szlacheckiej rodziny, spokrewnionej ze szwedzką rodziną królewską, w wieku ledwie osiemnastu lat poślubiła człowieka religijnego i bogobojnego: świetnego prawnika Ulfa Gudmarssona. Pożycie małżeńskie i ósemka dzieci nie przeszkodziły tej parze pielęgnować wiarę czystą i głęboką.

W 1342 roku, po pielgrzymce do Santiago de Compostela, mąż postanowił wstąpić do klasztoru, by zakończyć życie sam na sam z Bogiem, i zmarł dwa lata później.

Po śmierci umiłowanego małżonka Brygida doświadczyła w sobie całej tajemnicy cierpienia i zwykła była powtarzać za Hiobem: „Pan dał, Pan wziął. Niech będzie uwielbione imię Pana”.

Miała jedno marzenie: udać się z pielgrzymką do Rzymu. Gorąco pragnęła umrzeć w wiecznym mieście.

Po śmierci męża poświęciła się ascetycznemu życiu w klasztorze w Alvastra i w 1349 roku, z okazji jubileuszu, wybrała się z córką do Rzymu, gdzie pozostała aż do śmierci.

Mówią, że kiedy Brygida wjeżdżała do Rzymu, wszystkie dzwony w mieście rozdzwoniły się świętecznie i dzwoniły nieprzerwanie blisko godzinę, jakby zapowiadając przybycie wielkiej świętej.

Tego niezwykłego cudu – który zadziwił nawet papieża – nikt nigdy nie umiał wyjaśnić.

Brygida pielgrzymowała przez całe życie i odwiedziła wszystkie najważniejsze miejsca święte. Ostatnią pielgrzymkę odbyła do Ziemi Świętej, na rok przed śmiercią.

Jej spowiednicy i sekretarze spisali wizje, ekstazy i objawienia, którymi było usiane jej mistyczne życie.

W 1370 roku otrzymała od papieża zgodę na założenie – na podstawie reguły św. Augustyna – zgromadzenia zakonnego Najświętszego Zbawiciela: kongregacji braci i sióstr żyjących w oddzielnych wspólnotach, którzy spotykali się jedynie na wspólnej modlitwie.

Pierwszy klasztor – a była niestrudzona! – założyła ich w ciągu kilku lat w całej Europie aż siedemdziesiąt osiem – mieścił się w Vadstena w Szwecji; tam też zostały przeniesione jej szczątki, a pierwszą opatką była jej córka Katarzyna.

Zmarła w Rzymie, 23 lipca 1373 roku. „Oblubienica i pątniczka Pana”, jak po wielokroć lubiła się określać.



Krzyżowiec i pielgrzym

Legenda średniowieczna

W czasach wypraw krzyżowych wracający z Composteli pielgrzym, zmęczony podróżą, zatrzymał się na jakiś czas na plaży w Ribeira, w grocie wydrążonej w skale. Postanowił zamieszkać tam przez kilka dni, by później wyruszyć w kierunku Ziemi Świętej, ostatniego celu swojego pokutnego szlaku.

Przechodzący tamtędy hiszpańscy rybacy częstowali go chlebem i rybą, i zatrzymywali się na kilka chwil, by posłuchać opowieści o przygodach, jakie go spotkały w czasie pielgrzymek, a także poznać historię Jezusa, w imię którego przedsięwziął podróż.

Pewien nikczemny rycerz z Composteli, który walczył z Maurami w Hiszpanii i z Turkami w Ziemi Świętej, nie tyle z pobudek wiary, ile dla chwały i bogatych łupów, dowiedział się o nowym przybyszu i postanowił wystawić na próbę jego świętość.

„Nigdy nie mogłem ścierpieć tych marnych włóczęgów! Gdyby to od nich zależało, Jerozolima byłaby jeszcze w rękach tureckich” – myślał.

Postanowił zaprosić pielgrzyma na obiad.

Kiedy pielgrzym przybył, młody rycerz odesłał go. Następnego dnia posłał po niego ponownie, zapraszając na wspólny posiłek, ale kiedy pielgrzym przyszedł do domu rycerza, jeden ze sług wyszedł mu na spotkanie mówiąc, żeby sobie poszedł. Przez trzydzieści kolejnych dni po-

wtarzał się ten sam żalosny rytuał, aż w końcu rycerz, pokonany cierpliwością i pokorą pielgrzyma, złamał się i prosił świątobliwego człowieka o przebaczenie. Ten powiedział:

– Młody rycerzu, jestem pielgrzymem przywykłym do wędrowania na znak pokuty. Idę tam, gdzie Pan mnie wzywa, a w tych dniach wzywał mnie aż trzydzieści razy do ciebie. Powiedziałem sobie, że jeżeli Bóg przerywa moją podróż, bym spotkał ciebie, to taka jest Jego wola. To było po to, by pokazać ci, że dusza pielgrzyma uważa się za nic i całą nadzieję pokłada w miłości Bożej.

Rycerz zostawił wszystko i podążył ze świętym wędrowcem do ziemi Jezusa, tym razem bez miecza, uzbrojony jedynie w pielgrzymi kij.



Święta Hildegunda i Ziemia Święta

Z Acta Sanctorum

Hildegunda przypominała z figury jelenia, a z twarzy antylopę. Brzydka i niezgrabna, nie przyciągnęła spojrzenia żadnego szlachetnego rycerza, zasmucając tym ojca, który bardzo pragnął wydać ją za mąż.

Hildegunda nie marzyła o tym, by zostać hrabianką lub kasztelanką, pociągała ją klasztorna samotność i kontemplacja, a oszalała z miłości do Chrystusa, miała jedno pragnie: udać się z pielgrzymką do Rzymu i Ziemi Świętej.

W czasach wypraw krzyżowych kobiety nie brały udziału w pielgrzymkach, które często przeradzały się w prawdziwe bitwy przeciwko niewiernym Turkom.

Nie zastanawiając się długo, Hildegunda zmieniła imię i przebrana za mężczyznę dotarła najpierw do Rzymu, a później do Jerozolimy.

Już od kilku lat wszyscy wołali na nią Józef i nikt w czasie podróży nie wiedział, kim jest; później przebranie stało się jakby jej drugą skórą.

Po powrocie do ojczyzny gościny udzielił jej pobożny kanonik z Kolonii, który w dobrej wierze wziął ją za biedaka potrzebującego schronienia i opieki.

Zapytała o najbliższe opactwo i stawiała się w klasztorze cystersów, odległym o kilka kilometrów od tego miasta, prosząc pokornie o przyjęcie na zakonnika konwersa, ze względu na zamiłowanie do życia ukrytego i pragnienie naśladowania pokory Chrystusa.

Została przyjęta do wspólnoty jako nowicjusz, który, choć wykonywał najbardziej uniżone posługi w klasztorze, wyróżniał się wzorowym zachowaniem i żywą wiarą.

Mnisi opowiadali, że wiele razy zastali go w ekstazie u stóp gotyckiego witraża przedstawiającego Mękę Chrystusa, kiedy czyścił kościelną posadzkę. Również przeor któregoś dnia zauważył, że z jego celi bije w nocy olśniewające światło.

Po wielokroć pytany o te dziwy i cudowne zdarzenia, Józef milczał, oddając się jeszcze gorliwiej swoim prostym i monotonnym zajęciom.

W czasie Wielkiego Tygodnia 1188 roku, zmożona ciężką chorobą, wyniszczona postami i ciężkimi pracami, których się podejmowała, poprosiła do wezgłowia przeora klasztoru. Hildegunda wyznała ze wstydem tajemnicę swojego życia i przepowiedziała dzień swojej śmierci.

Otrzymawszy sakramenty, otoczona przez mnichów odmawiających psalmy, oddała swą czystą duszę Stwórcy zapowiedzianego dnia: w Wielki Piątek.

Opat wygłosił na pogrzebie następującą mowę pochwalną:

– Pan Wszechmogący, drodzy bracia, chciał, by do tego dnia w naszym klasztorze żył zupełnie nieznany mnich. Aniołowie zabrali dziś jego duszę, oczyszczoną przez wiele aktów pokuty, przed Boży tron. Odtąd mamy w niebie nową patronkę, dziewicę imieniem Hildegunda, ze znamienitej miejscowej rodziny, która pozostanie wśród nas jako najwyższy wzór cnót zakonnych.

Natychmiast wiadomość o tej śmierci rozniosła się po całej Kolonii i wszystkich klasztorach cysterskich. Wiele cudów dokonanych na jej grobie potwierdziło świętość Hildegudy, która w sposób tak osobliwy wiodła życie ukryte w oczach świata, ale drogie i cenne w oczach Boga.

Boży wędrowiec

Legenda celtycka

Wiele wieków temu wędrował po świecie stary pielgrzym imieniem Septymiusz, który, kiedy nie zmierzał do jakiegoś świętego miejsca, spędzał dni na modlitwie w lesie. Żywił się ziołami i owocami, a codziennie zstępował z nieba anioł i opowiadał mu o raju.

Pewnego dnia, kiedy lał deszcz i szalała zawierucha, ten Boży wędrowiec nie mógł obejść wsi w poszukiwaniu paru cykorii i czterech kasztanów, których potrzebował, by przeżyć. Dotkliwie zimno przeszywało kości. Zmęczony i wygłodniały, nie mając gdzie głowy schronić, pielgrzym stracił cierpliwość i zawołał:

– Co za paskudny dzień!

Przez dziewięć dni anioł nie przyszedł; wrócił dopiero dziesiątego dnia, ale zasmucony.

– Panu jest przykro, ponieważ straciłeś cierpliwość i ośmieliłeś się skrytykować Jego wolę: będziesz musiał to odpokutować. Zasadź twój pielgrzymi kij w ziemi i schodź trzy razy dziennie do rzeki: tam napełnij usta wodą, a potem podlej kij. Kiedy kij zakwitnie, wrócę i będę ci towarzyszył w twojej ostatniej podróży, do raju.

Septymiuszowi nie pozostało nic innego jak tylko usłuchać: codziennie – o świcie, w południe i o zachodzie słońca – schodził do rzeki, nabierał wody w usta i wracał do lasu, by podleć twardy i wysuszony kij.

Któregoś dnia przybył w te strony groźny bandyta, który ukrywał się w lesie przed pościgiem; szukano go

z powodu rozboju. Zauważył dziwne spacery pielgrzyma, i zaintrygowany zapytał o powód tego postępowania. Kiedy się dowiedział, wybuchnął głośnym śmiechem.

– Coś podobnego! – drwił. – Naprawdę wierzysz, że ten suchy kij, odcięty od drzewa nie wiedzieć ile lat temu, mógłby zakwitnąć? Poza tym taka ciężka pokuta za tak małe przewinienie! W takim razie ja, który popełniłem wiele przestępstw, co powinienem uczynić, by dostać się do raju?

– Miłosierdzie Boże jest nieskończone – odpowiedział pielgrzym, wzruszając ramionami.

Bandyta, który od kilku lat zaczął odczuwać w żołądku silne skurcze związane z wyrzutami sumienia, teraz już się nie śmiał i po krótkim milczeniu powiedział:

– Chcę ci wierzyć: zostanę tu z tobą i pójdę za twoim przykładem.

Mieszkając z pielgrzymem, bandyta zaczął pokutować i modlić się. Z każdym dniem wzrastała jego skrucha. Wbił w ziemię kij używany wiele razy do napadów i do obrony. Chodził do rzeki trzy razy dziennie – o świcie, w południe i o zmierzchu – wracał z ustami pełnymi wody i podlewał go, jednak nie spodziewając się, by kij takiego grzesznika jak on mógł kiedyś zakwitnąć. Był jednak rad, że czyni pokutę.

Pewnego ranka pielgrzym zawołał go i powiedział:

– Spójrz. Twój kij zakwitł, a mój nie!

Tego dnia zstąpił z nieba anioł, który przywołał do siebie bandytę, by go zaprowadzić do raju. Kij pielgrzyma zakwitł wiele lat później. Septymiusz nie był tak głęboko skruszony jak bandyta, a nawet kilka razy, kiedy schodził do rzeki, by nabrać w usta wody, mruczał do siebie, że w sumie ta pokuta jest zbyt surowa, wobec tak małej winy.

Ksiązę i pielgrzym

Legenda celtycka

Domicjan był samotnym pielgrzymem, bardzo oddanym Bogu. Nawiedził wiele klasztorów w Irlandii, modląc się i pokutując, a teraz postanowił zatrzymać się na jakiś czas w leśnej chatce.

Modlił się i rąbał drwa, a co tydzień udawał się do miasteczka, by je sprzedać i zarobić na życie.

Pielgrzym znany był wszystkim z mądrości i miłości do Boga.

Pewnego dnia panujący w tych stronach książę zechciał wystawić na próbę jego wiarę.

Poszedł do niego przebrany za mnicha i zapytał:

– Z czego byś żył, gdybyś nie mógł już sprzedawać drewna?

– O człowieku Boży, poucz mnie. Powierzyłbym się Panu Wszechmogącemu i znalazłbym z pewnością jakieś inne zajęcie.

Dzień później książę wydał edykt, zabraniający wstępu do wioski drwalom. Po jakimś czasie, nadal w mnisim przebraniu, wrócił do rąbiącego drwa eremity.

– Jak sobie radzisz teraz, kiedy książę odniósł się tak wrogo do drwali? – zapytał.

– Dobrze! – odpowiedział Domicjan. – Teraz wyrabiam skórzane paski i sprzedaję je na targu w osadzie. Zawie-rzyłem Bogu i starcza mi na jedzenie.

Książę odszedł i po kilku dniach wydał dekret, zakazujący kupcom nabywania i sprzedawania przedmiotów wykonanych ze skóry.

Kiedy książę wrócił do biednego pielgrzyma sprzedawcy pasków, zapytał go:

– Jak idą interesy? Wydaje się, że los uwziął się na ciebie; twoje nowe zajęcie zostało stłumione w zarodku.

– O święty mnichu – odpowiedział pielgrzym. – Wiesz dobrze, co znaczy powierzać się zawsze woli Bożej; teraz znalazłem pracę jako tragarz na targu; idzie nieźle, udaje mi się zarobić przynajmniej tyle, by przeżyć.

Książę zawział się w swojej próbie i postanowił wcielić przymusowo do wojska wszystkich targowych tragarzy: poza tym postanowił, że nie będą otrzymywali żadnego wynagrodzenia za służbę.

Tej samej nocy książę ubrany w mnisi habit udał się do leśnej chatki, by odwiedzić swojego przyjaciela. Spożywając swój skromny posiłek, pielgrzym siedział z nożem w rękę i nacinał kawałek drewna.

– Co robisz? – zapytał go książę.

– Zostałem wcielony siłą do Gwardii Książęcej, ale nie dostajemy ani jedzenia, ani miejsca do spania. Ja jestem człowiekiem modlitwy i nie ucieknę się do przemocy wobec nikogo. Dlatego sprzedałem miecz, który mi dano, a za pieniądze kupiłem to, co niezbędne do przeżycia; jak widzisz, robię miecz drewniany, czekając, co mi przyszłość przyniesie.

Książę wrócił do zamku.

Następnego dnia rano kapitan Gwardii przywołał pielgrzyma. Poleciał mu ściąć jakiegoś więźnia i towarzyszył mu na miejsce egzekucji. Również książę był obecny, zgodnie ze zwyczajem, ale ponieważ miał na sobie szaty królewskie i koronę, Domicjan go nie rozpoznał.

Sięgając po swój drewniany miecz, pielgrzym zawołał donośnym głosem:

– Zdaję się na Boga, ale ten człowiek jest niewinny!
Więzień cały we łzach powiedział:

– W imię Boże, niech ten miecz odmówi cięcia, gdyż
jestem niewinny!

Egzekucja została zawieszona, ponieważ drewniany
miecz nie mógłby ściąć głowy skazanego. Po kilku mi-
nutach przybył gwardzista z wiadomością dla kapitana:
prawdziwy winowajca przyznał się do popełnionego wy-
stępuku i tak wyszła na jaw niewinność oskarżonego.

Książę był tak przejęty, że mianował pielgrzyma swoim
doradcą, ale Domicjan nie przyjął propozycji i po tym,
co się stało, wyruszył na pielgrzymi szlak przez irlandzkie
lasy, żyjąc z modlitwy i jałmużny.



Chrystusowy szaleniec

Legenda rosyjska

Wiele wieków temu żył nieco zwariowany pielgrzym. Chciał, żeby wołano na niego Piripicchio i przez całe życie chodził po świecie, szukając raj.

Zatrzymywał się w każdym kościele, sanktuarium czy kaplicy, jakie napotkał po drodze. Siadał na stopniach bądź na dziedzińcu i głosił Ewangelię. Ale ponieważ jego sposób mówienia o Jezusie był co najmniej dziwny i przesadny, przystawali, by go posłuchać, jedynie żebracy, biedacy i dzieci, których zdumiewał jego sposób opowiadania przypowieści.

Zimą i latem prosił o jałmużnę przy drzwiach kościelnych, uśmiechając się do wszystkich: do tych, którzy dawali mu jakiś pieniążek, ale też do tych, od których nic nie dostawał. Wszyscy uważali go za lekkiego wariata. Bo kiedy skończył głosić Ewangelię, pytał zawsze:

– Czy umiecie wskazać mi drogę do raj?

Ludzie, którzy przystawali, by posłuchać jego zabawnych kazań, rzucali mu monetę i odchodzili, uśmiechając się.

Był bardzo pobożny: codziennie uczestniczył we Mszy świętej i innych nabożeństwach i zawsze wrzucał do skarbony pierwszy pieniążek, jaki danego dnia otrzymał od przechodniów.

Stary i zmęczony, po przemierzeniu pagórków i dolin, dróg kamienistych i stromych górskich ścieżek, wiedział, że zasłużył na kącik w raj, i był przekonany, że wkrótce

go znajdzie. Dotarł do drzwi samotnie stojącego klasztoru. Zapukał i drzwi otworzył mu wysoki brat ubrany na biało. Piripicchio był zadowolony, wydawało mu się, że to Anioł Odźwierny. Był przekonany, że znalazł drzwi do raju. Nareszcie!

– Czego chcesz, bracie? – zapytał go zakonnik.

– Jestem taki zmęczony! Zawsze dawałem jałmużnę (jestem tym od pieniążka, pamiętacie?), i teraz chciałbym wejść do raju, by spocząć obok Jezusa.

– Pewnie, pewnie! – uśmiechnął się zakonnik, sądząc, jak wszyscy, że staruszek ma coś nie w porządku z głową. – Zawsze znajdzie się dla ciebie strawa. Odpocznij trochę, a potem, jeżeli zechcesz, pójdziesz dalej twoją drogą...

– Nie – nalegał pielgrzym, kręcąc głową. – Całe życie chodzę po świecie, głosząc Ewangelię; przyszedłem tutaj, by zostać na zawsze.

I wszedł.

Kiedy Piripicchio zadowolony jadł swoją zupę, odźwierny opowiedział bratu przeorowi i współbraciom historię starego pielgrzyma, któremu wydawało się, że dotarł do raju i chciał zostać w klasztorze.

Przeor poszedł do Piripicchio i powiedział:

– Pomożesz nam w pracach ogrodowych oraz w kuchni. Jesteśmy biedni, ale nigdy nie zabraknie dla ciebie zupy i pajdy chleba.

Pielgrzym został z braćmi. Następnego dnia, w porze obiadu, staruszek wziął swoją miseczkę i kawałek chleba, i poszedł jeść do ogrodu, w spokojnym kącie raju, jak mu się wydawało. Był tam stary krucyfiks i starzec przyglądał mu się długo, nie jedząc, zdziwiony i niezadowolony. Chrystus wiszący na krzyżu miał na twarzy wyraz wielkiego bólu.

– Biedaczysko! – westchnął żebrak. – Nie dają ci jeść? Jesteś taki zbolały. Zejdź, chodź tu do mnie bliżej: ja dam ci miskę zupy!

I oto Chrystus zszedł z krzyża, usiadł obok starca, wziął miskę, łyżkę i zjadł w milczeniu, podczas gdy pielgrzym zadowolił się chlebem.

Ta sama scena powtarzała się co dnia, przez długi czas: starzec oddawał Jezusowi swoją zupę, a Jezus schodził z krzyża, by ją zjeść, podczas gdy starzec zadowalał się chlebem.

Pewnego dnia powiedział w swej naiwności ojcu przełożonemu, że dzieli się posiłkiem z Ukrzyżowanym, i zapytał:

– Dlaczego Jezus w raju musi nadal wisieć na krzyżu i co więcej, cierpieć z głodu?

Brat przełożony, który jeszcze nie przyzwyczał się do dziwactw pielgrzyma, zapytał go:

– Czy naprawdę myślisz, że ten, który z tobą jada, to Jezus?

– Z pewnością! – odpowiedział starzec. – I jutro można by nawet przygotować miseczkę specjalnie dla niego, ponieważ jedzenia jest mało.

– Jeżeli myślisz, że to jest Jezus, to jutro poproś go o coś w zamian za te zupy! – podpowiedział brat, uśmiechając się.

W południe, gdy jak zwykle posilili się, starzec zapytał Jezusa:

– Za pieniądze, który ci dawałem codziennie, pozwoliłeś mi wejść do raju; co mi dasz za zupę, którą ci oddaję?

– Jutro będziesz jadł przy moim stole – odpowiedział łagodnie Jezus.

I rzeczywiście, tej samej nocy, gdy Piripicchio spał, zstąpiły do małej celi dwa wspaniałe anioły i śpiewając zabrały do nieba jego duszę, do prawdziwego raju, gdzie dopuszczono pielgrzyma do wiecznej uczyty dobrego Boga.



Uczeni pielgrzymi

Legenda celtycka

Wiele lat temu na bezkresnych tundrach północy żyły małe wspólnoty druidów, którzy nawrócili się na chrześcijaństwo i odbywali długie wyprawy badawcze, odwiedzając astrologów, magów i innych ludzi nauki, by doskonalić swoją wiedzę.

Czterech z nich zaszło tak daleko w swoich poszukiwaniach, że mówiono, iż osiągnęli szczyty Wiedzy. Pragnęli, jak apostołowie i pierwsi uczniowie Chrystusa, zostać sprawnymi głosicielami Ewangelii, ale także wyrzucać złe duchy, mówić nieznanymi językami, uzdrawiać chorych i wskrzeszać zmarłych.

O ile jednak trzech z nich odznaczał się szczególną biegłością w sztukach i nauce, zarówno w teorii jak i w praktyce, czwarty był mniej bystry i mniej uzdolniony, chociaż miał wybitną sprawność rozpoznawania.

Przez kilka tygodni pochłaniały ich długie dyskusje i debaty na różne tematy. Po jakimś czasie pierwsi trzech uświadomili sobie, że poziom ich wiedzy jest podobny, natomiast, jak stwierdzili, przygotowanie czwartego towarzysza pozostaje zdecydowanie gorsze. Dlatego poprosili go o opuszczenie grupy i przyłączenie się do pielgrzymów na jego poziomie.

A ponieważ opierał się, powiedzieli:

– Nie dziwi nas w ogóle to twoje naiwne zachowanie. Istota niewrażliwa, jak ty, nie może docenić wyrafinowa-

nych zdolności, jak nasze, a tylko uparcie i zarozumiale uważać się za kogoś podobnego do nas.

Mimo to pozwolili mu kontynuować wspólną podróż, od tego momentu wyłączyli go jednak z uczonych tajnych narad.

Pewnego dnia, kiedy wszyscy czterej szli ścieżką, natknęli się na szkielet dużego zwierzęcia z pozostałymi jeszcze skrawkami mięsa i futra.

– Proszę – zawołał pierwszy uczony – korzystając z mojej wiedzy mogę stwierdzić, że bez wątpienia chodzi o kości niedźwiedzia.

– A ja – dodał drugi uczony – mogę zapewnić, że wiedza pozwala mi zrekonstruować materię jego ciała.

– Jeśli o mnie chodzi – pochwalił się trzeci – mam moc ożywienia tego, co nieożywione, mogę zatem przywrócić go do życia.

I tak postanowili jednogłośnie wykorzystać swoje talenty do wskrzeszenia zwierzęcia.

Czwarty uczony sprzeciwił się:

– Moi drodzy przyjaciele, chociaż nie interesują was moje umiejętności, muszę was ostrzec, ponieważ jestem, mimo wszystko, człowiekiem obdarzonym darem rozsądku. Rzeczywiście chodzi o szczątki niedźwiedzia. Jeżeli przywrócicie mu życie, unicestwi nas wszystkich w jednej chwili!

Trzej uczeni byli pochłonięci tak bardzo perspektywą przekonania się o skutkach swych umiejętności i przeprowadzenia doświadczenia, że nie zwracali w ogóle uwagi na ostrzeżenia towarzysza.

W mgnieniu oka sterta kości okryła się mięsem i futrem, po czym zobaczyli, jak na ich oczach przybierają one kształty wielkiego niedźwiedzia, który zbliżał się groźny i wygłodniały. Podczas gdy trzej wybitni pielgrzymi byli całkowicie pochłonięci swoimi czynnościami, czwarty zaledwie zdążył wspiąć się na wierzchołek drzewa, z któ-

rego mógł uczestniczyć w zakończeniu eksperymentu: widział jak niedźwiedź rzucił się na jego towarzyszy, pożarł ich i znikł w lesie. Jedyne ocalony z grupy, zszedł z drzewa i kontynuował swoją pielgrzymkę, zastanawiając się nad pokusą pychy, która zawsze czyha na drodze wiodącej do Prawdy.



Dziedzic i bób

Średniowieczna legenda germańska

Syn księcia Turyngii uchodził za najpotężniejszego i najszczęśliwszego młodzieńca w całej Germanii. Wkrótce miał odziedziczyć księstwo, włości, bogactwa i całą władzę po ojcu, jednak bracia i kuzyni, którzy chcieliby posiadać przynajmniej część tego bogatego łupu, nienawidzili go i zazdrościli mu. Któregoś dnia, kiedy był na polowaniu, odłączył się od swojej świty, a zobaczywszy w pobliżu dym dobywający się z małego ogniska, pogalopował w tym kierunku. Tam znalazł pielgrzyma z sakwą i kijem, który w świetle zachodzącego słońca stał nad garnkiem, gotując bób.

Młodzieniec zwrócił się do pielgrzyma, mówiąc:

– Dostałeś dziś zaszczytu goszczenia przyszłego księcia Turyngii. Co gotujesz?

Pielgrzym, oderwany od swojego zajęcia, podniósł wzrok i odpowiedział:

– Zupę z bobu.

Książe zapytał:

– Pielgrzymie, nie chcesz mnie poczęstować?

– Nie – odpowiedział pielgrzym. – Zupy jest ledwie tyle co dla mnie, a ty, wróciwszy do zamku, będziesz mógł się najeść dowoli. Ja nie chcę nic od ciebie, dla mnie twoje królestwo nie jest warte więcej niż ten bób. Może ty masz ochotę na mój bób, ale ja od ciebie niczego nie pragnę. Mój bób jest wart stokrotnie więcej niż wszy-

stko, co ty masz. Zobacz, ilu masz nieprzyjaciół. Chcą odebrać ci wszystkie posiadłości i bogactwa. Ja jestem wolny, wszyscy są mi życzliwi i mam mój bób.

Dziedzic spojrzał na niekwestionowanego właściciela bobu, pomyślał o wszystkich swoich posiadłościach i o nienawiści braci, i zapłakał.



Święty Brendan i Wyspa Świętych

Legenda średniowieczna

Pewnego dnia tysiąc pięćset lat temu Brendan, opat z dużego szkockiego opactwa, dowiedział się o podróży świętego pielgrzyma, który płynąc na zachód, dotarł do wrót Ziemi Obiecanej.

Uzbrojony w wiarę, która góry przenosi, Brendan z kilkoma swoimi współbraćmi postanowił również wyruszyć na poszukiwanie Wyspy Świętych, jednej z wielu cudownych wysp, które otaczają dawną ziemię Adama i Ewy. Wspomagany przez braci, zbudował solidny i lekki statek, odpowiedni do długich podróży, pokrył go pasami skóry, wysmołował i pomalował szkarłatną czerwienią. Zabrał żywności na czterdzieści dni, załadował także zapas smoły, po czym postawił maszt i rozwinął żagle.

Wyruszywszy w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego, święta załoga płynęła na południe przez czterdzieści dni przy sprzyjającym wietrze. Potem wiatr osłabł, żagle opadły i bracia zmuszeni byli wiosłować aż do kresu sił.

Widząc zmęczenie braci marynarzy, Brendan współczuł im i podnosił na duchu:

– Bracia, nie lękajcie się! Bóg nas poprowadzi i obdarzy wszystkim, czego będziemy potrzebować. Zostawcie wiosła i ster i rozwińcie żagiel: Pan postąpi ze statkiem wedle swego upodobania.

Jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zerwał się lekki zefirek i płynęli dalej, aż dotarli do wyspy za-

mieszkaney przez dwudziestu czterech mnichów, którzy żywili się chlebem zstępującym w cudowny sposób z nieba. Ci święci eremici zachowywali całkowite milczenie, nie doświadczając cierpień związanych z chorobami i starością.

Na tej wyspie Brendan ze współbraćmi świętowali Boże Narodzenie. Potem, płynąc dalej, dotarli do miejsca, gdzie morze było spokojne i gładkie, tam też zauważyli dużą wyspę.

Kiedy przybili do brzegu, na spotkanie wyszedł im młodzieniec, anioł wysłany przez Boga. Młodzieniec pomógł im wyjść na ląd i rozbił dla nich namiot; następnie wręczył mnichom białe szaty.

Brendan i jego bracia świętowali na wyspie wieczerzę Wielkiego Czwartku, ale w Wielką Sobotę anioł zachęcił ich do wyruszenia w dalszą drogę.

Po wielodniowej żegludze dotarli do innej wyspy, ale mały statek zatrzymał się, zanim dobili do brzegu: bracia byli zmuszeni zejść do wody i zakotwiczyć łódź, ciągnąc ją na linach. Wyspa okazała się skalista, bez żdźbła trawy, plażę pokrywały kamienie, a nie piasek. Na plaży bracia zaczęli odmawiać oficjum, podczas gdy Brendan obserwował ich z mostku. Mnisi postarali się o rybę i zamierzali upiec ją na ogniu, ale ledwie polano zapaliło się, wyspa zaczęła straszliwie dygotać, a do nieba wzniósł się gorący płomień.

Bracia uciekli przestraszeni, rzucając się do wody, by jak najszybciej dotrzeć do statku. Wspięli się pośpiesznie, błagając opata o ratunek. Świętobliwy kapitan zapewnił ich:

– Dzieci moje, nie bójcie się: Pan wyjawiał mi, że wyspa, która wyrzuca ogień jak wulkan, to w rzeczywistości Gesson, ogromna ryba potwór, który pożera wszystkich zapuszczających się w te strony. Rozwińmy żagle i wypłynmy na szeroką wodę.

Nieco dalej zauważyli kolejną małą wyspę, która tym razem wydawała się naprawdę gościnna, cała pokryta trawą, drzewami i kwiatami. Bracia postanowili przybić do brzegu, ale nie mogli znaleźć odpowiedniej zatoczki. W końcu, płynąc blisko brzegu, zobaczyli potok wpadający do morza i skierowali statek w stronę ujścia. Wyszli i poszli w górę rzeki, aż do źródła.

– Pan pozwolił nam dotrzeć aż tutaj, abyśmy mogli świętować Wielkanoc – powiedział Brendan. – Bracia, nawet gdybyśmy nie mieli nic do jedzenia, ta woda wystarczyłaby nam za pokarm i napój.

I była to prawda. Tej tryskającej wody nie można było porównać z niczym, co do tej pory kosztowali.

Nieco powyżej źródła rośło wielkie drzewo, które całkowicie obsiadły białe ptaki, tłocząc się na grubych konarach i cieńszych gałązkach. Brendan, który nie umiał wytłumaczyć sobie obecności tych ptaków, upadł na kolana i zatopił się w modlitwie. Wtedy jeden z nich przyleciał do niego. Święty zrozumiał, że Bóg wysłuchał jego modlitwy.

– Jesteś Bożym posłańcem? – zapytał białego ptaka. – Skąd jesteś i dlaczego jest was tutaj tak dużo zebranych na jednym drzewie?

– Jesteśmy aniołami, które spadły z nieba wraz z Lucyferem, w dniu potępienia go przez Boga – odpowiedział skrzydlaty przyjaciel. – Ale naszym grzechem było jedynie to, że daliśmy się wciągnąć w jego bunt. Dlatego zostaliśmy wydaleny z raju i tułamy się po świecie wraz z innymi duchami. Jednak w dni świąteczne, jak dzisiaj, możemy przybrać postać śnieżnobiałych ptaków i zatrzymujemy się raz tu, raz tam, wedle woli Bożej. Dziś mija rok, od kiedy wyruszyliście. Pan posłał mnie, bym wam przekazał, że minie kolejnych siedem, zanim dotrzecie do ziemi, której szukacie. Co roku będziecie wracać na tę wyspę, by tu świętować Wielkanoc, a za siedem lat

zobaczycie w końcu miejsce, którego szukacie, Wyspę Świętych.

To powiedziawszy, wzniósł się w powietrze i wrócił na drzewo do innych ptaków.

Po odprawieniu wielkanocnych obrzędów bracia ruszyli w dalszą drogę, a pchani przez wiatr na północ, zobaczyli na horyzoncie jeszcze inną wyspę całą najeżoną skałami. Wyspa okazała się posępna i nieprzyjazna. Brzeg opadał stromo w morze, a w szczelinach umieszczono brzęczące kuźnie, które gorzały jak piece. W każdej szczelinie pracował cyklop-kowal z wszystkimi charakterystycznymi dla tej profesji narzędziami; olbrzymy kuły żelazo z taką mocą, że huk był nie do zniesienia. Brendan prosił Boga, by nie wysyłał ich na tę wyspę. Jednak wbrew temu, na co liczył, zerwał się silny wiatr, który poniósł ich ku jej brzegom. Bracia słyszeli coraz głośniejszy huk młotów o kowadło.

Kiedy Brendan się modlił, na wybrzeżu pojawił się starzec, czarny i włochaty jak dzik, który roztaczał wokół siebie wstrętny smród; w dłoni ścisnął obcęgi z rozżarzonego żelaza. Próbował uchwycić obcęgami statek biednych braci. Kiedy zrozumiał, że statek oddala się, rzucił za nimi rozpaloną strzałę, która upadłszy w wodę, wywołała wysokie fale, a woda wokoło zagotowała się. Brendan zachęcał braci:

– Nie trwóźcie się, dzieci: Pan nam dopomoże. Ale dobrze, żebyście wiedzieli, że jesteśmy u wrót piekła i że widzieliście jego przednie straże.

Po kolejnym dniu podróży zobaczyli na zachodzie stromą górę, wynurzającą się z morza. Żyły na niej smoki, lwy, gryfy i straszliwe węże. Ze szczytu góry spływała czerwona rzeka, która z daleka wyglądała jak lawa wulkaniczna. Podczas gdy Brendan, trzymając ster, próbował oddalić się od wyspy, nagle zerwało się tornado, gnając

statek wprost na podwodne skały; bracia zorientowali się, że to, co spływa z góry, to rzeka krwi.

Jeden z braci marynarzy rzucił się ze strachu do wody. Diabeł szybko go pochwycił i zaciągnął do rzeki. Pożerał go dziewięć razy i dziewięć razy wypluwał jeszcze żywego.

Pomodlili się za duszę towarzysza, a Brendan powiedział, że jedynie brak wiary zdecydował o losie tego brata.

Na szczęście wiatr się zmienił, nastała cisza i statek popłynął na wschód.

Płynęli cały dzień. Z nadejściem wieczoru otuliła ich gęsta mgła; potem nagle rozległy się grzmoty i pojawiły błyskawice. Bracia przełękli się, ale usłyszeli anielski głos, który mówił:

– Mgła spowija wyspę, której szukacie już od siedmiu lat, a ponieważ wytrwaliście w wierze, Pan spełnił wasze pragnienie.

Rzeczywiście, kiedy po godzinie wynurzyli się z mgły, święty Brendan i jego towarzysze zobaczyli przed sobą jasną, złocistą jutrzenkę. A im dalej się posuwali, tym bardziej blask się wzmacniał. Zdumieni się widząc księżyc i gwiazdy, które stawały się coraz większe. Wielki Wóz i Gwiazdę Polarną prawie można było dotknąć ręką!

Kiedy zeszli na ląd, zobaczyli piękne, świergoczące, wielobarwne ptaki, przeźroczyste i chłodne potoki, wielkie drzewa wszelkiego rodzaju, uginające się pod ciężarem owoców, łąki, które zdawały się barwną paletą kolorowych kwiatów.

Drogi były wyłożone kosztownymi kamieniami, dzikie zwierzęta bawiły się potulnie ze zwierzętami domowymi. Winnice i duże pergole chyliły się pod ciężarem dojrzałych winogron, gdy przechodzili, tak by mogli się nimi posilić.

Te wszystkie wspaniałości sprawiły, że mnisi zapomnieli o świecie, zakonie, przeszłości, głodzie, pragnieniu

i zmęczeniu; noc nie zapadała nigdy nad tą zaczarowaną ziemią, a chmury nie zasnuwały błękitnego nieba.

Niezwykła słodycz tego miejsca przenikała duszę i ciało.

– Co to za miejsce, które obejmuje tak niezrównane piękno? – zastanawiali się zdumieni bracia żeglarze.

– Na początku świata – odpowiedział anielski głos z nieba – Bóg stworzył to miejsce w najwyższym położonym rejonie ziemi; dlatego nie zalały go wody potopu. W tej szczęśliwej oazie niebo i ciała niebieskie są bliżej i nigdy nie nastaje noc.

Ujrzeni potem cudowny las, pośrodku którego rosło drzewo pełne złotych owoców. Na wierzchołku siedział przepiękny ptak, dużo większy od pawia, z różnokolorowymi piórami, który zaczął śpiewać im na powitanie ujmującą melodię. Zanurzyli się w lesie: drzewa uginały się pod ciężarem złota, klejnotów i drogocennych kamieni. Doszli do wysokiej kolumny, której górna część ginęła wysoko wśród chmur. Wokół niej pięły się kręcone schody. To kolumna Dobra, wyjaśnił im tajemniczy głos. Każdy, kto umiera, przybywa do tej kolumny, by wspiać się do nieba, aż do Boga.

Dalej bracia iść nie mogli: na brzegu wielkiej rzeki zatrzymał ich anioł, mówiąc, że po drugiej stronie znajdują się cuda, których oczy ludzkie nie mogą oglądać.

Dzięki wierze i modlitwie zbliżyli się do Boga, dotarli do najdalszych granic dostępnych ludzkiej istocie. Teraz mogli obrać kurs powrotny, by opowiedzieć wszystkim o podróży, jakiej nawet Ulisses nie zdołał odbyć.



Rzeka Pokoju

Legenda hiszpańska

Fulgencjusz był dobrym ojcem i wzorowym mężem. Pewnego smutnego i niefortunnego dnia, Franciszka, młoda żona i ukochana towarzyszka jego życia, odeszła na zawsze.

Fulgencjusz płakał niepocieszony. Czasem po długich minutach płaczu wydawało mu się, że czuje się lepiej. Nieoczekiwane chwile, kiedy coś w nim próbowało dodać mu otuchy, że owszem, cierpi, ale nie tak, żeby to było nie do zniesienia... że w gruncie rzeczy może z czasem uda mu się ochłonać. Ale potem, nagle, przeszywający ból związany z jakimś wspomnieniem... i ledwie co osiągnięty spokój rozpływał się we łzach.

Pewnego wieczoru, nad skulonym na swym łóżku w cichym płaczu, by nie zbudzić dzieci, zlitowała się Matka Boża Płacząca. Widział Ją pełną pokoju, łagodną i napawającą otuchą, jak wzięła go za rękę.

– Chodź ze mną, synu boleści – powiedziała zatroskana Maryja Panna. – Chodź ze mną: pójdziemy w pielgrzymce do Rzeki Pokoju. Każdy, kto wykąpie się w tej rzece, otrzymuje pocieszenie.

Szli wiele dni, mijali tereny opuszczone i miejsca pogrążone w takim mroku, że nie można było odróżnić dnia od nocy. W pewnym momencie Fulgencjusz usłyszał plusk wody. Wielka rzeka, której woda była wyjątkowo czysta i przeźroczysta, znajdowała się tuż przed nimi.

– Zanurz się w Rzece Pokoju, zbolały pielgrzymie – zachęciła go Maryja Panna. – Jej wody obmyją twój ból i smutek.

Fulgencjusz usłuchał. Poczuł w całym ciele nowe życie i pokój, słodki pokój przenikający udręczone ciało i zablizniający głębokie rany. Po tym oczyszczającym zanurzeniu Fulgencjusz zapytał Matkę Bożą Płaczącą:

– Skąd płyną dobroczynne wody tej rzeki?

– To są łzy świata – odpowiedziała Maryja Panna. – Wszystkie łzy świata tworzą tę rzekę. Gorzkie łzy strachu, bólu, rozczarowania, porażki, złości. Ale również łzy słodsze, te wylane z miłości, po powrocie drogiej osoby czy zażegnaniu niebezpieczeństwa. Fulgencjusz usłyszał westchnienia i jęki tych wszystkich, którzy wylali te łzy, i zrozumiał, że również jego łzy są już teraz jednym wspólnym płaczem, który płynie w wodach tej rzeki. Poczuł się całkowicie zjednoczony z wszelkim bólem i radością świata. Wtedy też Matka Boża opowiedziała mu o bólu swego Syna i Fulgencjusz usłyszał płacz Chrystusa przed grobem Łazarza, płacz w Ogrodzie Getsemani, płacz na krzyżu.

Fulgencjusz obudził się nagle, poduszka była jeszcze mokra, ale jego ogarniał głęboki pokój. Nie był już synem bólu, ale współczucia.



Źródła

- Padri Bollandisti (oprac.), *Acta Sanctorum*.
J.P. Migne, *Grand dictionnaire des légendes chrétiennes*.
D. Cavalca, *Vite de' santi padri*.
Gregorio Magno, *De vita et miraculis patrum italicorum* (w przekładzie na łac. ludową).
D.M. Manni, *Vite de' Santi Padri volgarizzate dal Cavalca, con aggiunte le vite di alcuni santi scritte nel buon secolo della lingua*, Firenze 1732-35 (4 tomy).
J. Passavanti, *Specchio di vera penitenza*.
Bonvesin de la Riva, *Liber exemplorum* (w przekładzie na łac. ludową).
Bartolomeo da Trento, *Liber epilogorum in gesta sanctorum* (w przekładzie na łac. ludową).
Jacopo da Varagine, *Legenda aurea*.

Bibliografia

- F. Zambrini, *Leggende inedite*, Bologna 1855 (2 tomy).
P. Villari, *Tradizioni e leggende che illustrano la Divina Commedia*, Pisa 1865.
A. D'Ancona, *Sacre rappresentazioni dei secoli XIV, XV, XVI*, Firenze 1872 (3 tomy).
H. Delehaye, *Le leggende agiografiche*, Firenze 1910.
G. Bertoni, *Poesie, leggende, costumanze del Medio Evo*, Modena 1917.
H. Delehaye, *Les saints stylites*, Paris 1922.
H. Delehaye, *Mélanges d'hagiographie*, Paris 1923.
G. Battelli, *Le più belle leggende cristiane*, Milano 1924.
S. Colombo, *Atti dei martiri*, Torino 1928.
Abbé Jonhanneaud (oprac.), *Dictionnaire d'anecdotes chrétiennes*, Paris 1929.
A. Masseron, *Leggenda francescana*, Milano 1958.
G. da Bra, *Epica cristiana del Medioevo*, Torino 1964.
M. Craveri (oprac.), *I Vangeli apocrifi*, Torino 1969.
F. Accrocca (oprac.), *I Fioretti di san Francesco*, Casale Monferrato 2004.